

A high-angle, low-key photograph showing the silhouette of a person walking on a tiled floor. The person is pulling a suitcase and carrying a bag. The floor is made of large, light-colored tiles, and the lighting creates long, dark shadows. The overall mood is mysterious and cinematic.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

**Zamiana walizek na lotnisku
może uruchomić
lawinę zdarzeń...**

Aneta

MODELSKA

List, który przyszedł za późno

VIDEOGRAF

Aneta
MODELSKA
List, który przyszedł za późno

VIDEOGRAF

Redakcja
Joanna Szewczyk

Zdjęcie na okładce
www.istockphoto.com
© *mbbirdy*

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerk

Wydanie I, Chorzów 2011

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c tel. 32-348-31-33, 32-348-31-
35

fax 32-348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2012

ISBN 978-83-7835-065-1

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)



Spis treści

- [PROLOG](#)
- [CZEŚĆ PIERWSZA PIERWSZY PLAN](#)
 - [Rozdział I](#)
 - [Rozdział II](#)
 - [Rozdział III](#)
- [CZEŚĆ DRUGA ZOOM](#)
 - [Rozdział IV](#)
 - [Rozdział V](#)
- [CZEŚĆ TRZECIA NOWE UJĘCIE](#)
 - [Rozdział VI](#)
 - [Rozdział VII](#)
 - [Rozdział VIII](#)
 - [Rozdział IX](#)
 - [Rozdział X](#)
 - [Rozdział XI](#)
 - [Rozdział XII](#)
 - [Rozdział XIII](#)
 - [Rozdział XIV](#)
- [CZEŚĆ CZWARTA POZA KADREM](#)
 - [Rozdział XV](#)

- [Rozdział XVI](#)
- [Rozdział XVII](#)
- [CZĘŚĆ PIĄTA ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA](#)
 - [Rozdział XVIII](#)
 - [Rozdział XIX](#)
 - [Rozdział XX](#)
 - [Rozdział XXI](#)
 - [Rozdział XXII](#)
- [Przypisy](#)

PROLOG

Podczas lotu Tomkowi śniły się włosy Dominique. Samym dotykem zmieniał niepokojący odcień czerwonego wina, który ostatnio przybrały, w dawną, bezpieczną kasztanowość. Niewinny, romantyczny finał krótkiego spotkania z byłą żoną.

Jak to jest z kolorami w snach? Podobno ich nie ma... Rozmyślał o tym leniwie w nowej, stalowo-rudej hali przylotów na warszawskim Okęciu, czekając na swój bagaż. Powolna, węzowata taśma pełna czarnych i granatowych walizek wiła się już wśród niepewnych spojrzeń. Sympatyczny Francuz zastygł z rezygnacją nad ogromną plamą o zapachu calvadosu, wilgotniejącą coraz bardziej na jasnej skórze jego kufra. Smutna sąsiadka z samolotu rozburzyła włosy, przygryzła wargi, ułożyła usta w śliczny, promienny, prawie naturalny uśmiech i ruszyła tanecznym krokiem w stronę wyjścia. Tomek mógłby pójść za nią, zobaczyć, dla kogo tak gra, bo właśnie przyjechała jego walizka.

Jednak coś z nią było nie tak. Z walizką. Była inna, chociaż na pozór identyczna. Toczyła się za nim trochę zbyt lekko, zbyt miękko. Sprawdził banderolę z numerem lotu, naklejoną na brudny uchwyt – papier przedarty właśnie tam, gdzie powinno być jego nazwisko. Nie był pewien, czy się pomylił. Tego dnia wielu rzeczy nie był pewien. Obie kieszenie, jak w jego walizce, były puste.

Przyklęknął, żeby rozsunąć zamek. Właśnie podnosił wieko, kiedy usłyszał – gdzieś blisko, zaledwie kilka metrów dalej – dźwięk, którego mu wcześniej brakowało. Śmieszne skrzypienie lewego kółka.

– Przepraszam! Proszę pana! Pan ma coś, co należy do mnie!

Mężczyzna, który ciągnął za sobą walizkę Tomka, obejrzał się od razu. Ale nie uśmiechnął się przepaszająco. Nie uderzył dłonią w czoło, z żartobliwym politowaniem dla własnego roztargnienia. Nie zatrzymał się nawet – mimo że Tomek zamachał do niego czymś szarym, wyszarpniętym spod zamka, co tamten powinien rozpoznać. Odwrócił głowę i przyspieszył.

– *Monsieur! Vous avez mon bagage, j'ai le votre!* Proszę pana, zamieniliśmy walizki!

Na angielski nie było już czasu. Człowiek z walizką coraz szybciej zbliżał się do drzwi, za którymi czekała gromadka witających. Skurczył się jakby, zmałał, przygarbił. Tomek rzucił się za nim, dopinając torbę w biegu. Kiedy zderzył się z grupą radośnie pokrzykujących nastolatek, widział jeszcze plecy tamtego. Moment później mężczyzna zniknął. Pojawił się raz jeszcze – o ile to rzeczywiście był on – za tylną szybą taksówki ruszającej z postoju z piskiem opon, w tej samej chwili, w której Tomek wypadł przed terminal. Taksówki, za którą już wolniej, w nienagannym porządku, jeden po drugim, odjeżdżały identyczne jak ona samochody. O dalszym pościgu nie było mowy.

Tomek mógł już tylko wyrównać oddech, uporządkować myśli – jakoś sobie to wszystko wytłumaczyć. A potem coś z tym zrobić.

Zapalił papierosa.

Nie po raz pierwszy pomylił walizki. Takich jak tamta – czarnych, typowych, niewielkich – były pewnie setki. Ale kończyło się zawsze miłą wymianą zdań przy taśmie. Jeszcze nigdy nikt przed nim nie uciekał. Uciekał... czy rzeczywiście? Bo właściwie – gdzie tu sens? Może facet po prostu nie zrozumiał, o co chodzi. Odruchowo unikał kontaktu z obcym. Uchyłał się przed nim jak przed menelem, który mógłby poprosić o pieniądze. Udając, że odgarnia zmierzwione włosy z czoła, Tomek obwąchał pachę swojej koszuli. Potarł dłonią nieogoloną szczękę. Może to wszystko jeszcze po nim widać. Pożegnalne nocne picie, spanie w fotelu, dziwną gorączkę sprzecznych uczuć kilku ostatnich dni. A na lewym udzie wytartych dżinsów podpisał mu się wczoraj zamasyście pewien słynny przyjaciel Dominique. Cóż.

Facet z walizką – nadęty dupek.

Teraz należałoby postąpić według standardowych procedur.

Odnaleźć odpowiedni kontuar. Opowiedzieć swoją przygodę miłemu młodemu człowiekowi o uspokajającym uśmiechu. Wypełnić stosowny formularz, wpisując w kolejne rubryczki wszystkie niezbędne dane. Oddać cudzą własność, wrócić do domu i czekać na telefon.

Był tylko jeden mały problem.

Bardzo mały – około piętnastu gramów. Leżał sobie spokojnie w walizce Tomka, pomiędzy dwoma pudełeczkami wyjątkowo śmierdzących serów, zapakowany razem z nimi w ozdobną reklamówkę znanej francuskiej firmy serowarskiej. Właściwie – leżała. Porcyjka przedniej marihuany, pomysłowo przesypana przez Dominique do opakowania po czerwonej Amphorze – tytoniu, który można kupić w każdym sklepie Tabac. Razem z bibułkami.

Pożegnalny prezent od byłej żony. Prezentów od byłej żony się nie odrzuca, więc Tomek go zabrał. Określenie „przewóz narkotyków przez granicę” jakoś nie przyszło mu do głowy. Może był jeszcze pijany, kiedy się pakował. A zresztą uważał, że trawka powinna być legalna.

No ale – zgłosić zgubę?!

Podpisać się pod tym imieniem, nazwiskiem, PESEL-em, telefonem, prawdziwym adresem – a nie tym starym z paszportu? Może jeszcze opisać zawartość walizki, żeby ktoś mógł ją potem sprawdzić? To wszystko wydawało mu się teraz... powiedzmy: niestosowne. Zbyt perwersyjne, jak na jego gust.

Oprócz śmierdzącego woreczka w walizce nie było nic szczególnego. Kilka par brudnych majtek i skarpetek, zawiniętych w kilka brudnych koszul. Kosmetyczka. Dwa dobre, ale niezbyt drogie wina. Zielony biustonosz Dominique, skradziony na pamiątkę. Tomek był w Paryżu tylko cztery dni. Kurtkę miał na sobie, wszystkie ważne rzeczy w kieszeniach i w torbie z laptopem, która leciała z nim. Nie było czego żałować.

A tamten człowiek... Tomek nie chciałby go okraść. Znów złe słowo. Nie chciałby, żeby tamten, przy biernym udziale Tomka, stracił przez własną głupotę coś cennego. Ale jeżeli nie ma nic takiego w tej jego walizce... Nie będzie jej przecież tutaj przeszukiwał. W razie czego zawsze można coś wymyślić, załatwić to przez telefon... Tomek poczuł się nagle bardzo, bardzo zmęczony. Brudny, senny, spragniony i samotny. Zgasił papierosa i poszedł na postój taksówek.

Pachnący calvadosem Francuz ujmującą paryską angielszczyzną usiłował wyjaśnić policjantowi, dlaczego przebiegł na czerwonych

światłach tylko po to, żeby wyrzucić do pustego kosza kłęb mokrych szmat.

Kobieta o promiennym uśmiechu paplała coś wesoło, obejmując ramieniem młodziutką dziewczynę w zaawansowanej ciąży.

Zaczynał padać deszcz.

Nienaturalny ruch w hali przylotów terminalu 2, w niedzielę, 10 maja, o godzinie 14.32. Odbiegające od normy zachowanie dwóch dorosłych mężczyzn. Człowiek w mundurze ochroniarza nie zastanawiał się jednak nad potrzebą interwencji. Jego prawdziwe zadanie było inne. Miał tylko obserwować. Obserwować, myśleć, interpretować, wyciągać wnioski.

A wnioski były dla niego tym razem oczywiste.

Kłótnia kochanków.

Ten pierwszy – który pojawił się tylko na moment i jakimś dziwnym sposobem, nie budząc niczyjego sprzeciwu, w ciągu kilku sekund dotarł do pierwszej taksówki – tak znacząco patrzył przez szybę na tego, który biegł za nim... jakby chciał go na zawsze zapamiętać.

Mimo że wcześniej nawet nie odwrócił głowy.

Człowiek w mundurze uświadomił sobie z konsternacją, że tylko to spojrzenie potrafi opisać. Bo ten pierwszy wcześniej skurczył się jakby, zmałał, przygarbił...

Za to z drugim mężczyzną – kochankiem porzuconym – poszło mu już o wiele lepiej.

Obserwował go przez kilka dramatycznych minut, kiedy tamten próbował opanować myśli.

Rudawy brunet po trzydziestce, o dość nietypowym dla mężczyzny, być może nienaturalnym kolorze przydługich włosów. Przystojna, ale zaniedbana twarz. Wysokie czoło i wyraźnie zarysowane kości policzkowe, kilkudniowy zarost. Średni wzrost, ciało zbyt szczupłe. Strój wyjątkowo niedbały – a może właśnie celowo taki swobodny, ekscentryczny. Na pierwszy rzut oka – typ artysty.

Kiedy tak palił swojego papierosa, człowiek w mundurze ochroniarza odnalazł w jego zaczerwienionych, zapuchniętych oczach żal straty. I jakąś dziwną gorączkę...

Tak, wnioski były oczywiste.

Obaj mężczyźni mieli identyczne walizki. Być może kupili je razem. Człowiek w mundurze ochroniarza postanowił, że kiedyś, po latach, kiedy instynkt go opuści, spisze te wszystkie romantyczne historie. Na razie spisał, na wszelki wypadek, numery obu odjeżdżających taksówek.

– Dzień dobry, Biuro Zagubionego Bagażu „Lost & Found”, czym mogę służyć... chwileczkę, sprawdzę... nie, nikt z tego lotu nie zgłaszał zamiany. Czy chciałby pan... tak, oczywiście, jeżeli ktoś zgłosi, na pewno weźmiemy od niego numer telefonu. Czy mogę prosić o pana... rozumiem... nie, przepraszam pana bardzo, nie rozumiem... jeżeli pana bagaż nie jest problemem, to dlaczego pan sądzi... niestety, nie wyświetlił mi się pana numer telefonu, czy mógłby pan... proszę pana... proszę się nie denerwować, jeżeli pan sobie życzy, ja też mogę przejść na francuski, chociaż pan przecież wcześniej świetnie... monsieur.

Rozmowa została przerwana.

Wystarczyło tylko kilka kliknięć w klawisze, żeby wrócić do tej pierwszej, o wiele dla niej ważniejszej.

– Słyszałeś? Rozłączył się. Tak to właśnie czasem wygląda.

– Słyszałem. Nie przejmuj się nim, to jakiś wariat. Wkładasz w to tyle rzetelności. Jesteś taka cierpliwa. I – nie wiem, czy ci to już mówiłem – masz głos dwudziestolatki, wiesz?

Siwa kobieta uśmiechnęła się do ekranu komputera, patrząc na małe okienko, ukryte w rogu, rozmarzonym wzrokiem dwudziestolatki.

Wieczorem, w mieszkaniu na Mokotowie, Tomek odbierał już to wszystko inaczej. W wynajętym wprawdzie, ale swoim mieszkaniu, w którym wszystko stało, leżało albo wisiało tam, gdzie on postanowił, bez zachowania zasad jakiegokolwiek stylu – a jeżeli w jakiejś harmonii, to tylko i wyłącznie przez przypadek – z każdą chwilą odzyskiwał pewność siebie. Dominique w jego myślach znów wracała w to miejsce, które sama postanowiła zająć ponad rok temu: Ważnego, Pięknego, ale Zamkniętego Rozdziału, Byłej Żony, a teraz Serdecznej Przyjaciółki. I bardzo dobrze. Tomek pozbył się nawet swojej porannej obsesji na punkcie kolorów.

Posiedział sobie godzinę w wannie, owinął się w pasiasty szlafrok (który dla niej byłby zupełnie *passé*) i postanowił zająć się walizką.

Jej zawartość szczerze go rozbawiła.

Pięć identycznych, szarych męskich koszul z C&A, o klasycznym kroju, pedantycznie wyprasowanych, złożonych tak, żeby zajmowały jak najmniej miejsca; można je kupić w każdym większym mieście, które przyszło Tomkowi do głowy. Rozmiar 41.

Pięć identycznych par białych majtek i szarych skarpetek, do których pasował ten sam opis – podobnie, jak do pary szarych spodni ze starannie zaprasowanym kantem.

Kosmetyczka wypełniona prawie wyłącznie firmowymi buteleczkami z hotelowych łazienek.

Szara wełniana marynarka – jedyna rzecz, która straciła nienaganny kształt, kiedy Tomek wywijał ją na lotnisku, chcąc zatrzymać tamtego człowieka.

To wszystko razem było jak wyprawka. Gotowy zestaw ubrań dla niemowląt – w jednej z dwóch wersji: chłopiec albo dziewczynka, który w dzieciństwie Tomka można było kupić w specjalnym sklepie, pokazując zaświadczenie o zaawansowanej ciąży. Wyprawka dla dorosłego mężczyzny.

Albo jak w książce Anne Tyler *Przypadkowy turysta* – spakowany według specjalnej instrukcji bagaż człowieka, który nienawidzi zmian. Tomek lubił tę książkę. Jej bohater, opisany z ciepłą ironią, śmieszny, wygrywa z prawdziwą rozpaczą i zmienia w swoim życiu wszystko. Przez moment pomyślał nawet o facecie z lotniska z sympatią – ale tylko przez moment. Zaraz potem wyobraził sobie ze złośliwą satysfakcją połączony zapach serów i brudnej bielizny, który tamten poczuje z jego walizki.

Ubrania mężczyzny nie pachniały niczym.

Na dnie były jeszcze dwie książki: słownik francusko-polski i polsko-francuski Larousse i kryminał *The Blue Nowhere* Deavera, w oryginale. Typowy zestaw podróżny, niezdradzający nawet narodowości.

Przyjemność opróżnienia siatkowych kieszeni, przyczepionych do dłuższych, węższych boków czarnego wnętrza, Tomek zostawił sobie

na koniec. Pstrykała w nich miło, obiecująco, podwójna folia bąbelkowa, chroniąca dwie butelki. Wino było trzy razy droższe i pewnie dwa razy lepsze od Saint-Émilion i Côtes du Rhône, owiniętych jego skarpetkami.

Ale też z tych, które można dostać w każdym w miarę dobrym francuskim supermarkecie.

Właśnie to było w tym wszystkim takie zabawne – przynajmniej w pierwszej chwili.

Symetria. Gdyby spisać zawartość obu walizek, nie używając ani jednego przymiotnika, różnice byłyby niewielkie. W zasadzie nic dziwnego. To tylko zwykły bagaż. Jednak Tomek, przynajmniej podświadomie, spodziewał się po swoim niechcianym łupie czegoś szczególnego. Bardziej niecodziennego niż jego serowy woreczek.

Wybujała wyobraźnia, rozbudzona pijanym czasem z Dominique.

Postawił wino na stole, usiadł nad stertą rozrzuconych ubrań, zmiądzzył palcami kilka foliowych bąbelków. Skąd ten dyskomfort? Nie, nie przez to, że nie znalazł informacji, jak to oddać. To kwestia jednego telefonu, bez znaczenia. Symetria była pozorna. Tomek miał wrażenie, że każdy z przedmiotów w **jego** walizce, jak głodny uwagi świadek, jest w stanie wykrzyknąć o nim wszystko to, co wie. Chociażby – proszę bardzo – data produkcji na trzymanym w kosmetyczce opakowaniu prezerwatyw. Tamten człowiek już go znał. A on nie wiedział o nim nic. I wcale mu się to nie podobało.

Nie podobało mu się to tak bardzo, że postanowił przejrzeć wszystko jeszcze raz, dokładniej. Już bez oszukiwania się, że to z troski o tamtego.

Znalazł coś w miejscu, od którego powinien był zacząć.

Szara wełniana marynarka, jak każda męska marynarka, miała wewnętrzne kieszenie – na portfel albo piersiówkę. W prawej – tej, do której sięga się rzadziej, jeżeli się nie jest mańkudem – było rozprute dno; może celowo, a może przypadkiem. Tuż pod kieszenią, między materią marynarki a podszewką, była koperta. Tradycyjna koperta na list, jak z dziecięcego rysunku – złożona z trójkątów na odwrocie, szersza i krótsza niż te, które są teraz w użyciu. Biała, lekko pożółkła. Zaadresowana nerwowym, szybkim pismem.

– No, to zostałeś mi przedstawiony. Mam cię.

Nadawcą była kobieta. Podpisała się tylko na trójkątnym skrzydełku, nie zostawiła adresu. List został wysłany z Saint Denis do Warszawy. Piętnaście lat temu.

Jak to było w *Przypadkowym turyście*? *Nigdy nie zabieraj ze sobą w podróż rzeczy, których strata mogłaby cię naprawdę zboleć...*

Tomek obejrzał kopertę pod światło. Oprócz zapisanych kartek znalazł w niej coś mniejszego, sztywniejszego – jakby zdjęcie. Wyglądała na mocno zaklejoną. Ten, dla którego była przeznaczona, nie rozdarł jej w pośpiechu ani nie przeciął brzegów nożyczkami. Pewnie otworzył ją nad parą, a potem zakleił znowu. Jeżeli miał zwyczaj owijać butelki folią bąbelkową...

Tomek nastawił czajnik.

Może nawet by tego nie zrobił, gdyby nie ten intrygujący prostokąt.

Zdjęcie go nie zawiodło. Przeciwnie – zaskoczyło śmiałością. Nie było na nim nic więcej, oprócz bioder i ud – zgrabnych, szczupłych ud młodej kobiety, stojącej swobodnie chyba metr od aparatu. Uda

były w dżinsach, mały fragment nagiej talii ucinająca górna granica kadru.

W tle – jasna, pusta przestrzeń.

Obiektywnie rzecz biorąc – niewinne.

Erotyzm tego zdjęcia tkwił w jego ukrytym znaczeniu. W tym, że wypadło z koperty, że było dla kogoś. W intymności między tymi dwojgiem.

Czy warto, czy wolno było tę ich intymność naruszać? Tylko po to, żeby się dowiedzieć?

Tomek przeleciał wzrokiem początek listu.

Kochany... a potem pierwsze zdanie. To było tak, jakby nagle usłyszał krzyk.

Odłożył zapisane strony. Znalazł na biurku metalowy spinacz. Przyczepił zdjęcie do słomianej rolety w oknie, w miejscu, na które często padał jego wzrok. Jeszcze raz obejrzał oba wina. Wybrał Justice – przez nazwę, w tym kontekście przekornie dwuznaczną. Otworzył butelkę. Włączył płytę grupy Kronos. Napełnił kieliszek. Przez chwilę bawił się nim, patrząc, jak trunek pod wpływem światła zmienia odcień. Tak, tamten sen był kolorowy. Wypił łyk wina. Ułożył się wygodnie w fotelu.

Zaczął czytać list.

CZĘŚĆ PIERWSZA
PIERWSZY PLAN

Rozdział I

Skoszona trawa pachniała chyba jeszcze intensywniej niż rozłożysty krzak jaśminu, za którym się schowali. Drobną, bosą stopą bawiła się wilgotnymi, ściętymi źdźbłami, zakopując się w nich, jakby były ciepłym piaskiem. Znieruchomiła, gdy Tomek zatrzymał na niej wzrok, a kiedy znowu zaczął mówić, wróciła do swojego trawiastego tunelu. Tomek opowiadał, skąd się wziął w Polsce – dlaczego rzuciła go Dominique. Wśród sielskiego brzęczenia owadów, śpiewu ptaków, w tym szczególnym świetle padających już prawie poziomo promieni słonecznych, które tak uwydatnia kolory, snuł smutną i pełną uroku opowieść. O tym, jak w pewnym momencie zrozumiał, że nie dotrzyma jej kroku, o jej potrzebie wolności i intensywnych doznań, której nie potrafił sprostać, której nie miał przecież prawa w niej tłumić.

Miał wrażenie, że właścicielka drobnej stopy słucha go z prawdziwą przyjemnością, chociaż nie wierzy w ani jedno słowo. Cóż, zawsze cenił jej inteligencję. Postanowił powoli zmienić temat. Szkoda – jemu też było dobrze.

To był naprawdę miły początek samotnych, pracowitych wakacji: długi piątkowy wieczór spędzony z właścicielką drobnych stóp. Jeszcze swojsko bliską, już atrakcyjnie obcą – dawną przyjaciółką, kobietą delikatną i trochę nieśmiałą. Tomek cieszył się, że właśnie ją umiał bez trudu odnaleźć. Wymyślił kolację na trawie, bo w jego

domu było brudno, a w pubach gorąco i tłoczno. Wzruszył się przez chwilę wciąż dziecinną kruchością jej zbyt chłopięcej figury. Wzbudził rozbawienie, może nawet uznanie, rozkładając pod krzakiem jaśminu wąski pled, wydając z torby aż cztery szklane kieliszki, stosowne dla obu odmian białego i czerwonego trunku – chociaż marka wina nie została rozpoznana. Rozpakował tajlandzkie przekąski. Potem już tylko dbał, by jej kieliszek był pełny, i mówił, oswajając ze swoim spojrzeniem płochliwą stopę.

Gadał, gadał i gadał. Bardziej intymny kontakt w ich przypadku nie wchodził w grę. Ona zawsze umiała i lubiła słuchać. A jemu właśnie tego było dziś potrzeba – rozmowy.

Bo Tomek miał pewien pomysł. Można by nawet powiedzieć: pomysł na życie, gdyby nie brzmiało to tak koszmarnie zobowiązująco. Nie lubił witać swoich dobrych pomysłów w samotności. Potrzebował powiernika.

– Słuchaj, nie jesteś już głodna? Spróbuj jeszcze tego. A ja ci coś opowiem. Ponad miesiąc temu znalazłem stary list. Sprzed piętnastu lat.

– Do ciebie?

– Nie. Do kogoś, kogo nie znam.

– To jak go znalazłeś?

Do ich pledu podbiegł wesoły młody spaniel. Tomek mógł błyskawicznie przemyśleć odpowiedź, karmiąc go resztkami tajlandzkich przekąsek. *W książce z biblioteki. W wynajętym samochodzie. Na stoliku kawiarnianym...* Nie. Przypuśćmy, że będzie chciała mu w czymś pomóc. Tak ładnie się teraz śmieje z tego spaniela. Dowie się więcej.

Zdecydował się na względną szczerść. Opowiedział dość zabawnie o zdarzeniu na lotnisku, o walizce, która mogłaby należeć do każdego. O zdjęciu i o liście.

– ...ja byłem pod wrażeniem. A co dopiero ten, co go wtedy dostał. Nie wiem, jak ona to zrobiła, ale ten list... – Tomek uśmiechnął się, biorąc w nawias egzaltowane słowa – ...miał w sobie siłę. Chociaż można to też odczytać jak zapiski histeryczki. Trudno wyczuć.

Właścicielka drobnych stóp też się uśmiechała, ale inaczej. Nie do Tomka, do wróbli albo do swoich myśli.

– Wiesz, może to się zdarza każdej kobiecie... popełnić kiedyś w życiu taki list, który według niej przeniesie górę. A to, co się wokół tamtej dziewczyny wtedy działo.

– Czekaj. Trafiłaś. Powiedziałaś: „każdej kobiecie”? Utożsamiasz się i tak dalej? Nawet ty.

– Co: „nawet ja”? Nie rozumiem.

– Nie, nic, bardzo dobrze. Właśnie o to chodzi.

Wyjął z torby kolorowy magazyn. Jeden z pięciu najpopularniejszych kolorowych magazynów w kraju.

– Przeczytaj stopkę. Wiedziałaś?

– Chodzi ci o to, że Anka jest naczelną? Jasne, że wiedziałam. Tomek, daj spokój. Każdy o tym wie.

– Ja nie wiedziałem. Nie było mnie tu sześć lat. A pisma kobiece czytam od miesiąca.

– Od znalezienia listu?

– Od znalezienia listu.

Zadrzała lekko. Podał jej sweter i otworzył następne wino.

– Za moją nową pracę. Już nie pytasz?

– Przecież sam opowiesz. Przerwałeś po to, żebym zapytała.

Kokieteria, czy wręcz przeciwnie? Nieważne.

– Słuchaj, to prawda, że przyjechałem po stabilizację. Ale to, co znalazłem, praca w szkole... psycholog w podstawówce... Co z tego, że prywatna, dwujęzyczna i dobrze płacą. To jest dobre, tak jak już było, na rok. Albo jako podstawa, punkt zaczepienia. Chcę się stopniowo przetrząść na coś innego. Na przykład media. Zaczę od Anki. Nie jestem takim chamem, żeby do niej przyjść z pustymi rękami. Zrobię taki reportaż... pseudoreportaż... mniejsza o nazwę. Znajdę tę kobietę, która napisała list. Zestawię dwa obrazy. Pierwszy: ona wtedy. Piętnaście lat temu. Do tego list – taki list – będzie świetną podstawą, jeszcze z tym zdjęciem. Drugi: ona teraz. Z mężem – pewnie zupełnie innym niż ten facet od listu, pracą, dziećmi, rybkami, chomikiem, czy co tam zresztą zastanę. Opowie mi o wszystkim. Ludzie to uwielbiają. Uwielbiają myśleć, jak by było fajnie, gdyby nie to paskudne życie. Co poświęcili, z czego zrezygnowali...

– A czemu zakładasz, że z czegoś zrezygnowała? Może właśnie odwrotnie?

– To jeszcze lepiej. Ale nie sądzę.

– I ty myślisz, że ona się zgodzi?

– Pewnie, że się zgodzi. Nie wiesz, co ludzie robią dla popularności? Im większy ekshibicjonizm, tym większa popularność. Tekst o niej – jak o aktorce, malarce albo poetce. Będzie dostawała maile od fanów. Przynajmniej kilka na pewno. Dwa obrazy – piętnaście lat temu i teraz. Bez komentarza. A jak numer z nią się uda – będą następne w tym stylu, z innymi kobietami. Coś poważniejszego pewnie potem.

– Nie sądzisz, że to cyniczne?

Szkoda, że już przestała się uśmiechać, nawet ironicznie. Wzruszył ramionami.

– Jasne, że cyniczne. A *Chwila prawdy* czy... nie pamiętam nawet tych tytułów. To nie jest cyniczne? Takie czasy. To się podoba, to się sprzedaje.

– A... przypadkiem nie jest nudne?

– Już ja to napiszę tak, że nie będzie nudne.

Milczała.

Tomek mówił dalej.

Owinęła zmarzniętą stopę w ciepły pled. Bawiła się w zamyśleniu ładnym starym korkociągiem o nietypowym kształcie. Pewnie kupił go na pchlim targu w Paryżu.

Szkoda, szkoda, szkoda.

Kiedyś umiał robić świetne rzeczy ze słowami. Wtedy, kiedy razem studiowali. Tylko dla zabawy, dla ich małej grupki. To się naprawdę chciało czytać. A teraz tylko po to, żeby coś obnażyć, wykorzystać działanie głupich instynktów. Nie po to, żeby pokazać piękno albo zdemaskować zło... albo coś komuś dać. Tylko tak.

Czy jest w tym jakieś rozgoryczenie? Stracił coś, przestał w coś wierzyć?

Ciekawe, czy widać jej myśli. Głupio by było, naiwne takie są.

Jak on się uprze, na pewno mu się uda. To też się będzie chciało czytać.

Postanowiła włożyć but.

Pod krzakiem jaśminu, który w ciemności zyskał zupełnie nowy urok, odwiedziła ich straż miejska. Zdarzenie rozładowało nieco napiętą atmosferę. Tomek z dużym wdziękiem udawał Francuza. Przyjaznego władzy, rozmownego, gotowego do współpracy obywatela, który nie jest w stanie zrozumieć ani słowa, ale swojej milczącej partnerki nagabywać nie pozwoli. Strażnicy odeszli rozbawieni. Chyba najbardziej kieliszkami.

Zaimprovizował swój mały teatr po to, żeby przerwać jej milczenie, za którym coś się kryło. Udało się, ale nie do końca. Nie śmiał już wrócić do szczegółów swojego planu. Nie czuł przyzwolenia. Nie było atmosfery wspólnego kumpelskiego knucia, snucia pełnej polotu intrygi, robienia jaj – tego, na co wcześniej liczył. Może to dobrze, bo przypomniał sobie, że on też powinien pytać. Nie chciał być egocentrykiem. Odprowadzając ją do domu, zmuszał się do słuchania powściągliwych, technicznych relacji z kilku ostatnich lat. Zawsze była skryta. Lubił ją za to.

– To co, widzimy się niedługo?

Stali już pod jej drzwiami.

– Tomek, wyjeżdżam za granicę. Te wszystkie międzynarodowe uprawnienia były po coś, jest praca dla psychologów akurat z taką specjalizacją. Spróbuję. Ale... nie chcę jeszcze o tym mówić. Napiszę ci maila, jak się uda.

– Zabrzmiało tak, jakbyś jechała do Iraku.

– Nie do Iraku.

Zaprzeczyła poważnie, a przecież to miał być żart. Tomek nie dał się sprowokować.

– Powodzenia.

– Ja nie wiem, czy życzyć ci powodzenia. Chyba nie bardzo mi się ten twój plan podoba.

Pocałował ją krótko, szybko, w kącik poważnych ust, trochę zbyt zniechęcająco, jak na pożegnanie. Ale tylko trochę.

– Zobaczysz, czy nie bardzo, jak napiszę.

Poczuł lekki smak sosu imbirowego. Tak, mimo wszystko – bardzo miły początek wakacji. Zatrzymała go jeszcze przy furtce.

– Tomek...

– Tak?

– A skąd weźmiesz jej adres?

– Jak to skąd? Od tego gnojka, który ukradł mi walizkę.

Myślał jeszcze o tym wszystkim przed zaśnięciem. O tym, czy rzeczywiście miała granatowy biustonosz. Czy świadomie podkreśliła mu przy pożegnaniu ten kontrast – między jej dumną tajemnicą a jego pomysłem na życie. Czy w ogóle go podkreśliła, czy tylko tak mu się wydawało. Czy oprócz imbiru i wina czuł jej kredkę do ust.

Czy jutro wieczorem iść do kina, czy do mężczyzny, który uciekł mu na lotnisku.

W kinach nie było chyba nic nowego.

Latarnie uliczne oświetlały słomiany azur okiennej rolety tak, że zdjęcie, które Tomek przyczepił do niej przed pięcioma tygodniami, było jedynym fragmentem mroku. Na dalszych płaszczyznach pokoju powstawał przez to ciekawy układ cieni.

Tak, pierwsze podejście jutro. Dystans właścicielki drobnych stóp sprowokował go tylko. Tomek był już przygotowany. Miał zarys

swojego tekstu w głowie. Brakowało mu jeszcze tej, która napisała list. Mimo tego, że miała nietypowe nazwisko, w internecie nie udało się jej znaleźć. Kiedy – na wszelki wypadek – łączył jej imię z nazwiskiem adresata, komputer pokazał tylko kilka kolorowych nastolatek na facebooku. Może to dobrze. Nadmiar imienniczek w tym przypadku mógłby być problemem.

Z mężczyzną poszło mu o wiele łatwiej. Na kopercie sprzed piętnastu lat był przecież adres. W książce telefonicznej na 2009 rok pod tym samym adresem było to samo nazwisko. Warszawa, Saska Kępa. Tomek już dawno oglądnął sobie to miejsce z okien samochodu. Niezbyt stary, niezbyt nowy, solidny, niewielki dom przy cichej, bocznej ulicy. Winne pnącza wzdłuż bocznych ścian. Mały, zaniedbany ogród z trzema jodełkami i krzakami róż. Zardzewiała huśtawka, którą już dawno ktoś powinien rozmontować. Wysoki płot obrośnięty bluszczem. Jeżeli takie miejsca się porzuca, to nie całkiem. Nawet Tomek miał gdzieś stałe zameldowanie. A facet przyleciał przecież do Warszawy. Wystarczyło trafić na właściwy moment.

A potem... To znaczy jutro... To może być bardziej zajmujące niż kino.

Trzeba mu opowiedzieć, jakie to było trudne. Te wszystkie formalności na lotnisku... bezradne rozłożenie rąk młodzieńca za kontuarem... ogłoszenia w prasie... może lepiej delikatniej: w hali przylotów; miesiąc wahania, czy to tak można. Czy można tak po prostu grzebać w cudzej walizce. Decyzja o przeszukaniu bagażu, podjęta poprzedniego dnia. Ogromna wartość emocjonalna przedmiotów, które Tomek przez ten niefortunny przypadek stracił.

Okazać delikatny wyrzut, wielką ulgę, radość, brak żalu. Pobratać się nad butelką whisky. Jak najmocniej.

– Tak przy okazji: czy pan wie (zdajesz sobie sprawę, stary) jaki świat jest mały? Zna pan tę teorię o sześciu stopniach (no wiesz, tę, według której sześć telefonów i możemy się umówić z Angeliną Jolie)? Mamy chyba wspólną znajomą. Ta pani, która do pana wtedy napisała (ta kobieta, którą znalazłem pod twoją podszewką, wtedy, piętnaście lat temu, w Saint Denis), zaprzyjaźniła się z moją żoną (pomogła w jednej sprawie mojej byłej). Właściwie miło by było, gdybym miał na nią jakiś zamiar, bo...

Bawił się tak jeszcze przez chwilę, splatając coraz bardziej monotonne żarty z równym oddechem. Może nawet rzeczywiście to wszystko byłoby dla niego śmieszne, gdyby nie to, że od pewnego czasu jego męczące sny były wariacją na motywach listu.

Tomek poprosił taksówkarza, żeby wysadził go na początku ulicy. Nie brał samochodu – miał przy sobie butelkę Jacka Danielsa. Zawartość czarnej walizki została odtworzona tak starannie, jak to było możliwe. Folia bąbelkowa chroniła wprawdzie wina pośledniejszej marki, ale to człowiek z lotniska miał zauważyć już po wszystkim. Zaklejona koperta spoczywała w rozprutej kieszeni.

Była sobota wieczór, wpół do dziewiątej – Tomek zakładał, że może nikogo nie zastać, że będzie musiał przespacerować się do najbliższej knajpki. Strój dobrał tak, żeby tym razem nikogo nie sponaszyć – lniana marynarka, koszula z kołnierzykiem. Buty inne niż zwykle. Stonowana, budząca zaufanie, nudna, swobodna elegancja.

W oknach posesji pod numerem czternastym paliło się światło.

Furtka była otwarta. Kółka czarnej walizki zaskrzypiały na zwirowej ścieżce. Pod drzwiami zatrzymał się na kilka sekund, udając, że czyta nazwisko pod przyciskiem dzwonka. Nie usłyszał rozmów, muzyki, telewizora – żadnych odgłosów, które mogłyby sugerować, że przyszedł w niewłaściwym momencie. Zadzwoił krótko, delikatnie.

Mężczyzna, który mu otworzył, nie mógł chyba być człowiekiem z lotniska. Był zbyt charakterystyczny. Tomek musiałby go zapamiętać. Niski, szczupły i drobny; około sześćdziesiątki. Wianuszek siwych kosmyków, rzadkich i rozczochranych, okalał świecąca łysinę. Ostre rysy, chuda szyja, zbyt duży sweter – pierwsze skojarzenie: ptak. Sęp, ale taki z kreskówki dla dzieci. Nie okazał zdziwienia. Otworzył drzwi szeroko, ale w nich pozostał. Przyglądał się z zainteresowaniem uśmiechniętej twarzy Tomka.

– Pan do mnie?

– Dobry wieczór. Czy zastałem pana Janusza Zalipskiego?

Sęp milczał przez moment. Wystające jabłko Adama przebiegło w górę i w dół po chudej szyi.

– Nie.

– Ale to jego dom?

– Tak.

– A mógłbym się dowiedzieć, kiedy go można zastać? Mam taką sprawę...

– Nie.

Boże, co za trudny człowiek. Może na jakichś prochach. Oczy błyszczały mu niezdrowo. Ale jednocześnie nie wykonał żadnego gestu, który zapowiadałby koniec rozmowy. Przeciwnie – odsunął

się trochę. Czekał, milczał, patrzył w twarz. Jakby podjął z Tomkiem jakąś grę. W dziesięć pytań.

– Zamieniłem z kimś niedawno bagaże na lotnisku, przez nieuwagę. Odnalazłem właściciela: to właśnie pan Zalipski. Zależy mi na tym, żeby mu to oddać.

Mężczyzna bez zainteresowania spojrzął na walizkę. Uśmiechnął się jakby sardonicznie. Wciąż milczał.

– Czy mógłby mi pan w takim razie powiedzieć, gdzie pan Janusz Zalipski aktualnie przebywa?

Wreszcie padły jakieś zdania. Powolne, ciężkie, ale jednak:

– Wie pan, nie jestem pewien. Chociaż może powinienem być. Nie jestem pewien, bo są aż dwie możliwości. Nie, przepraszam, nawet trzy. O tej trzeciej łatwo zapomnieć. Jest po drodze.

Tomek już czekał z otwartym notesem i długopisem w ręku.

– Czy można prosić o wszystkie trzy adresy?

Sęp krótko, gwałtownie zamachał rękami. Jakby zrywał się do lotu.

– Dość. Już dość. Niech pan to odłoży. Proszę wejść. Tu, po prawej. Butami niech się pan nie przejmuje. Proszę usiąść. Janusz Zalipski to mój syn. Ale nie mógł pan zamienić z nim walizek. Umarł piętnaście lat temu.

To było głupie, bardzo głupie. Powinien powiedzieć swoje i zamknąć drzwi, a nie zapraszać tego obcego, jak gościa, do pokoju, nie pokazywać mu fotela. Nie chciał przecież po raz kolejny oglądać tego specjalnego, sztucznego, pełnego dobrej woli, skrępowanego wyrazu twarzy, który wszyscy przybierają po tamtym zdaniu.

A przecież nawet nie przerwał, mówił dalej. Po to tylko, żeby jeszcze przez chwilę zatrzymać przy sobie chłopaka, który jakoś się w tym wszystkim pogubił. Pokazać mu, że teraz w sumie nic się nie stało. Zadać kilka pytań. Upewnić się – niepotrzebnie – że w tym wszystkim nie ma nic, że to tylko durny zbieg okoliczności.

No bo co też mogłoby w tym być? Ktoś pomylił nazwiska. Albo przypiął ten adres do innego Zalipskiego. W Warszawie są chyba tylko oni, ale pod Wrocławiem to już kilku, nawet rodzina. Coś komuś źle w komputerze przeskoczyło.

Tymczasem chłopak przysiadł na brzegu głębokiego fotela, obejmując czarną walizkę kolanami. Gdzieś znikła ta cała jego ugrzecznioma pewność siebie. Patrzył tak, jakby miał problem. Jakby w tym wszystkim było coś trudnego do pojęcia. Jakby nad tym właśnie intensywnie myślał. Słuchał.

– Był wtedy na drugim roku studiów, na romanistyce. Tutaj, na UW. Ma pan szczęście, że nie trafił pan na moją żonę. Poszła do koleżanki. Ona to by się może jeszcze przejęła, bo po takim czasie... nagle. Ale ja przywykłem. Zaraz potem zaproszenia jakież przychodziły, upomnienia, wezwania. To normalne. To jego dom, jego adres. Jeszcze tylko: skąd pan to wziął, że to jego walizka?

Chłopak już dochodził do siebie. Czas najwyższy. Przecież to nie jego brat.

– Przepraszam. Oczywiście. Zaraz panu wszystko po kolei opowiem. Tylko... miałem dzisiaj taki ciężki dzień. Cały czas w ruchu. Czy byłby pan tak miły, mógłbym prosić o filiżankę kawy albo herbaty?

Nie chciał być aż tak miły. Prawdę mówiąc, nie chciał być miły w ogóle. Ale już się stało. Coś się w nim obudziło. Uśpi to może

małymi, okrągłymi tabletkami – ale później. Teraz musiał posłuchać chłopaka. Przesadnie szurając kapciami, poczłapał do kuchni fałszywym krokiem starca.

Tomek miał dylemat. Dylemat, niestety – to właśnie to słowo – moralny, który musiał rozwiązać w ciągu kilkudziesięciu sekund.

List. Jeżeli ukryje istnienie listu i opowie jedną z kilkunastu całkiem sensownych bajeczek, które już zdążyły mu przyjść do głowy (*nazwisko na taśmie na bagaż, starte dopiero potem; identyfikator z konferencji, recepta w kieszeni, cokolwiek – plus adres z książki telefonicznej – efekt – nie ten Zalipski*), zostawi tego człowieka w spokoju. Zostawi tego człowieka w spokoju i straci – być może raz na zawsze – jedyną szansę zdobycia jakiegoś śladu tamtej kobiety. Inne metody nie były dla niego. Nie był detektywem ani policjantem, nie znał ich. Chciał być tylko reporterem. I to takim, który się za bardzo nie przemęcza. Cały jego plan weźmie w łeb.

Jeżeli opowie o liście, będzie zupełnie inaczej. Sęp będzie musiał mówić o niej. Tłumaczyć, wyjaśniać, reagować. Jeśli tylko coś wie. Ale Sęp nie wyjdzie z tego bez ran. Pytanie, jak głębokich. Taki list do zmarłego syna... O ile to wszystko prawda.

Kurwa.

Usłyszał człapiące kroki mężczyzny.

Opadł głębiej na fotel, udając, że ogląda pokój. Surowe, proste wnętrze. Żadnych zdjęć, bibelotów. Dużo roślin i książek. Brzydkie politurowane meble.

– Tu jest pana kawa. Mleko żona gdzieś schowała, nie znalazłem. Nie używam.

– Dziękuję. Od kilku godzin o takiej marzyłem.

– To trzeba było sobie... ale co ja... Miał pan opowiedzieć. Ale niech pan pije spokojnie.

– Tak... Leciałem z Paryża do Warszawy. W domu zorientowałem się, że to nie moja walizka. Żeby odnaleźć właściciela, przeszukałem rzeczy. Znalazłem kopertę z nazwiskiem „Janusz Zalipski” i takim właśnie adresem odbiorcy. Na pieczętce pocztowej była data z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Nadawca...

– Otworzył ją pan?

– Nie musiałem. Była otwarta. I pusta. Całkiem pusta w środku.

Może ten człowiek nie zauważył, że on powiedział to jakby... wbrew. Wbrew zamiarowi, który był już prawie decyzją. Wbrew temu, co padło sekundę wcześniej. Może weźmie zdecydowany ton za bunt przeciwko podejrzeniu, że otworzył.

– Koperta? Całkiem pusta w środku?

– Koperta. Całkiem pusta w środku. Nadawcą...

– Właśnie ten adres? Nie pan sam go znalazł?

– Właśnie ten. Nazwisko nadawcy: Sandra Arsztrejer. Czy to panu coś mówi?

– Pewnie, że mówi. Ale niech mi ją pan pokaże. Tę kopertę. Walizkę też.

To było do przewidzenia. Zaangażowanie mężczyzny – pełne energii, dziwne, jakby dziecięce – raczej nie.

– Nie wiem, czy mamy prawo... teraz, kiedy już wiemy, że ta walizka nie może należeć do pana Zalipskiego... może raczej nadawca...

– Prawem mnie pan nie zagnie. List wysłano do niego, tak? Więc koperta jest jego. Jego, a teraz moja. Niech pan pokaże.

Konieczna była improwizacja. Nawet najzwyczajsza, byle skuteczna.

– No dobrze. Ale ja już tak długo tu jestem, a nawet się panu nie przedstawiłem... Tomasz Dybruk. – Podniósł się z fotela, odebrał pospieszny, nieuważny uścisk ręki. Stał między czarną walizką a zatrzymanym w pół kroku mężczyzną.

– Jeżeli się pan nie pogniewa... proszę, chciałbym to panu dać. – Wyjął z kieszeni płaską butelkę whisky, wsunął ją w chudą, niezdecydowaną dłoń. – Miałem to wypić na zgodę (*z pana synem*) z właścicielem bagażu. Oczywiście nie musimy, jeżeli nie ma pan ochoty, chociaż z jednego małego drinka bardzo bym się ucieszył, z wodą i z lodem. Wie pan – wstydlivy, porozumiewawczy uśmiech – w sobotę, o tej porze...

Sęp nie umiał powstrzymać prychnięcia, wzruszenia ramion. Zaraz potem jakby się zawstydził.

Tomek wrócił już na swoje dawne miejsce, znów obejmował walizkę kolanami. Pochylony w przód, w towarzyskiej gotowości do rozmowy, opierał się o czarny, pełen zamków bok kufra obiema dłońmi. Sęp stał przed nim niezdecydowany. Można by pomyśleć, że porównuje siły. Miał w ręku szklaną butelkę...

Kiedy Tomek uświadomił sobie, jak szalone warianty zaczął brać pod uwagę, mężczyzna szedł już do kuchni. Teraz potrzebna była tylko zręczność.

Rozsunął jeden z zamków błyskawicznych walizki. Spod płóciennej pokrywy wyszarpnął górną część szarej marynarki. Odnalazł w podszewce prawą, wewnętrzną kieszeń. Wyciągnął z niej

kopertę. Rozerwał bok piętnastoletniej osłony jednym ostrym ruchem. Prawą ręką schował plik uwolnionych kartek w swojej wewnętrznej kieszeni, lewą wsadził pustą już kopertę pomiędzy warstwy szarej wełny. Papierowy strzęp z podłogi zdążył zaledwie wcisnąć do buta. Kilka metrów dalej słyszał już grzechot kostek lodu.

Spocił się przy tym cały.

Zdjęcie! Nie, było chyba razem z kartkami. Zapomniał o nim, ale miał szczęście. Poczuł, że po tym odkryciu zadrżały mu nogi. Zabawne.

– Ta koperta... właśnie jej szukam. Była gdzieś tutaj.

O, jest. Proszę.

Mężczyzna postawił przed Tomkiem niską szklanę. Nie przyniósł dla siebie drugiej. Z butelki ubyła co najmniej setka. Chwycił kopertę. Wpatrując się w nią, usiadł na krześle. Mruczając coś pod nosem, dziwnie przebierał palcami. Tomek skojarzył to, przez moment, dość absurdalnie, z jakąś nieznaną modlitwą. Tymczasem Sęp liczył. Najwyraźniej liczył dni. Sprawdził na kostkach chudych rąk, dawnym sposobem, długość jednego z miesięcy. Dodał do czegoś liczbę, zaznaczoną zgiętymi palcami.

– Nie wiadomo, czy zdążył dojść. Trudno powiedzieć.

Dla Tomka było jasne, przed czym list miał zdążyć. Na razie nie chciał o nic pytać.

– Niech pan już da tę walizkę.

Sęp poczynął sobie z pedantycznym pakietem podróznym jeszcze śmieiej niż Tomek miesiąc temu. Wywalał kieszenie na drugą stronę, rozrzucał ubrania po zakurzonej podłodze. Wytrzepał książki

kartkami w dół, potrząsając rozpostartymi okładkami. Wysypał na stół zawartość kosmetyczki. Wina go nie zainteresowały.

– To wszystko nie ma kompletnie nic wspólnego z Januszem.

– Oczywiście, jak mogłoby mieć, skoro...

Tomek przerwał. Mężczyzna nie zwracał na niego uwagi. Nie patrząc nawet w stronę gościa, sięgnął po Jacka Danielsa. Napił się prosto z butelki, odstawił ją bez skrzywienia.

– Nie potrzebuję dziś brać lekarstw – powiedział tak, jakby to wszystko wyjaśniało.

Świetnie. Gdyby nie to, że z Tomkiem już najwyraźniej skończył. Był sam ze swoimi myślami. Tak się to chyba nazywa. Posprzątać, przeprosić i wyjść – jedyne normalne zachowanie w tej sytuacji.

– Możemy to już chyba złożyć... pewnie za chwilę wróci pańska żona.

Sęp przytaknął. Patrzył spokojnie, jak Tomek zbiera koszule z podłogi. Nawet pomógł – zgarnął plastikowe buteleczki ze stolika, zamknął kosmetyczkę. Nieuważnie, od niechcienia, żeby szybciej pozbyć się problemu.

– Czy nie domyśla się pan, co mogło być w tej kopercie?

– Nie, to akurat nie, ja chyba wiem.

Zabrzmiało to jak: *nie twoja sprawa*.

– Nie sądzi pan, że nadawca – ta osoba – mogłaby nam coś w tej sprawie wyjaśnić...

– Sandra? Nie, nie sadzę. Gdyby było coś na rzeczy z Arsztrejerami, żona by wiedziała. Nawet gdyby im zginęła walizka. Bo my byliśmy kiedyś bardzo blisko. Jak się sprowadzili do Warszawy, to nawet u nas mieszkali. Dość długo. Przy małym dziecku nie było ich stać, żeby tak od razu coś wynająć. Ależ mają

nazwisko... – zachichotał nagle. – Zawsze miałem ubaw, jak ich komuś przedstawiałem. – Zamilkł.

– Rzeczywiście. Nikt pewnie nie wymawia tamtego pierwszego „er”.

Tomek przyjął, że ten nagły przypływ ożywienia to tylko dobroczynne działanie whisky. Wolał się nad tym nie zastanawiać, przynajmniej teraz. Tak było łatwiej.

– Oni wymawiają. I jeszcze dali dziecku na imię Sandra. Śmieszni są czasem. Ja odradzałem. Potem przywykłem. Ona i Janusz kumplowali się od małego, chociaż on był starszy. Chowali się razem. Ciągle musiałem za nią wołać, to nawet mi zaczęło pasować. To imię.

– To może trzeba by jej powiedzieć o tej kopercie? Może ten list, który zginął...

– E, jaki tam list. Tam nie było pewnie żadnego listu. To była kartka. Mała nie zdała wtedy na studia, pojechała do roboty, do Francji, na rok. Wszystkim przysyłała takie z wieżą Eiffla. Ja też dostałem. Może w kopercie, nie pamiętam. Potem znów gdzieś ją nosiło po świecie. Małą. Nie to, co starzy Arsztrejerowie – jak się od nas wyprowadzili, to tylko na koniec ulicy. Już pan spakował?

– Tak.

Tomek dopił swojego drinka. Miłe ciepło triumfu spłynęło razem z whisky.

– Ale to u mnie zostaje. – Sęp zakrył dłonią kopertę. – I to też – zwinnym, pewnym ruchem zdarł banderolę lotu, oklejoną wokół rączki walizki. – Panu to niepotrzebne. A mnie się może przydać. Proszę – dodał po chwili.

Banderola była już gdzieś blisko jego ciała. W głębokiej kieszeni spodni.

– Zostawię sobie na pamiątkę. Pokażę żonie.

Zarumienione policzki Sępa podkreślała biel siwych kosmyków. Szare oczy patrzyły znów jak oczy dziecka – prosząco i jednocześnie bezczelnie.

– Jak panu zależy... jakoś sobie poradzę.

Tomek majstrował jeszcze przy domkniętych zamkach. Pracował nad wyrazem twarzy.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak to się stało – z pana synem? W tak młodym wieku...

– Wie pan, nie lubię. Wiem, że ludzie lubią słuchać. Może innym razem.

Jeżeli chciał go wkurzyć – wykurzyć – wyszło świetnie. Tomek nie odezwał się aż do drzwi.

– Dobranoc. Dobrze, że pan przyszedł. Powodzenia z tą pana walizką.

– Do widzenia. Przepraszam.

Sęp tylko skinął głową w zbyt głębokim, ptasim ukłonie chudej szyi.

Jeżeli takie miejsca się porzuca, to nie całkiem...

Tomek przysiadł na niskim murku po drugiej stronie ulicy. Naprzeciw posesji pod numerem czternastym. Dopalał papierosa. Dopiero teraz spróbował zobaczyć to wszystko z pewnej odległości. Jak ten dom. Już bez powiększania, bez ogniskowej w głowie, bez ustawiania obiektywu na namiary Sandry.

Kumplowali się od małego...

List zyskał chyba trochę inny wymiar. Może nowe znaczenie. Tak jak ta huśtawka w rogu ogrodu. Znad porośniętego bluszczem płotu sterczał teraz tylko jej zardzewiały pałąk

Kim w takim razie był człowiek z lotniska?

Nie wiadomo.

Za mało i za dużo wyobraźni.

Trzeba się będzie zastanowić, jak to jest z tą etyką dziennikarską. Czy w tej sytuacji też wolno. I czy się jeszcze chce. Czy może chce się bardziej. Albo – czy inni tak robią.

Oczywiście tylko przy założeniu, że to wszystko prawda. Przecież podobno wszyscy kłamią. Albo w kłamstwa wierzą. Może Sęp też. Rzecz trzeba sprawdzić za pomocą innych narzędzi. Za wcześnie na etykę.

Wróćmy zatem do namiarów Sandry.

Tomek zeskoczył z murku. *Jak się od nas wyprowadzili, to tylko na koniec ulicy...* Sęp miał bogatą gestykulację. Wskazał nawet, pewnie podświadomie, właściwy kierunek. Trzeba było tylko odtworzyć układ pokoju. I liczyć na to, że nie jest dyslektykiem.

Pewnie mniej niż jedna trzecia niezbyt nowych, niezbyt starych domów z niewielkimi ogródkami miała przy furtkach tabliczki z nazwiskami ich mieszkańców. Ponad połowa miała natomiast własne skrzynki na listy. Za sprawą pewnej akcji reklamowej z prawie wszystkich skrzynek wystawały języki zbyt długich, kolorowych kopert. Na kopertach były nalepki adresowe. Tomek chciał sprawdzić cztery, może sześć albo osiem... koniec ulicy to dość pojemne określenie. Na tę właściwą natrafił już przy drugiej próbie. Zapamiętał numer i skręcił w stronę szumu samochodów.

Tego wieczoru miał już dosyć gry na żywo. Poszedł złapać taksówkę.

Razem z grubym pękiem kluczy kobieta wyjęła z torebki długą, czarną wsuwkę do włosów. Wsuwka była giętka i sprężysta w miejscu, w którym metalowy pręcik się załamywał, lekko spłaszczona i mocno zaciśnięta tam, gdzie miała utrzymać uchwyt. Drobiazg w dobrym gatunku, niezawodny od lat. Można nią było upiąć kok, dyskretnie przypiąć kapelusz, bezszelestnie i szybko zwiesić w dół metalowy łańcuch, blokujący otwarte już drzwi.

Tym razem wsuwka nie była potrzebna. Ani wsuwka, ani klucz.

Kobieta zrzuciła buty na obcasach, przekreśliła rajstopy tak, żeby nie było widać paskudnej dziury na dużym palcu lewej stopy. Sprawdziła, czy zakiet ukrywa guzik od spódnicy, który musiała rozpiąć już w taksówce. Za dużo serowych ciasteczek.

– No, to ja już jestem, jestem – zawołała śpiewnie. – Trochę później. Miałeś gościa?

Spodziewała się, że mąż przysypia nad książką. Tymczasem na stole stała opróżniona do połowy butelka. On sam nie kupiłby whisky.

– A co, spotkałaś go może po drodze?

– Nie, wracałam taksówką.

Uśmiechnął się do niej nieśmiało.

– Wpadł dawny aplikant. Jest w Warszawie przejazdem, zrobił mi niespodziankę. Młody chłopak, lubi wypić. Pogadaliśmy. Miło było.

– To fajnie. A lekarstwa?

Machnął ręką.

– Świetnie się czuję.

Rzeczywiście, dobrze wyglądał. Rumieńce, błysk w oczach. Pewnie dużo lepiej niż ona.

– Zaraz wrócę.

Przypudrowała błyszczące policzki, starła rozmazany tusz, podkreślający zmarszczki pod oczami. Zlizwała z ust nierówno nałożoną szminkę. Za dużo wina, przynajmniej dla niej. To było widać od razu. Spóźniła się prawie dwie godziny. Jak zwykle o nic nie pytał.

Bardzo, bardzo dawno temu za każdym razem słyszał bezszelestną wsuwkę. Potem zaczął traktować żonę jak dziecko, które trzeba rozpieszczać – pozwalać na wszystko, żeby wynagrodzić brak czegoś. Potem – po tym, jak powiedział: *Nie mogłaś mi tego zrobić*. Przepraszał właśnie tak. Wcale nie było jej z tym dobrze. Wciąż nosiła w torebce swoją wsuwkę. Tęskniła czasem za dawnymi scenami zazdrości, które zawsze miło się kończyły. Ale tylko czasem. Miała większe problemy.

Kiedy wróciła do pokoju odświeżona, męża już nie było. Machinalnie pozbierała z podłogi strzępki papieru. Właściwie – czemu nie? Sięgnęła po zapomnianą butelkę whisky.

www.nasza-klasa.pl

Uniwersytet Warszawski – kierunki – str. 94

Nazwa kierunku: Romanistyka 1992–1997, wspomnienie o Januszu Zalipskim

Lista studentów: 1. Adam Abed

Galeria zdjęć: 0; znajomi: 0...

Czym się aktualnie zajmuję:

Proszę każdego, kto zwrócił uwagę na ten wpis: doczytaj do końca. To prawda – nie studiowałem z Wami. Nigdy nie byłem na romanistyce. Ale to nie jest wygłup.

Dowiedziałem się właśnie od jednego człowieka, że podobno nie żyje Janusz Zalipski (!). Mówią, że umarł piętnaście lat temu – na wiosnę 1994 (!?). Byłby wtedy, jeżeli dobrze obliczyłem, na drugim roku. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, zdawał właśnie na romanistykę.

Może ktoś z Was coś wie? Czy to prawda? Co się stało? Wypadek, choroba, o której nikt nie miał pojęcia? A może to tylko jakaś koszmarna pomyłka? Proszę, napiszcie coś.

Nigdy nie znałem dobrze jego rodziny, zresztą w tej sytuacji boję się zapytać. Nie jestem z Warszawy. Nie mam kontaktu z ludźmi z jego szkoły – łączyły nas inne sprawy. Nie będę tutaj opisywał – ktoś, kto go znał, pewnie dobrze wie, o co mi chodzi.

Gdybyście się dziwili, skąd ta ciekawość po tylu latach: po maturze wyjechałem z Polski. Teraz wróciłem i szukam dawnych znajomych. Żle się zaczęło.

Proszę, piszcie do mnie tutaj albo na: adamabed@gmail.com.

PS Dzięki niemu poznałem moją pierwszą dziewczynę.

Dziękuję wszystkim.

Pozdrawiam.

Tomek uznał, że tak może być. Wcisnął enter.

Narzędzie, które wybrał, żeby poznać historię syna Sępa, okazało się nieco bardziej skomplikowane w obsłudze, niż się spodziewał. Portal www.nasza-klasa.pl, ze swoimi jedenastoma milionami użytkowników, miał oczywiście miejsce, w którym szukali się

nawzajem dawni studenci romanistyki. Było ich sześćdziesięcioro pięcioro, w różnym wieku i różnej płci, w tym dwadzieścioro w tym momencie „aktywnych”, dostępnych w sieci, przyznających się do tego za pomocą małej zielonej ikonki. Jednak żadne z nich nie studiowało dokładnie w tym czasie, który interesował Tomka. Żadne z nich nie mogło być w grupie z chłopakiem, który podobno zszedł z tego świata w 1994.

Portal, dbając o własny rozwój, zachęcał jednak: *Jeżeli nie znalazłeś kierunku, którego szukasz – załóż go!* Więc założył.

Nazwa mogła brzmieć dowolnie. Ta zwracała uwagę na tyle, na ile było trzeba.

W pierwszej wersji Tomek był Anią, a Janusz Zalipski – jej dawną miłością. Jednak po trzecim zdaniu poczuł niesmak. Są granice. Chude dłonie Sępa, liczące dni... Skasował Anię.

Jeżeli to prawda, że po tym portalu błędzi znacznie więcej osób niż tych jedenaście milionów, które postanowiły stracić anonimowość, ktoś może się odezwać.

Wystarczy sprawdzić za kilka dni.

W pokoju Tomka zmienił się układ cieni. Do rolety, zamiast zdjęcia, była teraz przypięta kartka formatu A4, a na niej ksero tej samej fotografii, w tonacji sepia.

Adam Abed – zostałeś zaproszony do listy znajomych.

Treść wiadomości:

Cześć.

Niestety, masz dobre informacje. Janusz Zalipski zginął w 1994 roku. To była spora afera, pewnie jeszcze ktoś się do Ciebie odezwie. Wiesz,

głupio może tak pisać, ale nie żałuj, że kontakt Wam się urwał. Przynajmniej masz dobre wspomnienia o zmarłym. Ja niewiele wiem, nie trzymałam z tamtą grupą, ale ludzie mówili różne rzeczy. To nie był żaden wypadek. No, ja bym tak tego przynajmniej nie nazwała. Bo jak ktoś sięga po narkotyki, to powinien wiedzieć, co mu może grozić. Każda dawka może być zabójcza. On właśnie na taką zabójczą dawkę trafił. Od tego umarł.

Bardzo mi przykro, bo pewnie teraz jesteś w szoku. Pewnie myślisz – dlaczego oni mu nie pomogli, nie podali ręki, nie wskazali drogi. Jak widzisz, ja jestem otwarta, tolerancyjna, pełna zrozumienia dla ludzi. W młodości jeszcze bardziej taka byłam. Ale jemu nie dało się pomóc. Po prostu dlatego, że nikt nie wiedział, że on jest takim narkomanem. Nic nie było po nim widać.

Wprawdzie on i ci jego znajomi zawsze byli dziwni. Odstawali od reszty. Czasem na zajęciach to normalnie można było pomyśleć, że się umówili, że takie rzeczy będą z tekstów wyciągać, żeby spieszyć innych. I ludzie mówili, że czasem w czwórkę mieszkają razem. Trzech chłopaków i dziewczyna. Pili alkohol i palili marihuanę. Ja się wolałam trzymać od nich z dala. Ale żeby przyjmowali narkotyki dożylnie – no nie, z tym to się ukrywali. Nikt nie wiedział.

Współczuję, że się tego teraz dowiadujesz. Na pocieszenie Ci powiem, że miał wzruszający pogrzeb. Spłakałam się cała. Przystojny był z niego chłopak. Szkoda, że tak źle skończył.

PS Zapraszam na moje konto. Otworzyłam je teraz, jak założyłeś ten kierunek. Mam kilka ciekawych zdjęć ze studiów. Niestety, Janusza na nich nie ma.

Pozdrawiam serdecznie Ala

do: adamabed@gmail.com

od: enertv@gmail.com

data: 23 czerwca 2009 23:45

temat: Janusz Zalipski

Prosięś o wiadomość. Nie ma powodu, żebyś nie wiedział. Według mnie Janusz Zalipski przyjął „złoty strzał”. Świadomie popełnił samobójstwo. Na 90% było właśnie tak.

Oceń sam.

Fakty – kolejno:

1. Od stycznia 1994 był sam – jego rodzice wyjechali na pół roku za granicę. Nikt jednak nie sądził, że jest samotny. Z kilkoma osobami z roku tworzyli dość hermetyczną i kontrowersyjną grupę.

2. Miesiąc przed śmiercią zaostrzył kurs. Oni zachowywali granice rozsądku. On już nie. Krążyły pogłoski o depresji.

3. Dwa tygodnie przed śmiercią przestał wychodzić z domu, nikomu nie otwierał drzwi, chociaż był w środku. Próbowałam się tam dostać. Byłam nim zainteresowana od dawna. On mną nie. Myślałam, że tylko mnie nie wpuszcza. Gdyby nie moja ambicja, być może to by się nie stało.

4. Przyczyną śmierci było przedawkowanie heroiny.

Myślałam nad tym, skąd jego załamanie. Wybacz – tym już nie będę się dzielić. To tylko domysły.

do: adamabed@gmail.com

od: fikcyjne15@gmail.com

data: 24 czerwca 2009 20:15

temat: sprostowanie

Witam, od czasu do czasu odwiedzam portal Nasza Klasa. Lubię oglądać moich byłych studentów razem z ich jachtami, samochodami, partnerami, ulubionymi zwierzętami, szacownymi zabytkami w tle. Patrząc na nich, czuję się młodziej niż zwykle.

W ten właśnie sposób trafiłem na Pański wpis.

Z pewnością nie jestem pierwszy. Przeczytał Pan już pewnie niejedno. Sodoma i Gomora, prawda? Być może padło nawet słowo: sekta. Zapewne poznał Pan też teorię o samobójstwie. Zainteresowanych sprawą było wielu. Prawdopodobnie niejeden postanowił się z Panem podzielić swoją wątpliwą wiedzą. Dodam do tego tylko kilka zdań.

Niech Pan w to wszystko nie wierzy.

Janusz Zalipski był normalnym, przeciętnym, dość sympatycznym młodym człowiekiem.

To samo można pewnie powiedzieć o każdym z niewielkiej grupy jego przyjaciół. Być może wyróżniali się nieco stylem życia. Powiedzmy: eksperymentowali. Jednak nie bardziej niż dziesiątki studenckich grup, które dane mi było obserwować w trakcie mojej pracy na uczelni. Dopiero śmierć Janusza zmieniła ich obraz w oczach ludzi.

Jak to się stało, że ja zachowałem dystans? Moja młodość, młodość mojego pokolenia przypadła na koniec lat sześćdziesiątych. Moje granice tolerancji obejmują więcej niż granice tolerancji rówieśników Janusza, ludzi, z którymi stykam się teraz w pracy na co dzień. Ale to mój prywatny problem – nie powinien być tematem tego listu.

Nie sądzę, żeby młody Zalipski mógł popełnić samobójstwo. Niezależnie od tego, jakie miałby powody. Nie był typem neurastenicznym. O ile jestem w stanie oceniać na podstawie naszej dość oficjalnej znajomości – był, wbrew pozorom, zbyt odpowiedzialny, żeby zdecydować się na tego typu krok.

Jedno jest pewne – zbyt wysoka dawka narkotyku we krwi zmarłego. Być może spróbował wtedy po raz pierwszy, nie wiedząc, jak to się robi. Ta wersja jest według mnie najbardziej prawdopodobna.

Pan wybaczy, ale nie podpiszę się pod tym listem imieniem i nazwiskiem. Podobnie jak Pan, wolę pozostać nierozpoznany. Mam nadzieję, że nie będzie mnie Pan szukał na wydziale. To, co rzeczywiście ważne, zostało już powiedziane.

Z poważaniem

Obserwator

Tomek siedział przy komputerze i dość głupawo bawił się zdjęciem. Zeskanował je razem z listem jeszcze przed wyjazdem na Saską Kępę. Teraz, w Photoshopie, podkładał pod delikatny łuk szczupłych ud rozmaite tła. Szczyty górskie, plażę z turkusowymi falami, plataninę tropikalnych kwiatów. Wychodziły mu z tego coraz bardziej kiczowate reklamy džinsów. Co jakiś czas sprawdzał pocztę na swoim fikcyjnym koncie. Wszystkim, którzy napisali w ciągu ostatniego tygodnia do Adama Abeda, wysłał oprócz uprzejmych podziękowań jeszcze jedno pytanie. Prośbę o krótki sygnał, jeżeli powie im coś nazwisko Sandra Arsztrejer. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się odpowiedzi.

Przestał już błądzić po dziwnych zakamarkach internetu – starych kronikach policyjnych, portalach poświęconych samobójstwom czy heroinie. Nigdzie nie udało mu się znaleźć choćby wzmianki o śmierci warszawskiego studenta w 1994 roku. Jedynym źródłem pozostały listy, które zdobył dzięki Naszej Klasie. Tragedia, która rozegrała się kilkanaście lat temu w niewielkim domu na Saskiej

Kępie – mimo spotkania z Sępem – była dla Tomka historią egzotyczną i odległą, jak, nie przymierzając, opowieść o śmierci

Kurta Cobaina. Przejął się nią oczywiście, jednak nie zapanowała nad jego wyobraźnią.

Inna sprawa z Sandrą.

Chuda dziewiętnasto-, może dwudziestolatka, która pracuje na czarno w Saint Denis. być może sprząta przez pół nocy w jednej z dość podłych knajp, które Tomek zdążył poznać. Zamiast cieszyć się nieznanym życiem, tęskni. Zamiast wydawać pieniądze na wino czy muzea, odkłada na telefon. Telefon milczy. A jak nie milczy, zdradza głosem pełnym udawanego, czasem nawet szczerego współczucia coraz gorsze, coraz dziwniejsze wieści.

Dziewczyna pisze list, który krzyczy, wsadza w kopertę najbardziej intymne zdjęcie, jakie ma. To było dla niego plastyczne, bardzo plastyczne. Wbiło się w myśli jak fragment scenariusza, któremu powinien nadać kolor, zapach i kształt – i to tak, żeby nie było zbyt melodramatycznie. Mimo wszystko.

(...) nie wierzę. Biję się o te ich ściszone zdania, boję się, ale nie wierzę. Dobrze, muszę wierzyć w fakty. Żadne z nich nie miało powodu, żeby kłamać. Ale niezależnie od tego, co robisz, co się z Tobą dzieje, jak to dla nich wszystkich wygląda – nie wierzę, że Ty straciłeś panowanie nad życiem, nad sobą. Każdy, ale nie Ty. Nie zniszczyło Cię przecież nawet – wiesz co. Po prostu nie umiem Ci nie ufać. W tym wszystkim musi być jakiś sens. Nawet jeżeli to prawda, że jesteś tak blisko dna. Zrozumiem to z Tobą, już niedługo, jak się uda – za dwa tygodnie. Teraz – nie wierzę (...).

Ciekawe, co zrobiła z tym swoim „nie wierzę” kilka dni później, kiedy już było po sprawie.

Ciekawe, co on sam postanowi z tym wszystkim zrobić teraz. Jeszcze nie był pewien. Kolejna spreparowana wersja zdjęcia skojarzyła mu się z okładką jakiejś starej winylowej płyty: tłem dla fragmentu Sandry były tym razem szare, bagienne opary.

Rozdział II

Maria Arsztrejer dzwoniła już trzeci raz. Znowu wystukiwała na niewygodnej, zbyt małej klawiaturze nowego telefonu ciąg tych samych dziesięciu cyfr. Wiedziała, że jest gdzieś jeden przycisk, który mógłby je wszystkie zastąpić, ale nie pamiętała, który to. Nigdy z niego nie korzystała. Uważała, że nie wypada telefonować po raz drugi, jeżeli ktoś nie odebrał za pierwszym razem. Chyba że ma się naprawdę dobre wieści.

– Sandra? Udało ci się w końcu. Szukał cię jakiś reporter. Dostał ode mnie wszystkie namiary, będzie dzwonił, może nawet od razu do ciebie wpadnie. Nastaw się. Tylko się nie denerwuj, ja się za ciebie denerwuję. Gratuluję.

– Reporter? Teraz? Jak się nazywał? I co powiedział dokładnie, że z czym i skąd?

– Jak się nazywał, nie pamiętam, bo to nie było jakieś znane nazwisko. Wizytówki mi nie dał, może mu się skończyły. Z czym – no, ja cię przepraszam, córeczko, ale chyba nikt by cię nie szukał w żadnej innej sprawie. O ile wiem. A z jakiej gazety dokładnie – myślałam, że ty wiesz, gdzie są szanse, kto się może odezwać. Wolałam udawać, że je stem na bieżąco. No bo chyba powinnam być. Poza tym, jak otwierasz drzwi rano, w takim sobie szlafroku, bez makijażu, a całkiem sensowny facet mówi, że prosi o kilka

informacji dla prasy, to się trochę gubisz. Nie życzę ci tego. Gdybyś uprzedziła, że może przyjść...

– Mamo, zaraz. Jesteś na bieżąco, nie było nic nowego. Jak to – przyszedł? Podałam wasz telefon na wszelki wypadek, bo miał być też stacjonarny. Ale bez adresu. I wyjaśniłam...

– To pewnie adres sobie znalazł, chociaż zastrzeżony. Chyba mają jakieś swoje prasowe sposoby, a nie tylko z informacji. Może chciał cię zaskoczyć, myślał, że tu mieszkasz. Bo to chyba jest logiczne, że w twojej sytuacji powinnaś mieszkać właśnie tutaj.

Maria obiecywała sobie, że tym razem nie powie na ten temat ani słowa. Wymknęło jej się. Córka już zaczynała ją denerwować. Zamiast skakać z radości, czepia się szczegółów. Ale to pewnie przez treść. Biedna.

– Sandra, najważniejsze, że ci się udało. Bardzo się cieszę, naprawdę.

– Jeszcze nic nie wiadomo. Słuchaj, bardzo cię proszę, nie mów jeszcze nic nikomu. Nikomu. Za wcześnie na to.

– Nie traktuj mnie jak dziecko. Zresztą on też prosił o dyskrecję. Jak w filmie. Cały był trochę jak z filmu. Sama zobaczysz. No to na razie, daj znać, jak by co, muszę kończyć, bo jeszcze jestem w szlafroku.

– Na razie. Dziękuję.

Maria Arsztrejer powoli podniosła do ust swoją ulubioną, czarnorudą filiżankę pełną pachnącej kawy. Upiła mały łyk i z cichym przekleństwem wylała wszystko do zlewu. Podczas rozmowy nie wiadomo czemu posłodziła ją aż dwa razy.

Kilkaset metrów dalej, w domu pod numerem czternastym Ewa Zalipska podeszła do okna, zwabiona trzaskiem samochodowych drzwi. Schowana za ciemną zasłoną, obserwowała poczynania męża, który wysiadł z taksówki razem z otyłym, powolnym kierowcą. Krążył wokół niego zaaferowany, próbował pomóc rozpakować bagażnik. Poprawiał coś, przestrzegał, przeszkadzał niepotrzebnymi gestami zbyt długich ramion. Taksówkarz robił swoje, nie siląc się na uprzejmość. Ustawił bagaż na chodniku i odjechał.

Bagaż. Trzy ciężkie przedmioty, prowizorycznie, domowym sposobem osłonięte gdzieś warstwą starych szmat. Duże pudło stacjonarnego komputera, owinięte różowym ręcznikiem. Pękaty monitor, podobny do małego telewizora. To trzecie – najłżejsze, niewielkie, z kablem wyłazającym przez dziurę w reklamówce – to chyba drukarka. Cały zestaw. Stary sprzęt, pożyczony albo odkupiony za grosze. Pewnie od dawnego kolegi, który wymienił to na coś nowszego. Bo chyba nie na giełdzie.

Jej mąż krzątał się przy tym zadowolony, dumny ze zdobyczy, dziwnie młody w rozpiętej koszuli i starych sandałach. Podparł otwartą furtkę kamieniem. Troskliwie objął monitor. Zaniósł go przed próg, idąc o wiele lżej i bardziej sprężysto niż z filiżanką herbaty. Otrzepał ręce jak tragarz. Zawrócił po resztę.

Powinna teraz wyjść do niego. Pomóc mu z tymi pakunkami. Okazać ciepłe zainteresowanie, a jednocześnie szacunek dla jego prywatności. Wzbudzić zaufanie, żeby się otworzył. Tak jak radziły podręczniki psychiatrii. Ale on nie był aż tak chory, żeby nie zdawać sobie sprawy z niezwykłości swoich akcji, podejmowanych przy każdym nawrocie. Nie zamierzał się nimi z nikim dzielić. Była

pewna, że tym razem też tak będzie. Tak samo jak tego, że znowu się zaczęło.

Kilka dni temu wyrzucił swoje psychotropy. Wydzwaniał gdzieś, załatwiał coś, zmieniając temat na jej widok. Był pełen energii, silniejszy, sprawniejszy, rozmowniejszy nawet niż zwykle, a jednocześnie całkiem nieobecny duchem. Jak wynalazca, pisarz, odkrywca, ktoś, kto ma nadzieję na wielką zmianę. Częstką siebie, wbrew lekarzom, zazdrościła mu czasem tego stanu. Do cholery, nie wierzyła nawet, że jest naprawdę chory!

Ktoś kiedyś nazwał to jakimś syndromem, opisał, sklasyfikował. Określił grupy ryzyka: rodziny żołnierzy, którzy wrócili z wojny w kawałkach, w zaspawanej trumnie. Bliscy ofiar katastrof morskich czy lotniczych. I tak dalej. Ci wszyscy, którzy, nie widząc, musieli uwierzyć w śmierć. Chociaż woleliby, jak święty Tomasz, wsadzić rękę w bok, bo akurat ta śmierć jest dla nich tak sprzeczna z porządkiem rzeczy, jak dla niego było zmartwychwstanie. Więc wierzą, ale bywa, że nie do końca. I wtedy odkrywają myśl o pomyłce. Żyją nią albo z nią walczą. Szukają dowodu, żeby zdobyć spokój. Dowodu pewniejszego niż papier z pieczętkami, niż obce słowa. Czegoś, co ich przekona. Czy to nie racjonalne?!

A on nie widział zwłok.

Kiedy to się stało, byli razem na innym kontynencie. To ona dostała natychmiast jedyny, ostatni bilet. Jego lot poszedł nie tak. Gdy dotarł do Warszawy, mógł już tylko pochować urnę.

Nie mogłaś mi tego zrobić.

Gdyby wiedział, czego tak naprawdę nie mogła.

Patrzyła na niego jeszcze pół minuty, a potem z uśmiechem wyszła przed dom.

Na kilka dni Tomek dał sobie z tym wszystkim spokój. Sprawdzał inne możliwości. Odświeżał stare kontakty, zdobywał nowe adresy, gromadził wizytówki. Wyluzowany, wolny, przedłużał przerwy na lunch mężczyznom w białych koszulach, zamawiając ostatnie piwa. Wieczory spędzał z tymi, którzy następnego dnia nie musieli się spieszyć. Nie opowiadał już raczej o swoich reporterskich zapędach. Po pierwszej czy drugiej reakcji postanowił omijać temat. Nie przejął się jednak specjalnie ani pogardliwym *Eee...*, ani zakłopotaną zmianą wątku. Tekst nie miał być przeznaczony dla takich jak oni. Pula znajomych wyczerpała się szybko.

Kiedy dziś wrócił do sprawy, poszło jak z płatka.

Po wizycie u Sępa spodziewał się, że Sandra będzie trudno osiągalna. Był nastawiony na długą wymianę maili, być może nawet krótki wyskok za granicę. Tymczasem od celu dzieliło go tylko kilka stacji metra. Starszej pani Arsztrejer, która zdradziła mu adres, nie odebrał uroku ani wiek, ani brązowy męski szlafrok. Jej gotowość do współpracy była wręcz podejrzana. Mile zaskoczony, postanowił pójść za ciosem. Pojechał na Ursynów jeszcze tego samego dnia. Tym razem zrezygnował z jakiegokolwiek stylizacji. Założył to, w czym lubił siebie najbardziej. Ich kontakty powinny się przecież opierać na szczerości, na wzajemnym zaufaniu. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Sandra Arsztrejer mieszkała w starej części dzielnicy, w jednym z tych blokowisk, w których nie ma jeszcze domofonów, bram otwieranych za pomocą kodu, recepcji ani strażnika. Na drzwiach mieszkania, niemalowanych od dawna, nie było wizytówki z jej

nazwiskiem, a wycieraczka wyglądała tak, jakby miała co najmniej dziesięć lat.

Na swój sposób przyjemne, mobilizujące uczucie lekkiego zdenerwowania opuściło Tomka natychmiast, kiedy kobieta otworzyła mu drzwi. W jej niepewnym uśmiechu, nieco sztywnych ruchach, lekko drżącym *dzień dobry* była trema. Trema, która syci się tym, że jej ofiara zdaje sobie sprawę z jej objawów. Naprawdę trudna do przełamania. Dobry znak.

Sam wygląd Sandry też ucieszył Tomka, chociaż chętnie by ją przebrał. Lubił ten typ kobiecej urody. Twarz z wyraźnymi piegami, coś dziecinnego w kształcie delikatnych ust i małego, lekko zadartego nosa. Brązowe oczy, szerokie brwi, włosy w kolorze ciemnego miodu, zupełnie niepotrzebnie spięte w krótki, sportowy kucyk. W tym wszystkim – coś, co dawało wrażenie delikatnej asymetrii, trudnej do wyjaśnienia po pierwszym, powitalnym spojrzeniu. Uda, które zdążył już tak dobrze poznać, wciąż chyba były szczupłe. Ich kształt maskowały jednak luźne, pełne kieszeni spodnie, zbyt konsekwentnie zgrane z bluzą w tym samym stylu, który nazywał się chyba „safari”. Zgodnie z tym, co Tomek wcześniej wyliczył, Sandra była od niego starsza o kilka lat. Na ulicy pewnie by tego nie zauważył; zdradzały ją tylko oczy.

Tak jak chciał, spodziewała się go. Była zaintrygowana, przejęta... krótko mówiąc: chętna.

Wprowadziła go do pokoju, wskazała niski fotel, poczęstowała sokiem, zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić. Dopiero potem zaczęła pytać.

– Mama nie przekazała mi, dla jakiej gazety pan pracuje.

Tomek lubił grać. Gra, przyprawiona szczyptą prawdy, smakowała mu jednak lepiej.

– Teraz jestem wolnym strzelcem. Muszę pani powiedzieć, dla kogo będzie materiał, który mamy wspólnie przygotować, ale proszę na razie zachować to dla siebie.

Nazwa jednego z pięciu najbardziej poczytnych magazynów w kraju zaskoczyła ją jeszcze bardziej niż Tomek się spodziewał. Bardziej i inaczej. Zamiast po raz kolejny zarumienić się delikatnie, Sandra bezwiednie zmarszczyła czoło. Zamiast okazać radosną gotowość, przeprosiła go drobnym gestem, tak jakby musiała nagle odebrać telefon. Zamiast zapatrzeć się, zasłuchać, poddać starannie przygotowanej opowieści, którą Tomek właśnie miał rozpocząć, wstała i podeszła do drewnianego stolika ogrodowego służącego za biurko. Włączyła komputer.

– Przepraszam... Wydawało mi się, że dostałam od nich odmowę. Już kilka miesięcy temu. Zdecydowaną odmowę. Ale to wszystko było dawno temu, mogłam się pomylić. Może sprawdzę.

A więc to tak. Sandra stuknęła w klawiaturę, a Tomek myślał nad tym, czy to źle, czy dobrze, że ochocza gotowość obu pań Arsztrejer nie była jego zasługą. I co ona tam do nich powypisywała? Do jego magazynu? Zresztą, najwyraźniej, nie tylko do nich.

– Jeszcze moment... Nie mogę znaleźć. Wyrzuciłam część maili.

Zapomniała chyba, że patrzy na nią człowiek, który może mieć wpływ na coś, na czym jej zależy. Uczucie, które kazało jej kontrolować każdy gest, zniknęło, kiedy pojawił się problem. Siadając na obrotowym krześle, podwinęła pod siebie jedną nogę. Pewnie zawsze pisała w tej pozycji. Dziwny nawyk

wyginastykowanych kobiet. W pewnym momencie sięgnęła po paczkę marlboro. Powstrzymała się jednak, przesunęła je tylko.

– *Ja też palę* – miał ochotę jej o sobie przypomnieć. Ale to byłoby głupie. Fakt, że Sandra Arsztrejer miała jakieś oczekiwania wobec prasy, należało wykorzystać. Żeby to zrobić, trzeba by wiedzieć, o co chodzi. Mogło chodzić o cokolwiek. Na przykład o pracę. Ale wtedy zdziwiłaby się już wcześniej. Słowa: *materiał, który mamy wspólnie przygotować* nie były sprzeczne z jej planem. Zatem tekst. Tekst albo temat. Jaki? Ten, który pierwszy narzucił się Tomkowi, był jednak mało prawdopodobny. Po czternastu latach? Takie rzeczy zdarzają się w książkach. Czym Sandra żyje teraz? Jej mieszkanie nie nosiło śladów żadnego demonstracyjnego zaangażowania. Nie było tu plakatów, symboli, zdjęć, które można by z czymś powiązać, gadżetów mówiących o ideologii czy choćby o zamiłowaniach – jak wonne kadzidełka u buddysty albo kolekcja filmów u miłośnika kina. Nic nie stało na poczesnym miejscu. Zamiast tego był chaos. Ogrodowy stolik, biurowe krzesło, łukowato zwieńczone ratanowe regały, ładne, pewnie tanie, kompletnie niedopasowane do tego jednego, przeznaczonego dla ludzkich oczu kąta, w którym Tomek został usadzony – jasnego, lniano-sosnowego, w stylu Ikea. Trochę książek w małych stosach, segregatorów, teczek i pudeł o nieznannej zawartości. Brak pieniędzy albo poczucie tymczasowości. To jedyne skojarzenie, które przyszło mu do głowy. Miał zbyt mało czasu, żeby dojść do czegoś więcej. Gdyby mógł chociaż spojrzeć w ekran...

Wstał ot, tak sobie, jakby od niechcienia.

– Może pani pomóc?

Przyjęła to jako żartobliwy wyrzut. Przerwała natychmiast, zamykając laptop. Zaczerwieniła się lekko, speszona.

– Przepraszam. Nie znalazłam korespondencji z nimi. Wyrzuciłam maile, które wydawały mi się niepotrzebne. Nie myślałam, że jeszcze coś z tego wyjdzie. Ale jeżeli dali panu materiały... może ktoś po prostu zmienił zdanie.

Znów była trochę zagubiona.

– Mam tylko krótki opis. Myślałem, że wszystko dostanę od pani. Jeżeli można, to poproszę.

– Oczywiście.

Zdjęła z ratanowej półki jedno z pudeł. Wyciągnęła z niego gruby, kolorowy plik śliskich papierów, które wysuwały jej się z rąk. Rozłożyła przed Tomkiem na stoliku wachlarz błyszczących folderów reklamowych.

Tomek przerzucał je szybko, rozbawiony prostotą rozwiązania.

Teksty po angielsku, pełno zdjęć. Mała szwedzka firma. Turystyka ekstremalna. Rafting i kanioning w Bośni. Eksploracja jaskiń w Słowackim Raju. Wędrówki z namiotem po włoskim Gran Paradiso. Żeglowanie w Czarnogórze.

I tak dalej. Czemu chciała to sprzedać prasie? Czekał, aż Sandra powie coś sama. Wierciła się niecierpliwie, jakby chciała mu zajrzeć przez ramię.

– Nie wiem, jaką formę pan wybrał. Jeżeli chce pan pisać o samej firmie, myślę, że mogłabym rzeczywiście pomóc.

Najważniejsze jest to, co odróżnia ją od innych. Małe, najwyżej ośmioosobowe grupy. Ogromna swoboda wyboru, możliwość podejmowania decyzji, już w trakcie wyprawy. To, że w naprawdę trudne miejsca jedziemy we dwójkę. Jeden z opiekunów zajmuje się ludźmi, drugi – aprowizacją. Wiem, że to podbija cenę, ale jest potrzebne. Mogę o tym wszystkim opowiedzieć. A jeżeli postanowił

pan jechać na jedną z wypraw i stworzyć z niej reportaż, mogę polecić panu opiekuna, o którym mam naprawdę dobre zdanie.

– A jaki wariant pani by wolała?

– Myślę, że ten pierwszy.

To dobrze. Jest związana z grupą przedsiębiorczych Szwedów – powiedziała: *jedziemy*, chyba nieświadomie. Być może wypełnia jakieś zobowiązanie. Ale woli nad tym popracować, niż załatwić sprawę w pięć minut. Chce dostać rolę, a nie ustalać obsadę. Tomek uznał, że nadszedł właściwy moment. Ona jest skłonna opowiadać, a on ma w kieszeni jej list. Trzeba tylko zmienić temat.

– Mam jeszcze inny pomysł.

Teatralnym gestem odsunął foldery.

– Chciałbym napisać o pani.

– Ja już nie jeżdżę do Bośni.

– Nie szkodzi. Bo ja nie piszę o turystyce. Piszę o kobietach. O interesujących kobietach, które miały interesujące życie. Tak jak pani.

Powinna spytać: *dlaczego właśnie o mnie?* – jeżeli nie wcześniej, to teraz. Dał jej na to moment. Miał dobrą odpowiedź. Rozsądną, ciepłą, pełną szacunku, bez prymitywnego podlizywania się. Niestety, Sandra milczała. Nie patrzyła na niego, tylko na własne dłonie splecione na kolanie. Czekwała.

– Tworzę portrety. Portrety perspektywiczne. Jeżeli znajdę odpowiednią osobę, osobę, w której historii tkwi pewien potencjał, coś, co według mnie warte jest przekazania, pokazania innym – coś niebanalnego – wspólnie z nią zestawiam dwa obrazy. Jej wizerunek sprzed lat kilkunastu, z tego czasu, kiedy wszyscy utożsamiamy się najpełniej z własnym.

Mówił dalej.

W trakcie rozmowy przez telefon zdarza się czasem, z nieznanym nam technicznych przyczyn, że nagle zaczynamy słyszeć w słuchawce własny głos odbity echem, z lekkim opóźnieniem. Głos jest zmieniony, a zdania wydają się sztuczne, obce, inne niż powinny być. Nie lubimy tego efektu. Skracamy te, które muszą jeszcze paść.

Tak właśnie poczuł się teraz Tomek. Nie był pewien dlaczego. Może przez to, że nie mówił tego, co powiedzieć zamierzał. Może sprawił to nieprzenikniony wyraz twarzy Sandry. Może fakt, że przed chwilą zobaczył swoje odbicie w szybie pokojowych drzwi.

Przerwała mu, zanim zdążył nad tym zapanować.

– Dziękuję. Dziękuję, nie.

– Dlaczego?

– To bez znaczenia. Po prostu nie skorzystam. Przepraszam.

Prosta, przeciwiczna reakcja. Tak się odmawia akwizytorowi, który sprzedaje samobieżne odkurzacze. Kieszeń z listem stała się cięższa. *Jednak znam pewien epizod z pani życia, który byłby świetnym punktem wyjścia. Mam tekst, który...* To wszystko brzmiałoby teraz jak szantaż. Nieudolny, głupi szantaż. Żadne z tych zdań nie miało szans. Przynajmniej tego dnia, w tej chwili. Tomek, spławiony jak akwizytor, musiał zareagować jak profesjonalny sprzedawca odkurzaczy.

– Rozumiem. Jeżeli nie ma pani ochoty, nie będę namawiał. Ale proszę się nad tym jeszcze zastanowić. Tu jest mój numer telefonu. Gdybym dostał pani adres e-mailowy, opisałbym całą rzecz w kilku słowach.

– To niepotrzebne. Nie zmienię zdania.

Patrzyła mu teraz prosto w twarz, bez złości i bez uśmiechu. Może trochę smutno, ale tego nie był pewien. Odkrył, skąd wrażenie asymetrii w jej rysach. Lewą skroń przecinała cienka, łukowato wygięta blizna, omijająca kość policzkową.

Wstając, uśmiechnął się ujmująco, niespodziewanie.

– Ja jeszcze mogę zmienić swoje. Wezmę pani foldery. Pomyślę. Może mi je pani w coś zapakować?

– Poszukam dużej reklamówki.

Zniknęła z naręczem papierów w kuchni. Czekając, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem pokój. To jednak prowizorka, a nie brak pieniędzy. Jej laptop, biały mac, wyglądał na jeden z nowszych modeli. Tomek otworzył klapę cichym pstryknięciem. Teraz już tylko po to, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście tak szybko się budzi. Dominique chciała mu kupić podobny na urodziny.

Ekran odżył natychmiast. Tomek natychmiast go zamknął. Zamknął i zatrzymał myśli, żeby zapanować nad twarzą, ciałem, głosem. Powstrzymać szok. Ukryć zdumienie. Na kilka długich minut zapomnieć o tym, co zobaczył.

Po wyjściu mężczyzny o nietypowym kolorze włosów Sandra przez moment patrzyła za nim przez okno. Nie mogła wypatrzeć wiele. Zapalił i zniknął za rogiem. Idąc do łazienki, wykonała kilka gimnastycznych ruchów – rozluźniła zeszywniałe łopatki wymachem ramion, stanęła na palcach. Zatrzymała w płucach szczególnie głęboki wdech. Oglądnęła swoje odbicie w lustrze. Zerwała z włosów czarną gumkę, rozczesała uwolnione kosmyki. Zdjęła rozpinaną bluzę i spodnie pełne pustych kieszeni. Poskładała

ubrania delikatnie, jak wieczorową kreację, przymierzoną przed południem. Odłożyła je na jedyną pustą półkę w szafie. Podniosła z podłogi jedwabną, szaroniebieską sukienkę. Ubrała się w nią, podchodząc do komputera.

Zapaliła. Zrobiła porządek na ekranie. Zamykając kolejne okna, zapisała kilka dat na starej kopercie po wydruku bankowym. Otworzyła pocztę.

Witaj. Nasze plany bez zmian, wszystko potwierdzam. Bardzo się cieszę. :)))

Zanim kliknęła „wyślij”, patrzyła na swój list w zamyśleniu, bez uśmiechu, podkreślając palcem łuk blizny na skroni – póki nie dopalił się papieros.

Ewa Zalipska nie dowiedziała się od męża niczego. Przez cały dzień starała się być blisko, tak aby miał pod ręką potencjalnego partnera do rozmowy. Ale on zamknął się ze swoim nowym sprzętem w pokoju, który dawniej służył za gabinet. Przychodził stamtąd do niej co jakiś czas, dziwnie regularnie, żeby rzucić kilka miłych, lekkich zdań oderwanych od rzeczywistości; żeby podtrzymać pozór kontaktu niedbałym dotykiem, nieprzytomnym uśmiechem. Jak dobrze wychowany nastolatek, który nie dopuści starych do swoich spraw, ale nie chce nikomu sprawić przykrości. Pytanie o komputer zbył aktorsko, dyskretnie zdziwionym: *Przecież prawie każdy teraz takie coś ma.* Jakby to wyjaśniało wszystko. Cóż, fakt. Nawet nie skłamał.

Ewa kończyła dzisiaj sześćdziesiąt lat. Nie zamierzała się tym cieszyć ani martwić. Ale to wszystko naraz – jego stan, jej gotowość,

napięcie, samotny kieliszek wina, spokój letniego wieczoru – sprawiło, że wróciły wspomnienia sprzed piętnastu lat. Opanowały ją stopniowo, powoli, bez walki, jak dobrze znany, chroniczny ból nieuleczalnej choroby, który z czasem udało się oswoić. Nie można go zabić, trzeba przeczekać...

(Ciemny pokój, oświetlony tylko blaskiem ulicznej latarni. Ten, który do niej mówił, zapomniał włączyć lampę, kiedy zapadł zmrok. Zauważyła to właśnie wtedy – w chwili ciszy.)

– Musi pani milczeć.

– Ale mój mąż. Jego ojciec. On musi wiedzieć. Tylko on. Nie może myśleć, że Janusz...

– Nie, właśnie on nie. Jeżeli jest chociaż cień podejrzenia, że tego tak nie zostawi... Chcesz ryzykować życie kilku osób? Może męża też? Widziałaś, jak to działa. Kurwa, lepiej wiedzieć nie mogłaś. On nie ma prawa wiedzieć. Zresztą – ty też nie miałaś.

– To czemu mi powiedziałaś? Nie dlatego, że tak trzeba? Tylko przez to, że mnie kiedyś przeleciałaś?

– Wyjdź. (Jego twarz ukryta w dłoniach. Na kilka sekund). Niech pani stąd wyjdzie. Nie powinno być tej rozmowy.

W torebce Ewy zadzwonił telefon. Odbierając, wróciła do swojego tu i teraz, którego już nic nie mogło zmienić.

Tomek czuł się jak ostatni kretyn.

...piszę o kobietach. O interesujących kobietach, które miały interesujące życie... tworzę portrety. Portrety perspektywiczne...

Czuł się jak ostatni kretyn – i tak było lepiej. Podobne samopoczucie już go w życiu nawiedziło, nie raz i nie dwa.

Nieznosne, ale znane. Można nad nim zapanować.

A to, co było wcześniej... Kompletna dezorientacja, dominująca myśl, że nic nie rozumie, że dzieje się wokół niego coś, za czym nie potrafi nadażyć, cholera, nawet strach – no, to go chyba spotkało po raz pierwszy.

Mięczakiem nie był. Zanim we Francji wszystko się ustabilizowało, zdarzało mu się pracować, mieszkać, bywać w różnych dziwnych miejscach. Ocierać się o różnych ludzi. Choćby ta knajpa, w której był kelnerem. Na samym początku. Właściciel zatrudniał na czarno takich, którzy niewiele mogli zrozumieć – Rosjan, Polaków, Ukraińców. Wiele się w niej działo. Bezpiecznie nie było na pewno. Szczególnie dla Tomka – zbyt szybko się uczył.

Albo potem, już pod ochronnym parasolem słynnej Dominique, o którym jeszcze nic nie wiedział. Negocjacje w nieczynnym tunelu metra z uzbrojonym wariatem, artystą, grafficiarzem, przestępcą, którego dzieła zaintrygowały nową miłość, wtedy przyszłą, teraz była żoną Tomka. W tych i podobnych przypadkach wiedział, czego może się spodziewać. Bał się, ale inaczej.

A teraz...

Na szczęście już nie teraz, ponad dwie godziny temu. Chyba po prostu spanikował. Spanikował, kiedy zobaczył na ekranie komputera Sandry Arsztrejer stare zdjęcie Dominique. Bardzo prowokacyjne, dość nieprzyzwoite zdjęcie pięknej, nagiej, dziewiętnastoletniej Dominique, panienki z majątnego domu, realizującej swój młodzińczy, buntowniczy eksperyment. Zdjęcie zostało zrobione podczas kontrowersyjnego, lecz kiepskiego spektaklu pewnej zapomnianej już grupy teatralnej. Ale tego nie było na nim widać.

Tomek oglądał je wcześniej. Dominique pokazała mu je wtedy, kiedy rozmawiali całe dnie, głodni wiedzy o sobie tak samo, jak seksu. Miała takich więcej. Bawiło ją, że on jest pod wrażeniem. *Przecież to tylko teatr – mówiła. Sztuka, chociaż marna. Zwróć raczej uwagę na oświetlenie.*

Nie miał pojęcia, że te zdjęcia mogą być w internecie. Pewnie dlatego spanikował. Potraktował to – nie, nie potraktował, poczuł – jak sygnał zagrożenia. Kiedy wracał do domu, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. W Warszawie, na Ursynowie. W metrze o jednej linii, którego pasażerów mógł policzyć na palcach – i policzył. Czysta paranoja.

Czemu nie zareagował u Sandry, natychmiast? Niby jak? *Skąd pani ma zdjęcie mojej byłej żony?* Chciał szybko zadzwonić do Dominique. Nie miał prawa widzieć, co Sandra ma w komputerze. Zresztą nie przyszło mu to nawet do głowy. No i bardzo dobrze. Dzięki temu wszystko teraz wiedział. Prawie wszystko. Prawie wszystko o jednym wycinku tej całej historii. Wiedział albo przynajmniej się domyślał.

Tymczasem kelner przyniósł mu już piwo. Pierwsze łyki zimnego Żywca, klimat ulicznego, knajpianego ogródka, gdzie nikt nie zwracał na niego uwagi, zabawnie splecione strzępy rozmów – właśnie tego było mu potrzeba, żeby zdobyć dystans. Popatrzeć na siebie z boku, jak na ludzi przy sąsiednich stolikach. Z ironią, na którą zasługiwał.

...piszę o kobietach. O interesujących kobietach, które miały interesujące życie... tworzę portrety. Portrety perspektywiczne...

Był śmieszny i nieudolny. Niezależnie od tego, czym była ich potyczka, dziewczyna była w niej o wiele lepsza od niego.

Kiedy wrócił od Sandry do domu, a była żona wciąż nie odbierała telefonu, Tomek postanowił przetestować najprostszy wariant, wymyślony w metrze, dla uspokojenia. Przypuśćmy, że kobieta chciała tylko sprawdzić „wolnego strzelca”.

Wpisał w google swoje imię i nazwisko, a potem próbował dojść najdalej, jak się da. Nie znał tego szlaku. Nie był z tych, którzy robią to co jakiś czas, dla przyjemności.

Udało się po trzydziestu minutach. Dopiero wtedy skręcił w odpowiednią odnogę. Trafił na stronę, na której zdjęcie Dominique epatowało młodzieńczym bezwstydem – w dodatku jak najbardziej, można by powiedzieć, legalnie – w majestacie sztuki, bez cienia podejrzeń o pornografię. Być może ona sama je tam przekazała. Mała, niezbyt ciekawa strona, nieodświeżana od trzech lat.

To go trochę uspokoiło. Zrozumiał, skąd i dlaczego.

Nie rozumiał tylko, jak. To, co jemu zajęło pół godziny, choć wiedział, czego szukać, Sandra Arsztrejer zrobiła w niespełna dziesięć minut. Nie patrzył wtedy na zegarek, ale to nie mogło dłużej trwać. Nie mogła go sprawdzić wcześniej – jej matce przedstawił się tak, że starsza pani nie była w stanie dobrze usłyszeć, a co dopiero zapamiętać nazwiska.

Czyli to był ten krótki czas, który Sandra spędziła przy komputerze podczas ich rozmowy. Udając, że niezdarnie szuka maili od „jego” magazynu w swojej poczcie.

...teraz jestem wolnym strzelcem... proszę zachować to dla siebie...

Rozgryzła go natychmiast. Jego pozę, jego podstęp, jego drobne kłamstwo, które wcale tak do końca kłamstwem nie było. Jego prawdziwe podejście do niej. Nie zdradziła się najdrobniejszym

nawet gestem. Rozpoczęła własną grę, której on nie był w stanie zauważyć. Dowiedziała się o nim wszystkiego, co było jej potrzebne. Nie wyszła z roli. A on tokował dalej. Znudzona, spławiła go jednym zdaniem. I to jej wystarczyło. Gdyby nie czysty przypadek, nie miałyby o niczym pojęcia.

Równie skutecznym, ukrytym przeciwnikiem umiała być dla niego tylko Dominique.

Kiedy to wszystko odkrył, musiał wyjść z domu. Miał dość komputera, pełnej popielniczki, niepotrzebnego stresu, podejrzeń, kobiet. Nie chciał się z nikim spotykać, chciał się napić. Wpadł do pierwszego z brzegu, najbliższego baru przy alei Niepodległości. Dopiero tutaj, teraz odzyskiwał w miarę dobrą formę.

Zaskakująco szybko, nawiasem mówiąc. Rozbawiła go ta myśl. Pił przecież dopiero drugie piwo. Czuł się teraz tak, jakby Sandra Arsztrejer wyzwalała go na pojedynek. Był gotów do niego stanąć. Znał jej tajemnicę. Kiedy wróci do Sandry, będzie wiedział o jej przeszłości to, czego nie wie nawet ona sama. Napisze swój reportaż o niej, niezależnie od tego, czy będzie tego chciała, czy nie. Nawet jeśli tylko ona jedna miałaby go przeczytać. Napisze najlepiej, jak...

Poddawał się euforii, tracąc powoli mgliste, niejasne poczucie, że ogarnęła go jakoś tak... zbyt nagle, bez powodu. Zapragnął natychmiast powiedzieć Sandrze, że podejmuje jej wyzwanie. Albo napisać. To, że ona teraz właśnie odbierze esemes od niego, wywołało przyпіływ podniecenia. Sięgnął do kieszeni po telefon. Telefon wypadł na podłogę. Próbował go podnieść, ale ten leżał za daleko. U jego stóp. A on ścierpł jakoś dziwnie, nie mógł skoordynować ruchów. Nie umiał schylić się aż tak nisko. Kręgosłup był zbyt ciężki, zbyt stabilny, nie słuchał ruchów ramion.

Przedmioty wokół miały wciąż ostry zarys, ale myśli biegły teraz zbyt szybko, żeby nad nimi zapanować. Otoczył go chaos niezrozumiałych, przemijających obrazów, równie realnych, jak drewniany blat jego stołu, jak kobieta metr dalej, podkreślająca usta brązową szminką. Jak kelner przechodzący obok. Tomek chciał go zatrzymać. Był pewien, że poprosił go o kawę. Ale chłopak popatrzył tylko na niego z lekkim uśmiechem i poszedł dalej. Usta Tomka wypełnił jakiś dziwny smak. Na blat stołu spadła z nich mała kropla piany. Ale to nie miało już znaczenia. Ważniejsze były galopujące obrazy. Zamknął oczy, żeby nic nie mogło ich przesłonić. Zanim zniknęły, zatopił się w nich.

Ostatnie pięć minut przed urlopem. Pięć minut, koniec zmiany i wolność przez dwa tygodnie. Już tylko jeden rachunek. Napiwki od innych, jeśli w ogóle będą, to już nie dla niego.

Nie lubił tego miejsca. Przy pierwszym stoliku od drzwi kobieta z rozplakany makijażem zwierzała się zbyt głośno koleżance, która odpowiadała jej tylko *No coś ty*. Po przeciwnej stronie przejścia czterech kumpli kurwowało o meczu. Przy każdej kolejce powtarzali to samo – przynajmniej tak mu się wydawało. Dwa rzędy dalej ten, który za chwilę całkiem nieźle mu zapłaci, otulał przedramię swojej partnerki obiema dłońmi. To było całkiem ładne, więc ona patrzyła w niego jak w obraz. Nie powinna, skoro zaprosił ją właśnie tutaj. Przy samym wyjściu jeden gość spał, ale nie odstraszał klientów, bo nie chrapał z głową na stole. Siedział sztywno, jak pomnik, jakby się przykleił do oparcia. Gdyby nie to, że się nie ruszał, można by nic nie zauważyć. Ale to już nie był jego problem.

– Marek, ten z babką jest jeszcze mój. Już płaci, zamówiłem mu taryfę. Potem spadam. Tamten kołek przy wejściu chyba śpi, w ogóle jeden taki rozlał mu reszkę tego drugiego piwa, co masz w kwicie. Zmył się, zanim zdążyłem opierdolić, ruch wtedy był. Olej to, tamten spał już. Tak ci tylko mówię, jakby co. Ale obudź go może, dziwny jakiś.

– Jasne, spoko.

Jasne. Jasne, że nie obudzi. Nie znosili tego obaj, zostawiali takich delikwentów szefowi. Ale on już powiedział, co miał powiedzieć. Zrobił swoje. Ruszył w stronę stolika z zamyśloną parą, bo na chodnik wjechała właśnie taksówka.

Rozdział III

Było mu zbyt gorąco. To pierwsza rzecz, którą poczuł. Mokra włosy drażniły zamknięte oczy, po brzuchu i pachwinach spływały wąskie strużki potu. Leżał na boku. Przewrócił się na plecy, zrzucił coś, co blokowało dostęp powietrza. Odsunął się od ciepłej wilgoci pod spodem. Potem wróciło do niego to, kim jest.

Gdzie?

To, co zobaczył, powoli znalazło swoje miejsce w przywołanym przez mózg korowodzie bliskich mu ścian, łóżek, pokoi. Był w Warszawie, w mieszkaniu, które znalazł po rozstaniu z Dominique. Leżał nagi na własnym tapczanie, przez słomianą roletę wpadało zbyt wiele światła. Bolały go oczy.

Największy problem miał z czasem. Z następstwem zdarzeń. Odbudowywał je w pamięci krok po kroku, z wysiłkiem, pełen niepewności.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był spadający telefon.

To, co było wcześniej, tworzyło już w miarę logiczny ciąg.

Tego, co było później, nie był w stanie odtworzyć.

Telefon leżał obok niego, na poduszce. Pokazywał, że jest szesnasta. Szesnasta następnego dnia.

Czyżby aż tak się urznął? Aż tak, że zapomniał o kolejnych zamawianych butelkach, o powrocie do domu, o wszystkim? Wcale tego nie planował. Nie chciał. Dotychczas było tak, że jak nie chciał,

to nie pił. Nie, nie tylko dotychczas. Teraz też. To nie było możliwe. Nie miałyby za co. Miał wtedy przy sobie tylko drobne, na trzy piwa. Nawet gdyby chciał, toby nie mógł.

Ale świadomość, że nie ma w tym jego własnej, prostej winy, nie mogła mu teraz przynieść ulgi. Nie rozumiał.

Ostatnie szesnaście godzin nie było nieskazitelnie białą plamą. Coś jednak majaczyło mu w pamięci. Ale nie wiedział, czy to fragmenty snu, czy rzeczywistości. Mgliste, płynne, nie pozwalały się zatrzymać, dopóki nie skoncentrował się na nich tak, że nieświadomie na moment przestał oddychać.

Ból w skroni, tuż pod nią boczna szyba samochodu. Jego spodnie, zsuwane z bioder przez obce dłonie. To wszystko. Ale wystarczy.

Nie dotarł tutaj sam. Był nagi. Wczoraj przed drugim piwem odszedł od stolika. Wszystko jest jasne, nie może być inaczej.

Dostał pigułkę gwałtu.

Zerwał się z łóżka, pokonując zawrót głowy. Badał ciało dłońmi, ruchami mięśni. Na nogach, brzuchu, penisie, torsie nie znalazł żadnych ran. Twarz była w porządku. Nie kochał się nigdy z mężczyzną, reakcję ciała po takim akcie mógł sobie tylko wyobrazić. Ale tam też nie czuł żadnych zmian. Odkleił lustro od ściany w łazience. Spadło mu na podłogę. Wybrał największy odłamek. Drżącymi rękoma ustawił go pionowo na odpowiedniej wysokości, w gnieździe ze zwiniętego ręcznika. Kalecząc stopy o kawałki szkła, obejrzał newralgiczne miejsce.

Nie był zgwałcony. Przynajmniej fizycznie. Trzy zmysły naraz – dotyk, wzrok, węch – nie mogły kłamać.

Przynajmniej nie musiał bać się AIDS.

Komputer stał na swoim miejscu. Pełny portfel leżał tam, gdzie go zostawił. Kluczyki od samochodu wisiały w przedpokoju. Reszta zmian wokół niego była teraz mniej ważna od pragnienia, żeby to wszystko z siebie zmyć. Pod strugami zimnej i gorącej wody przysięgł sobie, że się nie da, cokolwiek miałoby to znaczyć. Wyjaśni wszystko, zrobi z tym, co będzie trzeba, zapomni. Żadnych traum. Niezależnie od tego, kto i po co wdarł się w jego życie, w jego mózg. Zmusił się, żeby w to uwierzyć. Dopiero wtedy przestał przeklinać najdosadniejszą wiązańką, jaka mogła powstać z połączenia obu znanych mu języków.

Reszta zmian wokół niego: gdyby miał pisać sensacyjny scenariusz, być może właśnie coś takiego by wymyślił. Tym bardziej trudno było mu w to uwierzyć.

Zniknęła podmieniona walizka, oryginał zdjęcia ud Sandry Arsztrejer, list do Janusza Zalipskiego tudzież wszystkie kopie tego listu. Ksero zdjęcia wisiało sobie dalej na słomianej rolecie. Jak kpina. Zresztą niejedna. Oprócz standardowego zestawu dla złodzieja Tomek miał w domu parę cennych rzeczy – spuściznę kilku ostatnich lat w Paryżu. Dwie prawdziwe, stare taśmy filmowe, trzy niepozorne książki, z których każda była warta więcej niż zdolność płatnicza jego kart kredytowych. To wszystko na jednej półce w jego pokoju, przypadkiem tej właśnie, na którą odłożył list. Przed jednym z bibliofilskich okazów ktoś narysował palcem na kurzu wykrzyknik. Ładny, gruby wykrzyknik, z górną częścią w kształcie odwróconej łyzy.

Znawca, kurwa mać. Dżentelmen-włamywacz. Jednak nie zapomniał wczoraj zdjąć mu majtek.

Nawiasem mówiąc, ubranie zostało wrzucone do kosza na brudną bieliznę. Klucz do mieszkania leżał na biurku. Poza tym nic się nie zmieniło. Nic, co można by dostrzec gołym okiem. Tomek czytywał czasem kryminały. Jeśli im wierzyć, jego pokój był teraz kopalnią mikrośladów. Walały się w nim specyficzne włókna, ulotne drobinki ledwo widocznych substancji, które podczas analizy chemicznej przemówiłyby jasnym i klarownym głosem. Stałyby się poszlaką, może dowodem dla powieściowego nowojorskiego detektywa. Nie mówiąc już o prostych odciskach palców.

Problem w tym, że nie było czego udowadniać.

Obiektywnie rzecz biorąc, nic się nie stało. Nic, czym Tomek mógłby – przy założeniu, że by tego chciał – wzbudzić zainteresowanie tych, którzy zajmują się poszukiwaniem tego typu śladów. Policja nie wchodziła w grę. Nikt nie został okaleczony, znieważony, obrabowany. Mężczyzna o nudnej, czystej kartotece, w pełni sił, nie pamięta, w jaki sposób wrócił z knajpy. To dla niego na tyle niecodzienne, że podejrzewa czyjąś ingerencję. Twierdzi, że dostał pigułkę. Twierdzi, że ktoś wtargnął do jego domu. Twierdzi, że zginęła mu jakaś stara walizka. Przypuśćmy, że działają prawa, na mocy których jest w stanie wymusić coś w rodzaju śledztwa. Przypuśćmy nawet, że śledztwo doprowadza do kogoś, kto tu był. Co dalej? *Dziękuję, panowie, już wiem, wycofuję się, to mi wystarczy?*

A może komedii ciąg dalszy? On sam na miejscu domniemanego sprawcy byłby w stanie wyłgać się z tej sytuacji przedstawicielom prawa na siedem różnych sposobów. Z dużą swobodą. A potem już niczym się nie zdradzić.

Nie, policji nie dało się w tej grze sensownie wykorzystać. Policja jest od chronienia ofiar. A on nie zamierzał zostać bezbronną, ślepą ofiarą.

Tymczasem nie wiedział nawet, co krąży w jego krwi. Nie czuł się jeszcze normalnie. Nadwrażliwość na światło i dźwięk, dziwna sztywność mięśni karku i tułowia, opuchlizna dłoni i stóp – znane mu objawy kaca wyglądały trochę inaczej.

Przerwał ścieranie swoich krwawych śladów z podłogi. Napił się wody. Włączył komputer, żeby sprawdzić objawy na którejs z internetowych stron dla skrzywdzonych kobiet.

Ekran laptopa witał go zawsze dyskretnie, przyjaźnie, jak dobry portier, delikatną, geometryczną prostotą stonowanych barw pulpitu.

Tym razem zaatakował jego obolałe oczy palącą purpurą tła, napiętnowaną dwoma czarnymi słowami: RADZĘ ZAPOMNIEĆ.

Tomek nie znosił czerwieni.

Przedramiona wyprężyły mu się w gest Kozakiewicza jeszcze zanim zdążył pomyśleć, że należałoby raczej po prostu przywrócić dawne ustawienia.

Maria Arsztrejer spędziła w łazience czterdzieści minut. Odmłodziła się w tym czasie o pięć lat. Poprawiała już tylko łuk brwi, kiedy ostry dźwięk dzwonka szarpnął dłonią prowadzącą krótki ołówek. Na upudrowanym czole wyskoczyła gruba, czarna kreska.

Maria uchyliła drzwi, żeby słyszeć rozmowę z korytarza. Wyjęła z plastikowego pudełka jednorazowy patyczek dla niemowląt.

Z beżowej buteleczki upuściła na watkę pół kropli mleczka do demakijażu.

– Cześć. O, garnitur. Wychodzicie? Nie wiedziałam.

Ręka z patyczkiem zamarła na moment.

– No... Na szóstą mamy być na Kabatach. Towarzystwo z dawnej pracy mamy. Ktoś ma jakiś jubileusz czegoś tam. Niby na luzie, w ogrodzie – jedź z nami, będę miał z kim gadać. Namówiłem nawet Zalipskich.

– E, nie jadę. Jak chcesz, pozdrów ich ode mnie. Zostanę u was, pogrzebię w swoich starych rzeczach.

– Raz na pół roku sam ich od ciebie pozdrawiam...

Głosy zniknęły w kuchni. Maria westchnęła, pocierając czoło patyczkiem. Mąż idiotycznie się ubrał, a córka kłamała. Musiała widzieć przed tygodniem, w kawiarni, niebanalny, kolorowy kartonik zaproszenia. Wiedziała. Specjalnie przyszła teraz.

Ale dziwactwa Sandry nie zepsują jej imprezy.

Nie zepsuły. Przebiegła przez ten wieczór tak lekko, dowcipnie i radośnie, jak przez kuchnię na moment przed wyjściem.

Dopiero przed zaśnięciem, po powrocie, kiedy już sprawdziła tamten kąt poddasza, znów zaczęła rozmyślać o tym wszystkim. Sandra zabrała stare szpargały z licealnych czasów, trzymane przez lata, nie wiedzieć czemu, pod kluczem, w szufladzie panińskiego biureczka. Po co jej one – teraz, w sobotnią lipcową noc? Nostalgia? Za młoda na nią jest i za stara. Po co jej zaniedbana kawalerka na Ursynowie, a w torebce pojemnik z gazem, udający szwedzki dezodorant? Czemu połowę numerów w jej telefonie opisują tylko inicjały? Gdzie jej ambicja, kariera, życie osobiste, wszystko jedno –

jakakolwiek dominanta? Co jeszcze w jej życiu wygląda tak jak ten szwedzki dezodorant – gaz?

Ostatnia, dziwaczna myśl przekroczyła bezpieczne granice matczynego biadolenia, starego jak świat. Maria uciekła od niej instynktownie, poszukując śladów nikotynowych zniszczeń w nierównym oddechu męża.

Skierowanie, poniedziałek, naczczoósmatrzydzieści... Po kilku takich rozmowach Tomek rzucił telefon na łóżko, a potem sam położył się obok niego. Zapalił papierosa.

Nie chciało mu się znów powtarzać tego samego. Wszystko wskazywało na to, że w Warszawie nie da się tak po prostu w sobotę wieczór wejść z ulicy do czynnego laboratorium, zapłacić komuś za porcję biochemicznej prawdy na swój temat. Nie bał się zresztą. Uważał, że ma silny organizm. Trzy razy w życiu spróbował przecież czegoś mocniejszego niż marihuana. Okazał się wtedy znacznie mniej podatny na dobre czy złe działanie narkotyku, niż ci, którzy go nim poczęstowali. Pamiętał.

Obejrzał swoją prawą dłoń pod światło. Opuchlizna już zaczynała schodzić. Jednak. To, co wyczytał w internecie o pigułkach, nie całkiem pasowało do reakcji jego ciała. Z myśleniem też nie wszystko było w porządku – teraz to wiedział. Przed dwudziestoma minutami jakiś impuls zatrzymał go w pół czytanego zdania, w pół ruchu. Wszystko wokół niego zbladło, a on poczuł coś... coś jakby nagłą, gwałtowną tęsknotę za jakimś stanem, obrazem, za czymś, co widział albo czuł, czymś, czego nie pamiętał. Jakby tracił przytomność. Przerwał to, zadając sobie fizyczny ból. Wbił

paznokiec w zranioną stopę. Mógł to zrobić na wpół świadomie, bo akurat tak siedział. Ból go otrzeźwił. Wtedy właśnie uznał, że jego mózg pije dalej. Chciał sprawdzić, co i ile. Zaczął dzwonić do prywatnych centrów medycznych – szukać badań krwi.

Nie udało się. I dobrze. Musiałyby wstać. Na poduszce okrytej czystym kocem było mu tak wygodnie, miękko, sennie...

Sennie? Kurwa! Po szesnastu godzinach snu? Miał się nie dać.

Wrócił do internetu, telefonu, tych samych pytań. W końcu znalazł mniej więcej to, o co mu chodziło.

Specjalistyczne laboratorium analityczne. Nowoczesne metody wykrywania i oceny stężenia wszelkiego typu środków psychoaktywnych. Punkt pobrań – siedem dni w tygodniu, 8.00–24.30. Na życzenie klienta – pełna anonimowość.

Dyskrecja, szybkość, niezawodność.

Miej świadomość!

Tekst skojarzył mu się z niezbyt wymyślną reklamą biura detektywistycznego. Ale do tego, czego chciał się dowiedzieć, nie potrzebował chyba wysokiego poziomu sztuki medycznej. Kobiety głos w słuchawce zaprosił go do punktu pobrań z przesadnie miłą, obiecującą intonacją, jakby chodziło o wspólny wieczór przy dobrym winie.

Przed wyjściem z domu Tomek zawahał się na moment. Czy w środku nocy ktoś mógł dorobić jego klucze? Uznał, że nie. Jednak rozsypał w przedpokoju, na całej powierzchni podłogi cienką, widoczną tylko z bliska warstwę kawy. Jeśli ktokolwiek wejdzie do mieszkania, będzie musiał zostawić na niej ślad. Czuł się dość śmiesznie, trochę głupio – jak mały chłopiec bawiący się w agenta obcego wywiadu. Ale efekt był niezły. Drobnio mielone espresso nie

chręściło pod butem, lepiło się do podeszwy dokładnie tak, jak trzeba.

Stary ford, zaparkowany przecnicę dalej, nie sprawił mu żadnych niespodzianek. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś zrobił użytek z kluczyków wiszących wczoraj w przedpokoju. Zresztą – jak, do cholery, mógłby zrobić, skoro nie wiedział, który to samochód? Tomek obiecał sobie, że co najmniej przez rok nie sięgnie po żadną sensacyjną powieść.

Prowadził samochód przepisowo i ostrożnie, jak nigdy. Żałował, że nie wziął taksówki. W mieście było dziś szczególnie dużo policji, a jego oczy teraz, cóż, miały w sobie coś. Rozszerzone źrenice, szklisty błysk, zaczerwienione spojówki. Na szczęście dotarł na Żoliborz bez problemów. Błądził przez chwilę wśród wysokich bloków nieznanego osiedla, szukając małej, jednokierunkowej uliczki, którą obejrzał sobie wcześniej przez internet. Centrum Badań Laboratoryjnych zajmowało część parteru w czteropiętrowym budynku mieszkalnym. Z zewnątrz nie rzucało się w oczy bardziej niż mały salon fryzjerski tuż obok.

Za to w środku – chrom, nikiel, szkło, skóra kanap, przesadnie przyciemnione światła i ściszone muzyka poważna. Ostentacyjna, żurnalowa nowoczesność.

– Oferujemy prostą, nowatorską procedurę badania anonimowego. Czy chce pan z niej skorzystać?

W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno. Recepcjonistka – śniada piękność o iberyjskich rysach – z opiekuńczym uśmiechem zdecydowała za niego.

– Proszę wypełnić ten prosty formularz. Określi pan w nim swoje wymagania w kwestii badań. Po dokonaniu wpłaty otrzyma pan ode

mnie jeden z tych małych kartoników – jednorazową kartę. Na czarnej stronie karty, pod zdrapką, znajduje się ośmiocyfrowy numer, który pozna tylko pan albo ktoś, dla kogo zamawia pan analizę, i laborant.

– Chodzi o mnie.

– Nie powinnam o tym wiedzieć. Kiedy laborant pobierze próbkę krwi, klient osobiście usuwa zdrapkę z karty. Wpisuje numer w pierwszą rubrykę wypełnionego wcześniej formularza badań i przekazuje go laborantowi. Wyniki można sprawdzić – przez internet lub osobiście – tylko za pomocą numeru spod zdrapki. W ten sposób gwarantujemy naszym pacjentom zachowanie tajemnicy. Regulamin może pan znaleźć...

Tomek pochylił się już nad formularzem, dając dziewczynie do zrozumienia, że przestał słuchać. Od czasu do czasu łagodził przekaz roztargnionym uśmiechem, a ona, być może w poczuciu obowiązku, mówiła dalej. Klimat przesadnej dyskrecji zaczynał go powoli irytować. Jakoś nie widział tu gwiazd incognito, które trzeba by chronić przed zakusami paparazzi. Ani przysłanych przez nie ochroniarzy. Skórzane kanapy były puste.

Postawił krzyżyk w trzech miejscach: substancje psychoaktywne, morfologia i ob. Uznał, że to wystarczy. Wybrał najprostszy sposób opisu wyników. Wydał na to mniej więcej tyle, ile musiałby zapłacić za obfitą kolację w paryskiej „szesnastce”. Nie znał cen usług medycznych, więc lepsze porównanie nie przyszło mu do głowy. Kiedy dostał od czarnowłosej kartonik, podobny do pastelowej karty kredytowej, zaczął rozglądać się za laborantem.

– Do punktu pobrań musi pan wejść oddzielnym wejściem, z ulicy. Jeżeli chce pan zyskać dodatkową pewność, że nikt nie

będzie mógł skojarzyć pobranej próbki z pańską osobą, może pan wybrać dowolną porę – niezwiązaną z czasem wykupu karty.

Tym razem Tomek nie krył rozbawienia.

– To na wypadek, gdyby miała mnie pani rozpoznać? A laborant? Nie mówiąc już o kimkolwiek z ulicy? Kamery wideo? Gdybym bał się tak bardzo, wątpię, czy potrafiłaby mnie pani uspokoić.

– Kamer u nas nie ma, informujemy o tym. Laborant nie ma możliwości. Ulica – tego nikt nie mógłby zapewnić, ale klient musi wiedzieć, że w takim wypadku my na pewno nie ponosimy odpowiedzialności.

Kruczowłosa patrzyła na Tomka tak, jakby był tym, który po jej wejściu na scenę pierwszy wsadził dwa palce do ust. Złość dodawała jej uroku. Chmurne spojrzenie młodej Sophii Loren.

– Przepraszam, to był tylko żart. Będę wolny za chwilę. Gdyby miała pani ochotę na kawę, znajdę najlepszą w okolicy i ją tutaj przyniosę. Nie zależy mi na żadnej tajemnicy, tylko na czasie. Jeżeli będzie pani chciała usłyszeć moje imię, to będzie dla mnie pierwszy miły moment od kilkadziesiątu godzin.

– Pan żartuje. Do widzenia.

Pozostała zimna i zraniona, mimo że Tomek tym razem sam był zaskoczony ciepłą szczerością swojego odruchu. Cóż, nie chciał jej wcześniej urazić. Nie mógł się przecież spodziewać takiego poczucia więzi z nudną, ogłupiającą robotą.

Laborant rzeczywiście nie miał możliwości rozpoznania niczyjej twarzy. Pracował za ścianą z białego, matowego szkła, która dzieliła punkt pobrań na dwie części. Żeby oddać krew, trzeba było wsunąć przedramię w specjalne okienko.

– Wolałbym weneckie lustro.

– Chce pan sam rozpakować jednorazówkę?

– Żartowałem.

Biała postać roześmiała się posłusznie.

– Wynik będzie za dwadzieścia cztery godziny.

To musiał być ten sam mężczyzna. Miał wyjątkowy kolor włosów. Siedział tam, gdzie wczoraj, na oko w całkiem dobrej formie. Rozglądał się, szukał kogoś – prawdopodobnie właśnie jego. Marek poczuł tak wielką ulgę na ten widok, że zbrzydły mu wszystkie kłamstwa, które wcześniej starał się wymyślić. Próbował wycofać się do środka, ale nie zdążył.

– Czy mogę pana prosić? Chciałem o coś zapytać. Czy pan pracował tutaj wczoraj o tej porze?

– Ja i kolega. Kolega już jest na urlopie. Pewnie to on pana obsługiwał. Ja pana nie pamiętam.

– A jednak domyślił się pan, że tu byłem. Mogłem przecież pytać o kogoś innego, na przykład o moją dziewczynę. Prawda? Proszę, niech pan na moment usiądzie. Nie mam do nikogo pretensji, mam prośbę. Chciałem się tylko czegoś dowiedzieć. Nie sprawię panu kłopotu. Być może sprawiłem wczoraj.

Rudy uśmiechał się tak, jakby chodziło o jakieś wspólne żarty, a Marek zastanawiał się, czy jutro wyleci z roboty.

– Siedziałem tutaj do późna i nie wiem, jak dotarłem do domu. Muszę wiedzieć, kto mnie stąd wyprowadził, jak wyglądał. Czy to był mężczyzna, czy kobieta. Wszystko, co pan zauważył. To dla mnie ważne.

A gdyby pójść w zaparte?

– Nie przypominam pana sobie.

– Proszę zrozumieć, w żaden sposób panu nie zaszkodzę.

Trwało to kilka bardzo długich minut. Uśmiech rudego powoli stężał w obowiązkowy grymas, tak dobrze znany Markowi z jego własnej twarzy. Gość był pewien, że on coś wie. Podejrzewał, że ktoś zapłacił mu za milczenie. Sugerował, że da więcej. Spokojnie, w delikatnych słowach.

Gdyby to wszystko było takie proste. Z przyjemnością dałbym się przekupić.

– Ja naprawdę pana nie pamiętam.

Pamiętał boleśnie dobrze. Najgorszy był ten moment, kiedy nagle pojął, że on nie jest jednym z nich. Że nieprzytomny facet, wleczony pod ramiona i wrzucany do samochodu przez dwóch barczystych kibiców, którzy siedzieli tutaj cały wieczór, nie jest wcale ich pijanym kumplem od stolika. Że jeszcze przed chwilą spał – spał? – dwa rzędy dalej.

– Przykro mi, nie mogę panu pomóc.

Chciał wtedy zrobić to, co trzeba. Zapisać numer tego samochodu w swoim kelnerskim notesiku. Ale miał w rękach cztery litrowe kufle. Zanim je odstawił, samochód odjechał. Tak od razu. Nie zdążył nawet zobaczyć, jakiej był marki. I co – dzwonić na policję?

Jednak ci dwaj wcale nie pojechali z rudym. Wracali sobie spokojnie, powoli do stolika, z niczym się nie kryli. Dumni ze swojej siły, otrzepywali koszulki. Nie wyglądało to wszystko tak źle. Śmiali się, żartowali głośno.

„...gdyby za każdym razem nad browarkiem ktoś nagle dawał taką kasę... żyć nie umierać...”.

Te cztery piwa niósł właśnie dla nich. Odważył się, choć był od tamtych niższy prawie o głowę. Spytał, kto im zapłacił. Może żona

rudego... albo kierowca.

Parsknęli śmiechem – wszyscy czterej.

– Wiesz, młody, za co zgarnęliśmy aż tyle? Żeby tobie właśnie tego nie powiedzieć. Ani tobie, ani nikomu, kto się będzie pytał. Chcesz dać więcej – proszę bardzo. Ale tak za darmo – nie ma mowy. Ma się ten honor.

– To może on już nie żyje. Albo mu obrobili dom. Nie widział pan, co z nim było?

Jeden z nich uspokoił się trochę, złagodniał.

– Nie denerwuj się tak. Na pewno nie. My mamy do takich rzeczy nosa. Gdyby ktoś chciał go załatwić albo co, to by nie robił czterech dodatkowych świadków. To nie jest nic takiego dla policji. Bierzemy to na siebie. Nie przejmuj się. Zapomnij.

Uwierzył im. Sam nie wiedział czemu. Później bał się, że zrobił największy błąd w życiu.

A teraz rudy siedzi przed nim cały i zdrowy. Zrezygnowany. Nie może nic zrobić. Jak się poskarży, nikt mu nie uwierzy. Przecież sam mówi, że nic nie pamięta. Dopóki Marek będzie milczał, nic mu nie grozi.

Jeśli się złamie i opowie, może być gorzej. Gdyby szef usłyszał, że kelner na coś takiego pozwolił, nie przyszedł z tym do niego, a potem jeszcze się do tego przyznał – wywaliłby go natychmiast. Marek nie mógł ryzykować.

Tego człowieka, co wczoraj wisiał na ramionach dwóch kiboli, było mu teraz trochę żal. Jakoś tu nie pasował – te włosy i w ogóle wszystko. Nie mówił do niego na ty. *Ciekawe, kto był w tamtym samochodzie.*

– Przepraszam pana, muszę już wracać do gości. Przykro mi.

– Rozumiem. Trudno. Ostatnie pytanie. Proszę mnie uważnie posłuchać. Zapomniał pan o mnie. Z jakichś powodów. Ale być może zna pan kogoś, kto tutaj wtedy był? Może ktoś, kogo pan zapamiętał z tego czasu, znowu tu przyjdzie? Zostawię panu mój adres mailowy i telefon. Gdyby tak się stało, ten ktoś może do mnie zadzwonić albo napisać. Nie będę nawet wiedział, kto to jest.

– Spróbuję.

Tamci czterej wpadali tutaj czasem. Rzadko. „Chcesz dać więcej – proszę bardzo”. Rudy mógł im zapłacić. – Proszę pana, naprawdę się postaram. Jak tylko trafi się okazja. Teraz niech pan wierzy.

Tomek nic nie jadł od trzydziestu godzin. Po swoim nieudanym śledztwie wpadł na kebab. Niewielki bar w pobliżu jego domu, przy Puławskiej, był czynny aż do trzeciej w nocy. Człowiek za ladą rozpoznał klienta, który zawsze zamawiał na wynos taką samą porcję baraniny z ostrym sosem. Tym razem Tomek wolał zjeść na miejscu. Chciał mieć wolne ręce, wchodząc do mieszkania. Tak na wszelki wypadek. Nie spodziewał się kolejnych ataków – miał wrażenie, że ktoś, kto zeszłej nocy pozbawił go świadomości, już z nim skończył. Dostał przecież to, czego chciał. List i walizkę.

Tomek założył, że walizka nie ma znaczenia. Jeżeli miałyby podwójne dno z tajemniczą zawartością, nie leciałaby z Paryża samolotem. Zatem list. Zniknęły wszystkie kopie, także te zeskanowane na komputer. Ktoś był dokładny.

Ktoś... świadomie używał w myślach tej formy. Oczywiście podejrzewał Sandrę. Ona jedna miała prosty motyw. Odzyskanie czegoś, co kiedyś było dla niej ważne.

Nie mówił jej o liście, ale mogła dowiedzieć się o kopercie – od Sępa. Albo od właściciela walizki. Tamten mógł Sandrę znać, wieść

list dla niej... jednak to wszystko nie trzymało się kupy. Tak ostre kroki tylko przez sentyment? To, na czym jej zależało, Tomek miał w kieszeni, kiedy był u niej. Oddałby, gdyby padło kilka mocnych zdań. Oczywiście mógłby zachować kopię. Jednak nie mógł jej wykorzystać wbrew zakazowi autorki. Czyżby podejrzewała go – przypuśćmy – o próbę szantażu? Nie znalazł w treści nic, co mogłoby ją kompromitować. W tym musi być coś więcej. W samym liście, w okolicznościach jego wysłania, w historii chłopaka. Od tego trzeba będzie zacząć.

Że zacznie, nie wątpił.

Już nie po to, żeby zbliżyć się do Sandry, chociaż kobieta intrygowała go coraz bardziej. Jego stary pomysł na reportaż-portret wydawał mu się teraz głupi, pospolity. Nie myślał już o tym. Miał wrażenie, że trafił na materiał, za którym kryje się coś poważnego. Co – po prostu musiał sprawdzić. Choćby dlatego, że ktoś chciał mu to uniemożliwić.

Dopijając airam, wymieniając uśmiechy z człowiekiem zza lady, zastanawiał się, czy przypadkiem nie uległ dzieciennym fantazjom. Jeżeli nawet tak – miał wakacje.

Pierwsze od lat samotne, oszczędne wakacje bez planów.

Wszystko, co mogło je wypełnić, było mile widziane.

Warstwa kawy za progiem pozostała nienaruszona. Wchodząc do pokoju, Tomek zapalił wszystkie światła. Otworzył drzwi do kuchni, do łazienki. Mimo to nie umiał się pozbyć wrażenia, że ktoś na niego patrzy. Próbował się z tego śmiać. Postanowił w poniedziałek zmienić zamek.

Tymczasem teraz, w sobotnią noc, mógł zrobić już tylko jedną rzecz. Włączył komputer, od kilku godzin chroniony hasłem. Otworzył nowy plik w Wordzie. Pomyślał o nierównych rzędach słów, o ukośnych literach z ostrymi zawijasami, być może atrakcyjnych dla grafologa. Ich oczywiście nie będzie w stanie odtworzyć. Oprócz nich umiał odzyskać każdy przecinek, każde słowo. Miał niemal fotograficzną pamięć. List, do którego wracał wiele razy, został dokładnie zapisany w jego głowie.

Zaczął od tego, co najłatwiej mógł zapomnieć – od trzech nazwisk.

(...) Szukałam Twoich przyjaciół. Prawdopodobnie wiedzą więcej niż cała reszta. Od Ciebie znałam tylko nicki i imiona. Znalazłam nazwiska. Bartosz Hubka, Marta Rymanowska, Roman Kranc – zgadza się, prawda? Jednak to nic nie dało. Zniknęli dla mnie. Tak jakby nie mieszkali w swoich domach. (...)

Teraz on będzie musiał ich poszukać. Jutro. Po przepisaniu listu poczuł się bardzo, bardzo zmęczony. Próbując zasnąć, myślał o tym, co laborant mógł znaleźć w jego krwi.

Biuro w Malmo w niedzielę było nieczynne. Mężczyzna wpadł tylko na chwilę, żeby zabrać do domu kilka map. Zatrzymał go deszcz i telefon. Francuz po drugiej stronie kabła wydawał się zaskoczony, że ktoś odebrał.

- Dzień dobry. Interesuje mnie rafting w Bośni.
- W sierpniu organizujemy wyjazd. Mamy chyba jeszcze jedno miejsce.
- Czy grupę prowadzi pani Sandra Arsztrejer?

Mężczyzna powoli zapalił papierosa.

– Niestety, pani Arsztrejer nie pracuje z nami już od ponad roku.

– Szkoda. Ktoś mi ją szczególnie polecał.

Mężczyzna zgniótł w popielniczce zaledwie napoczętego marlboro.

– Była świetnym przewodnikiem i organizatorem. Czy chce się pan zapisać? Trzeba spełnić kilka warunków.

– Dlaczego odeszła? Chyba długo u państwa pracowała.

– Z prywatnych powodów. Kilka lat. Czy nadal jest pan zainteresowany wyjazdem?

– Zastanowię się. Słyszałem, że pani Arsztrejer u siebie w kraju próbuje zainteresować prasę państwa firmą. Czy to prawda?

– Nic o tym nie wiem. Być może powinien pan porozmawiać z kimś innym. Ja jestem tylko przewodnikiem.

Mężczyzna zdał sobie sprawę, że podświadomie przyjął suchy, oficjalny ton. Po francusku? Nie sądził, że to możliwe.

– Osobę, która odpowiada za kontakty z prasą, zastanie pan jutro przed południem.

– Dziękuję.

Mężczyzna odłożył słuchawkę. Wyciągnął z popielniczki zmaltretowany wrak. Rozprostował go delikatnie. Osłonił pękniętą bibułkę dwoma palcami. Mała przyjemność, którą miała czekać w paczce na moment przed snem – zmarnowana. Zapalił.

Francuz – a może wcale nie Francuz – który wypytuje o jego byłą żonę. W niedzielne południe. Posługując się jej panińskim nazwiskiem, którego – przynajmniej przy nim – nie używała w firmie.

Postanowił kupić sobie dzisiaj całą paczkę.

do: adamabed@gmail.com

od: alicjanowak@poczta.onet.pl

data: 05 lipca 2009 10:15

temat: Re

Adamie, zaskoczyłeś mnie. Najpierw pytasz o Janusza Zalipskiego, a potem o jego przyjaciół, których nazwisk Ci nie podałam. Pewnie dostałeś je od kogoś innego. Na Twoim miejscu postawiłabym znicz na grobie i zapomniała o wszystkim. Ale jeśli jednak chcesz wiedzieć, pomogę Ci, bo nie mam żadnych uprzedzeń. To Twoja decyzja, żeby ludzi pytać o takie historie. A ja interesuję się losem wszystkich znajomych. Z serdecznego nastawienia.

A z nimi... dziwnie się potoczyło. Zaraz po pogrzebie cała trójka zniknęła nam z oczu. Przestali przychodzić nawet na egzaminy, nie tylko na zajęcia. Na początku myśleliśmy: szok, wyrzuty sumienia. Ale potem kilka osób postanowiło sprawdzić w domach. I co się okazało: dwoje z nich wyjechało z kraju. Na zawsze. Zanim jeszcze zwiędły kwiaty na grobie ich kolegi. Bartosz Hubka do Londynu. Marta Rymanowska do Stanów. Ten trzeci, Kranc, wziął urlop dziekański. Potem chyba wrócił na studia, ale nie wiem na pewno. Teraz mam niespodziankę: za kilka dni, może już pojutrze, mogę Ci podać obecne nazwisko Marty (wyszła za mąż), a nawet jej adres mailowy. Jedna moja dalsza znajoma ciągle z nią koresponduje. W załączniku masz zdjęcie – z tyłu sali, na ławce siedzi właśnie ona. Co prawda, prawie jej nie widać. Na pierwszym planie jestem ja. Teraz Ty jesteś mi winien swoją fotkę. Jesteś jedynym na liście moich znajomych, który nie zamieścił zdjęcia.

Gdybyś chciał jeszcze coś wiedzieć, pytaj. Jak widzisz, odpowiadam natychmiast.

Dominique patrzyła na wyświetlacz. Telefon, który leżał przed nią na okrągłym blacie małego stolika, obok gazety i filiżanki z kawą, miał wydać jeszcze dwa albo trzy sygnały. Trzeciej serii dzwonków już chyba nie będzie. Kawiarniany sąsiad, siedzący dwa stoliki dalej, obserwował zdarzenie z taką uwagą, jakby obstawił zakład. Kiedy był już pewien wygranej, zdradził go lekki uśmiech. Stawiał na to, że ona nie odbierze.

– Ça va, Dominique?

– Ça va. Rozmawiajmy po polsku, dobrze? Ktoś nas słucha.

– Myślałem, że dopiero się budzisz. Nie jesteś sama?

Przemilczała pytanie. Sąsiad zrozumiał chyba sytuację tak, jak powinien. Zasłonił twarz rozłożoną kartą win.

– Już jestem, Tomku. Przepraszam, że przez kilka dni nie odbierałam.

– Chciałem cię tylko o czymś uprzedzić. Trafiłem na pewną historię, szukam materiałów. Niewykluczone, że będę chciał skorzystać z pomocy któregoś z naszych komputerowych przyjaciół. Zapłacę według zwykłych stawek. Wiedz o tym i się nie zdziw, proszę.

– Co tylko chcesz. Ale zamierzałeś się ustabilizować.

– To chyba nic poważnego. Kiedyś, jak będziesz miała więcej czasu, opowiem.

– Gdybyś potrzebował czegoś jeszcze...

– Na razie tylko to.

Cisza. Rzeczywiście wyobrażał sobie chyba, że jakiś mężczyzna podaje jej teraz śniadanie do łóżka. Ciekawe, czy jeszcze robi to na nim wrażenie. Dominique pożegnała się ciepło, ale szybko, widząc na końcu ulicy skuter, którego hałas za moment by ją zdradził.

To się zdarzyło po raz pierwszy. Po raz pierwszy ktoś, kto kilkadziesiąt godzin temu z trudem panował nad drżeniem rąk i szklistym wzrokiem, przychodził do niej z reklamacją.

– Nie interesuje mnie dyskrecja i anonimowość. Proszę, tu jest mój dowód osobisty. Chcę tylko, żeby mi pani wyjaśniła, co się stało z moimi wynikami.

– Mówiłam panu, zasady są w regulaminie. Pańskie konto zostało automatycznie skasowane przez system po pierwszym logowaniu za pomocą kodu spod zdrapki. Zgodnie z zasadami. Jedno logowanie. Pan te wyniki sprawdził, a to jest równoznaczne z usunięciem konta.

– Nie sprawdziłem. Kiedy chciałem się zalogować, numer nie działał.

– O której pan próbował?

– Około ósmej.

– Wyniki zostały skasowane o dziewiętnastej trzydzieści. Po prawidłowym logowaniu. Jestem współwłaścicielką tej firmy, nie tylko recepcjonistką. Zapewniam pana, że nie ma sposobu, żeby ktokolwiek je teraz sprawdził. Jeżeli to jakaś prasowa prowokacja...

– Nawet jeśli ja ich nie poznałem? Wyników?

– Obawiam się, że to na przykład pańska żona. W takim przypadku nie ponosimy odpowiedzialności. Trzeba było pilnować zdrapki.

Po jej niemiłych słowach nagle złagodniał.

– Naprawdę podejrzewa mnie pani o prasową prowokację?

– Nie jestem w stanie panu pomóc. Do widzenia.

Kiedy wychodził, uśmiechnął się do niej smutno. Zapisała jego nazwisko na żółtej karteczce, którą ukryła potem na samym dnie szuflady.

Trzeba było pilnować zdrapki...

Cały czas miał ją przy sobie. Po prostu dlatego, że była w kieszeni. Zręczny złodziej o palcach iluzjonisty? Gdzie? W barze z kebabem, w kawiarni? Na ulicy? Twarze obcych ludzi nie dawały się zatrzymać, przypomnieć. Nie mówiły nic.

Kiedy był w domu, kurtka wisiała w przedpokoju. Spał głęboko. Tym razem zapomniał o zabawie z kawą. Być może znów miał gościa – w nocy, podczas snu?

Pochylił się nad deskami podłogi. Brązowe ziarenka nie nadawały się już do niczego. Sam je rozdeptał, wychodząc z domu, wracając. Założył, że ten *ktoś* nie ma klucza. Błąd.

Co było w tych wynikach, że trzeba było je przed nim ukryć?

Co zrobić, żeby przestać się bać?

Zrozumieć, o co w tym chodzi. A wcześniej zmienić zamek. Albo iść do hotelu. Jest niedziela.

Awaryjna wymiana zamków o każdej porze. Było tego mnóstwo. *Dorabianie kluczy non stop.* Więc z tym jego gość też nie miał wczoraj problemu. Ślusarz obiecał, że będzie za godzinę.

Człowiek od dorabiania kluczy był stanowczy.

– Na takie pytania, kto dorabiał, to mogę odpowiedzieć tylko policji. I ja, i koledzy też. Zresztą nie wiem.

Ciekawe. Etyka zawodowa.

Po wymianie zamka poczuł się lepiej.

CZĘŚĆ DRUGA
ZOOM

Rozdział IV

Tomek pracował nad tą sprawą naprawdę intensywnie. Przeszukał setki stron internetowych, wysłał dziesiątki pytań. Odbił wiele rozmów telefonicznych, za każdym razem wcielając się w postać, która była w stanie uwieść rozmówcę na tyle, na ile to było konieczne. Na wysypisku niepotrzebnych informacji znalazł te, o które mu chodziło. Brakowało już tylko kilku, żeby wykluczyć pewne absurdalne podejrzenie. Spodziewał się ich dzisiaj wieczorem.

Z dziurą w życiu sprzed kilku dni zdążył się już oswoić. Przestał gorączkowo trzymać w dłoni każdą zamówioną szklanekę, uwierzył w moc nowego zamka w drzwiach i skuteczność zamknięcia w plecaku. Pliki szyfrował nadal. Na wszelki wypadek sprawdził, jak się w Polsce dzwoni na policję.

Gdyby nie to, czego się teraz dowiadywał, śmiałyby się z tego.

Gdyby nie Bartosz Hubka i Roman Kranc. Mężczyźni, którzy byli blisko Zalipskiego, zanim zmarł.

Bartosz Hubka – cholernie przystojny góral z orlim nosem. Na obu zdjęciach, które dotarły do Tomka, ukryty na dalszym planie. Na pierwszej fotografii dyrektor wiejskiej szkoły kazał ustawić rzędem tych, którzy wybrali się do ogólniaka, nie do zawodówki. Hubka, wskazany potem przez nauczyciela strzałąką, chowa się za plecami trzech dziewczyn. Demonstracyjnie patrzy w drugą stronę. Po

przybliżeniu i powiększeniu wyszedł z tego całkiem męski, lekko tylko rozmazany profil.

Drugie zdjęcie, sprzed niespełna dwóch lat, wisiało – i wisi nadal – w londyńskim pubie, na ścianie, nad lśniącą dębową boazerią. Przedstawia wnętrze tegoż pubu, w którym odbywa się właśnie mała, ale kolorowa impreza. *Happy hour* dla wszystkich polskich klientów. Na pierwszym planie kilku znanych jazzmanów. Wznoszą kufle w gratulacyjnym geście. Bartosz Hubka został tamtego dnia współwłaścicielem lokalu. Ma go prowadzić wspólnie ze swoim przyjacielem, partnerem, którego rodzina tworzy klimat tego miejsca od pokoleń.

Obaj sprawiają wrażenie szczęśliwych, a może tylko pijanych. Przez kiepską lampę błyskową nie sposób już teraz tego sprawdzić.

Zdjęcia z archiwum policyjnego jeszcze do Tomka nie dotarły. Bartosz Hubka zginął w wypadku drogowym. Półtora roku temu, w sylwestrowy wieczór. Podczas pierwszego od czternastu lat wyjazdu do Polski. Prowadził samochód. Wiózł pasażera. Nazwisko pasażera Tomek ma poznać niebawem. Być może dowie się czegoś więcej. Londyński partner zmarłego umieścił na stronie swojego pubu nekrolog, zdjęcie i informacje o kolejnych mszach żałobnych. (...) *miałem nadzieję, że ktoś to w końcu zauważy. Bardzo, bardzo zależy mi na kontakcie z panem. Przemyślę pańskie pytania. Ale nie teraz, przez telefon, dobrze? Umówmy się na dłuższą rozmowę, bez mikrofonu, na Skype'ie. Może odpowiada panu...*

Za kilka godzin.

To był długi kurs. Z Ursynowa na Bielany. Kobieta kazała się podwieźć pod główną bramę cmentarza na Wólce. Ale powiedziała inaczej: Cmentarz Komunalny Północny. A właściwie wyczytała

z kartki. Przez całą drogę nie odezwała się ani słowem. A teraz zwlekała z wysiadaniem. Stała niezdecydowana, nie domykając drzwi.

– Jak pani nie wie, gdzie szukać, to proszę spytać tam, gdzie kwiaciarnia. Tam jest administracja, mają mapę.

– Ja mam mapę. Tylko wie pan... nie byłam tu od piętnastu lat.

Speszona, zatrzasnęła drzwi. To dobrze. Nie miał głowy do takich zwierzeń. Zawracał powoli, patrząc na nią przez boczną szybę.

– A może na panią zaczekać?

– Nie.

Szła już szybko, sprawdzając coś w swoich wydrukach. Nie skręciła w stronę kwiaciarni.

A on, kurwa mać, tak się na nią zagapił, że o mało co nie stuknął prawym przodem w lewy błotnik! W błotnik kolegi z tej samej firmy! Ledwo wyprowadził. Myślał, że się posika we wstydu. Na szczęście tamten nic nie zauważył. Sprawdzał licznik.

Klient tamtego – tak. Klient się przestraszył. Skurczył się cały na swoim siedzeniu, zmałał, w ramionach zgarbił. Jakby zobaczył przed sobą zderzak ciężarówki.

Nie można mu było nawet machnąć na przepraszam, bo twarzy nie było widać.

Ech.

A ona nie była przecież wcale taka pierwsza klasa.

W przeciwieństwie do Bartosza Hubki, o którym w kraju przez kilkanaście lat nikt nie słyszał, profesor Roman

Krantz był w Polsce osobą znaną. Przynajmniej w środowisku uniwersyteckim.

Być może Tomek straciłby trochę czasu przez drobną różnicę nazwisk (szukał przecież Romka Kranca), ale pozbawił go tej zabawy *Obserwator*. Spytany o trójkę studentów sprzed lat, bez słowa komentarza przesłał link do spisu publikacji znanego kolegi.

Inne źródła potwierdziły ten donos. Podczas rocznego urlopu dziekańskiego młody Kranc zmienił dwie litery w nazwisku. Decyzja – gdy chodzi o wierność korzeniom – całkiem uzasadniona. Kolejne etapy kariery naukowej zaliczał w przykładowym tempie, bez najmniejszych opóźnień. Stronił tylko od przedsięwzięć, które wymagały nieco większej aktywności – pewnych powiązań ze światem mediów czy polityki. Odrzucił kilka atrakcyjnych propozycji. Później zostało to szeroko skomentowane.

Prowadził lubiane zajęcia. Na wykładach zawsze miał komplet. Jednak najlepszy był w tłumaczeniach. Francuska literatura współczesna, poezja – po jednym z ostatnich przekładów pewien znany periodyk przyznał mu miejsce w pierwszej trójce tłumaczy w kraju. Z komentarzem, że jest najbardziej kreatywny z owej trójki.

Nigdy nie założył rodziny. Miał swoje małe, stabilne życie towarzyskie. Piątkowe piwo z kolegami z wydziału. Raz w tygodniu Dyskusyjny Klub Filmowy. Rajd narciarski dla zaawansowanych każdej zimy. Rozgrywki tenisowe wiosną. W porównaniu do barwnej roli, którą osoba z jego sukcesami mogłaby odegrać w warszawskim świątku artystycznym – dość skromnie.

Tomek odnalazł twarz Romana Krantza na wielu fotografiach. Na każdej z nich ktoś coś komuś wręczał lub przyznawał, ktoś kogoś witał albo żegnał, w okolicznościach co najmniej półoficjalnych,

szacownych. Na każdej z nich młody profesor był tak samo szaro ubrany, uczesany, uśmiechnięty, wpatrzony w odpowiedni punkt. Wtopiony w tło jak dyskretna, niezbyt wybijająca paprotka. Jedno z tych zdjęć, powiększone, zawisło na słomiance rolety. Obok ud Sandry i profilu buntowniczego górala. To właśnie, przy którym Tomek pomyślał po raz pierwszy, że to musi być kamuflaż. Że człowiek, który tak dba o brak ekspresji, ukrywa coś, na czym naprawdę mu zależy.

Prawdopodobnie Tomek uległ sugestii. Wiedział już, jaki jest słynny koniec historii tłumacza-poety. Podczas jednego ze służbowych wyjazdów do Paryża Roman Krantz zniknął. Nie dotarł na uroczyste spotkanie, które miało spore znaczenie dla jego pracy. Choć wyszedł z hotelu o odpowiedniej porze, w odpowiednim stroju, w stanie fizycznym i psychicznym, który nie zwrócił niczyjej uwagi. Wyszedł i nie wrócił donikąd. Nie znaleziono jego ciała. Nie ujęto nikogo, kto posługiwałby się którymkolwiek z jego dokumentów, nikogo, kto by odpowiadał jego rysopisowi, był nie w pełni władz fizycznych albo umysłowych, nie umiał udowodnić własnej tożsamości. Z Sekwany nie wyłowiono w tym czasie żadnych podejrzanych zwłok. Żaden ze stu osiemdziesięciu samobójców, którzy wybrali w owym roku śmierć w paryskim metrze, nie był Romanem Krantzem.

Jednak nie można powiedzieć, że zginął bez śladu.

Zostawił w recepcji list.

Napisany w pośpiechu, jego ręką, na trzeźwo, pod wpływem emocji, jednak nie aż tak silnych, żeby sugerowały niepoczytalność. Taka była opinia grafologa. Podpisany i opatrzony datą. Niezaadresowany. Sądząc z treści – przeznaczony dla policji.

Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie szukał. Proszę to potraktować jako moje życzenie, świadome i poważne. Nie zwariowałem. Nie wrócę. Mam prawo zniknąć, więc znikam. Nie popełniłem przestępstwa. Nie mam żadnych zobowiązań. I tak nie dam się znaleźć. Ale wolałbym uniknąć problemów. Mam do tego prawo.

Roman Krantz

(To znaczy – od teraz już nie. Romana Krantza nie ma).

List nie spoczął na zawsze w archiwum policyjnym. Miał krótkie, ale intensywne życie. Jego kopia została sprzedana prasie. Scenariusz, który miał tłumaczyć zaginiony Polak, już wcześniej zyskał otoczkę bulwarowych sensacji. Każda kolejna, choćby najdrobniejsza, miała swoją cenę.

Z paryskiej popołudniówki treść listu trafiła do internetu, wzbudzając spore podniecenie polskich studentów. Ich profesor, który rzucił wszystko, stał się nagle postacią kultową. Nocne czaty, grupy dyskusyjne, coraz bardziej fantastyczne wspomnienia o nim. Informacje z pierwszej, drugiej i trzeciej ręki o jego nowym życiu – gdzieś pod ziemią, w tunelach metra, w tajnych, niedostępnych kręgach. Wspominane powody odejścia – miłość, homoseksualizm, nonkonformizm, przestępstwo, szaleństwo, mądrość, chęć prawdziwego oczyszczenia, skurwienie, w dosłownym znaczeniu tego słowa, mania prześladowcza – wzbudziły prawdziwe bitwy na słowa. Dla osób głodnych sensacji zdarzenie było iskrą. Tomek czytał to wszystko bez specjalnej nadziei na choćby ślad prawdy, jednak ze sporym, powiedzmy, socjologicznym zainteresowaniem.

Dość szybko o nim zapomnieli.

Francuska policja też. Dzięki naciskom polskiej ambasady przeprowadzono śledztwo, jednak jego celem było jedynie wykluczenie śmierci, choroby i przestępstwa. Nie szukano śladów, nie odtwarzano potencjalnych scenariuszy ucieczki. List spełnił swoje zadanie – odebrał całej sprawie impet. W odpowiednich bazach i rejestrach, wśród wielu próbek DNA, które mają kiedyś zwrócić martwym ciałom nazwiska, czekają na swoją kolej włosy profesora. To tyle.

Trzy miesiące po tym, jak Bartosz Hubka zginął na oblodzonej szosie, Roman Krantz zmarł śmiercią cywilną.

Po powrocie z cmentarza Sandra Arsztrejer włączyła komputer. Wpisała login i hasło do poczty i zniknęła na chwilę w łazience. Wracając, wytarła mokre dłonie w spodnie. Na ekranie czekała nowa wiadomość. Sandra zastygła na kilka sekund, widząc adres nadawcy. Gdyby ktoś – dajmy na to, mechanik instalujący żaluzję – obserwował teraz jej reakcję, uznałby, że wiadomość ma przynieść jakieś rozstrzygnięcie. Coś, co kieruje życie w dobrą lub w złą stronę.

Takich maili nie otwiera się natychmiast, lecz w zwolnionym tempie, przedłużając o jeden spokojny oddech moment, kiedy jeszcze nie wiadomo, co z nich wyniknie.

Tak właśnie zrobiła Sandra. Po czym skierowała kursor na *usuń* i kliknęła myszką. Bez czytania, bez otwierania – jak spam. Potem *Opróżnij kosz*. A jednak coś ją zatrzymało.

Być może krótki tytuł: *Błąd*. Otworzyła wiadomość.

To wielki błąd. Wycofaj się. Ostrzegam, że powstanie poważniejszy problem.

Jeszcze raz proszę o spotkanie. Czas i miejsce – dowolne.

Twarz Sandry na ułamek sekundy zmarszczył spazm bezsilnej złości. Kiedy podobny wyraz przybiera w filmie twarz aktora, bardzo prawdopodobne, że zaraz zada on zwiniętą pięścią kilka silnych ciosów najbliższej ścianie. Albo karoserii samochodu. Może, jeśli jest kobietą, oszczędnym ruchem zrzuci na podłogę wazon ze szlachetnej porcelany.

W życiu chyba tak nie jest.

Siedząc przed ekranem, Sandra splotła dłonie na karku. Ściągnęła łopatkę, przechylając się do tyłu, aż jedna z jej stóp musiała poszukać równowagi, zahaczając o nogę krzesła. Gest przypominał leniwe, może zmęczone, płynne przeciągnięcie się. Opuściła dłonie na klawiaturę. Przyczepiła do wiadomości etykietkę w postaci zwykłej kropki, a potem przeniosła mail do oddzielnego folderu pozbawionego nazwy.

Wstała i poszła sobie zrobić kawę.

Skype.

Zapis rozmowy między: Tomek Dybruk i John Campbell.

Data 09.07.2009; godz. 21.30:

John Campbell:

Dobry wieczór. Mam dużo do powiedzenia i tyle czasu, ile będziemy potrzebować. Wolałbym nie włączać mikrofonu. Możemy pisać?

Tomek Dybruk:

Dobry wieczór. Tak, ale przepraszam – mój angielski jest szkolny. Czy może być francuski?

John Campbell:

Nie, zapomnij. Nie przejmuj się błędami. Jak czegoś nie zrozumiesz, pytaj. To ty mi robisz uprzejmość. Ja, niestety, nie znam wcale twojego języka.

Bart nauczył mnie po polsku tylko kilku słów.

Takich, które się nam chyba nie przydadzą.

Tomek Dybruk:

OK.

John Campbell:

Głupia aluzja. Ale specjalnie tak zaczynam. Jak mam przed tobą udawać, że między mną a nim nic nie było, to ta rozmowa nie będzie miała sensu.

Tomek Dybruk:

Nie musisz niczego udawać.

John Campbell:

To już się nie będę popisywał.

Tomek Dybruk:

Przeczytałeś moje pytania?

John Campbell:

Tak. Ale z tym jest kłapa. Nie umiem odpowiedzieć na żadne z nich.

John Campbell:

Nie rozłączaj się. Na prawie żadne. Nie stracisz czasu, nie chodzi mi o zwierzenia. Mam dla ciebie coś innego. I to ja mam do ciebie prośbę. Ale po kolei.

Tomek Dybruk:

Pisz, jestem.

John Campbell:

Chcesz pisać o śmierci jego przyjaciela. Pytasz o Barta przeszłość. Problem w tym, że ja nic nie wiem o jego przeszłości. Nie miałem pojęcia

o jakimś przyjacielu, który przedawkował. Ani o żadnym innym przyjacielu.

John Campbell:

Bart pochodził z zapadłej podhalańskiej wsi. Jako jedyny facet ze swojej szkoły dostał się na studia. Przerwał na drugim roku. Przyjechał do Londynu do roboty. Jak wielu. Nie miał żadnych znajomych z Polski. Żadnych kontaktów. Nigdy tam nie wyjeżdżał. Po raz pierwszy – wiesz.

Nigdy o tym nie opowiadał.

Ja nie pytałem.

Po prostu, rozumiesz, myślałem, że nie ma o co pytać.

Że mu tam coś kompletnie nie wyszło. Że się tego wstydzi.

A ja – London School of Economics i inne takie rzeczy.

Nie pytałem i to był błąd.

Tomek Dybruk:

Nie znałeś jego rodziny?

John Campbell:

Znałem. Byliśmy ze sobą przecież osiem lat. Jego rodzice – para wiejskich staruszków. Nie odwiedzał ich. Dwa razy zgodzili się spędzić tutaj, razem z moją rodziną, Christmas. Wyobrażasz sobie, jacy byli dzielni, przyjmując zaproszenie?

Tomek Dybruk:

Tak. Pewnie po raz pierwszy lecieli samolotem i nie mówili po angielsku. Poza tym, wiadomo.

John Campbell:

Miał jeszcze starszego brata. Spotkali się kilka razy, tutaj. Ale on mnie nie akceptował. Nie poznaliśmy się nawet. Homofob. Widziałem go tylko na pogrzebie. Potem nie odpowiadał na żadną formę prośby o kontakt.

To znaczy listy do niego na adres rodziców. Nie mam innych jego namiarów. Imię – Andrzej. Jak chcesz, możesz go sam znaleźć.

Tomek Dybruk:

Znajdę.

John Campbell:

To był naprawdę dobry związek. Mimo tego wszystkiego.

John Campbell:

Myślałem, że wyślesz „?”.

Tomek Dybruk:

?

John Campbell:

Teraz dochodzę do tego, po co z tobą rozmawiam.

To był naprawdę dobry związek, mimo że Bart miał zupełnie inny pomysł na życie niż ja.

Nudny.

Praca bez ambicji, dom, książki, filmy, muzyka. Alkohol pod kontrolą. Jak znajomi – to moi znajomi. Wyjazdy – utarte trasy. Nic w jego życiu nie mogło mnie zaskoczyć.

Jak sobie z tym radziliśmy, to inna bajka, nie dla ciebie.

Ale radziliśmy sobie.

John Campbell:

Dwa miesiące przed jego śmiercią wszystko się zmieniło. Najpierw zaplanował ten wyjazd do Polski, w pierwszym wolnym czasie, zaraz po świętach. Na dwa tygodnie. Po raz pierwszy od czternastu lat. Sam.

Cieszył się tym.

Potem zapowiedział, że następnym razem mnie też zabierze. Wiosną, na narty. Chciał – wyobraź sobie – chciał mi pokazać te swoje góry.

Zgodził się zostać współwłaścicielem pubu. Wreszcie. Jak go poznałem, był kelnerem. Po pewnym czasie dostał część zarządzania. Nie tylko dlatego, że ze mną spał. Nadawał się. Koncerty jazzowe i tak dalej. Umiał to robić. Ale zawsze w cieniu. A teraz się zgodził. Widziałeś zdjęcie? Jasne, widziałeś. Dlatego mnie znalazłeś.

Miał pełno innych planów.

Nie pytałem, skąd ta zmiana. Nie chciałem jej spłoszyć. Było fajnie. Myślałem, że sam mi powie. Może u siebie w górach. Nie zdążył. 28 grudnia wyjechał, 31 zginął.

Tej nocy świetnie się tu bawiłem.

Dowiedziałem się dopiero na kacu, następnego dnia.

Potem, długo potem myślałem nad tym, jakie to, kurwa, niesprawiedliwe. Że odżył dopiero dwa miesiące przed śmiercią. Bo on odżył, rozumiesz? Tak to teraz widzę. Wtedy to do mnie nie całkiem docierało.

Jesteś tam jeszcze?

Tomek Dybruk:

Jestem.

John Campbell:

No i dostałem pierdolca. Musiałem to zrozumieć. Dowiedzieć się, czemu akurat wtedy. Co się stało. Dlaczego tak. Jego życie tutaj, w Londynie, znałem od podszewki. Aż za dobrze. Każdy ruch. Ale mimo to ktoś mi pomógł jeszcze raz to przeświecić. Nic. Kochanek, kobieta – zapomnij. Nic dziwnego, nic nowego się wtedy nie zdarzyło. Rutyna. Nic.

Została mi Polska. Polska, czyli przeszłość. Bo przecież jakiś powód, gdzieś, kiedyś, musiał być. A tylko o Polsce, o przeszłości nic nie wiem.

Ale z tym sam nic nie mogę zrobić. Nie umiem. Poddąłem się.

Wsadziłem tylko te zdjęcia i podpisy w internet i czekałem, aż ktoś mnie znajdzie.

Rozmawiałbym z każdym.

Nie wiem, czy rzeczywiście jesteś dziennikarzem, ale mniejsza z tym. Już mi dużo dałeś. Nie znałem tej historii ze studiów.

Piszesz sobie o tamtym chłopaku, Zalipskim.

Proszę cię o jedno – przeświatl też życie Barta z tego czasu. Na ile jesteś w stanie. Wiele ci to w planach nie zmieni. Spisz i mi dostarcz. Potraktuj to jako zlecenie. Możesz mnie uznać za wariata, ale ci zapłacę. Przypuśćmy, zwrot kosztów za twój czas. Chcesz teraz porozmawiać o kwocie?

Tomek Dybruk:

Nie wiem. Nie teraz. Zaskoczyłeś mnie. Muszę to przemyśleć.

John Campbell:

Jasne, sprawdź stawki. Zwrot kosztów, a nie pensja detektywa. Napisz mi jutro.

Tomek Dybruk:

Napiszę, jak się zdecyduję. Nie wiem, czy umiem dać ci coś, za co warto byłoby płacić.

John Campbell:

Lol. Na pewno umiesz.

John Campbell:

Przepraszam. Zaczynam być pijany. Ta rozmowa nie jest dla mnie taka prosta, jak ci się wydaje. Kończmy już.

Tomek Dybruk:

Poczekaj. Co sądzisz o samym wypadku?

John Campbell:

A co mam sądzić?

Tomek Dybruk:

Czy to na pewno był wypadek.

John Campbell:

Co? Czy czegoś nie podejrzewam?

Myślałem, że to mnie odbija, ale ty chyba jesteś większy wariat.

Nie, niczego nie podejrzewam.

Polska policja to zbadala. Nie mieli żadnych wątpliwości. Wszystko jasne. Obludzona jezdnia, nadmierna prędkość, poślizg. Bariierka, odbicie, słup. Udusiła go jego własna poduszka powietrzna. Gdyby nie to, przeżyłby.

Nie miał nawet alkoholu we krwi. Ale przez całe życie jeździł lewą stroną. Złe odruchy.

Nie, w tym nie było nic dziwnego.

Zawsze się bałem, że tak skończy. Świetnie prowadził, ale jeździł jak wariat. Taki sam był na nartach. I w seksie. Tak jakby wychodziła na wierzch druga strona jego natury, którą normalnie chował gdzieś głęboko.

Lol. Ale mi to wyszło.

Tomek Dybruk:

Prosiłem cię o sprawdzenie kilku nazwisk.

John Campbell:

O, to ci odpowiem na dwa z twoich pytań.

Żadnego z tych nazwisk nie ma w jego kontaktach. Ale miałem sprawdzić jego pasażera. Sprawdziłem. Ta dziewczyna, co wyszła z wypadku z pociętą twarzą i złamaną ręką, co jeszcze była w szpitalu, jak był pogrzeb, nazywa się właśnie Sandra Arsztrejer.

John Campbell:

Jesteś tam?

John Campbell:

Jesteś?

Tomek Dybruk:

Rozmawiałaś z nią o tym?

John Campbell:

Nie odnalazłem jej.

John Campbell:

To co, napiszesz mi coś o nim?

Tomek Dybruk:

Spróbuję. Teraz muszę kończyć. Wyślę ci maila.

John Campbell:

Spróbuj. Kochałem go.

Sandra Arsztrejer wyciągnęła na środek pokoju brązową walizkę. Wytarła zakurzony wierzch wilgotną ściereczką. Zdarła z plastikowej rączki stare lotnicze banderole. Rozsunęła zamek i podniosła wieko. Oglądała przez chwilę z lekkim zaskoczeniem czarne zamszowe buty o wysokich cholewkach. Wyniosła je do przedpokoju i postawiła w kącie.

Wypełnienie walizki po brzegi zajęło jej zaledwie kilka minut. Nie mierzyła sukienek, nie rozkładała marynarek, żeby sprawdzić, czy pasują do nich nowe bluzki. Nie było po niej widać nawet śladu przyjemności, którą sprawia czasem kobietom łączenie stroju z nadziejami.

Kiedy skończyła pakowanie, przygotowała sobie ciepłą, ciekawie pachnącą wannę bez piany, prostego, mocnego drinka w zasięgu ręki i książkę Joyce Oates, *Dziewczyna z tatuażami*.

Zanurzyła się w tym jak człowiek, który chce przed zaśnięciem o czymś zapomnieć.

od: Tomekdbr@gmail.com

do: Caillou4o517@noos.fr

data: 07 lipca 2009 12:30

Mon Cher Ami,

Chciałbym Cię prosić o przystupę.

Na Twój specjalny adres wysyłam materiał – zestaw nazwisk, adresów, terminów – dotyczący krótkiego pobytu pewnego człowieka w Paryżu.

Proszę, sprawdź dla mnie, czy potrafisz znaleźć jakikolwiek związek między nimi a kobietą o nazwisku Sandra Arsztrejer.

Sprawa nie ma nic wspólnego z Dominique, ale ona wie, że się do Ciebie zwracam.

Przelew już zrobiłem.

Pozdrawiam

T.

od: Caillou4o517@noos.fr

do: Tomekdbr@gmail.com

data: 08 lipca 2009 22:30

Tomek, ty nubie!

Przystąłeś mi żenująco niekompletny materiał. Po tym, co sam dodałem, muszę wykonać całą robotę jeszcze raz. Gdyby nie to, miałbyś już odpowiedź – ale nie masz. Musisz poczekać.

Cholera, było między nimi pewne podobieństwo. Mniejsza z tym, jakie. Tomek polegał na wrażeniu, nie miał ochoty tego dopowiadać. Studiował psychologię – wiedział, czego nie wie. Jak łatwo wszystko uprościć, wpakować w schemat.

Nie mogli się spotkać wtedy, w Polsce. Kiedy Bartosz przyleciał tu przed śmiercią, Krantz spędzał święta u wuja, w Niemczech. Być może nie mieli żadnych kontaktów przez tych kilkanaście lat.

Tomek odnalazł i kupił w Empiku tomik wierszy i zbiór opowiadań, tłumaczonych przez Krantza. Jedno z nich czytał już wcześniej, w oryginale. Był pod wrażeniem. Rzeczywiście bardzo dobry przekład – tak się złożyło, że umiał to docenić. Po kilku latach z Dominique myślał już po francusku. Swoimi własnymi środkami, na granicy wierności tekstowi Krantz oddał to samo, co francuski autor. Ironię, smutek, zamknięcie, wycofanie – u bohatera związane z życiem przeszłością. Trzeba do tego talentu. A może trzeba to czuć.

Znów skojarzenie z opowiadaniem Anglika o Hubce.

Narkotykowa śmierć przyjaciela – oczywiście, może zostawić ślad na całe życie.

Czy jest w tym wszystkim coś jeszcze?

Czy to, co sprawiło – jeśli wierzyć Anglikowi – że Hubka odżył, mogło być powodem nagłego zniknięcia Krantza?

Stop.

Tomek miał jeszcze o tym nie myśleć. Na razie to, co mówił Anglik, ma zostać z boku. To jeszcze nie jest temat. Być może Anglik to wariat. Człowiek, który nie umie się pogodzić z bólem, czuje potrzebę akcji, sztucznie ją tworzy. Jeżeli nie – będzie można wrócić do tego później. Teraz problemem jest wypadek. Śmierć Bartosza.

Absurdalne podejrzenie, które Tomek chce wykluczyć. Bardzo chce. Bo jest według niego głupie. Oparte na naiwnych podstawach.

Jednak pewne, chociaż naiwne podstawy są, więc na razie wykluczyć go nie może. Potrzebuje do tego kilku informacji. (*Żenująco niekompletny materiał* – cholerny haker, nie mógł napisać wprost). Czekając na nie, rozmyśla o tak mętnych tropach, jak przekład Krantza.

Niezależnie od tego, czego się dowie, jutro spotka się znowu z Sandrą Arsztrejer. O ile ona zechce otworzyć mu drzwi. Tym razem na serio. Po odebraniu maila od Caillou.

Jutro.

Teraz już można iść spać.

Udusiła go jego własna poduszka powietrzna.

Wieczór przed nocą sylwestrową. Kolorowe choinki, blade światełka na drzewach. Dyskotekowe rytmy w mijanych wsiach. Prędkość odbiera temu obrazkowi cukierkowy spokój.

Punkciki świateł stają się smugami niknącymi w ciemności tak nagle, jak się pojawiły. Wszystkie trzy lusterka atakują oczy chaosem mroku i nagłych błysków. Muzyka krzyczy przez chwilę, potem ginie w jednostajnym szumie wycieraczek i nocnej ciszy.

To wszystko jest na zewnątrz, nie ma znaczenia.

Ciepły samochód, jak bezpieczny kombinezon kosmonauty, oddziela ich od dziwnie nierealnego świata poza karoserią.

Mężczyzna czeka.

Z napięciem wiążącym się z czekaniem radzi sobie na swój sposób. Tańczy z prędkością. Delikatnie przyspiesza przed łagodnym skrętem. Kiedy trzeba, w ostatniej dobrej chwili zdejmuje nogę z gazu. To on prowadzi w tym tańcu. Prędkość mu się poddaje. Posłuszna dłoniom na kierownicy, stopom, pozwala mu czuć, że panuje nad jej siłą, którą sam budzi.

Sprawia mu to przyjemność.

Czeka na słowa. Ważne słowa, swoje albo jej. Kobiety, która spokojnie siedzi obok, nie przejmując się jego tańcem.

Muszą być ważne. Inaczej nie byłiby teraz tutaj, obok siebie.

– Czy praca w pubie ci odpowiada? Nie chcesz już szukać niczego nowego?

– Lubię wymyślać życie tego pubu. Te wszystkie koncerty jazzowe, wiesz, ten cały klimat. Naprawdę to lubię.

To oczywiście nie to. Takich zdań jak te było już wiele. Jeszcze nie nadszedł właściwy moment.

Cisza między nimi nie jest naturalna. Zbyt słabo się znają. Muszą ją zagłuszać. Być może teraz jego kolej na zdanie zastępcze. Myśli nad nim.

Wtedy odbiera impuls.

Silny, gwałtowny sygnał. Nagłe zburzenie porządku przestrzeni. Atak ruchu, dźwięku. Zanik równowagi. Nie ma już czasu myśleć. Reaguje instynktownie. To dobrze. Instynkt jeszcze nigdy go nie zawiódł.

Siła pierwszego uderzenia daje zmysłom znać, że to nie koniec. Mężczyzna jeszcze nie zdążył poczuć bólu. Ostatnim ruchem rąk na

kierownicy próbuje zatrzymać świat na zewnątrz. Spowolnić. Osłabić. Odebrać mu impet.

Udaje mu się. Chyba. Trochę. Tak czuje, tak rozumie, kiedy już może rozumieć i czuć. Bo przecież świat zastygł. Ruch zamarł. Trzask zmienił się w jęk skrzywdzonej blachy. Przyszedł ból, ale przecież ból można znieść. Trzeba tylko powstrzymać to, co miażdży twarz. Powstrzymać szybko, bo nadchodzi strach. O siebie i o kobietę.

Ale to, co miażdży twarz, nie ustępuje. Napiera mocniej. Coraz mocniej. Zabiera mu ostatni oddech.

Teraz kobieta.

Jej „właściwy moment” nadszedł cztery minuty temu. Wzrok mężczyzny, utkwiony na granicy kręgu długich świateł samochodu. Jej – analizujący strukturę pobocza. Krótki, szybki ruch dłoni, szarpnięcie za dolną część kierownicy. Ułamek sekundy wystarczył. Piękny poślizg. Pozycja obronna. Świadomość ryzyka. Musiała wiedzieć o ryzyku, liczyć się z nim. Jak w rzucie monetą.

Po kilku sekundach sytuacja się wyjaśnia. Tylko on miał poduszkę powietrzną, która się otworzyła. Wystarczy teraz oprzeć się o nią lewym ramieniem. Jak przy czytaniu. A może to za mało. Może trzeba wtulić się w nią całą górną częścią ciała – jak ktoś, kto chce się w poduszkę wyplakać – kalecząc przy tym twarz kawałkami rozbitej szyby. Na trzy minuty. Może trochę więcej, dla pewności.

Potem wystarczy zadzwonić na pogotowie, okryć się czymś i czekać.

Gdyby to był tylko sen, byłoby łatwiej. Tomek obudziłby się teraz, zapalił, pokręcił głową z politowaniem. Zajął się czymś sensownym. Poszedł znowu spać, przekonany, że to się nie powtórzy. Ale to było, niestety, w pełni świadome. Seans zmęczonej wyobraźni, niedającej mu zasnąć. Film pod powiekami. Odpędzany na różne sposoby,

wracał znowu. Miał w sobie coś hipnotycznego. Kusił na różne sposoby. Także przez to, że nie był całkiem jasny. Tomek nigdy nie miał do czynienia z poduszką powietrzną.

Wstał, żeby ją sobie obejrzeć w internecie. Poduszkę. Na pewno jest pełno filmików reklamowych.

Dopiero wtedy umiał się zatrzymać.

Przecież te wszystkie absurdalne myśli zaleęły mu się w głowie przez jedno głupie zdanie.

Jedno jedyne zdanie w logicznym, dobrze napisanym, mocnym liście Sandry, które było głupie, egzaltowane, infantylne. Wśród innych zdań zniknęło. Wyrwane z kontekstu, wzbudzało zażenowanie. Histeryczny wykrzyknik dziewiętnastoletniej panienki.

(...) A jeśli rzeczywiście nie ma w tym drugiego dna, jeśli Ty tak po prostu, tylko dla zabawy przestałeś być sobą, to ja ich wszystkich zniszczę – całą trójkę. Prędzej czy później. Wiesz, do czego jestem zdolna (...).

Przywiązywać do tego znaczenie – myślenie na granicy obłądu.

Zemsta – po czternastu latach? Przecież to nie grecki dramat. *Kill Bill* też raczej nie. W życiu coś takiego się nie zdarza.

Ale Bartosz Hubka nie żyje, a Krantz zniknął. Z listem dzieją się dziwne rzeczy.

Ze śmiercią Hubki Sandra miała pewien związek, nawet jeśli była tylko drugą ofiarą wypadku. Czy ze zniknięciem Krantza – odpowie Caillou.

Jest jeszcze Marta Rymanowska.

Na szczęście Marta to osobny rozdział. Myśląc o niej, można całkiem przyjemnie zasnąć – zwłaszcza, gdy się jest mężczyzną.

Rozdział V

Marta Rymanowska. Na zdjęciu od koszmarnej Alicji Nowak, w odsłonie sprzed szesnastu lat. Zbyt szczupła dziewczyna w skórzanej kurtce i martensach. Czarne, krótkie, zjeżone włosy z kilkoma granatowymi pasmami. Reszta – bez śladów stylizacji. Lekki, tradycyjny makijaż, nieśmiały uśmiech przeznaczony dla kogoś, kto nie zmieścił się w kadrze. Długie nogi, ładnie, pozornie niedbale splecione na blacie stolika, na którym siedzi dziewczyna. W ostatnim rzędzie, w sali wykładowej – przypadkowe tło dla roześmianej koleżanki.

Wydruk powiększonego fragmentu zawisł na rolecie Tomka.

Tych nowych zdjęć, z ostatnich kilku lat, nie trzeba było powiększać, drukować ani wieszać. Jest ich pełno, do woli, wystarczy kilka kliknięć.

Marta Rymanowska, od ślubu Marta Johnson, żyje i ma się dobrze. Ma własne konto na Facebooku i własną stronę internetową. Nie wymienia na nich panieńskiego nazwiska. Nic dziwnego. Są przeznaczone dla grupy jej znajomych ze Stanów. Wbrew pozorom – wcale nie są nudne. Ale po kolei.

Marta mieszka pod Nowym Jorkiem, w Newark. Nie ma stałej pracy, nie szuka jej. Ma dwójkę dzieci – sześciolatniego syna i trzynastoletnią córkę. Jej mąż, na oko starszy od niej o jakieś pięć lat, jest kaskaderem. Marta pisze teksty dla małego nowojorskiego

kabaretu, a dla siebie krótkie opowiadania. Nie próbuje ich publikować. Wszystkie umieszcza na swojej stronie. Krótkie, dowcipne, czasem realistyczne, czasem całkiem fantastyczne historyjki z zaskakującym zakończeniem i wyraźnym wątkiem erotycznym. Nie są wulgarne, raczej prowokacyjne, aluzyjne, pełne niedopowiedzeń. Czytając je, Tomek miał wrażenie, że stanowią rodzaj gry, zrozumiałej tylko dla wtajemniczonych. Że w jakiś sposób, może przekorny, nawiązują do czegoś, co dzieje się w kręgu jej znajomych, w jej świecie. Komentarze pod każdym z tekstów, zawsze od tych samych kilku osób, potwierdzają ten domysł. Dla obcego nie są całkiem zrozumiałe.

Marta prowadzi też blog. Nie opisuje w nim swojej codzienności. Wpisy pojawiają się rzadko, opowiadają o zdarzeniach widzianych z boku, o intrygujących sytuacjach z ulicy, z kawiarni, ze sklepów, o szczególnym wyglądzie albo zachowaniu obcych ludzi. Pojedyncze kadry, które mogłyby stać się załączkiem dłuższej historii. Prawdziwe albo zmyślane, trudno ocenić. Być może autorka ma pewien talent, ale – przynajmniej na pierwszy rzut oka – kompletnie się tym nie przejmuje. Nie zamierza tego wykorzystać inaczej niż dla zabawy.

Zdjęcia Marty są jak jej opowiadania. Erotyczne, śmiałe, prowokacyjne. Jednak bez przesady. Każde z nich może pokazać swoim dzieciom, a mimo to robią wrażenie. W jakiś sposób udało jej się to pogodzić.

Nadal ma krótkie, czarne włosy, choć teraz ostrzyżone kobieco, delikatnie, modnie. Przestała być zbyt szczupła. Jest dojrzałą, atrakcyjną kobietą o pełnych kształtach, która wciąż jeszcze dobrze wygląda w dzinsach, a najlepiej w bikini. Straciła dziecięcą subtelność rysów. Zyskała umiejętność współpracy z obiektywem.

Przypomina trochę Lizę Minelli.
Wszystko razem – interesujące.

Tomek obudził się po czterech godzinach. Chciał zasnąć znowu, bo zobaczył na wyświetlaczu budzika siódmą piętnaście. Był zmęczony i zły na siebie. Tego dnia miał przecież tylko odebrać jeden ważny e-mail, po raz kolejny spróbować kontaktu z Martą, umówić się na wieczorne spotkanie z Sandrą. Mógłby spać do dwunastej. Miał przecież, do cholery, wakacje.

Umówić się na wieczorne spotkanie z Sandrą.

Stąd to całe napięcie. Głupie, wkradające się w sen wrażenie, że jak nie wstanie natychmiast, o świcie, to nie zdąży. Stan pobudzenia, przez który wszystkie dźwięki z ulicy wydawały się głośniejsze niż w rzeczywistości, a delikatne światło drażniło powieki. Zmęczona, poranna bezsenność.

Wstał, włączył komputer, wrócił do niego po chwili z kawą i papierosem. Otworzył pocztę.

od: Caillou4o517@noos.fr

do: Tomekdbr@gmail.com

data: 10 lipca 2009 04:30

Tomek,

twoja Sandra Arsztrejer w podanym przez ciebie czasie posługiwała się nazwiskiem Sandra Monkson. Jej rozwód z mężem, Oskarem

Monksonem, z którym żyła od kilku miesięcy w separacji, jeszcze się wtedy nie zalegalizował.

Zamówiłeś zbadanie związku:

Brak możliwości do stwierdzenia związku z osobami i zdarzeniami.

Związek czasu i miejsca:

Materiał dotyczy 25–28.03.2008.

Od 28.03 do 01.04.2008 Sandra Monkson była zameldowana w Hotel les Hauts de Passy w Passy, przy Rue de l'Annonciation. Po przeciwnej stronie ulicy znajduje się Hotel Aero, w którym mieszkał interesujący cię R.K.

Hotel wystawił fakturę na szwedzką firmę turystyczną Impressive S.A., w której Sandra Monkson była zatrudniona do 03.11.2007. Potem brała tam zlecenia. Jej były mąż, Oskar Monkson, pracuje dla tej firmy do teraz. To tak na marginesie, bo myślę, że nie wiesz.

Fakturę na pokój dwuosobowy

Trudniej to było sprawdzić, niż ci się wydaje. Gdybyś nie był od Dominique, tym jednym przelewem byś się nie wypłacił.

Jeżeli potrzebujesz czegoś więcej, zrób następny.

Tylko, z łaski swojej, sprawdź dobrze chociaż nazwisko.

Więc jednak. Przynajmniej wiedział. Na klawiaturę komputera spadł, niestrzepnięty w porę, popiół z wypalonego papierosa Tomka.

Sandra skończyła makijaż. Sprawdziła w lustrze swój szeroki uśmiech. Uznała, że jest za mało radosny. Żeby uczynić go bardziej wyrazistym, lekko powiększyła usta kredką. Spakowała kosmetyczkę do torebki. Zamknęła okno. Wsadziła kluczyki od samochodu do

lewej kieszeni dzinsów. Włożyła wygodne buty na płaskim obcasie. Przewiesiła przez ramię torbę z komputerem. Podniosła z podłogi brązową walizkę. Podeszła do drzwi. W tym momencie zadzwonił jej domowy telefon.

Nie zawróciła, żeby go odebrać. Zatrzymała się tylko w drzwiach, słuchając.

...proszę zostawić wiadomość po długim sygnale.

Dzień dobry, mówi Tomek Dybruk.

Bardzo proszę o spotkanie – jeżeli to możliwe, dziś wieczorem. Musimy porozmawiać. Rzecz nie dotyczy mojej ostatniej propozycji. Mam dla pani poważną ofertę, związaną z materiałem, który od pani dostałem. Będę jeszcze dzwonił. To... miłego dnia. Do usłyszenia. Dziękuję.

Długi sygnał.

Sandra wyjęła papierosa. Zapaliła go powoli, wydmuchując dym na schody. Czy ten władczy, zdecydowany, a jednocześnie uprzejmy, przyjazny, jakby poufały głos, obiecujący więcej, niż mówią słowa, głos, któremu trudno się oprzeć, w pewnym momencie zadrżał?

To nie pasowało do całego obrazu.

Mniejsza z tym.

Wyszła na zewnątrz, zatrzasnęła drzwi. Zamknęła je na klucz, trzymając papierosa w ustach tak, żeby nie zetrzeć filtrem świeżo nałożonej kredki.

Chciał wejść do gorącej wanny, a potem wziąć zimny prysznic. Żeby pomyśleć sensownie, a nie tak jak teraz. Mail od Caillou mówił mu wiele, może zbyt wiele. Tomek znał dobrze to miejsce. Rue de

l'Annonciation. Mała, wąska uliczka, zamknięta dla samochodów. Z okien widać to, co dzieje się w mieszkaniach po przeciwnej stronie. Tętniąca życiem, szczególnie wieczorami, jednak – jak na Paryż – niezbyt tłoczna. Bez tłumy turystów. Powolny rytm odpoczynku, luzu, relaksu. Przyjazna mieszanka zapachów: gotowanych maż, ciepłych bagietek, kawy. Trudno w pamięci rozbić na poszczególne elementy ciąg kawiarni ze stolikami na zewnątrz, restauracji, straganów z owocami.

W Paryżu zimy są ciepłe. W marcu ulica żyje. W chłodniejsze dni kawiarnie wystawiają na zewnątrz podgrzewacze w kształcie metalowych parasoli. To wystarczy. Stoliki ustawione są przecież blisko – tak blisko siebie, że siedząc przy jednym z nich, jesteś czasem bliżej swojego sąsiada niż partnerki czy partnera. Dystans dzielący cię od partnera wybierasz sam – w ramach przeznaczonej dla was przestrzeni.

O sąsiada ocierasz się czasem plecami, ramieniem albo udem, nie zwracając na to uwagi. Jesteś cały czas w jego zasięgu, chociaż żadnemu z was to nie przeszkadza. Ignorujecie się w przyjazny sposób. Jego rozmowa przepływa obok ciebie, chociaż możesz słyszeć wyraźnie każde słowo. A on czuje zapach twojego wina.

Właśnie tam – Sandra Arsztrejer i Roman Krantz. W dwóch podobnych pokojach, które dzieli ulica i kilka ścian. W jednym dniu – dniu zniknięcia Krantza.

Przypadkowa zbieżność?

W promieniu kilometra jest pewnie kilkadziesiąt podobnych hoteli. Wiele podobnych ulic. Miejsce nie należy chyba do tych, które mieszczą się w pierwszej dziesiątce przewodnikowych tras.

Nie jest szczególnie tanie ani szczególnie reprezentacyjne. Raczej normalne. Przypadkowa zbieżność zawsze jest możliwa, jednak.

Potrzebował kontaktu. Żywej Sandry, jej twarzy, gestów, słów, reakcji. Wspomnienia z Place de Passy zajęły mu moment – czas poszukiwań zaginionego kremu do golenia. Kiedy ten się odnalazł, Tomek puścił wodę do wanny. Wrócił do komputera, żeby rutynowo, jeszcze przed kąpielą sprawdzić Martę Rymanowską.

Musiał jednak zakręcić kran. Dobrze, że o tym pamiętał.

Blog: *by the way*

Ostatni wpis: 3 lipca 2009

Do zobaczenia. Znikam na jakiś czas. Wrócę na pewno.

Nowy komentarz: 10 lipca 2009

Kotku, nie wierzę, że jesteś całkiem offline. To na pewno sprawdzasz. A ja zapomniałem o czymś ważnym :). Przywieź mi, proszę, z Twojego starego kraju tę dziwną, mocną wódkę z gór, taką domowej roboty. Piłem to kiedyś tutaj z Twoim tatą.

Odwdzięczę się, jak tylko będziesz chciała ;). Miłych powrotów po latach.

Twój beczelny LBN.

Milczała w sieci od tygodnia. Nie odpowiadała na maile. A jednak była gdzieś blisko. Być może mógłby ją usłyszeć, zobaczyć – jeszcze przed swoim spotkaniem z Sandrą. *Po latach...* Czemu oni wszyscy właśnie teraz? Półtora roku – wobec piętnastu lat – to chyba teraz. Wszyscy. Hubka, Krantz, ona. Kilkanaście lat ciszy – i akcja. U obu mężczyzn – z ostrym finałem. Być może nie chodzi już tylko o jego

spotkanie z Sandrą. Coś jest na rzeczy. Związek. Prawdziwy albo urojony.

Blisko... Nie miał nawet polskich namiarów jej rodziny. Nie było potrzeby ich szukać. Dostał przecież luksusowy pakiet od Alicji Nowak. Pakiet kontaktów online. Łącznie z adresem na Skype'ie.

Nigdy tam Marty nie zastał. Sprawdzał o różnych porach, biorąc pod uwagę czas w Stanach. Jeżeli ona jest w Polsce, teraz nie miał szans. Normalni ludzie o tej porze śpią, jeśli nie muszą pracować. Był o tym przekonany.

Jednak spróbował.

Został przyjęty.

Tomek Dybruk:

Dzień dobry! Dostałem ten adres od Pani znajomej z Polski. Mogę prosić o chwilę rozmowy?

Mjcajohnsonnwk:

English, pls :)

Tomek Dybruk:

Marta Johnson?

Cisza.

Mjcajohnsonnwk:

To nie mama. To ja, Kate. Mamy nie ma. Do widzenia.

Tomek Dybruk:

Poczekaj, Kate. Proszę. Tylko o coś spytam.

Mjcajohnsonnwk:

Ale ja myślałam, że to jeden kolega z netu. Znam tylko jego nicka. On jest Hiszpanem. Jak to nie on, to nie chcę rozmawiać.

Tomek Dybruk:

Szukam Twojej mamy. Możesz mi pomóc?

Mjcajohnsonnwk:

Mama jest w Polsce. To taki kraj w Europie. Tam się urodziła.

Tomek Dybruk:

Ja też jestem z Polski. Czy możesz mi dać numer telefonu mamy?

Mjcajohnsonnwk:

No, to chyba nie.

Tomek Dybruk:

Proszę, to ważne. Muszę z nią porozmawiać. Przecież to tylko numer. Jak mama nie będzie chciała, to się rozłączy.

Cisza.

Mjcajohnsonnwk:

Byłeś jej chłopakiem?

(Jak to jest z psychiką śmiałych, trzynastoletnich Amerykanek? Lojalność wobec ojca czy romantyzm?)

Tomek Dybruk:

Tak.

Mjcajohnsonnwk:

Ile miała wtedy lat?

Tomek Dybruk:

Piętnaście.

Mjcajohnsonnwk:

I ty ją rzuciłeś, czy ona ciebie?

Tomek Dybruk:

Nie, nie ja. Ale to nie takie proste.

Mjcajohnsonnwk:

I nawet w twoim wieku jeszcze ją pamiętasz?

Tomek Dybruk:

Widzisz, że tak.

Mjcajohnsonnwk:

667 06 42 78. Nie mów, że to ode mnie.

Tomek Dybruk:

Bardzo Ci dziękuję.

Mjcajohnsonnwk:

Nie ma za co. I tak jej nie zobaczysz, no chyba że zrobisz coś jak w filmie. Mama dzwoniła dzisiaj. Mówiła, że jedzie zaraz od dziadków z Wałbrzycha pociągiem do Warszawy, że jak ja będę szła spać, to ona już będzie jechać z dworca na lotnisko. Nie sama, tylko z jakąś starą koleżanką. Bo leci z tą koleżanką do Paryża. To jest stolica Francji. A ja już dawno miałam iść spać.

Tomek Dybruk:

Wiesz może, jak się ta koleżanka nazywa?

Mjcajohnsonnwk:

Tak jakoś śmiesznie. Sprawdzę, bo mama ma ją w kontaktach. Ale na co ci koleżanka? Ją też znasz? One się nie widziały od szkoły.

Tomek Dybruk:

Sprawdź, proszę.

Mjcajohnsonnwk:

Sandra Arsztrejer.

Nie tracił już czasu nawet na pożegnanie. Wstukując numer, szukał w panice pierwszych słów. Miał przecież do powiedzenia coś, co na pewno zabrzmiałoby jak bełkot wariata. Albo szczeniacki żart. *Please, hold the message after the...* prośba o oddzwonienie. Prawdopodobnie nie

będzie odsłuchana. Amerykański telefon jest w Polsce wyłączony. Potem już wszystko naraz: www.pkp.pl, wyszukiwanie połączeń, z..., do..., „wprowadzenie nie jest jednoznaczne”, bo to nie Wałbrzych, tylko Wałbrzych Główny, nie Warszawa, tylko Warszawa Centralna... Wszystko otwiera się zbyt wolno, wyszukiwarka, strona lotniska, jakie to mogą być linie... Cursor miota się po ekranie, komputer się zawiesza. Restart. Panika rośnie, razem z nią poczucie absurdu, śmieszności, bo jak to, nie jest przecież detektywem w kiepskim filmie... ale musi, musi coś zrobić, ostrzec, zatrzymać, bo tylko on jeden coś wie, on jeden to powiązał. Nawet jeśli to tylko dziesięć procent prawdopodobieństwa. Że tej kobiecie coś grozi. Tak samo jak Hubce, jak Krantzowi. Dla tamtych spotkanie z Sandrą skończyło się tragicznie.

Nie zwariował chyba. Chyba. Może jeszcze nie jest za późno.

Stary człowiek, co bardzo lubił dworce, przychodził sobie tutaj czasem tak – dla przyjemności. Kupował colę i batonik w automacie na peronie, w skrytości ducha dumny, że to umie. Siadał na ławce i obserwował ludzi. Patrzył na cudze powitania, pożegnania, na radość, smutek albo ulgę, reakcje szczerze albo udawane. Wymyślał o nich różne historie. Nie przyznawał się do tego nikomu. Koledzy woleliby go widzieć pod budką z piwem, a dzieci – przed telewizorem.

Dzisiaj wypatrzył sobie kobietę, która była chyba w takim wieku jak jego najmłodsza. Ale nosiła się inaczej. Nie miała wysokich obcasów ani błyszczącej torebki pod kolor, a miodowe włosy puściła wolno, bez spinek. Ubrana też mniej strojnie niż jego córka, ale

ładna jak ona, a może nawet bardziej. Mimo tego, że miała bliznę. Przez tę bliznę właśnie zaczął się jej przyglądać. Uważał, że czasem blizny mogą dodawać piękna.

Nie miała bagażu, nigdzie nie jechała. Czekwała na kogoś. Ten pociąg, co miał nadjechać, kończył bieg. Kobieta była zdenerwowana, skoncentrowana, napięta. Ale trzeba mieć takie oko do ludzi, jak on, żeby to dostrzec. Maskowała się dobrze, bardzo dobrze. Spacerowała po peronie powoli, spokojnie, równym krokiem, stawiając stopy w jednej linii, jakby jej szlak był zaznaczony kreską na betonie. Ale jej lewa dłoń, zwieszona luźno, drżała lekko, jak z zimna. A przecież dzień był bardzo ciepły. Musiała schować rękę do kieszeni, by to ukryć. Nie błądziła wzrokiem to tu, to tam. Lekko zmrużyła oczy, patrząc w jeden punkt, jakby widziała coś, czego nikt inny nie może zobaczyć.

Nie czekała na ojca, matkę, ciotkę ani dziecko. Już raczej na męża, z którym kiedyś się rozwiodła, a może na kochanka, który ją porzucił. Nie, to nie mógł jednak być mężczyzna. Kobieta, która czeka na mężczyznę, poprawia sobie włosy, nawet nieświadomie. Jakoś tak dziwnie układa usta. Przechodząc obok szyby, sprawdza w niej swoje odbicie. Ona była ponad to.

Więc kto? Przyjaciółka, która kiedyś odbiła jej chłopaka. Rywalka – w pracy albo w życiu. Przeciwnik. A może tylko ktoś, z kim wiążą się złe wspomnienia.

Pociąg wjechał na peron z głośnym zgrzytem kół. Chód dziewczyny stał się nagle jeszcze bardziej kobiecy, lekki. Dłoń, przygotowana do wesołego pomachania, nie drżała już wcale. Uśmiech posłusznie rozjaśnił twarz. Nie mogło być inaczej.

Miał szczęście. Myślał, że za chwilę zniknie mu w tłumie, pobiegnie gdzieś dalej. Ale znała chyba numer wagonu, czekała w tym miejscu, co trzeba. Zobaczył powściągliwe powitalne pocałunki, spojrzenia, którymi mierzyły się ciekawie, od stóp do głów, otwarcie, jakby nie widziały się od bardzo dawna. Nie słyszał, co mówiły. Słuch miał słaby, szkoda. Pewnie: *Pięknie wyglądasz, nic się nie zmieniłaś*. A może:

O kurwa, stara, kopę lat, nie wierzę, pokaż mi się... A może coś całkiem innego.

Ta druga miała klasę. Była piękna, elegancka. Przypominała mu jakąś aktorkę, którą widział w starych filmach. Cieszyła się tak ładnie, była taka wesoła, swobodna. Pomyślał, że chyba się pomylił. Że chciałby wierzyć, że się mylił. Tak byłoby przyjemniej.

Odchodziły powoli, rozgadane. No, raczej mówiła tylko jedna z nich. Życzył im w myślach miłego dnia. Mimo wszystko.

od: Caillou4o517@noos.fr

do: Tomekdbr@gmail.com

data: 10 lipca 2009 08:15 (02 minuty temu)

Tomek,

odmawiam jakichkolwiek dalszych zleceń dotyczących Sandry Arsztrejer/Monkson. Wykasuj natychmiast naszą wymianę maili ntt. Nic więcej nie mogę ci wyjaśnić. Nie pytaj. Nie pisz.

Przepraszam.

To jedno *przepraszam* Caillou – Caillou, który nie zwykł nigdy używać takich słów, który nie marnował klawiszy nawet na zwykłe *salut* – *przepraszam* świadczące o jego pomieszeniu, o tym, że stracił na moment swój ulubiony chłód kamienia, odebrało Tomkowi resztki dystansu. Kiedy wybiegał z domu brudny, nieogolony, ubrany w to, co wałnął wczoraj na krzesło obok komputera, do przyjazdu pociągu z Wałbrzycha zostało już tylko pięć minut. Jeszcze pięć minut. Jego samochód stał pod domem. Pociągi czasem się spóźniają.

Samolot do Paryża odlatuje za niecałe dwie godziny. Liczył na to, że zdąży coś zrobić.

Co – jeszcze nie wiedział.

CZĘŚĆ TRZECIA
NOWE UJĘCIE

Rozdział VI

Płynny ruch w Alejach Niepodległości. Tomek trafił na zieloną falę. Za kilka minut będzie na dworcu. Musi znaleźć Martę Johnson. Zdobyć jej uwagę. Opowiedzieć, co się stało z Hubką i z Krantzem. A jeszcze wcześniej, zanim kobieta zdąży pomyśleć, że zwariował, powinien zaskoczyć ją tym, co wie o jej przeszłości – o Zalipskim. Podać jak najwięcej konkretów. Daty, adresy. Żeby miała szansę uwierzyć, że w tym, co powie później, też może być szczypta prawdy. Miał już w głowie pierwsze zdania: *Dzień dobry. Pani Marta Johnson? Szukam pani od dawna. Jestem dziennikarzem. Piszę o sprawie pani przyjaciela, Janusza Zalipskiego...* Dalej już jakoś pójdzie. Żeby tylko złapać jej wzrok. Uwieść na moment intrygującym spojrzeniem, chłopięco szczerym uśmiechem. Przecież to umiał. A kiedy ona też będzie wiedzieć, przestanie być za nią odpowiedzialny.

Zobaczył je od razu, gdy tylko skręcił na dworzec.

Dziecko mówiło prawdę – były razem. Marta zdejmowała właśnie jasny żakiet. Ułożyła go starannie w bagażniku szarego opla. Sandra stała obok. Paliła papierosa. To wszystko kilkadziesiąt metrów od Tomka. Na parking ograniczonym z obu stron szlabanami. Wjazd na parking mógł mu zająć jeszcze chwilę. Trzy samochody czekały przed nim w kolejce, szlaban miał się unieść i opaść cztery razy. Kierowca czerwonej toyoty stanął zbyt daleko od automatu

z kwitami. Gramolił się z auta niezdarnie, powoli. Sandra zdeptała niedopałek. Tomek wyrwał się z pułapki, ruszając w prawo z piskiem opon. Opuścił stojącą kolumnę. Niewiele mu to dało. Był bliżej nich, ale poza parkingiem. Nie widział miejsca, w którym mógłby się zatrzymać. Po jego prawej stronie był postój taksówek. Marta zatrzasnęła już bagażnik opla.

Włączył światła awaryjne. Wbił samochód na ukos w przerwę między dwiema taksówkami. Zapiszczały za nim klaksony. Sandra właśnie otwierała drzwi swojego samochodu. Od strony pasażera, dla Marty. Cofnęła się przed falą nagrzanego powietrza. Marta grzebała w swojej torebce. Mógł teraz podbiec.

– Dzieje się coś? Bo jak nie, to mandat piszemy. Tu się nie parkuje. Albo pan jedzie w tej sekundzie. Zanim się rozmyślę.

Zmęczony, spocony policjant przesłonił mu widok na parking.

Tak, dzieje się coś. Coś, w co by pan nie uwierzył. Mimo najlepszych chęci.

Teatralnym, dramatycznym gestem Tomek pokazał mu Martę. Martę, która już wygładzała wąską spódnicę przed wejściem do samochodu.

– Pani posłanka zapomniała dokumentów! Zaraz odjedzie na lotnisko! Dwa słowa muszę!

– To leć pan.

Surowy, mundurowy gest uspokoił klaksony taksówkarzy.

Cóż, to się nawet mogło udać. Pomysł Tomka nie był wcale taki głupi. Jeżeli jesteś praworządną obywatelką Stanów Zjednoczonych, kiedy ktoś podbiega do ciebie nagle z błogosławieństwem policjanta, niejako pod jego opieką, wypada chociaż udać zainteresowanie, gotowość. Być może Marta tak właśnie by zrobiła. Ale Sandra była

skuteczna. Tomek zauważył jej spojrzenie tuż przed tym, zanim policjant przesłonił mu świat. Pod wpływem jej słów Marta przyspieszyła nagle. Teraz to Sandra ruszała z piskiem opon. Tomek biegł jeszcze przez moment jak bezradny podróżny, któremu uciekł ostatni autobus. Policjant tylko wzruszył ramionami. Machnął ręką.

– A jedź pan.

Tomek pojechał.

A gdyby to wszystko olać? Przecież nie miał żadnych dowodów. Tak, napisała kiedyś, że ich wszystkich zniszczy. Tak, Hubka zginął, mając ją przy boku. Krantz zniknął u szczytu kariery, akurat tego dnia, kiedy znalazł się tam, gdzie ona. A jego ktoś skutecznie załatwił właśnie wtedy, kiedy przypadkiem wpadł mu w ręce jej list. Caillou coś wie, ale nie powie, bo się boi. I oni wszyscy walą do niej właśnie teraz, jakby nie było tych kilkunastu lat. Ale to przecież nie jest jeszcze żaden dowód! Wyśmiałyby go każdy policjant, każdy sąd. Gdyby teraz spokojnie pojechał do domu, zachowałyby się po prostu racjonalnie. Rozsądnie. Trzeźwo. Na miarę własnych sił i możliwości. Bez porywania się na coś, co do niego nie należy.

Myśląc o tym, Tomek dość karkołomnie – przyciskając klakson co kilka sekund, zmieniając pas co kilkadziesiąt metrów – pędził Wawelską. Pod dworcem stracił z oczu opla Sandry. Musiał się wtedy zatrzymać na czerwonych światłach. Teraz mógł go dogonić. Znał dobrze każdy fragment trasy na lotnisko.

Jego trzeźwe myśli nie miały szans.

Musiał zrobić to, co zaplanował. Inaczej do powrotu Marty żyłby w strachu. W najlepszym wypadku.

Jak można *zniszczyć* kobietę, która niczego nie podejrzewa? Wyobraźnia podsuwała mu zbyt wiele możliwości. Twarz oszpecona podczas snu. Pigułka gwałtu i mężczyzna z AIDS. Powoli działająca trucizna, dodawana do każdego posiłku. Alkohol, afrodyzjak, kamera – kompromitacja, która złamie jej życie. I wiele, wiele innych sposobów.

A potem, za jakiś czas, szukając wszędzie, gdzie się da, znajdzie wiadomość, że Marta Johnson uległa przykremu wypadkowi. Zachorowała. Albo zniknęła – jak Krantz.

Jak miałby znieść świadomość, że widział cień ryzyka, a nic nie zrobił?

W Sandrze jest coś, co nie pozwala tych podejrzeń lekceważyć. Dlatego przyciskał teraz pedał gazu, żeby wjechać na Żwirki i Wigury w pierwszej sekundzie czerwonych świateł.

Dogonił szarego opla mniej więcej kilometr od lotniska. Rozpoznał go po krzywym bagażniku dachowym. Zwolnił płynnie, stopniowo, nie zwracając na siebie uwagi.

Na szczęście jechały lewym pasem. Prawy, od strony pasażera, był pusty. Tomek zrównał się z nimi. Począł na odpowiedni moment. Delikatnie nacisnął klakson, jakby dotknął go przypadkiem. Albo jak ktoś, kto chce przekazać informację – o ślepych reflektorze czy sflaczałej oponie. Marta spojrzała na niego kontrolnie.

Tomek znał język gestów, mowę ciała. Dobrze panował nad mimiką. Patrząc w twarz Marty poważnie, spokojnie, a jednak tak, jakby cieszył się na jej widok, podniósł otwartą prawą dłoń.

Przepraszam. Proszę o chwilę. Mam coś ważnego. Znak, że nie ma złych zamiarów. Sygnał, że nie chodzi o głupi podryw. Coś jeszcze.

Nie oderwała wzroku. Nie starała się ukryć lekkiego zaciekawienia. Co więcej – nie zaczepiła Sandry, zajętej własnymi myślami. Dała mu szansę.

To coś, co sprawia, że kobiety chętnie zatrzymują na nim wzrok, znów mu pomogło. Z inną twarzą pewnie by przegrał. Zresztą starał się najlepiej, jak umiał.

Podniósł do góry telefon. Pokazał, że chce do niej zadzwonić. Poprosił, żeby włączyła swój. Z lekkim, tajemniczym uśmiechem odpowiedział na niezadane pytanie: *Tak, ma jej numer.* Zdumiona, zaintrygowana, rozbawiona Marta sięgnęła po torebkę. W taki sposób, żeby Tomek to widział. Teraz ona też się uśmiechała. *W zasadzie – co mi szkodzi? Czemu nie?* Trochę jak na jej zdjęciach. Byli już partnerami wspólnej gry. Jeżeli Marta usłyszy pierwszych kilka zdań – gotowy wstęp o tekście, o Zalipskim – nie odmówi Tomkowi kilku minut na lotnisku. Nawet wbrew koleżance.

Tajemnicza, dwuznaczna sytuacja sprawiała jej chyba przyjemność. Wypielegnowana dłoń wydobyła telefon z torebki okrągłym gestem iluzjonisty. Marta posłała Tomkowi spojrzenie pełne kokieterii, przyciskając powoli klawisze. A jednak – coś jej nie wyszło. Z telefonem. Przekazała to nieznanomemu perfekcyjnie, błyskawicznie.

Poczekaj chwilę, mam mały problem z tą głupią komórką. Zaraz do ciebie wrócę, tylko to załatwię. Ona mi pomoże.

Nie zdążył nic zrobić. Smukłe palce Marty dotknęły ramienia Sandry, budząc ją z zamyślenia. Kobiety zamieniły kilka zdań – coraz szybszych, coraz bardziej gwałtownych. Tylko pierwsze z nich

mogło dotyczyć telefonu. Marta znów popatrzyła na Tomka. Z pretensją, niechęcią, strachem, mało tego, z obrzydzeniem i pogardą. Tak jakby zaczął się przed nią onanizować. A potem dumnie odwróciła głowę.

Sandra nagłym przyspieszeniem złamała leniwy ruch powolnej fali samochodów. Kilkoma śmiałymi manewrami szary opel wysforował się do przodu.

Tomek przegrał po raz drugi.

Zbyt niski bieg, gaz, skręt, przepraszające miganie świateł awaryjnych po czymś ostrym hamowaniu z tyłu, klakson płoszący tych wolniejszych – to wszystko nie miało już sensu. Poddał się temu z rozpędu. Dosłownie i w przenośni. Nie będzie mógł nic zrobić na lotnisku. Nie dopuszczą go przecież do siebie, choćby miał w rękę wielki bukiet róż.

Kurwa, niesprawiedliwe.

Zresztą, będą się spieszyć. Plan miały dość napięty. Ich *check-in* miał się zamknąć już za dwadzieścia minut. Dziesięć zajmie im jeszcze parkowanie i tak dalej. Ale zdążą. Znikną za żółtą linią, a on zostanie. Ze swoim głupim śledztwem. Z wiedzą, której teraz wolałby nie mieć. Z wyrzutem w oczach Marty, który dla niego miał inne znaczenie niż dla niej.

Ciekawe, zdążył ją polubić.

...No, chyba że zrobisz coś jak w filmie...

A gdyby. Gdyby je spóźnić na samolot. Zdobyć czas. Na przykład drobna stłuczka. Wgnieciony bok szarego opla. Będzie musiała się zatrzymać. Każdy tak robi, nikt nie jedzie dalej. To zwykła

warszawska ulica, nie kino akcji. A on wyskoczy z samochodu z polisą. Zadzwoń pod 112. Zrobi zamieszanie. Kiedy już skradnie dziesięć minut, to się przyzna. Jest przecież ubezpieczony. Nie ma alkoholu we krwi. W najgorszym wypadku – jeśli oleją go po trzech minutach – zdoła wcisnąć Marcie do ręki kilka kartek. Na pewno będzie chciała sprawdzić, skąd ta desperacja. Niewiele z tych notatek zrozumie. Ale może się otworzy.

Warto? Warto.

Krzywy bagażnik dachowy znów był przed nim. Lotnisko też już było widać. Lewy pas pusty. Dużo miejsca z tyłu. Bezpieczna prędkość.

Tomek policzył do pięciu.

Start.

To trudniejsze, niż można sobie wyobrazić. Prawidłowe odruchy walczą o byt. Tomek prowadził od wielu lat. Umiał automatycznie, bez udziału woli bronić się przed czymś takim, do czego właśnie zamierzał doprowadzić. Zmusił się jednak do tego ruchu kierownicą. Zanim to zrobił, na moment zamknął oczy.

Prawy róg przedniego zderzaka fordą zrobił swoje. Zadał opłowi cios w tylne drzwi. Cios niezbyt mocny – opel odbił się metr, ale nie wypadł nawet z pasa. Zamigał awaryjnymi, ostrzegł innych, piskliwie, krótko zahamował. Tomek jeszcze to usłyszał. Zdążył pomyśleć, że ten punkt planu się udał. Zdumiewające, jak wiele jasnych myśli przeszło mu przez głowę, kiedy jego samochód, miotany spiralnym ruchem, pędził w stronę jednego ze słupów na poboczu. Na przykład to, że gdyby stłuczka była przypadkowa, tuż przed nią pewnie wcisnąłby hamulec. Jeżeli tak, to nie odbiłby potem w lewo. Nie tak mocno. Jego ford nie zderzyłby się

z barierką. I nie odskoczył od niej jak hokejowy krążek, pchnięty kijem. Pomyślał jeszcze o łysych oponach. O tym, że sytuacja jest dziwnie znajoma. I o tym, że w ten słup najlepiej walnąć tyłem.

Tak też się stało, chociaż bez pomocy Tomka.

Uderzenie było słabsze, niż się spodziewał.

Niegroźnie, ale malowniczo. Gdyby nie to otwarte okno, nie byłoby problemu.

Był cały. Nie miał żadnych złamań. Tylko ta głowa, która stuknęła w spuszczoną szybę. Podniósł rękę, żeby ją sprawdzić. Głowę. Ale ten ruch wywołał falę mdłości. Nie takich, żeby zwymiotować. To dobrze. Wokół było pełno ludzi. Krzyczeli. Zbyt głośno. A hałas sprawiał ból.

Tomek poczuł czyjeś dłonie na szyi.

– Niech pan się nie rusza! Słyszysz mnie pan?

Słyszał, słyszał. Chciał prosić, żeby zostawili go w spokoju. Chciał odsunąć te silne ręce, które objęły go od tyłu, pod ramionami, splotły się na jego piersi. Chciał wstać, kiedy ktoś położył go na trawie. Mężczyzna, który miał na koszuli pełno krwi. Tomek zobaczył Sandrę. Biegła w jego stronę. Tak szybko, desperacko, jakby od tego zależało życie. Nie zdąży już przecież na samolot. Korek. Klaksony, kolumna stojących samochodów. W jednej z taksówek, dość blisko otworzyły się drzwi. W ostatniej chwili, zanim Tomek stracił przytomność, pomyślał, że rozpoznaje tego człowieka. Człowieka wysiadającego z taksówki. Że to mężczyzna, który zamienił z nim walizki. Ale teraz wyglądał inaczej niż wtedy. Był wysoki. Wysoki, wyprostowany, silny. Rósł w oczach.

Potem zniknął.

Rozdział VII

Coś jednak pamiętał. Mdłości. Karetkę. To, że stracił wpływ na cokolwiek, możliwość decydowania o tym, co się z nim dzieje. Że wszyscy wokół niego działali szybko, rutynowo, według znanych im dobrze zasad, procedur, reguł. Robili z nim to, co zrobić było trzeba. On miał się poddać, nie ruszać, leżeć. Potem w szpitalu ktoś mu coś tłumaczył, ale on chyba nie zrozumiał. Albo już zapomniał. Jarzeniowe światło. Zastrzyki. Potem nic.

Ale teraz zobaczył jeszcze więcej. Tak jakby pamięć się odblokowała.

Widział ludzi w granatowych kombinezonach. Odgradzali pustą przestrzeń wokół szarego opla jaskrawą policyjną taśmą. Taśma była rozpięta na cienkich, składanych słupkach. Twarze wszystkich tych, którzy za nią stali, miały bardzo podobny wyraz. Zdumienie, przerażenie, fascynacja. Wzrok wbity w ten sam punkt.

– Proszę się rozejść. Proszę się rozejść! Do panów też mówię.

Słuchali poleceń mundurowych niechętnie, z ociąganiem. Odchodząc, oglądali się jeszcze w tamtą stronę. W stronę szarego opla.

On nie musiał odchodzić. Leżał na wózku do przewożenia rannych, czekał, aż wwiozą go do karetki. Mógł patrzeć, jak dwaj milczący mężczyźni rozkładają na jezdni w pobliżu samochodu długi, czarny pojemnik z grubej folii. Taki jak osłona na płaszcz czy garnitur, tylko większy. Jak odsuwają w nim zamek błyskawiczny, a potem stoją obok, nieruchomo, czekając na coś.

Nie mógł tylko zobaczyć tego, co tak zajęło gapiów. Więc zszedł, właściwie stoczył się z tych noszy, czy tam wózka. Podpełzł bliżej, ukrywając się przed ludźmi w kombinezonach.

Jej głowa była skręcona pod dziwnym kątem. Tak jakby chciała się odwrócić w inną stronę niż ramiona. Szeroko otwarte usta. Wargi schowały się do środka. Na zewnątrz został tylko ich kontur, starannie zaznaczony kredką. Podkreślał teraz to, że ich nie ma.

Oczy... po prostu były martwe.

Niemożliwe. Niemożliwe, że to już. Miał ją przecież ratować.

Potem przestał cokolwiek widzieć, bo ktoś zasłonił czymś jego oczy. Chciał to odsunąć, zdjąć, popatrzeć jeszcze raz...

– No, nie, nie, teraz to niech mi się pan jeszcze nie wybudza.

– Coś ty, nie bój się, jeszcze nie może. Za wcześnie. To był tylko taki skurcz mięśni.

– Patrzcie, jaki doświadczony się znalazł. Różnie może być.

Poczuł szczypiący ból w skroni i chłodny dotyk pościeli. Nie było zamglonego przejścia między snem a jawą. Świadomość tego, co się dzisiaj stało, uderzyła go jeszcze zanim otworzył oczy. A potem zobaczył stojak od kroplówki, okno do połowy zamalowane na biało, mały szpitalny pokój i Sandrę. Sandrę Arsztrejer, siedzącą na krześle obok drzwi. W rozpiętym białym fartuchu, z książką w ręku. Siedziała i czytała. Tak po prostu.

Tomek znów przymknął powieki.

Ona tutaj. Teraz. Kiedy on może się tylko domyślać, co się dzieje wokół. Nie jest pewien, co zrobili z jego głową. Nie wie, czy może

wstać. Nie wie, czy umie jasno myśleć. Nie ma kieszeni, z której mógłby wyjąć telefon. Nie ma na sobie nawet majtek.

Drzwi na korytarz są zamknięte.

A ona siedzi oparta lewym ramieniem o wysoki stolik. Prawie tak jak kiedyś, w jego wizji, oparła się o pewną poduszkę powietrzną.

I co z tego?

Czego powinien się spodziewać? Ataku? *(Bo przecież ona wie już chyba wszystko. Mogła znaleźć kartki z notatkami)*. Niewyjaśnionej szpitalnej śmierci? Strzykawki w rurce z kroplówką? *(Coś jest chyba wklute w jego lewą rękę, pod łokciem)*. Dotyku paralizatora? Czegoś innego w tym stylu, cokolwiek by to miało być?

Zbyt surrealistyczne, żeby się tego bać prawdziwym strachem. Nawet jeżeli ona jest szalona, zdolna do takich rzeczy. Nawet jeśli trzeba się z tym liczyć.

Otworzył oczy.

– Nie odwracaj głowy tak mocno. Masz na lewej skroni kilka szwów. Nie dotykaj tego. Nie próbuj wstawać. Miałeś wstrząs mózgu. Najlepiej w ogóle się nie ruszaj.

Tym razem zareagowała natychmiast. Jak mogła widzieć jego twarz znad książki? Książki już zresztą nie było. Obie ręce Sandry były wolne. Nadal siedziała przy drzwiach, ale w inny sposób. Gotowa do tego, żeby szybko zerwać się z miejsca.

– Pamiętasz wszystko? Podobno możesz nie pamiętać. Sprowokowałeś wypadek. Ale nikomu nic się nie stało, tylko tobie. Moja znajoma zdążyła nawet na samolot. Ja jestem cała. Ty zresztą – tylko rozcięcie na głowie i ten wstrząs. Nic groźnego.

– Marta... widziałem...

– O, znasz nawet jej imię. Coraz lepiej. Nie mogłeś nic wiedzieć. Odjechała akurat wtedy, gdy straciłeś przytomność. Jakiś facet oddał jej swoją taksówkę. A ciebie otrzeźwili chwilę później, w karetce.

To mogła być prawda. Karetka. Tę wersję też miał w głowie. Stawała się coraz bardziej plastyczna, konkretna. Ale jeszcze nie był pewien. Bał się, czy to nie tak, że po prostu nie umie przyjąć tamtej.

Sandra obserwowała jego twarz. Dziwnie, badawczo. Jakby na coś czekała.

– A ty czemu nie pojechałaś?

– Wiesz przecież. Ktoś musiał się tym zająć. Pogotowiem, policją, rozwalonymi samochodami. Lepiej ode mnie wiesz, czemu nie pojechałam.

Nie wzruszyła nawet ramionami. Napięta, czujna, skoncentrowana na nim. Całkiem pozbawiona ekspresji. Żadnej mimiki. Próbował zrozumieć, co to znaczy. Nie odrywał od niej wzroku.

– Dlaczego tu jesteś?

– Nie myślisz, że przyszłam po numer polisy i oświadczenie? Nie udajesz, że tak myślisz? To dobrze. Bardzo chciałeś rozmawiać. To porozmawiajmy. Na moich warunkach. Właśnie tutaj. Może mi coś wyjaśnisz, zanim zdecyduję.

– Co zdecydujesz?

– Co z tobą zrobić.

– Jakie są opcje?

– Przestań. Ty nie pytaj. Od roku – półtora roku – mieszasz mi w życiu. Znasz każdy mój ruch. Znajdujesz każdy adres. Pojawiasz się i znikasz. Do tej pory umiałam to znieść. Zresztą nie miałam wyjścia. Byłeś nieuchwytny. Próbowałeś mną sterować. OK. Często

ci się udawało. Ale wystarczało ci niewiele. Skrajnie wkurwiające, ale bez zagrożenia. Teraz się zmieniło. Pokazałeś mi się z twarzą i z nazwiskiem. W dodatku prawdziwym. Nie rozumiem, po co. Twój błąd. Zaostrzyłeś groźby. Spowodowałeś wypadek. To miał być ten *poważniejszy problem*? Chciałeś mnie ukarać? Za to, że nie słucham? Zobaczyć trochę krwi? Mojej? Coś ci nie wyszło.

Zanim zaczęła zadawać pytania, stanęła blisko drzwi. Między drzwiami a łóżkiem. Żeby być bliżej obcych albo bliżej niego. Bliżej obcych – ucieczka. Bliżej niego – atak.

– Co ci to daje? Czego chcesz? Wynajął cię mój były mąż? Zakochałeś się – i wtedy tak masz? Lubisz po prostu? Czy coś, czego nie wiem? Coś, w co się wmieszałam na wyjazdach? Net?

Niewiele ci mogę udowodnić. Ale mogę. Wyjaśnisz mi to, zanim pójdę na policję?

...półtora roku...

Jej słowa szokowały, ale było coś ważniejszego. Zanim jeszcze skończyła mówić, zrozumiał to, co powinno być dla niego oczywiste. Nienaturalne reakcje jej twarzy, ciała. Ona się go bała. Nie, inaczej. Zakładała, że może się po nim spodziewać wszystkiego. Nagłej akcji, na którą będzie musiała zareagować, akcji, z którą nie ma się do czynienia w normalnym życiu. Której nie można przewidzieć. Myślała, że rozmawia z wariatem. Z człowiekiem nieobliczalnym. Tak jak myślał on.

To nie pasowało do całego obrazu.

Postanowił sprawdzić.

Kiedy ona mówiła, on delikatnie naprężył mięśnie nóg. Usuwał odrętwienie. Po jej ostatnim zdaniu poderwał się z łóżka.

Najgwałtowniej, jak mógł. Zanim zdążył wstać, znieruchomieć, nacisnęła dwa razy alarmowy przycisk. Otworzyła drzwi.

A więc rzeczywiście.

– Rok temu nie wiedziałem jeszcze o twoim istnieniu. Odkąd cię tu zobaczyłem, szukałem właśnie tego czerwonego guzika. Pomyśl.

Na korytarzu rozległy się czyjeś szybkie kroki.

Stali naprzeciw siebie, rozdzieleni wysokim łóżkiem. On – w białej szpitalnej koszuli, bosy, z pustą igłą przyklejoną pod łokciem. Ona – z ręką na klamce, z jakimś dezodorantem w prawej dłoni. Oboje bez ruchu.

Zdyszana pielęgniarka wpadła do pokoju.

– U pana jakiś problem?

– Nie, nie. Ja – ja tylko chciałam powiedzieć, że chory się obudził.

Sandra przysiadła na brzegu krzesła.

– A, to pani nie musiała od razu na alarm dzwonić. Do dyżurki było przyjść. Jak się pan czuje? Główka boli? Wstrząśnienie mózgu pan miał, szycie rany pod znieczuleniem ogólnym, ale został pan tylko do obserwacji. Tej igły to niech pan tak nie skubie, pan da, to wyjmę. Kroplóweczkę na wzmocnienie żeśmy dali, organizm wycieńczony. Pan teraz poczeka, sięść sobie proszę albo się położyć, tylko pościel poprawię. Za jakąś godzinkę doktor będzie wolny, to przyjdzie, zbada, wszystko wytłumaczy, przygotujemy wypis i do domu. A póki co, macie czas na swoje sprawy. Z pana to jest kozak. Wszystkie tu już o panu mówią. Nie głupio to tak – auta po ulicy rozwalać, głowę rozbijać? Pan by spokojnie powiedział narzeczonej, jak jest, to by na pewno wysłuchała. Drugą godzinę już tu siedzi, czeka, aż się pan obudzi. Wszystko zostawiła. To sam pan widzi. No, ja idę. Tylko żeby głośno nie było. Pani sobie może kawy kupić

z automatu, pan niech się wody napije. A pani to niech się tak nie denerwuje. Dobrze się wszystko skończyło, póki co.

Wychodząc, puściła jeszcze oko do dziewczyny, ucieszona, że jej się udało zapaplać, zagadać, rozburzyć krzątanicą po pokoju tę dziwną ciszę, co między nimi była. Pogubili się, dzieci. Nie wiedzą, co mówić. I szkoda ich, i zazdrość bierze.

Ciekawe, czy wyjdą razem.

– Narzeczona? Ty to wymyśliłaś?

– A jak inaczej, myślisz, mogłabym się tu dostać?

Tomek znów siedział w łóżku, równo okryty kołdrą, udrapowaną na nim starannie przez pulchne dłonie. Mimo całego stresu, niepewności, lęku śmiał się w duchu i z Sandry, i z siebie. Oboje – całkiem nieświadomie – zareagowali na szczebiot rumianej, zbyt ruchliwej, siwowłosej pielęgniarki jak para nastolatków przyłapanych na czymś zakazanym. Przyjęli narzucone im role, zajęli określone miejsca. Sandra straciła – przynajmniej na moment – swoją przyyczajoną koncentrację. Być może grzecznie poszłaby po kawę, gdyby kobieta nadal była blisko. Jakoś dzięki temu zyskał dystans do sytuacji.

– Dobrze, że nacisnęłaś ten alarm.

Uniosła pytająco brwi.

– Ja już się nie będę ruszał. Ręce pod kołdrą, jeśli wolisz. Chciałem cię tylko sprawdzić. Nie musisz się już na mnie tak gapić.

– Wyluzowałeś się, widzę.

– Bo wiem, że tu mi nic nie zrobisz.

– Zadzwoń na policję mogę nawet stąd.

Tomek milczał przez chwilę. Gra w otwarte karty – do tego przecież chciał doprowadzić. Jeszcze dziś rano uważał, że musi

pomówić z Sandrą, zanim wykona następny krok. Później nastąpiło przyspieszenie. Teraz Marta jest bezpieczna, a przed nim otworzył się nowy wątek.

Być może ryzykował, ale trudno. I tak nie widział innej możliwości. Tkwił w tym aż po ostatni szew na swojej skroni.

– Nie, Sandra. Z tym nie mam problemu. Możesz dzwonić. Ktokolwiek cię nęka od półtora roku – o ile nie zmyślasz – to nie ja. Ja byłem u ciebie raz, raz dzwoniłem. Interesuję się tobą od miesiąca. Na granicy obsesji, fakt. Ale mam powód. Zaraz go poznasz. Tylko to trochę potrwa, wiesz, a ja tu leżę od rana. Więc zanim zacznę, daj mi się wysikać.

Odsunął brzegi kołdry, wetknięte za materac, i wstał, opuszczając zwiniętą koszulę. Wyszedł z pokoju nieco chwiejnym krokiem. Odwrócił się jeszcze, żeby zobaczyć wrażenie, jakie wywołały jego słowa. Sandra – jakby na to czekała – pokazała mu spokojnie, gdzie są drzwi do toalety.

Moja przygoda z Tobą zaczęła się w połowie maja, kiedy wracałem samolotem z Paryża. (...)

To była dla niego zbyt długa, niezbyt łatwa opowieść. Zbyt długa, chociaż skondensowana, jak planował. Niezbyt łatwa, wbrew temu, że zdania bez trudu rodziły się w głowie. Gdyby miał je spisać, nie byłoby problemu. Ale teraz, przy niej widział, jak wiele znaczą. Bo Sandra gdzieś zgubiła swoją beznamiętną maskę. Nadal była spokojna, pozornie spokojna. Panowała nad sobą, fakt. Jednak to, co mówił, obudziło uczucia, których nie umiała całkiem stłumić, ukryć. Czasem, żeby wzbudzić w kimś tyle dziwnych emocji, potrzeba lat.

Przynajmniej tak mu się wydawało.

Dopóki opowiadał o zamianie walizek, słuchała z rezerwą. Ze sceptyczną uwagą starego profesora, którego już niejeden student próbował zwieść. Potem usłyszała o liście. Tomek podał nazwisko adresata, nadawcę, datę, zacytował pierwszych kilka zdań. Wtedy po raz pierwszy poczuł się tak, jakby uderzył dziecko. Zdumienie, niedowierzanie, ból, poczucie krzywdy – to wszystko wyczytał z jej twarzy w ciągu kilku sekund, zanim Sandra opuściła dłoń, w nieświadomym odruchu męczącą bliznę na skroni. Zanim przymknęła zbyt szeroko otwarte oczy, złagodziła dziwny skurcz rysów. Zanim zaczęła mówić.

– To niemożliwe.

– Napisałaś taki list?

– Nie wiem. Tak. Kiedyś. Ale to niemożliwe. Nie wiadomo nawet, czy doszedł. Ten człowiek nie żyje. To było zbyt dawno. Kto mógłby go teraz mieć? Chyba, że jego ojciec...

– Nie, to nie był ojciec.

Tomek opowiedział jej o spotkaniu z Sępem. Musiał zdradzić prawdziwy powód. Reportaż – już prawie o nim zapomniał. To było takie głupie.

– Wiesz, chyba po prostu potrzebny był mi pretekst. Dla samego siebie. Twój list zrobił na mnie wrażenie. Chciałem wiedzieć, kto go napisał. A samo „chciałem” to przecież za mało, żeby zrobić pierwszy krok.

Nie był w stanie rozpoznać, czy mu wierzy. Musiała myśleć o nim z niechęcią, z pogardą. W złamaniu jej intymności, w rozprostowaniu gęsto zapisanych kartek nad kieliszkiem wina było coś z gwałtu. Obnażył ją przecież. Poznał słowa, w które

przelała duszę. Uważał, że prawie każdy zrobiłby tak jak on, ale to niewiele zmieniało. Nie wspomniał o tym, że koperta była zamknięta, przemilczał zdjęcie. Jednak nie usłyszał od Sandry ani słowa wyrzutu. Nie widział oznak wrogości. Jeśli ją czuła, umiała to ukryć. Zobaczył nawet coś na kształt współczucia, kiedy surowo, skrótowo opowiadał o pigułce gwałtu i straconych wynikach badań.

A potem było coraz gorzej. Kradzież listu, historia Hubki – rozdrapywanie rany, dzieje Krantza, podejrzenia Tomka...

Zanim skończył mówić, uświadomił sobie, że już nie wierzy w jej winę. Nie wiedziała nic o jego przygodach z listem. Nie miała pojęcia o zniknięciu Krantza. Śmierć Hubki była dla niej dramatem. Nie rozumiała z tego wszystkiego więcej niż on sam.

Albo była świetną aktorką, a on idiotą.

Jeśli tak – nie umiał nic na to poradzić.

Nie udało się. Znowu się nie udało.

Godziła się z tym, stojąc na szpitalnym korytarzu. Patrzyła przez okno na podjeżdżający ambulans.

Inni mają gorzej. Na przykład ta dziewczyna biegnąca za sanitariuszami. Kto jest na noszach? Jej matka, jej babka? Ktoś, z kim trzeba się spieszyć. Inni mają gorzej. Zawsze uczono ją, żeby o tym pamiętać. Pamiętała.

Chciała zostać sama. Wyszła z pokoju, kiedy opowiadanie rudego przerwał lekarz. Będzie musiała tam wrócić, choćby na chwilę. Skończyć to wszystko, powiedzieć mu kilka zdań. To nie on. To nie on był tym, którego szukała. Tym, który nie dawał o sobie zapomnieć, kiedy przestawała szukać. To nie on wie o niej wszystko, zawsze jest gdzieś w pobliżu, chce czegoś – nie wiadomo czego. Nie daje żyć zgodnie z planem.

Już myślała, że go znalazła. Właściwie, że dał się znaleźć. Że to właśnie ten Tomek – mężczyzna o barwnym życiu, w które mogła się kiedyś wplątać jakimś dziwnym, nieznanym jej sposobem, dawno temu. Bywali nawet w tych samych miejscach. Że jej prześladowca jest już człowiekiem z krwi i kości, a ona zaraz będzie wiedzieć wszystko. A nawet, jeśli nie wszystko, tak będzie łatwiej. Łatwiej jest się obronić przed stłuczką, którą można przewidzieć kilka sekund wcześniej, niż czekać na zapowiedziany *poważniejszy problem*.

Ale to nie on. Była już prawie pewna. Wiedział o niej znacznie mniej niż Tamten. Otarł się tylko o jej życie. Zobaczył odłamek. W internecie poruszał się zupełnie inaczej niż Tamten. Wielu rzeczy nie wiedział. Zadała mu kilka drobnych pytań, którymi nawet się nie przejął. Tamten na pewno odpowiadałby inaczej. Gdyby kłamał, to nie w ten sposób. To mógł być dla niej dowód.

Jego emocjonalne reakcje w trakcie rozmowy, coś jakby wstyd czy poczucie winy, zaangażowanie w całą sprawę – nie, tego nie trzeba brać pod uwagę. To zawsze można zagrać. Miała poważniejsze argumenty. Dobrze by było jeszcze zobaczyć jego komputer.

Tak, ten dziwny Tomek został w to wmieszany wbrew swojej woli. Przez to, że w ręce wpadł mu list.

List – nie mogła spokojnie o tym myśleć.

Nie pamiętała o nim – do dzisiaj.

Po kilku słowach Tomka przypomniała sobie każde zdanie. Śmierć Hubki też – wyraźnie, jak film. Trzeba będzie się przyzwycząić. Spokojnie się tym zająć. Tamten człowiek pojawił się w jej życiu

wkrótce po śmierci Hubki. Do tej pory nie zauważyła zbieżności. Nie powiązała tych dwóch zdarzeń. Może trzeba było.

A list – ma go Tamten. Któż inny mógłby go mieć? Niewiarygodne, że dotarł tak głęboko. Ale to niemożliwe, żeby więcej niż dwie osoby jednocześnie grzebały w jej życiu. Bez przesady. Uśmiechnęła się nawet.

Lekarz wyszedł z pokoju. Trzeba już wejść do tego Tomka. Całkiem inteligentny facet. Chyba dobry człowiek. Ryzykować głową i samochodem, żeby ratować jakąś obcą przed czyjąś zemstą... Wariackie. Na swój sposób imponujące.

Ale musi już jej dać spokój.

Ona wróci teraz do siebie. Zanim zadecyduje, jak rozwiązać nowy problem z Rymanowską, zajrzy do internetu. Znów zacznie szukać, tym razem z innej strony. Znów sama, pewnie znów bezskutecznie. Jak zawsze.

Miał już na sobie dzinsy i buty. Kiedy Sandra weszła do pokoju, zapinał właśnie koszulę.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Czuję się, jakbym był lekko pijany. Ale to szybko przejdzie. Tylko musimy stąd iść, nie da się tutaj dokończyć rozmowy. W ogóle nie wiem, jakim cudem dostałem izolatkę. Za chwilę będę wolny, tylko załatwię formalności...

– Nie trzeba kończyć. Już skończyliśmy.

– Tak?

– Tak. Kopię polisy i oświadczenie o winie musisz złożyć w PZU na Bukowińskiej. Tu ci zapisałam numer szkody. Samochód czeka na

ogłędziny w warsztacie na Rakowieckiej. Dopiero potem będą naprawiać. Po ogłędzinach.

Nie byłoby po niej widać śladu wcześniejszych emocji, gdyby blizna, której kiedyś nie mógł zauważyć, nie przecinała teraz skroni grubym, sinym, rozdrapanym łukiem.

– A naszej rozmowy nie było?

– Była. Była interesująca. Tylko, rozumiesz, cokolwiek fantastyczna. Jakbyś mi opowiadał szkic powieści. Nie będę komentować. Co do twoich podejrzeń – nie, Tomek. Wszystko było inaczej. To ci powinno wystarczyć. Nie zamierzam udowadniać, że nie jestem wielbłądem. Nie bądźmy dziećmi.

Mógł się tego spodziewać. Już raz wyprosiła go z domu. Wtedy miała prawo, bo kłamał. Ale teraz jest czysty. Teraz się nie podda. Przynajmniej dopóki nie zblednie jej blizna.

– Czy ja przypadkiem nie dowodziłem przed chwilą, że nie jestem psychopatycznym maniakiem? Czy twoje podejrzenia nie brzmiały cokolwiek fantastycznie?

– Już ich nie ma.

– Świetnie. Bardzo się cieszę. Rewelacyjnie nam idzie. Godzina zwierzeń i po sprawie. Powiedz mi jeszcze tylko, kto mnie okradł i nakarmił pigułkami.

Sandra milczała przez chwilę. Niepotrzebnie poprawiła torebkę na ramieniu.

– Przykro mi, że przez ten list coś ci się stało. Przestań się tym zajmować. Tu nie chodzi o ciebie. Idę już. Trudno cię przegadać.

– Bo ty kłamiesz, Sandra. Udajesz. Udajesz, że sobie z tym radzisz sama. Nieprawda. Ktoś jest ci potrzebny.

Choćby ja, skoro i tak w to wpadłem. Nie widzisz, że coś się wokół ciebie dzieje? Coś więcej niż ten jeden maniak? Jak myślisz, czemu oni wszyscy – Hubka, Rymanowska, w tym samym czasie, po kilkunastu latach, startują do ciebie? Właśnie wtedy, gdy ktoś zaczyna cię obserwować? Ja zobaczyłem związek. Dobra, wyciągnąłem złe wnioski. Może ty potrafisz powiedzieć, o co chodzi. Ja nie wiem. Ale tak tego nie zostawię. Obiecałem kochankowi Hubki. O, mam powód.

– Idę. Ty jesteś wariat.

– Ale zapal i pomyśl, dobrze? Zanim odjedziesz. Jakby coś ci z tego wyszło, czekaj na mnie przed bramą. Jak chcesz, mogę ci nawet pokazać mój komputer. To na razie.

Począł spokojnie, aż dojdzie do końca korytarza. Udało mu się, na pewno. Sam był zaskoczony swoją stanowczością. Zagalopował się trochę. Gdyby nie Sandra, rzuciłby to wszystko w diabły. Przesadził z tym wypadkiem, miał dość akcji. Ale ona musiała się przed kimś wygadać. Nieważne – wariat, nie wariat. Nie wyrabiała sama. To było widać. A on – za ten list – był jej to winien.

Tylko jak przed wejściem do pokoju zerwać zdjęcie jej ud z rolety? To był teraz problem. Chwilowo – największy.

Rozdział VIII

Z tym, co wisiało na rolecie, zdążył sobie poradzić. Każda kobieta zatrzymuje się na moment w przedpokoju. Z komputerem było gorzej. Sandra dopadła go natychmiast, a Tomek – jak obiecał – podał hasło i poszedł do łazienki. Zanim się umył i przebrał, mogła przeczytać wszystko, co zapisał w ciągu ostatniego miesiąca. W ciągu ostatniego miesiąca zajmował się głównie nią. Miał nadzieję, że nie umiała wejść do jego poczty. Zachował dla siebie najdziwniejszy fragment tej historii – ostatni mail od Caillou. To, co znalazła – gdziekolwiek szukała – nie zburzyło jej zaufania. Dziwnego zaufania, którego do końca nie rozumiał. Mniejsza z tym. Ważne, że zaczęła mówić. Że udało się ją oswoić – być może bałaganem, tak podobnym do bałaganu w jej mieszkaniu, być może ciepłym kocem, którym owinęła nogi. Pizzą na telefon. Milczeniem. Czymkolwiek. Poznał jej opowieść. Przerewaną, niestety, niespodziewanymi zdarzeniami, które otworzyły ich wspólny, zbyt dynamiczny ciąg dalszy. Teraz, w samolocie, po raz pierwszy od kilku godzin miał czas na samotne myślenie. Sto minut. Sandra spała. On miał zapas snu jeszcze ze szpitala. Mógł się zatrzymać w tym pędzie. Zapomnieć na chwilę o tym, co się dzieje. O tym, co kazało mu kupić te dwa bilety – nawiasem mówiąc, za ostatnie pieniądze.

Mógł przypomnieć sobie ważniejsze fragmenty tamtej nocy. Pomyśleć, w co może wierzyć, a w co nie. Zrozumieć, w co się wpakował. Przynajmniej spróbować. Żeby zachować sens, trzeba zacząć od jej opowieści.

Opowieść Sandry:

Z tym listem to było trochę nie tak. Trochę inaczej, niż myśli ktoś, kto widzi w nim tylko namiętność, gorące, niszczące, potężne uczucie, po którym może zostać tylko rozpacz.

Kochała Janusza, to prawda. Wierzyła w niego, chciała go ratować, zrobić dla niego wszystko, co w jej mocy, kiedy zaczęło się z nim dziać coś złego. Chciała mu to przekazać każdym słowem.

Ale wtedy nie wiązała już z nim życia. Już nie – od dawna. Gdyby nie jego śmierć, dzisiaj pewnie tylko by się przyjaźnili. Ta cała historia to nie byłby dramat. Wspominaliby może czasem swoją piękną dziecięcą miłość. Taka miłość nieczęsto się zdarza.

Wychowywali się razem. Pierwszy raz oświadczył się jej – jedenastolatce – w swoje trzynaste urodziny. Dorastając, umieli to podsyć, podtrzymać. Byli parą. Jednak oboje czasem czuli coraz silniejszą, tajoną tęsknotę za tym, co przed sobą zamknęli – niespodzianką, tajemnicą, nowym odkryciem. Wytrzymali długo. On pierwszy poprosił o rozstanie na pewien czas, o namysł, o sprawdzenie, czy nie utknęli w świecie dzieciennych fantazji. Nie przekreślił niczego na zawsze. Miał już wtedy osiemnaście lat. Ona szesnaście. Przeżyła to oczywiście tak, jak musiała. Ale w głębi duszy czuła ulgę.

Każde z nich miało swoje życie. W jego środowisku była tylko gościem. Kiedy skończył pierwszy rok studiów, a ona zdała maturę

i oblała egzamin na prawo, wyjechała do Francji, do pracy, na rok. Przygoda, swoboda, wolność – i nagle lawina szokujących, złych wiadomości.

Pisała do niego tak, żeby obudzić to, z czym pożegnali się już oboje.

Jego śmierć była dla niej tragicznym końcem dzieciństwa. Właśnie dzieciństwa, po którym – niezależnie od tego, jak trudne by to było – trzeba zacząć inne, nowe, dojrzałe, pełne życie.

Nie było łatwo się tego podejścia nauczyć. Miała problemy, musiał jej pomóc psycholog – chociaż nigdy nie uwierzyła w wersję o samobójstwie.

Ale z czasem się udało. Zapomniała. Nie był przecież jej bratem ani mężem.

Inni mają gorzej.

Jej nowe, dorosłe życie wcale nie było złe.

Wybrała inne studia, niż planowała wcześniej. Informatykę. Przydaje się nawet teraz. Dużo jeździła po świecie. Ogólnie mówiąc, miała się różnych zajęć. W Szwecji znalazła świetną pracę.

– Cholera, byłabym zapomniała. Dostałeś przecież cały pakiet folderów.

Znalazła też uczucie. O wiele bogatsze i dojrzałsze od tego pierwszego. Niestety, to już przeszłość.

– Ale o tym, Tomek, na pewno nie będę ci opowiadać.

Rozstali się z mężem niecałe dwa lata temu. Była jesień, kiedy wróciła do Polski. Zamieszkała tymczasem u rodziców. Wszystko było wtedy właśnie takie – tymczasowe. Szukała czegoś w swoim zawodzie, wydawała szwedzkie oszczędności. Zanurzyła się w internecie. Prawie nie wychodziła z domu.

Wtedy zjawił się Bartosz Hubka.

– Wiesz, Tomek, masz rację. To było dziwne. Nie zauważyłam tego, bo miałam głowę zajęętą innymi sprawami. Związanymi z rozwodem.

Zadzwoił, że przylatuje do Polski pod koniec grudnia. Nie wiedziała, skąd miał telefon rodziców, czemu odezwał się właśnie do niej. Potrwało zresztą chwilę, zanim skojarzyła nazwisko. Znali się przecież tylko z widzenia.

– Ale przyznasz, że tak to jest: jeśli ktoś, kogo z trudem poznajemy, zachowuje się jak nasz stary kumpel, udajemy, że my też... Inaczej nie wypada.

Umówili się w dniu jego przylotu na kawę. W Marriotcie pod dworcem. Spóźnił się pół godziny, miał jakiś problem z lotem. Poznała go, z wiekiem jeszcze wyprzystojniał. Miał niewiele czasu. Jechał pociągiem dalej, do Krakowa. Był taki... zdecydowany, konkretny. Jakby niepotrzebne były żadne wstępy. Jakby widzieli się wczoraj. Wypytał ją o rodziców Janusza. Czy są zdrowi, czy nadal tam mieszkają. Czy będzie mógł ich zastać na początku stycznia. Myślała wcześniej, że słabo ich znał.

Powiedział, że nigdy nie zapomniał rozmowy z nią na pogrzebie.

A ona przetrwała ten pogrzeb na psychotropach. Nie pamiętała prawie nic z tamtego dnia. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Nie umiała mu się do tego przyznać.

Nagle poprosił, żeby spędziła z nim sylwestra. Przyjedzie wtedy do Warszawy, ale chciałby ją zabrać gdzieś dalej. Wynajmie samochód, znajdzie miłe miejsce, gdzie będą mogli spokojnie porozmawiać. Nie chodzi mu bynajmniej o romans, ma w Londynie stałego partnera. Ma jej coś ważnego do powiedzenia. To będzie dobra okazja. Powiedzieć teraz? Nie, nie, teraz nie. Tak się nie da. Jeżeli jest już zajęta, szkoda – wymyśli coś później.

To było tak bezczelne, że ją ujęło. Potwierdziła tego samego dnia.

Chciała się wyrwać z domu. Uciec od matczynego współczucia. Odebrać sobie możliwość wysyłania pijanych maili do męża. Jednocześnie nie chciała iść do ludzi. Myśl o jakimś balu, pełnym nagich ramion, seksownych męskich uśmiechów, budziła w niej wstręt.

Nie mógł chyba znać jej sytuacji, ale świetnie trafił.

Gdyby nie to, pewnie by jeszcze żył.

– Nienawidzę przypadków, Tomek.

Czy zastanawiała się nad tym, co Hubka chciał jej powiedzieć?

Nie.

Uznała, że to coś takiego, jak tamta rozmowa z pogrzebu – coś, czego dla niej już nie ma. „Janusz powiedział mi, że chce do ciebie wrócić”. „Lubił mężczyzn”. Może nawet ważne, ale niczego nie zmienia. Nie to brała pod uwagę, wysyłając esemes: „OK, jadę.”

Tamta sylwestrowa noc...

– Czy ktoś przy tobie kiedyś umarł? Przepraszam, nie mów, wycofuję.

Kiedy jechali, Sandra udawała, że śpi. Nie chciała zaczynać rozmowy przed pierwszym kieliszkiem wina. Chciała być w niej inteligentna, swobodna – jeszcze nie była.

Zrozumiała, że to się stało – że miota nimi jakaś wściekła siła – na moment przed tym, zanim straciła przytomność. Gdy się ocknęła, zobaczyła obok swoich ud jego drżącą dłoń, która nagle znieruchomiła. Rozwaliła szkłem tę poduszkę powietrzną, zmiażdżyła ją. Próbowwała z nim robić rzeczy, których kiedyś uczyła się w szkole. Ale już było za późno. Nie udało się. Hubka umarł. Widziała to, ale nie wierzyła, dopóki nie powiedział jej facet z karetki.

Potem życie było popieprzone.

Znów ktoś kazał jej brać jakieś pigułki. Rzuciła je, kiedy uznała, że robią więcej szkody niż pożytku. Trzeba się było wziąć w garść. Ten Hubka to nie był przecież jej brat, mąż ani ojciec. Zresztą, gdyby był – też by było trzeba.

Inni mają gorzej. Na przykład ten jego partner z Londynu. Dobrze zresztą, że jej nie znalazł.

Chyba właśnie mniej więcej wtedy, kiedy już się pozbierała, zaczęło się wokół niej dziać coś dziwnego. Chyba i mniej więcej, bo nie wie nawet teraz, gdzie były granice. Co było tylko zwykłym zbiegiem okoliczności, co przywidzeniem, a czego nie dostrzegła do dzisiaj. Powiązała to wszystko dużo później. Wtedy jeszcze nic nie podejrzewała.

Nagle zaczęła jakoś wszystko gubić. Klucze od domu, notes, telefon, nawet torebkę. Znajdowały się te rzeczy w miarę szybko, jeszcze zanim zdążyła coś z tym zrobić. Nie tam, gdzie ich szukała, ale tam, gdzie nie można ich było przeoczyć. Klucz był w drzwiach. Torebka w szatni, razem z płaszczem. Nic z niej nie zginęło.

Była na siebie zła. Ale przecież każdy coś głupio gubi. Widocznie ona też. Pewnie taki wiek, taki czas. To nie było dla niej nic nadzwyczajnego.

Zauważyła, że ktoś grzebie w jej rzeczach. Tych prywatnych, schowanych oddzielnie, zapakowanych. Podejrzewała oczywiście matkę. Uznała, że to skandal, ale przemilczała. Ukryła tylko głębiej ważniejsze sprawy. Nie zrobiła z tym nic do czasu, aż odkryła, że ktoś przeszukał jej komputer. Pliki były ustawione w innej kolejności, sprawdziła czas otwarcia. Może nikt inny nie zwróciłby na to uwagi, ale dla niej komputer to coś więcej niż narzędzie pracy. Rodzice uznali, że jej odbiło. Wyśmiali jej delikatne pytanie przy kolacji.

„Kochanie, nawet nie wiem, jak go włączyć. Od tego była zawsze jakaś młoda pani w sekretariacie”.

Postanowiła się wyprowadzić. Nie tylko przez to – i tak powinna, już dawno. Dla zasady.

W wynajętym mieszkaniu, po pewnym czasie – znów to samo. Wrażenie czyjejs obecności, drobne zmiany na dysku.

– To wszystko brzmi jak podręcznikowy opis jakiejś manii prześladowczej, prawda? Tym bardziej dla ciebie – jesteś psychologiem. Nie, naprawdę.

Gdyby nie to, co się stało w marcu, nigdy by sobie o tym nie przypomniała. Miała zbyt wiele konkretnych spraw, żeby się zajmować takimi wrażeniami.

W marcu, w 2008, uznali z mężem, że muszą się spotkać. Uświadomili to sobie oboje podczas jednej dziwnej, długiej rozmowy przez telefon. Może nawet – spędzić z sobą kilka dni. Żeby zakończyć to wszystko spokojniej, lepiej, bez tych wszystkich dramatycznych gestów, których teraz żałowali. I żeby omówić szczegóły zbyt powolnego rozwodu. On miał jeszcze pięć dni urlopu. Wybrali Paryż. Ten sam hotel, w którym kiedyś, na początku, jeszcze zanim między nimi zaczęło się na serio, zdarzył się im pewien zwariowany weekend. Dlaczego tak? Oboje byli romantyczni. Być może melodramatyczni albo perwersyjni. Trudno.

Załatwiła wszystko szybko, żeby się nie rozmyślić. Kupiła sobie bilety przez internet, zarezerwowała mailem pokój – w dodatku dokładnie ten sam, co wtedy. Chciała, żeby widział, że pamięta.

Wtedy zaczęły przychodzić te maile.

„Wiem, co planujesz, zrezygnuj”.

„Zostań w domu. Jak nie – zmień termin wyjazdu”.

„Porozmawiajmy o tym. Proponuję spotkanie. Wyznacz miejsce i czas”.

„Jeżeli nie zrezygnujesz – i tak ci się nie uda”.

Oląła je kompletnie. Uznała, że to jakaś przewrotna reklama, seryjny dowcip, wirus, spam. Wywalila wszystkie, nie zwracając nawet uwagi na adres. Nie otworzyła żadnych załączników. Nie myślała o nich w ogóle.

Absurd zaczął się na lotnisku. Przy check in. W systemie nie było jej biletu. Po prostu nie było. Potwierdzenie, które tutaj pokazuje, jest OK, tak. Ale biletu nie ma. „Wynika z tego, że pani anulowała bilet. Nie? Niestety, nie mogę pani pomóc. Dla mnie jest prawidłowo anulowany. Przykro mi. Nie ma podstaw. proszę sprawdzić na stanowisku linii, może jeszcze są miejsca. Zostało pani kilka minut”.

Miejsc na ten lot już nie było. Był wolny bilet na jutro. Na dwudziestego ósmego. Kupiła go natychmiast. Oskar też musiał przez to coś przestawiać, przekładać, zmieniać. Nie był zachwycony. Nie dowierzał.

Trudno, pech, błąd w systemie. Raz na ileś przypadków się zdarza.

Następnego dnia doleciała. W hotelowej recepcji byli już razem. Jeszcze speszeni, sztuczni, nienaturalnie swobodni. Zaskoczeni tym, jak wiele drobiazgów z tego małego holu dobrze znają. Pamiętali o nich, nawet o tym nie wiedząc.

Recepcjonista miał swoje pięć minut. Musiał wykazać się taktem. Zastosować reguły subtelnej według niego dyplomacji.

– Madame, ale jak to? Pani przecież odwołała rezerwację, czyż nie? Nie powiadomiła nas pani, że po raz kolejny zmienia zdanie. Rozumiem, świetnie panią rozumiem. Tak, tak. Oczywiście. Jest tu monsieur. Monsieur? Monsieur, to zapewne nasz błąd. To z pewnością nasz błąd, nie wola madame. Jeżeli tak, być może uda się to naprawić. Ale, co za

pech... désolé... nie mamy już teraz wolnego pokoju. Pojutrze będzie, tak. Sąsiedni do tego właśnie, który chciała madame. Czy to wystarczająco atrakcyjne?

Wyszli stamtąd w milczeniu.

Znow błąd w systemie. I jej mąż miał w to wierzyć.

Znaleźli wolny pokój w hotelu po przeciwnej stronie ulicy

Te trzy dni nie wyszły tak, jak chcieli. Oczywiście nie przez żaden hotel. Cały pomysł był głupi. To nie tak działa.

A to pierwsze miejsce, w którym chcieli się zatrzymać–Aero – tak, to to, o którym mówił Tomek. To, z którego podobno właśnie wtedy zniknął Krantz.

– Ale ja nie miałam bladego pojęcia o jakimś Krantzu! Nawet gdybym miała, nie skojarzyłabym nazwiska. Tak, był kiedyś Kranc – ale Kranc, tak właśnie.

Jego imienia nie pamięta nawet teraz. Nie poznałaby go chyba na ulicy. Bartosz Hubka był przystojny, charakterystyczny. Czy Kranc też – pewnie nie, bo by pamiętała.

– Mniejsza o tego Krantza. Słuchaj dalej. Bo teraz to już nie będzie jak mania.

Kiedy wróciła do domu, do swojego wynajętego mieszkania na Kabatach, na stole leżały rozłożone w wachlarz, identyczne kolorowe reklamówki na kredowym papierze. I małe, żółte kartoniki wizytówek. Wizytówki, reklamówki paryskiego hotelu Aero. Tego od nieudanej rezerwacji, od weekendu sprzed lat. Patrzyła na podobne kilka dni temu, kłócąc się z recepcjonistą. Nigdy ich nie miała, na pewno. Ktoś je tutaj przyniósł, położył. Ktoś, kto tam był. Tego nie ma w biurach podróży. Nikomu nie dawała klucza do mieszkania. Drzwi i okna były zamknięte, bez śladów włamania. Z mieszkania nic nie zginęło. A jednak ktoś w nim

był. Chciał, żeby ona o tym wiedziała. Zostawił te reklamówki. Tylko to, nic więcej. Szukała jakichś śladów, braków, zmian, dopóki nie poczuła, że wpada w paranoję.

Nic z tego nie rozumiała.

Uciekła na noc do rodziców. Zabrała komputer i kilka wartościowych rzeczy. Kiedy otworzyła swoją pocztę, znalazła w niej e-mail. E-mail, który przyszedł na jej adres z jej własnego adresu. Było w nim kilkanaście zdjęć. Fotoreportaż z jej pobytu w Paryżu. Ona i Oskar. Częściej ona sama, na ulicy, w kawiarni, na schodach hotelu. Rano, w południe, w nocy. Nie z bardzo bliska, ale nie z daleka. Jak klatki filmu.

Przypomniała sobie usunięte maile sprzed wyjazdu. Powiązała wszystko.

Co to miało być?!

Demonstracja siły? Tego, że ktoś ma dostęp do jej domu, do jej poczty, że ją obserwuje, że był przez ten czas tuż obok, blisko? Że te błędy w systemach to przez niego? Jeśli umiał wysłać coś z jej adresu, mógł zrobić to wszystko.

Kara, wyraz złości? Bo przecież to chyba ona wygrała – pojechała. Groźba?

Natychmiast pozakładała nowe adresy, nicki, hasła. Wysłała gdzie się da wiadomość, że z tamtego konta nie korzysta. Jednak je zostawiła. Żeby wyśledzić tego kogoś, gdy się odezwie.

Wynajęła nowe mieszkanie. Woląta to niż zmianę zamka w drzwiach. To wszystko natychmiast. Musiała się przecież liczyć z tym, że coś się stanie. Ktoś zaczął z nią wojnę, przypuścił pierwszy atak. Zboczeniec, podglądacz, psychopata, jednocześnie – haker?

Czekała na dalszy ciąg, żeby go znaleźć.

Ale on zniknął. Na długo.

Była czujna. Szukała śladów jego obecności. W internecie – założyła kilka pułapek wokół tego feralnego, zhakowanego adresu – i w życiu. Sprawdzala każdego mężczyznę, który się obok zjawiał. Prześledziła w sieci pełno nazwisk. Nasze Klasy, facebooki, twittery i nie tylko. Wtedy jeszcze nie szukała w tym żadnej logiki, sensu, przyczyny i skutku. Raczej czyjejś mętnej przeszłości, dziwnych zachowań, cudzych ostrzeżeń. Dewiacji. Nie znalazła nic, co by jej pomogło.

Jej prześladowca milczał. Życie toczyło się dalej. Po jakimś czasie uznała, że to stara sprawa. Jednorazowy wyskok hakera. Nie zboczeńca. Czarnego hakera, który nie przestrzega zasad.

– Znasz je, Tomek, prawda? Są proste: wejść najgłębiej, ale nie szkodzić.

Zdolnego hakera, który dopiero startuje – miesza jeszcze internet z życiem. Stąd to wejście do mieszkania, zdjęcie. Pewnie jakiś dzieciak. Jeżeli tak, zapomniał już o niej. Ma nowe cele. Ona też może zapomnieć.

Odnalazła się w końcu w Warszawie, zarobiła jakieś pieniądze, rozwiodła się, zaczęła żyć sensowniej, planować przyszłość... nie, to nie ten temat.

Jesienią dostała świetną propozycję od Marty. Tak, Marty Johnson, kiedyś Rymanowskiej. Ją jedną z tamtej trójki znała całkiem dobrze. Marta zbliżyła się do niej po śmierci Janusza. Była dyskretna, ciepła, opiekuńcza. To ona doradziła psychologa. Zniknęła wtedy szybko – wyjechała do Stanów.

Wymieniły jeszcze kilka listów, a później przychodziły już tylko życzenia, z czasem coraz krótsze; internetowe kartki zamiast słów, przeznaczone dla całej grupy znajomych. Jednak Marta o niej pamiętała. Raz na rok, raz na dwa pytała, co słychać. Sandra

odpowiadała w dwóch słowach. Jakoś nie czuła prawdziwego zainteresowania.

Jednak tamtej jesieni, kilka miesięcy temu odpisała: „Znów jestem Arsztrejer, nie Monkson. Właśnie się rozwiodłam”.

Odpowiedź Marty ją wzruszyła. Już przez to, że przyszła. Normalny babski list, na pozór lekki w tonie, żartobliwy. O tych wszystkich świetnych mężczyznach, którzy znów są do wzięcia, o wolności, której tylko pozazdrościć, o przygodach. Z prawdziwą niespodzianką na końcu.

„Sandra, a może byś chciała zmienić klimat? Znalazłaś już stałą pracę po powrocie? Jeśli nie, to się wstrzymaj. Jedna moja znajoma wyjeżdża na miesiąc. Szuka kogoś, kto by w tym czasie u niej mieszkał, świecił światła, podlewał całe mnóstwo kwiatów, karmił koty. Wyprowadzał ogromnego psa. Pilnował, żeby się to wszystko razem nie zezarło. Strasznie grymasi. Młodym nie ufa, obcych się boi. Szuka kogoś poleconego. To może ja bym poleciła Ciebie? Za wiele nie zarobisz, bo jest skapa. Ale za bilet w obie strony Ci zapłaci. To się jej będzie opłacać.

A my sobie razem zaszalejemy!

Nie myślisz, że właśnie tego Ci teraz trzeba?”.

Tak, tego jej było potrzeba! Wyjazdu. Kiedyś ciągle w ruchu, teraz – już prawie rok siedziała w Warszawie. A Stany, Nowy Jork – nigdy tam nie była. Świetny pomysł. Marzenie.

Bardzo się na to cieszyła.

Inna sprawa to spotkanie z Martą. No, na to może nie tak bardzo. Ona jednak budziła złe wspomnienia. Ale Nowy Jork był ważniejszy od złych wspomnień.

Zgodziła się, wszystko załatwiła, wyjeżdżała.

O mało nie przegapiła nowego wysypu maili. Przyszły na tamto martwe konto, które sprawdzała na wszelki wypadek. Prawie identyczne, jak wtedy, w marcu. „Zmień plan, nie jedź, porozmawiajmy” i tak dalej.

– To zaczyna być nudne, Tomek, prawda?

Sandra już się nie bała. Wkurzyła się tylko. Tym razem nic jej nie mógł zrobić. Tego biletu odwołać się nie da. On nie ma dostępu do jej prawdziwej poczty. Ona za chwilę na miesiąc znika. Do Stanów przecież za nią nie polecą, to nie takie proste. Może sobie swoje maile wysłać. Ten ostatni wyrzuciła bez czytania.

Skąd w takim razie wiedział o wyjeździe? Nie była specjalnie ostrożna. Mówiła o tym wielu osobom. Nie miała już czasu myśleć, komu, kiedy i przy kim. Nikt nie znał jej adresu w Nowym Jorku. Nawet ona go jeszcze nie znała. Ostatnie dni w Polsce spędziła w biegu, załatwiając mnóstwo spraw.

Na lotnisku była dużo wcześniej. Bilet był w porządku, tak. Jednak zamiast przesunąć taśmę z walizką, kobieta przy odprawie po kogoś zadzwoniła.

– Niestety, nie może pani lecieć. Pani wiza została anulowana. Nie ma pani prawa wstępu na terytorium USA. Musi się pani skontaktować z ambasadą amerykańską.

Mężczyzna w czarnym garniturze, przekazując jej tę wieść, patrzył na nią z prawdziwym zainteresowaniem.

– Takie przypadki się zdarzają. Powody zna tylko ambasada. To dobrze, że dowiaduje się pani teraz, a nie na miejscu, na lotnisku w Stanach.

Poważna sprawa. Jadąc na Piękną, do ambasady, czuła głębszy niepokój, niż złość o stracony lot. Jest taki dziwny mechanizm – to, co czujemy na widok wezwania do sądu czy na policję, jest niezależne od

stanu naszego sumienia. Przed tygodniem, przyznając jej wizę, konsul się nie zawahał, chociaż na dowód, że wróci do Polski, miała tylko szczere przekonanie. Co mają na nią teraz?

Przebiła się jakoś przez barierę numerków niepasujących do jej sprawy, dotarła do kogoś, kto zgodnie z procedurami był kompetentny, żeby z nią rozmawiać.

– Pani Sandro. Pani wiza została anulowana. Jednak mam dla pani dobrą wiadomość. Nie musi pani czekać rok, jak wskazują zalecenia po odmowie. Proszę jeszcze raz wypełnić elektroniczny wniosek DS-157, wnieść opłatę, ustalić termin rozmowy z konsulem, jednak nie wcześniej niż za dziesięć dni. Jeżeli konsul tak zdecyduje, dostanie pani wizę z powrotem.

Pewnie oczekuje pani wyjaśnień? W takim przypadku mogę ich udzielić.

Pani mieszkała przez kilka lat w Szwecji. Jednak nie starała się pani o szwedzkie obywatelstwo. Wyjeżdżała pani w tym czasie wielokrotnie na Bałkany. Dostaliśmy list z doniesieniem, że w Szwecji jest pani ścigana za poważne przestępstwo, związane z pani wyjazdami. Przestępstwo, które uniemożliwia pani wjazd do Stanów Zjednoczonych. Takie doniesienie, niezależnie od źródła, automatycznie skutkuje anulowaniem pani wizy. Dopiero potem mamy obowiązek je zweryfikować. Zwróciliśmy się do szwedzkiej ambasady z prośbą o stosowne informacje. Otrzymaliśmy już odpowiedź, choć jeszcze nie na piśmie. Odpowiedź, z której wynika, że padła pani ofiarą ewidentnego oszczerczego donosu. Odpowiednie dokumenty już są w drodze. Za tydzień, kiedy wpłyną, ten obelżywy list nie będzie miał znaczenia dla pani sprawy.

Kto był autorem tego donosu? W jaki sposób go wysłał? Czy mogłaby zobaczyć list?

Człowiek z ambasady był zaskoczony tymi pytaniami. Nie mógł powiedzieć jej nic więcej ponad to, co tak ładnie wcześniej przygotował. Myślał, że wyjdzie od niego zadowolona. Przekazał jej przecież dobrą wiadomość.

Skoro nie wyjechała tego dnia, cały plan runął. Pani od kotów obraziła się na Martę, Marta na nią, a ona musiała oddać za bilet. To tyle.

Tymczasem przyszedł do niej e-mail. Już na jej dobry adres. Z tego adresu, co wcześniejsze ostrzeżenia. W mailu był spis przypadków, w których należy anulować wizę – jakiś zeskanowany dokument po angielsku. Nic więcej.

Zmieniła taktykę w stosunku do tamtego człowieka. Przestała go lekceważyć. To nie był tylko haker – realizował cel za pomocą różnych środków. To nie był tylko zboczeniec, podglądacz – jego cel był bardziej wyrafinowany. Psychopata – być może. Psychopaci bywają geniuszami.

Odpowiedziała na prośbę o spotkanie, prośbę sprzed próby wyjazdu. Precyzyjnie wybrała miejsce, czas – najbardziej obleganą znaną jej kawiarnię w porze szczytu. Ale nie dane jej było przeżyć sytuacji godnej filmowego scenariusza. Natychmiast dostała odpowiedź. Automatyczną. Konto, na które wysłała tę wiadomość, nie istnieje. Zostało zlikwidowane.

Tamten zniknął dla niej po raz drugi, tym razem demonstracyjnie.

Zanim zniknął, nie wpadł w żadną z wcześniej zastawionych pułapek.

Znów przeszukała swoje życie, sprawdziła znajomości, także te przelotne – jeżeli miały związek z sytuacjami, które mogły budzić silne emocje. Tym razem zrobiła to inaczej. Szukała przyczyny, sensu. Kogoś,

kto mógłby czuć do niej urazę, nienawiść, kogoś, kto przez nią coś stracił lub musiał zmienić plany, na których coś budował.

Nic nie było jednoznaczne.

Nikt nie pasował. Jeżeli – to nie do całego obrazu.

Czy pomyślała, że on chce ją po prostu zatrzymać na miejscu, może obok siebie? Uwięzić?

Oczywiście, to jasne, to się narzucało.

Jednak on milczał. Także zimą, kiedy poleciała do Mediolanu – na cały tydzień. Był dla niej niewidzialny przez kilka miesięcy

Czy coś dziwnego działo się wtedy wokół niej? Chyba nie. Chyba. Trudno żyć pewnie, świadomie z czymś takim na karku. Trudno oddzielić mądrą intuicję – odruch obronny oparty na drobnych, z trudem uchwytnych, ale prawdziwych przesłankach – od zwykłego strachu, który trzeba pokonać, zlekceważyć.

Nie można przecież zakładać, że wszystko – na przykład przebita opona – może być próbą manipulacji, a nie dziełem zwykłego przypadku. Nie wolno pozwolić sobie na obsesję. Nie można żyć tylko tym.

Zasnęła kiedyś w kawiarni nad szklanką soku marchewkowego, prawie na godzinę. Czy teraz, po opowiadaniu Tomka o pigułce gwał tu, ma przyjąć, że to nie był efekt nieprzespanej nocy, że ktoś jej czegoś do tego soku dosypał?

– Nie chcę tak. Zostawmy to. Wrócimy do tego, jak będzie trzeba.

Została już tylko sprawa Marty.

Marta znowu odezwała się w maju. Krótco przed tym, jak Tomek zamienił walizki. Pisała, że wybiera się do Polski po raz pierwszy od czternastu lat, na dłużej. Przy okazji chciała zobaczyć się z Sandrą – miała ją na swojej długiej liście spotkań, jednak, jak się wydaje, bliżej końca. Planowała swój pobyt precyzyjnie, proponowała różne terminy,

które potem odwoływała. W końcu wyszło jej, że w Polsce czasu nie znajdzie. Nic dziwnego, rodzina. Jednak ten wyjazd to miał też być krótki rajd po Europie. Po Polsce Paryż. Kuzynka, która miała z nią lecieć, zmieniła zdanie. Szkoda, żeby drugie miejsce w pokoju przepadło. A Marta bardzo chciałaby mieć ze sobą kogoś, kto już tam był. Nie chce jej się jechać samej. To o połowę mniejsza przyjemność.

Więc może Sandra? Tylko na kilka dni.

Tamten człowiek – po długim milczeniu – napisał to samo, co zawsze.

Sandra nastawiła się na „poważniejszy problem”, jak uprzedzał.

Spotkały się z Martą na dworcu.

– Ciąg dalszy znasz.

Odkąd obudziły ją głośne słowa sąsiada, Sandra udawała już tylko, że śpi. Do końca lotu. Zastanawiała się, czy to dobrze, że opowiedziała wszystko Tomkowi – w taki właśnie sposób.

Czuła się po tym dziwnie lepiej. Swobodniej. Zyskała dystans. A jednocześnie niepokoił ją sam fakt. Dotychczas nie wtajemniczyła w to nikogo. Było dla niej oczywiste, że tak trzeba. To było jej – i tylko jej. Pakować w to przyjaciół – wykluczone. Rodziców – absolutnie. Choćby mieli poznać tylko fragment, wierzchołek góry lodowej.

Ale Tomek nie był przecież przyjacielem. Pojawił się nagle, zniknie, kiedy tylko zechce. Nic go nie zmusza do dzielenia z nią czegokolwiek, do reakcji. Żadne zobowiązanie, żaden związek. Sam chciał. Nawet bardzo chciał.

Czy to może jej zaszkodzić? Raczej nie. Przemilczała wszystko, co trzeba było przemilczeć.

Czy to może zaszkodzić jemu? O Boże, pewnie tak. Oczywiście. Ale zapewniał, że tego nie zostawi. Więc może lepiej, że jest pod kontrolą, obok niej, niż sam.

Czy to może się przydać? Nie licząc tak ulotnych spraw, jak jej samopoczucie? Nie mogła się zdecydować. Chwilami jego sposób myślenia był dla niej odkryciem – w jednym błysku skojarzenia łączył coś, czego ona nie umiałaby powiązać. Dawał jej nowy punkt widzenia.

Z drugiej strony, był za bardzo przywiązany do swoich pomysłów. Uparty. Zbyt emocjonalny. Czy jest inteligentny, spostrzegawczy? Cóż...

Poprosiła, żeby opisał jej człowieka, który zamienił z nim walizki. Tego od listu. Wiek, kolor włosów, czy był wysoki, czy niski, styl, może coś charakterystycznego, wszystko:

– Nie udało mi się nic zauważyć. Była jedna szczególna rzecz. Kiedy zwróciłem na niego uwagę – skurczył się jakby, zmałał, przygarbił. Tak, to może być dla niego charakterystyczne.

Co to w ogóle miało być?!

Mniejsza o zdolności Tomka.

Są rzeczy bardziej konkretne – jego paryskie kontakty.

I wręcz przyziemne – była spłukana. A on wspominał, tak mimochodem, że nocleg to dla niego żaden problem. Pięć minut.

Jedno było pewne. Dekoncentrował ją. Teraz powinna myśleć o tym, co się okazało w nocy. Co to dla niej znaczy, co dalej robić. A nie o tym Tomku.

Rozdział IX

Minionej nocy opowieść Sandry nie biegła tak płynnie, jak później, w samolocie, odtwarzana w pamięci Tomka. Był jeden stały przerywnik – telefony do Marty. Początkowo jeszcze dość spokojne, jak ten:

– Ojej, Tomek, zapomniałam o Marcie. W szpitalu wyłączyłam telefon, a ona mogła dzwonić. Miałam przecież robić za przewodnika. Mogła mieć z czymś problem. Może wysłała esemes, odbiorę. Nie, nic nie przyszło. To OK. Jeszcze chwilę, ja do niej wyślę, zapytam.

(...)

– Długo nie odpowiada. Ponad godzinę. Zadzwonię.

– Możesz z mojego komputera, ze Skype'a.

– Nie. Chcę, żeby zobaczyła mój numer. Ale u ciebie sprawdzę pocztę.

Tomek wyszedł z pokoju. Nie wiedział, co Sandra odpowie na pytanie: *Gdzie jesteś?* Dał jej komfort kłamania w samotności.

– Dziwne. Nie odbiera.

– Chyba sobie czasem nie radzi z tą komórką. Co jej o mnie powiedziałaś wtedy, w samochodzie, jak próbowałem do niej dzwonić? A ona nie umiała czegoś włączyć?

– Nie, nie, radzi sobie. Wtedy tylko długo szukał sieci. Spróbuję potem.

– Aha.

(...)

Z czasem coraz bardziej nerwowe, chaotyczne:

– Sprawdziłam na stronie lotniska. Samolot wyleciał, doleciał, wszystko na czas. Już dawno powinna być wolna.

– Zaraz, ale ona przecież jest dorosła. Nie ma obowiązku odbierać. W jakim hotelu ma pokój?

– Cecylia. Pod Łukiem Triumfalnym. Jasne, że nie ma obowiązku, ale to ona chciała. Ile razy już próbowałam?

– Jak pod Łukiem, to nie mogła zabłądzić. Może jej się telefon rozładował. Czeka, a wiesz w ogóle, że wyleciała?

– Tak, to jeszcze dostałam. Masz, zobacz:

Już w samolocie. Wyślę sms z hotelu. Odbieraj. Koniecznie tel wieczorem! Powodzenia. Buziaki.

– Znalazłem numer tej Cecylii. Może jest w hotelu. Skype?

– Tak, daj. (...)

– Nie dojechała. Nie zadzwoniła. Jeszcze trzymają pokój. Nie dzwonić do nich po drugiej w nocy.

– Może Paryż tak ją podnieca, że o wszystkim zapomniała?

– Wiesz, jaką ciężką miała walizkę? A odjeżdżając, nie wiedziała nawet, czy ty przeżyjesz.

– Ale ja byłem wtedy ten zły. Ma tam jakichś znajomych? Jak myślisz, czy ona ma tak, że mogłaby na przykład w drodze kogoś poznać i pójść do niego, zamiast do hotelu?

– Czytałeś jej stronę? Stwarza pozory, że tak. Ale jest strasznie pedantyczna. Gdyby się gdzieś urwała, to by zadzwoniła do recepcji. Bo przecież ma rezerwację na kilka dni. Nie wie, czy jej nie

przypadnie. Z pieniędzmi się liczy. A nie dzwoniła. Znajomych nie ma żadnych. Może dotrze przed drugą.

– Może.

(...)

W końcu oboje przestali udawać, że to dla nich tylko drobny problem – nieporozumienie towarzyskie, głupia sprawa. Marta zniknęła. Tomek znowu miał w głowie to, co wracało przed snem, odkąd zajął się tą trójką: związek. Hubka, Kranc, może Rymanowska. Milczał. Nie trzeba było o tym mówić teraz.

Sandra, zrzuciwszy z nóg ciepły koc, zaczęła spacerować po pokoju. Na chwilę jakby zapomniała o Tomku. Nie wiedząc, że na nią patrzy, naprężała mięśnie jak ktoś, kto ma wykonać serię trudnych ćwiczeń. Przerwała to szybko.

– To ja tam jutro polecę. Do Paryża. Umówiliśmy się nawet, że za dwa, trzy dni do niej dołączę. To znaczy Marta tak powiedziała. Nie wiem, czy zaprzeczyłam, to było po wypadku. Chciałam zrezygnować. Ale jak tak, to lecę.

– Co ci to da? Jak jej będziesz szukać, jeśli nie wróci do hotelu? Tak w ciemno?

– Nie. Chyba wiem, jak ją znaleźć, o ile nic się nie stało. Później ci wyjaśnię. A jak się stało, to trzeba coś robić, z rodziną albo z policją. Możesz mnie wpuścić na komputer?

– A twój samochód? Przepraszam za pytanie.

– Ja już swoje zrobiłam. Czeka na oględziny. Dziś piątek. To potrwa. Teraz twoja kolej. Przepraszam za odpowiedź. Co robisz? Muszę sprawdzić bilety na samolot.

– Właśnie ci sprawdzam. Są. *Last minute*. W Locie. Całkiem tanie, zobacz. Tylko strasznie wcześnie. Ósma czterdzieści. Za pięć godzin

musisz być na lotnisku.

– Biore.

– Słuchaj, Sandra, ja niewiele wiem o hakerach. Ale może być tak, że śledzą cię przez numer twojej karty kredytowej. Zawsze wiedzą, gdzie jesteś, jak nią płacisz. Tak jest na filmach. Może lepiej będzie, jak ja kupię, żeby Tamten się nie dowiedział? Oddasz mi w gotówce.

Twarz Sandry złagodził cię uśmiechu. Zbyt szybko zniknął.

– Dziękuję. Jeżeli tylko możesz. Na pewno oddam.

Kiedy Tomek kupował bilet, ona, pochylona nad telefonem, wystukiwała kolejny długi esemes do Marty, już bez szczególnej nadziei na odpowiedź.

– To ja zadzwonię po taksówkę.

– Po co? Zostań tutaj. Przecież masz ze sobą spakowaną torbę. Ja się mogę przespać na podłodze. Mam karimatę.

– Tak, jasne, to ma sens. Dziękuję.

Tomek zgłupiał. Zgodziła się natychmiast, bez chwili namysłu, przynajmniej fałszywego. Mógł zapomnieć o straszaniu Tamtym, który czyha w ciemnej pustce jej mieszkania. Speszyło go to nawet trochę. Sandra znów przeciągnęła się ze splecionymi dłońmi, jakby chciała dotknąć nimi sufitu.

– Tomku, mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Masz nadal kontakt z tym twoim hakerem, Caillou? – Zapisała coś na skrawku papieru. – To jest adres Marty. Poproś, żeby go złamał.

– Słucham?

– Poproś, żeby go złamał. Znalazł hasło. Tak robią hakerzy na filmach.

...jakichkolwiek dalszych zleceń dotyczących Sandry Arsztrejer/ Monkson...

– Nie. Nie da się. Napisał, że teraz jest offline.

– Aha. To nic. Chciałam sprawdzić, czy Marta też przypadkiem nie dostała jakichś gróźb. Można bez tego. Idę się kąpać. I – Tomek – nie widzę powodu, żebyś spał na podłodze. To szerokie łóżko. Ty masz rozbitą głowę. Boli jeszcze?

– Trochę. Mam lekkie zawroty. Coraz słabsze.

Gdy wyjmowała z torby kosmetyczkę, wahał się jeszcze. Wyczuł odpowiedni moment, kiedy zamknęła za sobą drzwi do łazienki. Zapukał w nie krótko.

– Sandra?

– Mam swój ręcznik.

– Nie to. Kupiłem dwa bilety. Ja też lecę. Mówiłem, że tak tego nie zostawię. Mieszkałem w Paryżu kilka lat. Nocleg i inne takie rzeczy załatwię szybciej niż ten bilet. Nie protestuj. Już kupiłem.

Odpowiedział mu tylko głośny szum wody. Tak jak chciał.

Po czasie, który płynął zbyt wolno, plusk wody ucichł; minęło bezszelestne pięć minut kobiecych, kremowo-balsamicznych przygotowań do snu. Otworzyły się drzwi łazienki. Tomek leżał z zamkniętymi oczami, twarzą do ściany, zajmując na swoim tapczanie tak mało miejsca, jak tylko to było możliwe. Udawał, że śpi. Czekał, aż materac zaskrzypi lekko, kołdra powoli się przesunie, a on usłyszy obok siebie cichy oddech. Poczuje zapach – perfum albo kremu, pewnie czegoś jeszcze. Nie wiedział, jak pachniała. Nie myślał o tym – do teraz.

Usłyszał kroki bosych stóp. Ucichły. Zatrzymała się tuż obok. Znieruchomiała. Czuł – tym razem to dobre określenie – czuł na

sobie jej wzrok.

Przed chwilą postanowił, że nie przybliży się nawet do jej śpiącego ciała w ciągu tych kilku godzin przedświt. No, może tylko trochę. Żeby lepiej poczuć zapach. Tak, żeby ona o tym nie wiedziała. Bo ona nie dopuszcza między nimi erotyzmu, to jasne. A on – nie, to nie jest jego celem. Jednak wyobraźnia odebrała zbyt wiele sygnałów. Pracowała. Zadawała pytania. Co Sandra ma na sobie, kiedy tak stoi obok, patrząc na niego? Piżamę? Nie wyciągała jej z walizki. Nie sypia chyba w dżinsach. Tylko czarną koszulę, w której była w ciągu dnia? Podkoszulek? Sam ręcznik? Tu jest tak ciepło. Czemu tak długo patrzy na jego włosy, kark, tył głowy, ramię, którego niczym nie okrył? Czuł teraz każdy centymetr tego ramienia. To było prawie jak dotyk. Przez krótki, bardzo intensywny moment nie wiedział, co będzie dalej.

Potem usłyszał szum budzącego się komputera. Trzask zapalniczki. Poczul dym. Klawiatura zagrała delikatnie, rytmicznie, usypiająco. Tomek odwrócił się w stronę pokoju sennym ruchem, tak jakby przeszkadzał mu chłodny powiew z otwartego okna. Spod półprzymkniętych powiek patrzył na Sandrę. Jej profil, dłonie, zarys sylwetki wydobywał z ciemności zimny blask monitora. Była całkiem ubrana. Tylko bosa stopy pod biurkiem przyciągały spojrzenie ruchliwą, jasną plamą.

Nie widział z tej odległości, co pisała.

Spał niespokojnie. Za każdym razem, kiedy był bliski przebudzenia, klawiatura grała. Zanim usłyszał melodię budzika, zgrzyt pracującej drukarki odebrał mu sen. Poczul zapach kawy. Pościel obok niego pozostała zimna, nietknięta.

Dolecieli do Paryża bez przeszkód, nie licząc problemów Tomka z głową. Pierwszy raz w życiu myślał, że będzie wymiotował podczas lotu. Lekarz kazał mu leżeć, uprzedzał, że jeszcze może się coś dziać. Jednak przeszło. Na ziemi poczuł się lepiej. Miał przy sobie tylko bagaż podręczny – walizkę stracił w maju. Kiedy Sandra stała przy taśmie, obserwował podróżnych. Szukał niepozornego mężczyzny, który będzie unikał jego wzroku. Szukał bez przekonania, jakby dla zabawy. Tamten nie mógł być przecież wszędzie tam, gdzie oni. Nie znalazł nikogo, kto budziłby podobne skojarzenia.

Biały wygodny autobus Air France miał ich zawieźć prosto pod Łuk Triumfalny. Tomek zdecydował, że to lepsze rozwiązanie niż taksówka, taktownie przemilczając dług Sandry. Ostatni przystanek był w pobliżu hotelu Cecylia. Od niego właśnie zamierzali zacząć.

Co dalej – jeśli Marta nie dała znaku życia?

To, co wydawało się szalonym, pozbawionym sensu przedsięwzięciem, zaczęło się powoli układać w pewien plan. Wrócili do rozmowy o nim w autobusie, tak jakby nie było kilku godzin przerwy. Jeżeli ktoś obok nich znał polski, miał urozmaiconą podróż.

– Miałaś mi powiedzieć, jak chcesz znaleźć Martę.

Sandra wyjęła z torby na komputer kilka kartek.

– Nie wierzyłeś, że Marta jest pedantyczna? Zobacz.

Na kartkach formatu A4 była tabelka, a raczej wielka tabela z kilkoma kolumnami, wypełniona kolorowym pismem, czcionką o nierównym, fantazyjnym kroju. Rodzaj terminarza. Każdy z kolejnych dni był podzielony na części: *przedpołudnie*, *popołudnie*, *wieczór*. Każdej z części była przypisana jakaś czynność – nie byle

jaka. Na przykład: *sobota – po południu – zwiedzanie Luwru, skrzydło Denon*. Pod spodem tytuły obrazów. Były też cele nieco mniejsze, w sensie dosłownym: *kawiarnia Amelii, Muzeum Salvadora Dalí*. Zaplanowane metodycznie, precyzyjnie, do końca.

– Marta to przygotowała jeszcze w Stanach, z przewodnikiem w rękę. Zależało jej, żeby się tego trzymać.

– Nie najlepsza metoda poznania Paryża. To jakoś nie pasuje do Marty z internetu. Do jej zdjęć, tekstów. Z daleka wydaje się spontaniczna, żywiołowa.

– Poznania pewnie nie, zwiedzania może i dobra, jeśli ktoś tak lubi. Tak, do wpisów Marty nie pasuje, szczególnie do tego bloga *by the way*. Ale to jej pierwszy wyjazd do Europy, od lat. Czas ma ograniczony. A my możemy się tylko cieszyć, że coś takiego zrobiła. Jeżeli wszystko z nią w porządku, tylko z hotelem coś zmieniła, będzie tego przestrzegać. Dziś po południu chciała jeździć czerwonym autobusem.

– Tym turystycznym, odkrytym, dwupiętrowym? Czyli ty po prostu chcesz jej tam szukać? W tych wszystkich miejscach z tabelki? Masz nadzieję, że ją tam spotkasz?

– Mniej więcej.

Tomek ukrył swoją reakcję tak dobrze, jak umiał. Był zawiedziony, rozbawiony, też pełen ulgi – wszystko naraz. Plan Sandry miał minimalne szanse powodzenia. Przynajmniej w najbliższych dniach, kiedy Marta wybrała sobie wielkie cele. W tych zatłoczonych miejscach trudno się znaleźć, nawet jeśli się zgubiło przed chwilą. Dziecinna wiara Sandry, że to się musi udać, była dla niego trochę zabawna, trochę niejasna. Ale nie mówił nic, o nic nie pytał. Tak było dobrze. Ustalili już wcześniej, że się

rozdziela, że Sandra będzie szukać Marty sama. On miał ich przygotować na wariant negatywny – znaleźć metodę sprawdzenia szpitali, policji, informacji o ofiarach. W dobie ochrony danych osobowych metoda była potrzebna. I – przede wszystkim – chciał się zająć tym, co uznał za najważniejsze. Do tego była mu potrzebna pomoc Dominique. O pomoc Dominique trzeba specjalnie zadbać. Przynajmniej na początku, dziś, przez kilka pierwszych godzin. O tym Sandra jeszcze nie wiedziała.

Więc to dobrze, że w czasie, kiedy zostawi ją samą, Sandra będzie sobie po prostu zwiedzać Paryż, nieprzytomnie wpatrując się w tłum. Będzie bezpieczna. Stąd ulga.

Ulga? Ale się porobiło.

Jeszcze dobę wcześniej właśnie jej się bał. Kobiety z blizną na skroni.

Kiedy będzie bezpieczna, zajęta, on zrobi swoje.

– Tomek, czy mogę o coś zapytać? Mówiłeś, że tego nie zostawisz. Co planujesz?

– Chcę znaleźć Krantza.

Tym razem reakcja Sandry była dziwnie powściągliwa.

– Akurat Krantza? Z tego, co mówiłeś, szukała go już francuska policja.

– Problem w tym, że nikt nie chciał go znaleźć. Mam swoje sposoby. Dla mnie Krantz jest brakującym ogniwem, pustym miejscem układanki, kluczem szyfru, nazwij to, jak chcesz.

– O ile jest taka układanka.

– Sandra, ty naprawdę nie widzisz związku? Nawet, jak ci przypomniałem list? Źle ten związek tłumaczyłem, tak, wiem, że się powtarzam. Teraz nie mam pojęcia, jak go wyjaśnić. Już mówiłem.

Ale nie masz takiego skojarzenia: Zalipski – Hubka, Krantz, Rymanowska? I jeszcze Arsztrejer?

– Niezupełnie. Ty patrzysz tylko z perspektywy listu. Gdybyś mi zadał to skojarzenie wcześniej – Zalipski, a potem trzy nazwiska – ten komplet byłby na drugim, trzecim miejscu. Nie, jeszcze dalej. Najpierw pomyślałabym o takich parach z liceum, jak byliśmy razem. To był wtedy stały zestaw. Już wiesz, że Hubka zginął w wypadku, a jeszcze to łączysz.

Sandra zawahała się przez chwilę, potem uśmiechnęła się dziwnie.

– Ten związek – wiesz, ile znalazłam różnych związków? Czasu i miejsca? Jak szukałam w internecie kogoś, kto może być Tamtym? Dam ci przykład. Sprawdziłam ciebie. Bardzo mi pasowałeś do tej pierwszej, paryskiej historii, tej marcowej, ze zdjęciami. Mógłbyś te zdjęcia bez problemu zrobić. Rue de l’Annonciation. Hotel Aero. Kawiarnia przed nim. Znasz te miejsca, prawda? Bardzo dobrze znasz.

– Znam. Skąd wiesz?

– Twoja żona, Dominique, mniej więcej wtedy, kiedy zgubiła swoje drugie nazwisko – twoje nazwisko – wrzuciła w internet mieszkanie do wynajęcia. W la Murette. Cholernie drogie, dotąd stoi puste. W tym samym czasie ty zacząłeś szukać pracy w Polsce. Wysłałeś cv do jobpilot. Znalazłeś inaczej, cv zostało, zapomniałeś. Co to znaczy? Że mieszkaliście tam razem. Dominique pozbywa się mieszkania po rozwodzie. Pięćset metrów od hotelu Aero. Masz związek.

Patrzyła na Tomka z triumfem, a on maskował śmiechem współczucie. Na myśl o tym, jak walczyła z obsesją, błędząc

jednocześnie wśród takich śladów, gubiąc się w śledztwie, które nic nie dało, miał ochotę pocałować jej bliznę.

– Tak, Sandra, fakty się zgadzają, tylko wnioski poszły trochę za daleko. Nigdy tam nie mieszkaliśmy. Dominique szukała innych klimatów. To jest apartament jej rodziców. Dla niej – miejsce nudne i snobistyczne. Mają oprócz niego duży dom pod Paryżem. Są trochę tu, trochę tam. Pewnie wtedy przenieśli się na dobre na wieś. Poprosili Dominique, żeby załatwiła wynajem; ustalili zaporową cenę, bo nie chcą tego tak naprawdę. A ona się nie przejęła.

Kawiarnia, o której wspominałaś – tak, znam i lubię. Umawialiśmy się tam z Dominique przed każdą kolacją u jej rodziców. Przed tą pierwszą też. Prawie dobrze wymyśliłaś.

- Widzisz, ile może być dziwnych związków?
- Ale Krantza chcę sprawdzić. Ta trójka to jest coś więcej.
- I szukasz go swoimi sposobami. Powiesz, jak?
- Najpierw muszę znaleźć dla ciebie nocleg.
- Jak nie będzie Marty.
- Jak nie będzie Marty.

Zamilkli. Autobus zbliżał się już do ostatniego przystanku. Przed nimi, na końcu Alei Wielkiej Armii, wznosił się Łuk Triumfalny. W jego cieniu, poza słynnym rondem, w szeregu bogatych kamienic stał stary, niewielki, skromny, lecz bardzo stylowy hotel – la Cecille.

W recepcji Sandra usłyszała to, czego się spodziewała. Nie, pani Johnson się nie zjawiała. Nie dzwoniła, nie wysłała wiadomości mailem, nie przekazała żadnej informacji w inny sposób. Telefon, którego numer podała w zamówieniu, nie odpowiadał. Jej pokój jest

już oczywiście zajęty. O tej porze roku jest znacznie więcej chętnych niż możliwości. W związku z tym, niestety, karta kredytowa pani Johnson zostanie obciążona należnością za wczorajszą noc. Pani Johnson, jak każdy, kto dokonuje rezerwacji, została o takiej procedurze uprzedzona. Aby tego uniknąć, wystarczy zadzwonić albo odebrać telefon z hotelu.

Tak, oczywiście, można zostawić dla pani Johnson list. Zostanie jej przekazany, jeżeli tylko pojawi się taka możliwość.

Rozmawiając z recepcjonistą, Sandra widziała przez otwarte drzwi Tomka, który został na ulicy – podobno, żeby zapalić. Obserwował ich z daleka. Po pierwszych przeczących gestach wyjął z kieszeni telefon. Wędrował teraz, zajęty rozmową, kilka kroków w jedną, kilka w drugą stronę. Od czasu do czasu sprawdzał, czy ona nie wraca. Zaczekała w holu, aż skończy. Podziękował jej uśmiechem, widząc, że siada w skórzanym fotelu.

Kiedy już wyszła, nie musiała opowiadać, co z Martą. Zrozumiał wszystko na odległość.

– Zgadnij, Sandra, dokąd teraz jedziemy. Do twojej kawiarni na Place de Passy, pod Aero. Spotkamy się z Dominique. Da nam klucze od mieszkania rodziców. Możesz w nim spać, jak długo będzie trzeba, nie ma na nie chętnych. Tam nam będzie najwygodniej. Bezprzewodowy internet, pełno miejsca, wszędzie blisko. Zostawisz bagaż, potem – jak planowałam. Zgadzasz się?

– Jasne, oczywiście, bardzo dziękuję. Ale gdyby to był problem...

– Nie, skąd, żaden. Zabawne, że właśnie o tym miejscu wspomniałam.

Tak, zabawne. Zabawne, a raczej intrygujące było dla Sandry też to, jak Tomek, mówiąc o mieszkaniu, zmieniał liczbę i osobę. Ty,

my, nam... nie była pewna, czy ma tam nocować z nim, czy sama. Nie pytała. Jego układy z byłą żoną, Dominique, były dla niej – dla Sandry – powiedzmy, nietypowe. Dość interesujące. Jak sama Dominique, którą obejrzała sobie wcześniej w internecie.

Jednak wolałaby samotność. Kiedy jest obok kogoś, za bardzo się rozprasza. Znow, po raz kolejny myśli o rzeczach, które mogłyby ją zająć, gdyby wszystko było dobrze. Nie jest, a ona o tym zapomina.

Dominique przyjechała wcześniej. Wzięła taksówkę. Specjalnie tak dobrała czas, żeby Tomek dotarł tutaj po niej. Jednak nie zajęła stolika dla trzech osób na trójkątnym, zacienionym placu przed Aero, chociaż już jadąc, przypomniała sobie, które z tutejszych win najbardziej lubi. Zatrzymała się przy Rue de Passy – ulicy, którą trzeba było dojść do miejsca ich spotkania z najbliższej stacji metra. Znalazła małą kawiarnię z przeszkloną ścianą, weszła do środka. Usiadła przy barze, jak najbliżej okna. Zamówiła kawę. Oddzielona od chodnika tylko szybą, obserwowała przechodniów. Jej gołe nogi przyciągały spojrzenia – szkoda, nie chciała zwracać na siebie uwagi. Miała nadzieję, że Tomek będzie szedł drugą stroną.

Kiedy rozmawiał z nią przez telefon, był podekscytowany. Umiał to ukryć, ale nie przed nią. Przyjechał z jakąś sprawą, która może ją zainteresować. Poza tym – ze znajomą. Dominique chciała mieć czas na pierwsze wrażenie. Zorientować się w sytuacji, zanim w nią wejdzie. Niewiele jej do tego było trzeba. Wystarczyło ich teraz wypatrzeć.

Udało się lepiej, niż myślała – jeszcze zanim ostygła kawa. Zauważyła Tomka z daleka. Nawet gdyby nie był Tomkiem,

zwróciłyby na niego uwagę. Ciągłe był dla niej atrakcyjny, przynajmniej z wyglądu. Zmierzwione rude włosy, nieogolona twarz, ta jego prawdziwa, nieudawana swoboda, uśmiechnięta ciekawość, z którą patrzy na ludzi, zaangażowanie w coś, co właśnie opowiada. Nie żałowała tych kilku lat małżeństwa. Tego, że się skończyło, też nie.

Kobieta, która szła obok Tomka, nie rzucała się w oczy. Była ładna, ale taka – stonowana. Ubrana jak najprościej – dżinsy, płaskie buty, czarna bluzka – bez żadnego błędu, zgrzytu. Ciekawe. Błędy stylu gryzły oczy Dominique. Potrafiła docenić to, że ich nie ma. Proste włosy, prawie niewidoczny makijaż, żadnych ozdób – torba z komputerem na ramieniu. Wniosek pierwszy – nie przyjechała do Paryża zaszaleć. Nie jest dziewczyną na wakacjach. Nie jest tu pierwszy raz – ignoruje wystawy, które są naprawdę *trés parisien*. Tak jakby już je kiedyś widziała.

Słucha słów Tomka, ale myśli o czym innym. Bo nie przerywa, nie próbuje komentować. Nie pozwoliła mu nieść swoich rzeczy. Ciągnie za sobą walizkę, ma torebkę, komputer – Tomek na pewno proponował pomoc. Feministka, która uznaje to za seksizm? Całkiem odwrotnie? Do sprawdzenia.

Nie dotykają się w żaden sposób. Ich dłonie, ramiona, biodra są daleko od siebie. Jednak to niewiele znaczy. Polacy są pod tym względem znacznie bardziej powściągliwi niż Francuzi. Nawet przelotny dotyk ma dla nich większą wartość.

O, właśnie.

Znajoma Tomka zatrzymała się nagle. Nie uprzedziła go o tym żadnym, ani wrogim, ani przyjaznym gestem. Nie położyła mu dłoni na ramieniu, nie złapała za rękaw. Zorientował się dopiero po kilku

krokach. Przystanął, odwrócił się do niej. Ze swojego miejsca Dominique nie widziała jego twarzy. Twarz kobiety była spokojna. Powiedziała mu coś. Nie czekała na odpowiedź. Kiedy Tomek za nią patrzył, niezbyt szybko, niezbyt wolno odchodziła w stronę najbliższej przecznicy.

Nie próbował jej zatrzymać, chociaż był zaskoczony. Zapalił. Stał tam jeszcze chwilę. Sprawdził godzinę na parkomacie obok i ruszył w stronę Aero szybkim krokiem. Najwyższy czas. Spóźniał się już prawie dziesięć minut.

Dominique spokojnie dopiła kawę. Czym była tamta scena? Wyjątkowo krótka, zimna kłótnia? Raczej nie. Ale też coś bardziej niezwykłego niż propozycja drobnych zakupów po drodze.

Tomek miał rację. Sprawa, z którą przyjechał, mogła ją zainteresować.

Sandra przysiadła na niskim kamiennym murku. Obok niej, po metalowej balustradzie, wygiętej w roślinny, secesyjny wzór, pięły się żółte, intensywnie pachnące kwiaty. Wyglądały jak żywe dopełnienie płynnych linii z brązu.

Zapaliła. *Déjà vu* uderzyło ją nagle; wyjaśniło się niepotrzebnie, zbyt szybko. Nieświadomie skręciła przed chwilą w tę samą przecznice, co ponad rok temu, usiadła w tym samym miejscu. Wtedy była zgnębiona, upokorzona, pełna bezsilnego gniewu. Wyszła na spacer, żeby przetrawić kilka zdań, które bez przerwy tętniły jej w głowie. Piękno falistych linii było dla niej wcieleniem smutku.

Na zdjęciu, które przysłał Tamten, nie było tego widać. Po niej pewnie też nie.

Merde. Musiała sobie to teraz przypomnieć?

Właśnie teraz, kiedy postanowiła dać im pół godziny prywatności, zanim się pojawi. Nie wiedziała, co Tomek powiedział Dominique przez telefon. Jednak na pewno za mało. Jego była żona powinna wiedzieć więcej, zanim zobaczy *znajomą*, z którą przyjechał. Zamienić z nim kilka swobodnych zdań. Kobięca lojalność.

Sandra nie chciała mieć w głowie tego typu wspomnień, kiedy wejdzie do kawiarni pod Aero. Zgasiła je razem z papierosem.

Nie udało jej się dostrzec tej pary z daleka. Kolorowy kawiarniany tłumek, maskowany plamami cienia i światła, zlewał się w całość, z której trudno było wyłonić poszczególne twarze. Dopiero kiedy przystanąła obok zielonej studzienki, rzeźbionej w ażurowy wzór, zobaczyła ich przy jednym z małych, okrągłych stolików.

Cóż za miła scena. Kto by pomyślał.

Rozparci niedbale w wiklinowych fotelach, wyluzowani, uśmiechnięci, siedzieli sobie nad butelką wina. Dominique – bardzo drobna, szczupła, o dziecięcej urodzie, z długimi, rozpuszczonymi, kręconymi włosami przypominała trochę Julie Delpy z *Białego*. Ubrana w coś krótkiego, zielonego, powiewnego i cienkiego, bardziej kobięca i eteryczna niż na zdjęciach, patrzyła w stronę Sandry, wznosząc kieliszek do ust. Dobrze, że jeszcze nie mogła jej rozpoznać.

Tomek trzymał w dłoni kosmyk włosów Dominique. Przyglądał mu się z żartobliwą podejrzliwością, jakby analizował nowy, płomiennorudy kolor. W zasadzie – marchewkowy. Ten odcień zieleni sukienki świetnie do niego pasował.

Sandra zdążyła opanować speszony zachwyt, zanim Tomek ją zauważył, zanim podniósł ramię, jakby mieli tu razem spędzić beztroskie popołudnie. Gdy podchodziła, napełnił winem trzeci kieliszek, który już na nią czekał. On sam nie powinien jeszcze pić po tym wstrząsie mózgu. Na szczęście nie powiedziała tego głośno. To byłby durny początek.

Przedstawiła się trochę zbyt sztywno, zaplątana w paski toreb zwisających jej z ramienia. Dawno nieużywany francuski budził się powoli, bała się błędów. Tomek pomógł drobnym zamieszaniem przy ustawianiu bagażu.

– Dominique chętnie mówi po polsku. Nauczyła się przy mnie płynnie, teraz nie ma z kim.

– Bardzo dziękuję za nocleg. Ta sprawa wyszła nagle, nie zdążyłam nic znaleźć. A teraz, za chwilę już powinnam być gdzie indziej. Nie mam kiedy szukać dachu nad głową. Czy Tomek już wszystko wyjaśnił?

– Dałabym wam mieszkanie bez wyjaśnień. Stoi puste – *voilà*. Czuj się tam swobodnie. O całej sprawie Tomek mi trochę powiedział, bardzo mało. Poproszę go o więcej, jak nie jest ci dziś potrzebny. Nie masz z tym problemu?

– Nie.

Sandra zamoczyła usta w winie. Jej krótka odpowiedź nie zabrzmiała szczerze. Dominique mogła to źle zrozumieć. Odnieść do Tomka. Trudno. To nie jest czas na takie gry.

– Dominique, przepraszam. Chętnie posiedziałabym dłużej. Wino jest świetne, byłoby o czym rozmawiać. Ale za moment muszę iść, bo zawali mi się plan.

– Jasne. Tu są klucze, adres, kod. Na pewno chcesz zostawić tam walizkę. Tomek, idziesz? Ja poczekam.

– Dziękuję. Znam to miejsce, trafię sama.

– A ten bagaż?

Tomek odsłonił szew na skroni.

– Miałem, mieliśmy mały wypadek. Nie mogę dziś nic nosić. Sandra chciała mi zabrać nawet mój komputer.

– To się robi coraz ciekawsze.

– Poczekaj, Dominique, wszystko po kolei.

Instrukcja na serwetce, dziękuję jeszcze raz, wymiana numerów, pożegnanie – wreszcie została sama. Oni to traktują jak przygodę, jak jakiś cholerny wakacyjny projekt. To, że w nim tkwią, nie psuje im smaku wina. I dobrze zresztą.

Wrażenie, że przeoczyła coś ważnego, że o czymś zapomniała, że gdzieś tkwi błąd – bardzo groźny błąd – odebrało jej na moment wyczucie kierunku. Właściwe skrzyżowanie znalazła przez przypadek. Znała już to uczucie, ale nigdy nie uderzyło jej tak mocno. Po raz pierwszy – wczoraj w nocy. Jeszcze przed zniknięciem Marty.

Kierowca jednego z czerwonych autobusów odpoczywał przed następnym kursem. Na pierwszym przystanku miał trochę czasu dla siebie. Wyszedł się przejść, rozprostować kości.

Patrzył na chłopaków, którzy sprzedają małe metalowe wieże. Pewnie dostali właśnie cynk, że idzie policja. Rozbiegli się na wszystkie strony, grzechocząc kółkami pełnymi figurek. Szybko, ale na dużym luzie. On kiedyś też tak ganiał, pół życia temu. Tak się

zmieniło, że prawie nie pamiętał. Odmachał na dzień dobry policjantowi, jeszcze mniej przejętemu niż ci chłopcy. Gdzie on by wtedy powiedział: policjant! Były inne słowa. Teraz wie, że ten tutaj to Jacob, i że nie chce mu się nikogo łapać. Fontanny wtedy chodziły częściej – można było dać się zmoczyć. Nie było tych dziwnych latających kul, co wyglądają jak świecące bańki mydlane. Kiedyś spyta dzieciaka, który je sprzedaje, jak to działa.

– Przepraszam pana. To pana kurs, prawda? Mam problem. Czy mógłby mi pan pomóc?

Dziewczyna nie była stąd, ale ładnie mówiła po francusku. Uśmiechała się też ładnie, choć nieśmiało. Miała zmęczone oczy. Guzik od bluzki rozpiął jej się tak, że miło popatrzeć. Nie widziała tego pewnie, była przejęta czym innym. Jego kurs? Więc widać po nim od razu, że jest kierowcą czerwonego autobusu. To dobrze.

– Jak tylko będę mógł.

– Zgubiłam się z przyjaciółką. Koniecznie muszę ją znaleźć. Ona nie ma telefonu. Wiem, że dzisiaj będzie jeździć tym autobusem, ale nie wiem, kiedy i gdzie wsiądzie. Turystów, którzy tutaj zaczynają, sprawdzam, ale nie mogę być na dziewięciu przystankach naraz. Czy byłby pan tak miły i wziął dla niej list ode mnie?

– Oczywiście, czemu by nie. Jak ją rozpoznam?

– Proszę, to jest jej zdjęcie. Może, jak będzie dawała bilet. Ale to chyba za mało, jak pan myśli? Ona się nazywa Marta Johnson. Tu napisałam, a pod spodem, jak się to wymawia. Pan czyta komunikaty, prawda? Czy mógłby pan przeczytać komunikat dla niej? Że ma pan dla niej wiadomość? Może kilka razy? Może nawet osiem – po następnych przystankach? Mógłby pan?

– W moim autobusie mogę sobie czytać, co chcę. Kto mi zabroni. Osiem razy przeczytam. I po angielsku też umiem. Do tej roboty trzeba być po kursach. Ale teraz już muszę wpuszczać. Zrobimy tak: jak wszyscy wejdą, to pani przyjdzie i mi powie, czy ona się już tu przypadkiem nie znalazła.

Kobieta stanęła tak, żeby wszystkich widzieć. Uśmiechnęła się do niego konspiracyjnie i, kurczę, chyba zalotnie, na znak, że już może drzwi otwierać. Rozłożył przed sobą wszystkie papiery od niej. Nazwisko, komunikat i zdjęcie nad deską rozdzielczą. Zaklejony list w skrytce. Wskoczyła do autobusu, gdy zapalił silnik.

– Tu jej nie ma.

– No to poszukam.

– Dziękuję. Pan jest naprawdę bardzo miły. Jeszcze tylko jedno – jak pan ją znajdzie, jak ona odbierze tę wiadomość, proszę powiedzieć w kasie, że Marta była. Tylko tyle. Ja tam zapytam.

– To może być tak, że ona to dostanie – i nic?

– Chyba nie... Ale wie pan, tak na wszelki wypadek. Jakby była na mnie trochę obrażona.

– Dobrze. Ale jak z nią pogadam, to już nie będzie.

– Dziękuję za wszystko. Miłego dnia.

– A może być tak, że jak ją znajdę, to się wszyscy w trójkę umówimy na kawę?

– Nawet na lampkę wina.

Znów ten jej uśmiech. A myślał, że przesadził. Pomachała do niego nawet, jak odjeżdżał. *Obrażona*. Tak. Stąd te zmęczone oczy. Może płakała. Może została bez pieniędzy. Albo bez kluczy. Biedna, ufna taka. Co tam się stało – dziesięć historii można wymyślić na jeden kurs. A tamta sobie zwiedza jak gdyby nigdy nic.

Obejrzał zdjęcie, oddalając się od wieży Eiffla. Ta Johnson – to dopiero niezła laska. Jasne, że będzie czytał. Lampka wina... Spojrzał w lusterko, przyglądził kruczoczarne włosy. Za chwilę Pola Marsowe, a potem – akcja.

W ich dawnym mieszkaniu, w le Marais zmieniło się – obiektywnie rzecz biorąc – niewiele. Jednak dla Tomka było całkiem inne. Inny zapach, inne światło, inny nieład. Co jeszcze, trudno wyczuć. To, co tworzyło tutaj klimat – ciemne belki stropu, kolor każdej ze ścian, obrazy – to wszystko zostało tak, jak było. Nie czuł się tu źle. To nawet lepiej, że nie jest tak, jakby wyszedł na chwilę. Tylko to jedno zdanie z kawiarni... Upił się chyba drugim kieliszkiem wina. Wszystko przez ten wstrząs. Krótco po wyjściu Sandry:

– To, co, Dominique? Jedziemy do nas?

– Tak, jedziemy. Jedziemy do mnie.

Trzeba uważać. Kolejny taki błąd może wszystko zepsuć.

A teraz było bardzo dobrze. Opowiadał. Jego opowieść biegła wolno, przerywana setką pytań. Dominique musiała wszystko przeczytać, zobaczyć na własne oczy, dotknąć. Nawet jego. Kiedy mówił o wypadku, siedział, właściwie pótleżał, na tej samej sofie, co ona. Położyła sobie jego głowę na kolanach, żeby obejrzeć szwy na skroni, z taką prostotą, jakby to była głowa jej owczarka. A on musiał zachować się bardziej powściągliwie niż pies. Mówił dalej, patrząc w sufit.

Jedna rzecz udała mu się na pewno – Dominique była zainteresowana. To, że się uda, nie było wcale takie oczywiste.

Z racji tego, czym się zajmowała, otarła się o wiele dziwnych historii. Przeprowadzała selekcję według własnego klucza. Tomek nie był pewien, czy zrobi dla niego to, czego potrzebował. Czekał z tą prośbą na finał rozmowy. W swoim opowiadaniu dobrnął już do lotu do Paryża. Wiedział, że na tym się nie skończy.

– Tomek, powiedz mi teraz wszystko, co wiesz o Sandrze.

– Już ci opowiedziałem. To jest wszystko. W internecie, ciekawe zresztą czemu, wcale jej nie ma. Przynajmniej tam, gdzie umiem szukać.

– To twoja wiedza ma sporo luk. Co Sandra robiła przez tych czternaście lat?

– Wzięła ślub z Monksonem, ale jakoś późno. Pracowała w tej firmie, o której ci opowiedziałem. W Szwecji. Rozwiodła się. Wróciła.

– Mało.

– Stary Zalipski powiedział: *Nosiło ją po świecie*. A ona sama: *Imałam się różnych zajęć*. Tak, wiesz jak, w cudzysłowie.

– A jakie to były zajęcia? Masz pomysł? Prostyucja czy wolontariat w Indiach? Coś pośrodku?

– Dominique, po co ta ironia. Wiesz, że nie wiem.

– Błąd. Masz tylko jej wersję. Przyjąłeś ją. Załóżmy, że masz wyczucie.

– Tak.

– To opowiedz mi, jaka ona jest.

Na to pytanie był gotowy.

– Samotna. Zamknięta w sobie. Skrajnie introwertyczna. Nie daje sobie prawa do żadnych emocji. Przynajmniej do ich okazywania. Przesadnie opanowana.

– Odwrotnie niż ja?

– Ty to powiedziałaś. Jednocześnie – już z tym nie wyrabia. Podświadomie szuka jakiegoś wentyla. Wybrała mnie, bo jestem obcy. Nie, nie wybrała. Sam się napatoczyłem, skorzystała. Boi się tego zresztą. To dla niej dziwne, że się otworzyła. Nie rozumie, że taka samowystarczalność jest nienormalna. Chciałbym zobaczyć, jak się z czegoś po prostu cieszy.

– Nie miałeś nigdy wrażenia, że tobą manipuluje?

Dominique długo czekała na odpowiedź.

– Nie.

– Nie próbowała się do ciebie dobierać?

...nie widzę powodu, żebyś spał na podłodze... szum komputera.

– Nie.

– A tak subtelniej? W samolocie jej głowa nie zsunęła się na twoje ramię, gdy spała? Kiedy mówiłeś, nie patrzyła ci w oczy, tak jakbyś właśnie ty dotarł do sedna? Nie czujesz się przy niej silny, mądry, niezastąpiony – bardziej niż zwykle?

– Nie. Zupełnie nie. Dominique, pomijasz jedną rzecz. Przeczytaj ostatni mail od Caillou. Wiem, myślisz, że miał humory, że ja histeryzuję, ale przeczytaj.

Podeszli razem do komputera. Tomek cieszył się, że udało mu się zmienić temat. Tamten był podejrzanie dwuznaczny, ten – potrzebny. Skłonienie Caillou do mówienia mogło się udać tylko Dominique.

...odmawiam jakichkolwiek dalszych zleceń dotyczących Sandry Arsztrejer/Monkson. Wykasuj natychmiast naszą wymianę maili ntt. Nic więcej nie mogę ci wyjaśnić. Nie pytaj. Nie pisz.

Przepraszam.

Czytała dłużej, niż było trzeba. Powstrzymała go, kiedy chciał zamknąć tekst. Po chwili zaczęła się śmiać.

– No, Tomek, chyba coś mamy. Caillou się sypnął. Możliwe, że twoja Sandra jest hakerką. Kiedyś, dawno temu odmówił mi czegoś w podobny sposób. Chodziło o drobiazg – namiar na kogoś, z kim pracował. Klub, do którego należy w sieci, jest elitarny. Mają żelazną zasadę – nigdy nie występować przeciwko sobie. W żadnych układach, z żadnego powodu, nikomu nie udzielać żadnych informacji na swój temat. Nie wszyscy ujawniają nazwiska. Niektórzy mają tylko nicki. Możliwe, że pracując dla ciebie nad Sandrą, rozszyfrował ją. Rozpoznał koleżankę z klubu. Natychmiast się wycofał. To jest dla mnie jedyna sytuacja, w której Caillou mógłby mieć skrupuły. Albo się bać. Wchodzi przecież we wszystko.

– Możesz to sprawdzić? (...*tak robią hakerzy na filmach...*)

– Jeżeli tak jest, Caillou nic nie powie. I to też będzie odpowiedź.

– Jak, do cholery, mógłby ją rozpoznać?

– Skąd mogę wiedzieć? Pamiętasz, na jakie pytania odpowiadał. Czasem myślę, że wszystko może. Ale jeśli tak, to ona też jest niezła. Nie rozumiem zresztą, czemu pisał tak nerwowo. Postaram się go wyczuć. W nocy wejdę z nim na czat.

– Pamiętaj, że to tylko teoria. niesprawdzona. I niczego nie zmienia.

– Jasne. Nie było powodu, żeby Sandra ci się chwaliła. Ale uważaj, może być jeszcze niejedno.

Tomek zamyślił się na chwilę. Jeżeli Sandra potrafi chociaż część tego, co Caillou, to nie jest bezbronna. A jednak – według jej słów – ze wszystkich starć ze swoim niewidocznym przeciwnikiem wyszła pokonana...

– Tomek, nie śpij. Proszę, wróćmy do początku. Możesz pokazać mi ten jej list jeszcze raz?

– Tak jest.

Pierre żałował, że otworzył drzwi. Otworzył, bo było za gorąco. A potem ona mu tu wlała. Wkurzała go, całkiem jak jego żona. *Zgubiłam się z przyjaciółką, zgubiłam twoje papierosy, zgubiłam pieniądze...* Wszystko jedno. A teraz ty *szukaj, pomóż, bądź mężczyzną, wstań, posłuchaj...* Zawracanie głowy.

– Nie może mi pani zostawić żadnego listu. Nie dostarczam poczty, prowadzę autobus.

– Czy w takim razie mogłabym położyć na siedzeniach te małe przyklejane karteczki z informacją? Na wierzchu jest tylko nazwisko.

– Nie wolno zaśmiecać autobusu.

– Szkoda. Mojej znajomej bardzo zależy, żeby mnie znaleźć. Ja mogłabym panu zapłacić tylko pięć euro, ale ona, jak znajdzie wiadomość, będzie o wiele bardziej wdzięczna. To amerykańska bizneswoman. Wie, jak się w takiej sytuacji zachować. Ale skoro pan miałby mieć z tego powodu problem, to trudno. Jej kłopot.

– Niech już będzie. Poświęcę się, jak pani tak zależy. Pięć euro. Proszę się pospieszyć.

Wie, jak się w takiej sytuacji zachować – jasne. Jego żona też chce dawać napiwki wszystkim wkoło. Nic, zarobił na butelkę wina. Co go obchodzą jakieś kartki, niech wiszą.

Dziwnie zamyślona, trochę nieobecna, prawie – niesamowite – prawie rozmarzona Dominique. Piękny widok. Tomek żałował, że już wróciła na ziemię, że zrzuciła włosy z ramion ostrym gestem. Że oderwała się od listu.

– Rzeczywiście. Dobrze napisane. Robi wrażenie, nawet za drugim razem. Mało słów, dużo uczucia. To pierwsze zdanie... Nie wiem nawet, w czym tkwi jego siła, i to mnie zaskakuje najbardziej. Trudno uwierzyć, że zapomniała. Można zrozumieć, że po tym, co ci się stało, po tym, co znalazłeś, tak strasznie namieszałeś. To nie była tylko histeria.

– Nie tylko histeria. Dziękuję. Wzruszająca ocena. Teraz ty ją podejrzewasz?

– Tomek, nie podejrzewam niczego, dopóki nie sprawdzę. Ale nie mam w zwyczaju, tak jak ty, polegać tylko na wrażeniach. Potrzebne są co najmniej dwie wersje. My mamy jedną. Trzeba znaleźć drugą.

– To co – Krantz? Jeszcze raz.

– Tak. Dawaj wszystko, co masz.

Zmieniała tekst, zmieniała styl, zmieniała wariant. Była na to przygotowana. Kiedy czuła, że jest zmęczona, że wpada w rutynę, zmieniała przystanek. Jechała z kolejnym kierowcą w następne miejsce. Jej spojrzenie prześliznęło się przez setki twarzy – szczęśliwych, żądnych wiedzy, głupawych, obojętnych, zakochanych, dumnych, oszołomionych, nieobecnych. Pijanych i pełnych koncentracji. Wiele lat temu ona sama nie mogła uwierzyć, że tu jest. Chłoneła słynne widoki, czując, że życie się

przed nią otwiera. Dziś patrzyła na nie tylko po to, żeby nie stracić orientacji w terenie.

Czerwony autobus – narzędzie godnej pochwały przyjemności – budził w niej przewrotne skojarzenia. Widziała mroczny obraz Linkego pod takim tytułem. Tłem wielojęzycznych rozmów była dla niej piosenka Kaczmarek o nim.... *Upiorów małych rząd, zwieszony u poręczy, w żyły nam sączy trąd...* Ale to nie wpływało na jej skuteczność.

Czy wierzyła, że znajdzie Martę? Trudno powiedzieć.

Była w transie zadania.

Rozmowa powoli traciła impet. Siedzieli nad tym przecież już od kilku godzin. Jak dawniej, kiedy pracowali razem nad sprawami Dominique. Tomek poczuł, że w przyćmionym świetle zza opuszczonych żaluzji ogarnia go senność. Pomyślał o Sandrze – wczoraj w nocy w ogóle nie spała. Dominique znów sprawdzała coś w internecie. Nadszedł czas na kolejny krok.

– Dominique, ogarnijmy to jakoś. Mamy dwa konkrety: Marta Johnson i Krantz. Myślisz że można by wykorzystać Jean-Paula? Jeśli Marta miała w jakikolwiek sposób do czynienia z policją, on może to sprawdzić w pięć minut. Dla ciebie zapomni o ochronie danych. To nam pozwoli wyeliminować wypadki, napady i tak dalej. Na razie bez zgłoszenia zaginięcia. Zgłoszenie od Sandry pewnie by olali. I jest jeszcze Krantz. Wiem, że Jean-Paul nie otworzy sprawy, ale mógłby przejrzeć archiwum. Sprawdzić, do czego naprawdę doszli w tym śledztwie, na czym utknęli. I w najlepszym wypadku

zadać Krantza swoim licznym informatorom. Zgadzasz się, żeby go poprosić?

– Tak. Jest w Paryżu. Spotkałam go u ojca, wyglądał na znudzonego.

– Świetnie. To kiedy możesz nas umówić na kolację z panem inspektorem?

– Nie nas. Załatwię to sama.

– A to za co?

– Tak sobie. Nie przejmuj się.

– Aha.

– Ale Jean-Paul to za mało. To tylko podstawa. Jeżeli Krantz rzeczywiście żył w metrze... i był legendą... pisali o nim... Porozmawiam z Bertrandem. Ciągłe ma swoich przyjaciół. Jest dumny, że nie zerwał z przeszłością. Taki dizajn.

– Liczyłem na to. Dziękuję. To też chcesz sama?

Tomek nie był pewny, czy Dominique go słyszy. Czytała coś, wpatrzona w ekran laptopa. Powoli przesuwała strony.

– Dominique?

– Znalazłam coś. Może coś bardzo ciekawego. Ale jeszcze za mało, żeby o tym mówić. Mniejsza z tym. Sprawdzę potem. A teraz muszę wyjść. Jestem umówiona. Czuj się jak u siebie, ale o dziewiątej wyjdź stąd, proszę. Klucz zostaw tam, gdzie dawniej. Dziś o jedenastej umówiłam nas z Sandrą w Aero. Potwierdziła esemesem. Przyjdę, chyba że mój wieczór się przeciągnie. Przenocuj tam, gdzie Sandra, u rodziców. To tymczasem.

Poprawiła coś jeszcze przed lustrem, podkreśliła usta kredką, zabrała torebkę i wyszła, zanim zdążył wymyślić coś więcej niż *miłego wieczoru*.

Został sam. Cóż. Należy się nastawić na jeszcze większe niespodzianki. I nie będzie spał tutaj – tak jak w maju – chociaż jego dawny pokój stoi pusty. Szkoda. Chciał usłyszeć człowieka, który rano rozstawiał na ulicy swoje bębny, zapewniając wszystkim wokół radosną, rytmiczną pobudkę. Kiedyś go przeklinał. Ale w la Murette będzie Sandra.

Spróbował sprawdzić, co też znalazła w internecie Dominique. Jednak się nie udało. Wyczyściła historię. Ciekawe. Do dziewiątej zostało dużo czasu. Postanowił pobuszować trochę po mieszkaniu. Zobaczyć, czy nie ma gdzieś męskiej maszynki do golenia, zapasowej szczoteczki do zębów albo skarpet. Może czegoś bardziej interesującego.

Tak sobie, z czystej ciekawości.

W Aero o tej porze było więcej ludzi niż w środku dnia. Sandra w trudem znalazła wolny stolik. Tomek przyszedł tuż po niej, zamówił coś ogromnego. Dominique, pół godziny spóźniona, raczyła się tylko winem. A ona zdawała relację. Rzetelnie, nad filiżanką kawy. W tym stanie nie czuła głodu. Nie potrzebowała ani snu, ani jedzenia.

– Czerwony autobus ma stałą trasę. Dziewięć przystanków: wieża Eiffla, Pola Marsowe, Luwr, Notre Dame, Muzeum d’Orsay, Opera, Łuk Triumfalny, Grand Palais, znów Trocadéro. To działa tak, że jak się kupi bilet, można na każdym przystanku wysiąść, spędzić na nim dowolny czas, potem wsiąść znowu do następnego czerwonego autobusu, kolejny kurs przyjmuje ten sam bilet. Tak właśnie zamierzała zrobić Marta. Chciała na to poświęcić sześć godzin –

dzisiaj, od drugiej do ósmej. Kurs jednego autobusu trwa dwie i pół godziny. Trzeba do tego dodać pół godziny przerwy. Odjeżdżają co dziesięć minut. Czyli jest osiemnaście autobusów, osiemnastu kierowców. Rozmawiałam ze wszystkimi. Piętnastu się zgodziło. Marta miała zmienić autobus dziewięć razy. Jeżeli połowa z nich zrobiła to rzeczywiście... obliczyłam prawdopodobieństwo. Chcecie zobaczyć?

– Nie, nie wyjmuj komputera. Jest wysokie, to fakt. Ale reakcji nie było.

– Nie, na razie nie. Nie znalazłam jej. Nie zadzwoniła. Nie wysłała wiadomości. Nikt nie zostawił informacji w kasie. Nie pojawiła się w wyznaczonym miejscu spotkania. Czyli – jeżeli przyjąć, że dobrze obliczyłam prawdopodobieństwo – Marta dziś nie jeździła czerwonym autobusem. Albo mnie unika. Skrajny pech też wchodzi w grę. Nie można go wykluczyć.

– Mogę zobaczyć twój list do niej?

Sandra długo patrzyła na Dominique. Demonstracyjnie, dłużej niż było trzeba, spokojnie. Komunikat bardziej znaczący od słów. *Balansujesz na granicy tego, co dopuszczam. Jestem ci coś winna, więc się godzę. Gdyby nie to, byłoby inaczej.*

– Możesz. Nie ma w nim nic prywatnego. Proszę.

Wyjęła z torby na komputer jedną z wielu wydrukowanych kartek.

– Dziękuję.

P. Marta Johnson.

Marta, nie dotarłaś do hotelu i nie odpowiadasz na telefony. Przestraszyło mnie to tak, że przyleciałam do Paryża Cię odnaleźć. Proszę, daj znać, czy wszystko u Ciebie w porządku. Odbierz telefon.

Jeśli go zgubiłaś, zadzwoń do mnie z innego. Mój numer: +48 606 082 095. Maile też sprawdzam. Jeśli zmieniłaś plany, nie musimy się spotykać, wystarczy mi wiadomość.

Jeżeli się nie odezwiesz, będę musiała znaleźć kontakt z Twoją rodziną i zgłosić zaginięcie na policji.

Dzisiaj (piątek) czekam na Ciebie od 21 do 22 w kawiarni Flora Danica przy les Champs Élysées 142. Jutro szukam cię w Luwrze, tam, gdzie planowałaś być.

Proszę, daj jakiś znak.

Sandra Arsztrejer

Dominique po milczącym przyzwoleniu Sandry podała list Tomkowi.

– Ten jest normalny.

– Proszę?

– Nie, nic, Sandra. Chciałam powiedzieć, że jest przekonujący, zapomniałam polskiego słowa.

Sandra wróciła do swojej relacji.

– Po autobusach, przed kawiarnią, weszłam do internetu i sprawdziłam jedyny znany mi namiar rodziny Marty – ich wspólny adres na Skype'ie. Chciałam spytać, czy nie mają od niej wiadomości, w taki sposób, żeby ich nie przestraszyć. Na razie wolałabym tak. Nikogo nie zastałam. W nocy spróbuję jeszcze raz. Maila do Marty wysłałam jeszcze z Polski, dziś nad ranem.

– A jutro poszukasz w Luwrze?

– Tak.

– Sandra, robisz to dużo lepiej, niż sobie wyobrażałem. Z twoimi sposobami możesz ją znaleźć nawet tam.

Pochwała Tomka sprawiła jej przyjemność, którą natychmiast stłumiła. Uznała, że to bardzo dziecinna reakcja. Dominique uśmiechnęła się tak, jakby mogła to jakoś wyczuć.

– Teraz moja kolej. Jest pewien wysoko postawiony – tak się mówi po polsku? – wysoko postawiony policjant, przyjaciel domu. Poproszę go o sprawdzenie, czy Marta nie miała złych przygód. Jutro z nim porozmawiam.

– A ja od jutra sam, swoimi własnymi sposobami, które też mam, szukam Krantza.

Co miało znaczyć dziwne, prowokacyjne spojrzenie, które Tomek posłał Dominique?

– I, Sandra, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, mieszkam z tobą. Przynajmniej to jedno się wyjaśniło.

Rozdział X

Sandra odpoczywała w gorącej wannie. Ogromnej wannie, stojącej na środku ogromnej łazienki. Dobrze było myśleć tylko o tym, jaka ta wanna jest wielka, jak wielki jest ten pokój służący do kąpieli. Jaki to dziwny pomysł, że wszędzie wokół są lustra. Jak dobrze, że można tu było zrobić półmrok. Szkoda, że trzeba będzie w końcu wyjść. Najchętniej zastygłaby w tej ciepłej wodzie, w szumie strumienia z kranu, w parze ukrywającej wszystkie jej odbicia.

Początkowo mieszkanie ją onieśmiało. Te całe stiuki, białe kominek, rzeźby z brązu. Antyczne meble, których strach dotknąć, tak dziwnie naturalne, odmłodzone tym, co na nich stoi albo leży, dopasowane ze smakiem i jakby poczuciem humoru.

Ale za wannę była mu naprawdę wdzięczna. Temu Tomkowi. Po prostu odkręcił dla niej wodę i oświadczył, że sam się zajmie Skype'em Johnsonów.

– Jestem już zakumplowany z córką Marty. Myśli, że się w niej kocham. To znaczy w Marcie, nie w niej, bez przesady. To będzie naturalne, jak zapytam. Z jej starym też sobie poradzę.

Pewnie nikogo nie zastanie, tak jak ona. Miło, że to przejął. Teraz trzeba tylko uważać, żeby nie zasnąć. Telefon leży obok, w zasięgu ręki.

Poderwała się nagle, rozbudzona ostrym dźwiękiem.

Czy on zawsze musi pukać do łazienki?

– Sandra, kończ powoli. Coś mam.

– Zalogowali się?

– Rozmawiałem. Wyjdź, to ci opowiem.

Czemu tak mało konkretnie? Już miała wyskoczyć w ręczniku, zakłęła – bez takich głupich ruchów. Pozbierała ubrania z podłogi, wciągnęła coś na siebie. Brudną bieliznę wepchnęła do kieszeni.

– No? Odezwała się? Czy nie?

Tomek czekał pod drzwiami. Mówił irytująco wolno.

– Rozmawiałem z młodą. Podobno dostała dziś maila od matki.

– Podobno?

– W mailu było, co Marta dziś robiła. Wszystko zgodnie z planem. Jeździła przez sześć godzin czerwonym autobusem.

– Mówiłam, że mogę mieć pecha. Ważne, że jest.

– Tak, ale jeździła razem ze swoją koleżanką, Sandrą Arsztrejer. A, jeszcze hotel Cecylia. Hotel Cecylia jest ponoć bardzo fajny. Są w nim obie.

– To kto tu kłamie?

Tomek wiedział przynajmniej, że nie ona. Bo była tutaj, a nie w la Cecille. Siedziała naprzeciw niego, skulona w zbyt dużym fotelu – mokra, bosa, oszołomiona. Przeczytała już zapis rozmowy z córką Marty. Zadała to pytanie tak, jakby wcale nie czekała na odpowiedź.

– Sandra, po kolei... Może to dziecko. Może fantazjuje. Albo chce się pochwalić, że matka do niej pisze. Jeżeli tak, to przez jakieś dziwne układy, przez to, że mała normalnie by takiego maila nie

dostała, chociaż chce. Musi znać tabelkę Marty, żeby tak zmyślać. Ale to dla mnie tylko hipotetyczne. Mniej prawdopodobne.

– Ile ona ma lat?

– Trzynaście. Bardziej mi pasuje, że to Marta. Że to ona kłamie. Urwała się gdzieś, z kimś, rodzina ma znać tę grzeczną wersję. A ciebie unika. To głupie. Ryzykowne dla niej.

– To po co ta cała akcja z zabieraniem mnie? Przecież nie mogła wiedzieć, że nie polecę.

– Plan musiał się zmienić potem. Może poznała kogoś w drodze. Ale to wiele nie tłumaczy. Nadal jest głupie. Łatwiej by było do ciebie zadzwonić, powiedzieć: „Sandra, taka niesamowita rzecz, tylko nikomu ani słowa” – to byłoby pewniejsze. Ma jakiś powód, żeby ci nie ufać w takich sprawach?

– W takich? Nie. To nie pasuje do całego obrazu. A jakieś popieprzone układy u Johnsonów? Może się bardzo o siebie boją? Ona się nie chce przyznać, że jest tu sama?

I to wszystko?

– Sandra?

– Tak?

– Z tego, co mówiłaś, słabo ją znasz. Mało o niej wiesz.

– Bardzo mało.

– To nie jest ktoś ci bliski. Wszystko, co robisz, te poszukiwania, to ze strachu o nią. Tak? Chciałaś się tylko dowiedzieć, że nie stało się jej nic jej złego. Jeżeli dziecko nie kłamie – napisała. Żyje. A czemu zmyśla – może to tylko jej sprawa? Już nie twoja? Może powinniśmy otworzyć butelkę szampana, bo to już koniec? Koniec problemów z Martą?

– Może.

To była taka mała, nieudana prowokacja. Chciał zobaczyć jej reakcję, a tu nic – prawie. Przestała tylko trzeć bliznę, widząc, że on na to patrzy. Zwinęła nogi na fotelu w jakiś dziwny sposób, wzięty chyba z jogi.

– A ty, Tomku, dasz sobie spokój z Krantzem?

– Nie. Krantz to inna sprawa. Krantz mi się łączy z Hubką. Z tym, co opowiadał jego partner. Obiecałem.

Wzruszyła lekko ramionami.

– Muszę się z tym przespać. Który pokój mogę zająć? Porozmawiamy jutro.

Odprowadził ją do największej sypialni. Zanim zamknęła za nim ciężkie, dębowe drzwi, zdążył jeszcze zapytać:

– A co z twoim facetem od listu? Od maili?

– Zniknął. Nic nie przyszło. Dobranoc. Zobaczymy się rano.

Oczywiście zabrała ze sobą komputer.

Następnego dnia, kiedy Tomek się obudził i zorientował, gdzie jest, spróbował sprawdzić czas – okazało się, że budzik w jego telefonie jest wyłączony. Pod telefonem leżał list od Sandry. Tym razem do niego.

Tomku, nie odwołuj, proszę, tego policjanta od Dominique. Niczego z nim nie zmieniaj. Z tym mailem Marty to nie tak. Bardziej skomplikowane. Wyjaśnię wieczorem, teraz nie mogę.

Jeżeli to możliwe, dzisiaj do mnie nie dzwoń.

S.

Świetnie. Caillou, Dominique, teraz Sandra – dowiesz się potem. We właściwym czasie. Tak jakby chcieli stopniować mu napięcie. Nie jest w tym, do cholery, widzem. Nie potrzebuje adrenaliny,

tylko konkretów. Jeżeli wyjdzie mu jego własny plan, adrenaliny będzie miał pewnie więcej, niż by sobie życzył.

Szanowny Panie Profesorze, czy zechciałby Pan ofiarować mi jeden ze swoich wieczorów? Jeżeli to możliwe, w najbliższych dniach?

Wiem, jak cenny jest Pański czas, więc zgodnie z Pana zwyczajem uprzedzam o temacie rozmowy. Interesuje mnie Pański artykuł „Mimetyzm w sztuce ulicy”, opublikowany w maju tego roku. Wiem, że wzbudził liczne kontrowersje – daję słowo, że nie zamierzam brać udziału w publicznej dyspucie. To, co usłyszę, zostanie między nami.

Z nadzieją czekam na odpowiedź.

Pańska była studentka, wierna czytelniczka

Dominique de Lacnoir

Dominique zadbała o ostatni zawijas. Poczekała, aż wyschnie atrament z pióra. Złożyła list, wsunęła go do zielonej koperty. Odnalazła w internecie numer telefonu.

– Kwiaciarnia *Chez Emilie*? Dzień dobry. Chciałam zamówić bukiet dwunastu niebieskich irysów, razem z dostarczeniem pod wskazany adres. Tak, madame Emilie, wiem, że pani storczyki są piękne, ale tym razem to muszą być właśnie błękitne irysy... To dobrze, że wieczorem, nic nie szkodzi. Do bukietu ma być dołączony list. Nie, niestety, nie mogę go pani wysłać mailem, ma być napisany moją ręką, już go mam. Podrzucę do kwiaciarni po drodze, dobrze? Wtedy podam adres. To bardzo miłe, że zamówi pani dla mnie te irysy. Dziękuję. Miłego dnia.

Dominique znów usiadła przy komputerze.

od: dominiquedelacnoir@gmail.com

do: bertrandf9vtmet@noos.fr

data: 12 lipca 2009 11:30

Bertrand, merde, nie chowaj się przede mną. I tak wiem, że nie poszedłeś na spotkanie z tym Angolem. Twoja strata, nie zjem cię za to przecież. Mam sprawę, tym razem nie twoją, moją własną. I najlepszą trawę w Paryżu. Przyjdę, tylko, do cholery, napisz, kiedy łaskawie otworzysz mi drzwi.

DdL.

od: dominiquedelacnoir@gmail.com

do: Caillou4o517@noos.fr

data: 12 lipca 2009 11:35

Caillou, kontakt, svp.

DdL.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

od: mesagerie@noos.fr

do: dominiquedelacnoir@gmail.com

data: 12 lipca 2009 11:36

Twoja wiadomość nie może być dostarczona. Caillou4o517@noos. fr umieścił cię na liście kontaktów zakazanych.

Dominique gwizdnęła cicho, przygryzła kosmyk włosów. Wysłała to samo pod inny, bardziej poufny adres. Dostała identyczną odpowiedź. Zamknęła ekran białego maca trochę zbyt gwałtownie, a potem napisała esemes do Tomka.

Otworzyła jedną ze swoich licznych szaf, żeby znaleźć coś stosownego na *déjeuner* z Jean-Paulem, wysoko postawionym inspektorem francuskiej policji. Wybrała sukienkę, w której powinna mu przypominać jej własną matkę – kobietę kochaną przez Jean-Paula od trzydziestu lat skrycie i platonicznie, żonę dobrego przyjaciela, obiekt snów. Nie miała obaw, że inspektor – człowiek o niezwykle wysokim ilorazie inteligencji – pojmie jej zamysł. Tych sfer jego inteligencja nie eksploruje. Sukienka była całkiem ładna. Jean-Paul pewnie już czekał. Zawsze przychodził wcześniej.

Marie Le Guen nie lubiła Luwru. Spędziła tu kiedyś wiele tygodni, wiele godzin. Znała każdy centymetr każdej rzeźby, najdalszy plan każdego obrazu. Nużyło ją to, że nic jej nie zaskoczy. Ale jej przyjaciółki z Saint-Louis, małego miasteczka w Alzacji, przeszły już na emeryturę. Przestały wychowywać wnuki, przeżywać rozwody swoich dzieci i przypomniały sobie, że coś im się należy od życia. Marie zawsze zapraszała. Mieszkała sama. Lubiła ludzi z Saint-Louis, te ich wieczorne rozmowy: kto umarł, kto jakimś cudem przeżył, komu się urodziło, kto chyba już całkiem zwariował. Lecz najpierw, w dzień, musiał być Paryż. I Luwr, Luwr, koniecznie Luwr. Więc towarzyszyła tutaj wszystkim po kolei. Dziś była z dawną piękną z klasy, która prowadziła z mężem najlepszy zajazd w mieście. Przy niej Marie się nie nudziła, dopóki piękność nie była znudzona. Miło jej było pokazać chytry uśmiech Jana Chrzciciela, jego wzniesiony palec, seksowną Marię Magdalenę z Chrystusem Ogrodnikiem – po

to, żeby zobaczyć walkę sprzecznych uczuć na szczerej twarzy. Ale przed Moną Lisą Marie ją zostawiła. Piękność słuchała pilnie przewodnika, a Marie nie mogła ustać w miejscu. Poszła do kogoś zagadać. Tak sobie, z nudów. Dawno przestała się przejmować tym, co wypada. Okazja zawsze się trafi.

O, proszę bardzo. Jakaś dziewczyna, chyba nie z obsługi, stoi w przejściu, oparta o ścianę. Patrzy na twarze wszystkich wchodzących, choć nie wygląda, jakby kogoś zgubiła. Ma ze sobą taki komputer, co to go można nosić w rękach. Rozkłada go, jak nikt nowy nie idzie, coś tam sobie robi, potem znowu składa. Czy tu tak wolno? I po co ona tych turystów sprawdza? Pewnie do jakichś badań. A co to za badania? Czy z prawem nie są sprzeczne? Każdy się może spytać. Jest okazja.

Ale zaraz. Bo jest tu jeden facet, co też się na nią gapi. Na dziewczynę. W dupie ma Monę Lisę i wszystko inne wokół. Oprócz tamtej.

A zamyślony taki, jakby sam siebie pytał o sens świata. I jakby nic mu się w ogóle nie zgadzało.

Marie poczuła, że budzi się w niej chochlik.

Ostrożnie, powoli podeszła do tamtego. Stała tak jak on, niby przed obrazem. Syknęła mu nagle prosto w ucho głośnym szeptem:

– Powiedz, kochany, że musisz od niej na chwilę pożyczyć ten komputer. Nie odmówi. Chociaż ona trochę dla ciebie za młoda.

Oj, przesadziła, przesadziła.

Bo tamten mruknął coś tylko, krok zrobił w jedną, krok w drugą i w tłumie zniknął. No, niemożliwe, żeby tak całkiem zniknął, ale zniknął dla niej. Skurczył się pewnie, zmałał, trochę zgarbił – a jak tak, to już go nie mogła zobaczyć. Była niska, wzrok już nie ten.

Marie stanęła sobie spokojnie obok piękności z Saint-Louis. Miała nadzieję, że w jej własnych oczach, wpatrzonych teraz grzecznie w Monę Lisę, nie widać wcale figlarniej satysfakcji złośliwej staruszki.

Tomek poznał kiedyś inną twarz Paryża. Jedną z wielu. Zupełnie inną od tej dumnej, majątnej, niezmiennej od lat, widzianej z okien czerwonego autobusu. Inną od trochę szalonej, żywej, pogodnej i otwartej, którą miał z Dominique na co dzień, w okolicach Bastylli i le Marais. Od wszystkich twarzy, które Paryż lubi pokazywać światu.

Przyjechał tutaj wiele lat temu, po studiach, żeby zrobić sobie przerwę w życiu. Do pracy, która się trafi, ale niekoniecznie po pieniądze. Wpadł w to, co dostał, nie wybierał. Zaczął od knajpy w Saint Denis – jak w niej było, wspominał niedawno, po pierwszej wizycie u Sandry. Było podle, ale niebezpiecznie ciekawie. Niebezpiecznie interesujący byli ludzie, z którymi zdarzyło mu się zetknąć – znajomi znajomych z roboty. Im większy krąg, tym bliżej dna.

A potem, kiedy wszystko się zmieniło – jego świat postawiła na głowie Dominique – Tomek nie chciał się tylko wżenić w jej życie, w jej mieszkanie, w jej pieniądze. Brał udział w sprawach, które z nim dzieliła, z pasją i przekonaniem. Jednak znalazł dla siebie własną działkę. Pracował – był w końcu psychologiem – w pewnej fundacji, która zajmowała się młodymi z półświatka. Bezrobotnymi, jako nieletni karanymi, na oko bez szans, skłonnyimi zerwać z przeszłością. Fundacja miała pielęgnować tę skłonność, aż zmieni

się w gotowość, a potem dawać narzędzia, pod warunkiem, że zostaną dobrze wykorzystane. Oczywiście w ramach ryzyka. Nie mieli dobrej strategii. Więcej klęsk niż sukcesów. Tomek odchodził stamtąd bez żalu. Zarabiał mało, a nie miał zbyt mocnego poczucia, że poprawia świat.

Ale co się wtedy napatrzył na życie, to jego.

Bywał w miejscach, do których turyści raczej nie trafiają – jeżeli, to tylko przypadkiem. W Saint Denis, Barbès Rochechouart, Nanterre, Clichy-sous-Bois – miejscach o złej sławie, czasem przesadnej, czasem nie. Nie był tam całkiem obcy, chociaż nie mógł być też swój. Poznał okolice, gdzie policjanci po zmroku chodzą tylko piątkami, blokowiska o własnej subkulturze, pełne biedy i agresji. Zdarzało się, że do tego, z kim właśnie pił piwo, dosiadał się chłopak, niespecjalnie ukrywający spluwę, a żeby było śmieszniej, bawił się kastetem.

Albo do knajpy wchodził ktoś, kto nie miał takich akcesoriów, ale na jego widok chłopak ze spluwą wstawał. prostytutki widywał nie tylko w stroju roboczym, w Lasku Bulońskim – także wtedy, kiedy gotowały dzieciom obiad.

Taka praca.

W każdym razie otarł się o środowiska, w których niejeden mógł coś wiedzieć o podziemnym życiu miasta. Być może niewiele mniej niż informatorzy Jean-Paula. I Tomek chciał to teraz wykorzystać. Po to, żeby odnaleźć jakiś ślad Krantza.

Wiedział, że szanse ma śmiesznie małe. Mimo że Krantz był na swój sposób sławny. Człowiek, który zamieszkał w metrze, chociaż miał pieniądze. Pieniądze, które oczywiście rosły w plotkarskiej legendzie. Może stawały się przynętą. Dziesiątki wariantów jego

dalszych losów – w tym połowa związana ze światem przestępczym, z życiem na dnie.

Ale – rzecz jasna – to wszystko tylko w internecie. A wcześniej w paryskich bulwarówkach.

Tomek mógł zrobić przynajmniej jedno. Sprawdzić, czy ta sława, ta legenda działa też, powiedzmy, z drugiej strony. Czy ludzie bliscy tych kręgów, w których Krantz zniknął i – według różnych wariantów opowieści – jest jakimś cudem znany, chociaż nieuchwytny, żyje i ma się dobrze, w ogóle cokolwiek o jakimś Krantzu słyszeli. Czy to tylko wyspany z palca mit internautów. Chociaż tyle mógł zrobić. Przynajmniej na początek.

Czy mógł – to zresztą też problematyczne. Ci, do których chciał dotrzeć, nie rozdawali mu przecież wizytówek. Nawet wtedy znał ich tylko z imion, a to, co robili – z knajpianych nieudomówień. W miarę łatwo mógł odszukać tylko tych, których życie zmieniło się na lepsze; takich, z którymi miał wtedy w miarę dobry kontakt. To niewiele. Ale można było zataczać coraz szersze kręgi. Co robi ten, co tamten, gdzie przesiaduje, gdzie łązi, czy jeszcze sprzedaje prochy pod Halami, czy już nie... Było też kilka miejsc, w których niby przypadkiem mógł wpaść na tych, których dawniej wolał unikać. Zdolności, nazwijmy to, aktorskie miał w swojej ocenie całkiem niezłe. Trzeba było spróbować.

Zatem ubrał się tak, żeby nikogo bez potrzeby nie wkurwiać, przypomniał sobie francuski slang i poszedł na poszukiwanie starych kumpli.

Inspektor Jean-Paul, wysoki, tęgawy mężczyzna o siwych skroniach, powoli osuszał wąsy serwetką. Osiadł mu na nich majonez, nie lubił tego. Kiedy skończył, wypił łyk wina.

– Zaskakujesz mnie, Dominique. Aż dwa zniknięcia. Chyba masz problem z tymi Polakami. Jak on, jak Tomek – tak go lubiłem – mógł cię zostawić?

– Nadal możesz go lubić. Mówiłam ci już nie raz. To nie on decydował. Byliśmy co do tego zgodni. Po prostu wypalenie.

Nastroszone wąsy bujały się nad kieliszkiem wina, gdy Jan-Paul kręcił głową z demonstracyjnym powątpiewaniem.

– Wypalenie... Nie wierzę w coś takiego. Zawsze, gdy tak mówiłaś, obok byli rodzice. Ze mną możesz być szczerą. Wypalenie, mówisz. Wcale nie jestem pewien, wcale, czy to dobrze, że ciągle się z nim spotykasz.

– Jean-Paul, wiem, że zawsze troszczysz się o mnie jak ojciec. Ale ja jestem już dorosła. Już nie robię głupich rzeczy. Nie musisz się martwić. A tamta sprawa – jeżeli mogę do niej wrócić – to nie jest sprawa Tomka. Kobieta, która szuka Marty Johnson – Sandra – to moja dobra przyjaciółka. Od dawna.

– To czemu ja o niej jeszcze nigdy nie słyszałem?

– W każdej chwili możesz ją poznać. Jeżeli uda się coś znaleźć, umówię nas w trójkę na kolację.

– No dobrze, dobrze. Ależ ty mnie zawsze poganiaasz w rozmowie. Nie trzeba szybko mówić, tylko szybko myśleć.

Uśmiechnęli się do siebie po jego zwyczajowej frazie.

– A ten Krantz... Dominique, jest między tymi sprawami jakiś związek?

– Znali się kiedyś dobrze wszyscy, tyle wiem. Może ty dowiesz się czegoś więcej.

– A czemu twoja Sandra chce o nim wszystko wiedzieć? Jak myślisz, czy w grę wchodzi dawne uczucie?

Cholerny romantyk.

– Może.

– No dobrze, dobrze. W sprawie tej Johnson zadzwonię do ciebie – spojrzał na zegarek – po szesnastej. A Krantzem zajmę się w poniedziałek. Zobaczymy.

– Jean-Paul, bardzo ci dziękuję.

Kiedy inspektor zamawiał crem brûlée, Dominique zastanawiała się, czy nie powiedziała mu zbyt mało. Jednak nie. Gdyby znał całą prawdę, mógłby uznać, że trzeba ją przed tą sprawą chronić. Jeżeli będzie trzeba, w odpowiednim czasie dowie się więcej.

– Dominique? Czy ty przypadkiem nie za mało jesz? Wciąż chudniesz.

Dyskretnie wzięła głęboki oddech.

– Nie, Jean-Paul, myślę, że nie.

Wiedziała, że opiekuńcze zapędy inspektora rosną z wiekiem. Prawie tak szybko, jak ilość rozwiązywanych przez niego spraw.

Omar – jeden z wielkich sukcesów fundacji – nie był dobrym tropem. Chociaż miło było go zobaczyć. Miał własną budkę z kebabem w Saint Denis, siedem na siedem, dwadzieścia cztery na dwadzieścia cztery, *zawsze świeży aïram*. Na widok Tomka bardzo się ucieszył. Obwieścił mu, że tydzień temu został ojcem. Nieślubne, ale na pewno jego. Nie dał się wyciągnąć na piwo, ani z tego, ani

z żadnego innego powodu. Robota. Nie ma kogo zostawić przy kasie, ma tylko dwie zmiany, spłaca kredyt. Z chłopakami się prawie nie spotyka, nie wie, co tam u nich. Jak się ma własny biznes, to trudno o wolny czas.

Niewypał.

A w starej knajpie Tomka prawie same nowe twarze. Oprócz jednego dawnego kumpla, też kelnera, od wtedy chyba do zawsze. Wieczór z nim zapowiadał się owocniej. Sprawiał wrażenie, że wszystko o wszystkich wie, i to takie rzeczy, że *Tomek, kurwa, tutaj to ci nie powiem. Wpadnij do mnie wieczorem na wino, pogadamy*. Mógł oczywiście blefować. Połowa jego życia to był blef. Kiedy Tomek go poznał – dokładnie w tym samym miejscu, w którym go dzisiaj znalazł – François miał dwadzieścia pięć lat, długie, nieco archaiczne loki i ksywę Student. Sprawiał wrażenie postaci barwnej, egzotycznej. Młody francuski komunista-gawędziarz, niezwykle ideowy, kelner z wyboru, wieczny student – ponoć też z wyboru. Przy piwie rzucał od czasu do czasu z natchnionym wzrokiem jakiś mniej lub bardziej pretensjonalny cytat, który w miarę pasował do sytuacji. Czynił aluzje do rodowych pieniędzy, po które mógłby sięgnąć, gdyby tylko chciał. Do tajemniczych, niebezpiecznych planów, na które zamierza je przeznaczyć. Poza tym wszystkim – całkiem sympatyczny chłopak. Trochę nudny. O komunizmie wiedział zbyt mało, żeby dało się z nim dyskutować, chociaż bardzo tego chciał. Okładki książek, które wystawały mu z torby, zmieniały się rzadko, w stałym cyklu. Budując wizerunek anarchisty, chodził na każdy protest, który się zdarzył. Czasami nie trzymało się to kupy. Ciągle myliły mu się kierunki jego rzekomych studiów. Ale kręciły się wokół niego ładne dziewczyny z Saint Denis. Facetom

sprawiało skrywaną przyjemność, że tak imponują mu ich ciemne sprawy. A jemu było z tym wszystkim dobrze. Mimo pozorów wiecznego buntu, nie chciał niczego w swoim życiu zmieniać – tak długo, jak się tylko da. I najwyraźniej aż do dziś nie zmienił. Na przedramieniu wyrósł mu tatuaż z sierpem i młotem, długie loki się przeredziły, słowem – ten sam François. Ta jego tępa niezmiennność była teraz cenna. François tkwił w tej knajpie jak najstarszy człowiek we wsi. Mógł rzeczywiście wiedzieć wystarczająco dużo, żeby stać się dla Tomka punktem wyjścia.

Trzeba było tylko kupić dwie butelki wina, obiecać sobie samokontrolę i cierpliwość, upić go, byle nie za mocno, i nakierować rozmowę na tych, o których chodziło.

Jean-Paul zadzwonił godzinę później, niż obiecał. To było dla niego tak nietypowe, że Dominique przyjęła już prawie czarny scenariusz związany z Martą Johnson. Odbierając telefon, była w pełnej mobilizacji.

– Tak?

– No, moja droga, to ja. Co do tej przyjaciółki twojej przyjaciółki, co to jej jeszcze nie znam, to się możecie obie uspokoić. Pani Johnson nie miała z nami żadnej styczności. Ani w Paryżu, ani w regionie. W ogóle w Ile-de-France. Sprawdziłem szerzej, niż chciałaś. Nie jest ofiarą żadnego wypadku ani przestępstwa, nie była notowana jako pijana ani odurzona. Nie została aresztowana. Poza tym przez ostatnie czterdzieści osiem godzin tak się szczęśliwie złożyło, że nie mieliśmy w Ile-de-France – przepraszam cię, kochanie, za takie określenie – niezidentyfikowanego damskiego

trupa. Jeżeli nadal się niepokoisz, polecę komuś jutro, żeby sprawdził szpitale.

– Byłoby świetnie. Bardzo cię proszę. I dziękuję. *(Czemu w takim razie spóźnił się z telefonem? Po raz pierwszy od tylu lat? Jak zapytać?)*
Poza tym wszystko w porządku, Jean-Paul?

– Tak, tak, oczywiście, że tak. Wszystko. Ta druga sprawa, Dominique – ciekawe, że mnie o nią spytałaś. Ciekawe. Z chęcią się jej przyjrzę.

– Czyli – tak trochę już się jej przyjrzałeś?

– Tak trochę. Zasiedziałem się przy tym. Ale nie ma co mówić, nie. Tylko tyle, że to ciekawe. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to ja już cię przeproszam, muszę kończyć. Coś tam teraz jeszcze sprawdzę.

– To do widzenia, Jean-Paul. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Jutro będą te szpitale. Pa.

Rozłączył się pierwszy. Jean-Paul w trakcie pracy. W swoim żywiolu. Skoncentrowany nad papierami, samotny, trochę nieobecny. Co jakiś czas wyrywa jeden włos ze swoich wąsów. Traci poczucie czasu. Siedzi przed komputerem, przy opuszczonych żaluzjach, nie zapala górnego światła, tylko maleńką lampkę na swoim biurku. Podgryza chipsy tacos, które chowa na tę okazję w szufladzie, zamoczone w jakimś czerwonym sosie. Nie baczy na swój cholesterol. Nie chce z nikim gadać. Myśli.

Widywała go już w takim stanie. Czy to możliwe, że jest w nim dziś przez sprawę Krantza? Czy to tylko złudzenie wywołane jej podekscytowaniem? Dziecinnym napięciem, które czuje na myśl o swoich własnych, niesprawdzonych jeszcze odkryciach?

Szkoda, że ten, którego Dominique teraz potrzebuje, jest tak trudno dostępny. Nie dostał chyba jeszcze bukietu niebieskich irysów.

Wielki czerwono-czarny plakat z Che Guevarą zasnuwał dym z papierosów François. Kiedy Tomek na to patrzył, miał wrażenie, że czuje zapach kadzidła. W małej, zagraconej klitce panował półmrok. Goła żarówka pod sufitem się przepaliła; lampka stojąca u wezłowia materaca, na którym Tomek siedział, była tak brudna, że dawała mało światła. W słoiku, służącym za popielniczkę, brakowało już miejsca. Kończyła się druga butelka wina.

François mówił coraz wolniej i coraz swobodniej. Coraz częściej się śmiał. Język trochę mu się plątał. Tomek lubił kumpla – kelnera w takim stanie. Kiedy znikająca sztywna poza, o której po pijaku zapominał, François okazywał się całkiem miłym, wrażliwym facetem. Mało bystrym, ale to już nie jego wina. Losem chłopaków z Saint Denis szczerze się przejmował. Nie dziwiło go wcale, że Tomek o nich pyta. A było o czym opowiadać.

Alex stracił stałego partnera, z którym był przez pięć lat. Tak go to zdołowało, że chciał się zabić. Nie wyszło mu, bo przeciął nie tę żyłę, co trzeba. Kiedy go ratowali, był agresywny. Trafił do psychiatryka. Po wyjściu ułożył sobie życie. Jest teraz męską prostytutką, ale z dobrymi kontaktami. Ponoć nieźle zarabia. Ma swoje stałe miejsce w jednej takiej knajpie, za placem Bastylli.

Louis już nie sprzedaje prochów pod Halami – siedzi od roku. Interes przejął po nim jego brat. *Tu masz, Tomek, jego komórkę, gdybyś potrzebował. Tylko powiedz, że to ode mnie, nie zapomnij.*

Piękna Nati rzuciła sprzątaninę. Wzięła dziecko od matki, ma normalny dom. Jej pierwszy fagas, co siedział za pobiciem, wyszedł z pierdła. Zamieszkał z nią. Wyprowadzili się do miasta. On robi w prywatnej ochronie jednego biznesmena. To Nati tak to ładnie nazywa. Chce posłać syna do dobrej szkoły z angielskim. Będzie ją na to stać.

Ten, *co ty, Tomek, jego imienia nawet nie pamiętasz*, to był Pierre. Pierre musiał zniknąć. Zmienił papiery, inaczej się nazywa. Ale ma jedną taką pannę, co do niej zachodzi w każdy piątek. Jeśli go szukać, to tylko tam.

Ten młody z ksywą Rambo, co w nic się nie chciał mieszać, *he he, Tomek, coś tak jak ty*, leży w szpitalu. Wyjdzie z tego, chociaż ciężka sprawa. Dostał manto. Musiał komuś podpaść.

U innych – nuda, bez zmian.

A, nie, są jeszcze bracia Karow. *Ale jak o nich mam mówić, to muszę znaleźć resztkę wódki. Gdzieś tu mam. Bo taka rzecz przez suche gardło nie przejdzie.*

Tomek notował. Notował w zawirowanej głowie, jak na zbyt małym, zatłuszczonym skrawku gazety. Niektóre twarze z trudem łączył z imionami, niektóre dobrze znał.

François okazał się skarbem. Ciekawe, czy ta rozgadana ufność kiedyś go zgubi.

Aero stało się dla nich małym, nocnym centrum operacyjnym. Sandra poczuła się niezręcznie, widząc, że przy stoliku nie ma Tomka. Ale zanim zdążyła usiąść, Dominique przekazała jej dobre wiadomości od Jean-Paula. Sandra z kolei, jak zwykle przy kawie, opowiedziała, jak szczelnie oplotła siecią swoich kartek Luwr. Kasy,

bileterzy przy wejściach, wypożyczalnie audioprzewodników, damskie toalety... Oczywiście Marta się nie pojawiła.

Ze swoją największą, kłopotliwą rewelacją Sandra chciała poczekać na Tomka. Miała wrażenie, że Dominique jeszcze o tym nie wie. Może zachował dla siebie całą historię z mailem. Tak byłoby lepiej.

– Miałaś jakąś wiadomość od Tomka? Myślałam, że tu będzie.

– Pewnie zjawi się od razu w mieszkaniu, nad ranem, w takim sobie stanie. Nie zdziw się, Sandra. Musi odświeżyć stare znajomości. Ma swoje sposoby. Szuka śladów Krantza.

– Myślisz, że to w ogóle ma sens?

– To, że chce znaleźć dojdzie do przestępczego półświatka? Nie wiem. Nie wiem, co potrafi. Czasem, jak się tak na coś uparł, coś pozornie głupiego, to mu całkiem dobrze wychodziło.

– Nie, chodzi mi o całą sprawę z Krantzem.

Dominique milczała dłużej niż było trzeba.

– Oczywiście, że ma. Ty teraz widzisz tylko Martę. Jakoś tak się nastawiłaś. A przecież to nie wszystko. Są inne twoje przejścia.

– Nie chciałam was w to angażować...

– Patrz, idzie Tomek.

Tomek nadchodził od rue de Passy. Zataczał się lekko, dość długo szukał wzrokiem wzniesionej ręki Dominique. Gdy usiadł obok nich, Sandra poczuła mocniejszy smród papierosów niż zwykle. Błyszczące oczy, zaczerwienione policzki, rozczochrane włosy. Jednak mówił całkiem przytomnie, normalnie:

– Musiałem się trochę upić. Przepraszam. Co straciłem?

Dominique w kilku zdaniach zebrała to, co było ważne.

– To teraz powiedz w końcu, co z tym mailem, Sandra. Czekalaś chyba na Tomka.

Więc wiedziała. Nie ma wyjścia, nie można tego przemilczeć.

– Po tym, co powiedziała Tomkowi córka Marty, musiałam sprawdzić, czy Marta rzeczywiście do niej napisała. Prosiłam wcześniej Tomka, żeby wasz Caillou znalazł hasło do jej poczty, ale Tomek nie miał z nim kontaktu. To ja innymi sposobami dziś nad ranem to hasło zdobyłam.

– I co, napisała?

Czemu nie widać po nich zaskoczenia?

– Jest taki prosty program – można sobie napisać wiadomości i tak ustawić, żeby zostały wysłane później, w określonym czasie. U Marty w poczcie jest zainstalowany. Od dnia przed jej wylotem do Paryża. Od tego czasu są w nim zapisane gotowe teksty i terminy. Dziś wyjdzie do rodziny wiadomość, w której opisuje Luwr, jutro – Montmartre i tak dalej. Przez siedem dni.

– Kurwa, bez sensu.

– Tak, Tomek.

– A jak ktoś jej odpisze, to chyba normalne, i na przykład o coś zapyta?

– Ma też wpisaną automatyczną odpowiedź na wszystkie maile, że nie dochodzą, bo skrzynka jest przepełniona.

– To powinno iść od systemu, nie od niej.

– Nie wszyscy o tym wiedzą. Ktoś, kto odbierze, może pomyśleć, że teraz się zmieniło, albo że Marta ma wirusa, czy coś takiego.

Kiedy Tomek zadawał wkurzone pytania, Dominique przygryzała kosmyk włosów. Dopiero teraz się odezwała:

– Sandra, udało ci się sprawdzić, kto i jak ten program zainstalował? Przynajmniej czy to ona?

– Nie. Tego się nie da zrobić.

– No to jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Jesteśmy w dupie.

– Tak, Tomek.

– Chwila. Źle powiedziałam, wycofuję. Na pewno nie w punkcie wyjścia. Wykluczyły się przez to wszystkie przypadki. Przez to i przez wiadomość od Jean-Paula. Albo Marta prowadzi własną grę z rodziną, albo jest przeciw niej jakaś większa akcja. Porwanie, coś w tym stylu. I jedno, i drugie – wcześniej zaplanowane.

– Policja nie miałaby wątpliwości, że to sama Marta. Nawet Jean-Paul.

– Nawet. Nie ma podstaw. Ale o tym programie mu opowiem. Powiem, że Sandra po prostu zgadła hasło Marty, bo było banalne. Zobaczymy.

– To co: telefon do rodziny?

– Z donosem? Lepiej jeszcze jej poszukać.

– I szukać Krantza.

– Tak. Szukać Krantza.

Sandra słuchała ich w milczeniu. Dziwna myśl przyszła jej do głowy – że to dobrzy ludzie. Dobrzy, czy żądni przygód jak dzieci? Może jedno i drugie. Bo w zasadzie co ich skłania do tego, żeby się tym zajmować?

– Sandra, czy było jeszcze coś ciekawego w poczcie Johnson?

– Nie. Nic specjalnego. To chyba drugi adres. Innego nie znam.

Chciała już przestać odpowiadać na pytania. Kelner właśnie przyniósł Tomkowi kieliszek wina. Nie zauważyła, kiedy go

zamawiał. Przesada. Dominique udawała chyba, że jej to nie przeszkadza. Może nie przeszkadzało naprawdę. W dziwnym odruchu Sandra zamówiła to samo. Może nie musi być dla siebie aż tak surowa.

Kiedy Dominique wracała do domu, na schodach zatrzymała ją *madame concierge*. Podała jej list w zielonej kopercie.

– Przyszła dla pani przesyłka przez posłańca. Nie było zastrzeżeń, to odebrałam.

Dominique podziękowała jej serdecznie. Kobieta musiała specjalnie na nią czekać, w piżamie, gotowa do snu; narzuciła na siebie tylko szlafrok.

Papier listowy był o pół tonu jaśniejszy niż koperta. Też zielony.

Moja Droga Dominique,

Dla Pani zawsze znajdę czas. Proponuję jutrzejsze popołudnie. Wieczory, niestety, mam zajęte. Proszę do mnie przyjechać o 15. Chętnie Panią zobaczę.

Gustav Givre

Świetnie.

Odpowiedź od Bertranda nie przyszła. Trudno. Wszystko po kolei.

Dominique nie lubiła przed snem poezji, jednak tym razem wzięła do łóżka tomik. Wiersze przetłumaczone przez Krantza, które przywiózł jej były mąż. Przestała czytać po pierwszej stronie. Miała już dzisiaj dość szeleszczących polskich słów.

Sandra nie mogła zasnąć. Jej biedny mózg, zmuszony do pracy przez ostatnie noce, uznał już pewnie, że tak ma być. Nie przyjmował prezentu ciszy i ciemności, jakby to był jakiś podstęp. Nie chciał się uspokoić. Długo w tym stanie nie wytrzyma. Niedobrze. W dodatku, co gorsza, dopadła ją chwilowa awersja do komputera. Normalny efekt uboczny kilku dni na najwyższych obrotach. Umiała ją przełamać, ale za cenę gorszego myślenia. Lepiej było przeczekać. Ale z napięciem, które przez to powstało, nie mogła sobie poradzić. Z dziwnymi uczuciami, których nie powinno być, z chaosem, skojarzeniami bez logicznych uzasadnień, ze świadomością niejasnego błędu. No i tak, trzeba to nazwać – ze strachem.

Zamiast czekać na sen, chodziła po mieszkaniu. Było tu coś, co ją uspokajało – oddech Tomka. Słyszeć go było nawet w przedpokoju. Tomek się upił. Pewnie też przepalił. Oddech miał głośny, chrapliwy, chociaż równomierny. Taki spokojny sen. Tylko pozazdrościć. Nie wiadomo, co niby w tym takiego stabilnego. Czemu ten dźwięk wprowadza w myślach ład. Jednak wprowadzał.

Po cichu weszła do pokoju, który zajął Tomek. To była chyba gościnna sypialnia. Dwuosobowe łóżko, mniej okazałe od tego, które ona dostała. Spał nago, z rozrzuconymi ramionami. Miał ładne ciało. Wciąż głośno oddychał. Położyła się obok niego, żeby przez chwilę spokojnie tego posłuchać. Rozbawiła ją myśl, co będzie, jak Tomek się obudzi. Trzeba by było dorobić inną motywację. Przecież nie można powiedzieć, że przywiódł ją tu strach. Trzeba udawać, że przyszła właśnie dla niego. Dla Tomka. Że potrzebuje jego ciała, nie

oddechu. Może przez to po raz pierwszy od dawna byłaby z mężczyzną. Interesujące.

Jednak to dobrze, że spał. Przy nim mogła to wszystko przemyśleć. Nazwać pewne rzeczy po imieniu, zmniejszając dzięki temu grozę, którą w niej budziły. Tak, żeby były już tylko problemami. Pierwszym skojarzeniem ze słowem *problem* jest przecież *rozwiązanie*.

Tomek i Dominique myśleli, że Sandra całymi dniami szuka Marty. Szukała, to prawda, perfekcyjnie, z uporem. Ale jednocześnie odwaliała kawał dobrej roboty. Przeanalizowała pod nowym kątem sprawę człowieka, który ingerował w jej życie. Po raz kolejny wgryzła się w swoją przeszłość.

Połączyła rozproszone wątki. Odkryła nowe zależności. Znalazła jego ślady tam, gdzie dotychczas ich nie szukała. Podeszła do niego niebezpiecznie blisko.

Wniosek – ten człowiek wiedział o niej znacznie więcej, niż myślała. Gdyby chciał, mógłby ją załatwić. Może nawet nie raz. Nie, nie trucizną czy tęnym narzędziem – to mógłby każdy. W głębszym sensie. A jednak tego nie zrobił.

Z kolei w sytuacjach, w których się pojawiał, zachowywał pewien – ze zdziwieniem znalazła to słowo – umiar. Mógłby uderzyć mocniej, zaszkodzić bardziej, skrzywdzić dotkliwiej.

Choćby najprostszy przykład – sprawa z ambasadą amerykańską. Oskarżenia z anonimu przeciw Sandrze były czarno-białe. Dla tych, co mieli je sprawdzić – prawdziwe albo nie. Po zweryfikowaniu – ewidentnie błędne. Wystarczyło napisać ten list bardziej „miętko”, mniej konkretnie. Wtedy mogłaby zapomnieć o wizie na zawsze. On o tym wiedział. Wysłał jej przecież opis procedury.

Czyli – gdy tylko Tamten zechce, może być dla niej znacznie bardziej niebezpieczny niż dotychczas. A ona jest bliżej niego, niż była. Bliżej niego w internecie. Chwilami ma wrażenie, że jeszcze jeden krok. A może to złudzenie. Może wszystko jest nieprawdą. Może ten tajemniczy błąd, którego świadomość tak ją prześladowuje, tkwi gdzieś na samym początku rozumowania, u podstaw.

Z kolei to, co znalazła, prześwietlając życie Marty, zaognia sprawę jej zniknięcia.

Nie jest bezpiecznie.

Uświadomiła sobie, że to ostatnie zdanie jest czymś powiedzonkiem. Żartobliwą kwestią kogoś znajomego, cytatem z książki czy serialu. Czyim? Próbowała sobie przypomnieć. I to ją wreszcie wyciszyło, uśpiło, lepiej niż przereklamowane liczenie baranów.

Rozdział XI

Z samego rana Tomek odkrył coś, co go zdumiało. Zdumiało, przeraziło, otrzeźwiło natychmiast, skłaniając do intensywnego myślenia, które o tej porze wcale nie było łatwe. Zagmatwało całą sprawę bardziej, niż mógł się spodziewać. Wprawilo w zakłopotanie.

Klapki Sandry.

Klapki Sandry leżały obok jego łóżka jak kapcie, które ktoś zrzucił z nóg, kładąc się spać. Albo i nie spać.

A on niczego nie pamiętał. Przeklinał teraz ten ostatni kieliszek. Bez niego wszystko byłoby OK. Pamiętał powrót, ulicę, pełnię księżyca nad dachami kamienic. I tyle. Nic więcej.

Czyżby wczoraj zaszalał, ośmielony winem, odnajdując w sobie erotyczny talent, rozbudzony romantyczną, kiczowatą pełnią? W dodatku działał skutecznie?

Tak to wyglądało. Ktoś w nocy spał w jego łóżku. Nie ktoś, tylko Sandra, której już tu nie było. Nie miał szans, żeby sobie to przypomnieć. Mógł tylko szukać śladów, które wcale nie były jednoznaczne.

I co teraz? Zapytać? Kurwa, nigdy. No dobrze, może wieczorem. Jak trafi się okazja.

Przynajmniej wczoraj po powrocie wziął prysznic. Tego też nie pamiętał, ale ubrania były w łazience. Chociaż tyle. Może mógłby być dumny, gdyby wiedział, z czego.

Nigdy więcej ostatnich kieliszków.

Rozpamiętywał to przez całe przedpołudnie. Miał czas. Ci, których chciał dziś szukać, byli uchwytani popołudniami i wieczorem. Musiał wcześniej załatwić tylko zdjęcie szwów. Rana goiła się dobrze, nie bolała. Świeża blizna pasowała mu zresztą do ról, które miał grać. Podobny klimat.

Uprzedził wczoraj, żeby do niego nie dzwonić. Całe szczęście. Nie miał teraz ochoty na rozmowę z żadną z kobiet.

Gustav Givre, profesor paryskiej Akademii Sztuk Pięknych, specjalista od awangardy XX i XXI wieku, mieszkał w Boulogne, w okazałej willi z lat trzydziestych, otoczonej pięknym ogrodem. Właśnie tam, w ogrodzie, przy ciemnym stole z tekowego drewna, wśród kwitnących irysów, w cieniu starego kasztanowca przyjął Dominique. Profesor, znany z ekscentrycznych zachowań, nie lubił, kiedy ktoś przestępował progi jego domu. Nie lubił, kiedy ktoś patrzył na jego zbiory, naruszał intymną więź między nim a jego obrazami. Już wejście do ogrodu było dużym wyróżnieniem, świadczącym o życzliwości i ciepłych uczuciach. Dominique umiała to docenić. Być może także wykorzystać.

– Dominique, pani dała światu Bertranda. Odnalazła, wydobyła z podziemi, wysłała na leczenie, sprawiła, że jego geniusz zapanował nad szaleństwem. Nie mówiąc już o tym, że dzięki pani Bertrand stał się milionerem, a ja mam jeden z jego pierwszych obrazów. Za to jestem gotów rozmawiać z panią na każdy temat. Powtarzam to sobie od wczoraj, bo temat, prawdę mówiąc, wybrała

pani fatalnie. Cały ten szum wokół tamtego artykułu mnie mierzi. Co wzbudziło pani zainteresowanie?

Szczera odpowiedź nie była, niestety, bezpieczna. Profesor to nerwowy człowiek, a jego życzliwość ma swoje granice. Jednak nie było wyjścia.

– Zaintrygował mnie jeden z bocznych wątków. – przerwała, bo Gustav Givre wstał dość gwałtownie.

– Ach. Jeden z bocznych. Więc pewnie właśnie ten, na który wszyscy się rzucili. Myślałem, że przynajmniej pani zwróci uwagę na to, co w tekście naprawdę ważne. Na badania, które chciałem w przyszłości rozwinąć, które trzeba rozwinąć, a które po tej kompromitacji z – jak to pani nazwała – bocznym wątkiem mają już nikłe szanse. Przecież to dotyczy pani specjalności. Sztuka ulicy. Wykazałem, że francuska sztuka ulicy, naśladując prace uznanych twórców współczesnej awangardy, nie ogranicza się jedynie do mimetyzmu, kopii, biernego naśladownictwa, że w wielu przypadkach w twórczy sposób rozwija styl, prowadzi dalej zamysł, można powiedzieć, stawia kropkę nad i... W moim artykule jest niewiele zdjęć, zebrałem znacznie szerszy materiał porównawczy. Skopiowałem dla pani wszystko, może pani nad tym spokojnie popracować w domu, ale pozwoli pani, że przejdę do konkretów.

Profesor mówił nieprzerwanie, spacerując obok stolika z tekowego drewna. Dominique nie martwiła się już, że nie dane jej będzie zadać tych kilku pytań, z którymi przyszła. Gustav Givre dawał jej teraz wykład oparty na swoim tekście. Był wykładowcą solidnym, niczego nie pomijał. Czekwała więc spokojnie, aż dobrnie do kłopotliwego końca. Starła się nie patrzeć pożądliwie na teczkę, którą dla niej przygotował. Właśnie na to wcześniej liczyła.

Alex zdecydował, że kupi sobie kota. Jeszcze dziś wieczorem. W jednym z tych małych sklepów nad Sekwaną. I wtedy będzie kot, kuweta, żwirek, żarcie dla kota, a nie tak, żeby wszystko snuło się wokół niego, pojebane, nie do końca wiadomo, czy prawdziwe; jak w filmach tego Hiszpana, a może nie Hiszpana, tylko Włocha. Z kotem będzie inaczej.

A kiedy myślał właśnie, jak tego kota nazwać, zobaczył na ulicy znajomą sylwetkę. Faceta z Saint Denis, sprzed lat. Polaka albo Rosjanina. Pamiętał go, bo lubił z nim pogadać. Wtedy, przed wszystkim. Ciekawe, czy będzie udawał, że nie poznaje.

– Cześć, Alex. Dawno cię nie widziałem. Można na chwilę?

– Jasne, siadaj. Piwo ci postawię. Co u ciebie?

– A kiedy się nam urwało? Nie pamiętam, co wiesz.

– Wyniosłeś się z Saint Denis. Hajtnąłeś się tak, że wszyscy zdębieli. Mieszkasz gdzieś tutaj?

– Nie. Już się rozwiodłem. Przyjeżdżam czasem.

– Ja, można powiedzieć, też. Też się rozwiodłem.

– Wiem, stary, słyszałem wszystko od François. Straszne jaja. Współczuję. Już cię wyleczyli?

– A ty co tak swobodnie? Inni się czają. A, bo ty psycholog kiedyś byłeś, pamiętam.

– No, byłem.

– Może i wyleczyli. Tylko czasem nie wiem, czy ja świruję, czy wszystko dookoła mnie. Ale teraz się zmieni. Kupię sobie kota.

– Rozumiem.

– Powiedz, co taki zamyślony jesteś.

I tak biegła sobie powoli ta rozmowa. Bez ciężkiej ciszy, kiedy już nie wiadomo, o czym gadać. Alex wysłuchał, co się Tomkowi w nocy zdarzyło z przyjaciółką, trochę się pośmiał. Pomyślał, jak to fajnie, że tamten się przejmuje. Dał kilka dobrych rad, żeby podtrzymać schemat, że homo więcej o kobietach wie niż hetero. Mógłby tak jeszcze dłużej go gadać, o tym czy o tamtym, bo chyba lubił tego Polaka. Zapytał nawet, jak się robi barszcz, chociaż go pewnie nigdy nie ugotuje. Ale już pora była kończyć.

– Tomek, ty pewnie nie przyszedłeś tu tak sobie. Pewnie coś masz. To wał, śmiało. Może ci pomogę.

– Szukam jednego gościa. Też Polak, był tutaj w marcu, rok temu. Miał kasę, niezłe życie, zero problemów. Zostawił list i zniknął, ale się nie zabił. Gazety o tym pisały. Mieszkał w metrze. Ludzie o nim mówią, ale co i czemu, to już nie wiem. Podobno się ustawił. Nazywał się Krantz. Nie słyszałeś?

Czy słyszał... Zawsze słyszał więcej, niż chciał wiedzieć, i nigdy potem nie próbował zapamiętać. Połowa to pewnie nieprawda, jak prawda – jeszcze gorzej. Wyłowić z tych strzępów, co zostały w głowie, jedną osobę... niby mu się płacze, że było coś na rzeczy z jakimś filmem. Ale co, z jakim, czemu z filmem?

– Nie wiem. Rok temu to ja byłem jeszcze nie za bardzo. Ale jak robi w mojej branży, będę wiedział. Znam takich, co każdego znają, mogę spytać. Bo mnie, wiesz, dziwnie dobrze idzie. Gdyby zawód był inny, miałbym się czym chwalić. Awans za awansem. Tutaj nie szukam już klientów. Mam kilka spotkań, żeby zgrać terminy. To się o tego Krantza dowiem przy okazji. Zadzwoń ci. Ale teraz idź już, stary, czas mi się kończy. Ja zapłacę.

Pożegnali się szybko. Ten, co miał przyjść, zbliżał się powoli. Był na końcu ulicy.

– Tomek, a jak byś dał kotu na imię?

– Nie wiem. Najpierw trzeba tego kota zobaczyć, pogłaskać, pobawić się z nim, to imię samo przyjdzie do głowy.

Alex pomyślał wtedy, że naprawdę spyta. Zapisał sobie nawet to, co trzeba, na serwetce.

Cień kasztanowego drzewa padał teraz ukośnie. Irysy, ożywione słońcem, zmieniły kolor.

– No cóż, Dominique, pozostała już tylko tamta sprawa. Podkusiło mnie coś, żeby mój tekst ubarwić. Ożywić opisem zdarzeń, które wiązały się z tematem, chociaż nie dotyczyły bezpośrednio mojej dziedziny. Zdarzeń, które wzbudziły pewne rozbawienie, zaciekawienie, poruszenie – powiem nawet – w kręgach związanych ze światem literackim. Znałem tę sprawę z anegdot, zbadałem i opisałem. Niestety.

Otóż mniej więcej rok temu do paryskich redaktorów periodyków literackich przyszło kilka interesujących listów. Każdy z nich był oddzielną, zupełnie inną historią, nikt tego początkowo nie powiązał. Każdy z listów zawierał wiersz innego poety. Słynnego albo przynajmniej znanego poety, w każdym przypadku – już nieżyjącego. Nigdzie dotąd niepublikowany, odnaleziony rzekomo przypadkowo w papierach zmarłego przez przyjaciela, spadkobiercę czy kochankę. Nadawcy przekazywali go zainteresowanym bezinteresownie. Nie podawali kontaktu zwrotnego lub chcieli zachować anonimowość. Ze swej strony lojalnie obiecywali

dyskrecję i wyłączność. Styl, sposób obrazowania, dobór słów, tonacja – mimo podejrzliwych badań – w każdym przypadku zdawały się potwierdzać autorstwo utworów. Pamięta pani, że mówię o zupełnie różnych autorach, poetach z innego czasu, o innym warsztacie, o innych środkach wyrazu.

W trzech przypadkach zdecydowano się już na publikację, która miała niebawem nastąpić. I wtedy do każdej redakcji przychodził kolejny list. Tym razem tylko ze zdjęciem. Ze zdjęciem tego samego wiersza, który przyszedł wcześniej, wypisanego sprayem na murze, gdzieś w mieście. W tunelu metra, na filarze któregoś z mostów nad Sekwaną, na ścianie starego magazynu na przedmieściach. Tam, gdzie miejsce trudno było rozpoznać, na odwrocie, jak na ironię, podany był adres. Proszę sobie wyobrazić, jak każdy ze zdumionych redaktorów wsiada w samochód i jedzie sprawdzić, czy to nie fotomontaż. No, może nie każdy. Ale niektórzy mi o tym opowiadali. Zdjęcia były prawdziwe.

To oczywiście zamykało sprawę publikacji. W ogóle – całą sprawę. Nadawca tracił wiarygodność, autorstwo wiersza znów stawało pod znakiem zapytania. Ci, którzy nie bali się śmieszności, nie kryli się ze swoją wpadką. Zaczęto je ze sobą wiązać. Krążyły w anegdotach, gdzieś na rautach. Cała rzecz pozbawiona była sensu. Kolejna zwariowana historia.

– I pan, panie profesorze, opisał ją jako rodzaj happeningu.

– Tak. Happeningu, którego głównym motywem jest idealne naśladownictwo. Bo to naśladownictwo było idealne. Żaden z wierszy wcześniej nie budził wątpliwości. I twórcze też. Każdy z nich był przecież całkiem nowym dziełem. W ten właśnie sposób wiązało się to z moim głównym tematem. Nie ja jeden zresztą tak to

widziałem. Inni też. Po prostu pierwszy wpadłem na pomysł, żeby to opisać.

Zbliżali się już powoli do tego, co było dla profesora najbardziej bolesne, do tego, z czym przyszła do niego Dominique. Trzeba było szczególnie uważać, żeby nie zranić jego uczuć zbyt wcześnie.

– To logiczna, uzasadniona teoria. Znacznie bardziej sensowna od wszystkich innych. Wielu ją przecież poparło, panie profesorze.

– Tak. Gdybym na tym poprzestał, wszystko byłoby dobrze. Koledzy krytycy byli skłonni zgodzić się z tym, że powstaje nam właśnie nowa, młoda grupa poetów, którzy ujawnią się za chwilę z hasłem uzasadniającym całą akcję wierszy-podróbek. Wszystko już było, każdy może być wielki – albo coś w tym stylu.

Dominique wzięła głęboki oddech.

– Czemu postanowił pan zaryzykować? Pójść dalej?

– Dominique, ja nigdzie nie poszedłem! Ja relacjonowałem. Przytoczyłem tylko jeden z krążących poglądów. Krążących cichaczem, teraz to wiem. Wtedy nie miałem pojęcia, że nie wypada się do niego przyznawać. Tak, napisałem, że autorem wszystkich utworów, tych wysyłanych i malowanych sprayem, może być jeden człowiek. Człowiek, który osiągnął perfekcję w sztuce naśladownictwa. Od siebie dodałem to tylko, że musiał odrzucić własną indywidualność, żeby tak idealnie imitować różne sposoby odczuwania, wyrażane przez cudzą poezję. A mimo to pozostał twórczy. To wydawało mi się ciekawe. Zanim zdążyłem się zorientować, udzieliłem dwóch czy trzech pospiesznych, krótkich wywiadów, o które mnie poproszono. Umknęło mi, że podejrzenie koncentrują się właśnie na tym jednym temacie. O całej sprawie zaczęła pisać prasa, ale nie taka, jakiej zainteresowania pragnąłem.

Telewizja puściła dwa programy. Straszne. *Tajemniczy geniusz pogromcą paryskich krytyków. Profesor Givre potwierdza istnienie nieuchwytnego mistrza pióra!* Na pewno je pani zna. Żenujące. Moi koledzy oczywiście wykorzystali sytuację. Zarzucili mi pogoń za tanią sensacją, grę pod mało wybredną publikę, nawet starcze zdziecinnienie. Zostałem skompromitowany w swoim środowisku.

– Nie bronił się pan, profesorze. Dlaczego? Czy nie miał pan argumentów na poparcie tej teorii, czy po prostu nie chciał się pan nimi dzielić?

– Nie miałem, Dominique. To nie jest moja specjalność. Jeżeli liczyła pani, że dzięki tej rozmowie odkryje drugiego Bertranda, tym razem piszącego, to pudło. Nie udało się pani.

– A jednak wiesz, Gustavie – mogę się tak do pana czasem zwracać, tylko czasem, dzięki tej pamiętnej kolacji, którą zjedliśmy razem, gdy byłam jeszcze na czwartym roku, prawda? – wiesz, że ten pogląd żyje własnym życiem? Odwiedziłam ostatnio fora internetowe, które oboje musimy znać z racji naszej pracy. Grupy dyskusyjne artystów i pseudoartystów, rzekomy i prawdziwy paryski underground. Zablockowane przed wyszukiwarkami, utajnione dla szpanu, bez potrzeby. W nich ten pogląd – twój pogląd – dominuje.

– Dominique, zaczyna mnie pani denerwować. Co mi tu pani przytacza? Invisible? Przecież to jak z filmów dla dzieci.

– Tak, nazwali tego człowieka „Niewidoczny”. Więc pan czytał.

– Czytałem. Bo podpierają się, niestety, moim tekstem.

– Niektórzy twierdzą, że znają sprawę z całkiem innych źródeł. Padają tam argumenty, których pan nie używał.

– Przy okazji bzdurnego śledztwa, kim jest ich „Niewidoczny”.

– Nie zainteresowało pana?

– Nie. I proponuję, żebyśmy już skończyli tę rozmowę.

– Padło kilka nazwisk. Podejrzeń.

– Tak, aż pięć. Ale naprawdę, Dominique, nie spodziewałem się, że pani zejdzie do tego poziomu.

– Jedno z tych pięciu nazwisk jest mi znane. Roman Krantz. Wie pan, że był tłumaczem i poetą? Polak. Zaginął w Paryżu rok temu.

– Dominique, tu jest teczka z materiałami. Są tam teksty i zdjęcia wszystkich wierszy. Może się pani dalej bawić sama. A zanim pani stąd wyjdzie, chciałbym zobaczyć pani torebkę. Podejrzewam, że pani to nagrywa.

– Nie, profesorze, nie zobaczy pan. Torebka to rzecz intymna, więc pańska propozycja jest nieprzyzwoita. Dałam słowo. To powinno wystarczyć. Dziękuję, rozmowa była dla mnie cenna. Mam nadzieję, że przemyśli pan zakończenie. Proszę mnie nie odprowadzać.

Kiedy szła przez ogród, ręce trzęsły jej się z nerwów. Nagrywa! Co za egocentryk! Myśli, że wszystko kręci się wokół niego. Jak mógł ją o to podejrzewać?! Musiała się hamować, żeby nie przewrócić w irysy stołu z tekowego drewna.

Jednak gdy brama się za nią zamknęła, Dominique była już spokojna. Jej gniew zawsze był krótki, chociaż intensywny. Biedny Gustav. Tak mało odporny. Tak bardzo zależny od oceny innych, mimo rzekomej ekscentryczności. Gdyby ona sama przejmowała się tak bardzo każdą kompromitacją, która jej grozi, niewiele by w życiu działała. A Gustav siedzi teraz pewnie i myśli. *Nagrała czy nie? Dla kogo? Może to zemsta za tamten wieczór sprzed lat? Czy na pewno niczego głupiego nie powiedział?* Dominique uśmiechnęła się do kobiety biegnącej chodnikiem z dużym psem, który zatrzymał się na

chwile, żeby obwąchać zieloną teczkę z papierami. Teczka, którą niosła pod pachą Dominique – prezent od pana profesora Givre. Mądry pies. Właśnie ta teczka była najcenniejszym efektem dzisiejszego popołudnia. Ciekawe, skąd mądry pies to wiedział.

Z pozostałymi poszło dużo gorzej niż z Alekssem. Nie było ich tam, gdzie Tomek szukał, albo nie chcieli z nim rozmawiać. – Co z tego, że znasz mojego brata? Tak, siedzi, ale to jego sprawa. Nie będę z tobą o tym gadać. François? Jaki François? Spadaj, koleś.

Jedynie Piękna Nati oddzwoniła. Telefon Tomka przyjęła ze średnim entuzjazmem. Powiedziała, że nie wie, powinna spytać męża, może kiedy indziej. Ale potem coś się musiało zmienić. Oddzwoniła z propozycją kolacji w trójkę. – Ja i Zeno cię zapraszamy. W jedno eleganckie miejsce, do którego on ma dobry dojazd z pracy.

Siedzieli zatem od kwadransa w restauracji Tex-Mex, na tyłach la Defense. Knajpa nie miała wyraźnego stylu, klientów było niewiele, a obsługa olewała gości. Jednak Nati podobało się tutaj, może dlatego, że nie było tanio. Więc Tomek chwalił.

Ona sama, Natasza, nie straciła jeszcze prawa do przydomka, który kiedyś otrzymała. Ale jej egzotyczny, stepowy urok zbladł. Szerokie, czarne brwi, złączone kiedyś w jedną dumną linię, zostały poddane depilacji. Niesforne włosy złagodniały po odpowiednim przycięciu. Presja wysokich obcasów zabrała swobodę długim, zgrabnym nogom. Dawna Nati, nietknięta ręką stylisty, mimo prostego makijażu i bazarowych ubrań podobała się Tomkowi bardziej.

Za to jej mąż nie podobał mu się wcale. Śmieszna wariacja na temat filmowej ochrony polityka. Czarny garnitur, ale podgolony kark, sygnety, złoty łańcuch na przegubie. W wieczorny luz Zeno przebrał się przed wejściem, wyjmując koszulę ze spodni i ściągając krawat. Poluźnił pasek roleksa, żeby go nie zasłaniał mankiet. Tak się złożyło, że Tomek w tym momencie nadszedł. Ale nie to go odstręczyło.

Facet kompletnie nie zwracał uwagi na Nati. No, chyba że coś jej spadło z widelca. Albo udawał, że nie zwraca – taki styl. Kiedy mówiła, ze znużeniem wodził wzrokiem za kelnerem. A ona, zawsze zabawnie pretensjonalna w doborze słów, teraz zachowywała się jeszcze bardziej sztucznie, chociaż sprawiała wrażenie zadowolonej. Od czasu do czasu sprawdzała wzrokiem, czy mąż nie uznał, że powiedziała coś nie tak. Nie była w tym układzie równym partnerem, na pewno. Ale cóż, widocznie coś za coś. Miała dziecko przy sobie i normalny dom. Być może rzeczywiście normalny.

Było nudno, sztywno i pretensjonalnie.

Po przystawkach wyjaśniło się przynajmniej, co wywołało przyływ towarzyskich uczuć tej pary. Nati przestała opowiadać, jak meblują mieszkanie, i po krótkim, niezdarnym wstępie przeszła do rzeczy:

– Teraz pragnę się zająć rozwojem własnej kariery. Myślę o pracy w branży reklamowej, to znaczy o występowaniu w reklamach. Ale trudno jest wejść do tego środowiska, bo trzeba mieć tak zwane plecy. A może twoja żona, Tomku, mogłaby mnie komuś polecić? Ona się zajmuje sztuką, tak jest napisane w internecie. Pewnie zna kogoś z telewizji.

Kiedy Tomek tłumiał spontaniczną odpowiedź (*Nati, co się z tobą stało?? Gdzie ta tajemnicza dziewczyna, która tęskniła – tak nam się roilo w młodych męskich głowach – za czymś, co dla nas było nieuchwytnie, zbyt dalekie, zbyt głębokie? To miałoby być tylko tyle? Nie uda ci się. Dla ciebie to za dużo i za mało jednocześnie*), szukając czegoś delikatnego, kłamliwego i korzystnego dla siebie, przypadkiem złapał spojrzenie Zeno. Facet uznał, że Tomek pyta go o zgodę.

– Jak ją tak nosi, to co ma w domu siedzieć. Niech sobie popracuje. Chłopak do szkoły idzie.

– Nie wiem, czy mogę coś zrobić, bo z Dominique się rozwiodłem. Rozumiecie. Ale wypytam jej znajomych. Nie mogę niczego obiecać. Może mnie nie lubią teraz. (*Wybacz, Nati, jeżeli mimo wszystko dałem ci nadzieję*).

Kłopotliwa wymiana zdań paradoksalnie rozluźniła atmosferę. Zeno jakby poweselał, nalał pełen kieliszek Tomkowi, sobie, na końcu Nati, stuknął się z każdym z rozmachem. Nati przestała nieprzerwanie gadać, dawnym gestem rozburzyła włosy. Chyba nie zrozumieli, że powiedział nie. Zdradliwy język dyplomacji. Może cieszyli się, że mają to za sobą. Może początkowa sztuczność była tremą. Tomek zbliżył się nieco do swoich niezadanych pytań. Oprócz Krantza miał jeszcze jedną sprawę – numer do braci Karow. Ponoć Zeno go znał.

– Co ci się w głowę stało?

Facet powiedział już trzecie zdanie tego wieczoru. Może w końcu stanie się rozmowny.

– A, taka jedna historia w Polsce. Mała sprawa.

– To czymś ostrym było. Kastet chyba. Miałeś szczęście.

Tomek przez chwilę milczał tajemniczo, krojąc enchiladę.

– A jak u ciebie w robocie?

– Luz. Gość teraz mało wychodzi. Dobrze płaci. Kumple są jak trzeba.

– Co tak w ogóle u innych słyhać? Dawno mnie nie było.

Nati zaczęła opowiadać o Aleksie, Tomek udawał, że nic nie wie, ale Zeno już przejął kontrolę nad sytuacją.

– Nie przy jedzeniu o tym pedale, dobrze?

Aha. Więc teraz czas na męskie rozmowy. Ciekawe, jakie. Tomek miał problem ze znalezieniem przejścia. Nie umiał złapać kontaktu z tym debilem.

– Czym jeździsz? Samochód mi się rozwalił. Nie wiem, może nowy kupię. To znaczy stary, ale nowy.

– Renault modus z dwa tysiące czwartego, silnik jeden sześć, trochę mały. Słabe przyspieszenie jak dla mnie. Ale to służbowy. Szef ma trzy, to jak ktoś potrzebuje, może sobie wziąć ten. Zharatany trochę, tapicerki nie szanują. Klocki hamulcowe dawno niewymieniane. Kupię lepszy rocznik, ale na razie ten mi starczy. Prawie tylko ja jeżdżę.

– Fajnie masz, że znalazłeś tę robotę. Bo ludziom tu różnie wychodzi, czasem lepiej, czasem gorzej, a czasem to w ogóle takie jaja, że nikt nic nie wie. Znałem jednego gościa z Polski, Krantz się nazywał. Słyszałeś może?

Zeno zagapił się na Tomka przez moment. Moment krótszy niż odkrojenie kolejnego kęsa.

– Może i słyszałem. Pogadamy, jak skończę steka. Mięso w zęby włazi.

Tomek zajął się kieliszkiem Pięknej Nati, żeby ukryć nagłe ożywienie. Czekał.

– Życzę, żeby pani dobrze poszło. Łatwych pytań. Do widzenia.

Po wyjściu posłańca Dominique zrozumiała, że wziął ją za studentkę przed egzaminem, w ostatnim zrywie. Tak to właśnie musiało wyglądać, kiedy odbierał od niej czek w drzwiach sypialni. Wydruki, kserokopie i książki tworzyły na łóżku półokrąg oznaczony niejasnym, kolorowym szyfrem przyklejanych kartek. Kilka grubych słowników zajęło cały nocny stolik. Ona sama, w krótkich spodniach i podkoszulku, mogła się wydawać młodsza o kilka lat. Jednak marny był z posłańca obserwator. Studentka nie mogłaby skłonić szacownego antykwariusza, żeby znalazł u siebie i kolegów każdy dostępny tomik z długiej listy francuskich oryginałów, które miały kiedyś tego samego tłumacza. Żeby wysłał jej natychmiast wszystko, co uda się zdobyć, ufając, że kurier wróci z zapłatą.

Egzamin to za mało, żeby obudzić ten dziwny błysk w oczach, który zaskoczył samą Dominique. Liczyła przecież na to, że znajdzie coś, co jest ukryte bardzo głęboko. Rozpocząła pojedynek z kimś, kto jest silniejszym przeciwnikiem – o ile istnieje. Uznała, że ma szansę. To wystarczyło.

Zgromadziła całkiem spory materiał.

Najtrudniej było zdobyć tłumaczenia. Miała tylko dwa tomiki, przywiezione przez Tomka. Na szczęście dawna asystentka Krantza dała się nabrać na kłamliwą historię o feralnym brakującym rozdziale pracy doktorskiej. Postanowiła pomóc nieznannej

francuskiej koleżance. Zeskanowała to, co najważniejsze, i wysłała mailem. Wiersze i eseje, których autorem był on sam, chwilowi fani Krantza umieścili w internecie. Spotkanie Dominique z Gustavem Givre było zwieńczeniem dwudniowych poszukiwań.

Mogła teraz czytać to wszystko. Po francusku, potem po polsku, potem znów po francusku... Analizować dobór słów, odtwarzać sposób myślenia, szukać tego, co tworzy styl. Wgryźć się w ten styl, określić jego główne cechy, świadomie przez poetę-tłumacza przyjęte, a potem dotrzeć do tych, z których mógł nie zdawać sobie sprawy. Bo były dla niego naturalne, oczywiste jak kształt liter. Jeżeli tak, nie umiałby się ich całkiem pozbyć nawet wtedy, gdy perfekcyjnie udawał kogoś innego.

To, że polski był dla niej obcym, wyuczonym językiem, tak jak dla Krantza francuski, Dominique uznała paradoksalnie za plus, źródło swojej przewagi. Jeśli chciała, umiała już myśleć po polsku. Oszukiwała Sandrę, Tomka czasem też, udając, że ma z tym problem. Jednak pozostał w niej pewien dystans do języka, który ułatwiał analityczne podejście. We francuskich tekstach miała szansę wyłapać wszystko, co zdradzało podobny dystans u autora.

Tak sądziła.

Nie była specjalistką w tej dziedzinie. Zawsze czytała dużo; nie wyobrażała sobie przejścia między dniem a snem, lotu samolotem, nawet wizyty u fryzjera bez książki. Umiała je wybierać. Dobry styl intrygował ją co najmniej tak samo, jak treść. Ale to było zawsze tylko dla niej, nigdy nie miało związku z żadną pracą. Niewiele wiedziała o teorii. W tym też umiała teraz znaleźć plus. Po rutynowym podejściu fachowców ta cała sprawa wymaga świeżego spojrzenia.

Naiwny optymizm, przecenianie własnych sił? Trudno. Taka już była Dominique.

Jeszcze ten cień rywalizacji z byłym mężem, z Tomkiem, który powinien pisać, który według niej marnował talent. Być może z tym, na co ona się porywa, on poradziłby sobie znacznie lepiej. Jednak wolała, żeby na razie nic nie wiedział. Chciała to zrobić sama.

Zatem czytała. Wypisywała francuskie i polskie idiomy, sprawdzała, co Krantz z nimi zrobił w tłumaczeniach. W tekstach prozą liczyła rozkład sylab, żeby odkryć jego ulubiony rytm, który być może powtórzył nieświadomie we francuskich listach do wydawców. Szukała różnic i podobieństw, chaotycznie, intuicyjnie idąc za każdym pomysłem, który przyszedł jej do głowy. Nie liczyła oczywiście na to, że znajdzie jakiś jednoznaczny dowód, który stałby się argumentem dla kogokolwiek oprócz niej. Chodziło jej tylko o to, żeby zdobyć własny pogląd na całą rzecz. Własne zdanie. Przekonanie, że plotka, którą znalazła w internecie, jest prawdziwa albo nie. Że zaginiony Roman Krantz to ten sam człowiek, który zorganizował dziwny happening, bulwersujący paryskich wydawców. Albo że to twierdzenie nie ma podstaw.

Gdyby uwierzyła, że to prawda, wiedziałaby, co z tym dalej zrobić.

Co dałaby Krantzowi ta szalona akcja? Do tego pytania było jeszcze daleko. Teraz mogło tylko przeszkadzać.

Tymczasem zadzwonił Jean-Paul z informacją o szpitalach. Ani śladu Marty Johnson. Tak jak można się było spodziewać. Znowu rozłączył się po dwóch zdaniach. Po rozmowie z nim Dominique wyłączyła telefon. Została z Krantzem sama.

Student trzeciego roku psychiatrii, w wakacje bileter w muzeum Salvadora Dali na Montmartre, znudził się już obserwacją kobiety, która miała mu urozmaicić wieczór. Coś z nią było – z tą kobietą – nie tak. Był tego pewien. Ale nic się nie działo.

Przyszła, kupiła bilet, spytała, czy może usiąść przy stoliku z folderami, rozłożyć tam swój komputer. Nic nie wytłumaczyła, nie nawiązała z nim kontaktu, nawet przelotnego. Nie był pewien, czy usłyszała odpowiedź. Była jakby nieprzytomna, rozpalona, jak od prochów czy choroby. Zgodził się z czystej ciekawości.

Od dwóch godzin stukała w klawiaturę. Odrywała wzrok od ekranu tylko wtedy, gdy zjawiali się goście. Nie było ich dziś wielu. Na jego zagajenia reagowała tylko uśmiechem. Chyba nie rozumiała francuskiego.

Przestraszyła go teraz, tak cicho, nagle wstając.

– Kawiarnia Amelii – to jest na dole rue Lepic? Czy równoległej?

– Lepic, po prawej. Na wystawie jest...

– Krasnal, wiem. Idę, do widzenia.

Nie zdążył odpowiedzieć.

Kawiarnia... Więc to pewnie pisarka. Schizofreniczna, nawiedzona, jeszcze niewydawana. Pisze w miejscach swojej akcji, mało odkrywczo dobranych. Na pewno horror. Albo thriller. Dlatego patrzyła tak, jakby za jego plecami ożyła nagle płonąca żyrafa.

Zeno już skończył stek. Oczyszczył sobie zęby wykałaczką i zastygł na chwilę, zamyślony, nad pustym talerzem. A potem klasnął w rękę, zatarł je energicznym gestem, wychylił kieliszek calvadosu jednym łykiem.

– To chodź, Tomek, idziemy zapalić. Pogadamy sobie. Nati, ty zostań. Zamów jeszcze raz po jednym i czekaj.

Tomek posłał Nataszy przepraszający uśmiech. Widział, że jest spięta, być może zawstydzona, nerwowo wyciera serwetką czyste dłonie. Wcale się jej nie dziwił.

Kiedy Zeno zapalał papierosa, jego sygnet złociście odbijał płomień.

– Pytałeś się mnie o Krantza?

– No bo ja znałem gościa...

– To chodź, przejdziemy się kawałek. Tu za głośno. Muzyka mówić nie daje.

Zeno wyszedł poza krąg czerwonych, pulsujących błysków neonu. Zniszczył swój wielki cień, opuszczając białe plamy światła z okien na chodniku. Leniwie, powoli, spokojnie oddalał się od meksykańskich rytmów, od palaczy stojących przy popielnicze pełnej piasku. Szedł w stronę sennej ciszy, otaczającej przesadnie rozświetloną knajpę. Zaciągał się głęboko papierosem. Milczał.

Tomek po raz pierwszy zobaczył w nim coś, co mogło być intrygujące. Skupienie, powagę, koncentrację. Być może Zeno myślał nad tym, co właśnie miał powiedzieć. Być może to, co miał powiedzieć, było dla niego w jakiś sposób ważne.

Zbliżyli się do jednej z wąskich przecznic. Wiodła w stronę osiedla niskich bloków, omijając parking pełen samochodów. Zeno skręcił w nią bez wahania, jakby znał cel pozornie swobodnego spaceru. Tomek szedł za nim. Pomyślał, że Zeno chce się zatrzymać na małym skwerku między śmietnikami, z boku parkingu. Stała tam ławka. Pusta ławka, obstawiona rzędem butelek po winie. Kiedy Zeno ją minął, Tomek poczuł się dziwnie.

Ulica była pusta. Ani człowieka.

La Defense to dzielnica nowoczesnych biurowców, skupionych wokół Wielkiego Łuku. W dzień pełna białych koszul, rozluźnionych krawatów, marynarek przewieszonych przez ramię, późnym wieczorem zamiera. Turyści odwiedzają tylko Łuk. Tutaj, na tyłach, poza sferą Łuku, ludzie zamykają się w domach. W tanich osiedlach, sypialniach Paryża. Nie wychodzą bez potrzeby na ulicę. Takie miejsca jak to są martwe.

A Zeno wciąż milczał. Nie zwalniał, nie przyspieszał, nie zmieniał wyrazu zamyślanej twarzy. W swoim skupieniu jakby nie dostrzegał Tomka. Z każdym krokiem coraz trudniej to było wytłumaczyć. Przejęcie tematem? Bez przesady. Znali się zaledwie od dwóch godzin. Nie dzieliłby się z obcym czymś, co nie może mu przejść przez usta.

– No, Zeno, wracajmy. Tam calvados czeka. Kończysz już drugiego peta. Pogadamy po drodze. Nati siedzi sama.

– To poczeka. O Krantza się pytałeś. Dojdziemy pod tamten blok, to wszystko będziesz wiedział.

Akurat. Tomek jakoś nie wierzył, że uśmiechnięty Krantz otworzy im drzwi mieszkania. Może tak właśnie miał myśleć, ale Zeno niespecjalnie się postarał. Sytuacja powoli stawała się modelowa. Opuszczone zadupie, wygaszone latarnie, ślepa ulica, noc. Koleś, któremu coś odbiło, ma wobec niego jakiś plan; metr dziewięćdziesiąt, bary jak bokser, lepiej nie myśleć, co w kieszeniach. Ustawił się teraz nieco z tyłu, za prawym ramieniem Tomka. Nie ma nawet jak spierdalać.

A on wpadł w to jak debil, nie widząc nawet kiedy. Bo przecież nie było powodu. O co mogło chodzić? Zazdrość o Nati? Rabunek

czy napad odpada. W porównaniu z Zeno Tomek nie miał nic.

Gdyby nagle kopnął Zeno w krocze, może zyskałby przewagę kilkunastu sekund. Kiedyś dobrze biegał. Ale nie, kurwa, absurd, jakże to tak? Przed chwilą siedzieli razem przy stole. Nie miał żadnych dowodów. Tylko wrażenie, mógł się mylić, tak przecież nie można.

Trzeba nawiązać kontakt.

– Zeno, zapaliłbym jeszcze. Dasz mi ognia?

Zeno zatrzymał się obok Tomka, poklepał dłońmi po kieszeniach. Prosty, zwyczajny gest, gdyby nie jeden drobiazg. Jego nadgarstek. Nie było na nim roleksa.

Pierwszy cios rozpałił w żołądku żar, zmiażdżył oddech, wgniótł słowa w otwarte usta.

– Chciałeś słyszeć, co wiem o Krantzu?

Drugi ugodził w jądra, wbił pręty bólu w głębi ciała.

– Nie zadawaj mi, koleś, nigdy takich pytań.

Trzeci trafił prosto w świeży strup na skroni.

Tomek osunął się na chodnik. Następnym ciosów już nie czuł.

Rozdział XII

Sandra pogłaskała zielony metal studzienki. Minęła pierwszy rząd stolików. Odpowiedziała na przyjazny gest kelnera. Dopiero wtedy, w tym miejscu zaczęła dochodzić do siebie. Bo zrobiła sobie z niego w wyobraźni bezpieczną wyspę, neutralny teren. Jak krąg w dziecięcej zabawie, wykreślony kredą. Pewny, chociaż czysto umowny. Tutaj mogła odsunąć to, co dziś znalazła, na bezpieczną odległość. Przestać czuć, zacząć myśleć. A najpierw odpocząć.

Nie była wcale pewna, czy dzisiaj też umówili się właśnie tu, w Aero. Wydawało jej się, że tak. Nikogo jeszcze nie było. Ani Tomka, ani Dominique. Ale był kelner, znany już z widzenia, był szum spokojnych rozmów, czyjś śmiech tuż obok, zapach jedzenia. Mogła zamówić kawę, przypomnieć sobie o czymś takim jak głód, przejrzyć kartę dań. Tak po prostu. Tego jej było trzeba.

Powoli przestawała się bać.

Chyba przyszła za wcześnie, było po jedenastej. Oni zresztą często się spóźniali. Nikt się tu przesadnie nie spieszył, nawet kelner. Pracował tak, jakby to robił dla przyjemności. Wymieniał z gośćmi żartobliwe uśmiechy, drobne komentarze. Zanim zabierze od niej pustą filiżankę, zanim spyta o dalsze zamówienie, któreś z nich powinno się zjawić. Może przyjdą razem. Dzisiaj miała ochotę ich zobaczyć. Zamienić z nimi kilka zdań, poczuć ich zaangażowanie. Chociaż o tym, co dziś znalazła, nie powie ani słowa.

Na rogu przed kawiarnią zatrzymała się taksówka. Wsiadła z niej kobieta trochę podobna do Dominique. Ale nie tak piękna.

Sandra wyjęła telefon. Może przynajmniej dadzą znać, kiedy przyjdą. Jeżeli nie, to w końcu ona napisze. Nie chciała się narzucać, ale znów zabolą ją myśl, że traci czas. Że powinna być gdzie indziej. Żeby ją stłumić, zapaliła.

Wtedy przyszedł esemes.

Nie od Tomka. I nie od Dominique. Z nieznanego francuskiego numeru.

W esemesie był adres. Paryski adres. Nic Sandrze nie mówił.

Oprócz niego trzy słowa. Po angielsku. Dużymi literami: GO NOW, SANDRA.

Nic więcej.

Nic więcej nie dało się z tego wyczytać.

Jej numer mógł mieć każdy, zostawiała go w wiadomościach dla Marty. Gdyby ktoś postanowił złośliwie zażartować... Oddzwoniła, czepiając się nadziei, że usłyszy stłumiony nastoletni śmiech. Połączenia nie było. Czuła zresztą, że to nie to.

Człowiek o zwyczajnym życiu mógłby takiego esemesa zlekceważyć. Pewnie powinien.

Ale ona nie miała teraz zwyczajnego życia.

Jeśli zostanie, niczego się nie dowie. Kto za tym stał – Marta, Tamten? Dlaczego tak?

Był tylko jeden sposób, żeby sprawdzić.

Zadzwoniła jeszcze do Tomka. Trzy razy. Telefon nie odpowiadał. Do Dominique już tylko raz. Przecież to dobrze, że ich nie ma. Lepiej, że zrobi to sama.

Go now, Sandra.

Wsunęła banknot pod rachunek, powstrzymując drżenie rąk. Gdy wstawiała z krzesła, straciła pustą filiżankę. I przez to się opanowała. Trzeba inaczej.

Zebrała szkła, przeprosiła uśmiechem, pokazała kelnerowi z daleka, że się spieszy, dawnym gestem wskazując miejsce na przegubie, na którym nie miała zegarka, potem banknot. Przewiesiła przez ramię komputer. Sprawdziła, jak się ułożył w torebce szwedzki pojemnik z gazem.

Wyszła poza bezpieczny, czysto umowny krąg, przecięła rue de Passy. Stała u zbiegu dwóch ulic, żeby łatwiej złapać taksówkę.

Kiedy dzwonek zadzwieczał trzy razy pod rząd, Dominique poderwała się znad książek. Pierwsze, nieśmiałe sygnały były zbyt delikatne, żeby do niej dotrzeć. Skoncentrowana nad tekstem, zapomniała o odgłosach z ulicy.

Myślała, że otwiera bramę dla Tomka. Jednak kiedy ucichł zgrzyt windy, w drzwiach mieszkania pojawił się Jean-Paul.

– Dominique, bardzo cię przepraszam. Wiesz dobrze, że nigdy nie pozwoliłbym sobie na to, by nachodzić cię bez zapowiedzi, tym bardziej o tak niestosownej porze. Twój telefon nie odpowiadał... Ale ty pewnie chcesz się bardziej ubrać, tak? Przepraszam.

– Ja... tak, dobrze, wejdź proszę, usiądź, za moment wracam.

Zostawiła go w pokoju i zniknęła w sypialni. Zmieniła krótkie dzinsy na długie, narzuciła bluzkę na cienki podkoszulek. Skoro Jean-Paul uważa, że w nocy, sam na sam, powinna się przed nim wstydić gołych nóg i braku biustonosza, niech tak będzie. Nie zamierzała lekceważyć jego męskich uczuć. Ale w pośpiechu krzywo

zapięła guziki. Jego wizyta o tej porze była czymś niezwykłym. Na wszelki wypadek przykryła kocem książki Krantza.

– Jestem. Napij się wina, Jean-Paul?

– Nie, nie. Dziękuję. Nie zajmę ci wiele czasu. Jest tak późno, nawet nie wiedziałem, że aż tak. Muszę cię tylko uczulić na jedną sprawę. Uznałem, że im szybciej, tym lepiej.

– Dla mnie jest jeszcze wcześniej, nie przejmuj się.

– Dobrze. Dobrze. Dominique, czy ktoś prócz ciebie, twojej przyjaciółki z Polski i jeszcze Tomka wie, że ty się interesujesz Romanem Krantzem? Czy ktoś wie, że ze mną o tym rozmawiałaś?

– Nie. Nie sędzę.

– Nie sądzisz, czy wiesz?

– Wiem.

– Dobrze. To musi tak zostać. Niech żadne z was z nikim o tym nie rozmawia. Ufasz tej swojej przyjaciółce?

– W jakim sensie?

– No bo Tomek to wiadomo, jako mężczyzna, szkoda mówić, zostawił cię, ale poza tym – to uczciwy człowiek. A ona? Może się w coś wmieszać?

– Nie znam całego jej życia. Nie wiem. Ty ją sprawdzasz?

– Dominique, nie o to teraz chodzi, co ja robię. W każdym razie bardzo proszę. Nalegam. Żadnych rozmów z nikim na ten temat. Zapomnijcie o tej sprawie. Przestańcie się nią interesować. Zostawcie to mnie. Nie tylko ze względu na wasze bezpieczeństwo. Dla mnie to też ważne.

Podniósł się z fotela, demonstracyjnie popatrzył na zegarek.

– No to ja już pójdę. Obiecujesz?

– Nie.

Z ciężkim westchnieniem usiadł znowu.

– Patrzcie, patrzcie. Dlaczego się nie dziwię.

– Jean-Paul, nie sądzisz chyba, że spełnię taką prośbę bez żadnego uzasadnienia. W tej chwili mogę ci dać słowo, że nikt nie będzie wiedział o twojej roli w tej sprawie. Nikt oprócz tej dwójki, która już wie. Ale nie mogę tak po prostu, jak na rozkaz, zapomnieć o czymś, co mnie interesuje. Nie wnikając w to, czemu tak ma być. Musisz mi coś wyjaśnić. Wtedy się zastanowię.

Jean-Paul oparł łokcie na stoliku, poczochnął dłońmi siwe skronie. Przyglądał węż, jakby sprawdzał, czy wszystkie są na miejscu.

– Dobrze. Dobrze. To jednak mi nalej. Ale nie wina, widzę, że tam stoi armaniak. I tak już łamię wszelkie zasady.

Uśmiechnął się do niej smutno, przepaszając jakby, kiedy podawała mu kieliszek. Posmakował z przyzwyczajenia, delikatnie, jednak nie wyczuł trzydziestu lat w złocistym płynie.

– Śledztwo w sprawie Krantza zostało sprzedane. Mam poważne podstawy, żeby sądzić... nie, ja wiem. Otworzyłem odrębne postępowanie. Nie wiem, czy będę w stanie to udowodnić. Rzecz została przeprowadzona perfekcyjnie.

Dzięki twojej prośbie trafiłem na pewien drobiazg. Drobiazg. Gdyby nie to, nikt by nic nie wiedział. Mój kolega, który je prowadził, umorzył sprawę zgodnie z wszystkimi procedurami. Miał niekwestionowane podstawy, wydawałoby się. Potem odszedł na wcześniejszą emeryturę. Kryzys psychiczny wywołany rozwodem, tak wszyscy myśleli. Wyjechał za granicę. A teraz widzę, że był o krok od Krantza. Wszystko sfabrykował. Nie pytaj jak, nie powiem. Jeszcze nie udowodniłem.

Rozumiesz, co to znaczy, niezależnie od tego, kim był poszukiwany. Tu już nie chodzi o Krantza. Rozumiesz.

Jeżeli on już wcześniej był podatny na korupcję... przy jego możliwościach, strach pomyśleć. Strach pomyśleć, co wyjdzie na wierzch. To już jest inna sprawa, nie ten kaliber. Nic więcej ci nie powiem, Dominique. To było o każde słowo za dużo.

– Ale kto mógł mu za to zapłacić? Sam Krantz?

Jean-Paul roześmiał się sztucznie.

– Nie, moja droga, nie. Niemożliwe. Trochę szacunku dla francuskiej policji. Nie ten rząd wielkości. Krantz nie mógł mieć tyle.

– A wiesz kto?

– Gdybym wiedział, to śledztwo byłoby skończone.

– Czy jak zbadałeś te jego fałszerstwa, wiesz, gdzie Krantz był? Gdzie jest? O co chodzi?

– Dziecko, ty widzisz to tak prosto, jak w filmie. Raz, dwa, i już. Nie tak szybko. Kolega inspektor nie był patałachem.

– A czy...

– Nic więcej ci nie powiem. Mam nadzieję, Dominique, że to wystarczy. Pomyśl, proszę. Pomyśl i zapomnij. Może za kilka miesięcy dowiesz się ode mnie wszystkiego. Zrozum, tu już nie chodzi o szalonego bezdomnego, który chowa się przed światem. Tak bardzo mi zależy na twoim bezpieczeństwie, że nawet... Docień, co teraz zrobiłem.

– Doceniam, Jean-Paul. Dziękuję.

Wstał energicznie, strzepując dłońmi nieistniejący pył z rękawów marynarki. Unikał wzroku Dominique.

– No, to ja teraz już naprawdę pójdę. Nie chodź tak późno spać, to niedobre dla zdrowia. A, i nie otwieraj bramy, zanim nie spytasz przez domofon. No nie wiem, czemu się uśmiechasz. Chyba normalne rzeczy mówię. Dobranoc. Jeszcze raz przepraszam za najście o tej godzinie.

– Zawsze chętnie cię widzę, Jean-Paul.

– To dobrze, to dobrze. Pójdę schodami. Dziwnie się czuję w tej windzie.

Szkoda, że poszedł schodami. Dominique zobaczyła w jego krokach czas. Kiedy był tu ostatni raz, nie musiał się trzymać poręczy. Zbiegał po dwa stopnie.

Z tego wszystkiego zapomniała mu powiedzieć o programie w poczcie Marty Johnson.

Nie chodź tak późno spać... spojrzała na zegarek.

Merde. Spóźni się prawie godzinę do Aero. To nic, Tomek i Sandra będą mieli miły czas dla siebie. Skąd takie głupie skojarzenie? Nie była przecież zazdrosna – z definicji. Jednak lubiła czasem bulwersować Sandrę tym czy owym. Ale to tylko drobna, nieszkodliwa przyjemność.

Taksówka wyjechała z tunelu. Kluczyła w plątaninie podobnych jednokierunkowych ulic, aż Sandra całkiem straciła orientację. Za kolejnym zakrętem kierowca zwolnił.

– Który to ma być numer? Nie wiem, gdzie się zatrzymać.

– Ja też nie wiem. Niech pan jedzie powoli do końca. Bardzo powoli.

W esemesie nie było numeru domu. Sandra szukała czegoś, co zwróci jej uwagę. Kawiarni, małego baru, otwartego parku. Stojącego na poboczu samochodu, w którym ktoś czeka. Człowieka, który się rozgląda. Jakiegoś znaku.

Nie znalazła niczego takiego w dusznym mroku. Jakby nagle znaleźli się w całkiem innym mieście.

– Tutaj ulica się kończy.

– Proszę zawrócić i przejechać jeszcze raz. Potem wysiądę.

Taksówkarz spełnił jej prośbę, nucąc coś pod nosem. Palcami wystukiwał rytm na kierownicy.

Z zarośli wyskoczył kot, uciekł na klapę śmietnika. Pod betonowym murem stała doniczka z uschniętą juką. Motor, przypięty łańcuchem do latarni, miał zbite oba lusterka. Zwisały z niego na chodnik kolorowe kable.

Przy ławce obok śmietnika stał rząd pustych butelek. Pokładał się na niej jakiś człowiek. Kiedy zobaczył taksówkę, próbował podnieść rękę. Ale opadła bezwładnie, jakby była dla niego zbyt ciężka. Jego włosy...

– Niech pan się zatrzyma. Proszę zaczekać.

– Najpierw pieniądze.

Sandra rzuciła banknot na siedzenie. Wskoczyła z samochodu. Taksówkarz odjechał z piskiem opon.

– Sandra? Skąd ty tutaj...

Tomek miał krew na skroni i na skrzywionej bólem twarzy. Kiedy próbował usiąść, przez jego ciało przebiegały dziwne skurcze.

– Dzwonię po pogotowie.

– Nie, nie, nie trzeba, nic mi nie jest. Dostałem w jaja, to boli, tylko tyle. Ta krew to stara rana, rozwalona, ale trochę. Masz jakieś

prochy przeciwbólowe? Jedźmy do domu. On wyjął mi baterię z telefonu, proszę, wezwij taksówkę. Jechała jedna, chciałem zatrzymać, nie udało mi się. Chodzić... nie wiem, tutaj doszedłem, ale nie... Skąd ty...

Mówił powoli, z trudem, walcząc z bólem. Próbował ukryć to uśmiechem, który nadawał jego skurczonej twarzy bezradny, dziecięcy wyraz.

Sandra znalazła w torebce paracetamol, dała mu dwie tabletki. Zaczęła dzwonić. Za piątym razem uzyskała połączenie. Tomek już siedział prosto, z przymkniętymi oczyma.

- Skąd ty... Zaraz ci wszystko opowiem, tylko mnie przestanie...
- Na razie lepiej nic nie mów.

Gdy podjeżdżała taksówka, Sandra odeszła kilka metrów dalej, tak jakby była sama. Kierowca zatrzymał się przy niej.

- Jest ze mną ranny człowiek. Ranny, nie pijany. Proszę nie odjeżdżać.

- Nie, skąd, wszystkich biorę.

Tomek tymczasem przeszedł chwiejnie kilka kroków. Od ławki do latarni z motorem. Stał teraz wsparty na kierownicy starego harleya, zbierając siły na następne dwa metry. Mrużył oczy oślepione światłami samochodu. Taksówkarz przyglądał mu się przez przednią szybę.

- Pomogę temu panu dojść, tylko znajdę coś do podłożenia, żeby krew nie wsiąkła w siedzenie.

Sandra spojrzała na Tomka.

Jego nogi, wcześniej ściśnięte razem na ciemnej ławce, drżały teraz lekko w świetle reflektorów, rozstawione tak, żeby utrzymać równowagę. Wewnętrzna strona lewej nogawki dżinsów była mokra

od krwi. Krew spływała w dół, rysując na jasnym materiale szlak poszczególnych kropli. Tak jakby Tomek nagle dostał okresu.

Tam, gdzie plama była najszersza, na samej górze uda, w nogawce było cięcie. Właśnie gdzieś tam, pod tym cięciem jest tętnica udowa. Z przeciętą tętnicą udową można się wykrwawić na śmierć.

Ramię Tomka na barkach Sandry wydawało się zbyt lekkie. Krew na jego udzie była zimna.

Zimniejsza niż folia, którą taksówkarz rzucił na siedzenie.

– Na pogotowie?

– Tak.

Pod wstecznym lusterkiem kołysała się mała, zielona choinka.

Madame de Lacnoir zamówiła tylko kieliszek wina. Madame de Lacnoir, na którą zawsze ktoś czekał, tej nocy była sama. Ukryła piękne nogi w czarnych dżinsach; jej strój zdradzał pośpiech. Paliła więcej papierosów niż zazwyczaj. A potem odebrała telefon. Słuchała, słuchała, ale nic nie mówiła. Potem wstała. Zostawiła na stoliku pełny kieliszek. Odeszła w stronę ulicy, nie płacąc.

Madame de Lacnoir należała do tych nielicznych osób, które mogą sobie tutaj pozwolić na taki gest. Jednak...

– Madame, czy wino było niedobre? – zawołał za nią.

Popatrzyła na niego, jakby nie zrozumiała. Jakby tam, gdzie była ona, jego wcale nie było. Jakby nie było Aero.

Dominique patrzyła na białe stiuki. Szukała śladu korka od szampana, który kiedyś wystrzelił zbyt wysoko. Potem, nie wstając

z sofy, znajdzie na półce *Sto dwadzieścia dni Sodomy*, ukryte przez ojca wśród książek, w okładce z czarnego papieru. Jeżeli będzie musiała czekać dłużej, znajdzie sobie następne obiekty do szukania. Bo czytać jakoś nie mogła, a myśleć nie chciała.

Czekała tutaj, bo już nie było po co jechać dalej. Dobrze, że zostawiła sobie jeden klucz. Wiadomość, że oni jednak wrócą razem, dotarła do niej wkrótce po pierwszym telefonie, zanim zdążyła złapać taksówkę do szpitala. Kilka słów sprzecznych z tym, co usłyszała wcześniej. Żeby zrozumieć, co się stało, musiała zobaczyć Tomka. Żeby zobaczyć Tomka, musiała czekać tutaj. Ślad korka od szampana ściemniał od czasu, kiedy ostatnio na niego patrzyła. Tego szampana otwierał Tomek.

Zgrzyt klucza w zamku zakończył czekanie. Drzwi otworzyła Sandra. Była sama.

– Nie, Dominique, Tomek jest, został na dole. Został, bo nie mam czym zapłacić za taksówkę. Ja jeżdżę metrem, ale dziś musiałam. Skończyły mi się pieniądze. U niego znalazłam tylko kartę. Możesz pożyczyć? Nie schodź. Proszę.

Minęło kilka minut, zanim zjawili się oboje. Tomek z opatrunkiem na głowie, sztywną nogą i mętным wzrokiem.

– *Ça va*, Dominique. Żyję, tylko śpię. Dali mi takie prochy, że muszę. Zbudźcie mnie za godzinę.

Zatoczył się na sofę. Kiedy głowa znalazła poduszkę, jego usta otworzył senny oddech.

Sandra zastygła na chwilę nieruchomo, potem opadła na fotel.

– Po wszystkim. Już jest dobrze. Myślałam, że zaśnie w taksówce.

– Tylko ty może teraz nie zasypiaj, co?

– Nie, już ci zaraz wszystko mówię...

Słowa Sandry przerwał ostry, suchy, gwałtowny kaszel. Dominique przyniosła jej szklanę wody. Oderwała dzięki temu wzrok od skroni Tomka – i tak nie widziała nic prócz opatrunku. Zobaczyła za to zbyt mocne wypieki na twarzy Sandry, sine kręgi pod spuchniętymi oczami, dziwny błysk powiększonych źrenic, rozmazane resztki makijażu; grube zaczerwienienie wokół blizny, zbyt blade, spierzchnięte usta. Nią też trzeba będzie się zająć. Ale najpierw niech mówi.

– Na pogotowiu Tomek powiedział: nieznany sprawca.

I że nie pamięta ani postaci, ani twarzy, nic. Ale pamiętał dokładnie, jak tamten go bił. Wszystko, dopóki nie zemdłał. Lekarz posłuchał, zbadał, a jak już opatrywał, to mówił. *Fachura* – tak powiedział na tego, co bił. I że bił tak, żeby było jak najwięcej bólu, jak najmniej szkody. Bólu i strachu, żeby to źle wyglądało. Że mu to wyszło. Tomek najpierw dostał w żołądek, właściwie w splot słoneczny, potem mocno w jądra. Potem ten cios, co najgorzej wyglądał – w ranę na skroni. Ale to był lekki cios, powierzchowny. Rozorał przeciętą skórę na boki, ale w środku nic nie zrobił. Lekarz mówił, że czymś ostrym, i że są takie specjalne sygnety. Tomek nie zemdłał od tego, tylko z bólu od jąder, bo to podobno tak działa, promieniuje w głąb. Potem tamten chyba już nie bił, nie było śladów. Zrobił tylko jedno cięcie. Lekarz znów, że chirurgiczna precyzja. Że tam, gdzie jest tętnica, ale wcale nie w tętnicę. Że to musiało być specjalnie. Jak podpis. Groźba. Groźba, że mogło być inaczej.

Powiedział: *Niech pani lepiej sprawdzi, w co on się wplątał.* Ale zapisał wszystko tak, jak mówił Tomek.

To wszystko naraz podobno bardzo boli. Skroń jest na nowo zszyta, jakoś tak, że nie trzeba było go usypiać, jakby spięta. Nie znałam takiego sposobu; w pachwinie też dwa szwy. Dostał szczepionkę przeciwężcową, nasenne i mocne przeciwbólowe. Uspokajaczy odmówił. Ale jutro może już być dobrze. Myślałam, że będzie dużo gorzej. Tak wyglądało. Właściwie to już jest dobrze, jak śpi.

Lekarz powiedział tylko, że gdyby został do rana na ulicy, to mógłby być problem, ale nie powiedział, z czym. I to jest wszystko, co ja wiem. Resztę wie on.

Sandra znowu zaczęła kaszleć, sięgnęła po szklanekę z wodą. Dominique próbowała ostrożnie, przez dziurę w spodniach Tomka zobaczyć jego zszyte udo.

– Jak go znalazłaś?

– Czekałam na was w Aero. I zobacz, dostałam to. On tam był, na tej ulicy. Ale to nie od niego.

Sandra podała jej telefon. Dominique, z dłonią na plamie skrzepłej krwi, patrzyła na esemes.

– Poproszę Jean-Paula, może sprawdzi, czyj to numer.

Tomek poruszył się nagle, jęknął, zginając kolana.

– Dominique, zostaw moją nogę! Co jest? Idę się odlać.

– Uważaj na opatrunek.

Kulał, przytrzymywał się krzesel, potem opierał o ścianę. Ale szedł. Dominique, widząc, z jakim uśmiechem Sandra za nim patrzy, zrozumiała, jak źle musiało to wyglądać. Chciała coś powiedzieć, ale zanim znalazła słowa, Tomek wrócił.

Znowu upadł na sofę.

– Sandra, proszę, pokaż ten esemes zanim zasnę.

Oddał jej komórkę.

– Nie trzeba Jean-Paula. Wiem, czyj to numer. W ogóle dużo wiem. Ale jutro.

Kiedy przewrócił się na bok, senny oddech przeszedł w lekkie chrapanie.

Sandra zaczęła się śmiać. Dominique uniosła pytająco brwi, ale delikatnie oddała uśmiech.

– Przepraszam. Nie wiem, skąd ten śmiech, samo przyszło. Pewnie z tego, co on powiedział, jak zasnął... myślałam wtedy, że się wykrwawi po drodze. W ogóle to wszystko... tak jest czasem strasznie, że aż śmiesznie.

– Tobie by się chyba przydał łyk czegoś mocniejszego. Jeden drink, najwyżej dwa. Żeby na chwilę przestać myśleć.

– Może. Ale tu i tak nic nie ma.

– Kiedy coś jadłaś?

– Nie jestem głodna. Jak byłam w Aero, wtedy tak, wszystko pachniało.

– Zostanę dzisiaj na noc, dobrze? Chcę tu być, jak się zbudzi. Zaraz wracam.

Dominique poszła do kuchni. Otworzyła lodówkę. Masło, mleko i jeden serek. Stara bagietka i puszka kawy na szafce. Poza tym pusto.

Zrobiło jej się głupio. Oni w ogóle nie mają pieniędzy. Na początku pożyczyła coś Tomkowi, ale niewiele. Zapomniała, że ktoś może mieć z tym problem.

Wróciła do pokoju. Weszła zbyt cicho i zaskoczyła Sandrę, która wydłubywała sobie coś spod paznokci.

– Myślałam, że są takie brudne, a to krew. Próbowałam mu wytrzeć twarz, zanim przyjechała taksówka.

– Skoczę do sklepu nocnego.

– Weź klucz, muszę się umyć.

Dominique kupiła pełno jedzenia. Sery, małe paczki wędlin, jajka, pomidory, winogrona. I jedną małą butelkę. Chciała zrobić wielką kolację, udając, że sama jest głodna. Kiedy wróciła, światła były już pogaszone. Sandra spała w dawnym pokoju rodziców, z dłońmi przy twarzy, skulona pod kocem. Obok niej na łóżku leżał komputer, a na podłodze kartka: *Gdybym zasnęła, obudź mnie.*

Dominique wyłączyła nocną lampkę. Cicho zamknęła żaluzje, potem drzwi. Włożyła zakupy do lodówki. Znalazła szklanekę, którą kiedyś lubiła, inną od wszystkich. Nalała sobie do niej setkę polskiej wódki z arabskiego sklepu, trochę coli. Lodu nie było. Usiadła przy stole, zapaliła, położyła stopy na sąsiednim krześle.

Nie chciała szybko pić, chciała pomyśleć. Już nie o Krantzu, jeszcze nie o Tomku – za mało wiedziała. Pomyśleć, jak to się dzieje, że powoli zaczyna mieć do Sandry zaufanie. I czy to błąd, czy nie.

Natasza wyszła z pokoju synka dopiero wtedy, gdy w sypialni zgasło światło. A wcześniej pobiegła do niego, jak tylko zamknęły się drzwi za matką. Kiedy Zeno słyszał je obie w przedpokoju, powiedziała matce głośno:

– Naprawdę? Znów miał nierówny oddech?

Matka tylko znacząco pokiwała głową.

– Sama idź, posłuchaj. Pytał o ciebie.

Mówiła głośno, jak trzeba, ale potem powtórzy jej swoje. Uważała, że nie wolno zasłaniać się dzieckiem, bo kłamstwo może się spełnić.

Przed pójściem do łóżka Natasza długo szukała w garderobie czegoś, co będzie dobre. Włożyła błyszczącą koszulkę na cienkich ramiączkach, czerwoną jak wino. Kiedy Zeno rano ją zobaczy, pomyśli, że Nati wieczorem tylko jego miała w głowie. Że bardzo się spieszyła, ale przeszkodziło dziecko.

On nic nie wie, nie wie nic, nic nie wie on. Nic nie wie i nigdy się nie dowie.

Powtarzała to sobie po rosyjsku, w swoim języku, którego Zeno nie znał. U synka szeptem, melodyjnie, jak kołysankę. Potem już tylko w głowie.

Ryzykowała dzisiaj.

Zrozumiała, co jest na rzeczy, jeszcze zanim wyszli. Wtedy zaczęła się bawić telefonem Tomka. Niby że sprawdza, kto ma lepszy model, żeby pochwalić się swoim. Jak dziewczynka ze szkoły. Ale to nic, Zeno myśli, że taka właśnie jest. Wysłała do siebie ostatnie dwa numery, na które Tomek dzwonił. Sprawdziła do nich imiona.

Paplała coś znów szybko, jakby była na rauszu po tych dwóch kieliszkach.

– A ty sam przyjechałeś, Tomek, czy z kolegą?

– Z koleżanką.

– O, z koleżanką, no, no. A ładna? Znam ją? Jak ma na imię?

To mogło być podejrzane. Ale obaj już chyba nie zwracali na nią uwagi.

– Nie znasz. Na imię ma Sandra. Takie dumne jak twoje, kiedy go nie zdrabniasz.

O nic więcej już się nie dało spytać. Zresztą myślała, że może nic nie będzie, że się pomyliła. Że Zeno zapomni o tamtym pytaniu.

Patrzyła za nimi, jak poszli, w którą ulicę. Wyszła przed restaurację, stała przy popielniczce – wielkiej kadzi z piaskiem. Pomyślała, że chciałaby taką donicę mieć w ogrodzie. Pomyślała też, jak to jest, że ona nie umie teraz zawołać, wykrzyknąć, choć jest już prawie pewna. Ale nie umiała.

Gdy Zeno wrócił sam, czekała przy stoliku, pilnowała dwóch pełnych kieliszków.

– A gdzie Tomek?

– W nieswoje sprawy się wtrącał. Opierdoliłem. Został se przemyśleć. A co ty tak za nim?

– Bo ta reklama...

– Zapomnij. Nic by nie załatwił.

Wychylił swój calvados. Wyjął z kieszeni roleks, włożył go na rękę, poprawił pasek. Zdjął sygnet z palca, wytarł serwetką, chuchnął dwa razy na złoty herb, wyblyszczył o rękaw. Włożył z powrotem. Napił się teraz z kieliszka, który miał być dla Tomka. Wyciągnął skądś małą baterię od telefonu. Rzucił na brudny talerz przy pustym stoliku.

– Idziemy potańczyć, Nati. Znam jeden fajny klub. Mam ochotę.

Wtedy była już pewna. Wysłała esemes, tak żeby nie widział. Nie zdążyła wcześniej spytać, w jakim tamta mówi języku.

Tańczyła najseksowniej, jak umiała, bo jakoś nie szło jej udawanie uśmiechów.

Teraz Zeno spał mocno. Skręcone ramiączko czerwonej koszulki gniotło w szyję.

On nic nie wie, nie wie nic, nic nie wie on. Nic nie wie i nigdy się nie dowie.

Kiedy Tomek otworzył oczy, w pokoju było całkiem ciemno, ale z głębi mieszkania dochodziły jakieś odgłosy. Ciche kroki w korytarzu, skrzypienie drzwi, głośniejszy trzask, po którym nastąpiła cisza. Popatrzył w stronę okna – oszustwo zamkniętych żaluzji. Zdążył już o nim zapomnieć w Polsce. W większości francuskich mieszkań zawsze można z dnia zrobić noc. Pewnie Sandra zadbała o to, żeby nic go nie mogło obudzić. Wypałał się tak, jakby dawno minęło południe.

Ktoś w nocy wsunął mu pod głowę poduszkę. Okrył go pledem. W zasięgu ręki stała szklanka wody. Skroń szczypała jak zwykle, może trochę bardziej; zdążył się już do tego przyzwyczaić. Udo było jakby sztuczne – pewnie działało jeszcze jakieś znieczulenie. Jądra, o które najbardziej się bał, były spuchnięte. Bolały w dotyku. Ale bólem miejscowym, takim zwykłym, a nie przeszywającym trzewia, jak wczoraj. W sumie było dobrze.

Za słabo powiedziane – dzięki temu, że ból ustąpił, było wspaniale. Może warto zaliczyć czasem taki ból, żeby wiedzieć, jak jest wspaniale, kiedy minie.

Zostałby chętnie na sofie jeszcze chwilę, ciesząc się tą prostą ludową mądrością. Zasnąłby znowu, przypominając sobie, z jakich bajek ją zna. Ale nie mógł, bo śmierdział. Czuł to tak mocno, jak kwaśny posmak w ustach. Wczoraj wieczorem wymiotował, kiedy ocknął się na chodniku. Zapach zeschniętych rzygowin, skrzepłej

krwi, lepiej nawet nie myśleć, czego jeszcze, był w jego włosach, ubraniu, ciele. Pewnie przesiąkła nim sofa państwa Lacnoir.

Wstał, trzymając się krzesła. Powoli przeniósł ciężar ciała na zranioną nogę. Była sprawna, choć zeszywniała. Mógł chodzić, kulejąc dość mocno, ale bez dodatkowego oparcia. Chciał dojść do swojej sypialni, potem do łazienki, bez żadnych odpoczynków przy ścianach.

Sypialnia...

Zeno rozwiązał mu wczoraj spory problem. Gdyby nie świeże rany, środki nasenne i sofa, Tomek nie miałby pojęcia, jak się zachować wieczorem wobec Sandry. Po tych klapkach, które stały pod jego łóżkiem. Co mówić, czego nie, gdzie spać, jak się przywitać... Dzisiaj już było łatwiej, inny punkt odniesienia. Niepamięć może da się zwalić na cios w skroń. Jeszcze lepiej! Ha. Teraz, przy jego kłopotliwych obrażeniach seks to drażliwy temat. Mógł przecież nawet zostać impotentem, nie wiadomo. W domu powieszzonego... – a Sandra jest taktowna. Niezależnie od tego, co między nimi było, będzie wołała milczeć.

Bo to, że jednak pewnie wszystko gra, lekarz powiedział mu za parawanem w prostych żołnierskich słowach. Mało prawdopodobne, żeby Sandra zrozumiała.

Kłapek oczywiście już nie było. Ale w jego łóżku znów ktoś spał. I – chociaż to przesada, w połączeniu z tym, o czym myślał przed chwilą, obrazek nie na miejscu – na kołdrze leżały majtki jego byłej żony. Dobrze mu znane, zielone, delikatne, które wiele razy wstawiał do prania, tylko z ciemnymi rzeczami, na czterdzieści stopni. Pozostał przy tym jednym skojarzeniu. Bo trudno znaleźć gorszy moment, żeby myśleć o sobie w roli kochanka, byłego

kochanka, potencjalnego kochanka – w dodatku dwóch kobiet.
Ponury żart.

Czyli Dominique jest gdzieś tutaj. Została na noc.

Wyjął ostatnie czyste ubrania ze swojej torby na komputer. Poszedł do łazienki. Była zajęta. Noga zaczynała go boleć trochę bardziej. Wycofał się do kuchni.

W kuchni, nad stołem pełnym jedzenia siedziała Dominique.

– Dominique, jakie piękne śniadanie! Sama je zrobiłaś? Przecież ty rano prawie nic nie jesz. Miło, że pomyślałaś.

– Jak tam twoja męskość?

– Nie wiem, nie mam jak sprawdzić.

A miało być taktownie.

– Gdzie jest Sandra?

– Kąpie się prawie od godziny.

– Ja też się muszę umyć, zanim z wami siądę. Bo później zaczniemy gadać... A teraz nawet nie podchodź, strasznie śmierdzą.

– Szkoda, chciałam zobaczyć to udo.

Tomek zrobił dwa kulejące kroki w stronę korytarza. Jej bezpośredniość bywała krępująca.

– Czekaj, jeszcze zanim Sandra przyjdzie... Mówiłeś, że chciałbyś kiedyś zobaczyć, jak ona się z czegoś tak normalnie, po prostu cieszy. To wczoraj właśnie tak się cieszyła. Że przeżyłeś. Ale poza tym chyba jest bardzo zmęczona. Gorzej niż zmęczona... – Dominique urwała, bo zaskrzypiały drzwi od łazienki.

– Gdybyś chciał to po myciu odkazić, w białej szafce mieli kiedyś betadine, ale nie wiem, czy zostało.

Tak płynnie, spokojnie, bez chwili wahania zmieniła temat.

Sandra stanęła w drzwiach zarumieniona od gorącej pary, owinięta w biały szlafrok dla gości, pachnąca.

– Jak tam twoja skroń?

Tomek uśmiechnął się do niej z ulgą, ciepło.

– Dobrze. Szczypie, ale to nic wielkiego, twoja pewnie kiedyś bardziej szczypała.

– Przygotowałam w łazience powierzchniowe opatrunki, które dostaliśmy w szpitalu, tylko pamiętaj, że te pod spodem możesz zmienić dopiero jutro, z lekarzem. Nie mogą się zabrudzić. Gdybyś czegoś potrzebował...

– Bardzo potrzebuję prysznic.

Mycie sprawiło mu mnóstwo problemów. Szczególnie włosy, sklezione krwią i potem, które powinien chyba jeszcze zostawić w spokoju. Kiedy skończył, poczuł się dużo lepiej. Ale pojawił się nowy kłopot – nie miał co na siebie włożyć. Dżinsy nie nadawały się do niczego. Włożył czyste majtki i koszulę, przepasał się ręcznikiem i poszedł do kuchni.

– Dominique, czy przypadkiem nie zostały u ciebie jakieś moje stare spodnie? Jakiegolwiek? Jechałem tylko z bagażem podręcznym, wsadziłem kilka rzeczy do torby na laptop, bo straciłem walizkę. Nie mam co ubrać na tyłek.

– Nie, wszystko wywaliłam. Na nowy początek, wiesz. Nic się nie znajdzie. Będziesz musiał sobie kupić.

– A jest tu pralka? Proszek? Igła z nitką? Pralka ma suszarkę? No, bo tak przecież nawet do sklepu nie pójde.

Dominique wyglądała na rozbawioną, a Sandra, zajęta parzeniem herbaty, nie zainteresowała się tym wcale.

– Pralka jest, suszarki nie ma, ale jest słońce. Proszek trzeba kupić, igła może się gdzieś znajdzie, może nie, nie wiem. Ale weź, Tomek, siadaj, jedz coś i mów. Zajmiesz się tym później. My ciągle nie wiemy, co się tak naprawdę stało, a minęło już dwanaście godzin. I tak nie będziesz jeszcze mógł wychodzić. Wczoraj zafundowałeś nam sensację, na pogotowiu milczałeś, potem pochwaliłeś się, że dużo wiesz. A teraz o spodniach. Siedz tak jak jesteś, nikomu to nie przeszkadza. Jest ciepło.

Tak, rzeczywiście. Zapomniał o tym, że był dotychczas nieco tajemniczy, więc one mogą nawet nie domyślać się tego, co dla niego jest oczywiste – czemu wczoraj dostał. Nie mówiąc już o tym, że nie wiedzą od kogo, mogą to sobie wyobrażać zupełnie inaczej. Zakładać, że stał się na przykład z kimś, kto jest związany ze zniknięciem Marty, albo z człowiekiem, który prześladowuje Sandrę. Żeby miał czas spokojnie dojść do siebie, obie musiały być wyjątkowo cierpliwe. To pewnie nie było łatwe.

Zajął więc miękkie, wyściełane krzesło, które dotychczas stało w pokoju. Ułożył kolorową kompozycję na talerzu, podziwiając obfitość i różnorodność jedzenia. Złamał dla siebie kawałek bagietki i zaczął opowiadać. Korzystał z tego, że nikt go nie pogania, żeby mógł jednocześnie mówić i jeść. Starannie dobierał kolejne zdania. Nie pomijał szczegółów. Poświęcił nawet trochę czasu, aby dać obraz osób i miejsc. Koloryzował, bo lubił, ale bardzo delikatnie. Żeby ubarwić nieco opowieść, nie psując jej.

Zaczął od François, skończył na Nataszy. Na tym, że to ona wysłała esemes.

Próbował zgadnąć, czy Sandra i Dominique wyciągnęły odpowiednie wnioski.

To znaczy takie wnioski, jak jego.

Nie spieszyły się z pytaniami, jakby czekały na dalszy ciąg.

Tomek odłożył sztucce na talerz, dolał herbaty do filiżanek. Uśmiechnął się z satysfakcją.

– To teraz już wiemy, gdzie szukać Krantza.

– Jesteś pewien?

Rezerwa w głosie Dominique nie mogła mu odebrać ani poczucia triumfu, ani pewności. Jego plan powiódł się świetnie, chociaż pewnym kosztem; koszt mieścił się w ramach ryzyka, z którym Tomek od początku się liczył. Udało mu się po prostu. Był o tym przekonany.

Nie lubił u niej tego wyrazu twarzy. Kiedy byli razem, jej sceptycyzm często zderzał się z jego pasją; bywało też odwrotnie. Kończyło się awanturami, o których nie potrafili zapomnieć. Zostawały rany.

Teraz będzie inaczej.

– Tak, jestem pewien, Dominique. Zeno przywalił mi za to, że zapytałem o Krantza. To znaczy, że Zeno coś wie. Wyobrażał sobie pewnie, że się domyślam, co też on wiedzieć może. Ostrzegł, że jak będę dalej węszył, to pożałuję. Że mam się nie zbliżać. I dzięki temu wiemy, gdzie węszyć. Do czego się zbliżyć, tylko inaczej. To proste.

– Czemu nie udawał, że nigdy nie słyszał o Krantzu?

– Po pierwsze, to debil. Umie tylko świetnie bić. Po drugie, nie uwierzył, że pytam przypadkiem; miał trochę racji. Po trzecie – ciekawe – może to, co mógłbym wykryć, nie jest wcale takie niedostępne. Nie wystarczy zaprzeczyć, trzeba odstraszyć. Przekaz ma być prosty i skuteczny.

– Dobrze. Być może ten Zeno byłby jakimś śladem dla informatorów Jean-Paula. Z tym, że Jean-Paul.

– Dominique, nie! Przepraszam, że ci przerwałem, ale tu wcale nie chodzi o Zeno! – Tomek zamilkł na chwilę, szukając słów. Ból w udzie jednak go rozpraszał. – Nie chodzi o Zeno, tylko o jego szefa. Tego szemranego biznesmena, dla którego Zeno pracuje. To on musi mieć jakiś związek z Krantzem. Związek, który nie może wyjść na jaw. Ochrona o tym wie. Pewnie dostali odpowiednie polecenia. Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć, to trzeba było widzieć, czuć. Zeno nie lał mnie na własny rachunek. On był w robocie. W tym nie było żadnych emocji, wkurwienia, strachu, nic. Tylko skupienie, koncentracja, żeby wszystko było tak, jak trzeba – nie za słabo, nie za mocno, w sam raz. Wszystko zgodnie z planem, nic na żywioł. Zadanie, żeby mnie odstraszyć, rozpiisał sobie na kolejne ciosy. Jestem pewny, że zaplanował je po drodze. To nie była zresztą dla niego wielka sprawa. Raczej rutynowa. Od początku wiedział, co ma zrobić, musiał tylko pomyśleć, jak. Mam wrażenie, że go to rajcowało. Akcja, nie samo bicie. Czy bicie, tego nie wiem. Jeszcze jedno: on niedawno siedział. Za pobicie właśnie. Gdybym to zgłosił, miałby recydywę. Spory problem. A on się wcale nie bał. Musiał mieć jakieś gwarancje. Jakaś pewność. Albo że ja będę cicho, albo że w razie czego ktoś go wyciągnie. Zapłaci kaucję, poświadczy niewinność, nie mam pojęcia co. Czuł się bezpiecznie. Zeno, ten debil, sypnął mi swojego pryncypała, dbając o jego interesy, najlepiej jak umiał. Jestem pewien. Za tym trzeba iść.

Tomek był już zmęczony. Miał problemy z koncentracją. Chciał wreszcie przestać mówić.

Czemu Dominique nie dzwoni do Jean-Paula?

Czemu Sandra wciąż milczy, zajmuje się parzeniem kawy, nie potakuje, nie przeczy, płucze brudny zlew?

– Dominique, nie chcesz się szybko spotkać z Jean-Paulem? On będzie wiedział, gdzie szukać, przy swoich możliwościach, swoimi policyjnymi metodami. Znajdzie Krantza, ale to może potrwać, dla nas im szybciej, tym lepiej. Powiedz mu po prostu, że słyszałem od kogoś, że krąży taka plotka, że Krantz coś miesza z tamtym... ale nie wiadomo, co jest grane. Albo coś w tym rodzaju, wymyśl tak, żeby było dobrze. Sam będzie chciał sprawdzić.

– Czemu po prostu nie powiedzieć, jak było? – Sandra odezwała się pierwszy raz. W jej pytaniu był jakiś dziwny, prowokacyjny ton.

– Bo Jean-Paul to jest, wyobraź sobie, uczciwy policjant. Gdyby się dowiedział, co się naprawdę stało, zrobiłby to, co mu nakazują jego procedury: pewnie by zatrzymał Zeno, zaczął formalnie badać sprawę, po swojemu, policyjnemu to załatwiać. Nękać tego szemranego biznesmena. I jakby źle poszło – to znaczy jakby Jean-Paulowi poszło dobrze, gdyby coś znalazł – to my byśmy już mogli nie zobaczyć Krantza. Mógłby znów zniknąć. A nam zależy na kontakcie z nim.

– O ile ten wasz Krantz żyje.

Znów ten ton, jeszcze ostrzejszy. Tomek udał, że go nie słyszy.

– Załóżmy, że żyje. Załóżmy, że to, co ukrywają, to nie jest jego śmierć. Na to wygląda. W każdym razie dopóki to się nie wiąże z żadnym śledztwem – a śledztwo w sprawie zaginięcia Krantza zostało umorzone już dawno – w ogóle z żadną sprawą dla policji, Jean-Paul może sobie tak z nudów, na boku szukać kogoś na prośbę Dominique. Niby dla ciebie, dawnej przyjaciółki. Na prośbę Dominique robi wiele. Ale nie wtedy, kiedy to będzie stało

w sprzeczności z jego obowiązkami. Dlatego nie powinien wiedzieć, że ktoś komuś grozi. Że oberwałem.

Coraz trudniej było mu znaleźć wygodną pozycję na krześle. W końcu wstał, oparł się o kredens. Czekał, aż Dominique wyciągnie telefon z kieszeni. Chciał się już położyć, choćby na kilka minut. Dominique układała na talerzu prosty wzór z winogron.

– Sandra, Tomek ma rację. Teoretycznie wszystko się zgadza. Tylko – Tomek – już jest za późno. Za późno na wykorzystanie Jean-Paula.

Tomek słuchał, jak Dominique opowiada o wczorajszych rewelacjach inspektora. O sprzedanym śledztwie, wykrytej korupcji, nowym postępowaniu. To wszystko znaczyło, że Jean-Paul dla nich zniknął. Nie dostaną już od niego żadnych informacji. Co więcej, za chwilę wycofa się z tego delikatnie Dominique. To już nie jest historia dla niej. Dopóki chodziło o zaginionego poetę, którego życie wiąże się z jakąś tajemnicą, tajemnicą, która w dziwny sposób dotknęła Tomka, mógł liczyć na pewne zainteresowanie. Przekupstwa w policji, szemrane interesy, biznesmeni z gangsterską obstawą – to już nudne.

Nie miał w tej chwili pomysłu, co dalej. Jeszcze ta niechęć Sandry. Chciał się położyć i tyle. Dominique w końcu zamilkła. Pewnie szukała odpowiednich słów.

– Skoro nie mamy już Jean-Paula, musimy spróbować inaczej. Zebrać wszystko, czego można się dowiedzieć o tym szefie Zeno. Znaleźć kogoś, kto będzie mógł do niego dotrzeć. – Zjadła trzy winogrona.

Tomek starał się ukryć zdumienie. Lubiła go zaskakiwać, tak, ale przecież nie tylko dlatego... Musiała mieć swój powód.

– Niewiele o nim wiem; tyle, co od François. Nazywa się Jean Charpentier. Ma dom w Neuilly i kilka firm. Był w coś zamieszany, nie wiem w co, chyba pranie brudnych pieniędzy. François twierdzi, że to gangster. Gdybyśmy mogli poprosić Jean-Paula chociaż o to, żeby wszedł do policyjnej bazy danych. To zajmie pięć minut...

– Nie możemy. Nic nam nie powie. A ta Natasza?

– Ona też nie. Wysłała esemes, ale wcześniej nie zrobiła nic. Boi się.

– Charpentier to bardzo popularne nazwisko. Nie wiadomo nawet, który to będzie w internecie.

– A wasz przyjaciel Caillou? Może on by umiał wejść do tej bazy?

Więc Sandra jednak słuchała. Tomek przytaknął delikatnie, samym ruchem powiek, widząc pytające spojrzenie Dominique.

– O, tak, z pewnością by umiał. Z tym że on, Sandra – może dobrze, żebyś o tym wiedziała – on zerwał z nami kontakt. Ze mną i z Tomkiem. I tak się dziwnie złożyło, że zerwał ten kontakt dokładnie po pytaniu o ciebie. Chyba wiem dlaczego.

Sandra układała w zmywarce brudne talerze. Nie okazała zaskoczenia, nie spytała o nic. Nie wyszło to najlepiej. Była przeciwna szukaniu Krantza, można to było wyczuć. A w słowach Dominique nie było śladu prośby, której Tomek spodziewał się przed chwilą. Tylko prowokacja. Prośbę oczywiście zostawiła jemu.

– Sandra, będziesz dziś zajęta? Jedziesz trasą Marty?

– Nie, w jej planie były dzisiaj parki. Zresztą zmieniłam sposób, tamten nic nie dał. Mniejsza z tym. Dobra. Napisz mi, Dominique, e-mail twojego inspektora do pracy, i wszystko, z czego mógłby sobie zrobić hasło. Imiona, daty, ulubioną markę wina, rejestrację samochodu, jeśli pamiętasz. Co tylko ci przyjdzie do głowy. To tylko

pomocnicze, dla jednego programu. Bo nie masz skrupułów, żeby zalogować się za niego, jak się da?

– Nie mam. Dziękuję.

Gdy Sandra wyszła, Tomek poweselał.

– Biedny Jean-Paul. Ty też idziesz?

– Mam spotkanie. Wpadnę za kilka godzin.

– Ale zajdziesz chyba do domu? Bo wiesz, nie masz nic pod spodem...

Dominique odruchowo przejrzała się w lustrze. Jej czarne dżinsy nie były aż tak obcisłe.

– Poznałem po wyrazie twarzy. Zawsze będę poznawał.

Uśmiechnął się do jej speszenia, zanim zamknęła drzwi. Z pytaniem o to, czemu nadal pociąga ją sprawa Krantza, postanowił poczekać na lepszy moment.

Rozdział XIII

Irytowali ją. *Zawsze będę poznawał...* Były mąż Sandry, Oskar, na pewno by tak nie powiedział. Odkąd się rozstali, mieli dla siebie tylko chłodną, poprawną uprzejmość. W układach między Tomkiem a Dominique było dla niej coś sztucznego. Można pomyśleć, że tych kilka wspólnych lat znaczyło dla nich tak niewiele, że strata nie boli. A przecież to nie może być prawda. Ta ich przyjaźń, pozorna swoboda nie może im przychodzić tak łatwo, jak się wydaje. A jednak chciałyby usłyszeć taki żart od Oskara. Zazdrości im tego, w co sama nie wierzy, czego sama nie umiałyby dać. W dodatku nie przejmują się wcale, czy ich słyhać. Tak jakby jej nie było.

A to szukanie Krantza... Po co im to? Kim oni są, do cholery, detektywami-amatorami, jak w serialu? Nie mają własnych problemów, życia, pracy? Tomek – dobrze, przypuśćmy, ma to swoje dziwne zlecenie od kochanka Hubki, w jakiś absurdalny sposób to powiązał, widzi zbieżności, których nie ma. Chce na tym zarobić. Może znowu wymyślił sobie reportaż, tym razem o Krantzu. Ale ona? Dominique? To jest jak jakaś zabawa, sport dla sportu.

Chuj z nimi.

Dostała niezłe wyzwanie. Baza danych francuskiej policji. Zrobi to, oczywiście; mniejsza z tym, do czego chcą to później wykorzystać. Niech sobie szukają Krantza. Ona wróci do swoich spraw, jak już to zrobi.

Potrzebna jej pomoc, asysta. Ktoś, kto będzie myślał po francusku.

Otworzyła stronę, która od kilku lat była jej ulubionym miejscem w internecie. Przeszła przez szereg zabezpieczeń. Weszła na forum, na którym jej wizyty traktowano jako znaczące wydarzenie. Zalogowała się pod swoim najbardziej znanym nickiem.

Caillou – kontakt, pls. Już wiem. Masz okazję się zrehabilitować. Zapraszam.

Czekając na odpowiedź, uruchomiła swój najlepszy program do łamania haseł. Przejrzała kartkę, którą podała jej Dominique. Całkiem sporo słów, liczb. Inspektor musi być kimś bliskim, dobrze znanym. Jedno z tych słów. *Dominique*. Cóż, nie sądziła, że aż tak bliskim.

Dziwne, dziwne układy. Trzeba będzie zadbać o to, żeby nie zostawić śladów. Miłe zadanie.

Powoli weszła w tok myślenia, który pozwolił jej zapomnieć o tym, co znalazła w przeszłości Marty. O tym, czego dowiedziała się w muzeum Salvadora Dali, o krwi na nogawce Tomka... O wszystkim, na jakiś czas.

Niemal w tym samym czasie, kiedy Sandra kradła prawa francuskiego inspektora, Ewa Zalipska postanowiła złamać zasady. Sprawdzić komputer męża. Nie zrobiła tego do tej pory, bo bała się, że zostawi ślady. Gdyby Adam się zorientował, jego stan mógł się tylko pogorszyć.

Ale on zniknął teraz na całe dni, a wieczorami pisał i pisał. Gdy dziś rano zakładał krawat, jego stara aktówka już stała przy

drzwiach, wypchana jak za dawnych czasów. Teraz nie mógł w niej mieć żadnych akt.

Ewa czekała w oknie, aż mąż zniknie za rogiem. Potem weszła do pokoju, w którym kiedyś był gabinet. Włączyła komputer z dreszczem emocji, towarzyszącym temu, do czego nie można się przyznać. Kiedy obraz na monitorze znieruchomiał, gotowy na pierwsze polecenia, wpatrzyła się w niego z konsternacją, zawiedziona i bezradna. Nie miała pojęcia, co z tym zrobić. Komputer, z którego korzystała w instytucie, był całkiem inny. Wszystko tam było na pulpicie. Jeżeli chciała pisać, klikała plik, jego ikonkę, potem dawała *zapisz* – no i był. Gdy już skończyła pisać, o resztę martwił się ktoś inny. Gdy coś jej się zepsuło – tekst zniknął, literki wskakiwały jakoś dziwnie, przepadły zmiany – wtedy przychodził Marek. *Panie Marku, mam problem*. Uśmiechał się wyrozumiale. Robił swoje czary. *Widzi pani, jest, działa*. Niczego nie tłumaczył, a ona nie pytała. To była jego praca. Ewa nie miała potrzeby się tym zajmować. A tu – wszystko inaczej. Żadnych ikonek, żadnych programów. Tylko: *wybierz użytkownika*. Kolorowe rysunekzki w kwadracikach. No i co wybrać? A jak złym ruchem wszystko zawiesi? Marek mówił: *Niech pani profesor lepiej uważa. Bo sobie pani coś popsuje*. Miała zrezygnować? Przecież już postanowiła.

Wybrała Gosię. Gosia była młodsza. Całkiem niedawno jeszcze pracowała – w szkole, w sekretariacie. Musiała się znać. Miała w domu komputer. Po dzieciach, które założyły swoje rodziny. Od trzech miesięcy szczęśliwa babcia, wciąż zabiegana, towarzyska. Na tyle bliska, że powinna się zgodzić. Na tyle daleka, że łatwo zapomni.

Słyszając prośbę o pomoc – *przepraszam, nie na telefon* – chyba się ucieszyła. *I tak jadę po buty, wpadnę do ciebie.* Za godzinę parkowała pod domem.

Dzięki takiemu właśnie wyborowi Ewa miała okazję zagrać całkiem inne życie. Bo Gosia była pewna, że chodzi o romans. *Trzecia młodość, skok w bok, zawsze lepiej wiedzieć, w tym wieku często im odbija, słyszałaś, co zrobił ten a ten?* Nie trzeba było nawet kłamać, wystarczył odpowiedni wyraz twarzy, speszony uśmiech, drobne reakcje na kumpelską deklarację kobiecej solidarności. Ludzka sytuacja i żadnych podejrzeń. Świetne rozwiązanie, przynajmniej na początek.

Gosia poradziła sobie natychmiast z tym *wybiierz*, to było tak proste, aż wstyd. Nie trzeba było nic umieć. Potem odkryła, że Adam zainstalował internet. Bez żadnych kabli. *To jest ten mały pypek.* Przeczytała tytuły plików w Wordzie. Tylko tytuły, bo pliki miały hasła.

List otwarty1. List otwarty2. Petycja. Skarga. Uzasadnienie. Wniosek formalny. Wniosek1. Wniosek2. – do sześć.

Zobaczyła pięć ostatnich stron oglądanych w internecie.

Centrum Badań DNA. Instytut Genetyki Sądowej. Test DNA Polska sp. z o.o. Miejskie Zakłady Pogrzebowe. I coś podejrzanego, co nie chciało się otworzyć. Speszyła się widząc, że na jednej z nich oferują ustalanie ojcostwa.

Przeprosiła, że więcej nie umie. Przecież zna się na tym tylko trochę.

Zanim Gosia wyszła, Ewa popracowała nad jej wrażeniami.

– Wygląda na to, że wszystko gra. Adam pewnie komuś pomaga. Ukrywa się, żebym nie marudziła, że się przemęcza.

Nic nie grało. Miał zbyt ambitny plan.

od: bertrandf9vtmet@noos.fr

do: dominiquedelacnoir@gmail.com

data: 14 lipca 2009 17:45

Dominique, w każdej chwili, byle po 22. Już jestem.

B.

Ta wiadomość wprawiła ją w świetny nastrój. Tak świetny, że idąc na la Murette, kupiła Tomkowi spodnie. A potem, kiedy okazały się za duże, opowiedziała mu w głupim przypiływie szczerości wszystko, czego dowiedziała się o Invisible – twórcy dziwnego happeningu opisanego przez profesora Givre. To, że może być Krantzem, też, chociaż nie umiała jeszcze tego dowieść ani temu zaprzeczyć. Błąd za błędem.

Zdażyła już zapomnieć, jak bardzo nie lubi pewności siebie Tomka. Tonu, którego zwykł używać, kiedy sądził, że jego argument jest miażdżący. Spojrzenia, które temu towarzyszyło. Teraz miała okazję sobie przypomnieć.

– Dominique, pytanie podstawowe: po co by mu to było? Dla sławy? Kilka razy dzielił go od niej mały krok i nigdy go nie zrobił. Widziałaś propozycje, których nie przyjął. Popatrz na jego zdjęcia: to człowiek, który chce być w cieniu. Element tła. A jego teksty – też czytałem. Ironia, zamknięcie, wycofanie...

– Wasze typowe, polskie cierpiętnictwo.

– Nazwij jak chcesz. W każdym razie on nie z takich, co by chcieli zaistnieć, w dodatku przez happening. Nie miałyby motywacji. Powiesz mi, po co to robił, to się zastanowię. Jeśli nie – zostawmy te wiersze. Problem w tym, żeby go znaleźć.

Dominique miała ochotę wyjść. Zrobiłaby to, ale w pokoju obok Sandra kończyła już tworzyć dossier Jeana Charpentiera.

Zjawiała się po kilku minutach, z wypiekami na twarzy, wydrukiem i komputerem w ręku.

– Interesujący facet. Zbyt interesujący, jak na gangstera. Bardzo chce być znany, tylko trochę mu nie wychodzi. Nie wychodziło, przynajmniej do niedawna.

Rozłożyła laptop na stole i powiększyła na cały ekran zdjęcie wysokiego mężczyzny w szarym prochowcu.

– To jest właśnie on.

Opowiadając, pokazywała kolejne obrazy: satelitarne zdjęcia ulic i budynków, strony internetowe firm, reklamy, zeskanowane dokumenty, ściągnięte nie wiadomo skąd. W ciągu tych kilku godzin, kiedy nie ruszała się z pokoju, przygotowała niemal profesjonalną prezentację.

– Ma czterdzieści dwa lata. Urodził się w Paryżu, jego ojciec jest właścicielem trzygwiazdkowego hotelu w Neuilly, a on sam w ciągu ostatnich dziesięciu lat wykupił pięć podupadających barów, które zaczęły świetnie prosperować. Podejrzenie świetnie, jak na ich lokalizację, wystrój i asortyment. Policja zwróciła na niego uwagę właśnie przez zaskakująco wysokie dochody – nawiasem mówiąc, wykazane w zeznaniach podatkowych – które według jednej z zamówionych analiz nie są możliwe do osiągnięcia w ten sposób. Jednak śledztwo kompletnie nic nie dało. Podejrzewano go

o nielegalny hazard, o wyłudzenia, o organizowanie ekskluzywnej prostytutki, o wszystko, co mogłoby tę rewelacyjną płynność finansową uzasadniać, ale nigdy nie udowodniono mu nic więcej ponad zatrudnianie na czarno pomocy domowej. Za słabo powiedziane – nie udowodniono. Nie wykryto. Z fiskusem jest na czysto, nikt nic nie wie. Prowadzi luksusowe życie.

I to jest jedna strona medalu. Ta druga – nie pasuje.

Jean Charpentier to człowiek o dość wygórowanych ambicjach. Mówię: wygórowanych, bo do pewnego czasu mu się z nimi nie wiodło. Kiedy skończył liceum, trzy lata z rzędu próbował się dostać do Conservatoire National Supérieur d'Art Dramatique – najszacowniejszej szkoły aktorskiej we Francji. Gdy się nie udało, zrezygnował ze studiów, ale po kilku latach skończył prywatne kursy aktorskie. W internecie mają opinię drogich i takich sobie. Nigdy nie udało mu się zagrać w filmie, chociaż się starał. Przez dwa miesiące prowadził natomiast program w prywatnej stacji telewizyjnej. Nazywał się *Magnes przeciwnieństw* – coś w rodzaju randki w ciemno. Recenzji nie miał prawie wcale, nawet ironicznych. Zdjęli go z ekranu, zastępując kursem gry w brydża. To był koniec przygody Jeana z aktorstwem.

Jednak sztuką para się nadal, prowadzenie biznesu nie jest dla niego widać zbyt czasochłonne.

Prowadzi blog pod własnym nazwiskiem, zamieszcza w nim zdjęcia Paryża. Pretensjonalne, słabo stylizowane na lata trzydzieste. W dodatku pięć lat temu zaczął pisać. Początek był kompletnym niewypałem. Powieść kryminalno-erotyczna, której nikt nie zamierzał wydać. Po dwóch latach starań zapłacił za publikację małej firmie, drukującej za pieniądze autobiografie, sagi rodzinne

i tak dalej. Książka się nie sprzedała, ale Jean wykupił firmę. Ma swoje niewielkie wydawnictwo. Przez jakiś czas nie publikował nic własnego, teraz to się zmieniło. Wysłał kilka swoich opowiadań na konkurs literatury fantasy. I wygrał. Opowiadania to coś w stylu Gibsona, cyberpunk. Dostały całkiem dobre recenzje, podobno są oryginalne. Chce je wydać sam. Promocję ma już zapewnioną. Na stronach francuskich fanów tej literatury zaczyna być znany. Udziela wywiadów, gdzie może. Czuje się już chyba celebrytą.

Proszę bardzo – to jest ten sam Jean Charpentier. Dokładnie ten sam.

Sandra pokazała im zdjęcie mężczyzny w czarnym golfie, rozpartego w fotelu z kieliszkiem szampana, niedbałym gestem unoszącego duży, czarno-srebrny dyplom.

Dominique nie próbowała nawet ukryć triumfu.

To wszystko było takie proste. Takie logiczne.

– Tomek, idź po szampana. Albo nie, jesteś ranny, ja pójdę. A ty w tym czasie opowiedz Sandrze historię happeningu Krantza. Bo już chyba wiesz, po co mu to było. Masz przyczynę.

Dominique rzeczywiście kupiła szampana. La Grande Dame 1998. Najlepszego, jakiego znalazła w okolicy. Tomek umiał mniej więcej oszacować cenę, ale nic nie mówił. Naklejki z pudełka, o ile na nim były, zostały zdarte. Być może przez delikatność wobec Sandry. Był pod wrażeniem. Tym bardziej że Dominique wymieniła jego nowe spodnie na identyczne, rozmiar mniejsze. Musiała czuć się świetnie. Promieniowała z niej radość ryzykownego zwycięstwa, racji dowiedzionej wbrew argumentom, które koniec końców zwróciły ostrze w przeciwną stronę. Być może byłoby to irytujące – chodziło

przecież o jego argumenty – ale Dominique piękniała od tych uczuć. Piękniała nieświadomie, a on potrafił to docenić.

Niezależnie od wrażeń estetycznych – jeszcze wątpił.

Sandra dała się przekonać od razu. Przyjęła całą rzecz spokojnie, jakby to była zwykła historia.

– Rzeczywiście, logiczne.

Dziwna kobieca logika, według której wszystko jest możliwe, jeżeli tkwi w tym pewien sens. Świat jest pełen ludzi nieprzeciętnych, problem tylko w tym, że ich nie widać. O geniusza możesz otrzeć się w metrze, każdego dnia. Ech!

Jego kieliszek wciąż był pełny. Dominique czekała na pytania, jakby to ona udzielała wywiadu. Niczym Jean Charpentier.

– Czyli ty myślisz po prostu, że Krantz się sprzedał?

– Sprzedał swoje usługi, a wcześniej przeprowadził rewelacyjną akcję reklamową, przeznaczoną dla jednego potencjalnego kupca. Bardzo inteligentny człowiek. W dodatku z jajem.

– Nie widzisz tego wszystkiego zbyt kolorowo?

– Dlaczego zbyt? Krantz z jakichś powodów chce naprawdę zniknąć, ale nie marzy mu się życie kloszarda, nie na zawsze. Postanawia wykorzystać to, co umie najlepiej. Czerpać z tego profity, ale wyłącznie finansowe. Incognito to dla niego za mało – chce być wolny, bezpieczny i naprawdę niewidoczny. Potrzebuje kogoś, komu sprzeda sławę. Może nie sławę, bardziej uznanie czy pewien prestiż. On ma możliwości i nic poza tym. Charpentier ma apetyt, którego sam nie jest w stanie zaspokoić, i pieniądze. Sandra, czy trudno znaleźć kogoś takiego?

– To znaczy kogo? Kogoś takiego, jak Charpentier? Potencjalnego kupca? Nie, skąd, łatwo. Gdybyś mi dała takie zadanie...

z wykorzystaniem zwykłej wyszukiwarki internetowej. Chęć bycia znanym widać, ludzie zakładają swoje strony. Może trudniej to pogodzić z pieniędzmi, ale tutaj, w Paryżu... tak, pewnie nie on jeden ma takie potrzeby.

– Dobrze, to teraz pojawia się problem, który Krantz rozwiązał. Bo gdyby do Charpentiera przyszedł kloszard i powiedział: *Panie, ja świetnie piszę, będę pisał dla pana, a pan to wyda jako swoje, tylko trzeba kupić jedno śledztwo, no i w ogóle potrzebuję kasy* – to twój Zeno zrzuciłby go ze schodów. O ile w ogóle zdążyłby coś powiedzieć. Więc Krantz organizuje akcję, którą potem opisał biedny Gustav Givre. Kilka genialnie podrobionych wierszy, zamieszczenie z tekstami na murach, szum wokół tego. Inteligencja, talent, farba w sprayu, aparat – to wszystko, czego potrzebował. Plus kompletna odporność na pokusy bycia znanym. Tak, żeby to rozkręcić i w odpowiednim momencie zastopować. A tę odporność – wierzę ci, Tomku, dałam się przekonać – Krantz ma. W stopniu nieprzeciętnym. – Dominique posłała mu uśmiech tak niewinny, że z pewnością ironiczny.

– Uważasz, że tak łatwo wydać wiersz? Zdobyć propozycję?

– Dlatego wybrał pomysł z podróbkami. Nie był petentem, debiutantem. Był dla wydawców anonimowym darczyńcą. Tomek, ty po prostu nie umiesz uwierzyć, że on to potrafi. Że umie świetnie pisać. No dobrze, nie pisać, podrabiać. To też za dużo?

Sam nie był pewien. Kiedy mówiła dalej, myślał o nagrodzonych w Polsce tłumaczeniach.

– Mniejsza z tym. Krantz dostaje się do Charpentiera z pakietem prostych dowodów, że to on. Że to on jest tym „Niewidocznym”, w którego istnienie niektórzy wierzą, a niektórzy nie. Oddaje mu

cały swój udokumentowany talent w zamian za... do końca nie wiadomo. Na pewno za skorumpowanie jednego inspektora, który już prawie go znalazł.

– I ma to w dupie, komu się sprzedaje. – Dominique opróżniła swój kieliszek.

– Nikt nie jest idealny.

– Hej, hej.

Sandra już od pewnego czasu chciała im przerwać. A on nie zwracał na nią uwagi, zajęty Dominique.

– Ale jak to się ma do wszystkiego, po kolei? Macie drobny fragment historii Krantza, według mnie prawdziwy. Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego nagle zniknął. Nie widać ani śladu tego, czego szukasz, Tomek. Związku z Hubką czy ucieczką Marty. Więc może dacie facetowi spokój? Co chcecie, dać znać Jean-Paulowi?

– Jak powiedziałaś? Ucieczką?

– Zniknięciem. Język mi się płacze od szampana.

– Nie, skąd, Jean-Paulowi? Może potem. Dzięki temu, co ty znalazłaś, Sandra, mamy świetne przejście na Charpentiera. Niezależnie od tego, czy Dominique ma rację, czy nie. To i tak zadziała. A jego związek z Krantzem udowodnił Zeno.

– Jakie przejście?

– Bertrand.

– Kto to jest Bertrand?

– Ojej, to długa historia. O znajomości z nim taki gość, jak Jean może śnić. Mocno nie przesadzam. Komu byś nigdy nie odmówiła spotkania, gdyby się tobą zainteresował? Dla ciebie – Bill Gates, Steve Wozniak? Może Polański albo Woody Allen? To każdy Francuz, który pretenduje, słusznie czy nie, do tak zwanego świata

sztuki, tak by miał z Bertrandem. Charpentier pretenduje, nie da się ukryć.

Bertrand znajdzie pretekst. Tylko żeby dał się przekonać. Jego może do czegoś zmusić tylko Dominique. I to chyba nie zawsze, mimo że tak myśli.

Nie mógł sobie odmówić tego ostatniego zdania. Szampan się skończył, noga bolała. Ryzyko, że jego była żona się wycofa, zniknęło. Krantz sam w sobie był dla niej atrakcją. Można odpocząć.

Bertrand nazywał się naprawdę Zdenko Kotic. Ale tylko on o tym wiedział. On jeden, jedyny, nikt poza nim. Wiedział o sobie to jedno – i niewiele więcej. Bo Bertrand żył dawniej w bardzo dziwnym świecie. Straszny, okropny, ale czasem piękny. Nie wiadomo, skąd się w nim wzięł, z nieba czy z piekła. Później go przekonali, że ten świat nie istniał. To znaczy, że był tylko jego dom, ciepła, piękna jaskinia, do której biegł tunel, jaskinia o ślicznych, jego własnych ścianach. I ludzie, których tam spotykał. Bali się go, tylko już nie pamiętał dlaczego. A jak pamiętał, robił tak, żeby pamiętać przestać. Ale nie tylko się bali, był dla nich ważny. Teraz też jest ważny, inaczej. Oni byli prawdziwi, na pewno. Oni, tunele i jaskinia. Tylko podobno to wcale jaskinia nie była. A reszta jego świata, większa reszta, mieszkała tylko w jego głowie, zbudowana z tego, co kiedyś widział, co przeżył i czego wtedy już nie było. Jego myślenie dziwnie zmieniało to wszystko w piękne albo potworne. I to ta reszta nim rządziła. To, co piękne, malował w swojej jaskini, żeby było mu tam dobrze. To, co potworne, gdzie indziej. Czasem

w tunelach, czasem w świetle. Bo to przecież też trzeba było malować.

Malować umiał zawsze, tylko musiał kraść farby, i to było trudne. Łatwiej było zrobić tak, żeby ktoś inny dla niego kradł. Jak to robił, nie trzeba pamiętać.

Myślał, że każdy umie malować, i że każdy musi. Że tak ma być. Wtedy tak myślał. Bo przecież trzeba się wypróżniać, trzeba czasem jeść, spać i pić. Tak samo trzeba malować.

Teraz już wie, jak to z nim było, zna wszystkie medyczne słowa. Czasem udaje, że wie mniej, a czasem, że więcej, niż naprawdę. Przed sobą też. Umie to wszystko. W ogóle – wszystko umie, co mu trzeba. Może nawet więcej.

Dzięki niej. To dobrze, ale nie zawsze.

Kiedyś przyszedł ten człowiek, Tomek. Zanim przyszedł, Bertrand nie chciał go widzieć. Już miał swoje imię – Bertrand. Ale ktoś zrobił tak, że się zgodził. Tomek mówił długo, jakby mu opowiadał bajkę. Trochę za dużo wiedział, tak, że nawet Bertrand myślał, czy nie zrobić mu czegoś, o czym trzeba by zapomnieć. Ale bajka była ładna, choć w nią nie wierzył. Nie wierzył w świat, w którym nie ma tego, co maluje w świetle.

Możesz zobaczyć. Chciał.

Ale musiał po to poznać kobietę. To było złe. Nie lubił kobiet. Kobiety były brzydkie. Ta jedna nie była – jak tak, to wszystko mogło być możliwe.

Dominique. Czasem to dobrze, że jest, czasem nie.

Lekarze byli łagodni, mili i śmieszni. Trochę niemądrzy. Wcale nie straszni. W porównaniu z tymi, z którymi rozmawiał w głowie –

prości i bezpieczni. Jak oswojone szczurki z tunelu, które zagryzają się tylko wtedy, kiedy muszą. Lekarstwa też były fajne.

Zabrali mu jego świat z głowy.

Teraz jest normalne życie.

Może nie całkiem normalne, bo podobno jest geniuszem.

I umie zrobić tak, żeby wszyscy myśleli o nim to, co mu potrzebne.

Tylko z malowaniem jest problem.

Kocha tylko kilka swoich obrazów. Kilka oprócz tych, które zostały w jaskini. Już nie ma takich, których by nienawidził. Te zostały na murach. Reszta mu obojętna. To niedobrze.

Ludzie kupują wszystkie. Nie o to chodzi. Tylko czasem po prostu mu się nie chce. A raczej – tylko czasem mu się chce. Bo po co malować takie, w których nic nie siedzi? Już ma pieniądze.

Tych, które kocha, nie sprzedał. Zostawił dla siebie. Od razu, jak skończył, malował identyczny. Nikt się nie poznał, że są gorsze, chociaż całkiem takie same; że to nie te właśnie. Nawet Dominique, chociaż ona myślała o obrazach inaczej niż normalni ludzie.

Czasem chciałby mieć takich więcej. Obrazów. Takich jak tamte.

Wtedy musi coś zrobić. Zrobić tak, żeby znowu myśleć swoim językiem, takim jak dawniej. Żeby przejść gdzieś na pogranicze tamtego świata, który kiedyś miał w głowie. Obejrzeć sobie choć małe kawałki, jak film. Jak film, w którym sam gra. Bo już nie da się inaczej, tylko tak. Chociaż tyle.

Właśnie stamtąd wrócił. Wtedy, gdy jest tam, nie ma go tutaj. I odwrotnie.

Teraz jest tutaj.

Zaraz będzie taki jak zwykle.

Zaraz przyjdzie do niego Dominique. To miłe – akurat dziś.

Jak to się mówi?

Ça va, Dominique. Pięknie wyglądasz. Miałem taki mały kryzys, dlatego odwołałem wszystkie spotkania. Ale już jestem w świetnej formie. Masz ochotę na lampkę wina? Białego, bo na kolację zamówiłem papillotes de saumon...

Tak, właśnie tak trzeba, bardzo dobrze.

– Dlatego ty, Bertrand, jesteś jedynym człowiekiem w Paryżu, który mógłby to dla mnie zrobić. Zgadzasz się?

– No nie wiem. Nie wiem, czy ten Jean będzie taki zadowolony, że go zaczepia jakiś człowiek.

Siedzieli w dziwnym pokoju Bertranda, do którego zwykł zapraszać tylko Dominique. To, że po kolacji przyszli zapalić właśnie tutaj, a nie zostali w jasnej, przestronnej, dostępnej części mieszkania, było dobrym znakiem.

– Nie kokietuj. Przecież wiesz. Wystarczy, że dasz się rozpoznać. Zaproś go na przykład gdzieś na kawę, powiedz, że interesujesz się jego książką, albo udaj, że spotkałeś go przypadkiem...

– Nie, nie. Jakie ty głupie, głupie rzeczy mówisz, Dominique. Takie głupie, że ja nie mogę. Ja to zrobić mogę tak, jak ja sam potem zechcę. Nie inaczej. A tego już wcale nie chcę słyszeć. Taki mam mój warunek. Porad takich bardzo kobiecych nie chcę wcale.

– Taaak... OK. Niezbyt to było dżentelmeńskie, ale rozumiem, Bertrand, że jak masz warunek, to się zgadzasz. Niech będzie.

Bertrand rozparł się na niskim, bezkształtnym siedzisku, okrytym kocami z kaszmiru.

– Niezbyt było... Ja myślę tak, że jak my oboje wiemy to, że my oboje wiemy, że ty jesteś mądra, to ja nie muszę udawać, że to jest mądre, co mówisz, co myślę, że nie jest. To nie udaję wcale.

– Nie masz pełnej racji, ale komplement przyjąłam. Dziękuję. Czyli zgadzasz się?

– Na tę pierwszą rzecz, żeby poznać Charpentiera, to pewnie może na pewno. A dalej... Nie mówisz przygotowane. Jak ja go spytam, jak poznać Krantza, to on pomyśli, że ja jakiś zły człowiek jestem, policjant, nie daj Boże, albo coś jeszcze bardziej źle. Że go śledzę, sekrety jego poznaję, tajemnice. Że trzeba ze mną zrobić coś, co nikt się nie dowie. Bo niby skąd ja to wiem? Nieprzygotowane.

– Przepraszam, Bertrand, wszystko po kolei. Po pierwsze, nie możesz w żaden sposób zdradzić, że wiesz, domyślasz się, słyszałeś – cokolwiek – że Krantz dla niego pisze. Tego po prostu nie ma. Nic nie wiesz, pod żadnym pozorem. Krantz może być dla ciebie wyzwaniem, magnesem, bratnią duszą, rywalem, potencjalnym kochankiem – co zechcesz – przez to, że żył w metrze. Tak jak ty. Ty na tym budujesz swój image. Na życiu w metrze. Jeżeli źle dobieram słowa, przepraszam. Wiem, że image mało dla ciebie znaczy, ale go wykorzystujesz, jeśli chcesz. Wszyscy o twoim metrze przypominają sobie nagle, jeśli ci to potrzebne. Charpentier, zapewniam, też wie. Krantz – obcokrajowiec, były poeta, który tak skończył – to może być dla ciebie coś. Następnego kroku trochę się boję. Powiązania Krantza z Invisible. Ta legenda może ci być znana, z wielu różnych źródeł. Tobie bardziej niż komuś innemu. Fora, na których piszą o tobie, to jeden poziom. Twój kumpel i wyznawca, Gustav Givre, który poległ, upubliczniając jej część – drugi. W końcu ja –

menedżer dbający o twoje interesy. Z obowiązku niejako śledzący takie sprawy. Posłuszny sprawozdawca. Solidny, płatny donosiciel.

– Dominique, mówisz jak pani ze szkoły. Proste rzeczy.

– Bertrand, skąd niby wiesz, jak wygląda szkoła? Uważaj.

– Bo to, co mówisz, wiadomo przecież, ale – te same słowa powiem, jak ty – skąd ja niby wiem, że Charpentier ma coś wspólnego z Krantzem?

– Przygotujemy ci podstawę. Dialog na forum, na którym mówią też o tobie. Będziesz miał wydruk z internetu. Trafiłeś na niego zwyczajnie. Po prostu rozmowę o nich razem, łączącą te dwa nazwiska. Charpentiera i Krantza. Coś – bla, bla, ani za głupie, ani za mądre. O przyjaźni, może o pomocy, jeszcze nie wiem. Dalekie od sugestii, że Krantz pisze dla Charpentiera. Nie w tę stronę. Rozmowa po kilku minutach zniknie, żeby nie tworzyć fermentu wokół tych spraw. Będzie żyła w sieci przez moment.

– Kto: my? Kto: przygotujemy?

– Ja i Tomek. O ile w ogóle komuś ufasz, to nam. Pamiętaj.

Bertrand zagryzł róg koca z kaszmiru, demonstracyjnie tłumiąc śmiech.

– Biedny, biedny Tomek. Z dziurą w udzie. Pierwszy przez pole minowe. Dzielny człowiek. Jak wtedy w metrze też, ty go wysłałaś. Dzielny, biedny człowiek.

– Teraz on śpi. I jak się zgodzisz, Sandra. Sandra to informatyk, przyda się, żeby to zgrać technicznie. Usunąć i w ogóle. Nie będzie znać ciebie, twoich namiarów, nie będzie chciała cię spotkać; możesz zapomnieć.

– Dobrze, przygotujcie. Zobaczę. Najpierw sam Charpentier, potem zdecyduję. Fajną zabawę macie.

– Dziękuję, Bertrand.

Dominique miała jeszcze coś powiedzieć, coś konkretnego, ważnego i oczywistego. Jednak zapomniała, co. Ten jeden cienki joint działał dziś na nią niepokojąco mocno. Pewnie to wpływ otoczenia. Przez to, że pod sufitem był tylko mały świetlik, dym unosił się wolno. Pokój, który był kiedyś fragmentem strychu, prawie pozbawiony sprzętów, kojarzył jej się mgliście ze średniowieczną izbą do spania, bogatą, ale prymitywną. Drewno i mnóstwo tkanin. Niskie, miękkie posłania, na których można siedzieć albo leżeć, niesymetryczne, o zatartych kształtach. Półmrok. Miejsce, w którym można tylko zniknąć. A on...

– Bertrand, czy możesz na Charpentiera coś zrobić ze swoim wyglądem? Rozumiesz, design? Żebyś był trochę, trochę bardziej stylowy? Już ci opowiadałam, jak to działa. Zwłaszcza na takich, jak on.

– Ale ty głupie, głupie rzeczy mówisz, Dominique. Takie głupie, że ja nie mogę.

Nie, to nie było to. Dopiero teraz sobie przypomniała:

– Jeszcze tylko jedno. Co się nagle stało z twoim francuskim? Zrób coś.

– Dominique, jeśli zechcę, to się zmieni. Dziwnie dziś wracam, powoli. Zobaczysz zaraz.

– Przy mnie prawie nigdy do czegoś takiego nie dopuszczałeś. Nie jestem pewna, jak to rozumieć. I jak rozumieć to, co mówisz. Trochę się boję. – Zaskoczona swoim ostatnim zdaniem zarzuciła torebkę na ramię. Ruchem, który miał jej dodać pewności siebie, rozburzyła włosy. Pokój tracił proporcje, czuła, że musi już wyjść. Bertrand nie podniósł się, żeby ją odprowadzić. Patrzył.

– Idę.

Zrobiła dwa niepewne kroki w stronę drzwi.

– Dominique.

– Tak?

– Mam jeszcze jeden warunek.

– Tak?

– Musisz tu być, żebym ciebie malował. Teraz, przez pierwszych kilka godzin. Tak samo jak kiedyś.

Wyczuwała to. Stąd to dziwne rozchwianie, rozkojarzenie, podświadoma zgoda na stan, w którym nie można trzeźwo myśleć.

– Bertrand, ale ten jeden obraz... Nazwali go *Katedra*.

– Wiem. Wiem, że nie możesz go rozgryźć, że to cię peszy. Ale znów ty wiesz i ja wiem, że jest w nim cząstka ciebie. Nie musisz rozumieć, nikt inny nie musi ani widzieć, ani wiedzieć. Ważne, że jest.

Dominique podeszła powoli do drzwi wtopionych w obelkowanie ściany.

Bertrand otworzył je przed nią i niezgrabnie, bez wprawy przepuścił ją przodem.

Weszli do jednej z jego pracowni, tej dziwnej, nietypowej, ciemnej, której nikt by pracownią nie nazwał. Kiedy Dominique zobaczyła to miejsce po raz pierwszy, pomyślała, że leczenie Bertranda to z jego strony gra, w której partnerzy czy też przeciwnicy nigdy nie będą mieli równych szans. Nigdy nie poznają do końca wprowadzanych przez niego zasad. Niszcząc przyjazne, drewniane ciepło strychu, odtworzył tutaj, tak wiernie, jak mógł, wnętrze swojej dawnej nory w tunelach. Tym razem Dominique już o tym nie myślała.

Bertrand powoli, bardzo powoli rozpałał kolejne świece, osadzone spływającym woskiem na zwykłych ceglach.

Dominique powoli, bardzo powoli rozpiniała kolejne zapięcia, zsuwając z siebie wszystko, co mogło ją zasłonić.

Chwiejny blask świec wydobywał z mroku to, co tak bardzo chciała znów zobaczyć – rozsypane na szarym tynku ścian, chaotyczne, gubiące wątek, splątane malowidła, na które nie umiała patrzeć z dystansem, bez żadnych uczuć. Ostatnio rozpoznała w nich, nie bez trudu, pierwsze fragmenty przyszłych obrazów Bertranda, czasem w wielu wariantach, rozwiniętych w zaskakujący dla niej sposób. Ważnych obrazów, o których powiedział jej kiedyś górnolotnie, że je kocha. Tych, których tak naprawdę nigdy nie sprzedał.

Gdzieś tam jest to, z czego na płótnie powstała później *Katedra*.

– No co jest, przecież to powinno być łatwe.

Siedzieli w trójkę przy kuchennym stole, każde nad swoim laptopem. Szukali w internecie miejsca, w które można wpisać dialog łączący Krantza z Charpentierem. Szło im tak kiepsko, jakby żadne z nich nie miało o niczym takim pojęcia.

– Bo o Bertrandzie piszą już inaczej. No popatrz, co mi podsuwacie, same analizy, głupie zresztą. Albo o obrazach, albo pseudopsychiatryczne. Wszystko fachowe niby. Nic plotkarskiego. Nigdzie mi tu nie pasuje Charpentier. Ani Krantz. Nie widzę przejścia. – Dominique zamknęła klapę laptopa. Po chwili otworzyła go znowu.

– Ciągłe się upierasz, że początek musi być prawdziwy?

O Bertrandzie?

– Tak. Jakby chciał sprawdzić.

– Kto?

– Charpentier.

– A to, co znalazła Sandra? Pytanie, czy to prawda, że można tanio kupić jego szkice? To jest forum studenckie.

– Nie.

– *Merde*, Dominique, weź się w garść. Nam nie idzie, ale ty...

– Przepraszam, już. Zrób mi kawy. Pozowałam w nocy.

– O.

– Ja zrobię, dla wszystkich. – Sandra od dłuższej chwili obserwowała Dominique, niepokojąco inną niż zwykle. Wstała, żeby to przerwać. Ona też nie mogła się skoncentrować. Była zadowolona, że uznali jej francuski za zbyt grzeczny, szkolny. Nie będzie musiała pisać. Była odpowiedzialna tylko za to, żeby spreparowany wątek w odpowiednim czasie, w odpowiedni sposób zniknął. Zorientowała się już mniej więcej, jak można to zrobić w tych miejscach, które oni w końcu mogą wybrać.

Tomek walczył dalej.

– A to twoje forum, zahasłowane? Sztuka miasta? Na którym znalazłaś całą historię z Invisible, happeningiem, spekulacje, kto to? Tam na pewno jest o Bertrandzie.

– Nie jest moje. Cały ten wątek z Invisible ktoś usunął bez śladu. O Bertrandzie czytam od piętnastu minut. Nie widzę przejścia.

Tomek splótł dłonie na karku akurat w tym momencie, kiedy Sandra podawała mu kawę.

– To wybierz dowolny komentarz, a ja ci to przejście zrobię.

Musiał zmienić pozycję, bo zabolalo go udo. Syknął przy tym cicho.

– No to masz, zobacz. Tutaj rozmawiają tacy, którzy zapuszczają się w tunele i kanały, żeby szukać drobnych graffiti Bertranda. Dla sportu. Jak coś znajdą, głównie podróbki, robią zdjęcia i tak dalej. Wymieniają się opisami tras, wskazówkami, gdzie szukać. Jest nawet jeden taki, co naprawdę znalazł. Małą rzecz, ale prawdziwą. Opisuje, gdzie.

– Dobra, to jemu odpowiem. Jesteś pewna, że mam potem sam sobie nie odpisać? Na pewno ty chcesz?

– Tak. Musi być całkiem inny styl, wszystko. I pamiętaj, że tego slangu nie znasz.

– Nie szkodzi, nie muszę być jednym z nich. Sandra, jak tam jest z usunięciem?

Sandra kończyła pisać coś na kartce.

– Dobrze. Użyj niektórych z tych słów. Im więcej, tym lepiej. W odpowiedzi też muszą być.

Tomek zmierzwił włosy, przeczytał ze dwa razy krótki wpis człowieka o złowrogim nicku, potem notatkę Sandry. Uśmiechnął się, ale do komputera, nie do żadnej z nich. Pisał dość szybko, swobodnie, tak jakby naprawdę spontanicznie – z nudów czy z samotności – próbował nawiązać z kimś rozmowę pozbawioną większego znaczenia. Kiedy skończył, pokazał laptop Dominique. Sandra wstała jeszcze zanim zaczął i odsunęła się na bok. Nie patrzyła im na ręce ani w ekran. Może pomyślała, że to takt i delikatność. Może odczytują to, co okazywała cały czas, czasem subtelnie, czasem nie: to już nie jej projekt. Pomaga, bo tego od niej oczekują; robi to dobrze, bo już tak ma. Jednak w sens tej zabawy

nie wierzy. Najbardziej prawdopodobne, że zajęci sobą nic nie zauważą.

Dominique tymczasem przeczytała komentarz Tomka. Trudno powiedzieć, czy jej się spodobał. Nie okazała ani dezaprobaty, ani zadowolenia. Kiwnęła tylko głową.

– Wysyłaj.

Teraz ona zaczęła pisać. Z większym namysłem niż Tomek, skreślając coś od czasu do czasu, podgryzając kosmyk włosów. Ciekawe, czy tę różnicę będzie widać w tekście. Sandra zaczęła myć popielniczkę, żeby opanować irytującą chęć odczytania kolejnych zdań z ruchu smukłych palców, tańczących po klawiaturze w nierównym, baletowym rytmie. Umiałaby to zrobić bez trudu.

Tomek też nie przeszkadzał. Zszywał czarną nitką dziurę w starych spodniach.

Dominique wcisnęła Enter, nie pytając nikogo o zdanie. To dobrze, mija jej dziwna niepewność.

– Zrobione. Niezbyt dobrze, niezbyt źle, wystarczy. Sandra, zobacz.

Szacun, Cyjanek. To, co znalazłeś, podobno jest prawdziwe. Nie mogę powiedzieć, skąd wiem, ale wiem ©. Mam do ciebie pytanie: dotarłeś może do miejsca, gdzie mieszkał ten facet? Nie natknąłeś się gdzieś tam na człowieka, co się nazywa Krantz?

Nie piszę, kto to, bo albo wiesz, albo i tak nie załapiesz, czy to był on. Rozmawialiście o nim na tym forum. Pytam, bo czytałem o nim nie tylko tu. Znam kogoś, kto go znał przed jego zniknięciem, zanim zwariował (Krantz). Mieli nawet razem pracować. I ten ktoś wie, że ten Krantz gdzieś tam właśnie w tunelach kończy się w nędzy, tak mówią. On by

mógł mu pomóc, gdyby coś wiedział. Ale chyba nie wie nawet, że są takie fora.

To jakby co, napisz tutaj, dam mu hasło to się umówicie na priv.

Albo podaj swój adres.

~kaczordonald 2009-07-15 10:54:33

Kaczor, masz pełno błędnych informacji. Po pierwsze, miejsce, w którym mieszkał „ten facet”, jest od dawna zamknięte i zabezpieczone tak, że nie można tam wejść. Po drugie, Krantz, ten biedny człowiek, z którego nieszczęścia zrobili tutaj sensację, zmyślając niestworzone rzeczy, znalazł już opiekę. Nie pisz „zwariował” o kimś, kto żyje w chronicznej depresji. Ja wiem, co to znaczy, mam nadzieję, że Tobie to nie grozi. Zaopiekował się nim jego przyjaciel z dawnych lat, aktor i pisarz, Jean Charpentier. Jeżeli twój znajomy rzeczywiście chce pomóc, to podaj jego namiary. Napiszę mu, co sędzę o przypadku Krantza.

A jeżeli nie, to zostawcie go już w spokoju. Moje zainteresowanie nim i Bertrandem Trou jest uzasadnione, bo studiuje psychiatrię i zbieram przykłady do eseju o podobnych przypadkach. Ale to, że ty, kaczordonald, podajesz tutaj miejsce, gdzie on podobno bywa, tak jakbyś dawał wszystkim jego adres, to wygląda jak jakieś polowanie na człowieka, choć może masz dobre intencje.

~tarnina 2009-07-15 11:05:25

– Co o tym myślisz?

– Da się usunąć.

Tomek, rozbawiony odpowiedzią, odgryzł resztkę nitki zwisającej z jego dzinsów.

od: dominiquedelacnoir@gmail.com

do: bertrandf9vtmet@noos.fr

data: 15 lipca 2009 11:09

Bertrand, zwróć uwagę, ktoś o nicku cyjanek odnalazł jedną twoją rzecz. Nie wiemy, kim on jest.

DdL.

Dominique wkleiła do tej wiadomości cały wątek. Komentarz o graffiti znalazł się pomiędzy czterema innymi wpisami. Wysłała mu to, a potem wydrukowała w trzech egzemplarzach stosowną stronę z forum.

– Już mam wszystko, możesz skasować.

Sandrze zajęło to około trzydziestu sekund.

– Do pół godziny wasze komentarze powinny zniknąć.

Rozbawił ją brak pytań, dyskrecja wobec jej hakerskich poczynań, zaprawiona mieszanką szacunku i wątpliwości. Postanowiła na razie niczego nie tłumaczyć.

– Zaparzę następną kawę.

– Zjedzmy coś.

Croissanty były jeszcze ciepłe, a kawa mocno pachniała. To mógł być całkiem miły kwadrans. Sandra żałowała przez moment, że narzuciła dystans, który teraz trudno jej było złamać. Jednak nie ona jedna była źródłem napięcia. Dominique sprawiała wrażenie nieobecnej myślami, co jakiś czas sprawdzała tylko nerwowo, czy na forum nie pojawiła się odpowiedź na jej wpis. Tomek uspokajał ją nieco protekcyjnym tonem, słusznie, ale zupełnie niepotrzebnie.

– O tej porze nikogo tam nie ma. Ludzie dopiero wstają. Specjalnie zaczęliśmy tak wcześnie.

Nie wyczuwał, że budzi irytację. Widocznie bolało go udo. Uśmiechał się rzadziej niż zwykle.

Po dwudziestu minutach Sandra uznała, że już czas. Może to ich rozrusza. Odświeżyła stronę.

~kaczordonald 2009-07-15 10:54:33 komentarz usunięty z powodu naruszenia zasad regulaminu.

~tarnina 2009-07-15 11:05:25 komentarz usunięty z powodu naruszenia zasad regulaminu.

– Sandra, świetnie! Lepiej tego nie mogłaś zrobić! Nie ty to nawet wykreśliłaś, tylko admin. Tak? Bez żadnych hakerskich sztuczek. Zgłosiłaś tylko złamanie zasad. Zapis czysty jak łąza. Dowód, że to tu było. Nikt się do niczego nie może przyczepić. Choćby miał do dyspozycji kogoś takiego, jak Caillou. Prawda?

Tomek promieniał. Jak łatwo go zadowolić. Kto ostatnio tak zabawnie, przesadnie był z niej dumny? Oskar – nie, w życiu. Ojciec? Tak, ojciec, ale nie jej. Ojciec Janusza, na wieść, że znalazła pracę w Szwecji. Lata temu. To, że go sobie teraz przypomniała, stłumiło przyjemność wywołaną entuzjazmem Tomka.

Dominique chciała wiedzieć więcej.

– Sandra, ale to jest przecież bardzo liberalne forum. Za bardzo nawet. *Zgłoś naruszenie...* tak, można to kliknąć, jak wszędzie. Ale myślałam, że to martwy schemat. Że żaden regulamin tu nie działa.

– Masz rację, to bardzo liberalne forum. Nikt by stąd nie wywalił niczyjej wypowiedzi za wulgaryzmy, za obrażanie uczuć takich czy innych, za obrażanie siebie nawzajem. Jednak forum ma swój regulamin, dość specyficzny. Ci, którzy tutaj piszą, w realnym

świecie, uprawiając swoje hobby, poruszają się na granicy prawa, a czasem je łamią. Albo sprawiają wrażenie, że tak jest. Zależy im na otoczce tajemnicy, większej ochronie anonimowości niż gdzie indziej. Przynajmniej tak myślał ktoś, kto pisał regulamin. Punkt trzeci zakazuje podawania na forum jakichkolwiek informacji, które pomogłyby zidentyfikować jego uczestników w realnym świecie. Nazwisk, namiarów i tak dalej. Ponieważ nie wiadomo, kim są uczestnicy – w praktyce znaczy to: żadnych takich informacji o osobach, które są związane z tym środowiskiem. Punkt drugi określa zasady przekazywania hasła.

– Ale to bzdura. Ciągłe ktoś to łamie. Mogę ci znaleźć...

– Tak, bo niektórzy olewają całą tę otoczkę. Gdyby admin chciał wywalać wszystko, co narusza regulamin, miałby problem. Usuwa wypowiedź tylko wtedy, gdy ktoś zgłosi naruszenie zasad. Powinien wcześniej sprawdzać, czy zgłoszenie nie jest bezpodstawne. Od kiedy forum się rozrosło, robi to za niego prosty program. Odbiera zgłoszenie, sprawdza wskazany tekst, szukając słów-kluczy, i jeżeli je znajduje, kasuje komentarz. Admin-człowiek czyta to oczywiście co jakiś czas, ingeruje, jeżeli pojawią się poważniejsze problemy. Ten system widać, jak się w to wczytasz.

– A to, że ktoś zgłosił właśnie te dwa, nie jest podejrzane?

– Nie jest, ale jak chcesz.

Sandra pisała, nie patrząc na klawiaturę, tylko na Dominique.

Wkurwiają mnie ci wszyscy nowi.

~zmieniamsobienicka 2009-07-15 11:34:05

– Masz tego, kto chciał, żeby was wywalić. Może być?

– Jasne.

Skąd nagle to badawcze, zaintrygowane spojrzenie spod jasnych rzęs, nietkniętych dzisiaj makijażem? Kąciki ust, drżące w ukrytym uśmiechu – albo inaczej, drżące tak, żeby ten uśmiech, pozornie skrywany, zdradzić? A zresztą, co za różnica. Sandra uciekła przed wzrokiem Dominique. Zamknęła laptop. Odpowiadała zbyt sztywno, niezręcznie, na długie, miłe zdania Tomka. Opanowała chęć napięcia, a potem rozluźnienia mięśni w całym ciele.

Wykorzystała najprostszy pretekst, żeby wyjść z tej kuchni.

Otwierając drzwi do swojego pokoju, usłyszała jeszcze:

– Teraz wszystko zależy od Bertranda.

Wszystko... Lewa dłoń Sandry, oparta o framugę, powoli zjeżdżała coraz niżej, aż palce zbieleły, a nadgarstek wygiął się pod nienaturalnie ostrym kątem. Po tej bolesnej gimnastyce powędrowała spokojnie w górę, żeby strzepnąć z rękawa kilka słodkich okruchów.

Czarna torebka na długim pasku, z półkolistą klapą po sam dół, była schowana za zimowymi płaszczami. Ewa nie wyrzucała starych torebek. Przywiązywała się do nich. Kiedy już były zepsute – u tej odpadło zapięcie – ukrywała w nich coś, co było ważne, co kiedyś będzie potrzebne, lecz kiedy, do czego, trudno przewidzieć. W wewnętrznej kieszeni czarnej torebki, za plikiem starych wizytówek schowała notes, który dawniej zawsze miała przy sobie. Po brzegi wypełniony numerami, nazwiskami, zalany czymś, osuszony, wierny, bliski, służył jej przez dwadzieścia lat. Aż do momentu, kiedy kartki zaczęły wypadać, a większość wpisów przestała być potrzebna. Wracała jeszcze do niego co jakiś czas,

bywał pomocny – znał kawał jej życia. Młodość. Dostała go w prezencie, gdy zdała na studia. Okładka w zielonej skórze, w rogach okucia, z przodu maleńkie zapięcie. Wtedy to było coś. Niechętnie się z nim żegnała.

Znalazła teraz to nazwisko. Jak dziwnie działa pamięć, nie do uwierzenia. Patrząc na wpis, widziała siebie przepisującą numer z pudełka po carmenach. Był wtedy pierwszy na stronie, zajął zbyt dużo miejsca. Starła się ładnie pisać. Po jakimś czasie go skreśliła. Kiedy z trudem zmieściła nad nim nowy, żeby pasował do nazwiska, stary notes od dawna spał w torebce bez zapięcia.

Zamknęła drzwi na łańcuch, bo mąż mógł niespodziewanie wrócić.

Zadzwoiła.

– Dzień dobry, mówi Ewa Zalipska. Mam do pani prośbę. Szukam kontaktu z panem Leszkiem... Tak, przepraszam, wiem, że państwo nie mieszkają już razem, słyszałam o rozwodzie. Jednak chciałam prosić o pomoc. To dla mnie bardzo ważna sprawa. Pewnie pani zna jego numer. Nigdzie indziej nie byłam w stanie... Tak. Przepraszam. Ale jak nie jego, to może wspólnych znajomych, kogoś, kto ma kontakt... Na pewno? Może ja zostawię swój, gdyby później... Szkoda.

Co za stanowcza, szybka kobieta. Nie zdążyła jej nawet powiedzieć *Do widzenia*.

W różnych sekretariatach, kadrach, informacjach spławiali ją uprzejmie.

Chwileczkę, niech pani poczeka. Niestety nie, przykro mi. Taki był schemat.

Ten człowiek. Czy byłaby w stanie go rozpoznać, gdyby szedł teraz ulicą? Jak wyglądała jego twarz – wtedy, ostatni raz?

(Czekała na niego w takim miejscu, żeby to było „przypadkiem”. Chciał po „dzień dobry” iść dalej. Zatrzymała go delikatnie. Przeprosiła za ostre słowa, które nie powinny paść. Spytała nieśmiało, czy da jej znać, „o ile sytuacja się zmieni”).

– Może, jeżeli będę mógł. Ale nastaw się, że to będzie długo, naprawdę długo trwać. I bardzo proszę, pamiętaj – nie możesz o to nikogo pytać, prócz mnie. Nikt inny nie może wiedzieć, że wiesz. Tłumaczyłem dlaczego. Nie dzwoń do mnie. Sam cię znajdę.

Nie udawał już wtedy, że nie pamięta, nie mówił „pani”. Jednak był bardziej oficjalny, przez to, że spokojny. Zaufała.)

Twarz. Miała być przecież tylko twarz.

(Szczęka mocno zarysowana, ostre kości policzkowe, wysokie czoło. Brązowe oczy, szerokie brwi. Kolor włosów bez znaczenia – bo czas. Okulary.)

Ewa zamknęła zielony notes. Przetarła ściereczką czarną torebkę. Przewiesiła szary płaszcz. Poszła nastawić obiad – czerwony barszcz.

Rozdział XIV

Carlos nastawił trzy zraszacze. Odebrał jedną dostawę na telefon, zaniósł ciężkie kartony do kuchni. Wymył lusterko samochodu, na które w nocy nasrał jakiś ptak. Sprawdził, czy szyby są czyste. Obszedł dom. Potem usiadł w cieniu płatana, na swojej ulubionej ławce, żeby w spokoju pomyśleć, kto zabił. Obie osoby związane z zamordowanym mogły mieć motyw. Więc pewnie okaże się, że to ktoś trzeci. Pozornie niepowiązane zdarzenia stworzą logiczny ciąg, łańcuch przyczyn i skutków, który prosto do tego człowieka doprowadzi. Im później, tym lepiej. Carlos nigdy nie sprawdzał w internecie, co będzie dalej. Każdego dnia oglądał jeden odcinek. Tylko jeden, żeby było dłużej, choć miał wszystkie. Lubił seriale.

Gdy rozmyślając zapadał w półsen, przypomniał mu się ten człowiek.

Carlos był tu portierem. Portierem, ogrodnikiem, posłańcem, czasem nawet kierowcą, jeśli było trzeba. Ale tę pierwszą funkcję cenił sobie najbardziej. Do tego się najął. Trzeba dbać o prywatność szefa. Od czasu, kiedy szef stał się osobą publiczną, jest to zadanie delikatne.

Wstał, wyszedł z miłego, przyjaznego cienia, poszedł w stronę podjazdu, klnąc na ostre słońce i zmienną pogodę. Rano było chłodno.

Człowiek, który siedział przy drodze dojazdowej, tuż przed bramą, też się na to poranne zachmurzenie nabrał. Musiało mu być teraz strasznie gorąco, a jednak nadal tkwił na rozgrzanej ławce. Już prawie od godziny. Patrzył wprost na dom, wcale się z tym nie kryjąc. Gapił się też na Carlosa, kiedy ten udawał, że sprawdza zraszacz. Zbyt szybko, niezręcznie odwrócił głowę, kiedy ich spojrzenia mogły się spotkać.

Nic już nie wskazywało na to, że przysiadł tu przypadkiem.

Kim mógł być? Na pewno nie żadnym *paparazzi*. Dotychczas ani jeden się nie zjawił, chociaż szef uprzedzał. Ale to nie mógł być ten pierwszy; po prostu na takiego nie wyglądał. Niski, łysawy, trochę zaokrąglony, na nosie grube szkła w niemodnej oprawie. Włosy nieokreślonego koloru, przycięte króciutko. Rumiany, gładko ogolony. Na pierwszy rzut oka – księgowy. Może ktoś ze skarbowki. Ale w tym też coś nie grało. Chyba przez jego strój, pozornie właśnie urzędniczy, ale jakiś taki nedorobiony. Sweter w romby, szaroczerwone zresztą, a spod dekoltu w serek wyłazi kołnierzyk białej koszulki polo. Szare spodnie z mankietami, zdecydowanie zbyt szerokie na ten sezon. A na stopach, bosych stopach, zamiast urzędniczych butów – sandały. Czy gość nasłany przez skarbowkę włożyłby sandały do roboty? Kiedy Carlos zaplątał się w tych niepotrzebnych pytaniach, facet pogrzebał w swojej teczce, wyjął z niej coś i nagle – pstryk – zrobił zdjęcie, potem drugie, zanim on zdążył zareagować. Zdjęcie domu szefa. Tak bezczelnie, że to już przestało być zabawne. Trzeba było coś zrobić. Wybadać, co to za dupek, potem spławić. Tylko z kulturą, koniecznie. Jak portier, a nie byk z ochrony.

Carlos z uprzejmym uśmiechem podszedł do intruza.

– Dzień dobry. Bardzo dzisiaj gorąco, prawda? Przepraszam, że się narzucam, ale chciałbym pana o czymś poinformować. Nie wie pan pewnie, że to teren prywatny.

– Ach, teren prywatny! Że też o tym nie pomyślałem! Tam, za tą kutą bramą zaczyna się przecież teren prywatny. Co prawda, nic nie stoi na przeszkodzie, przynajmniej formalnie, żebym sobie tutaj, przed tą bramą siedział, jednak właściciel mógłby czuć dyskomfort z tego powodu. Jeżeli uczulił pana na takie sytuacje – tak, czułby z pewnością. To ja już idę. – Poderwał się z ławki, popatrzył na Carlosa z uśmiechem, przepaszającym albo ironicznym, kto go tam wie. Wziął swoją teczkę. Zbyt szybko, stanowczo zbyt szybko się zbierał. *Wybadać...*

– A co pana tutaj zainteresowało?

– To bez znaczenia, w tej chwili już naprawdę bez znaczenia. Po pana interwencji zmieniłem plan. Szkoda, ale rozumiem. Miłego dnia. Jeszcze tylko... może pan chwilę potrzymać?

Podał Carlosowi swoją teczkę. Znów, nie wiadomo skąd, w jego rękach znalazł się aparat. Migawka trzasnęła, zanim Carlos zdążył zaprotestować. Parking, samochód szefa, samochód gości szefa, rejestracje – to wszystko musiało być w kadrze. Chrzanić kulturę, będą z tego kłopoty, trzeba dzwonić po Zeno albo on sam... Prostym, wyćwiczonym chwytem unieruchomił nadgarstek bosego. Ale aparat tymczasem zniknął. Nie zniknął całkiem, tylko znalazł się pod ławką. Dłoń faceta była miękka, bezwładna, pokrzywdzona, jak jego głos.

– Przepraszam, o co panu chodzi, upuścił pan moją teczkę na brudny asfalt. O te zdjęcia? Pan przesadza. Przecież każdy może robić zdjęcia. Jeszcze zabierze mi pan kartę z aparatu, jak w jakimś

filmie kryminalnym. Zresztą niech pan ją sobie weźmie, proszę bardzo. Ktoś patrzy na nas przez okno, może się pan wykazać.

Carlos puścił nieznanego, gotowy w każdej chwili znów go unieruchomić. Spojrzał odruchowo w stronę domu, prawie jednocześnie zdając sobie sprawę, że to podstęp. Jednak tamten nie wykorzystał sytuacji w żaden sposób. Był pewnie zbyt przestraszony. Przestraszony? Na jego czole i łysinie, mimo upału, nie było ani jednej kropli potu. Wolne już ręce nie drżały, jak drżą u kogoś, kto miał przed chwilą do czynienia z większą siłą niż jego własna. Drżał mu tylko głos:

– To mogę w końcu stąd iść? To jakieś głupie nieporozumienie, pan jest zbyt nerwowy. Tu ma pan moją wizytówkę, dla pańskiego szefa. Karty to jednak panu nie dam, dla zasady. Są granice. Każdy może robić zdjęcia.

– Jestem zmuszony poprosić, żeby pan chwilę poczekał. Wyjaśnię sprawę z właścicielem domu, to jego decyzja. Za chwilę wrócę. Potowarzyszy panu mój kolega.

Carlos już wezwał Zeno krótkim dzwonkiem telefonu. Nieznajomy nie spojrzał nawet na masywnego ochroniarza w letnim garniturze. Nie starał się nawet podsłuchać, kiedy zamieniali na boku kilka zdań. Obmacywał troskliwie prawy nadgarstek, chociaż nic go tam przecież nie mogło boleć. Siedział znów na rozgrzanej ławce, w ostrych promieniach słońca. Jak on może wytrzymać w tym swetrze? Przecież mógłby go zdjąć. Jakiś wariat.

Ale to jego nazwisko... Bertrand Trou. Carlos już gdzieś je słyszał. Czytał. Ale gdzie? Na liście gości szefa, nie daj Bóg? Na wizytówce nie było nic poza nazwiskiem. Po co tamtemu w ogóle taka wizytówka? Mimo tego, że Carlos zrobił wszystko tak, jak trzeba,

mimo tego, że przecież sam niczego nie zaniedbał, kiedy zatrzymał się przed drzwiami pana Charpentiera, instynkt powiedział mu, że nie jest dobrze. Że coś przegapił. Co – tego nie wiedział.

– Monsieur Bertrand, nie zdaje pan sobie sprawy, jak mi głupio. Carlos, ten chłopak... on jest czasem po prostu histeryczny. Zatrudniam go ze względu na rodziców, stare zobowiązania. Oczywiście może pan tu fotografować, co tylko pan chce. Ja też robię zdjęcia.

– Nic, było, minęło... Trochę mnie przestraszył. Ale cieszę się, że to prawda, co słyszałem, że właśnie pan tu mieszka. Wygląda pan zupełnie jak na zdjęciach. Jak w internecie, z tym dyplomem. Od razu poznałem. Nie zabierze mi pan mojej karty?

– Pan sobie ze mnie żartuje.

– Może tak trochę.

Charpentier roześmiał się zbyt głośno, jak stremowany aktor. Stał przed tym obcym, rozpartym na ławce, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma się dosiąść, czy odejść.

– Pan też wygląda całkiem tak jak na okładce tego pisma... już nie pamiętam, tego, co opublikowało jedyny wywiad z panem. Nawet strój poznaję.

Buzi, buzi... jak długo jeszcze będą się tak podlizywać? Rzygać się chce. Zeno słuchał tego wszystkiego dyskretnie oddalony, ciesząc się jednocześnie, że Carlos dostał w dupę. Przynajmniej już się nie będzie tak nadymał. Portier – dobre sobie. On sam odsunął się o kilka kroków, jak tylko zobaczył, że z domu wybiega szef – prawie wybiega, takie długie kroki stawiał – w swojej rozwianej czarnej

koszuli, z miną, jakby do niego zajechał Tony Soprano. Ciekawe, po co im to.

– A jednak, panie Charpentier, ja chciałbym wytłumaczyć, bo może chłopak słusznie się zdenerwował, to mogło dziwnie wyglądać... ja naprawdę nie chciałem nikogo niepokoić. Zwykle nikomu nie mówię, bo nigdy nie wiadomo, czy uda się skończyć, ale w takiej sytuacji powiem. Chciałem namalować ten dom. Pański dom.

Charpentier zarumienił się na twarzy jak dziewczyna, której ktoś nagle szepnął, że chciałby ją mieć.

– Ta czarna, prosta bryła wśród zieleni ma w sobie coś, co mnie przyciąga. Siłę i dumę bunkra.

– Bunkra?

– Tak, bunkra. Jeszcze na tle tych ozdobnych kamienic Neuilly. Po to właśnie robiłem zdjęcia, żeby sobie wszystko jeszcze raz rozważyć. Ale ja nigdy nie maluję ze zdjęć. Przepraszam, że nie pomyślałem o pana prywatności.

– Monsieur Bertrand, niech pan nie rezygnuje. Jaka prywatność, wcale mi na niej nie zależy. Jeżeli czegoś by pan potrzebował... A może da się pan zaprosić na drinka? Jest tak gorąco, że dobrze nam zrobi orzeźwiający panaché.

– Nie mogę, jestem już spóźniony, spotkania... Ale skoro mnie pan nie wyrzucił, może wieczorem tu wrócę, na tę ławeczkę. Ze sprzętem. Jeśli nie będę przeszkadzał. Może. Pomyślę nad tym.

– Serdecznie zapraszam.

Dalej w tym stylu. Uściski dłoni, uśmiechnięte gęby, świetna komitywa. Zeno na wszelki wypadek zszedł szefowi z oczu, zanim malarz zniknął za zakrętem. Takie układy to już nie jego sprawa.

Telefon oderwał ją od filmu o Afryce.

– Dzień dobry, czy to mieszkanie pana Zalipskiego?

– Tak, Ewa Zalipska.

– Proszę pani, ja dzwonię z Okęcia, mam państwa numer, bo on jest wypisany na takich różnych kartkach, co pan Zalipski tu rozkleja i rozdaje, i tak pomyślałam, że może pani by mogła po męża przyjechać, uspokoić, to znaczy, pan Zalipski jest spokojny, ale się niezbyt prawidłowo zachowuje, teraz pani nie mogę powiedzieć dokładniej. Ochrona już tu wyczerpała różne perswazje, ja się obawiam, że jeszcze trochę, i pan Zalipski znowu będzie miał problem z policją. Może pani zdąży go zabrać. Jak pani przyjedzie, proszę podejść pod informację transferową, terminal A, na przylotach. Ja tam jestem, to powiem, gdzie go szukać.

Ewa wzięła taksówkę. Całe szczęście, że miała sto złotych w rezerwie.

Dał się wyciągnąć bez oporów. *Na dziś wystarczy. Już się zbierałem.* Był dość zadowolony z siebie.

Wybrała bardzo spokojny ton i odpowiedni czas. Pod koniec kolacji.

– Pan Piotr, twój doktor, chciałby się z tobą zobaczyć. Dawno u niego nie byłeś. Umówiłam wizytę na jutro, na szesnastą.

– To odwołaj.

– Wolisz w innym terminie?

– Wcale nie wolę.

– Nie sądzisz, że go potrzebujesz?

– Żeby znów mówił, co ja mam myśleć? Tłumaczył mi, co myślę? O Januszu? W co wierzę, a w co nie? Ja wiem, w co ja nie wierzę.

Nie wierzę, że zabił się sam. Jeśli każecie mi przyjąć założenie: skoro nie żyje, to zabił się sam – dla mnie to znaczy: żyje. Bo dla mnie nie zabił się sam. Logiczne?

– Tak.

Popatrzył na nią z uwagą, tak jakby dostrzegł coś ciekawego na jej twarzy. Na przykład znamię albo bliznę.

Ewa wyszła na spacer.

Dominique, cierpliwości, to musi być tak jak w romansach. Jak w starych romansach. Najpierw dam się zaprosić na małego drinka, a potem na kolację. W międzyczasie będzie może jakiś spacer po tym paskudnym ogrodzie. Dopiero przy męskim wieczorze z czymś mocniejszym spytam, czy to prawda, że on zna Krantza. Jak już będzie się ze mną czuł pewnie. To trochę potrwa.

Dominique powtórzyła im to słowo w słowo, dodając, że Bertrand chyba dobrze się bawi. Teraz trzeba już było tylko czekać, a w tym czekaniu jakoś wszystko się rozlazło. Tomek tak to odbierał. Noga dokuczała mu jeszcze, więc większość czasu spędzał w domu. Dominique wpadała tylko na moment, zajęta swoimi sprawami, o które nie wypadało pytać. Sandra znikwała na całe dni, czasem nawet noce, wracała ostatnim albo pierwszym metrem. Bały się o nią, gdyby nie to, że w miarę regularnie wysyłała esemesy. Co robiła? Cholera wie. Nagle przestała szukać Marty, dziwnie uspokojona jedynym *prawdziwym*, niezaprogramowanym, ale kompletnie nieciekawym mailem od Rymanowskiej do męża. Tak jakby już wiedziała, o co chodzi z tym zniknięciem. Bąknęła kiedyś nawet, że ma swoje domysły, ale dopóki ich nie potwierdzi, to nie

powie. I że Marta za jakiś czas musi się odnaleźć, bo ma w Polsce spotkanie z prawnikiem. Dziedziczy jakiś spadek. Czy się na nim pojawi, Sandra będzie wiedzieć. Skąd – tego już nie wyjaśniła. Hakerskie sztuczki.

Tomek dał sobie narzucić to podejście. Jeżeli nic Marcie nie jest – a to, w miarę możliwości, sprawdzał Jean-Paul – niech sobie znika. Sprawa wyjaśni się potem.

Nieznany prześladowca Sandry też chyba gdzieś przepadł. Bo gdyby się odezwał, powiedziałaaby coś przecież, mimo wszystko. To nie miało być dla Tomka tajemnicą.

Gdzie zatem znikąca, wymykając mu się tak zręcznie, że nie mógł jej nawet zrobić kawy czy kolacji? Mówiła, że odwiedza miejsca, które były dla niej kiedyś ważne, włóczy się samotnie po mieście, odpoczywa. Może to prawda.

A jednak coś tu nie grało. Jeżeli rzeczywiście uważała, że kontakt z Krantzem nic im nie da – o ile w ogóle do niego dojdzie – jeżeli rzeczywiście problem Marty się rozwiązał, a z tym drugim, poważniejszym, nic się teraz nie da zrobić, to dlaczego nie wspomniała nawet o powrocie? Jeżeli została ze względu na Tomka, to czemu nie spędza z nim czasu, chociaż trochę? Tak po prostu zrobiła sobie wakacje, korzystając z tego, że ma tutaj darmowy dach nad głową? Jakoś to do niej nie pasowało, chociaż nic w tym złego, niejeden by tak chciał.

Tomek nie zdążył jej dobrze poznać. Już myślał, że jest inaczej, ale się mylił. Czekał na dłuższą rozmowę, która znów ich zbliży. Lubił przecież Sandrę.

Tymczasem nudził się trochę, trochę czytał. Myślał o tym wszystkim, co się zdarzyło jemu, Sandrze, o tym, co mogło się

zdarzyć Hubce i Krantzowi. O śmierci Zalipskiego. Pomysły, które przychodziły mu do głowy, czasami mroczne i zawikłane jak thriller, czasami dla przeciwwagi zwykłe, życiowe, banalne w swej prostocie – były jego tajemnicą. Wstydział się swojej fantazji, bo już raz zbyt daleko go poniosła. Nadal cenił jej możliwości, nie przestał jej ufać, ale wolał się do tego nie przyznawać.

Znowu oglądał zdjęcia. Tylko zdjęcia, bo to, co mógł znaleźć, znalazł już dawno, a teksty pamiętał. Może zbyt często oglądał – pewnie przez to pojawiło się wrażenie, że Krantz mu kogoś przypomina. Kogoś, kogo widywał. A przecież nie mieli skąd się znać.

Kiedy miał dość, dzwonił do Polski, do warsztatu. Rozmawiał z mechanikiem o swoim samochodzie, o oględzinach z PZU, o cenach części. Dobrze było czasem zejść na ziemię.

Chłopca spotkała dzisiaj dziwna historia. Poszedł z Tobbym do ogrodów, żeby szcurek mógł się pobawić w trawie. Taki tłok tam był, tylu ludzi, że trudno było znaleźć trochę miejsca. Znalazło się w końcu, blisko kiosku i chodnika. Usiadł tak, żeby Tobby miał z jego nóg barierkę i mały biegał sobie w kółko, węszył, stawał słupka. Wtedy zatrzymali się przy nich oni. Dwaj panowie, starsi niż rodzice, młodszy od dziadka. Patrzyli na Tobby'ego, nie na chłopca. Jeden spytał, czy może się pobawić. Miał taki sam sweter, jak ma tata. Kucnął obok i na początku to było miłe, że umie dotknąć szczurka. Ale potem ten drugi, co stał dalej, zaczął się śmiać. Nie jak z dowcipu albo do kogoś, tylko inaczej. Patrzył nie tylko na Tobby'ego i tamtego, też gdzieś przed siebie, za ich plecami, a tam

nie było nic śmiesznego. Tylko czerwony, kwitnący kwiat azalii i wielka reklama lodów magnum. Toby był taki mały, kruchy, ufny, ręce tego pierwszego takie duże, a śmiech nad nimi – taki dziwny.

– Chodź, chłopiec się boi.

To pan, co kucał w trawie, tak powiedział, wstając w końcu. Oddał Toby'ego. Poszli razem z tym drugim pod kiosk, kupili kręconego loda.

– Masz, mały, dla ciebie. Pusty wafelek dla szczurka.

Odeszli, rozmawiając sobie, jakby zapomnieli.

Chłopiec podziękował im, jak trzeba, ale później nie umiał zjeść tego loda. Miał gułę w gardle. Toby z wafelkiem nie miał problemu.

Opowiedział to potem mamie, ale nie do końca tak, jak było. Trochę krócej.

– Prawda, że dziwna historia?

– Nie, niezbyt dziwna. Dwaj dziadkowie po parku sobie spacerują, nie mają co robić. Pewnie któremuś przypomniałeś wnuka. Ale nieładnie naciągać obcych na słodycze, nie trzeba tak jakoś patrzeć, pamiętaj.

Wolał zapomnieć.

Dominique ściągnęła go do Aero, jak to ona: *Bądź za pół godziny.* Krótka nagrana wiadomość, bez żadnego: *jeżeli mógłbyś; czekam od-do; oddzwon, jeżeli jesteś zajęty.* Tak jakby z góry zakładała, że Tomek siedzi w domu sam. Że nie odebrał, bo poszedł do toalety. Tak właśnie było, trafiła. Ale mogło być inaczej. Niezależnie od

tego, co myślał o jej stylu (wyczuciu?), bardzo się ucieszył. Coś się wreszcie miało zmienić.

Pierwsza zmiana rzuciła mu się w oczy, zanim jeszcze dotarł do kawiarni. Ulicą, kilka metrów przed nim, szła Sandra w sukience. W szaroniebieskiej jedwabnej kiecce, która pokazywała więcej ciała niż jej zwykły strój. To, że szła w stronę Aero, tak jak on, nie było wcale niespodzianką. Dominique wezwała pewnie ich oboje. Ale sukienka zaskoczyła go bardziej, niż wypadało okazać. Myślał, że Sandra ubiera się tak tylko na bale, szumne przyjęcia, ewentualnie randki. Nie przyspieszał, bo chciał jeszcze przez chwilę popatrzeć.

Przyłapała go na tym Dominique, zbyt spostrzegawcza, kpiąco uśmiechnięta. Tak jakby chodziło tylko o ciało, nie o interpretację. Na szczęście nie skomentowała, była ponad to.

Powitania, szybkie, uśmiechnięte zamówienia, powolne zapalanie papierosów – to wszystko stanowiło nieco sztuczny wstęp do dwóch zdań:

– Wczoraj po raz pierwszy się spotkali: Bertrand i Krantz. Wyobraźcie sobie, w Ogrodach Luksemburskich.

– Nareszcie. Świetnie. W ogrodach? Odbiło im? Ani jeden, ani drugi się nie boi, że go ktoś rozpozna? Że na przykład, jak się ludzie będą gapić na Bertranda...

– Oj, nie przesadzaj. Ten facet po twojej lewej, zobacz, wygląda zupełnie jak Claude Lelouch. I co, będziesz się teraz na niego gapił?

– A to *jest* Claude Lelouch?

Dominique odskłoniła się grzecznie mężczyźnie.

– Nie. To emerytowany krawiec, który miał w pobliżu znany zakład. Bertrand, jak chce, może być mniej podobny do siebie niż ten tu do Leloucha.

Sandra przerwała im spokojnie, mówiąc tak, jakby musiała wyjaśnić coś, co każdy wie:

– Jeżeli ktoś spotyka się z nieznanym, po raz pierwszy, w takim miejscu – jednym z najludniejszych miejsc w mieście – to znaczy, że się go boi. Tego kogoś. Kto wybrał ogrody?

– Nie wiem. Prawie nic nie wiem, taka jest prawda. Usłyszałam od Bertranda, że nie będzie mi się zwierzał, kto komu co powiedział, jak młoda dziewczynka koleżance po randce. I tyle.

– Skąd on wie, co opowiada młoda dziewczynka po randce?

– Asertywny ten wasz Bertrand.

– No. Moje pierwsze spotkanie z nim... opowiem ci w domu. A jak byś go zobaczyła, pomyślałabyś: miły księgowy. – Tomek postanowił być teraz skromny, bo była tu Dominique, która znała każdy szczegół jego podziemnych negocjacji z malarzem. Poza tym należało obgadać nowy etap, kolejne negocjacje, tym razem z Krantzem, człowiekiem o dwuznacznej sławie. Podobnie jak Dominique, Tomek był pewien, że do nich dojdzie. Wierzył w skuteczność Bertranda, który, jak widać, znalazł własną przyjemność w tej grze. Dość łatwo przekonali razem Sandrę, że niebawem dane im będzie Krantza poznać. Po co? Jak to przeprowadzić? Co do tego już nie byli zgodni. Dla Tomka odpowiedź była prosta: doprowadzić do spotkania w czwórkę i wyciągnąć z niego wszystko, co się da. Już pierwszy punkt wywołał protest Sandry.

– Nie rozumiem, po co miałabym mu się pchać przed oczy. Z czym, z jakimi pytaniami? Gdyby chciał ze mną rozmawiać o śmierci Janusza, zrobiłby to piętnaście lat temu. Wystarczyło podejść. Teraz wcale nie wiem, czy mam na to ochotę. Jeżeli jest

coś, co on myśli, że powinnam wiedzieć, proszę bardzo, jestem. Ale wystarczy, że wy mu to powiecie. Czemu zniknął? Jakie ja mam prawo, żeby o to pytać?

Tomek zgodnie ze swoją strategią nie odpowiedział nic. Dolał wszystkim trochę wina, zjadł oliwkę, wrzucił pestkę do popielniczki. Uważał, że Sandra jest ślepa. Albo ślepa, albo chroniona przez jakąś szczelną, przez lata budowaną barierę psychiczną, oddzielającą zdarzenia z przeszłości od jej dzisiejszych problemów. Według jego hipotez rozmowa z Krantzem mogła wyjaśnić wszystko – nie wiadomo od czego począwszy, skończywszy na pigułce gwałtu w tamtym piwie. Sugerował to już kiedyś, teraz milczał.

Dominique opory Sandry bardzo pasowały, chociaż nie podzielała ich w najmniejszym stopniu. Była pewna, że z nią samą Krantz się spotka, dziwnie ufna w to, że za sprawą swej intuicji, uroku i sprytu dowie się wszystkiego. Że usłyszy to przynajmniej między wierszami, jeżeli już nie wprost. Może Tomek myślał o tym zbyt złośliwie, udając tylko, że jej słucha – miał powody. Po pierwsze, Dominique świadomie używała liczby pojedynczej. Uznała, że to jej zadanie, tylko jej, i nie zamierzała tego zmieniać. Wprowadzała ich pokrótce w swój plan, szkicując główne założenia, jak specjalista, który przedstawia szerszemu zespołowi swoją działkę, bez niepotrzebnych szczegółów. A, przepraszam, gdzie w tym wszystkim jego miejsce? Gdzie chęć wykorzystania jego psychologicznej wiedzy, jego doświadczeń? Pytania, prośby o radę? W dodatku Dominique koncentrowała się na tym, co ją samą fascynowało w sprawie Krantza – na tej historii z wierszami, ciągle dla Tomka nie całkiem wiarygodnej. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby się okazało, że jego była żona ma w tym jakiś własny, ciemny interes.

Wprawdzie jej plan zakładał, że dowie się o Krantzu wszystkiego, co możliwe, dla Tomka i dla Sandry, jednak kto ją tam wie. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że zabierze go ze sobą w roli obstawy. Jeżeli tak, będzie umiał to wykorzystać. Jeżeli nie, będzie walczył o swoje. Nie da się spławić. Ale teraz było na to jeszcze za wcześnie.

Zamiast walczyć, postanowił coś zjeść. Siedzieli w Aero już dwie godziny, potrawy przy sąsiednich stolikach wyglądały kusząco. Jeżeli jego karta nie zadziała, zapłaci Dominique.

Twarz Dominique była pełna wściekłości. Nie, nie tylko twarz – wściekłość przeżyła się, uwięziona, w całym jej ciele. Prawą dłońią miażdżyła niedopałek w popielniczce, jakby chciała go wgnieść w szkło. Lewą zburzyła rudo płonące włosy mimowolnym, podświadomym gestem. Szczupłe, odsłonięte obojczyki drżały lekko, usta, nie wiedzieć czemu, stały się czerwieńsze, a oczy wpiły się w niego, wyzywając na pojedynek.

Piękna była wściekłość Dominique.

Bertrand specjalnie umówił się z nią właśnie tutaj, w kawiarni, wśród ludzi, żeby powiedzieć jej to, co miał do powiedzenia, twarzą w twarz. Żeby nie mogła zareagować zbyt gwałtownie. Żeby właśnie taką piękną, tajoną wściekłość zobaczyć. Napawał się nią teraz, dopóki mógł, bo wiedział, że będzie trwała krótko. Że nie przerodzi się w żal czy poczucie krzywdy, bo oboje będą umieli temu zapobiec.

– Ale dlaczego? Dlaczego tak, Bertrand?

– Dominique, nie jestem stręczycielem ani swatką. Nie będę go namawiał do czegoś, czego on nie chce, tylko dlatego, że ty bardzo tego chcesz.

– Obiecałeś.

– Obiecałem, że spróbuję, że zobaczę. Spróbowałem i cieszę się z tego. Ten Krantz to fajny facet. Może trochę, no wiesz, nie tego, ale przecież w każdym coś takiego jest. Dobrze się z nim rozmawia. Rozumiemy się. Nie zamierzam nim manipulować, jak na przykład takim Charpentierem.

– Dobra. A dlaczego on nie chce?

– Skąd mogę wiedzieć? Nie wiem. Może nie lubi kobiet. Może nie lubi ciebie.

– Nie zna mnie.

– No i dobrze. Niech tak zostanie. Dla ciebie lepiej.

– Co masz na myśli?

– Nic.

– Bertrand... – zabrzmiało to niby groźnie. Ale nie było w niej już złości. Spokojnie piła kawę, nad czymś się zastanawiała.

– Dominique, ale ja cię naprawdę dobrze znam, wiesz? Wiedziałem, że się wściekniesz, chciałem zobaczyć. To znaczy, że wiem, że jesteś trochę wredna. Bo wcale nie powinnaś się wściec. Co to ma za znaczenie, że to nie ty? Że nie ty sama się z nim spotkasz? Właściwie, co miałem załatwić, załatwiłem. Łatwo mi poszło, jak on usłyszał, to szybko wiedział, czego chce. Że nie chciał ciebie? Mała sprawa.

Całkiem opanowana, znów kobieca, pewna siebie, uśmiechnęła się do niego nawet.

– I jak to wyglądało?

– Jak się wściekasz? Pięknie.

– Masz rację, Bertrand, nie powinnam. Trzeba było ci od razu podziękować. Dziękuję.

- No, zobaczymy, czy to źle, czy dobrze.
- Czemu źle?
- Nie wiem. Tak sobie mówię. Może dobrze.
- Masz pomysł, czemu wybrał Tomka?
- Skąd ja to mogę wiedzieć? Iść już muszę.

Powtórzył jej jeszcze raz, że Tomek dostanie esemes, gdzie i kiedy ma przyjść, że numer nadawcy będzie zastrzeżony. Zapłacił za swoją kawę i poszedł, myśląc już zupełnie o czym innym.

CZĘŚĆ CZWARTA
POZA KADREM

Rozdział XV

Tymczasem tysiąc sześćset kilometrów dalej, w Warszawie pewien człowiek od rana czuł dyskomfort. Powodem tego dyskomfortu było pewne skojarzenie, pewne niejasne wspomnienie, tym właśnie skojarzeniem wywołane. Skojarzenie załęgło mu się w głowie pod wpływem jednej rozmowy, którą podsłuchał przypadkiem, od niechcienia, nie całkiem świadomie. Otóż spędził cały weekend w Legionowie, nudząc się jak mops, na szkoleniu, obowiązkowym szkoleniu dla policji, na które wysłali wszystkich, od aspiranta w górę, nie ma odpuść. No i na jakiejś przerwie przy papierosie jeden starszy aspirant, otwarty chłopak, opowiadał drugiemu aspirantowi, jakie poczucie bezsensu go czasem ogarnia w tej robocie. Bo, dla przykładu, jest sobie taki wariat, dla niego prawdziwy wrzód na dupie, co upodobał sobie właśnie lotnisko. Patrole spisują go co chwila, tamten chyba chce, żeby go spisywać, a on (aspirant) musi o tym czytać, raporty szczegółowe pisać, procedur przestrzegać, chociaż na dobrą sprawę nic się nie dzieje. Jak tak dalej pójdzie, opisze łązawo tego popaprańca Super Express i Warszawa będzie miała stałego lotniskowego wariata.

Całą przerwę o tej swojej sprawie-niesprawie opowiadał, a on słuchał, siedząc w cieniu, bo nie miał nic lepszego do roboty. Takich raportów jak tamten już dawno nie musiał ani pisać, ani czytać. A potem pojawił się dyskomfort.

Teraz, żeby już sobie dać z tym spokój, sprawdził jedną rzecz, sprawdził drugą. Niewiele mu to dało. Zadzwoił w końcu do odpowiedniej komendy, trochę zły na siebie, że traci czas. Wywołał małe zamieszanie swoim stopniem i nazwiskiem, zanim znaleziono dla niego tego, kogo szukał.

– Proszę mi w trybie pilnym przysłać raport o człowieku, który stwarza problemy na Okęciu, w hali przylotów. O tym, co niby szuka syna, który nie żyje, rozdaje patrolom petycje. Tak, wiem, że właśnie pan się tym zajmuje. Dlatego dzwonię.

Kiedy nadeszła wiadomość, szybko przeleciał wzrokiem tekst, sprawdził PESEL-e.

– Kurwa jasna.

Chwycił za telefon.

– Niech mnie pani połączy z podkomisarzem Andrzejem Hubką. Na moją komórkę. Tak, oddelegowany, za granicą. To co, telefonów nie ma? Nie stać nas na międzynarodowe? Za trudne dla pani, żeby numer znaleźć? Bo w obcym języku zdanie trzeba powiedzieć? – Przerwał rozmowę, żeby już się nie drzeć na biedną kobietę, Bogu ducha winną.

Ale go poniosło.

No bo to przecież, kurwa, niemożliwe.

Tomek właśnie odebrał ten esemes. Esemes, na który czekali razem, cały wieczór, w mieszkaniu rodziców Dominique, oglądając na komputerze Sandry *Sześć stóp pod ziemią*. Przyszedł, jak zapowiedział Bertrand, z zastrzeżonego numeru.

Sięgając po telefon, Tomek przybrał tajemniczy wyraz twarzy – dla żartu, bo sytuacja była nieco teatralna. Zapomniał o tym, gdy przeczytał wiadomość.

– Czy jemu całkiem odpierdoliło? Stara fabryka Renault, pierwsza w nocy. Nie wiadomo, śmiać się czy płakać.

Dominique skrzywiła się dziwnie, jakby poczuła niesmak. Sandra nie zrozumiała.

– O co chodzi?

– Sandra, wyłącz ten film, to ci to pokażę w google earth. Była taka słynna, historyczna fabryka Renault nad Sekwaną, na zachód od Paryża, w Boulogne-Billancourt. Obok miejsca, w którym rzeka przemyka między dwiema wyspami, Ile Saint-Germain i tą następną, Ile Seguin. Podobno gdzieś tam, w Billancourt bracia Renault zbudowali w szopie na narzędzia swój pierwszy samochód, pod koniec dziewiętnastego, może na początku dwudziestego wieku. Powstała fabryka, wokół niej wyrosła dzielnica robotnicza. Potem fabrykę zamknięto, kiedy i dlaczego – nie pamiętam. Nie sprawdzam, pieprzyć to. W każdym razie ten teren jest teraz otoczony murem. Od strony rzeki jest w tym murze piękna potężna brama – zostawili ją może jako pomnik czy pamiątkę. Oczywiście zamknięta. Co jest za murem, nie mam pojęcia. Fabrykę chyba rozebrali, ale nie wiem, czy do końca. I ten Krantz chce, żebym właśnie tam się z nim spotkał – opowiadając, Tomek oglądał w komputerze plan miasta; zmniejszył skalę do momentu, w którym dwa centymetry zaczęły odpowiadać stu stopom. Widok z lotu ptaka nie był już mapą, tylko obrazem ze zdjęć satelitarnych, zrobionych w tym roku, na oko przed kilkoma tygodniami. Zieleń drzew nad Sekwaną była mniej bujna, mniej agresywna niż teraz. Naprzeciw

rzędu barek na rzece, przy Quai de Stalingrad rysował się kształt monumentalnej bramy, właściwie nie tylko bramy, lecz całej budowli, która kiedyś była wejściem do fabryki. Miała mniej więcej dwieście pięćdziesiąt stóp długości, około stu szerokości. Łatwo ją było odnaleźć – nawet z góry, w tej skali dominowała nad otoczeniem. To, co okalał mur, zajmowało spory teren. Wyglądało jak ciąg wielkich, podłużnych, ziemistych kopców, przypominających kurhany, może lepiej wykopaliska, żeby nie ulegać takim dziwnym skojarzeniom. Między nimi gdzieś pojawiały się ciemniejsze prostokąty, nie wiadomo – porzucone maszyny, małe budynki czy plamy asfaltu...

Kiedy Tomek przybliżył obraz jeszcze bardziej, kształty się zatarły. Tego, co jest za murem, nie dało się zobaczyć. Można było natomiast – już teraz z poziomu ulicy, pionowo – obejrzeć sobie dokładnie mur od zewnątrz. Dominique przesunęła kursor.

– Spójrz, tam, gdzie brama się kończy, nie jest już wcale wysoki. Jakieś dwa metry, może mniej, wyszczerbione kamienie, przeskoczysz.

– Tak, można znaleźć oparcie dla stóp, podciągnąć się. Cholera, w dodatku ta noga, muszę uważać.

Sandra patrzyła na nich, jakby opowiadali niezrozumiały dla niej żart.

– To ty chcesz iść? Naprawdę? Tomek, nie idź.

– No przecież właśnie sprawdzam, czy da się wejść.

– Co z tego, że się da? Oszalałeś?

– Może on oszalał, że tak wybrał. Czemu ja? Można się zresztą było spodziewać jakichś dziwactw. On mieszkał kiedyś w metrze, jak Bertrand.

– Sam mówiłeś...

– W pierwszej chwili. O Jezu, co za sprawa! Chłopaki od graffiti łążą po kanałach. To mnie zależy na tym Krantzu. Ja nie mogę, jak on, warunków stawiać.

– Dominique?

Dominique spinała sobie włosy na karku.

– Nie przekonasz go.

Sandra spacerowała po pokoju, jakoś dziwnie, jak to ona, naprężając mięśnie ramion. Tomek już dawno odgadł, że to nerwowy odruch. Nie miał czasu, żeby ją uspokoić.

– To ja się będę zbierał.

– To jest dziś?

– Nie mówiłem wam? Dziś, za półtorej godziny. Metrem dziewiątką do Pont de Sèvres, potem ten płot... Idę się przebrać.

Wymknął się do łazienki, żeby nie zdążyły zareagować.

Kiedy zostały same, zrobiło się niezręcznie. Bardzo niezręcznie, delikatnie mówiąc. Ostatnie chwile przed wyjściem Tomka były burzliwe.

(Ich głosy z przedpokoju:

– Ja też idę. Poczekaj, tylko zmienię buty.

– Nie, nie ma mowy, Sandra. Krantz postawił warunek. Ja sam albo nikt. Wszystko zepsujesz.

– Co znaczy: „nie ma mowy”! Nie możesz mi zabronić.

– Zabronić nie, ale... Wybacz.

Zgrzyt klucza w drzwiach. Zamknął je od zewnątrz. Trzy razy. Od środka, bez kluczy, nie dadzą się otworzyć.)

Dominique nie mogła teraz udawać, że tego nie słyszała. Sandra wróciła do pokoju z wypiekami na twarzy. Przez chwilę nie mówiła nic.

– Masz trzeci komplet kluczy? Moje zabrał. Były w drzwiach.

– Dziś akurat nie mam.

– Zadzwoń na policję. Z donosem, że tam się ukrywa Krantz.

– Tak się złożyło, Sandra, że Tomek zabrał twój telefon. Chyba się czegoś spodziewał. Stacjonarny jest wyłączony.

– Ty nie zadzwonisz?

– Nie. To głupie.

– Wezwij przynajmniej ślusarza. Chyba trzeba wykazać, że ma się prawo do mieszkania.

– Nie wezwę. Uważam, że histeryzujesz.

– Tak?

– Tak. Nie martw się o niego. Dawał sobie radę w podobnych sytuacjach.

Sandra przerwała nerwowy marsz między sofą a kominkiem, zatrzymała się obok fotela, na którym siedziała Dominique. Jej głos, zazwyczaj cichy, przeszedł prawie w krzyk:

– Wy jesteście jacyś tacy... tacy... jakbyście wcale nie rozumieli zła! Jakbyście żyli gdzieś pod kloszem, w enklawie, jakbyście nigdy nie widzieli, nie zaznali... ani nie czuli, że wy sami, że można kogoś... jakbyście nie wiedzieli, co to znaczy się bać albo jak ktoś się boi was. Jakby to była jakaś pieprzona szkoła przetrwania na wakacjach. Tu przejść przez płot, tam w nocy trafić, a później drinka i do wanny. To nie tak.

Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Zaraz potem otworzyła je znowu.

– Dobrze, nie zrobię nic, jak ty. Sami decydujecie. Nie wyciągnę was z tego wbrew wam. Mogłabym zresztą zadzwonić ze Skype’a, ale gdyby policja tam weszła, coś mogłoby się stać. A Tomek nie jest bezbronny. Zanim postanowiłam iść, dałam mu gaz.

Tym razem zamknęła drzwi delikatnie, wyrównując stopą podwinięty dywan. Dominique została sama. Mogła przetrwać ten wybuch, pomyśleć, czy coś się za nim kryje. Coś, co Sandra zdradziła mimo woli, nie panując nad sobą. Czy to tylko emocje, które zbyt rzadko uwalnia w słowach.

Tomek wysiadł z metra dwie stacje wcześniej, żeby się przejść. Miał czas. Chociaż północ wybiła przed kwadrans, miasto dopiero zaczynało się wyciszać. Okolice, które mijał, wciąż tętniły życiem. Pod jasno oświetloną libańską restauracją siedziało kilku mężczyzn nad kuflami piwa. Trochę dalej, obok trzech palm w donicach czarnoskóry muzyk wybijał rytm na bambusowych bębnach, z twarzą zastygłą w wyrazie szczęśliwego transu. Na zielonym skwerze ktoś spuścił ze smyczy swojego psa. Dwaj zakapturzeni chłopcy dopijali pod drzewem butelkę wina. W niewielkiej uliczce, wiodącej w stronę rzeki, arabski sprzedawca zwijał z ulicy stragan z warzywami, żeby zamknąć sklep. Samotna kobieta poprosiła Tomka o papierosa. Zatoczyła się lekko, oddając zapalniczkę. To wszystko działało na niego uspokajająco. Przynajmniej wmawiał sobie, że tak działa.

Jednak kiedy zbliżał się do Sekwany, ulice stopniowo pustoszały. Minęła go jeszcze zbłąkana taksówka, zaskrzypiała spuszczana żaluzja w czyimś oknie. Zamiauczał kot. Ruch zamierał.

Barki na rzece nie były oświetlone, wygaszono też, pewnie przez oszczędność, uliczne latarnie. Noc, żeby dopełnić ten scenariusz, była ciemna.

Nie wziął ze sobą latarki, bo o tym nie pomyślał. Teraz żałował, że nie kupił jej po drodze, u Araba. W ogóle nie miał czasu, żeby się przygotować. Krantz pewnie specjalnie tak to zaplanował. Sprytny człowiek. Może czuje się jak bohater filmu. Pieprzony fantasta. Jednak ma chyba coś do powiedzenia, jeśli uważa, że jest tego wszystkiego wart.

Budowla, która była kiedyś wejściem do fabryki, miała wysokość dwóch pięter. Potężne okna, zwieńczone owalnymi łukami, chroniły kraty. Największe z nich, podkreślone obramowaniem z czerwonej cegły, wznosiło się nad drzwiami z pancernej stali, osadzonymi w monumentalnej ścianie, zdobionej prosto, surowo, samą fakturą muru. Na drzwiach ktoś nabazgrał sprayem graffiti – niezdarne, pospieszne, jak podpis, a może znak o ukrytym sensie. Pod ścianą stała otwarta puszką piwa.

Tomek ominął bramę. Szedł teraz wzdłuż muru, niewiele wyższego od niego. Mur był z kamienia, jak te, które otaczają wiejskie posiadłości w Pikardii czy Bretanii. Z chropowatego, szarorudoczarnego kamienia, który mógł być oparciem dla stóp. Na ulicy nie było nikogo. Ani z przodu, w zasięgu wzroku, ani z tyłu, począwszy od zakrętu. Żaden odgłos nie ożywił ciszy. Trzeba było się zdecydować.

Tomek wspiął się na mur, pokonując poczucie absurdu. Niezbyt zręcznie – otarł sobie prawy nadgarstek, kiedy stracił równowagę. Posiedział na tym murze kilka sekund. Skoczył w ciemność.

Pod jego stopami zachrząścił żwir. Skulony tuż przy ziemi, Tomek znieruchomiał, bo ten dźwięk wydał mu się zdradziecko głośny. Jeśli nie będzie uważał, może go tu usłyszeć jakiś strażnik czy policjant i cała wyprawa się skończy, zanim spotka Krantza. Po chwili jednak zrozumiał, że cisza, która zdawała się go otaczać, była tylko złudzeniem. Lekki wiatr, niewyczuwalny na ulicach miasta, łopotał czymś niewidocznym, co szeleściło jak papierowa chorągiewka. Za murem, na Sekwanie skrzypiały barki. A może to wcale nie barki. Nie wiedział przecież, co go tu otacza. Jego ciche kroki wtopią się w te odgłosy. Żadnych strażników zresztą tutaj nie ma.

Co dalej?

Dobrze by było zobaczyć, czym jest to miejsce. Co pokazywały niewyraźne zdjęcia satelitarne. Ale widać nie było prawie nic. Mógłby poświecić sobie telefonem, jednak wolał przyzwyczaić oczy do ciemności. Żeby widzieć przynajmniej, co jest pod stopami i kilka metrów dalej. Pod stopami był drobny żwir, a to, co Tomek mógł dostrzec, wyglądało jak ciemne hałdy, a raczej kopce usypane z gliny, gruzu, czy czegoś innego.

Zbliżała się już pierwsza – godzina wyznaczona przez Krantza.

W tych warunkach nie sposób było określić, gdzie ten szalony człowiek może na niego czekać, jaki zakazany zakątek wybrał. Tomek postanowił przedostać się pod bramę. Tam od tej strony powinna być pusta przestrzeń. Przestrzeń, w której będzie coś widać, w której można dać się zobaczyć.

Nie miał pojęcia, czego się spodziewać po tym spotkaniu. Wszystko poszło inaczej, niż planowali, niż planował. Zamiast pozornie niewinnego, towarzyskiego *rendez-vous* u Bertranda (*Poznaj*

moich przyjaciół, to są naprawdę świetni ludzie) – noc w starej fabryce Renault. Krantz przejął ster. Tylko on wie, dlaczego tak.

Za chwilę Tomek też będzie wiedział.

Był pewien jednego – jeżeli podjął tę grę, powinien się dostosować do najdziwniejszych zachowań. Jak negocjator, który zawsze musi umieć rozmawiać. Na inną reakcję było już za późno. Od momentu, kiedy przeszedł przez mur.

Trochę się bał.

Nie myślał nawet o tym, że udo bardziej boli. Adrenalina stłumiła ból. Zbliżał się już do bramy. Majaczyła przed nim jakaś konstrukcja – rodzaj rusztowania albo system podpór.

Wtedy coś usłyszał.

Nieokreślony dźwięk ucichł, kiedy tylko Tomek się zatrzymał. Dobiegał z lewej strony, zza hałdy. Był blisko. Nie powtórzył się już. Do pustej przestrzeni przed rusztowaniem brakowało kilkunastu metrów.

Zrobił jeszcze dwa kroki. Snop ostrego, białego światła uderzył go prosto w twarz. Zanim zdążył osłonić oczy ramieniem, silny uścisk unieruchomił mu za plecami obie ręce. Światło padało z przodu. Było ich dwóch. Tomek się nie bronił. Nie miał szans.

Chciał krzyknąć, ale jakoś się powstrzymał. Zamknęłyby mu usta. Zacisnął powieki, ratując oczy.

Snop światła powoli opuścił twarz. Zjechał niżej. Pod powiekami wirowały jeszcze ogniste, czerwone kule. Na karku Tomek czuł czyjś szybki, równy oddech. Czerwone kule gasły. Krąg światła był teraz z przodu, pod stopami. Między nim a mężczyzną, który właśnie się odezwał:

– Pan Tomasz Dybruk?

..do najdziwniejszych zachowań...

– Tak.

Mężczyzna oświetlił na moment własne ramiona i głowę. O ile to nie złudzenie, wywołane słabością zaatakowanych oczu, miał na twarzy maskę. Białą teatralną maskę, osłaniającą całe oblicze.

– Przysłał nas człowiek, z którym ma się pan spotkać. Proszę zachować spokój. To tylko środki ostrożności.

Rzeczywiście, ten nie mógł być Krantzem. Jego francuski miał lekki akcent, a imię Tomka wymówił inaczej niż Polak.

Mężczyzna położył latarkę na ścieżce. Podeszedł do Tomka. Zrewidował go od ramion do stóp, dotykając każdego fragmentu ciała szybkimi dłońmi. Inaczej niż w filmach – stał z przodu. Kiedy musiał się zniżyć, sprawdzając uda i łydki, chwyt tego z tyłu unieruchomił Tomkowi nogi. Ręce nadal były uwięzione. Przez chwilę czuł na sobie dotyk ich obu. Z trudem powstrzymał odruch, żeby się bronić.

Zamaskowany znalazł w kieszeniach tylko zapalniczkę i papierosy. Odszedł dwa kroki dalej.

– Teraz sprawdzimy pana plecak. Radzę, żeby pan nie próbował korzystać z pozornej swobody ruchów. To bezcelowe. Proszę stać tak, jak pan stoi.

Ten z tyłu uwolnił przedramiona Tomka, zsunął mu plecak, rzucił. Zamaskowany złapał plecak w locie.

Ech, ten plecak. Niewielki stary plecak z pawlacza. Pamiątka z czasów młodości ojca Dominique. Szkoda, że tego wszystkiego nie przewidzieli.

Facet w białej masce musiał być pedantem. Rozłożył u swoich stóp skrawek czarnej folii, żeby nie pobrudzić rzeczy Tomka. Że też

o tym pomyślał. Skierował na zaimprovizowany pulpit światło latarki. Część przedmiotów kładł po prawej, część po lewej stronie. Miniaturowy dyktafon, własność Dominique, przygotowany na spotkanie z Krantzem, od kiedy plan się narodził – na lewo. Klucze, bluzę, która miała ten dyktafon ukryć, dwa telefony (po rozłożeniu i złożeniu) – na prawo. Dezodorant ze szwedzkimi napisami wzbudził wątpliwości.

– Co to jest?

– Dezodorant.

– Psiknę nim w pana, żeby sprawdzić. Mogę?

– Nie.

Na lewo.

Został tylko portfel. Zamaskowany wyjął z niego paszport. Przeczytał sobie dokładnie wszystkie dane, obejrzał zdjęcie. Schował paszport w zanadrze.

– Co pan...

Człowiek, który był z tyłu, znów złapał Tomka za rękę, jeszcze mocniej. Ten w masce zmniejszył światło latarki, wyjął coś z kieszeni, błyskawicznie podszedł...

Ten trzask to była tylko migawka, migawka aparatu. Ten błysk to tylko lampa, lampa błyskowa. Zrobili mu zdjęcie. Ale zanim to zrozumiał, przez moment pomyślał – głupio pomyślał, bo przecież – gdyby tak było – pomyśleć by nie zdążył.

Nogi trzęsły mu się jeszcze, kiedy facet w masce pakował po kieszeniach rzeczy zebrane z lewej strony folii. Trzęsły się przez tę jedną głupią myśl, która powstała i zgasła w ułamku sekundy; zanim nazwał to, co poczuł i usłyszał.

Gdy Tomek opanował drżenie, mężczyzna był już gotów.

– Dostanie pan wiadomość od tego, z kim ma pan się spotkać. Proszę tu na nią czekać. Dziękuję. Do widzenia.

Zgasił latarkę. Zniknął za hałdą z cichym zgrzytem żwiru. Wtopił się w ciemność. Z tyłu nie było już nikogo. Niska, drobna sylwetka mignęła tylko w prześwicie między kopcami, zbyt szybko, żeby mieć pewność, czy to nie gra cieni.

Dziękuję, do widzenia... Obolałe nadgarstki, stracony paszport.

Z czym przyjdzie Krantz, chroniony jak... jak... jak linie lotnicze, jak Luwr, jak boss mafii – no, bez przesady, jak ktoś, kto chce takiej ochrony i umie ją załatwić.

Tomek usiadł na ziemi, obok plecaka spakowanego od nowa przez tego w masce. Odnalazł papierosy, zapalił. Teraz już mniejsza z tym, że będzie widać żar.

Z czym przyjdzie Krantz? Lepiej o tym nie myśleć. Żeby nie uciec przez płot. A może uciec? Po tym wszystkim – tym bardziej szkoda. Z Bertrandem też było ryzykownie, skończyło się dużą sprawą. Być może mogło się skończyć źle, kto wie? Chyba tylko Bertrand.

Krantz ma przysłać wiadomość. Pewnie chce czekać w jakimś osłoniętym miejscu, do którego trzeba będzie dojść. W ciemności majaczyły jakieś niskie budowle, może szopy, może tylko porzucone maszyny. Tomek wyjął telefon.

Żeby się znów skoncentrować, złapać dystans, pomyślał o Krantzu, którego widział w kadrze, na tych wszystkich zdjęciach. O młodym, obiecującym pracowniku naukowym, szarym, schowanym w tle, niewidocznym. Niewidocznym? Invisible.

To, nie wiedzieć czemu, nie uspokajało. Wręcz przeciwnie.

Ech, pewnie się starzeję.

Wyobraził sobie, co będzie po powrocie. Zrobi sobie małego drinka, zabierze go do wanny. Tego właśnie mu było trzeba, takich myśli. Od razu poczuł się pewniej.

Niebo nie zaczynało jeszcze szarzeć, ale chmury odpłynęły na zachód. Drobne gwiazdy pojawiły się tu i tam, pojaśniało. Nad rzeką, w pasie drzew krzyczały nocne ptaki. Była już trzecia.

Esemes przyszedł właśnie wtedy, gdy Tomek sprawdzał czas. Numer zastrzeżony. Wstał, zanim go przeczytał. Znów czujny, tym razem gotowy na wszystko, zbadał, czy gdzieś wśród kopców nie widać ludzkich sylwetek. Nie dostrzegł nikogo, nie usłyszał niczego niezwykłego. Otworzył wiadomość.

Wracaj do domu, Tomku. Może się jeszcze zobaczymy. RK

Schował telefon do kieszeni, zarzucił plecak na ramiona, otrzepał spodnie i ruszył w stronę muru, już nie przejmując się tym, jak głośno stawia kroki. Nie wiedział, czego jest w nim więcej: złości czy ulgi.

Dominique zasnęła na sofie, w butach i w ubraniu. Czytała felieton pewnego znajomego, a potem, gubiąc sens akapitu, zaczęła śnić o Bertrandzie. Sen był niepokojący, mroczny, pełen okaleczonych zwierząt. Przerwał go zgrzyt klucza w zamku. Wrócił Tomek.

Jeszcze nie całkiem przytomna podnosiła się powoli, rozplątując włosy. Słyszała, że Tomek stara się być cicho, zdejmuje buty, potyka się o coś, bo nie zapalił światła w przedpokoju. Że drzwi pokoju Sandry otwierają się prawie bezszelestnie.

– Sandra, zanim cokolwiek. Przepraszam. Przepraszam za te klucze i telefon. Nie gniewaj się.

– Nie obrażam się na ciebie, bo na to nie czas. Ale żebyś już nigdy niczego w tym stylu... jeżeli jeszcze będzie tak, że będziesz mógł.

Oboje mówili szeptem.

– Dobrze.

– Jak było?

Przerwała im, uprzedzając swoje wejście hałasem przesuniętego krzesła, jaśniej zaświeconym światłem. Potem siedzieli razem w kuchni, a Tomek opowiadał. Ponieważ zaczął od końca, opowieść była krótka, choć treściwa. Rozmowa składała się z pytań, na które nie umieli odpowiedzieć. Dominique na wszelkie sposoby próbowała połączyć się z Bertrandem.

– Ale jest wpół do piątej, on pewnie śpi.

– Niekoniecznie. On nie przestrzega dnia i nocy, jego organizm też. Z Bertrandem nigdy do końca nie wiadomo.

...nigdy do końca... Właśnie.

Dominique dzisiaj w nocy, zanim Tomek wrócił, nie była jednak tak spokojna, jak chciała być. Jak według niej powinna być. Jej spokój miał wynikać z założenia, że Tomek jest pod ochroną. Pod jej ochroną. Pod ochroną dwuznacznej sławy, która ją otacza. Bezpieczeństwo może zapewnić mu legenda, że przez jej i – co ważniejsze – Bertranda wpływy, kontakty, możliwości, ten, który wypowie im wojnę, może mieć poważny problem. Potrzebowała kiedyś podobnej legendy. Bertrand sprawił, że wielu w nią wierzyło. Działała tam, gdzie została zaszczepiona, wtedy, kiedy była potrzebna.

Teraz właśnie był taki czas. Kto, jak kto, ale Bertrand mógł osłonić Tomka tą legendą. Tym bardziej przed Krantzem, który nie potrzebował problemów.

Ale... Z Bertrandem nigdy do końca nie wiadomo.

Dominique broniła się podświadomie przed tą myślą. Teraz, po wszystkim, tak śmiesznie do niej wróciła.

– Nie, nie ma go dla mnie. Może rzeczywiście śpi.

– Może nic nie wie.

– To przynajmniej niech odbierze od swojego kumpla twój paszport. I gaz Sandry. Mój dyktafon mogą sobie zostawić na pamiątkę.

Tomek przeciągnął się szeroko, zamasyście, sennie.

– Tak, czemu nie. Może tak. Krantz z nas zakpił. Po prostu sobie zakpił. Ze mnie. Jutro wy pewnie też będziecie ze mnie kpić, ale dziś, to znaczy teraz marzyłyby mi się jeszcze taki mały, może nie całkiem mały drink. Wziąłbym go sobie do wanny. A potem spać. Jest coś?

Dominique popatrzyła na Sandrę. Jakby pytająco. Sandra, o dziwo, zrozumiała. Kąciki jej ust zadrgały lekko, a potem uniosły się w ledwo dostrzegalnym, pojednawczym, znaczącym uśmiechu.

Następnego dnia, a może nie następnego, tylko tego samego – ci, którzy zasypiają o świcie, gubią się w określeniach – Tomek wstał około pierwszej, świeży i wypoczęty. Mieszkanie było już puste. Dominique wróciła pewnie do siebie, do szerokiego łóżka, które znał, ale Sandra? Czy ona nie wie, że ma prawo spać osiem godzin, bo tego jej potrzeba? Nie jest już przecież taka młoda.

Kiedy przez ciąg prostych skojarzeń rozmyślał nad tym, co też właściwie kobiety robią w spa, jego telefon – bohater ostatnich dni – zaskrzeczał nieprzyjemnie zbyt głośnym, zbyt sensacyjnym sygnałem wiadomości.

Numer zastrzeżony.

Panie Tomku, zapraszam Pana serdecznie na kawę w le Cardinal przy Porte de St Cloud. Jeśli to Panu odpowiada, proszę przyjść między 15 a 16 i zająć stolik na zewnątrz. Miejsce wybrałem ze względu na Pana. Myślę, że będzie odpowiednie.

RK

Ten ton – jakby nie było fabryki Renault, gazu w sprayu i ludzi w maskach. To miejsce – miła kawiarnia, może restauracja, kwadrans metrem, przy placu otoczonym z trzech stron podobnymi, miłymi kawiarniami. Z czwartej jest kościół.

Ta pora – słońce, gwar, pierwsze spotkania przy stolikach. Pusto nie będzie, ale tłoku też nie. Środek dnia.

Co za zmiana. Ciekawe.

Oczywiście, że pójdzie, nie ma się nad czym zastanawiać. A jeśli RK się z nim bawi – cóż, sam tego chciał. On, nie RK. Żeby wziąć udział w tej zabawie, dał się pobić. Nic dziwnego, że nie jest nudna. W le Cardinal nic się nie może stać. Gdyby tam ktoś usnął przy stoliku, kelner na pewno by zareagował.

Teraz Tomek powinien zadzwonić. Do Sandry i do Dominique. Jednak się wahał.

Znów się zacznie... Znów będą w trójkę to roztrząsać, bo jest, niestety, jeszcze czas. Zbyt wiele słów, strach Sandry, zazdrość Dominique. Jeszcze przyleżą tam za nim, usiądą trzy stoliki dalej, będą udawać, że mają babski wieczór. Nie. Może jest

niesprawiedliwy, ale nie. Zapowiedział im, że cały dzień będzie spał, nie musi odbierać telefonu. Tym razem to tylko jego sprawa. Jego decyzja. I żadnych dyktafonów, gazów, cudzych nerwów. On i Krantz. Tak będzie lepiej, przynajmniej dla niego.

Do Le Cardinal – czyli do Kardynała (*zabawne, taka nazwa; ciekawe, czy w Polsce by to przeszło*) – dotarł przed czasem. Stoliki nie napierały tam na chodnik; były oddzielone od przechodniów niską, przezroczystą barierką. Tomek wybrał taki, który się z nią stykał; ustawił krzesło tak, żeby widzieć wchodzących. Zamówił kawę, zapalił papierosa i czekał.

Warunki do rozmowy nie były tu być może idealne – przydałoby się trochę więcej prywatności. Trudno jest przeprowadzić coś w rodzaju przesłuchania, jeśli wokół panuje atmosfera radosnego luzu, podlewanej winem beztroski. Z boku dwie damy po czterdziestce, ciesząc się wspólnym, skradzionym czasem jak nastolatki na wagarach, co kilka chwil wybuchały śmiechem, który miał być dyskretny, ale nie był. Facet z tyłu flirtował z kelnerką. Stała przy nim, odkąd Tomek przyszedł, rozmawiali za cicho, zbyt miękko jak na zwykłe składanie zamówienia. Z przodu, przy wejściu nie było na razie nikogo.

Cóż, jeżeli rzecz potoczy się jak trzeba, zawsze można zmienić lokal. Lepiej jest tu niż w starej fabryce Renault.

Tomek przeczesywał wzrokiem nadchodzących, szukał samotnych mężczyzn. Jak na jakiejś randce w ciemno. *Ten? Nie, raczej nie, na zdjęciach był chyba wyższy, trochę szczuplejszy.*

Tamten! Idzie powoli, patrzy ludziom w twarze. Coś z nim jest nie tak. Lepiej, żeby to nie był on. OK. Przeszedł. Więc który?

Czas płynął wolniej, niż powinien – dopiero dziesięć minut, a już drugi papieros.

Nagle czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Na prawym ramieniu, na moment. Krótki, powitalny gest, trochę poufały, trochę żartobliwy. Miał zaskoczyć – i zaskoczył. Właściciel dłoni przesunął się o krok, stając przed Tomkiem. Facet, który flirtował z kelnerką dwa stoliki dalej. Krantz, ale jakże odmieniony. Nie do poznania, można powiedzieć. Nic w nim z szarości wtopionego w tło zdjęć.

Gęste, białe, przedwcześnie posiwiałe włosy, spięte na karku w krótką kitkę. Twarz ogorzała, jak u żeglarza lub zdobywcy szczytów. Okulary w rogowych oprawkach, świetnie dobranych.

Swobodna letnia marynarka. Szczupły tors. Lekki uśmiech. W lewej ręce szklanka piwa, którą ze sobą przyniósł.

– Witam, wcześniej pan przyszedł, panie Tomaszu. Można? – Gdy mówił dalej, już siedząc obok Tomka, jego dłonie zmieniały układ przedmiotów na stoliku, przemieszczając drobnymi, krótkimi ruchami wszystko, co tam stało czy leżało: pustą filiżankę, paczkę papierosów, łyżeczkę, zapalniczkę, popielniczkę, szklankę piwa. Jakby tworzył wciąż niedoskonałą kompozycję, martwą naturę, temat zdjęcia czy obrazu. Tomek patrzył na te dłonie i słuchał. Tak, żeby nie spłoszyć. Nie zrazić przedwczesnym pytaniem. Chociaż Krantz nie wyglądał na takiego, którego spłoszyć można. Zdradzały go tylko te drobne ruchy rąk.

– Przed wszystkim muszę pana przeprosić za ten cyrk z fabryką. Trzeba było sprawdzić, czy to wszystko prawda, czy pan to pan. Potwierdzić to, co usłyszałem od Bertranda. Nocne zdjęcie

wykasowałem, proszę mi wierzyć na słowo. Jednocześnie – jak by to ująć – zbadałem stopień pana determinacji. Gdyby pan zrezygnował ze mnie, ja zrezygnowałbym z pana. Nie było mnie tam oczywiście – uff, dobrze, że pan też się uśmiecha – na razie mam dosyć takich miejsc, wystarczy, chyba pan wie. Za to teraz jestem. Jeszcze tylko, żeby skończyć ten wątek – sięgnął po skórzaną torbę dobrej marki, udającą stary tornister, która leżała obok jego nóg – oddaje: pański paszport, środek samoobrony, dyktafon. Zabawne, nie byłby panu potrzebny.

Tomek włożył paszport do kieszeni, a kompromitujące akcesoria, których nie miał gdzie schować, umieścił na sąsiednim krześle. Krantz zamilkł na chwilę. Jakby spoważniał. Jednak przerwał Tomkowi po pierwszych słowach, gdy ten uznał, że przyszła jego kolej:

– Nie, nie trzeba nic wyjaśniać. Ja wiem. Wiem, czemu – przejdźmy na ty, dobrze? Nasza znajomość będzie krótka, ale intensywna. Wiem, czemu mnie szukałeś. Wiem, że przyjechałeś z tą dziewczyną, Sandrą, więc wiem, o co chcesz pytać. Teraz mogę jej odpowiedzieć. Tym bardziej że wykorzystam do tego ciebie. Tak będzie lepiej. Patrz, zmagistrowałem taką zabawkę – nagrałem płytke DVD. Możesz ją puścić dwa razy, dwa razy odsłuchać. Przy trzeciej próbie nagranie się skasuje. To taki program. Pierwszy raz posłuchaj sam, potem zdecydujesz. Znasz ją, tę Sandrę, ja nie. Może ktoś inny, nie ona, powinien wiedzieć. Dwa odsłuchania, nie więcej, pamiętaj. O rany, no oczywiście, da się to pewnie jakoś obejść. Skopiować nie, ale nagrać głos z nagrania. Może. Ja to zrobiłem tak, jak ma być według mnie. Jeżeli coś zmienisz, ty za to odpowiadasz. Ja nie. Ja jestem bezpieczny. Jestem bezpieczny, niezależnie od tego, co

zrobisz. Proszę, to teraz twoje. – Kiedy podawał Tomkowi srebrną płytkę w plastikowym opakowaniu, jego dłonie były wilgotne. Trochę speszony wytarł rękawem marynarki krople potu, które pokryły mu czoło i okolice nosa.

– Gorąco.

Odzyskał dobrą formę szybciej, niż ją stracił. Nie słuchał Tomka, który próbował o czymś zapewniać, o coś pytać.

– Patetyczne to wszystko, śmieszne, prawda? Takie życie. Sam chciałeś, Tomek, bardzo chciałeś. Więc masz. Ja jestem wolny. To znaczy teraz nie, za pół godziny mam spotkanie. Ja, nie RK. Bo ja mam nowe nazwisko, wybacz, że ci się nie przedstawię. Zostawiam dziesięć euro, ty daj napiwek. Miło było cię poznać, cholernie miło, nie wiesz nawet. Przepraszam za wszystko. – Podał Tomkowi rękę z mocnym, krótkim uściskiem, zgarnął ze stołu zapalniczkę, uśmiechnął się do rozgadanych kobiet. Przed wyjściem zaczepił jeszcze swoją kelnerkę, powiedział jej coś, co wywołało ładny uśmiech. Poszedł na postój tuż obok i zniknął w taksówce.

Czy przypadkiem nie spalił tego spotkania? Nie zmarnował wszystkiego, przyjmując rolę biernego słuchacza, która być może tylko wydawała mu się najwłaściwsza? *Rodzaj przestuchania...* Akurat. Powiedział zaledwie kilka zdań, które nic nie wniosły. Dał się kompletnie zdominować. Bo Krantz mówił tak, jakby się bał, że jak mu już coś przerwie, to nie skończy. Jeżeli rzeczywiście tak było, to należało milczeć. Ale jeżeli nie? Jeżeli to kolejny numer w stylu starej fabryki Renault? Na płytce będzie tylko – lepiej nawet nie myśleć, co. Jasne, że najpierw odsłucha ją sam.

Być może trzeba było wskoczyć do następnej taksówki, krzyknąć: *Za tamtym citroenem!* zamiast, jak on, poprosić o rachunek, a przy okazji o jakiś woreczek, żeby schować dyktafon i gaz? Tak, może jest ciapowatym dupkiem. Może przez to całe pseudopsychologiczne podejście brak mu jaj.

Ale te krople potu na twarzy Krantza, właśnie wtedy, kiedy zrobiło się chłodniej, głos lekko zmieniony, kiedy już przeszedł z nim na ty, może po to, żeby coś sobie ułatwić, a może po to, żeby ten właśnie głos zmieniony ukryć? Kąt prosty między zapalniczką a łyżeczką, a potem między tym, tamtym i kolejnym. Jeżeli to wszystko nie było grą ani złudzeniem, płytka nie jest pusta.

Płytką, no właśnie. Problem w tym, że od czterech godzin tkwiła w kieszeni Tomka. Wypalała mu na piersi, nie niszcząc koszuli, ciemne znamiona w kształcie znaków zapytania. Jeśli je znajdzie, gdy będzie brał prysznic, wcale się nie zdziwi. Bo wciąż nie mógł jej odsłuchać. Tuż po tym, jak wszedł do domu, w drzwiach zazgrzytał klucz Sandry. Smutnej jakby, zmęczonej Sandry, tym razem dziwnie spragnionej towarzystwa. *O, już się zbudził, to fajnie. Nie, ona nie zostanie cały wieczór, powinna jeszcze... ale się nie pali. Może za godzinę. Trzeba by coś zjeść. Można zrobić jajecznicę. Nie ma już wina? Dziś nawet chętnie wypiłaby kieliszek. Ale jeśli jest zmęczony... Kawę. Widziała dzisiaj taką dziwną scenę na ulicy...*

A on słuchał, niekiedy odpowiadał, kroił cebulę, pił i jadł, czekając, aż Sandra wyjdzie. W głowie krążyły mu w kółko te właśnie myśli, które zrodziły się jeszcze w metrze. Tak, mógłby teraz po prostu zamknąć się w swoim pokoju, bez żadnych wyjaśnień. Ona zrobiła to już nieraz. Ale pokój nie zamykał się na klucz, Tomek nie miał przy sobie słuchawek, więc co, jeśli ona nagle

otworzy drzwi? Lepiej nie ryzykować zbyt wolnego kliknięcia, jednego zdania, które wszystko zdradzi. Życzenie Krantza, żeby pierwszy raz słuchał sam, miało jakieś znaczenie, na pewno.

Mówiła, że wyjdzie za godzinę.

Nie można być takim dupkiem.

– Ojej, Sandra, już ósma, ale się zasiedziałem. Mam dzisiaj być u François. Wiesz, tego kelnera z Saint Denis. Biorę komputer, mam mu coś przegrać. To cześć, późno jest, wychodzę.

Bo przecież znajdzie jakieś dobre miejsce, gdziekolwiek, choćby na ławce nad Sekwaną albo w parku. Byle tylko było w miarę cicho. *No, to miłego wieczoru, tobie też, o której, pewnie późno, może nie będę jeszcze spała, nie przejmuj się, mam klucze...*

Na to właśnie weszła Dominique.

– O, jesteś. Ale ja was, niestety, zostawiam. Wychodzę. Jadę do François.

– Do François?

– Tak.

– Aha. Nie szkodzi. Ja i tak tylko na moment, po jedną książkę. Odwiozę cię, jestem samochodem.

– Nie trzeba, o tej porze są korki.

– Nie ma. A ja mam sprawę w Saint Denis.

Cholerna Dominique. Jej smart rzeczywiście stał przed domem. Na zakazie. Ruszyła, milcząc.

– Czemu nie skręcasz na Boulevard Péripherique?

– Jedziemy do mnie.

– Wiedziałem.

– Bo wiesz, że ja zawsze wiem, kiedy kłamiesz.

– Blefujesz.

– Nie. Powiedz, co się dzieje, proszę. Jak powiesz, podwiozę cię, gdzie będziesz chciał. Tylko chcę wiedzieć. Mam prawo, choćby ze względu na to, co dla was robię. Powinieneś.

Powiedział. Umówili się, że będzie słuchał u niej. Sam, chyba że zmieni zdanie. Dominique przygotowała mu gabinet, opuściła żaluzje, żeby było ciszej. Przyniosła kieliszek Justice. Wyszła z pokoju, zamknąwszy drzwi, zanim załadował płytkę. A on poczuł się tak, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy otworzył list.

Gdy Tomek czekał na pierwsze zdanie opowieści nagranej przez Krantza, nad Warszawą zapadał zmrok. Człowiek, który wczoraj odłożył wszystkie bieżące sprawy, zapalił światło w swoim gabinecie. Nie wiedział, że zrobiło się już tak późno, chociaż słyszał, jak inni wychodzili. Ale on tu jeszcze zostanie, godzinę, może dwie. Jak dobrze pójdzie, to skończy.

Rozdział XVI

Głos był wyraźny, prawie niezmienny. Głos Krantza. Żaden obraz nie został nagrany, na czarnym ekranie tańczyły fioletowe, zielone i żółte linie wizualizacji Windows Media Player. Żaluzje przepuszczały tylko wąskie pasma światła, odgłosy z ulicy nie zakłócały opowieści.

Opowieść Romana Krantza:

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Oni też – Bartek, Janusz i Marta. Przepraszam, że mówię to, co już wiecie. Od czegoś trzeba zacząć.

Trzymaliśmy się razem od dawna. Mniej więcej od połowy pierwszego roku. Zbliżaliśmy się do siebie powoli; każde z nas metodą prób i błędów szukało przyjaźni w nowym środowisku. Trafiliśmy na siebie. Odkryliśmy, że to jest to. A potem było coraz lepiej. Inni przychodzili i odchodzili. Z tą trójką mogłem wszystko. Przynajmniej ja tak czułem. Ale już to zostawię. To tylko wstęp.

Był taki jeden chłopak, trochę starszy od nas. Znaliśmy go, bo wszyscy go znali. Pętał się po tych samych knajpach. Mówili na niego Lelouch, bo kręcił filmy. Do tej pory nie wiem, jak miał na imię. Kręcił, montował na swoim własnym sprzęcie, a później o nich opowiadał. Niektórzy mówili, że tylko opowiadał, a nie kręcił. Czasem nawet ciekawie – naczytał się dużo o współczesnym kinie, robił dobre dygresje. Ale tylko czasem. Krótki metraż, wariacje na temat granicznych stanów świadomości –

więcej o jego filmach nie wiedziałem. Kilka lat wcześniej zdawał do łódzkiej filmówki. Nie zdał, bo miał za słabą maturę. Wciąż wierzył, że kiedyś się dostanie. Wysyłał różnym znanym swoje produkcje.

Jak się nazywał, gdzie mieszkał, co zrobił z wojskiem, z czego żył – nie wiem.

Tolerowaliśmy go, jak inni, trochę z litości. Chyba był samotny. Dosiadał się, gdzie mógł; jak nikt go nie splawiał, prosił, żeby mu coś postawić. Czasami stawialiśmy. Bo on, jak miał pieniądze – bywało, że miał dużo, potem nic – stawiał wszystkim. Taki styl.

Kiedyś przykleił się do nas na cały wieczór, upił mocniej i zaczął płakać na życie. Matka w Stanach na saksach od lat, ma nowego kochasia, kochasia dzieci, do niego dzwoni raz na miesiąc czy dwa, miała zapraszać, nie zaprasza. Ojciec to tyle tylko, że go zrobił, ślubu nawet z matką nie mieli. Jak sobie o nim przypomni, to daje kasę. Ale to chuj, chuj i gangster; gdyby nie to, że płaci, to by zobaczył. Dziadek trzy lata jak zmarł, nic nie zostawił. Dziewczyna się puszczała, potem poszła. Na filmy nikt mu nie odpisuje. Sąsiad kradnie zakupy.

Wsadziliśmy chłopaka do taksówki, posłaliśmy do domu spać. Później przez jakiś czas się nie zjawiał. A może my bywaliśmy gdzie indziej, nie pamiętam.

Opowiem, jak wyglądał. Nosił się trochę jak ci, co teraz mówią o nich emo. Ale wtedy w Warszawie o żadnych emo jeszcze nikt nie słyszał. Jak na Zachodzie, nie jestem pewien, ale chyba też nie. To był taki jego prywatny projekt artystyczny, ten image. Włosy na bok, z tyłu krótkie, z przodu długie, bardzo czarne, chyba farbował. Strasznie chudy. Ubrania też czarne, a czasem nagle wściekle kolorowe. Makijażu nie robił. I tak mówili, że to pedał, ale pedałem nie był, na pewno. Nie

wyglądał na swoje dwadzieścia pięć lat. Miał w sobie coś z dzieciaka, coś z efeba.

Już chyba dużo o nim powiedziałem. To mu się należało. Można przejść dalej.

Kiedy się znowu zjawił, promieniał. Dostał maila od S. S. jest znany; dziwne, żeśmy o nim nie słyszeli. S. widział jego dzieło. S. napisał: „oryginalne ujęcie, świeże spojrzenie, intrygujący motyw”. I żeby on, Lelouch, zrobił ze dwa nowe filmiki (bez błędów, które S. wymienił), a potem wysłał je do C. i do D. C. i D. byli z Łodzi. Nazwisk naprawdę nie pamiętam, nic mi nie mówiły.

– To świetnie, stary, pracuj, co ty tu jeszcze robisz – tak wszyscy mówili.

Wtedy poprosił Martę, żeby dała się sfilnować. Żeby dla niego zagrała.

Marta splotowała go ostro, w prostych słowach. Wiadomo, jakie miała skojarzenia. My też takie mieliśmy. Bo Marta podobała się facetom, chociaż się nie starała, przynajmniej na pozór. Miała w sobie coś takiego, że nie musiała pokazywać ciała, żeby kusić. A jednocześnie nie kochała, nie płakała, nie była porzucana, nie rzucała, jak wszystkie inne dziewczyny wokół. Swoje przygody, raczej krótkie, wyśmiewała przy wódce, gdy tylko się kończyły. A my – nas trzech – to była całkiem inna kategoria.

Lelouch się obraził. Przez jakiś czas był spokojny.

Potem zaczął przyłazić po nią na zajęcia. Tłumaczył, że to nie tak, nic z tych rzeczy, że to sztuka, poezja. Tylko od niej będzie zależeć, co pokaże, może na przykład tylko dłonie. On jest tylko kamerą, tylko okiem, ona decyduje. On potrafi pracować na tym, co dostanie.

Nie był za bardzo nachalny, nieśmiały raczej. Inni, co się kręcili wokół Marty, bywali bardziej upierdliwi.

To był piękny, słoneczny, wiosenny, pełen obietnic piątek – wtedy, kiedy udało mu się do niej, do nas dotrzeć. Znaleźć kompromis, który wszyscy przyjęli. Zaprosił nas, całą naszą czwórkę – dumny i przejęty, że ma takie możliwości – do domu swojego ojca, gdzieś w lesie za Piasecznem, nad jeziorem. Na cały weekend. Stary wyjechał w interesach, dał mu klucze. Jest za granicą przez cały tydzień. Że jak mówił? Nie, skąd, musiał coś konfabulować bo pijaku, ostatnio mają dobre układy. Tam, w domu nad jeziorem będziemy mogli wreszcie wszyscy zobaczyć jego filmy. Jak zobaczymy, Marta zdecyduje. On już nie będzie naciskał, jeśli będzie na nie. Jeśli na tak, obga dają sprawę. To piękne miejsce, głusza, piaszczysta droga dojazdowa, która idzie dalej w las. On stawia, stary ma świetnie zaopatrzonej barek, w dodatku właśnie kupił (on, nie stary) solidną porcję trawy, starczy dla wszystkich. Dojazd? Do Piaseczna autobus, potem taksówką. Stać go teraz. Jedyna okazja, bo później nie będzie gdzie.

Lelouch nie wiedział, że Janusz miał teraz pusty dom na Saskiej Kępie, w którym czasem przemieszkiwaliśmy razem. Nikt rozsądny nie dawał mu swojego adresu, bo jeszcze się wprowadzi. Nie mieliśmy innych planów. Zgodziliśmy się, bo czemu nie.

Pojechaliśmy w sobotę koło południa, razem z nim. Poprzednią noc (bez niego) spędziliśmy u Janusza. Pierwsze piwa otworzyliśmy w autobusie.

Po drodze Lelouch się wygadał, że tych kluczy wprowadzie nie dostał, tylko dorobił sobie dawno, jak miał okazję. Stary nie wie. Ale to nie nasz problem, on bierze to na siebie.

Kiedy taksówka odjechała, poprosił, żebyśmy chwilę poczekali. Przelazł przez parkan, zniknął w domu na pięć minut, wrócił zadowolony, już przez furtkę. Wyłączył system alarmowy, widział kiedyś, jak ojciec to robi, podpatrzył kody. Musiał tamtędy, żeby ominąć kamerki. Teraz one już nie działają, można spokojnie wejść. Pokazał nam – rzeczywiście, były dwie. Nie, stary się nie kapnie, czasem się wyłączają same z siebie. A jakby co, to on się przyzna, wielkie rzeczy.

Miejsce, w którym stał dom, rzeczywiście miało swój urok, ciche, odosobnione, trochę dzikie. Powłóczyliśmy się po lesie. Bartek, w górach chowany, opowiadał jakieś historie o drzewach. Na pływanie było za zimno, poleżeliśmy w trawie nad jeziorem. Niedługo, bo Lelouch rwał się do swoich filmów, a my byliśmy ciekawi całej reszty, którą nas kusił wcześniej.

Dom, mimo tych wszystkich zabezpieczeń, okazał się normalny, bez jakichś drogich obrazów, antycznych mebli, sprzętu wysokiej klasy. Nie był wielki – na dole duży salon i kuchnia, na górze cztery pokoje. Dla samotnego mężczyzny pewnie ogromny, ale wielu w Polsce było już wtedy stać na takie rzeczy. Młody kapitalizm. Trochę przez grzeczność wobec Leloucha, który na co dzień groszem nie śmierdział, a trochę z założenia, że nie ma mu co wierzyć, o właściciela, czyli jego ojca nie pytaliśmy. Dom zresztą nie skłaniał do takich pytań. Mało w nim było śladów codziennego życia – żadnych kapci pod ścianą, papierów na biurkach, magnesów z karteczkami na lodówce czy książek na nocnym stoliku. Trochę jak pod wynajem. Ale barek, jak dla nas, zaopatrzony był naprawdę świetnie. To się liczyło, nie jakieś inne rzeczy.

Lelouch chciał nas gościć w salonie, przynajmniej na początku, myślał nawet, czym by w kominku rozpalić. Ale my wybraliśmy dla niego lepszy wariant – wzięwszy, co trzeba, z dołu, rozłożyliśmy się w jednym

z pokoi na górze, tam, gdzie był sprzęt do odtwarzania filmów. Jak się impreza rozkręci, na dole mogliśmy coś zniszczyć, trudniej potem sprzątać na większej przestrzeni, więcej mebli. Miło mu było, że tacy jesteśmy porządni, przewidujący, nam też.

Ja się upaliłem pierwszy, jeszcze zanim Lelouch włączył jakiś film. Miał problem ze sprzętem, coś nie działało, więc zdążyłem. Zresztą jemu też było dobrze, celebrował to, wcale się nie spieszył, zapominał, co robi. Bartek nie, on zawsze mógł więcej, miał mocniejszą głowę. Był kapitalnie wyluzowany, to wszystko. Janusz pił tylko, znalazł w barku whisky, powiedział, że nie miesza, jutro zapali. Z Martą było chyba tak jak ze mną, nie jestem pewien. Patrzyła w stojący na podłodze monitor, oparta o ramię Leloucha, kiedy zasypiałem.

Obudził mnie ruch w pokoju i jakiś hałas na zewnątrz. Lelouch, Bartek i Janusz czaili się przy oknie, tak żeby ich nie było widać zza firanek. Trzasnęły drzwi samochodu. Marta siedziała pod ścianą, tłumiała śmiech, zatykając usta dłonią.

– Stary, no nie... nie wjechał do garażu, pędzi strasznie, może zapomniał czegoś i na chwilę... drzwi zamknąłem.

Miał minę dziecka przyłapanego na zakazanej zabawie.

– Alarm przecież zobaczy. Nie wygłupiaj się, zejdź.

To Janusz tak powiedział.

Lelouch przygładził włosy i wyszedł. Rzuciliśmy się chować pety i butelki, gdzie się da. Marta poprawiała coś na sobie; choć ją ze śmiechu skręcało, próbowała zrobić grzeczną minę.

Później już było wszystko jednocześnie.

Rozpaczliwy wrzask z dołu:

– Spierdalaj, nic nie mów, spierdalaj natychmiast!

Odgłosy hamowania, czarne sylwetki na ścieżce, w tak szybkim ruchu, tak krótko, że nie wiadomo było, czy naprawdę.

Trzask drzwi od domu, krzyk nie do rozpoznania, urwany nagle. Przez moment hałas, potem cisza.

Bartek skoczył w stronę wyjścia, Janusz go siłą zatrzymał, rzucił na ścianę, zatkał ręką usta.

Ja zastygłem w bezruchu, nic nie rozumiałem. Marta wybuchła histerycznym śmiechem.

Kroki na schodach. W drzwiach naszego pokoju stanął mężczyzna w czarnej kominiarce, z pistoletem w ręku.

– Tutaj!

Pistolet wymierzony w nas. Kolejne kroki, jeszcze trzech mężczyzn, wszyscy identyczni.

– O żesz kurwa!

To było na nasz widok. Później zaczęli do nas krzyczeć coś, czego nie rozumiałem, pamiętam ból wykręcanych ramion, to, jak moje stopy szukały oparcia na schodach, prowadzone tym bólem. Mężczyzna, który mnie włókł, panował nade mną całkiem. To, co zobaczyłem w mgnieniu oka w salonie, zapamiętałem na zawsze.

Lelouch leżał na plecach, z głową opartą o kominek. Włosy litościwie zakryły mu twarz, więc widziałem tylko usta, z których sączył się cienki, czerwony strumień. Od szyi w dół cały był czerwony, jakby się oblał winem. Gdzie były ślady po kulach, nie wiem. Z półotwartej dłoni wypadły mu kluczyki do samochodu. Jeden sandał, pewnie zbyt luźny, zsunął się z nogi. Bosa stopa wskazywała drogę do drzwi.

Na środku pokoju stała pusta, otwarta walizka. Mężczyzna – ojciec Leloucha, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem – leżał przy niej na

boku, z jedną ręką przewieszoną przez krawędź. Obok niego dwie szare paczki w małej kałuży krwi na jasnej podłodze.

Wywlekli nas przed dom i zaciągnęli pod dżipa, który stał przy furtce. Był tam jeszcze jeden samochód, ojca Leloucha, i jeszcze jeden dżip. To też zostało odtworzone później, wtedy wszystko wirowało wokół mnie – jak zobaczyłem, że Bartek ma przy skroni pistolet, to zrozumiałem, że ja od dawna też; wcześniej tego nie czułem.

Nagle zmienili plany, zatrzymali się wpół szarpnięcia.

– Kłąć się na brzuchu, twarz w ziemię, ręce na kark!

Ten krzyk był taki, że natychmiast postuchałem, inni też.

Od strony wsi nadjeżdżał jakiś samochód. Bałem się patrzeć, ale słuchałem, ze wszystkich moich sił słuchałem, bo myślałem, że to ratunek. Samochód podjechał powoli, zatrzymał się. Silnik nadal pracował. Jeden z tych czterech mężczyzn, którzy nas pilnowali, podszedł tam. Nie wytrzymałem, spojrzałem, ale widziałem tylko, że ten mężczyzna, nadal w kominiarce, rozmawia z kimś, kto siedzi w tamtym samochodzie. Rozmawiał cicho, pokazywał na nas. Potem słuchał, a mówił tamten, ale nie słyszałem, co. To wszystko trwało krótko, samochód ruszył, ominął pozostałe trzy, a ja przez moment byłem pewien, że po nas przejedzie. Po nas leżących. Ale nie, oddalił się, a ja chyba straciłem przytomność, bo całkiem inne obrazy były wokół mnie, nie tamto.

Tamto wróciło bólem twarzy. Już stałem, ale nie o własnych siłach. Ten, który mnie uderzył, podał mi foliowy worek.

– Wkładaj na głowę.

Wtedy po raz pierwszy spróbowałem im się wyrwać, bo zobaczyłem, że inni – moi inni, Bartek, Janusz i Marta, już leżą na podłodze dżipa z takimi workami na twarzach; nie wiedziałem, czy żyją. To oczywiście

nic nie dało. Nawet nie bili. Skleili mi nadgarstki z tyłu taśmą, usta też, worek na łeb wsadzili, wrzucili mnie do bagażnika, a ja zrozumiałem, że wszyscy jeszcze żyją, bo trupom nie zasłania się oczu, nie zakleja nadgarstków.

Jechaliśmy długo – chociaż nie, nie wiem, czy mogę tak powiedzieć, wątpię, żebym wtedy umiał dobrze wyczuć czas – a ta jazda to były jakieś dramatyczne, nieudolne próby przegryzienia taśmy, której nie dało się dotknąć nawet językiem, zahaczenia o coś sklejonych rąk, które nie trafiały na żaden opór, wykorzystania wolnych nóg, one znalazły oparcie, tak, ale to nic nie dawało. Kiedy poczułem, że się duszę, bo z powodu mojej szarpaniny spadłem twarzą w dół, samochód się zatrzymał.

Wywlekli nas z bagażnika, postawili na nogi, zdarli worki z głów. Byliśmy gdzieś w środku lasu. Tych w kominiarkach było już tylko dwóch. Musieli się rozdzielić przed domem. Jeden z nich rozciął taśmę krępującą mi nadgarstki. Marcie też. Wyjęli z samochodu dwie łopaty, kazali kopać dół. Janusza i Bartka przywiązali do drzewa jakimś pasem. Nadal mieliśmy wszyscy zaklejone usta, nie można było krzyczeć.

Jeden z mężczyzn stał przy nas z pistoletem, drugi, też z pistoletem, pilnował chłopców.

Kopałem, co miałem zrobić.

Tak, wiem, znam z filmów takie sceny, kiedy bohater, do tego co ja zmuszony, odwija się nagle, macha łopata, trafia nią tego złego prosto w głowę, wytrąca mu z ręki broń. Ale ja nie potrafiłem. Zanim zdążyłbym coś zrobić, jeden z nich by strzelił. Albo do mnie, albo do kogoś z moich. Po prostu nie mogłem. Teraz myślę, że specjalnie tak wybrali – mnie i Martę. Janusz i Bartek wyglądali na silnych, Marta,

wiadomo, dziewczyna, a ja wtedy – długowłosa wymoczek. Dla nich bezpieczniej.

Ziemia była wilgotna i miękka, ostrza łopat łatwo w nią wchodziły. Miejsce, które nam wskazali, było dnem płytkiego parowu. Czy myślałem, że kopię sobie grób? Tak, właśnie tak myślałem. Nie będę opowiadał, co się ze mną wtedy działo, pod wpływem tych myśli. To zbyt intymne. A Marta... nie, o niej też mówić nie muszę.

Kiedy dół był już tak głęboki, że stałem w nim po uda, kazali przestać. Odebrali łopaty. Jeden z nich powiedział – dziwnym, podniosłym tonem:

– Jeżeli któreś z was wygada komuś o tym, co żeście dziś widzieli, będziecie tutaj wszyscy leżeć, w kawałkach. A wcześniej będziecie długo umierać, tak, że poczujecie. Znajdziemy was, choćbyście się ukryli nie wiem gdzie. My jesteśmy wszędzie.

Odjechali tym dżipem, buksującym kołami w gliniastych koleinach leśnej drogi, zanim zdążyłem zedrzyć sobie taśmę z ust. Później długo wymiotowałem. To Marta pomogła chłopcom się uwolnić, po tamtych został nam w rękach pas, taki, jakim się przypina rzeczy do dachowego bagażnika samochodu. Trochę to trwało, zanim udało nam się pozbierać. Organizm wysiada pod wpływem takich przeżyć. Ech, po co opowiadać, możecie sobie wyobrazić.

Była już noc, musieliśmy się stamtąd wydostać. Szliśmy tą drogą, nieważne, w którą stronę, byle dalej. Nie mówiliśmy do siebie nic, jeszcze nie był na to czas. Gdzieś wrócić – tylko o tym myśleliśmy. Taki zastępczy cel, odsuwający wszystko inne na dalszy plan, zabijający myśli. Doszliśmy w końcu do jakiejś wsi, do szosy asfaltowej, do szerszej szosy. Wsiadliśmy w nocny autobus, nie patrząc, dokąd jedzie. Dojechał do Warszawy. Pamiętam kobietę, która na mnie patrzyła w tym autobusie. Patrzyła z obrzydzeniem, a ja byłem szczęśliwy, że ona tam

jest. Normalna kobieta, z torebką na ramieniu i z siatką pełną zakupów. Znak, że nie zwariowałem. Że obok jest normalne życie.

Później była taksówka pod dom Janusza. Dopiero tam, u niego, blokady puścili. Zaczęliśmy mówić, krzyczeć. Płakać też. Janusz wpadł w jakiś stupor, milczał, gapił się w jeden punkt. Bartek mówił najwięcej, był najprzystomniejszy z nas. Wysuwał jakieś hipotezy, później im zaprzeczał, chodził w tę i z powrotem. Ja go nie rozumiałem, nie byłem w stanie myśleć.

W końcu padło pytanie, którego wszyscy się bali:

– Co zrobimy?

Zawiadomić policję? Nie, skąd, oni nas zabiją. To był jakiś mafijny wyrok, mafia nas znajdzie. I tak nic nie wiemy, nic nie pomożemy. Mieli kominiarki. Na pewno dla osłony przed tymi kamerkami. Gdyby nie to, już byśmy nie żyli. Jak Lelouch, którego zabili chyba tylko dlatego, że tam był. Czy ktoś widział numery rejestracji samochodów? Nie, ten w lesie chyba nie miał żadnej rejestracji. Ale przecież w tej sprawie będzie śledztwo. Znajdą ciała. Lelouch nie miał nikogo oprócz matki w Stanach, ale ten ojciec... Prędzej czy później wyjdzie na jaw, że zniknął. Będą szukać, znajdą. Ktoś może wiedzieć, że tam pojechaliśmy. Policja będzie nas przesłuchiwać. I co wtedy? Czy potrafimy milczeć? Jeżeli jedno z nas się złamie, wszyscy zginą. Ja w to wierzyłem.

Bartek się wahał. Bo przecież tamci nie wiedzą nawet, kim jesteśmy. Marta wpadła w histerię, kiedy zaczęła mu tłumaczyć, że mogli nas śledzić, że mogą już znać ten adres, być gdzieś obok. Janusz wciąż siedział, jakby był niemy. Do czasu, aż my nie zamilkliśmy, wycieńczeni i bezradni. Wtedy zaczął mówić.

Powiedział, że widział mężczyznę w samochodzie. W samochodzie, który przyjechał pod tamten dom. Tego, z którym rozmawiał facet

w kominiarce, tak jakby zdawał temu człowiekowi raport, pytał, co z nami zrobić, słuchał poleceń. Janusz nie słyszał rozmowy, ale go widział i wie, kto to jest. Zna nazwisko. To miało związek z pracą jego ojca. Jest pewien.

Powiedział nam to nazwisko i wszystko, co o tamtym wie. Ja wam nie powiem. Nie umiem, nawet teraz, nie mogę.

Żaden z tych, którzy nas pilnowali, nie mógł widzieć, że Janusz spojrział na samochód. To był moment.

Czy to coś zmienia? Czy Janusz chce iść na policję? Odpowiedział: nie wiem. Nie potrafi teraz zdecydować. Zaczęliśmy go przekonywać, ja i Marta, że nie może tego zrobić. Że jak to zrobi, to wyda na nas wyrok. Że nie ma prawa. Dramatyczna rozmowa, pełna przekleństw i płaczu Marty, chociaż Janusz prawie nie reagował, nie odpowiadał. Dał się przekonać. Obiecał, że nikomu nic nie powie.

Nie wiedzieliśmy, co dalej. Marta pod wpływem kolejnej fali paniki postanowiła wyjść, pojechać taksówką do swojego akademika, wcześniej klucząc po mieście. To, że jesteśmy razem, w jednym miejscu, u Janusza, wydało jej się nagle bardzo niebezpieczne. Już był następny dzień, południe. Nie umieliśmy jej zatrzymać.

Ja i Bartek zostaliśmy jeszcze długo. Sprawdzaliśmy prawie bez przerwy, czy nie ma gdzieś wiadomości o znalezionych ciałach, mafijnych porachunkach. Nie było. W końcu Bartek poszedł się umyć. To była pierwsza normalna rzecz, jaką ktoś z nas zrobił.

Janusz był ciągle taki wycofany, milczący. Zaczął pić, miał w domu wódkę. Powiedział, że chce zostać sam, choć na kilka godzin. Upije się i zaśnie. Możemy iść.

To było dla mnie dziwne, że właśnie wtedy, po tym wszystkim, my, którzy wcześniej byliśmy tak blisko, nie zostaliśmy razem, w jednym

miejscu, żeby jakoś poradzić sobie ze strachem, wspólnie dojsć do siebie. Przynajmniej Bartek był ze mną. Pojechaliśmy do niego.

Mijały kolejne godziny, kolejne dni traumy. Nikt z nas nie zdecydował się na wyjazd do rodziców. Nie można było w takim stanie, zobaczyliby, że coś z nami nie tak. Zadawaliby pytania, a przecież oni też nie mogli wiedzieć. Unikaliśmy ludzi. Nie chodziliśmy na zajęcia. Współlokator Bartka sprzedał mu marihuanę. Paliliśmy, spaliśmy, sprawdzaliśmy komunikaty o zaginionych, szukaliśmy newsów o podwójnym morderstwie w Piasecznie. Wciąż nic – tak, jakby to się wcale nie wydarzyło. Zacierały się nam granice dnia i nocy.

Najszybciej doszła do siebie Marta. Mądrze zrobiła – poszła do psychologa, opowiedziała jakąś bajkę o stanach lękowych po przerwaniu ciąży usuniętej w tajemnicy przed wszystkimi. Poprosiła o antydepresanty. Lekarz coś jej przepisał, pomogło. Naćpana psychotropami, zaczęła nawet chodzić na wykłady.

Najgorzej było z Januszem. Cały czas pił. Czasem upijał się agresywnie, miał nawet kiedyś awanturę z sąsiadem. Gdy do niego przychodziliśmy, nie było z nim dobrego kontaktu. Mówił, że z tego wyjdzie, że potrzebuje czasu. Żeby się o niego nie martwić, żeby go zostawić. Zostawialiśmy. Jakoś to picie kontrolował. Dawniej umiał to lepiej niż my.

Powoli, powoli życie wracało do normy. Dziwna to była norma, narzucona sobie przez nas na siłę, wymuszona między kolejnymi przyływami strachu czy depresji. Zaczęliśmy nieśmiało wierzyć, że morderstwo w Piasecznie nie zostało wykryte, że nie ma żadnego śledztwa. Jeżeli tak, jeżeli do tej pory nie odnaleźli ciał, to zwiększa się szansa, że nikt do nas nie dotrze. Bo jeśli ktoś wiedział – wiedział przez przypadek – że my tam razem z Lelouchem jedziemy, to mógł już

zapomnieć. A może ta zbrodnia wcale nie wyjdzie na jaw. My, niepytani, będziemy milczeć, my nigdy, nikomu, nic. Pojawiła się nadzieja, że będziemy bezpieczni.

Kiedy Janusz zadzwonił po nas trzeźwy, ja miałem właśnie takie lepsze popołudnie, byłem na tyle spokojny, że mogłem nawet myśleć o czymś innym. Pojechaliśmy do niego nastawieni na rozmowę, podczas której być może uda się nam, po raz pierwszy razem, zobaczyć to wszystko z dystansu.

Janusz nie próbował nas nawet przygotować, o nic nie pytał. Oświadczył od razu, że on już postanowił – zawiadomi policję, powie o człowieku, którego rozpoznał. Bo tak nie wolno, jak my, on nie może z tym żyć. Tym bardziej że policja nie szuka. Jest przecież matka Leloucha, nic nie wie. Ten człowiek może kogoś następnego zabić. Jak nie ma śledztwa, sami na niego nie trafią.

A tamte groźby – długo nad tym myślał. Pieprzyć je. Kiedy policja zaaresztuje tego człowieka, inni z nim związani też wpadną albo będą musieli się ukrywać, a nie dalej zabijać, jak już będzie po fakcie. Nie mamy pojęcia, jak działa mafia, ale to logiczne. My, świadkowie, będziemy chronieni.

Tym razem nie pomogły ani histerie, ani argumenty. Nie dał się przekonać.

Marta wymogła na nim tylko jedno – że on się wstrzyma trzy, cztery dni, później porozmawia z nią o tym jeszcze raz, ona jeszcze raz spróbuje go przekonać. Bo ona teraz musi wyjechać do rodziców, ojciec już po nią jedzie samochodem, miał sprawy do załatwienia w Warszawie, zabiera ją, bo jest ślub siostry. Jak ona nie dojedzie na ten ślub, rodzina zrobi aferę, to tylko kilka dni, niech jej da jeszcze jedną

szansę. I tak już minęły od tamtego prawie dwa tygodnie, to niewiele zmieni.

Taka właśnie była po tych lekach: tu świat się wali, a tu ślub. Najpierw ślub, a później się zobaczy.

– No dobra, jedź – odpowiedział.

Wyszliśmy razem z Martą, bo już wszystko, co się dało powiedzieć, powiedzieliśmy wiele razy. Ten czas, tych kilka dni, to znów był dla mnie jakiś amok. Nie wierzyłem, że Marta go przekona, jej wiara to był chyba wpływ działania psychotropów. Janusz przecież na to żadnej nadziei nie dawał. Nie zgadzałem się z Bartkiem – on rozumiał Janusza, jego myślenie. Uważał, że Janusz ma prawo zdecydować. Przekonywał go argument, że jeśli policja aresztuje tamtych, to dla nas nie musi się źle skończyć. Ja się z nim nie zgadzałem. Nie zgadzałem? – jakie łagodne, fałszywe określenie. Długo wrzeszczałem na niego, szukając słów, które będą ranić.

– Jeśli on to zrobi, albo od razu nas zabiją, albo do końca życia będę żył jak szczur!

– Nie ze mną – odpowiedział Bartek.

W ten sposób skończył się nasz związek, który dopiero zaczynał się rodzić.

Już po powrocie Marty, ale jeszcze przed rozmową, która miała być decydująca, dotarła do nas nagle wiadomość o śmierci Janusza. Koleżanka z roku dzwoniła do wszystkich zapłakana, mówiąc, że znaleziono go wczoraj rano w jego domu, przedawkował narkotyki. Pewnie sąsiedzi coś widzieli, zadzwonili po pogotowie, ale było za późno.

Później była rozpacz, rozpacz i strach. Znów powiem – możecie sobie wyobrazić. Darujcie, nie będę opowiadał.

Ta śmierć wstrząsnęła też innymi bliższymi i dalszymi znajomymi Janusza; każdy coś sprawdzał, o coś wypytywał, dowiadywał się, gdzie mógł, dzwonił z tym do nas. Samobójstwo – to powtarzano coraz częściej. Samobójstwo albo wypadek, przedawkowanie.

My, czyli Bartek, Marta i ja, powinniśmy być wtedy zgodni co do jednej wersji – albo tej, która się narzucała jako pierwsza, albo jednej z tamtych, które wszyscy znali. Ale zbyt wiele było pytań, na które każdy z nas inaczej odpowiadał, inaczej myśleliśmy.

Jeśli zabili go tamci (czemu teraz, zanim wykonał jakiś ruch? skąd wiedzieli?), nie zostawili chyba żadnych śladów, bo nikt niczego nie podejrzewa, nie ma przesłuchań, nie ma śledztwa. Przecież nas od razu policja by wezwwała, wszyscy wiedzieli, że jesteśmy przyjaciółmi Janusza.

Marta była bliska wiary w jego samobójstwo. Mógł nie wytrzymać presji. Z jednej strony – my, nasze żądanie, żeby milczał, z drugiej – jego zasady, tak mocne, że nie umiał ich złamać. Wyrzuty sumienia albo wobec nas, albo wobec całego świata. Zresztą już wcześniej, przed tamtym Janusz miał swoje problemy, z którymi wolał być sam. Tak się mogło stać – zdaniem Marty.

Według Bartka to było po prostu niemożliwe. Janusz był na to za silny. W przedawkowanie Bartek był gotów uwierzyć – nikt z nas nigdy nie brał twardych narkotyków, nie wiedzieliśmy, jak to się robi, Janusz też nie wiedział, jeśli wpadły mu w ręce...

A ja uważałem, że to wszystko bzdura.

Że już nas mają. Rzeczywiście są wszędzie, jak mówił tamten. Oni zabili Janusza. Pieprzenie o samobójstwie, o wypadku, teraz, kiedy miał właśnie iść na policję, to jakieś zwichnięcie psychiczne, jakby oboje pod wpływem szoku stracili pamięć, jakby wiedzieli tyle, co ta dziewczyna z roku, nic więcej. Przepraszam, to nie ze mną. Ja nie zapominałem.

Śledztwo? Śledztwo pewnie będzie później.

Ale to Bartek pierwszy skojarzył – Bartek, nie ja – że od kilku dni ktoś za nim łązi. Nie był pewien, od kiedy. Nie wiedział, czy to ciągle sam człowiek. Dopiero wtedy odkryłem, że za mną też. Jednak łąził – i nic. Na razie nic. Żyłem.

Więc może jeszcze jest dla nas szansa. Może uda się uciec, jak najdalej, za granicę.

Zanim zacznie się śledztwo, przesłuchania, zanim tamci zrobią z nami to, co z Januszem. Może zdążymy.

Studia? Pieprzyć studia, tu chodzi o życie.

Rodziny? Wiadomo, co dla nich lepsze.

Załatwiliśmy wszystko bez problemów. Ja miałem wuja w Niemczech, Marta kuzynkę w Stanach, a Bartek w ciemno poleciał do Londynu. Nie było planu, że wyjedziemy razem. Pozornie – tylko dlatego, żeby było bezpieczniej. Naprawdę – od siebie też chcieliśmy uciec. Ustaliliśmy, że znajdziemy kontakt, jak życie nam się ustabilizuje. Nikt z nas nigdy go nie szukał.

Przez ten rok w Niemczech czyściłem z rdzy części do samochodów. Nie musiałem nawet wiedzieć, jak się nazywa to, co czyszczę; wystarczył skrobak. Po kolacji kładłem się do łóżka, leżałem i myślałem, rano znów czyściłem. Wszyscy brali mnie za spokojnego, lekko autystycznego chłopca. Wiele wtedy przeżyłem. Dojrzałem. Zmieniłem się.

Najpierw przygniotło mnie poczucie winy. Uznałem, że – niezależnie od tego, co się stało z Januszem – my, nie, nie my, ja – ja mogłem temu zapobiec. Gdybym zrobił wszystko inaczej, z nim, czy przeciwko niemu, ale inaczej. Dziesiątki takich niespełnionych wariantów przeszły mi przez głowę. To była moja pokuta, lekcja pokory. Uświadomienie sobie własnej słabości.

A potem zrozumiałem, że będę musiał wrócić. Bo przecież chcę być człowiekiem, który umie myśleć, analizować, przeżywać teraźniejszość, nie tylko przeszłość. Który kieruje się logiką, a nie impulsami, wizjami, intuicją, wiecznym lękiem – tymi wszystkimi stanami świadomości, które musiały się we mnie zrodzić pod wpływem tego, co widziałem, co przeżyłem, a więc są chore, nie można im do końca wierzyć. Logiczne myślenie, takie teoretyczne jakby – oderwane ode mnie, od Janusza, od Leloucha, wstawiające na nasze miejsca abstrakcyjne postaci, pozbawione imion i twarzy – mówiło, że już może być po wszystkim. Dla mnie. Bo ja, już teraz, po tym czasie, niewiele znaczę. Udowodniłem, że nie jestem dla nikogo zagrożeniem – bo nie jestem. Nie umiałbym, nie umiem przestać milczeć, w przeciwieństwie do Janusza czy Bartka. Jeżeli tamci wiedzą wszystko, to też wiedzą. A jeżeli nie, wcale nie muszą mnie dopaść.

No, może to nie było tak do końca logiczne. Ale początek dobry.

Czy naprawdę chciałem? Wiedziałem, że powinienem chcieć. Byli przecież bliscy, rodzice w Polsce. Porzuciłem niemiecki warsztat samochodowy. Zmieniłem wygląd, nazwisko i mieszkanie, żeby zacząć od nowa. Studiów nie zmieniłem. Logika mówiła przecież, że tamci nie będą szukać. Wierzyłem, że z czasem wszystko wróci do normy.

Pozornie wróciło, a jakże.

Lecz od tej pory aż do pewnego poranka w Paryżu było nas dwóch. Dwóch Krantzów, Romanów, z którymi miałem nieprzyjemność żyć.

Jeden był sobą w pełni, kiedy zatapiał się w pracy. Żył w świecie tekstów, swoich i cudzych, myślał ich obrazami, umiał w nie wejść, pragnął tego. Ergo – świetny student, tłumacz, pisarz. Wymarzony pracownik naukowy – kompletnie odporny na pokusy kariery (bo jeszcze, nie daj Bóg, trzeba by wyjść z cienia) – więc bezkonfliktowy.

Niezwykłe wyrozumiały dla ludzkich słabości, pozbawiony głębszych emocji w codziennym życiu. Skromny w oczekiwaniach. Stroniący od bliższych związków, nadmiaru używek i hulaszczego życia. Otwarty w pracy ze studentami. Przewidywalny i poprawny w kontaktach towarzyskich. Poeta, a taki porządny. Duma rodziny.

Ten drugi żył przekonaniem, że coś się zdarzy, bo żadna logika nie miała do niego dostępu. Wśród setek wyobrażeń – jak, kiedy, dlaczego, co będzie potem. Jak to zniosą – czy raczej nie zniosą tego – bliscy. Wyobrażeń, które przychodziły przed snem, w wannie, podczas jazdy samochodem, w trakcie monotonnych spotkań, załatwiania rutynowych spraw, kiedykolwiek. Dawaty się odegnąć – lata wprawy.

Wiedział przecież, że są tworem okaleczonego umysłu. Nie pławił się w nich, niszczył je. Jednak liczył się z tym, że któreś z nich może się ziścić. Bał się życia, nie tylko śmierci. Przykłady? Proszę bardzo.

Śmierć – banalne. Rozpędzony samochód na zielonym świetle, na pasach. Bo ktoś, kto wyszedł właśnie z więzienia, myśli, że on go tam lata temu wsadził.

Życie – bardziej wyrafinowane. Roman Krantz? Znam pana nazwisko, padło podczas przesłuchania. Czy pan wie, że ten sam człowiek, który zamordował pańskiego przyjaciela, rok później zabił mojego syna? Potem go za to skazali. Albo trywialne – poranna gazeta, tytuł reportażu: „Nieznany epizod z młodości tłumacza «Milczenia»”. List w skrzynce, bez nadawcy? – szantaż. I tak dalej.

Czy próbowałem się dowiedzieć, co jest z człowiekiem, którego wtedy rozpoznał Janusz?

O, nie. Pierwsze, ostrożne próby zbyt wiele mnie kosztowały. Ujawniły tyle tylko, że coś się zmieniło. Że nie ma go tam, gdzie był. Nie odważyłem się na więcej. Czy brałem pod uwagę bunt po czasie, atak na

swój strach? Teoretycznie tak, rozważałem to. Z moich rozważań wyszło, że nie podołam.

Ponieważ strach był składnikiem mojego życia, zgłębiałem go. Czytałem o nim w podręcznikach neurologii i psychiatrii, rozmawiałem – oczywiście anonimowo przez internet – z tymi, którzy są na niego narażeni, na przykład z racji swojej pracy.

Najgorszy jest podobno właśnie taki, jak mój wtedy. Strach „przed”, długo „przed”, kiedy jeszcze do końca nie wiadomo, czy, kiedy i jak się zdarzy, ale to, że się zdarzy, stanowi oś.

Bo gdy już się coś dzieje – gdy trzeba oddać cios albo uciekać, skakać przez płomienie czy otworzyć kopniakiem drzwi – wtedy strach się nie pojawia. W skrócie, bez nazw – to, co w mózgu jest za niego odpowiedzialne, nie ma czasu się uaktywnić. Pracują inne rejony. Już potem, po wszystkim ręce się trzęsą, nogi też, jeśli je jeszcze masz. Lecz jest po fakcie. Już się stało. Już nic nie grozi.

Gdyby to brać pod uwagę, to on, ten drugi Krantz, nie powinien się bać co najmniej połowy swoich wizji. Bo tego pędzącego samochodu nie zdążyłby przecież nawet zobaczyć.

Ale zostawmy to. To przeszłość. Niepotrzebnie się rozgadałem.

Żyli w symbiozie, raz jeden dominował, raz drugi. Bywało, że ten trzeźwy, logiczny Krantz, zatopiony w niuansach francuskich idiomów, spychał tego drugiego w świat snów, z których śmiał się, sardonicznie nieco, po przebudzeniu.

Zeszłego roku zimą znalazłem w internecie wiadomość o śmierci Bartka. Googlowałem ich nazwiska rzadko, raz na kilka lat. Wypadek... Wypadek w Polsce. Krantz-schiz stanął na baczność, gotów do akcji. Kończyłem właśnie jeden duży projekt. Nie zadzwoniłem do Londynu,

niczego nie sprawdzałem. Wyparłem to, na ile umiałem. Średnio się udało.

Pod koniec marca, jak wiecie, byłem w Paryżu.

Pewnego ranka zastałem w poczcie wiadomość z nieznanego adresu:

„Do P. Romana Kranca:

Jest Pan w niebezpieczeństwie związanym z Pana przeszłością. Proszę zniknąć”.

Moje nazwisko było pisane przez c, jak dawniej.

Identyczny tekst czekał na mnie w telefonie, przystany esemesem, w nocy.

Mój Boże, przecież ja właśnie na takie coś czekałem przez te wszystkie lata. Na impuls, który pozwoli mi z moim podwójnym, wymuszonym życiem skończyć. Na przeważenie szali w jedną stronę. Wtedy to sobie uświadomiłem.

Moi rodzice nie żyli od roku. Nie mogłem już nikogo skrzywdzić. Nie zastanawiałem się nad wyborem. Zniknąłem.

Zgładziłem obu Krantzów. Koniec z czekaniem. Nadszedł czas działania. Przestałem się bać. Wywalczyłem sobie wolność – wolność, która dała mi poczucie siły i własnej wartości. Kiedy wolność przestała mi wystarczać, zdobyłem sobie nowe życie. Takie, które mi odpowiada. Jestem bezpieczny.

Na marginesie – może to dla kogoś będzie mieć znaczenie – Krantz po swoim zniknięciu dostawał kolejne wiadomości. Że zagrożenie minęło, że może wracać. Krótko po tamtych, tydzień czy dwa. Trafiały w próżnię – żaden z Krantzów już nie istniał.

Raz jeszcze, w jego imieniu postanowiłem przyjąć gości. Was. Gdybym się na to nie zdecydował, nie udałoby się wam.

Chciałem to jakoś zrobić, to, co robię teraz. Nie miałem pomysłu, jak. Nie wiedziałem, czy ktoś tego potrzebuje. Rodzice Janusza na pewno znaleźli spokój. I właśnie po to przyszła Sandra. Dziewczyna, o której Janusz mówił po pijaku: „To jest tak, że z nią się zestarzeję, jak już będę po trzech rozwodach. Będziemy sobie nawzajem bawić swoje wnuki. Życie – nie. Ale emerytura”. Z trudem odgrzebałem to w pamięci, nie znam jej prawie, tej Sandry.

Na ciebie, Tomku, zrzucam odpowiedzialność i decyzję.

Dziękuję, że pomogłeś mi to zrobić.

Gdybym wierzył, to bym powiedział, że to moja spowiedź.

Ale nie wierzę, więc niech będzie, że to oddanie prawdy, którą zataiłem.

Teraz nic już nikomu nie jestem winien.

Już się nie zobaczymy. Powodzenia.

Gdy obraz na ekranie znieruchomiał, siedzieli jeszcze przez chwilę w milczeniu. Byli razem – Tomek zawołał Dominique, kiedy opowieść Krantza dobiegła do domu nad jeziorem. Nie żałował. Ocknął się z zamyślenia, zwinął program jednym kliknięciem.

– Odjazdowa końcówka.

– Schizofreniczna? Tak, od tego momentu o dwóch Krantzach...

Ale on sam przyznaje. Teraz rozumiem, czemu Bertrand... Dziwiłam się, że tak im dobrze poszło.

– Bertrand wie?

– Nie. Myślę, że nie. Zrozumieli się bez tego. Tylko my wiemy.

– Ale nic nam to nie wyjaśnia.

– Nic? Mnie wiele. Nie mogłam pojąć, czemu sprzedał się Charpentierowi. Teraz wiem.

– Ale te wszystkie maile, esemesy, ten człowiek w życiu Sandry, rąbnięta walizka, te jaja ze mną...

– To zacznij od początku. Wierzysz mu? To nie ten, co podmienił walizki?

– Tak. Nie.

– Ech, ta twoja pewność...

– *Pardon, madame*. Ale tak. I, jak mówiłem, nic mi to nie wyjaśnia.

– Vendetta? Nieznany obrońca?

– Nie w Polsce. Dla tamtych w kominiarkach to tytuł gry komputerowej.

– Sam podejrzewałeś Sandrę.

– Sandrę tak, wtedy. Ale nie mafię.

– Uważaj, żebyś się nie pomylił. Zdarzało ci się.

– Daj spokój.

– Może Sandrze to coś wyjaśni. Widzisz, że ona ciągle coś ukrywa? Puścisz to jej?

– Kurwa, nie wiem. To ona *znalazła spokój*, jak mówił Krantz. Spokój z tamtym. Tych swoich afer z tym nie wiąże. Kobięca rada?

– Ja bym woląa wiedzieć. Na jej miejscu.

– To chyba puszczyć. Wyczuję dobry moment. Nie teraz, w nocy.

Tomek uznał, że powinien się już zbierać. Nie chciało mu się ruszyć. Ta zardzewiała huśtawka w ogrodzie. Boleśnie wyraźny obraz.

– Sęp.

– Kto?

– Ojciec Janusza. Nic mi nie powiedział.

– Jak miał powiedzieć, pierwszemu z brzegu, po co? Przecież to boli. Myślisz, że wszystko wie?

– Na pewno o wiele więcej niż Krantz.

– Pogadasz z nim jeszcze raz, po powrocie?

– Nie wiem, czy się odważę. Chyba nie. Jak nic nie powiedział nawet Sandrze.

– A matka?

– Dominique, zostaw to już, proszę. Teraz, jak pomyślę, że miałbym ich wypytywać, jak sobie przypomnę, że tam byłem, rozdrapałem stare rany, to się czuję jak ostatni chuj.

– Pamiętaj, że nie wiedziałeś. Wiesz co, zostań tu na noc. Prześpisz się w gabinecie. Rano wypijemy razem kawę.

– Fajnie.

Gdy Dominique pokazywała mu, gdzie teraz trzyma pościel, Tomek podziwiał jej wyczucie. Tak, to prawda, chciał opóźnić moment spotkania z Sandrą, był wdzięczny za każdy pretekst. Zasypiając, wyobrażał sobie jej dłonie skubiące bliznę, te chore, gimnastyczne ruchy, które znów przyjdzie mu jutro zobaczyć.

Rozdział XVII

W Warszawie następnego dnia

Postanowił zapalić w oknie. Pieprzyć zakazy, to jego własny pokój.

Sam sobie zwał to na głowę. Nikt mu nie kazał.

Sam sobie zwał to na głowę, żeby coś było zrobione tak, jak być powinno. Właściwie mógłby się czuć z takim motywem dobrze. Ale jakoś nie umiał znaleźć satysfakcji.

Bo zaraz zmieni temu facetowi stare życie. Na dużo lepsze albo na jeszcze gorsze. Jak jakiś Bóg, wszechmocny, ale wcale nie wszechwiedzący. Głupi raczej. Nie wiedział nawet, jakich słów unikać, co mu pomoże, a co zaszkodzi. Nie wiedział, kiedy trzeba będzie się zamknąć.

Może powinien przy tym posadzić kogoś, kto zwykle informuje rodzinę o ofiarach. No ale to nie była taka prosta sprawa.

Mógłby się jeszcze wycofać. Wręczyć tamtemu tylko pouczenie, że jak tak dalej pójdzie, to zostanie oskarżony o naruszenie porządku publicznego. Powiedzieć: *Panie Zalipski, musi pan tutaj podpisać.* A potem pójść na obiad.

Ale sprawy zaszły już za daleko. Przy biurku obok siedział psycholog. Miał się nie rzucać w oczy, dopóki nie będzie trzeba. Coś mu nie wyszło. Przynajmniej on, jak go zobaczył, pomyślał od razu: *Wygląda jak psycholog od terapii.*

Pani Basia przygotowała środki uspokajające, tabletki, strzykawki. Czekala cała podniecona pod telefonem, żeby się zjawić, jakby co.

Jak sam przyrzadził sobie takie gównu, to musi je teraz zjeść. Nikt tego za niego nie zrobi.

Jeszcze pięć minut.

Przygotował się tak, jakby miał zeznawać przed sądem; Tamten był kiedyś sędzią, nawiasem mówiąc. To, czego nie wiedział, wyczytał w różnych tajnych i poufnych, zapomnianych. Wtedy, piętnaście lat temu był jeszcze za młody, żeby decydować. Ale pracował nad tą sprawą od początku, z dużym zaangażowaniem.

Wszystko zaczęło się zwyczajnie – od telefonu na gorącą linię. Operator odebrał zgłoszenie podwójnego morderstwa. Jest świadek, nie anonim, zgadza się zeznawać. Zdarzenie sprzed dwóch tygodni, była próba zastraszenia świadka. Ciało nie odnaleziono, nikt nie zgłaszał zaginięcia.

Ten telefon postawił w stan gotowości cały jego zespół. Zareagowali dużo gwałtowniej niż normalnie w takich przypadkach. Bo padło jedno nazwisko – nazwisko iksa. Przeciw iksowi od dawna toczyło się śledztwo. Miał założony podsłuch w telefonie, w gorących momentach był pod obserwacją. Motyw – powiązania z mafią. Ci, którzy się iksem zajmowali, byli pewni, że to cholernie mocne powiązania. Ale nigdy nie udało się niczego udowodnić. Był zawsze na dobrą odległość od tego, co zlecał. Płacił podatki. Znał się na swojej robocie.

Świadek, który zgodził się zeznawać, widział iksa. Mógł go rozpoznać. Był skarbem.

Od pierwszych chwil nic nie toczyło się rutynowo. Postępowali znacznie ostrożniej, we współpracy z tymi, z którymi było trzeba.

Tak, żeby nie popełnić błędu.

Po świadka przyjechał zwyczajny samochód, taksówka. Zabrali go na przesłuchanie do cywilnego mieszkania.

Był przy tym przesłuchaniu. Słyszał, jak młody Zalipski spokojnie, pozornie chłodno opowiada o trupach na podłodze, o taśmie na ustach, o metalu na karku i dole w leśnym parowie. O twarzy iksa i o tym, skąd ją zna. Pierwszy, drugi, a potem trzeci raz. Jak, nie okazując irytacji, odpowiada na pytania, które mają sprawdzić jego wiarygodność. Mądrze odpowiada. Nie zmyśla, że pojechał do domu nad jeziorem odrobić lekcje. Nie wypiera się stanu, w którym był przed i po. Tłumaczy tylko, że to nic nie zmienia. Mądrze tłumaczy.

Pytania są potrzebne, bo do tej pory nie odnaleziono ciała. Zgłoszeń nie ma. Dom nad jeziorem, który ekipa przeszukała pod przykrywką jakichś robót, jest prawie czysty. Ale na ścianach zostały ślady prochu, a na podłodze – silnego detergentu.

Chłopak trzyma się dzielnie, mimo wycieńczenia, które wyszło w badaniach i które gołym okiem widać. Trzyma się dzielnie, bo po tych dwóch tygodniach Bóg wie jakich uczuć podjął decyzję. Ma pewność, że ta decyzja była słuszna.

A potem widział, jak to wszystko się zmienia. Jak chłopak się załamuje. Jak jego twarz, dotychczas aktorsko kamienna, powoli dziecinnieje w wyrazie bezradnego zdumienia. Jak on sam wydaje się nagle młodszy o kilka lat, chociaż nie wiadomo, na czym to polega. Patrzy na nich, jakby chciał wyszeptać: *jak to?*, ale się nie odzywa. Chciałby się schować, być sam.

Bo chłopak jest inteligentny. Zrozumiał, jak mało im dał. Pojął, że żaden problem nie został rozwiązany. Że jego twardą determinację,

z której był dumny, można o dupę rozbić. Na nic się nie zda. Że może wrócić do domu i znowu zacząć się bać.

Nikt mu oczywiście tego nie powiedział. Samo wyszło, między wierszami.

Wierzyli mu, były podstawy. Zamordowany był osobistym wrogiem iksa. Nie było się do czego przyczepić w zeznaniach.

Ale gdyby obedrzeć to, co mówił chłopak, z każdego zdania, które wynika z jego interpretacji, to wyjdzie na to, że nic nie widział. To znaczy nic, co by pozwalało postawić kogokolwiek w stan oskarżenia.

Rzecz jasna, nie byłby w stanie rozpoznać mężczyzn w kominiarkach. Ani ich samochodu.

A iks? Tak, oczywiście, jego mógłby rozpoznać, tego nie trzeba kwestionować. Przecież go zna. Ale nie słyszał ani słowa. Co widział? Samochód iksa, jego twarz w oknie, wymianę zdań. To wszystko.

Teoretycznie rzecz biorąc, iks mógł jechać gdziekolwiek. Na piknik do lasu. Mógł się zatrzymać, powodowany obywatelskim niepokojem. Mógł spytać:

– *Co się tu, kurwa, dzieje?*

Mógł usłyszeć:

– *Spierdalaj, dziadek.*

Albo:

– *Kręcimy film.*

Może mieć na to w każdej chwili trzech świadków; przypuśćmy, że byli z nim w samochodzie. Ich zeznania przeciwko zeznaniom dzieciaka, który musiał być wtedy szalony ze strachu, już to, że był pijany, pomijając. Nic nie słyszał, a to, że iks wydaje komuś

polecenia, to tylko jego interpretacja. Wrażenie wywołane mimiką czy gestem. Żaden sąd nie mógłby nic z tym zrobić.

Znowu pat.

Znowu wiadomo, ale nie ma jak udowodnić. Bo to, że jedna z ofiar była wrogiem iksa, to też ulotne, jak plotka. W dodatku nie ma ofiar. Nie wiadomo, gdzie szukać ciała. Gówniana sprawa, pewnie na lata.

W sumie normalne. Dla nich, nie dla chłopaka. Chłopak już zrobił swoje, może wracać. Trzeba mu podziękować, wyjaśnić, że jest bezpieczny, nikt nie będzie wiedział; że groźby w lesie to był tylko taki teatr. Każde morderstwo to kłopot, ryzyko, dodatkowa robota, a ani on, ani jego przyjaciele nie stanowią dla iksa zagrożenia. Nie wyszło, ale może zapomnieć. Dostanie adres policyjnego psychologa.

Nie wiadomo, kto pierwszy wpadł wtedy na ten pomysł. Był czas, że przyznawali się do niego wszyscy, potem nikt. Pomysł był dobry, podstawa logiczna: trzeba to jednak wykorzystać. Zrobić coś teraz, zaraz, dysponując tym, co jest. Takiej okazji nie można zmarnować. Iks był na miejscu zbrodni, to się nie zdarza. Być może w grę wchodzi emocje, więc trzeba w to wejść. Zmusić go do działania, jeśli jest szansa. Sprowokować nieprzemyślany ruch, obserwować, wykorzystać błąd.

No właśnie – prowokacja.

Iks powinien się dowiedzieć, że został rozpoznany. Rozpoznany, usłyszany, może coś jeszcze. Że ma pieprzony problem, na który musi zareagować.

Ale do tego potrzebny był chłopak.

Chłopak?

Pełnoletni mężczyzna, uprzedzony wyraźnie, że ma pełne prawo odmówić. Że zrobił już więcej, niż powinien, że to wyłącznie jego decyzja. Niezależnie od tego, jaka będzie, zostanie uszanowana.

Janusz Zalipski się zgodził.

W wyniku burzy mózgów w ich zespole zrodził się najlepszy plan, na jaki było ich stać. Zadanie Janusza wydawało im się łatwe, ryzyko minimalne, pełna ochrona zapewniona. Miał tylko zadzwonić.

Plan wyglądał tak:

W odpowiednim momencie iks odbierze telefon będący nerwową, amatorską, nieudolną próbą szantażu. Chłopak, który go widział nad jeziorem, rozpoznał jego twarz, znalazł jego numer i adres. Zażąda pieniędzy, zagrozi, że pójdzie na policję, powtórzy każde słowo, które usłyszał w lesie. Zasugeruje, że wie coś więcej, ale nie powie. Wie, bo dobrze znał zamordowanego. Ma coś z jego domu, co według niego jest dowodem.

Iks odpowie pewnie: *Młody człowieku, jak będziesz tak żartował, to jeszcze ci za karę wyłączą telefon.* Albo po prostu przerwie rozmowę. Bo nie jest przecież tak głupi, żeby dać się nagrać, na to nie można liczyć. Teraz będzie chciał wszystko sprawdzić. To łatwe, bo histeryczny szczeniak będzie nieostrożny, jak to dzieciak. Prywatny numer ma się wyświetlać na telefonie.

Kiedy iks sprawdzi, wszystko będzie się zgadzać. Będzie już miał namiary chłopaka – tamten zadzwoni z własnego domu.

Już samo to sprawdzanie może być interesujące.

Potem iks musi coś zrobić, nie ma szans, że nie. Cokolwiek.

A jak pójdzie po prostu do adwokata? Wtedy będzie po sprawie. Ale chyba nie jest aż tak perfekcyjny w swojej pozornej

praworządności. Nie wie przecież, co ma na niego naiwny desperat.

Zanim Janusz Zalipski zadzwoni, oni będą mieli iksa pod ścisłą obserwacją. Podsluchy w obu telefonach, nie tylko w tym dostępnym. Zamontują w mieszkaniu, co trzeba. Jeżeli uda się to załatwić, wejdzie ekipa z jedną z tych nowoczesnych zabawek, którymi można na odległość rejestrować rozmowy na otwartej przestrzeni. W ulicę pójdzie tyle osób, ile dadzą kadry.

Zalipski będzie miał w domu, przy sobie trzech ludzi, kamerki na wszystkie wejścia i alarm. Musi tylko załatwić rozmowę, dokładnie wtedy, kiedy dadzą sygnał. Potem czekać.

Tak wyglądał plan. Wszystko jak w filmie.

Żeby to przygotować, potrzebowali co najmniej kilku dni, jeszcze zanim zacznie się montaż urządzeń. Sprawy formalne, uruchomienie specjalnych środków, kasa, dodatkowi ludzie, koordynacja... Więcej roboty przed niż w trakcie. Niestety, tak to właśnie wygląda. Zalipski utrudnił całą rzecz, stawiając warunek. Zażądał ochrony dla trójki swoich przyjaciół. Chociaż, według jego zeznań, oni byli bezużyteczni, nic nie wiedzieli, nawet nie widzieli iksa. O mały włos o to właśnie wszystko by się rozbiło. W końcu udało się załatwić zgodę.

Młody mógł stawiać warunki. Zaraz na wstępie, przy pierwszej próbie wyszło, że się nadaje. To, co miał powiedzieć iksowi, mówił jak trzeba. Nie wymagał nawet przeszkolenia. Do czasu akcji był wolny. Miał siedzieć w domu, nie wychodzić. Udawać, że dalej pije, na wszelki wypadek. Zabronili mu wszelkich kontaktów, pozornie dla bezpieczeństwa, naprawdę – żeby się komuś nie wygadał. Sprawdzili, czy przypadkiem nikt go nie obserwuje, potem powtarzali to co jakiś czas. Gdyby tylko coś go zaniepokoiło, gdyby

miał jakieś wątpliwości, gdyby po prostu poczuł, że gorzej się czuje, miał dzwonić do swojego opiekuna. Ten z kolei co kilka godzin wciągał go w dłuższą rozmowę, żeby zbadać, w jakiej jest formie. Jak wynika z papierów, Zaliński dostał nawet narzędzie samoobrony. Raczej po to, żeby się czuł bezpiecznie niż z potrzeby. Jak na ten etap sprawy wręcz przesadne środki ostrożności.

Przygotowania wkroczyły w ostatnią fazę. Sprzęt w mieszkaniu iksa został zainstalowany bez problemów – kobieta od sprzątanía uwierzyła w prosty kamuflaż.

Trzynastego maja 1994 roku, na dzień przed planowanym początkiem akcji Janusz Zaliński nie odebrał porannego telefonu od opiekuna. Nie oddzwonił.

Znaleźli go w domu martwego. Miał we krwi absurdalną dawkę narkotyku.

Zapanował kompletny chaos, dezorientacja. Wszystko poszło nie tak. Nikt nie rozumiał dlaczego. Wiedzieli tylko jedno – Zaliński nie zabił się sam. Wskazywały na to ślady na jego ciele i w domu, które ktoś próbował nieudolnie zatrzeć. Kamera skierowana na furtkę – na razie tylko na próbę, żeby potem poprawić ustawienia – zarejestrowała sylwetki dwóch wchodzących ludzi.

Zespół odebrał to jako kompletną klęskę, katastrofę. Niektórzy nie mogli się pozbierać. Zamiast pracować od podstaw, gubili się w domysłach – jeden wydawał się głupszy od drugiego, a wszystkie w jakimś stopniu prawdopodobne.

Może mafia się dowiedziała, że Zaliński poszedł na policję? Jeżeli nawet, co z tego – przecież to nie jest jakaś cosa nostra. Nie bawiliby się w zemstę po fakcie. Morderstwo w tej sytuacji było

kompletnie niewytłumaczalne. Gdyby wiedzieli, zajęliby się montowaniem alibi.

Przeciek z zespołu o całej akcji? Tym bardziej. Wystarczyłoby, że iks po prowokacji nic nie robi. Byłby czysty. Punkt dla niego, przeciw chłopakowi, potwierdzenie niewinności.

A jeśli Zalipski postanowił działać na własną rękę? Spodobał mu się pomysł z szantażem, który mu podsunęli, zadzwonił wcześniej? Przecież nie można tego odrzucić tylko dlatego, że nie zgadza się z jego profilem psychologicznym.

Zupełnie inny motyw – całkiem inna sprawa?

Wszystko bez sensu.

Jednak powoli, krok za krokiem coś się zaczęło z tego wyłaniać.

Dzięki temu, że iks już był pod obserwacją, udało się odtworzyć jego nietypową aktywność dzień przed zabójstwem. Pewien kontakt, którego dotychczas nie było – rozmowę przez telefon, potem spotkanie. Kontakt prowadził w ciekawym kierunku.

Zdjęcie z kamerki zostało w końcu tak wyostrzone, że dało obraz twarzy. Jeden z bezpośrednich sprawców morderstwa Zalipskiego był notowany.

Gdyby udało się znaleźć powiązania, kolejne kontakty, przeprowadzić infiltrację, wykorzystać wykonawcę zlecenia, pójść dalej...

Jeszcze coś mogło z tego wyniknąć.

Był tylko jeden warunek: iks musi mieć pełne poczucie bezpieczeństwa. Nikt nie może nic wiedzieć o śledztwie w sprawie śmierci chłopaka. W świat musi pójść wiadomość, że żadnego śledztwa nie ma. Najlepiej, żeby media podały krótką informację o narkomanie, który przedawkował. Nie tylko media. Całe

środowisko Zalipskiego musi znać taką wersję. Żeby morderca mógł zdobyć pewność, że wszystko poszło zgodnie z planem.

O sprawie może wiedzieć tylko ścisły zespół. Tym bardziej że podejrzenie przecieku wcale nie zostało obalone. Klauzula tajności obejmie wszelkie działania.

Lekarz medycyny sądowej miał wątpliwości. Gdyby przyjrzał się temu ktoś, kto się zna na rzeczy... To nie wygląda jak przypadkowe przedawkowanie. Nie taka dawka. Zabójca spieprzył sprawę, a jego zleceniodawca może się o tym dowiedzieć. Zbyt naiwne, że policja na to poszła. Bezpieczniej będzie przyjąć wersję o samobójstwie. Po wszystkim można ją będzie zdementować.

Tak zostało.

Śledztwo trwało długo, ponad trzy lata. Od początku prowadzono je z rozmachem, ryzykownie. W kontakt z zabójcą chłopaka wszedł agent, który świetnie się sprawdził, przenikając w głąb grupy. Z czasem wprowadził kolejnych. Udało się pozyskać kogoś, kto został później świadkiem koronnym. Infiltracja człowieka, z którym spotkał się iks, przyniosła zaskakujące efekty.

Paradoksalnie wszystko dzięki tej pierwszej klęsce.

Dzięki temu, że mieli w ręku mordercę Zalipskiego. Że morderca Zalipskiego pozostał na wolności. Że dowód przeciwko niemu można było wykorzystać na różne sposoby.

Gdyby planowana prowokacja się udała, skończyłoby się na oskarżeniu iksa. Tymczasem iks stał się tylko punktem wyjścia.

Przy okazji wykryto oczywiście, czemu doszło do morderstwa na Saskiej Kępie.

Sprawa skończyła się dużym sukcesem. Sukcesem, można powiedzieć, na skalę międzynarodową. Rozbudowana siatka

przestępcza przestała istnieć.

Tylko z ujawnieniem prawdy o śmierci Janusza Zalipskiego coś nie wyszło.

Ktoś nawet o tym pomyślał, nie to, że nie. Ale akurat nie było z kim rozmawiać. Ojciec na leczeniu psychiatrycznym. Matka być może już wie – jeden z tych, co wiedzieli wszystko, był z nią przed laty związany; złamał się zaraz na początku, potem odszedł. Młodzi, którzy byli wtedy z Zalipskim, uciekli za granicę. Kranc wrócił, ale zniknął z ewidencji.

To nie była już wtedy pilna sprawa. Znacznie mniej pilna od wielu innych. Mogła poczekać. W końcu poszła w zapomnienie.

Tymczasem ci, którzy mogli za nią odpowiadać, zmieniali kompetencje. W toku kolejnych przetasowań pięli się w górę albo spadali w dół. Mijały lata.

I pewnie nikt by już do niej nie wrócił, gdyby nie Andrzej Hubka, który pracował w małopolskiej policji. Stopniowo, powoli awansował. Dwa lata temu dostał przeniesienie do Warszawy. To, że nazwisko jego brata jest w systemie, wyszło podczas rutynowego sprawdzenia. Sam Hubka nie miał o niczym pojęcia. Miał prawo wszystkiego się dowiedzieć. Znaleźć kogoś, kto przy tym był.

Zapytał, czy jego brat wie, że ci, przed którymi uciekł, dawno zostali skazani.

Nie umiał mu odpowiedzieć – nie wiedział po prostu. Wspólnie doszli do tego, że chyba nie było żadnych rozmów, nawet z rodziną Zalipskiego. Na pewno nie było formalnego *dementi* w sprawie samobójstwa – jakkolwiek coś takiego miałyby wyglądać.

Andrzej Hubka wziął to na siebie. Obiecał, że porozmawia z bratem, a potem brat albo on, a może obaj razem zajmą się

rodzicami przyjaciela Bartka. W odpowiednim momencie, z wyczuciem, delikatnie. Tak, żeby najpierw sprawdzić, co oni naprawdę wiedzą. Czy potrzebny jest im jeszcze do czegoś policyjny papier. Bo może nie trzeba rozdrapywać ran.

Hubka twierdził, że brat się zgodzi. To było dobre rozwiązanie.

Poleciał do Londynu, wrócił zadowolony. Bartosz załatwi wszystko sam, przyjedzie w święta. Tak będzie lepiej, brat lepiej się nadaje.

Znów można było zapomnieć.

I co on ma powiedzieć na zakończenie temu ojcu? Po piętnastu latach?

– Śmierć Pana syna nie poszła na marne?

Bullshit.

Ja wtedy tylko wykonywałem... o Jezu.

Chciał rzucić peta na mokry trawnik, nie trafił. Żar spadł na dach czyjegoś samochodu.

Zadzwoił telefon z portierni.

– Panie inspektorze, pan Adam Zalipski do pana, na wezwanie.

– Zaraz po niego zejdę.

CZĘŚĆ PIĄTA
ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA

Rozdział XVIII

Gdyby taki klient, jak ten, zjawiał się raz na pół roku. Raz na rok nawet. Ech, marzenie! Colette wypoczywała, od sześciu dni już nie musiała chodzić na ulicę. Kasa płynęła równo, za każdy dzień, jak na jakimś etacie. Miała fart jak rzadko. Facet szukał takiej, która bywa tam co noc, właśnie w tym barze, pod tym hotelem. Takiej jak ona. Znają ją tam, zagadują z imienia, normalka, że jest, była zawsze. I żeby umiała mówić po angielsku. Colette umiała, nauczyła się w młodości, gdy w wakacje pracowała w Londynie. Oprócz tego wymagania miał niewielkie. Wziął dla niej pokój okno w okno z jedną babką. Kazał patrzeć, pilnować, a gdyby coś się zmieniło, dzwonić. Zapamiętywać wszystko. Ale już wtedy, gdy się umawiali, wiedział, że to nie będzie trudne, nie było co podbijać ceny. Ta babka, Amerykanka, była tam od kilku dni. Nie wychodziła prawie wcale. Tylko do baru, do jej baru, prawie zawsze o tej samej porze. Nie wychodziła, bo dawała sobie w żyłę. Może nie w żyłę, może brała jakieś prochy. Zadekowała się tam, gdzie nikt o nic nie pyta, w tanim hotelu z pokojami na godziny. Zaliczała odjazd za odjazdem, potem spała. A Colette mogła spokojnie oglądać seriale, leżąc w łóżku cały dzień, sama. Pod wieczór, kiedy tamta miała wyjść, brała prysznic. Małe okienko w łazience zachodziło parą. Wystarczyło się ubrać, zejść do baru. Patrzeć, czy go przypadkiem nie ominie, nie pójdzie dalej. Nie omijała nigdy. Zamawiała *croque-*

monsieur i karafkę najtańszego wina. Zjadała zawsze tylko połowę. Schodziła chyba po to, żeby chwilę być wśród ludzi. Colette nie potrafiła rozpoznać, co ona bierze, ale o tej porze, wieczorem, była na haju, nabuzowana. Zagadywała po angielsku do barmana, który udawał, że rozumie. Strzelała oczami. Gdyby ktoś chciał ją poderwać, to by się pewnie dała. Ale miejscowi, zawsze ci sami, woleli swojskie dziewczyny, takie jak Colette. Mijało jej to szybko, godzina i było po sprawie. Kiedy płaciła, ręce jej się trzęsły, oczy błyszczały. Szła do hotelu, brała coś, czasem piła. Spała do południa, potem znowu. I tak w kółko.

A ona musiała tylko opowiadać, sumiennie, dokładnie, gest po geście, krok po kroku. Ten, który płacił, był chyba zadowolony z Colette.

– Spróbuj się do niej zbliżyć, jeżeli będziesz mieć okazję. Tak, żebyś mogła na przykład zapytać, jak długo tu zostanie. Nie udawaj nikogo, kim nie jesteś, nie graj niczego. Gdy trafi się okazja, to ją wykorzystaj. Jak się nie trafi, to nie.

Za to, że od tygodnia nie widziała fiuta, była gotowa spełniać dziwniejsze zachcianki. Czekwała na okazję od trzech dni. Okazja się trafiła, właśnie dzisiaj, teraz.

Pierre la Cure-dents, ten niewyżyty dureń, zastartował do Amerykanki. Wykonał swój stały numer: kazał barmanowi dać jej drinka, a sam poszedł do kibla, żeby przy okazji się przyczesać; potem miał się obok niej przy barze. Colette szybko poskładała w myśli obce słowa, złapała zaskoczone, rozbawione spojrzenie Amerykanki.

– O, z nim to ja bym nie radziła.

– *Do you speak English?* – radość była w tym pytaniu.

– *Yes, I do.* Ale z nim to ja bym nie radziła, nawet po francusku. Wygląd ma, ale to świnia. Mówią na niego *la Cure-dents*, nie wiem, jak to się nazywa po angielsku, takie cieniutkie, króciutkie, do dłubania, jak tam stoi.

Amerykanka zachichotała:

– *Toothpick.*

– Właśnie. Chcesz, to ci coś o nim opowiem. Nie zrozumieją nas, nie ma obawy. – Colette przysiadła się bliżej i powiedziała Amerykance, czemu dziewczyny nie idą z *la Cure-dents* nawet za pieniądze. Gdy tamten wrócił, zobaczył, co jest grane, i ominął je szerokim łukiem, choć szklanka, ta od niego, była pusta. Nie musiał znać języka. To, jak gadały, jak patrzyły, wystarczyło. Amerykanke rozbawiło, że go z tym drinkiem załatwiła na perłowo – już zapłacił.

Colette spytała, czy może za nią skończyć *croque-monsieur*. Równo, do grosza, odliczyła za połowę. Oddała, choć tamta nic nie chciała wziąć.

– Nie o to chodzi, nie myśl sobie, ja mam kasę. Cały to dla mnie za dużo, jak dla ciebie, dbam o linię. Połowy nie sprzedadzą. Co się ma marnować.

Więcej już dziś nie mogła zdziałać. Amerykanka kręciła się nerwowo, zacierała ręce.

– Idę.

– To ja też. Mieszkam chyba blisko ciebie.

Zgadały się, że ich okna wychodzą na to samo podwórze, ustawione są pod kątem, z jednego pokoju widać drugi.

– Płaci za mnie jeden stały klient. Na dwa tygodnie pokój kupił. Porządny facet, chyba się zakochał, ja już od dawna tylko z nim.

Rzadko przychodzi. W moim wieku to jest coś. – Miała nie grać, ale to było takie ładne.

– Chyba jesteś młodsza ode mnie.

– No, chyba nie. Długo będziesz?

– Zaraz trzeba sobie zrobić kwarantannę.

– Co to jest?

– A, nic. Jeszcze jutro będę w barze.

– Fajnie. Bo mnie się nudzi tak tu czekać na tego mojego.

Pomachały do siebie pod drzwiami. Amerykanka tej nocy zasłoniła okno, ale firanki były cienkie, tylko łapały cienie. Jej cień tym razem dłużej był w ruchu. Niestety, zanosilo się na zmianę. Może jeszcze chociaż dwa, trzy dni, dwie, trzy noce.

Tomek musiał to puścić Sandrze. Opowieść Krantza była przecież przeznaczona dla niej. Musiał, więc to zrobił. Następnego dnia wieczorem. Patrzył na nią, kiedy słuchała.

I tak bardzo, bardzo chciał zrobić coś, co pomoże jej przez to przejść. Nie wiedział, co. Zabrał ją – ogłuszoną, zamkniętą, jakby otumanioną – na spacer. W te rejony Paryża, które ludzie odwiedzają najchętniej. To było pudło, pudło kompletne. Zrozumiał to pod fontanną Strawińskiego. Ci wszyscy młodzi, tacy do siebie podobni, choć różni. Z tymi swoimi gitarami, fantazyjnymi kapeluszami na głowach. Mówiący po angielsku, rosyjsku, hiszpańsku, zaczepiający się nawzajem. Rozgadani, weseli, pełni życia. Musieli jej się kojarzyć z nim, z tamtym czasem. Z tamtym Januszem, który umarł, gdy miał mniej więcej tyle lat, co oni. Z gwałtownym końcem jej własnej młodości.

Nie śmiał się do niej odezwać. Każde zdanie wydawało mu się głupie. Ona też długo milczała. Odezwała się dopiero, gdy doszli nad rzekę:

– Nie martw się, Tomek. Dobrze się stało, że wiem. Nie rozumiałam, teraz rozumiem. Krantz ma rację, to nie było samobójstwo. Zabili go. Tak jest przecież lepiej. No, wiem, jak to brzmi. Ale tak jest lepiej. Jego rodzice muszą się dowiedzieć. Muszę wracać.

– A ten człowiek, który mieszał w twoim życiu?

– Jakie to teraz ma znaczenie?

Szli bulwarami bez słowa. Tomek znów myślał o Sępie.

O tym, czy to możliwe, że nic nie wie.

– Już rozumiem, dlaczego tak się dzieje z Martą.

– Jak?

– Ten jej blog, zdjęcia, to wszystko... Wygląda tak, jakby zapomniała, prawda?

– Może.

– Wtedy, gdy jej szukałam, dowiedziałam się o niej dużo. Miała poważne kłopoty. Po trzech latach małżeństwa mąż chciał jej odebrać prawa do opieki nad dzieckiem. Powód: nadużywanie środków odurzających. Wybroniła się, do rozwodu nie doszło, wylądowała na przymusowym leczeniu. Trzy lata później trafiła do szpitala na odtrucie. Teraz to chyba wygląda tak, że na co dzień wszystko jest w porządku. Ale ona co jakiś czas znika. Wykupuje niby jakąś wycieczkę, żeby dzieci nic nie wiedziały, jedzie za każdym razem gdzie indziej. Mąż wie. Godzi się z tym, bo ona umie narzucić sobie sztywne granice. Jak wraca, znów jest porządną panią Johnson. Takie podwójne życie.

– Skąd wiesz?

– On rozmawia na różnych forach, takich dla rodzin uzależnionych. Myśli, że jest anonimowy, łatwo go podejść. Teraz z Martą pewnie też tak jest. Biedna, wtedy się zaczęło. Od tych psychotropów. Bierze, żeby zapomnieć.

Dochodzili właśnie do mostu, pod którym bulwar wiedzie tunelem. To miejsce zawsze kojarzyło się Tomkowi z *Grą w klasy*. Miał o tym Sandrze powiedzieć, kiedy jasne światło tunelowych lamp wydobyło z cienia jej profil. Zrobił coś, o czym myślał już kiedyś w przypiływie czułości – pocałował bliznę na jej skroni. To miał być ciepły, opiekuńczy gest, taki braterski. Na nic innego teraz by się nie odważył. Ale ona chyba zrozumiała go inaczej.

Bo jakoś doszło do tego, że poczuł dotyk jej ust i starał się, jak mógł, żeby ten pocałunek był dla niej przyjemny. Jeśli miał być jej środkiem odurzającym, metodą na to, żeby zapomnieć – mniejsza z tym. Teraz to nieważne. Teraz liczyło się dla niego tylko to, czy będzie umiał znaleźć coś, co sprawi, że ona mocniej do niego przywrze, że jej oddech stanie się szybszy, z twarzy zniknie bladość. Udawało się świetnie. Tak świetnie, że nie był pewien, czy potrafi zapanować nad własnymi reakcjami. Kloszard, który mościł sobie śpiwór kawałek dalej, odszedł dyskretnie na bok. Świat zwariował.

– Jedźmy do nas.

– Sandra, jeżeli nie chcesz, powiedz tylko...

– Nie mów nic.

W taksówce pieścił jej rękę. Zastanawiał się, czy to wszystko dzieje się naprawdę. I jak się zabezpieczyć. O tym, czy te wszystkie dziwne uczucia to miłość, nie chciał myśleć. Bez przesady ze słowami. Pachniała dzisiaj betadine – zanim wyszli, odkażała sobie

jakieś małe skaleczenie. Dziwne, że tak właśnie miał ten zapach zapamiętać.

– *Bardzo dobrze, Colette, bardzo dobrze. Nie pytaj o nic, nawet o imię. Mów o sobie. Będziesz wiedziała co, mądra dziewczyna z ciebie. Masz wyczucie. Ważne też, żeby nie za dużo. Zostaw dla niej miejsce. Nie martw się, jak nic z tego nie wyjdzie, już masz premię. Zrobiłaś więcej, niż chciałem.*

– Wiesz co, ty się tu wykosztujesz, w tym barze. Dobrze, że Eryk nie rozumie, co ja mówię. Wiesz, ile on zarabia na karafce? A dużo lepsze wino można kupić u Araba, wyjdzie trzy razy taniej.

– Colette, tak jest na całym świecie, kotku. Przecież wiem. Nigdy cię ściany nie duszą? Przecież sama tu przychodzisz.

– Czasem ciągnie do ludzi.

– No, powiedzmy.

– To chodź do mnie, u mnie jest taki mały balkonik, zmieszczą się dwa krzeselka. Albo usiądziemy sobie na podwórzu. Tam fruują takie fajne nietoperze.

– Ja właśnie miałam już iść. Tylko chciałam jeszcze trochę. Bo od dziś tylko wino piję, do końca. Potem nic.

– No to kupimy sobie na spólkę, na rogu, jest dużo lepsze. Chyba, że nie chcesz.

– Czemu nie.

Była dziś inna – nie naćpana, nie na głodzie. Tak jakby trzeźwa i pijana jednocześnie. Włała już w siebie trzy karafki. Ręce jej nie drżały, ale oczy były dziwne. Colette nie wiedziała, jak to jest. Jak można ćpać, potem nie ćpać, z dnia na dzień.

Ale to nie był jej problem, nie musiała nic rozumieć.

Mądra z ciebie dziewczyna. Masz wyczucie.

– To chodźmy, bo zamkną sklep. Dziś ci opowiem, jakie to miejsce, ten nasz hotel. Co się tu dzieje. Chyba nie wiesz.

– Nie wiem.

Dwie pary obcasów zastukały o bruk, na którym blask lampy rozpiął cienie dwóch sylwetek.

Sandra przespała się dziś z Tomkiem. Kochała się z nim przez pół nocy. Ta myśl powitała ją, zanim jeszcze otworzyła oczy. Po to, żeby zobaczyć, że on leży obok, na brzuchu, z ramionami rozrzuconymi szeroko. Głowę ma zwróconą w jej stronę. Uśmiecha się przez sen.

O rany, rany, rany. Ale się porobiło.

I to właśnie teraz, kiedy dowiedziała się o tamtym. Spokojny głos Krantza znów przywołał to, co kiedyś wyparła ze świadomości. Zmienił obraz świata. Trzeba się z tym pogodzić. Przeprowadzić kilka trudnych rozmów. Dowiedzieć się czegoś więcej, jeśli to możliwe. Tam, w Polsce.

A ona, tutaj...

To, co się wczoraj stało, to było coś.

Albo trafiła na najlepszego kochanka w swoim życiu, albo – i oby tylko nie to – w grę wchodzi jej mocne zaangażowanie emocjonalne. Bo w tych momentach, w których mogła się spodziewać przyjemnego dreszczu, jej ciało przyjmowało znacznie więcej. Poddała się tej nocy jakiejś ekstazie, reagowała tak, że nawet teraz, kiedy on leżał obok, na samo wspomnienie trudno jej się było powstrzymać, żeby go nie dotknąć.

A przecież miała się z nikim nie wiązać.

A zresztą kto tu mówi o jakimś związku?

On chyba nie.

Cholera, ma kłopot z samą sobą.

Wstała cicho i szybko, żeby go nie obudzić. Kiedy oglądała swoje ciało w lustrze, patrzyła na zbyt sterczące żebra, zbyt małe piersi – wszystko teraz dla niej było *zbyt* – wyrzucała sobie ten jeden gest, jeden ruch, bez którego do niczego by nie doszło.

A jednak nie żałowała.

Bądź tu, człowieku, mądry.

Postanowiła jak najszybciej wyjść. Bo jeszcze zrani go czymś niechcący, zdradzi się jakimś niepotrzebnym słowem. Przecież teraz powinno jej być z nim dobrze, zasłużył na to. Po tym, co dał jej wczoraj, ma prawo się spodziewać, jeżeli już nie szczęścia, bo rzecz się stała w złym czasie, to przynajmniej ciepła, cholera, no, wzajemnej wdzięczności. Kawy podanej do łóżka, jeżeli wstała pierwsza, pocałunku na dzień dobry. A ona czułaby się sztucznie z takim zachowaniem. Bo boi się życia, siebie, jest popieprzona, myśli teraz o Oskarze, o śmierci Janusza, o Marcie, o Dominique – a między tym wszystkim o tamtym dotyku, którego wspomnienie znów wywołało na twarzy wypieki.

Przydałby się psychoanalitik.

A gdyby się tak przytulić, położyć głowę pod ramieniem, opowiedzieć...

O, nie.

Ubrała się szybko, odrzucając ze złością bluzkę, która wydała jej się zbyt wyzywająca. Zamykając za sobą drzwi, usłyszała w pokoju jakiś ruch. Zbiegła ze schodów.

Gdy Sandra wróciła, w mieszkaniu była Dominique. No, gorzej to już nie mogło wyjść. Dominique rozparta na sofie, niedbale wykładająca na krzesło swoje piękne gołe nogi, tak bardzo tutaj u siebie, jak zawsze i wszędzie. A on przez cały dzień czekał na ten moment, kiedy będzie mógł ją po prostu przytulić na powitanie. Sandrę. Dzwonił do niej kilka razy, ale nie odbierała. Wysłał uśmiech, bo nie miał pomysłu, co napisać. Kupił wino i włoskie przystawki na kolację. Teraz o żadnym przytuleniu nie było mowy. Nie ten klimat.

Dominique opowiadała o swojej rozmowie z Bertrandem, który odnalazł się nagle, kiedy już było po spotkaniu z Krantzem:

– ...śmiał się z fabryki. *Carlos! Na pewno Carlos, czyli portier, razem z synem*, tak powiedział, kiedy mówiłam mu o tych w maskach, co cię przeszukali. Nie chciał wiedzieć, co było na płytce. *Cicho, zachowaj to dla siebie, jak już słyszałaś. To nie moja sprawa*. Mam wrażenie, że mu ulżyło. Chyba bał się twojego kontaktu z tym człowiekiem. Dziwne, Bertrand rzadko się czegoś boi. Sandra, co teraz planujesz?

– Wracam. Muszę porozmawiać z rodzicami Janusza. Może potwierdzić to jeszcze jakoś wcześniej. Sprawdzić, co się da.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. Dominique, dziękuję ci, dziękuję wam za wszystko. – Bardzo dziwnie, bardzo sztucznie to zabrzmiało. Choć intencje pewnie Sandra miała dobre. Znając Dominique, domyśla się już wszystkiego. To nic złego, mógłby jej przecież powiedzieć, ale skoro tego nie zrobił, to jednak coś tu nie gra. Jest niezręcznie.

– Może jesteście głodne?

– Uroczysta kolacja? Chętnie. – Rzeczywiście, w głosie Dominique było coś takiego, ironia albo rozbawienie. Chociaż bez przesady. Być może to tylko jego wyobraźnia.

– Nie, przepraszam, ja muszę wyjść, ja nie mogę. Umówiłam się. Jak wrócę, to kupię sobie bilet. Dominique, jeżeli miałybyśmy się już nie zobaczyć...

– No nie, na pewno znajdę czas, żeby was odwiedzić na lotnisko. Nawet jakbyś kupiła na jutro.

– Ale, Sandra, zostań. Albo pójdę z tobą.

– Nie, nie, nie mogę.

Uciekła, zanim zdążył wyjść za nią do przedpokoju.

Dominique gwizdnęła cicho.

– Wiesz, Tomek, jeżeli między wami coś jest, to ja wam tylko powodzenia życzę. Nie po to się z tobą rozwiodłam, żeby teraz była jakaś zazdrość.

– Jej to powiedz.

– Widzisz, nie da się. A ona, w niej się kotłuje. Niedobrze.

Rozmawiali jeszcze długo o Sandrze, zajadając włoskie przystawki. Tomek był szczery, a Dominique przyjazna, kobieco pomocna, pełna dobrej woli. Taki miała styl. Czy ją to coś kosztowało, nie umiał ocenić. Sandra nadal nie odbierała telefonu. Kiedy się w końcu położył, około trzeciej, wciąż jej nie było.

Obudził go syk ekspresu do kawy. Sandra chyba wcale się nie kładła. Jeżeli tak, to na pewno nie tu, nie z nim. Włożył dzinsy, poszedł do kuchni. Trzymała w dłoniach parujące filizanki.

Odgradzały go od niej jak szybkie słowa, którymi go przywitała, gdy tylko stanął w drzwiach:

– Zmiana planów, Tomek. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie Marta. Marta, wyobrażasz sobie? Odnalazła się, jest w Paryżu. Rzeczywiście było z nią tak, jak myślałam. Chyba. Nie przyznała się, bo niby czemu miałyby mi takie rzeczy opowiadać. Ale sugerowała coś, mówiła, że potrzebowała samotności, że się zdenerwowała w Warszawie tym wypadkiem, że była w dołku, więc nagle zmieniła cały pomysł na ten wyjazd. Nie wiedziała, że jej szukałam, bardzo przeprasza. Chce mi to jakoś wynagrodzić, ten kłopot z nią. W ogóle – spotkać się ze mną, wytłumaczyć, pogadać. To chyba dobrze, nie? Teraz, gdy już wszystko wiem... Na razie oczywiście nic jej o tym nie mówiłam. Marta chce ze mną spędzić dwa, trzy dni. Wypożyczyła samochód w Hertz. Chce ze mną pojechać gdzieś za Paryż, zamki pozwiedzać. Ma swój plan. Poprosiła, żebym prowadziła. Jasne, że się zgodziłam. Jestem z nią umówiona za godzinę, już za godzinę, w Porte Maillot. Jadę. Nie wiem, może Dominique się zgodzi, żeby jeszcze po powrocie... Bo biletu na razie nie kupiłam.

– Już za godzinę?

Unikała jego wzroku, zbyt zajęta tą kawą, mlekiem, wyciąganiem jakichś łyżeczek. Może teraz, kiedy była tak podekscytowana Martą, to nie był dobry moment, żeby się jej narzucać z sobą, swoimi emocjami *po* i gołym torsem.

– Tak, kawę jeszcze zdążymy wypić, już się spakowałam.

– Nie mogę z tobą jechać?

– Wiesz, to by nie było dobre. Kobiece sprawy, rozumiesz. Ona pewnie potrzebuje przyjaciółki, chce pogadać. Biedna. Po tylu latach

to ją jeszcze tak dołuje. O Januszu pewnie będzie, nie da się inaczej. Chyba byś nie pasował.

- W porządku, to ja tu na ciebie czekam.
- Nie musisz...
- Czekam. Odbieraj telefony.
- Przepraszam, rozładował mi się.

Znów zakrzętnęła się wokół czegoś, zbyt szybko i niepotrzebnie. Nie umiał się przebić przez jej speszenie, wątpliwości czy niepewność, cokolwiek to było. No dobrze, niech już będzie tak, jakby między nimi nic nie było. Jeżeli ona tego chce. Do jej powrotu.

Kiedy stanęła w drzwiach, z mocniejszym makijażem i walizką, przytulił ją na moment, niespodziewanie. Zareagowała tak, jakby nie wiedziała, co zrobić z rękami. Zesztywniała w jego uścisku, zupełnie inaczej niż ponad dobę temu. Nic to, będzie umiał ją obudzić, jeżeli da mu chwilę. Za dwa, trzy dni.

- To cześć, Sandra. Ja tu będę.
- Cześć.

Wyszła szybko, tocząc lekką walizkę po schodach, nie oglądając się w swoim sztucznym, zbędnym pośpiechu. Było mu rzeczywiście smutno, że nie będzie jej widział przez jakiś czas. Z drugiej strony – samotność, wolność, można spokojnie pomyśleć. To się przyda. Kiedy zamykał za nią drzwi, miał już plan. Przynajmniej na najbliższe godziny. Pierwszym punktem tego planu była długa kąpiel. Później samotne włóczenie się po mieście. Czuł się z tym planem całkiem dobrze.

Tomek zawędrował w okolice kanałów. Wspominał znane miejsca, patrzył na ludzi, wyobrażał sobie, co będzie za miesiąc, jeśli sprawy potoczą się tak, a co, jeśli inaczej. Czy ze swojej przyzwoitej szkolnej pensji dałby radę kogoś utrzymać przez jakiś czas? Rany, przesada. Sandra nigdy by się nie zgodziła. A on myślał tak, jakby miał zredagować ofertę matrymonialną po pierwszej dobrej randce. Więcej romantyzmu.

Przysiadł w Tabacu na rogu, żeby napić się kawy, zjeść ciastko, pójść do ubikacji. Udo jeszcze chwilami przypominało o sobie. Zagapił się na sympatyczną, z pewnością romantyczną, z pewnością niezwiązaną żadnym węzłem parę. Oglądali wspólnie oferty biura podróży, wybierali coś dla siebie, z ogromną kurtuazją wypytyjąc o preferencje, odrzucając natychmiast to, co budziło wątpliwości partnera lub partnerki. Trudna metoda. On miał obrączkę, ona nie. Może zgubiła. Kobieta, która wysadzała go z forda na światłach przecznicy wcześniej, podała mu parę dziecięcych rolek. Czekają teraz pod stolikiem na lepszy moment. Lecz może by tak zostawić w spokoju te, w sumie dość proste relacje międzyludzkie? Pomyśleć o polityce albo choćby o filmie czy innej sztuce. Bo chyba postarzał się trochę, może zdziecinniał, w każdym razie stał się monotematyczny. Przynajmniej dzisiaj. Zaraz, zaraz. Któż to siedzi tam, tuż za Tabakiem, w barze z kebabem? Wpatruje się bez skrępowania w tę samą parę. A może wcale nie w parę? Ta twarz, tak trudna do zapamiętania – tutaj. Czy to możliwe? Trzeba znaleźć jakiś powód, podejść... Zresztą mniejsza o powód... Tomek chciał się poderwać, łyżeczka spadła na podłogę. Schylił się po nią – uczucie *déjà vu*, zdemaskowane tak boleśnie, ostrzegło go zbyt późno, żeby mógł cokolwiek zrobić. Próbował jeszcze podnieść rękę,

zatrzymując ostatnie przebłyski świadomości. Nie dały się zatrzymać, zgasły, umysł odpłynął tam, gdzie nikt go nie obarcza żadnymi obowiązkami.

– Christophe! Monsieur Christophe, mój drogi! Pan tu utrzymuje porządek, zdaje mi się. Wygląda pan na silnego człowieka. Może mi pan pomóc? Mój siostrzeniec, niech no pan spojrzy. Przyjechał chłopak z prowincji, ech. Czwartej po południu jeszcze nie ma. Parkuję trzy kroki stąd.

Na małym, okrągłym stoliku, pomiędzy dwoma mężczyznami – starszym i znacznie młodszym, zakłopotanym a śpiącym – stała filiżanka od kawy, pusta butelka armaniaku, dwa kieliszki.

– To siostra panu głowę zmyje, jak się dowie, że tak pan jej syna doprawił.

– Żeby to jeszcze. Poszedłem pozałatwiać swoje sprawy, on czekał, kieliszkiem poczęstował, jak wróciłem. Zostawiałem chłopaka przy kawie. Skąd miałem wiedzieć, że już flaszkę kończy. Ale chodźmy, wstyd przed pańskim szefem, przed Clotilde, żoną szefa, będą się z tego oboje natrzęsać co dzień. Jak ktoś nie umie, niech nie pije.

Znajomy właściciele skurczył się, skulił w ramionach, zgarbił, kiedy pomyślał o tej kompromitacji. I dobrze, bo szefowa go nie dostrzegła, kiedy wyjrzała na chwilę do ogródka, zobaczyć, czy zanoszą się na deszcz.

Wstydlivy starszy pan zapłacił z nawiązką rachunek, milcząc o tym, że butelka przywędrowała z zewnątrz. Christophe też milczał, to on powinien dostrzegać takie sytuacje. Zarzucili sobie

rudego chłopaka na ramiona, wsadzili do smarta, odetchnęli z ulgą. Pożegnali się, smart zniknął, trzema szybkimi manewrami włączając się do ruchu.

Christophe był pewien, że zna dobrze tego kumpla szefa, że to jest jeden z tych, co lubią sobie w każdy czwartek wypić. Tylko twarzy i samochodu nie kojarzył. Oni wszyscy w tym wieku są trochę podobni, ale do samochodów Christophe miał oko. Cóż, jak dziś nie zobaczył picia spod stolika. Teraz już zwróci uwagę na tego smarta. Niewiele podobnych było w okolicy.

Rozdział XIX

Tomek budził się jak z głębokiego, zdrowego snu. Próbował zatrzymać resztki sennych obrazów, wyrównać oddech, podarować sobie jeszcze pół godziny, przecież żaden budzik nie dzwonił. Ale czuł dotyk czyjejś dłoni na policzku, lekkie, choć stanowcze poklepywanie, jakby budził go konduktor w metrze – spał chyba na siedząco – kierowca w autobusie, kelner. Kelner?

Gwałtownie otworzył oczy, dobudzony wspomnieniem ostatnich świadomych chwil. To, co zobaczył, nie dało się dopasować do rzeczywistości, z którą stracił kontakt. Nie miał przed sobą ani narożnego ogródka Tabaca, ani jego wnętrza, podzielonego niskimi ściankami na wnęki czy wykusze, w którym ktoś opiekuńczy mógł złożyć śpiącego na jednej z ław. Nie pochylali się nad nim granatowo odziani *pompiers*¹, gotowi udzielić pierwszej pomocy, z jego wołą, czy bez. Nie spoczywał na trawie nad kanałem, pozbawiony tego, co miał w kieszeniach. Nic z tych rzeczy.

Siedział w wygodnym, staroświeckim fotelu z szerokimi oparciami na dłonie, ustawionym jak siedzenia lotnicze, w pozycji pólężącej. Pochylała się nad nim twarz, ta twarz, którą – jak mu się wydawało przez moment – rozpoznał, ale teraz wcale nie byłby tego pewien, gdyby nie to, co się właśnie działo. Ale co się działo? Spróbował się poderwać. Źle skoordynowane ruchy nie pozwoliły na to. Uniesiony

podnózek fotela podciął go, posadził znów, jak małego chłopca, który próbuje uciec od dentysty.

– Niech pan posiedzi jeszcze chwilę spokojnie. Jeżeli ma pan zawroty głowy, za moment powinny ustąpić. Wszystko z panem w porządku. Jest pan bezpieczny. Spał pan godzinę pod wpływem środka, który nie daje skutków ubocznych. Przed panem, na stoliku stoi butelka wody mineralnej, fabrycznie zamknięta. Obok magnez i potas, w firmowym aptecznym opakowaniu. Może pan to wsypać do szklanki, zmieszać, wypić. Ja nie będę dotykał. Dobrze to panu zrobi. Jeżeli nie ma pan ochoty, nic nie szkodzi.

Mężczyzna nie stał już nad Tomkiem. Usiadł naprzeciw, po drugiej stronie niskiego, przezroczystego stolika, na brzegu krzesła, ciekawie wpatrzony w Tomka, pochylony do przodu. Mówił po polsku z lekkim francuskim akcentem. Łagodnym, uspokajającym tonem anestezjologa, który wybudza pacjenta po operacji:

– Pański telefon leży tuż obok. Widzę, że go pan szuka. Ale jeśli gdzieś pan zadzwoni, stracimy szansę na rozmowę. Proszę nie czynić żadnych dramatycznych gestów. Nie wie pan nawet, gdzie jesteśmy. Nie został pan porwany. Jest pan moim gościem.

– Kim pan jest? Jakim prawem mnie pan usypia, już drugi raz? Dlaczego?

Stali teraz naprzeciw siebie, dzielił ich zaledwie metr. Tomek, o wiele młodszy, mógł być silniejszy fizycznie. Ale gospodarz udowodnił, że nie ma z tym problemu. Miał pewnie jeszcze w zanadrzu niejedno.

– Co do prawa, niestety, od razu muszę przyznać: całkiem bezprawnie. Nie ma pan w mojej osobie do czynienia z żadną instytucją. Ale może to miało być takie pytanie retoryczne? Tracę

powoli wyczucie języka. Proszę, niech pan usiądzie, poprawiłem fotel, już nie leży. Będę odpowiadał dalej.

Tomek usiadł, bo nie miał innego pomysłu. Strach – rzecz naturalna, jeżeli traci się panowanie nad własnym ciałem – ustępował powoli, wypierany przez ciekawość. Usiadł w pozycji słuchacza gotowego na długi wywód.

Usypiacz przyjął to z ulgą. Wrócił na swoje krzesło.

– Kim jestem, dowie się pan. Ale to długa historia. A my mamy do rozwiązania problem. Powinniśmy to zrobić najpierw. Potrzebuję pańskiej pomocy. To, że potrzebuję pańskiej pomocy, to jest odpowiedź na pytanie *dłaczego*. Najprawdziwsza.

– Jak mogę panu pomóc, jeżeli nie wiem nawet, kim pan jest?

– Może pan. Panie Tomku, mógłbym się panu przedstawić, używając jednego z trzech, czterech nazwisk. Polskiego, francuskiego, angielskiego, może nawet rosyjskiego. Mógłbym potem pokazać panu stosowny paszport. Nie, nie zwariowałem. Czy zmyślam, żeby zrobić na panu wrażenie, nie umie pan ocenić. Póki co, proszę mówić do mnie Jacques. Tak będzie najlepiej. Będzie pan wiedział o mnie wszystko, co ma związek z tą historią; teraz to już nikomu nie zaszkodzi. Ale przejdźmy najpierw do meritum. Pewien materiał dotarł do mnie dobie później, niż powinien. Błąd, z wiekiem zdarzają mi się one coraz częściej. Dlatego potrzebuję pańskiej pomocy. Dlatego zdobyłem się na to, żeby pokazać panu twarz. Dlatego każda chwila się liczy. W zamian za pańską pomoc – moja tajemnica. Ale po wszystkim. Teraz przejdźmy do rzeczy. Musi pan poznać ten materiał.

W głosie nieznanego, pozornie wciąż spokojnym, opanowanym, zaczęły się pojawiać pierwsze mocniejsze akcenty. Niezależnie od

tego, czy to wariat, czy nie, teraz należało ustąpić.

– Dobrze, Jacques. Co to za materiał?

– Nagranie. Rozmowa miała miejsce trzydzieści sześć godzin temu w Paryżu. Dziewczyna z francuskim akcentem pracuje dla mnie. Ta druga to Marta Johnson, z domu Rymanowska. Znana panu. Puszczę tylko ten fragment, który nas interesuje. Mówią po angielsku. Jeżeli potrzebowałby pan tłumaczenia, jestem, proszę pytać. Zależy mi, żeby zrozumiał pan każde słowo.

Kiedy nieznajomy układał na szklanym stoliku mały dyktafon, nieco bardziej staroświecki od tego, który niedawno został skonfiskowany w starej fabryce Renault, kiedy szukał w swoim nagraniu właściwego miejsca, Tomek miał czas się rozejrzeć. Wnętrze niewielkiego pokoju skojarzyło mu się z zawartością walizki, która wpadła w jego ręce na Okęciu. Nic charakterystycznego, oprócz wielkiego fotela z obiciem udającym bordowy aksamit. Tylko drugi fotel, trochę mniejszy. Krzesło, stolik, prosty tapczan pod oknem. Kremowożółte ściany. Okno osłonięte roletą. Dwoje drzwi naprzeciwko. To wszystko. Mężczyzna – do tej pory Tomek nie znalazł w jego twarzy nic, co pozwoliłoby go komuś opisać. Postanowił przyjrzeć mu się bliżej, gdy będzie słuchał, bo przecież to niemożliwe – umykająca pamięci twarz. Lecz nieznajomy usiadł z boku, tak jakby nie chciał przeszkadzać. Dyktafon został ustawiony. Tomek skoncentrował się na tym, co usłyszał.

W tle „ Streets of Philadelphia” Bruce’a Springsteena, na jakimś słabym sprężcie; chwilami rozmowa z trudem przebija się przez muzykę. Od czasu do czasu z daleka krótkie, przeraźliwe wycie podrasowanego silnika motoru; znacznie bliższy dźwięk szkła, szmer kropli wypełniających kieliszki.

– ...nie, wiesz, no, to chyba głupie, że ja ci takie rzeczy opowiadam. Jak koleżance. A ty z innego świata jesteś, Amerykanka, pani turystka. Ty się nie gniewaj, ale jakie ty możesz mieć pojęcie, jak to jest. Ale to dobrze. Pojedziesz, zapomnisz, że piłaś z jakąś Colette.

– Ciii, daj tego jeszcze raz posłuchać. I nalej mi, dobrze?

(Bruce, szkło.)

– Amerykanka... fajnie. Nie chowałam się w Stanach, wiesz? Nie poznałaś, prawda? W innym kraju.

– W Meksyku?

(lekki, stłumiony śmiech)

– Tak, w Meksyku. Miałam tam trzech kumpli. W jednym z nich podkochiwałam się trochę. Na marne, bo to był pedał.

– Ojoj. Współczuję. Rzeczywiście, każdy swój bagaż niesie. Smutne.

– Myślałaś, że to już koniec?

– No. Myślałam.

– W Meksyku, jak to w Meksyku... Widzieliśmy kiedyś, jak zabili dwóch ludzi. Byliśmy w takim jednym domu, wpadli tam – pyk – i już. Mafia.

– Policja ich złapała?

– Poczekaj, co ty taka szybka jesteś. Daj pogadać. To dziwne, tak o tym słyszeć... Odjazd.

– Przepraszam.

– No. To nie mów nic, dobrze?

Po chwili Marta znów zaczęła opowiadać. Tomek słuchał o zdarzeniach znanych z szarej płytki Krantza – tych samych, ale opowiedzianych inaczej, bajkowo, skrótowo, jakby komiksowo – słuchał, współczuł Marcie i myślał, czy to już wszystko. Czy następny wielbiciel prawdy postanowił zwrócić Sandrze przeszłość?

Może powiedzieć mu, że ona już wie? Mężczyzna zauważył jego rozkojarzenie. Poprosił gestem, żeby uważał. Żeby słuchał dalej, jeśli wszystko rozumie. Rozmawiać będą później.

– *...kopałam ten dół. Brzuch mnie bolał, całe uda miałam mokre. A tamten stał, celował i się gapił. Jestem pewna, że miał wzwód.*

– *Zgwałcili cię?*

– *Nie.*

– *Jak już skończyliśmy kopać, powiedział... o, shit, po angielsku to wcale tak nie brzmi...*

– *A po jakiemu się mówi w Meksyku?*

– *No właśnie, w Meksyku... nie mów mi, że znasz hiszpański. Powiedział, że jak puścimy parę, to nas zabiją i pogrzebią w tym rowie.*

– *O Jezu Chryste.*

– *Uciekłam do Stanów. Potem to już może i byłam pani Amerykanka, jak powiedziałaś.*

– *Przepraszam, nie chciałam cię urazić.*

(krótki śmiech)

– *Nie uraziłaś, kotku. Spokojnie. Nalej.*

– *Biedna jesteś, pewnie nie możesz wrócić, tęsknisz.*

– *No niech tak będzie. Ale wrócić mogę. Zadzwoił do mnie półtora roku temu zimą ten jeden. Ten, w którym się kiedyś podkochiwałam.*

– *Meksykanin?*

– *Tak, Meksykanin. Powiedział, że ich wszystkich potem złapali. Tę mafię. Policja ich wsadziła do więzienia. Już ich nie ma.*

– *Może pan to puścić jeszcze raz?*

– *Tak.*

– Jeśli to prawda, w grę może wchodzić tylko Bartek Hubka. Krantz nic nie wie. To by wiele wyjaśniało... Przez to właśnie zdanie słuchamy?

– Nie. Skoncentruj się, proszę.

– (...) *Meksykanin. Powiedział, że ich wszystkich potem złapali. Tę mafię. Policja ich wsadziła do więzienia. Już ich nie ma.*

– *Chwała Bogu.*

– *Ech. Życie nie jest takie proste, jak ci się wydaje, kotku. Ja nie chciałam srać ze strachu, tak jak oni, przez całe lata. Jeden z tych trzech – z tych kumpli – powiedział, że idzie na policję. No to wiesz już chyba, co zrobiłam, taka głupia nie jesteś. Wiesz? Albo nie mów, bo zaraz coś palniesz tak... Sama ci powiem. Znalazłam tego gościa. Tego, co by na tym wpadł. To nie było trudne. Gdybym nie znała jego nazwiska... Ale znałam. Tam, w tym Meksyku ludzie czasem myślą, że przyjaciół nie ma się co bać. Do głowy im nie przyjdzie, że ktoś może, tak jak ja... Dostałam się do niego, powiedziałam. Powiedziałam, że on chce sypanąć, ten mój kumpel, tylko on jeden, nie ja. Ani tamci dwaj. Że ja ostrzegam. Że to on wie, on może zaszkodzić, on widział, słyszał. Że ja, żeby ostrzec, tylko wszystko opóźniłam. Że ja nigdy, nikomu, nic, chyba dałam dowód.*

No i go zabili, tego kumpla. Koniec.

Tomek wysłuchał tego jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Po raz drugi, żeby się upewnić, czy dobrze rozumie, czy słuch go nie myli, bo słowa były teraz szybkie, ostre, agresywne. Po raz trzeci, żeby zebrać myśli. Marta. Ta Marta, o którą on się bał. To pasowało do opowieści Krantza. To się zgadzało. To było tak niewiarygodne, że nikt na to nie wpadł. To było proste, logiczne. Skąd mafia mogła

wiedzieć, że Janusz Zalipski chce zeznawać? Od kogoś z tamtej trójki. Łatwiej było uwierzyć w jego samobójstwo, niż zadać takie pytanie, przyjmując odpowiedź. Tomek nawet po wysłuchaniu opowieści Krantza na to nie wpadł. Ani Dominique. Ani Sandra. Sandra? O nie, Sandra też nie.

– Ważnych jest jeszcze kilka zdań. Potem porozmawiamy. Może pan już słuchać dalej?

– Tak.

Mężczyzna znowu włączył magnetofon.

Przez chwilę słysząc tylko nalewanie wina.

– *A tam, u ciebie, jak to jest? Wszyscy wiedzą? U matki na wsi nie wiedzą, co ja w Paryżu robię.*

– *Już mówiłaś. Jak startowałaś o tym, jak to ty znasz życie. Myślałam, że nikt nie wie. Tak wychodziło. Tamten, co dzwonił do mnie ponad rok temu, wtedy się dowiedział. Powiedział, wyobraź sobie, że jeśli to będzie możliwe bez kłamstw, przemilczy moją rolę w tej sprawie. Gówna prawda. Ci, z którymi miał gadać, wyciągnęliby to z niego. Ale Bóg, którego ciągle wzywasz, zrobił mi prezent. Ten facet już nie jest problemem. Jest jedna taka... może ona wie. Rozmawiała z nim. Wtedy, rok temu to mi zwiślało. Teraz już nie.*

– *To co się stało?*

– *A co ty taka ciekawska jesteś? Hej, uważaj. Nie nauczyli cię w robocie? Co było w Meksyku piętnaście lat temu – słuchaj sobie. Odjazd głośno powiedzieć. Ale od moich spraw fuck off. Znaj swoje miejsce.*

– Koniec. Dalej już bez znaczenia.

– Czy ona, ta Colette...

– Jest bezpieczna. Wszystko z nią OK. Ale obaj wiemy, że Marta dziś wyjechała z Sandrą. Nie zdążyłem temu zapobiec. Sandra, jak się domyślasz, to właśnie *jedna taka*. Gdzie one są?

– Nie wiem. Wyjeżdżały wynajętym samochodem z Porte Maillot. Samochodem z Hertz. *Pojechać gdzieś za Paryż, zamki pozwiedzać* – tyle mi powiedziała. Chyba sama nie wiedziała więcej.

– *Merde*. Trudno. Trzeba się będzie dowiedzieć. Powiedz mi, co Sandra wie.

Tomek milczał przez chwilę, błyskawicznie szukając w myśli możliwych zagrożeń.

Jacques pokiwał głową.

– Nieufność. Rozumiem. Nic nie poradzę. Ale skoro ja znam to nagranie, niewiele tracisz. Sam oceń. Zaraz, możemy się umówić, że nigdzie nie zadzwonię. Nie ryzykujesz, że to, co mi powiesz, dotrze na przykład do Marty. Wątpliwe zabezpieczenie, wiem. Pozostaje mi prosić. Proszę. Uwierz, że jestem przyjacielem. W tej sprawie. – Mężczyzna wiercił się trochę na krześle. Mówił ze wstydem, skrywając go w nieco ironicznym tonie. Jakby był zażenowany tak nieprofesjonalnym brzmieniem własnych argumentów.

Tomek opowiedział.

Zacytował zdania Krantza, które według niego były ważne. Zdradził, czego Sandra doszukała się w życiu Marty (*biedna, wtedy się zaczęło. Od tych psychotropów*). Oddał najlepiej jak umiał radosną paplaninę z dzisiejszego poranka (*...Marta. Marta, wyobrażasz sobie?*). Podsumował:

– Przez myśl jej na razie nie przeszło.

– Hm. Dobrze. Ale ona jest inteligentna. Krok ją dzieli od tego, żeby coś skojarzyć. Ma różne doświadczenia. Nie jest naiwna. Jest

niebezpiecznie blisko.

– Ja nie wpadłbym na to, gdyby nie twoje nagranie.

– Tomku, i ty, i ja, wiesz, w tej sprawie... Ale o tym później.

Tomek już teraz myślał głośno, zaczynając od punktu widzenia, którego Jacques nie brał pod uwagę:

– Wyobraźmy to sobie: czemu Marta chce teraz z nią być? Żyła przez tyle lat dręczona poczuciem winy, od którego mogła uciec tylko w narkotyki czy psychotropy. Przez czyn, którego się dopuściła w stanie skrajnych emocji, być może nie panując nad sobą, pod wpływem szantażu. Przytłoczona tajemnicą. Dowiedziała się przed rokiem, że Sandra może znać prawdę albo część prawdy. Może chce jej wszystko wyznać? Skończyć z tym, zyskać wybaczenie albo potępienie. Zerwać z tajemnicą. Może poradził jej to – cholera, nie wiem – spowiednik albo psychoanalityk? Nie była w stanie od razu, wykorzystwała pretekst, żeby uciec. Zbierała siły samotnie przez prawie dwa tygodnie. Sandra jest taką osobą, która potrafi to przyjąć. Nie wiem, czy tak od razu wybaczyć. Ale mądrze przyjąć.

Jacques słuchał z powagą.

– Tak, Tomku, tak. Oczywiście, mogłoby tak być. Piękny, głęboki temat. Ja wcale nie kpię, chociaż tak to pewnie zabrzmiało. Bo – przepraszam, powinienem ci to pokazać po nagraniu, pospieszyłem się z pytaniem. Sprawdziłem już, dlaczego Marta powiedziała: *rok temu to mi zwiślało. Teraz już nie*. Macie w Polsce takie powiedzenie: jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o kasę? Może to w Rosji. Proszę, zobacz.

Jacques pokazał kilka wydruków. Kolumny z płatnymi ogłoszeniami lokalnych dodatków codziennych gazet – Polska, Dolnośląskie. Fragment strony internetowej kancelarii adwokackiej

z Wałbrzycha. Jeden z okazałych anonsów był otoczony czerwoną pętlą markera.

*Niniejszym podajemy do publicznej wiadomości,
że na mocy ostatniej woli
Świętej Pamięci Anieli Rymanowskiej
zmarłej 15 kwietnia 2009
roku majątek będący jej własnością,
słynny z tego, że przysparzane przez niego zyski
wydawane są z pożytkiem dla dobra publicznego,
w sposób znany lokalnej społeczności,
dziedziczy z dniem 1 września 2009 roku
Marta Natalia Johnson,
z domu Rymanowska, córka Artura.*

*Zgodnie z tradycją obowiązującą w naszej rodzinie od pokoleń,
od pokoleń ujętą w ramy prawne,
wzywamy każdego, kto posiadłby wiedzę
o jakichkolwiek postępkach spadkobierczyni,
ocenionych jako niemoralne bądź sprzeczne
z zasadami przyjętymi w naszej społeczności,
które czynią ją niegodną zarządzania dobrami rodziny,
do stawienia się w Kancelarii
przed dniem 7 sierpnia 2009 roku.*

*Wezwanie to jest zgodne z ostatnią wolą
Świętej Pamięci Anieli Rymanowskiej.
W imieniu rodziny Rymanowskich
Mec. Wanda Starobielska, adwokat*

(info tel. 606 4325991)

– Przed siódmym sierpnia... Został już tylko tydzień.

– Więc właśnie. A największa fala ogłoszeń, nie pierwsza zresztą, była wczoraj. Jeżeli Marta chce działać, musiała się zmobilizować. Te pieniądze to dla niej szansa na niezależność. W małżeństwie wiedzie jej się źle, przez swoje środowisko jest traktowana z przymrużeniem oka. Ma na koncie niejedną aferę towarzyską. To, co pokazuje w internecie, to tylko fasada, życie, którego by chciała. Jeżeli odziedziczy ten spadek po bezdzietnej siostrze dziadka, może się z dziećmi wynieść do Polski, a potem tylko zarządzać sporym majątkiem; teraz szkoda czasu, później ci powiem, co to. Podziwiana i ceniona jako przybysz z Ameryki, bez przeszłości, bez kompromitujących historii na koncie. Przynajmniej tak to widzi. Nowe życie. A Sandra może jej to zabrać, jeżeli wie, jeżeli w złym momencie wpisze nazwisko w wyszukiwarce, zadzwoni. Marta musi sprawdzić, co wie Sandra.

I oby jej wyszło, że nic.

– Myślisz, że takie coś działa?

– Skoro się boi, pewnie tak. Wiesz, tu nie chodzi o narkotyki czy skandale towarzyskie. To by pewnie nie miało znaczenia. Marta popełniła przestępstwo, nawet dwa przestępstwa. Oczywiście już się przedawniły, ale w tym specyficznym przypadku jest mowa o godności, nie o odpowiedzialności karnej. Nie były błahe. W polskim kodeksie karnym...

– Czekał. Daj pomyśleć.

Tomek poczuł strach. Strach, że coś przegapił, nie dosłyszał, nie zapytał. O tym spadku przecież Sandra wspominała. Mógł sam sprawdzić. Co Sandra tak naprawdę miała w głowie? Pełno tajemnic, wiedzieli to razem z Dominique. Nie, niemożliwe, żeby

ukryła przed nim. Ale może rzeczywiście być o krok. Może powiązać fakty, których nawet on nie zna. Teraz, mając Martę tuż obok, dojść do tego w jakiś inny sposób, zdradzić się z tym. Nawet bez wrogich intencji. Nawet.

– Muszę ją stamtąd zabrać.

Jacques wstał, zatarł ręce i wyjął z kieszeni papierosy.

– No, właśnie o to mi chodziło, chłopcze. Ty możesz. W waszych relacjach każdy dziwny ruch jest uzasadniony. Ja ci pomogę. Zapal. Wypij ten magnez. Dzwon. Dowiedz się, gdzie są. Tylko błagam, nie próbuj jej ostrzegać.

– To nie wchodzi w grę. Jest fatalną aktorką (...dziękuję za wszystko...). Zaraz się zdradzi.

– Dzwon i bądź jak najbardziej naturalny. Gdzie są. Na razie tyle. Jeżeli mogę prosić, włącz głośnik.

Tomek podniósł telefon.

Sandra odpoczywała. Szła dziką ścieżką, na której chciałyby zdjąć buty, patrzyła na piękny, stary, kamienny mur obrosnięty bluszczem i starała się o niczym nie myśleć. Marta też chyba potrzebowała czasu. Była obok, ale milczała od dłuższej chwili. Tak było dobrze. Na początku rozgadana, roześmiana, całująca ze wszystkich stron, energiczna. Potem, w samochodzie cały czas spała. Może przez to, że Sandra nie umiała odwzajemnić jej radości, cieszyć się tak po prostu latem, wyjazdem, wakacjami, jakby nic nad nimi nie ciążyło, żaden temat nie czekał na swój czas. Gdy Marta spała, ona zastanawiała się, jak to będzie. Teraz już przestała szukać w głowie pierwszych zdań. Było zbyt pięknie.

W takiej właśnie chwili wyciszenia odezwał się telefon.

Tomek. Sandra spojrzała na Martę przepaszająco, ale odebrała.

– No cześć. Co u was? Gdzie jesteście?

– Ślicznie tu. Przyjechałyśmy całkiem niedawno. Z samochodem jeszcze potraowało, bo jednak na mnie wzięłyśmy, potem niby półtorej godziny miało być, ale tłok na A cztery. Tak że rozłożyłyśmy się tylko, byłyśmy w takim świetnym ogrodzie różanym – miód z róży kupiłam, jadłeś kiedyś coś takiego? Ja nie. Teraz idziemy do rynku coś zjeść, wzdłuż murów.

– A gdzie to śliczne miejsce jest?

Marta, która słyszała słowa Tomka, zrobiła ten swój żart z minki małej dziewczynki: buźka w ciup, główka przekrzywiona, rączki złożone. Sandrę denerwował taki infantylizm. Ale może to bardzo amerykańskie. Pewnie sama jest winna, miała za mało przyjaciółek. To też trzeba umieć.

– Marta mi tu właśnie żartem przypomina, żeby ci nie mówić. Taki mamy układ. Babski wyjazd, babska sprawa, nikt nic nie wie. Jej mąż też. Nawet telefonów od niego nie odbiera.

Tomek milczał przez chwilę, potem roześmiał się sztucznie. Może go trochę uraziła.

– No, to bawcie się dobrze. Wygodny macie hotel?

– Nie hotel, taki aneks z osobnym wejściem, przy jednym domku. Fajny. Pokój, kuchenka, prysznic.

– Jak plany?

– Jeszcze nie wiem.

– No to cześć.

– Cześć.

Z lekkim żalem przerwała połączenie.

– A któż to był?

Znów aluzyjny uśmiech nastolatki.

– A, jeden taki. Nic specjalnego.

Nie powiedziała tak z niechęci do Tomka. Teraz – przeciwnie, czuła ciepło na myśl o nim, przykro jej było, że nie mogła mu tego jakoś okazać. Ale nie chciała zbliżyć do siebie tych dwojga. Niech Marta będzie daleko. Niech o nic nie pyta. To zbyt intymne i zbyt odległe, żeby jedno z drugim godzić. Nie wiadomo dlaczego, ale tak.

W trakcie rozmowy Tomek pogubił się trochę. Przestraszył, spanikował, potem zaufał, wszystko w jednej chwili. Bo Jacques, który słuchał spokojnie – notując! – po tej beznadziejnej odmowie dał mu całą serię gwałtownych, milczących znaków.

Nie! Nie! Zostaw, nie pytaj drugi raz, nie mów nic, nie proś, zrób tak, jak zrobiłbyś zawsze. Jest dobrze. Po wymuszonym śmiechu Tomka pokiwał głową z aprobatą. Napisał: *Hotel?* – i czekał na koniec rozmowy.

– Ale... samochód na Sandrę, tajemnica, gdzie są – nie widzisz, jak to wygląda?!

– Widzę. A czego mieliśmy się spodziewać? Pech, że tamta była tak blisko. Jeszcze nic się nie stało. Idą między ludzi. Jest dobrze. Sandra bardzo dużo ci powiedziała. Tylko sprawdzę. Dla pewności, schemat poznaję. Ty nie?

Na stoliku pojawił się mały laptop, wyciągnięty skądś wcześniej.

– Półtorej godziny od Paryża, A cztery, słynny ogród różany, wyroby z róż, mury, zapewne średniowieczne, i coś znanego, opisanego po angielsku, bo wybierała Marta. Provins. Te róże jako główny punkt, pierwsze miejsce. Zamek. Szkoda, że o zamku nie wspomniała. Trzeba sprawdzić.

Tomek był zaskoczony, że to takie proste. Był tam dwa razy. Rzeczywiście śliczne miejsce.

– Nie była zachwycona, że cię tak spławia. Ryzykujemy. Wyślij eemes. Teraz zamawiają jedzenie, toaleta, ruch – jak będzie chciała, odpowie. Jak najkrótszy.

Tomkowi trzęsły się ręce, gdy pisał: *PROVINS?*

– Normalną czcionką. I dodaj uśmiech.

Wiedział, co mówi. To było widać. Trzeba było mu zaufać.

Provins? :)

– Świetnie. Czekamy. Tymczasem, czy Marta widziała cię przed tym wypadkiem w Warszawie? W trakcie – nie szkodzi, krew cię zalała. Ale wcześniej?

– Wiesz wszystko o wypadku?

– Ja tam byłem.

Ten człowiek na granicy świadomości – nie teraz.

– Tak. Przez szybę samochodu, ale z bliska.

Jacques przyjrzał się Tomkowi przez kilka sekund.

– Nie ma problemu. Jak się zgodzisz, to cię trochę odmienimy. To bardzo łatwe.

Trochę irytujące było to jego zadowolenie, to dziwne podejście, jakby pracowali sobie wspólnie, dajmy na to, nad jakimś konkursem, w którym każdy zdobywa wygraną.

– Tak trzeba, Tomku, tak trzeba.

Czytał w myślach? To było raczej o wyglądzie.

Wąskie, białe drzwi wiodły na mały, ciemny korytarzyk. Z korytarzyka można było wejść do łazienki – zamkniętej na klucz, sporej, jaskrawo oświetlonej. Obok wielkiego lustra stała szafka. Jacques wyciągnął z niej jakieś specyfiki, zasłaniając sobą wnętrze.

– Jeśli zgadzasz się mieć przez tydzień czarne włosy, wymyj tym głowę. Potem zejdzie. Ogól się, proszę. Wetrzyj w twarz ten krem. Zaraz wrócę.

Tomek posłusznie zrobił wszystko, co kazał mu ten człowiek. Czuł się z tą swoją uległością bardzo dziwnie. Chwilami całkiem pewnie, całkiem dobrze, jak adept w rękach instruktora, profesjonalisty. Chwilami – jak debil. Mniejsza o jego samopoczucie, ale jeżeli to, co robią, to błąd na błędzie? *Przyjacieli...* przyjaciel też może się mylić.

Kiedy wycierał kruczoczarne włosy, Jacques zastukał do łazienki.

– Dostałeś wiadomość. Przeczytałem. Patrz.

Od Sandry: *Tak* :).

– Jedziemy. Pozwól, że dokończę z twoim wyglądem. – Jacques, jak paryski fryzjer, przygładził coś, przyczesał, przyklepał, wysuszył. Tomek o czarnych, miękko ułożonych włosach, śniady nagle, gładko ogolony, z przyciemnionymi brwiami – zmienił się. Nie tak, żeby go nie rozpoznać, ale to, co było dla niego charakterystyczne, co się rzucało w oczy, zostało zastąpione innymi cechami.

Jacques tymczasem też coś ze sobą zrobił. Jego twarz – twarz bez właściwości – nabrała charakteru. Emerytowany agent ubezpieczeniowy, może były sprzedawca – takie mógł budzić skojarzenia. Może przez okulary, może przez fryzurę, w zasadzie – nie wiadomo czemu.

Byli gotowi.

– Co z adresem?

– Jeżeli będziesz prowadził, znajdę po drodze. Ale dam ci samochód dopiero na Boulevard Péripherique.

Świetnie. Tomek nie zdziwił się nawet, kiedy w podziemnym garażu wsiedli do smarta, który rozwinął większą prędkość niż ta,

z którą kojarzyło mu się to auto. Tak bardzo chciał, żeby było już po wszystkim. Żeby Sandra – nieważne, zadowolona czy nie – była obok, w jego zasięgu, dostępna, czująca, słyszająca, myśląca, bezpieczna. Żeby do tego doprowadzić – za dwie godziny, może półtorej – aż dwie, aż półtorej – był gotów wchodzić w najdziwniejsze sojusze, o nic nie pytając.

Niebo szarzało, choć nie nadeszła jeszcze pora zmierzchu. Zanosiło się na deszcz. Ta szarość wzmagała niepokój. Tomkowi przebiegały przez głowę scenariusze tego, co może się dzieć w Provins. Scenariusze pełne bólu, strachu i przemocy. Tłumił je z największym trudem, żeby prowadzić pewnie, nie zmylić trasy, którą nie jechał kilka lat, panować nad nieznanym samochodem.

Siedzący tuż obok Jacques powtarzał do telefonu po raz kolejny, wciąż tym samym, sztucznie radosnym tonem człowieka z głosem na sprzedaż:

– Dzień dobry, firma Hertz, analiza działania informacji turystycznej dla klientów. Jeżeli chcą państwo nadal gościć w swoich pokojach klientów naszej firmy, uprzejmie proszę o odpowiedź na kilka pytań. Dziękuję.

Pytanie pierwsze: Kiedy ostatnio gościli państwo klientów, którzy przybyli samochodem firmy Hertz? Możliwe odpowiedzi: nigdy, przed kilkoma miesiącami, przed kilkoma tygodniami, w chwili obecnej. Dziękuję.

Pytanie drugie: Czy wspomniani goście to: para dorosłych plus dziecko bądź kilkoro dzieci, więcej niż dwie osoby dorosłe, dwie osoby dorosłe przeciwnej płci, dwie osoby dorosłe tej samej płci? Dziękuję.

Pytanie trzecie: Czy wspomniani goście to turyści francuscy czy zagraniczni? W przypadku turystów zagranicznych proszę podać narodowość, jeśli jest państwu znana. Dziękuję.

Teraz proszę o trzy zdania na temat standardu pokoi, które można u państwa wynająć.

Dziękuję.

Serdecznie dziękuję za wypełnienie naszej ankiety. Mam nadzieję że klienci firmy Hertz będą państwa częstymi gośćmi. Miłego wieczoru.

Mógł tak bez przerwy, za każdym razem identycznie.

W Tomku rośnie poczucie absurdu. Kłębek paniki był wyczuwalny już niemal fizycznie, przyspieszał oddech gdzieś poniżej krtani. Niewiara i nieufność ogarnęły go niespodziewanie. Musiał coś zrobić.

– Moja była żona, Dominique, ma przyjaciela, który wiele może we francuskiej policji. Zadzwoń do niego. Poproszę, żeby w Provins odnaleźli ten samochód. Zatrzymają je obie albo będą obserwować.

– Och, pomyślałeś o Jean-Paulu. Rozumiem. Przepraszam, Tomku, że tak się wyłączyłem. To przez robotę. Ja myślę tak: to, co chcemy zrobić, trzeba przeprowadzić jak najdelikatniej. Nie wiem, czy Jean-Paul też nie szukałby podobnej strategii. Marta jest teraz nieobliczalna, zdolna do wszystkiego. Przez dwa tygodnie karmiła się jakąś chemią. Potem prawdopodobnie to czymś zneutralizowała. Albo w inny znany sobie sposób radzi sobie z głodem. Być może jest jak szaleniec, nie myśli logicznie. Policja to zagrożenie, które może natychmiast wyolbrzymić do granic. Działać gwałtownie, nawet na własną szkodę. Ty – zakochany, bezbronny, niczego nieświadomy – takim zagrożeniem nie jesteś. Czego chcesz? Sam na sam z Sandrą,

na godzinę. Nawet pół. Nic więcej. Niezależnie od planów nie przeszkadzasz. To po pierwsze.

Po drugie, Jean-Paul miałby problem z prawem. Na jakiej podstawie miałby podjąć jakiegokolwiek działania?

Po trzecie, już mam ten adres. Trochę trwało, ale się udało. W grę wchodzi tylko jeden. Zostało trzydzieści kilometrów. Za niecałą godzinę będzie po wszystkim. Ale, popatrz, za chwilę będzie parking. Zatrzymaj się tam na moment. Zamienimy się, ja poprowadzę. Musisz ochłonąć. Ustalimy strategię, to ważne.

Wyjął z głębokiego schowka termos z kawą. Napił się ze smakiem, wytarł usta chusteczką.

– Ja pierwszy piłem. Nic mi nie jest. To może ty też chcesz?

Uśmiechnął się przepraszająco, a może porozumiewawczo. Tomek nie chciał żadnej kawy. Skreślił na ten pieprzony parking, jakie miał wyjście. Za pół godziny Jean-Paul nic by nie zdążył zrobić.

Strategia, dogadana na miłym, leśnym podjeździe, przy drewnianym stole, nad termosem z kawą, opierała się na dwóch głównych założeniach: obie kobiety będą w wynajętym pokoju (wysoco prawdopodobne, bo zaczęło padać) i nic jeszcze nie zaszło. Nic oprócz rozmowy, być może zaawansowanej.

Jacques wysiądzie ze smarta w odpowiedniej odległości. Tomek zajedzie sam pod dom. *Jak wytłumaczysz smarta? – Bez znaczenia, Sandra pomyśli, że jest Dominique.* Odpowiednio rozegra swoje wejście. – *Nie martw się, Jacques, to chyba umiem. Będzie tak, jakbym myślał, że bardzo się cieszą na mój widok.* Wybierze odpowiedni powód, żeby na chwilę wyciągnąć Sandrę. – *Co wolisz udawać: że*

chcesz się oświadczyć, czy płaczkliwie zerwać? W którą stronę? – Oświadczyć. O to też się nie martw. – Świetnie. Dobrze trafiłem. Tylko pamiętaj, że Marta ma cię lekceważyć. Sandra pewnie nie da się nabrać, ale z nim pójdzie, bo będzie ciekawa, co jest grane. Zabierze ją do smarta. Wywiezie najdalej, jak się da, opowie wszystko o Marcie. Będzie miał w schowku dyktafon z nagraniem Colette. – A ty, Jacques? Twoja rola? Zdradzić ją? Ujawnisz się? (stanowczy, smutny, przeczący ruch głowy) – Nie. Ona ostatnio dotarła do mnie bardzo blisko. Ma nieprzeciętne możliwości. Ale im bliżej udaje jej się dotrzeć, tym bardziej się mnie boi. Ukrywaj albo minimalizuj moją rolę. Coś wymyślisz. Kiedy Sandra będzie już wszystko wiedzieć, może pozwoli się po prostu zabrać do Paryża. Ale nie można zakładać, że na pewno tak będzie, co do tego byli zgodni. Bo może nie. Może Sandra będzie chciała kontaktu z Martą. Konfrontacji. Czegoś jeszcze. Nie ma podstaw, żeby zakładać, że nie. Nie jest pewne, czy Tomek wygra w tej potyczce. – Nie gniewaj się, nie lekceważę cię, mówiąc w ten sposób. Bądź pewien – nie można lekceważyć jej. Żeby tego uniknąć, w czasie, kiedy Tomek będzie z Sandrą, Jacques odizoluje Martę. – Co to znaczy odizolujesz?! – Nie martw się. Nie bój się. Krzywdy jej nie zrobię. Mam różne sposoby. Bezpieczne sposoby. I będę miał do dyspozycji ten samochód z Hertza. Wywiozę ją w pewne miejsce. A potem: ostrzeżenie. Albo lepiej nazwijmy rzecz po imieniu: szantaż. Sandra i tak zrobi ze sprawą tego spadku to, co zechce. – Sam podkreślałeś, że Marta teraz jest niebezpieczna. – Będę uważał. Nie martw się o mnie. Nic się nie stanie.

Co do kontaktów: jeżeli Sandra zgodzi się jechać do Paryża – brak wiadomości to dobra wiadomość. Tomek napisze, jak będzie miał okazję. Jeżeli nie: pierwszy telefon najwcześniej pół godziny od

wyjścia z Sandrą z domu. Wtedy Marta powinna być już odizolowana. Jeżeli coś pójdzie niezgodnie z planem – kontakt na bieżąco. Rozmowa po francusku, żeby Marta nie rozumiała. *Będę w pobliżu. Będę reagował.* Numery zostały wpisane tak, żeby je uruchomić jednym dotknięciem. *Wiesz, że Sandra ma gaz? – Wiem.*

– To wszystko już chyba mamy.

Wracając do samochodu, Jacques zatrzymał się przy bujnym różanym krzewie. Odciął scyzorykiem świeżo rozkwitły pąk na długiej, mocnej łodydze. Podał go Tomkowi.

– Rekwizyt.

– Dwa poproszę.

Nie bał się już. Był pełen woli walki.

Rozdział XX

Dom, którego adres znalazł Jacques, był położony na uboczu, z dala od miasteczka. Niska przybudówka z osobnym wejściem miała spadzisty daszek, małe okno wychodzące na podwórze, doniczkę z pnącą różą pod ścianą. W zasłoniętym oknie paliło się światło.

Tomek przygładził kruczoczarne włosy, uniósł w górę wilgotne pąki róż. Uśmiechnął się szeroko. Zadzwoił do drzwi.

Otworzyła mu Marta Johnson. Z czerwonymi plamami na twarzy, rozmazanym makijażem, nieprzystępną miną, którą mogłaby przywitać wścibskiego właściciela domku. Na widok róży uśmiechnęła się automatycznie, sztucznie, w prostym, wyuczonym odruchu.

– Dobry wieczór paniom. Mała niespodzianka.

Sandra siedziała na tapczanie. Nie okazała zdziwienia ani radości, mimo że widziała go w drzwiach. Sztywna, otepiała, blada, ledwo spojrzała w jego stronę.

– To jest mój *boyfriend*. On niewiele wie o przeszłości.

– Nie wstała, żeby się przywitać. To jej *boyfriend* – normalnie nigdy by go tak nie nazwała – zabrzmiało pogardliwie.

Tym jednym zdaniem próbowała go chronić, izolować, a jednocześnie – nie wiedząc, co on wie – dać mu coś do

zrozumienia. Niedobrze. Wyglądała tak jak tuż po wysłuchaniu płytki Krantza. Grał, przyjmując jej komunikat.

– O przeszłości? Trzeba żyć chwilą. A co do chwili – podszedł do Sandry i wręczył jej drugą różę – wiem, wiem, przeszkadzam. Spotkanie po latach, kobiece sekrety. Ale ja tylko na chwilę. Bo wiesz, Sandra – no i pani też się muszę wytłumaczyć – dużo myślałem. I doszedłem do wniosku, że to nie jest tak, to, co mówiłem o naszym związku. A jak nie jest, to trzeba ci szybko powiedzieć. Bo się ucieszysz. A to nie są sprawy na telefon. To pomyślałem – różę, jazda A czwórką – Provins! Przyjechałem, popytałem, no i jestem.

– Jakie słodkie.

Marta, protekcyjnie uśmiechnięta, wkładała swoją różę do kryształowego wazonu. Tomek mrugnął do niej. Sandra milczała. Jak nakręcony gadał dalej, przekonany, że wszystko zależy od niego:

– No ale to raczej prywatna sprawa, można nawet powiedzieć, że intymna. To może, pani Marto, pani się nie pogniewa, jeśli zabiorę Sandrę na mały spacer? No, pada, to prawda, ale ja mam samochód, możemy sobie gdzieś podjechać, może usiądziemy w jakiejś kawiarence. Niedługo, na pół godzinki. Potem ją odwiozę i spadam, zostawiam was, nie przeszkadzam. Jeśli ty, Sandra, zechcesz później opowiedzieć wszystko przyjaciółce, wasza sprawa. Tylko chciałbym najpierw z tobą *tête à tête*. Zgoda?

Teraz Sandra powinna wstać.

Teraz Marta powinna coś powiedzieć. W swoim stylu, który już zdążył poznać.

Nic się nie działo.

- No to jak, idziemy?
- Byłby problem z kluczem.
- Proszę?

Teraz odezwała się Marta:

- Wiesz, świetnie się złożyło... jak ty masz na imię?
- Tomek.

- Świetnie się złożyło, Tomek, że przyjechałeś. Jeżeli Sandra zechce, to może dać ci znacznie więcej niż pół godziny. Bo ja wyjeżdżam. Nam nie wyszło. Pokłóciłyśmy się.

O przeszłość, to się zdarza. Nie tak, żeby sobie od razu oczy wydrapać, ale myślę, że ani ja teraz nie chcę być w jej towarzystwie, ani ona w moim. Więc to wy sobie razem wypijecie wino, które kupiłam dla nas, kolacja tu stoi zapakowana. Dla ciebie – jak znalazł. Pokój milutki. Jutro możecie zwiedzić Provins. Cieszysz się?

- No, nie mogę powiedzieć, że się cieszę, bo to na waszym problemie zbudowane, ale nigdy nie ma tego złego.

- No właśnie.

Przez chwilę milczeli. Tomek udawał zakłopotanie.

- Tylko jak już tu jesteś, to może mi pomożesz, bo, prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, jak stąd wyjadę. W tę stronę prowadziła Sandra, ja mam fatalną orientację w terenie. Już mi się płakać chciało na myśl, jak będę błądzić po ciemku. Sandry bym nie prosiła, nie ma mowy. Wyprowadź mnie do jakiejś wylotowej drogi, żeby były strzałki na Paryż. Dalej sobie poradzę. Ty wrócisz pieszo do swojej Sandry, tu chyba wszędzie jest blisko. – Marta odrzuciła już swój sztuczny uśmiech. Wyglądała na przygnębioną, zmęczoną, może nawet zapłakaną. Z trudem dopinała walizkę.

- Sandra?

– Jedź, Tomek, jedź. Kilka pierwszych krzyżówek, pamiętasz, jak? Skinął głową.

– Jedź i wracaj.

Pozostawało jeszcze jedno.

Gdy tylko Marta powiedziała: *świetnie się złożyło*, Tomek wcisnął w kieszeni guzik telefonu. Teraz udał, że coś mu wibruje na udzie.

– Ojej, przepraszam, szef, muszę odebrać.

Sandra nie dziwiła się już niczemu. Wyszedł przed domek.

– Tak?

– Wszystko słyszałem. Jedź. Wywieź ją jak najdalej. Upewnij się, czy na pewno odjechała. Zabiorę cię stamtąd smartem. Powiedz Sandrze, żeby nic nie piła ani nie jadła. Chyba jesteś bezpieczny, ale uważaj. Dobrze grałeś. Rzeczywiście ma zaburzenia orientacji w terenie. Niech ona prowadzi. Pilotuj w stronę A pięć, my tak wjechaliśmy. Drogowskazy na Paryż na drugim rondzie, tuż za Provins, jakieś trzydzieści kilometrów przed autostradą.

– Dobrze. Jutro przeczytam, poprawię i odeślę. Dziękuję.

Wrócił do pokoju.

Marta stała gotowa, nieporadna, z torebką opadającą na rączkę walizki i zbyt długim płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię.

– Sandra, proszę, poczekaj na mnie z tym winkiem i jedzeniem. Zrobimy sobie małą uroczystość.

– Dobrze.

Wziął od Marty walizkę, zaciągnął pod samochód Hertza. Jednak nie czuł się pewnie.

– Jeszcze chwila. Nie pożegnałem się nawet. Może być zazdrosna. Wbiegł do pokoju, pocałował Sandrę w policzek.

– Nic nie jedz ani nie pij, to ważne.

Chyba zrozumiała jego szept.

Kiedy wrócił na podwórze, Marta nadal przeszukiwała kieszenie.

– Kluczyki... chyba zostawiłam. Przyniosę.

Podążyła mu płaszcz, upuszczając torebkę. Wyglądała teraz na tak zagubioną, zdekoncentrowaną, że zastanawiał się, czy jednak on nie powinien prowadzić. Ale nie. Jacques chyba wiedział, co mówi. Kiedy wróciła, włożył walizkę i płaszcz do bagażnika, a potem pewnym krokiem ruszył na miejsce pasażera.

Sandra miała w tej chwili dość wszystkiego. Myśli bolały. Być może wolałaby nie wiedzieć. To przejdzie. Już jutro, pojutrze, za trzy dni, będzie mogła myśleć o tym spokojnie, zrozumieć. Za miesiąc to stanie się tylko wspomnieniem.

Dobrze, że Tomek przyjechał.

Źle, że trzeba będzie z nim o tym rozmawiać. Coś wiedział, nie wiadomo skąd.

Marta nic nie podejrzewa. Udawał takiego, jakim ona chciała go przedstawić. Zrozumiał. Przez telefon rozmawiał pewnie z Dominique.

Była bardzo zmęczona. Po nieprzespanej nocy, a później po tym wszystkim.

Nic nie jedz ani nie pij... Bał się. Kto wie, może miał rację. I tak nie była głodna. Nie miała zamiaru niczego próbować.

Chciała się tylko położyć, zasnąć, jeżeli to będzie możliwe, przestać myśleć. Nie spała od tylu godzin. Może się uda. Okryła się ciepłym kocem. Przypomniała sobie trudny wierszyk z *Alicji*, który

służył jej czasem do odganiania myśli. Niech wszystko tak zastygnie do powrotu Tomka.

Marta prowadziła bardzo ostrożnie, powoli. Tomek pamiętał drogę, nie musiał nic sprawdzać. Coraz śmielej dopuszczał myśl, że może dobrze się stało. Może życie okazało się zwyklesze od sensacyjnych wyobrażeń tamtego człowieka, od jego własnych lęków. Czuł nawet coś w rodzaju zażenowania, myśląc o swojej grze, o ich strategii. Dzięki temu, że sprawy potoczyły się inaczej, obejdzie się bez tego izolowania, które budziło jego opory, pewnie zbyt słabe zresztą. A jednak, mimo tych wszystkich trzeźwych myśli, nie był spokojny. Nie umiał się pozbyć napięcia. Może kobieta, która siedziała teraz obok niego, powinna budzić współczucie, tak jak Sandra. Obie pewnie potrzebowały psychoterapeuty. Kto wie, która bardziej. Ale on nie mógł się już doczekać tej chwili, gdy pośle ją samą w noc za strzałkami wiodącymi na Paryż.

Prowadziła bardzo powoli, ale z wprawą. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą szukała jakiejś stacji w radiu. Przestała już sprawiać wrażenie zagubionej.

– Teraz w lewo.

– Długo się znacie?

– Z Sandrą? Nie. Niewiele o niej wiem.

– Wiesz, Tomku, myślę, że powinnam ci coś opowiedzieć. Bo ja się o nią martwię, bardzo martwię. Mimo że jestem na nią zła.

– Tak?

– Tak. Sandra miała kiedyś, w młodości, w dzieciństwie właściwie, chłopca. Jej pierwsza miłość. Traktowała ten związek

bardzo poważnie. Rzucił ją później, a jeszcze później popełnił samobójstwo. Słyszałeś coś o tym?

– Prawie nic. Tylko tyle. Teraz w prawo.

Marta przyspieszyła trochę. Zbliżali się do ronda numer dwa.

– Sandra ma jakąś obsesję na punkcie tego chłopca. Dowiedziała się dzisiaj – myślałam, że to dobrze, jak o nim porozmawiamy – że on i ja byliśmy później parą. Kochał się we mnie, a ja w nim. Myślałam, że to nas zbliży, mnie i Sandrę. Obie przeżyłyśmy jego śmierć. Ale gdy o tym usłyszała, wpadła w furję. Nie mogła się uspokoić. Po tylu latach. Dobrze, żebyś o tym wiedział.

– Na rondzie na Paryż drugi zjazd.

– Dobrze. Widzę strzałki.

Do czego mogła zmierzać? Czemu *boyfriend*, którego nikt nie traktuje poważnie, ma dostać taką wersję zdarzeń? Znów płynnie przyspieszyła.

– Bardzo dobrze, że się dzisiaj pojawiłeś. Dzięki temu mogłam wyjechać z czystym sumieniem. Bo ona ma też obsesję na punkcie samobójstwa. Gdyby została sama, bałabym się, że zrobi coś głupiego. Była w takim stanie. Przy tobie...

– Zatrzymaj się.

Popatrzyła na niego badawczo, nie zwalniając nawet.

– Ależ nie musisz się tak bardzo denerwować, na pewno na ciebie czeka.

Gdy Tomek pojawił – w jednym koszmarnym błysku – że Marta Johnson robi grunt pod to, co on według niej zastanie po powrocie, że podrzuca mu zdania, które miałby później powtarzać – policji?! – stracił panowanie nad sobą. Nie udawał już niczego.

– Zatrzymaj się.

– Zaraz.

Nadal przyciskała pedał gazu.

– Zatrzymaj się.

– Wysadzę cię tam, gdzie planowałam.

Wciąż byli na zwykłej Route Nationale, prostej jak strzała, z jednym pasem ruchu w każdą stronę. Za nimi jechało kilka samochodów, z przodu, naprzeciw zbliżały się światła. Gdyby teraz szarpnął ręczny hamulec, byłby wypadek. Gdyby spróbował przejąć kierownicę, żeby skręcić na płaskie pobocze – tak samo. Ktoś właśnie ich wyprzedzał. Odruchowo zjechała lekko w prawo. Trochę zwolniła. Tomek otworzył drzwi. Nie były zablokowane. Pęd powietrza sprawiał, że musiał trzymać je mocno, żeby się nie zamknęły.

– Za późno, komandosie – powiedziała Marta.

Tomek skoczył.

Udało mu się, nie stracił nawet przytomności, żył. Spadł na trawę, nie na asfalt. Nieporadnie skulony wtoczył się w jakieś pole uprawne. Potem rośliny zamortyzowały uderzenia, wyhamowały pęd. Przez moment miał chyba problem z błędnikiem. Wszystko wokół niego wirowało, jakby był mocno pijany; kiedy próbował się podnieść, upadł. Po chwili mógł wstać. Widział normalnie.

Samochód Hertza był już daleko. Na szczęście się nie zatrzymał. Nikt się nie zatrzymał, nikt nie zobaczył tego skoku – a może ten, kto go widział, nie przyjął tego do wiadomości. Jacques. Powinien zaraz tu być. Miał jechać za nimi. Nie mógł go wyminąć, pojechać dalej za Martą. On by zobaczył. Tomek stał teraz na poboczu, widoczny w kręgach światła, z nadzieją, że zaraz nadjedzie smart. Telefon, niestety, nie przetrwał. Nie dało się go włączyć, coś w nim

pękło. Żaden samochód nie zwalniał na widok człowieka na poboczu. Ruch od strony Provins malał. Już tylko jeden jasny punkt w oddali, za nim dwa – potem ciemność. Zbliżały się irytująco wolno. Jeżeli jeden z nich to smart. Nie. Żaden.

A on czekał tak długo, zamiast biec. Przestał liczyć na Jacques'a. Przebiegł na drugą stronę drogi. Nie wiedział, jak daleko odjechali od ronda, od Provins. Biegł, kiedy słyszał nadjeżdżające samochody, stawał, machał gwałtownie, potem znowu biegł. *Za późno, komandosie.* Powiedziała to tak spokojnie. Była pewna. Przed domem wróciła po kluczyki. Co mogła zrobić? Jacques – dlaczego nie przyjechał? Jakiś problem czy podstęp, na który on dał się nabrać? *Niech ona prowadzi...* Co mogło się za tym wszystkim kryć? Nie, tylko nie to, nie, tylko nie to, nie, tylko nie to – powtarzał w myślach, biegnąc.

Ktoś się przy nim zatrzymał.

– To chyba zły pomysł tak biegać w deszcz.

Deszcz? Nie zauważył deszczu.

– Podwiezie mnie pani do Provins?

– Provins? Nie. Ja jadę do Troyes. Mogę do ronda.

Nie miał już siły mówić. Wyrównał oddech. Serce nadal biło zbyt mocno. Przekonać...

– Bardzo panią proszę. To dla mnie bardzo ważne.

– Mowy nie ma, mój drogi. Jestem spóźniona. Starzy ludzie też mają ważne sprawy. Tu wysiadasz.

Od ronda do domu, w którym została Sandra, były dwa, może trzy kilometry. Droga kluczyła, nie było kogo zatrzymać. Idąc i biegnąc na zmianę Tomek koncentrował się tylko na tym, żeby było szybciej,

żeby rozpoznawać miejsca, które widział z samochodu, żeby źle nie skręcić. Rozłożyć siły tak, żeby ich wystarczyło. Dojść w końcu.

Kiedy wreszcie zobaczył domek z małą przybudówką – to, co się wokół niego dzieje – nie mógł uwierzyć. Nie mógł uwierzyć, że jednak. Starał się tutaj dotrzeć ze wszystkich sił, bo coś takiego mogło się stać. A w głębi duszy nie wierzył, że się stanie. Teraz widział.

Przed wjazdem na podwórze stał policyjny samochód, rozjaśniając okolicę miarowymi rozbłyskami sinoniebieskiego światła z koguta na dachu. Sygnał dźwiękowy nie był włączony. Sam wjazd uniemożliwiała biało-czerwona taśma, rozciągnięta szczodrze od płotu do płotu. Ludzie wracali stamtąd powoli w stronę miasteczka, omijając Tomka, który szedł pod prąd. Rozmawiali ściszonymi głosami, oglądali się często. Nikt się nie śmiał. Tomek patrzył teraz na to wszystko w dziwnym otępieniu, bez emocji, jakby oglądał reportaż. Obok samochodu stało kilku policjantów. Palili papierosy w milczeniu. Pod domem, siwa, krótkowłosa, opalona kobieta płakała bezgłośnie. Łzy kapały jej aż na odsłonięte obojczyki. Mężczyzna, który obejmował ją ramieniem, powtarzał monotennie:

- Chodźmy już, chodźmy.
- Nie, możemy być potrzebni.
- Chodźmy już, chodźmy.

Właściciele domu.

Podszedł do nich jeden z policjantów.

- Możecie iść. W razie potrzeby zadzwonimy.

Drzwi do przybudówki, położonej w centrum strefy chronionej taśmą, były wyłamane. Stały obok pnącej róży, oparte o ścianę. Smarta nie było na podwórzu.

Zwracając się do policjanta, który rozmawiał z właścicielami, Tomek zaplątał się w słowach, jakby francuski znów stał się dla niego obcym językiem: – Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, czy pan wie, czy...

– Nie udzielamy informacji, czekamy na decyzję.

Przy drodze, w mokrej trawie siedziało kilkoro młodych ludzi. Spierali się, pewni swoich racji. *Mówię ci, że to możliwe. – No tobie chyba odbiło. – Ale serio, co ty, tego nie wiesz?* Podszedł do nich.

– Przepraszam. Jestem przyjacielem kobiety, która tu mieszkała. Co z nią?

Patrzyli na niego w milczeniu. Żaden z nich nie uznał, że to właśnie on powinien odpowiedzieć. Jak na lekcji.

– *Merde!* Przecież wiecie.

– Otrucie, zatrucie... Odkreślony gaz. Jak ją *pompier*s zabierali, jeszcze żyła.

– Gdzie jest ten szpital?

– Nie wiem, jak wytłumaczyć. Mogę pana zawieźć motorem. Pan poczeka. Za chwilę będę.

Z motorem nie było łatwo, bo Tomek podczas skoku uszkodził prawy bark; wcześniej, gdy biegł, nie czuł bólu. Chłopak się bał, czy to bezpieczne, przypiął go do siebie jakimś pasem. Nieśmiały, przejęty, mruknął coś tylko w odpowiedzi na dziękuję, zanim odjechał spod szpitala. Taki duży szpital w takim małym Provins. Duży szpital budzi w bliskich nadzieję. *Za późno, komandosie.* Spokojne łyż siwej kobiety. Zmobilizował się znowu, wiedząc, że musi zdobyć odpowiedź.

Na tym zastępstwie miał tylko wstukiwać dane w komputer. Tylko wstukiwać dane. – *Nie martw się, z chorymi nie będziesz miał do*

czynienia. Nikt tego od ciebie nie oczekuje. Nic nie szkodzi, że nie umiesz. Nikt go nie uprzedzał, że mogą być też takie sytuacje. Nie wiedział, co zrobić. Nie wiedział, jak powinien się zachować.

Zagapił się na tego człowieka, który miał całą twarz w drobnych skaleczeniach, bezwładne ramię albo bark, a w dodatku był chyba pod wpływem szoku pourazowego, tego, który się objawia nadaktywnością, gorączkową potrzebą działania. Mówił cały czas. Starał się być uprzejmy i przekonujący. A on nie słuchał, bo już wiedział o co chodzi, tylko zastanawiał się, co z nim zrobić.

– Może powtórzę jeszcze raz: Sandra Arsztrejer, zabrana o godzinie... spod adresu.

– Przepraszam, czy pan przypadkiem nie potrzebuje pomocy? Mogę kogoś wezwać.

– Nie! Nie potrzebuję pomocy! Pytam już w trzecim miejscu, bo nie znam tego szpitala. Nie potrzebuję pomocy. Potrzebuję wiedzieć. A pan wie. Ma pan to gdzieś wpisane. Może pan sprawdzić. Czy ona żyje?

Na szczęście wracała już Sophie. Sophie – profesjonalistka.

– Żyje, żyje.

Mężczyzna z bezwładną ręką opadł na krzesło. Oddychał głęboko i powoli, z trudem.

– Sophie, to jest jakiś pan od tej pani Arsztrejer.

Uciekł do komputera.

Tomek już myślał, że po tym żyje straci przytomność, bo wszystko zrobiło się nagle takie miękkie i gorące. Ale nie, nie mógł na to pozwolić, to dopiero początek. Uspokajał rozdygotane ciało

głębokimi oddechami. Koncentrował się na kobiecie, która pochyliła się nad nim, pytając o samopoczucie.

– *Ça va*, poproszę tylko o szklanekę wody.

Wypił powoli.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się do pielęgniarki w średnim wieku – prawdopodobnie pielęgniarki, odzianej w biały fartuch – bo musiał ją teraz wzruszyć, zdobyć tyle sympatii, żeby była skłonna zrobić dla niego więcej, niż pozwalał regulamin.

– Przepraszam panią za ten kłopot. Ze mną wszystko w porządku. Dowiedziałem się, że z moją przyjaciółką, o którą potwornie się bałem, stało się coś złego. Ten moment osłabienia to dlatego, że poczułem ogromną ulgę, że jednak żyje.

Kobieta puściła jego nadgarstek.

– Puls w normie, ale trzeba by zmierzyć i puls, i ciśnienie aparatem. Jeżeli czuje się pan na siłach, dam panu plan...

– Najpierw miałbym do pani prośbę.

– Słucham.

– Wiem wystarczająco dużo o wypadku Sandry, żeby się bardzo o nią bać. Czy mogłaby mi pani powiedzieć coś więcej.

– Sophie, przepraszam, idę do toalety. Do toalety. Mogę?

Facet, który sprawiał wrażenie co najmniej ciężko myślącego flegmatyka, ten, który w końcu wykrztusił *żyje, żyje*, wychodził chyba po to, żeby Sophie mogła mówić bez świadków, bez obaw. Ładnie z jego strony. Tomek czekał z uśmiechem, aż zniknie na korytarzu. Patrzył z nadzieją na Sophie.

– Pan nie jest z rodziny.

– Nie. Ale jestem jej narzeczonym.

– Bardzo mi przykro, ale jeżeli chory nie wyrazi zgody, nie udzielamy obcym informacji.

– Sophie, bardzo panią proszę. Choć kilka słów. Proszę pomyśleć, ile to dla mnie znaczy.

– Powiedziałam: jeżeli chory nie wyrazi zgody, nie udzielamy obcym informacji. W przypadku pani Arsztrejer to jest po prostu wykluczone. Ze względu na okoliczności. Proszę mnie nie brać na litość, bo to irytujące.

– Czy Sandra jest w takim stanie, że można ją spytać o zgodę?

– Nie mogę z panem analizować jej stanu. Co do pana stanu...

– Ja się tylko po drodze przewróciłem na motorze.

– Co do pana stanu: to jest plan szpitala. My jesteśmy tutaj. Proszę przejść tutaj, wzdłuż trasy, którą zaznaczyłam. W tej izbie przyjęć opatrzą panu twarz, w razie potrzeby zbadają ciśnienie i skierują dalej z ramieniem. A teraz przepraszam. Widzę, że odzyskał pan dobrą formę. Może pan wyjść. A ja muszę wracać do pracy. Jak pan widzi, jestem sama, mój współpracownik zniknął. Nie mogę się panem dalej zajmować. Do widzenia. – Usiadła przy komputerze i poprawiła okulary, tak jakby tym jednym ruchem zamykała wokół siebie dźwiękoszczelną barierę. Tomek wyszedł.

Wyszedł, ale bynajmniej nie bezradny i spławiony. Z nową nadzieją, z nowym pomysłem. (...) *jak pan widzi, mój współpracownik zniknął. (...) do toalety. Do toalety. Mogę? (...) żyje żyje.*

Do toalety? Do męskiej toalety.

Znalazł drzwi z odpowiednim znacznikiem. Z napisem: *Tylko dla personelu.* Były otwarte.

Ten facet, młody, ale już łysiejący, tęgawy, przygarbiony, w szklach krótkowidza i zbyt małym kitlu, siedział na taborecie pod ścianą, obok pisuarów.

– Miałem już wracać. Myślałem, że ty nie z takich, co się mogą kapnąć. Nic ci nie powiedziała?

Tomek miał ochotę go uściskać. Ucałować mu dłonie.

– Nic. Dziękuję.

– Ja nie jestem stąd. Ja jestem od komputerów. Tutaj na zastępstwie, zresztą chyba nie całkiem... nieważne. Ich zasady mnie nie obowiązują, tak myślę. Tylko pytanie, ile ty możesz wiedzieć. To mnie gryzie. Nie jesteś w takim stanie, żeby coś... To było widać, jak urabiałeś Sophie. Ale jak mi tu w kiblu zemdlejesz?

– Chcę wiedzieć wszystko, co ty wiesz. Wszystko. Przysięgam, będę OK.

– Dobra. To masz. Siądź sobie.

Tomek skurczył się na małym taborecie. Siadłby w pisuarze, gdyby tamten zechciał.

– Mamy mało czasu. To po kolei. Ona, ta Sandra, wzięła proszki nasenne. Potem odkręciła gaz, wszystkie kurki. Żyjesz?

– Mów.

– Ale na szczęście spacerował sobie tamtędy starszy pan, letnik. Poczł gaz i wykopał drzwi. Zakręcił kurki. Otworzył, co się da, wezwał *pompiers*. Wszyscy myśleli, że z nią bardzo źle. Jak aż na drodze wyczuł. Maleńkie pomieszczenie, szczelne, kuchenka razem z pokojem. Tyle że on, ten starszy pan, ma chyba bardzo wrażliwe powonienie. Tak bywa – nadwrażliwość na zapachy. To jest objaw różnych chorób. Wiem, bo robię przy programach z odpowiedziami na pytania do lekarzy. Tagi dobieram. Już wracam do rzeczy. Więc

tego gazu tam nie było tyle, żeby coś jej się mogło stać. Gdyby jeszcze pięć, dziesięć minut, byłoby dużo gorzej. Pół godziny – no to, rozumiesz, po sprawie. Koniec. A tak to ją najwyżej będzie głowa boleć. To, że on wyczuł, to cud.

– A te środki nasenne?

– Nie, to nie problem. Tego nie wzięła tyle, żeby sobie coś zrobić. Są tacy, co tyle biorą każdego wieczora, żeby klap, i już zasnąć, i do rana spać. Na przykład jak im ktoś chra – pie. Albo jak mają jakiś inny hałas. Żeby ich nic nie budziło. Ona nawet się ocknęła na chwilę, gdy ją brali, i na badaniach tutaj – coś próbowała mówić, potem zasypiała. To normalne. A badania jej zrobili dokładne – ten letnik się domagał, żeby krew sprawdzić. Czy jak był gaz, to nie ma nic więcej. Może jak ją znalazł, jak zadzwonił, to miał prawo się domagać. Tych wyników nie znam. Ale niczego z nią nie robili. Jak nie robili, to znaczy, że nie trzeba. Czyli widzisz – po prostu śpi.

– Człowieku...

– Jezu, tylko nie zemdlej. I uważaj, bo tak się cieszysz, jakby była zdrowa. A skoro odkręciła gaz, to jest chora. Poważnie. Tylko na co innego. A ty tego w ogóle nie bierzesz pod uwagę.

– To nie tak.

– Nie tak? To już nie wiem. Jeszcze jedno. Drzwi były zamknięte od zewnątrz. Nie od środka. Lepiej, żebyś wiedział. Nie powiem, skąd wiem.

– Pewnie zhakowałeś jakiś policyjny protokół.

– Nie rozumiem. A jak się budziła, mówiła, że jest umówiona. Ale tu robi za samobójczynię. Co na to policja, nie wiem. Chyba jeszcze nie mają decyzji, jak to zaklasyfikować.

– Mam szansę ją zobaczyć?

– Nie. Dopóki się nie obudzi, jest pod nadzorem. Możesz pogadać z tym letnikiem. On ma kontakt z lekarzem, nie wiem, jakim sposobem, jakim prawem. On ci najwięcej powie. Chyba że to jakiś wariat, że wszystko zmyślił, bo to chwilami całkiem wariacko wygląda.

– Gdzie on jest?

– Chodzi dookoła szpitala. Z okien go widać. Nie wiem, na co jeszcze czeka. Ja już muszę wracać. Boję się Sophie.

– Dziękuję.

– Ta sprawa jest dzika. Ja mam nosa do ludzi. Ktoś coś musiał wiedzieć. Ale idź już, bo ja muszę zamknąć tu na klucz. Na korytarzu uważaj. A potem z tym ramieniem i z twarzą coś zrób. Idź, idź już.

Wracając przez szpitalne korytarze w stronę wyjścia, Tomek się zataczał. Kilka razy zgubił drogę, chociaż miał plan i strzałki na ścianach. Czy można się zataczać ze szczęścia? Jest takie powiedzenie *zataczać się ze szczęścia*. A może *być pijanym ze szczęścia*? Właśnie mu się przypomniało. Przetrzeźwiał, żeby trafić do wyjścia, znaleźć Jacques'a. Jacques'a – staruszka-letnika, w którego niepotrzebnie zwątpił. Trzeba było w kiblu spytać tego kochanego, wspaniałego, pięknego i mądrego człowieka, jak też pan letnik wygląda. Bo teraz ta sprawa wyda mu się jeszcze bardziej dzika. A może właśnie mniej. Miał nosa.

Rozdział XXI

Sandra obudziła się znowu. Tym razem pamiętała, co się dzieje, nie musiała tego z trudem odkrywać. Pamiętała *pompiers*, którzy pochylali się nad nią, nie słuchali, nie pozwalali wstać. Coś się z nią stało, ale co – nadal nie wiedziała. Próbowała wtedy powiedzieć, że *ça va*, że ona musi, że nie może, bo Tomek. Zasnęła, zanim udało jej się sklecić trzecie zdanie. Nie wiedziała, czy ktoś zrozumiał, czy usłyszał. Chciała wracać. Ale jeśli ją zabrali, tak łatwo nie wypuszczą, nie mają prawa. Jest taka formuła odmowy, na którą muszą reagować, na inne nie mogą. Znała ją kiedyś, dawno temu, miała wtedy przyjaciółkę chorą na padaczkę, ona nosiła to przy sobie, na kartce, żeby odczytać, żeby nie brali jej po każdym ataku do szpitala; ta przyjaciółka miała czarne włosy. Jak to było? *Je proteste... chcę podpisać... je vais vous signer*. Tylko co? To jedno słowo wtedy tak łatwo z czymś kojarzyła, z czymś z historii, z obrazów. Teraz już nie. Ale to na nic, bo przecież nie ma tu *pompiers*, jest tylko jakiś człowiek, który patrzy, choć tak jakby nie widział. *Monsieur*. Nie słyszy chyba. Trzeba wszystko wyjaśnić, zażądać rozmowy z lekarzem. Ale nie teraz. Potem. Teraz spać. Tylko spać. Myśli uciekły.

Jacques rzeczywiście spacerował wokół szpitala. Tym razem, wbrew swojej naturze – albo wbrew temu, co Tomek za jego naturę uznał – rzucał się w oczy. Wysoki, wyprostowany, w szeroko rozwianym trenczu przeciwdeszczowym, z rozjarzonym papierosem w dłoni. Szedł oświetloną częścią chodnika, żeby mieć na oku parking, wjazd, wyjście i wejście do budynku. Zobaczył Tomka od razu. Podeszedł do niego, nie zmieniając spacerowego kroku, ale nie krył emocji:

– Tomek! Miałem nadzieję, że prędzej czy później mnie tu znajdziesz. Wychodzisz stamtąd, więc już wiesz. Ale co z tobą? Co z twoim telefonem? Straciliśmy kontakt. Podejrzywałem różne scenariusze.

– Wskoczyłem z samochodu. Wtedy telefon się rozwalił. Ona nie chciała się zatrzymać. Chciała mnie wywieźć jak najdalej. Wcześniej mówiła, że boi się, że Sandra popełni samobójstwo. To skoczyłem.

– No tak. Dlatego tak wyglądasz. Mój błąd, cholera, wiek. Nie pomyślałem. Mogłem powiedzieć ci wyraźnie, że najpierw zabezpieczę Sandrę. To znaczy, że ją sprawdzę. Wtedy mógłbyś myśleć tylko o sobie. Z tym, że wiesz, nie sądziłem, że trzeba takie rzeczy mówić. Że nie są oczywiste. Ale dochodzi brak zaufania... Tak.

Brak zaufania, jasne. Jacques nie sprawiał wrażenia zmartwionego, ale Tomek bardzo chciał mu to inaczej wytłumaczyć.

– Jacques, nie przypuszczałem, że będziesz chciał się jej pokazać. Sandrze. Mówiłeś, że nie. Mogło być tak, że bez tego nie dasz rady jej zabezpieczyć. Sam ostrzegałeś, żeby jej nie lekceważyć. Mogła w samoobronie, ze strachu sprawić ci jakiś problem. Mogło ci się po

prostu nie udać. Musiałem się z tym liczyć, jak inaczej. Nie wolno mi było nie brać tego pod uwagę.

– Masz rację. Może ja bym na twoim miejscu też skoczył. Nawet gdybym wiedział. Tak. Telefon w takich razach najlepiej wrzucić w majtki, jak jest czas. Człowiek się tam instynktownie osłoni. Chyba że inny fason nosisz.

– Dziękuję, nie omieszkam skorzystać. Całe wieki nie paliłem. Mogę dwa?

– Weź całą paczkę, chyba twoje, były w smarcie. Ja dziś palę gitanes'y.

Pierwszy mach, bardzo przyjemny, sprawił, że Tomek poczuł zawrót głowy.

Jacques prowadził go w stronę małego parku albo skweru z boku budynku. Teraz wybierał ciemne alejki. Powstrzymał rozmowę. Mówili po polsku, nikt ich tutaj, w środku nocy nie mógł rozumieć. Nieracjonalne odruchy, być może nieświadome.

Znaleźli samotną ławkę.

– Marta Johnson wybrała najprostsze morderstwo na świecie. Podała Sandrze – nie wiem jak – normalną dawkę zwykłych środków nasennych, które miały zadziałać o określonej porze. Zadziałać, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Wychodząc mniej więcej o tej porze, odkręciła gaz na full i zamknęła drzwi. To wszystko.

– Uratowałeś Sandrze życie.

– No tak, dlatego przecież ryzykowałem poznanie ciebie. Zaszło to wszystko tylko trochę dalej niż w optymistycznych założeniach. Ale problemów nie było. Widziałem przez okno, jak zasypia. Wszedłem do środka. Zakręciłem gaz, który uchodził tylko chwilę. Obeszłoby

się bez *pompier*s. Nie wiedziałem jeszcze, co ona ma we krwi, więc trzeba było sprawdzić. Wyniki już pewnie znasz, są w porządku. Nic toksycznego. Lekki niedobór czerwonych krwinek. Niektórzy poradziliby więcej czerwonego wina. Jak się obudzi, będzie mogła wyjść. Może mieć problem z psychiatrą. Poradzi sobie.

– Nie wiem, jak się za takie coś dziękuje.

Jacques popatrzył na niego jakby pobłaźliwie.

– Pamiętasz, kiedy zamieniliśmy walizki?

– Dziesiątego maja.

Tomek czekał w napięciu, licząc na ostateczne wyjaśnienie.

– No właśnie. Dziesiątego maja dwa tysiące dziewiątego. Tak. Niecałe trzy miesiące. Znasz ją krócej niż trzy miesiące. Pamiętaj. Pamiętaj na potem. I o tym, że bez ciebie nie znalazłbym jej na czas. Przypomnij sobie, jak będzie trzeba. – Jacques zapalił *gitanes*'a, zamyślił się, zapatrzył w drgające liście.

– Miałeś mi wszystko opowiedzieć. Mówiłeś, że będę wszystko o tobie wiedział.

– Wszystko, co ma związek z tą historią. Tak. Będiesz wiedział. Ale jeszcze nie czas. Jestem bardzo zmęczony. Starzeję się, cholera, mówiłem ci. Ty jesteś ranny. Musisz doprowadzić się do porządku. Musisz się pospieszyć, bo już niedługo zjawi się tu Sandra. Będzie cię szukać. Musisz być w formie. Może być trochę zagubiona. Kto wie, czy za chwilę nie stanie w drzwiach.

– Co może wiedzieć o tobie?

– Jak najmniej. Prawie nic. Nie przyznawaj się, że mnie znasz. Nie ryzykuj. Coś wymyślisz. Skąd nagranie i tak dalej. W tym ci nie muszę pomagać.

– Chcesz, żebym kłamał.

Jacques, rozbawiony, dziwnie odmłodniał, kiedy uśmiech pokrył mu twarz siecią drobnych zmarszczek.

– Ty zawsze mówisz prawdę?

– Bywa, że się staram.

– Właśnie, *à propos*: masz tu kluczyki do smarta. Nie może nagle zniknąć. Wróćcie nim. Czyj jest – wymyślisz albo nie spyta. Dam ci znać, jak masz oddać. Tylko jak mi coś z nim zrobisz, to się strzeż. Ja jestem niebezpieczny. Pod maskę nie zagłądaj. Papiery są w schowku. On na parkingu, tutaj.

Słyszając o powrocie, Tomek uświadomił sobie, że w pewnym momencie zgubił kontekst. Świat skurczył mu się do tej jednej wiadomości, do szpitala, do Provins. A Marta Johnson przecież nie zniknęła. Gdzieś tam jest.

– Co z nią zrobimy? Sugerowałeś coś policji? Jest śledztwo, ktoś ją podejrzewa?

– Martę? Nie. Nie miałem czasu na policję. Jestem pewien, że ona rano leci do Polski. Sprawdzę, dam ci znać. Jeśli myśli, że się udało, uciekła. Jeśli nie – tym bardziej. Boi się, tak czy tak. Nie będzie próbować drugi raz. Co z nią, zadecyduje Sandra. Śledztwo we Francji nie ma sensu. To było tylko usiłowanie, a jej tu nie ma. Spadek ważniejszy. Idź już, Tomku. Idź, niech ci coś zrobią z tym ramieniem. Skąd wiesz, czy jak się Sandra zbudzi, nie będziesz jej musiał dzisiaj wieźć do Paryża. Nie boli cię to?

Bolało, dopiero teraz to czuł. Rzeczywiście, trzeba iść, bo najchętniej zostałby na tej ławce, przespał się tu do rana. Trudno było wstać. Wziął od Jacques'a kluczyki.

– Dziękuję. Będę na niego uważał. Jak ty wrócisz? Ale teraz jeszcze tu na mnie poczekasz?

– Są autobusy i pociągi. Zobaczą, chyba tak. Zależy, co się będzie dziać. Na razie.

Odchodząc, Tomek wymyślał drobne kłamstwa, które miały ukryć istnienie Jacques'a. A może nie Jacques'a, bo kto wie, jak on się naprawdę zwał. Nie miał wyrzutów sumienia.

Tomek spędził jakiś czas z uśmiechniętą parą młodych ludzi w bieli, którzy zadawali mu ból, lecząc jego rany. Skóra twarzy, pokaleczona tu i ówdzie ostrymi pędami uprawnych roślin, szczypała lekko, przemywana i dezynfekowana przez piękną dziewczynę o delikatnych dłoniach. Wysoki facet o sylwetce kulturysty, prawdopodobnie lekarz, pokiwał głową nad jego zdjęciem rentgenowskim. Ściszył głos, żeby dziewczyna nie słyszała:

– Naderwana torebka stawowa. Przemieszczenie. Sam sobie kiedyś tak zrobiłem na siłowni. Nie ma uszkodzeń kostnych.

Potem katował go dalej, wstawiając to, co w środku, na swoje miejsce, masując ramię i smarując czymś śmierdzącym. Byli mili, dyskretni i profesjonalni. Nie spieszyli się zbytnio, żeby nie stresować pacjenta. Tymczasem każda chwila bezruchu, pustki w pokoju zabiegowym, nakazanego z uśmiechem odpoczynku, męczyła bardziej niż ich dotyk. Chciał już być wolny.

Kiedy piękna dziewczyna splatała dłonie na jego karku, żeby poprawić długość temblaka, kontrolując położenie ramienia, na jej biurku zadzwonił telefon. Odebrała dopiero gdy skończyła. Zostawiła Tomkowi zapach J'adore.

– Tak, panie doktorze. Jak nazwisko? Zgadza się, jakieś takie właśnie. Już tylko zalecenia, pięć minut. Oczywiście, przekażę.

Dziękuję, jest pan bardzo miły. Do jutra.

Milczała jednak, dopóki kulturysta nie skończył informować Tomka, co dalej z jego barkiem. Ten mówił wolno, dobitnie, wymawiając dwa razy słowa, które uznał za ważne. Wypisał trzy recepty, kazał coś podpisać, pożegnał się ceremonialnie. Czas płynął.

– Doktor Gruner prosi, żeby pan zaszedł do jego gabinetu. Skrzydło B, pokój sześćdziesiąt cztery – powiedziała dziewczyna.

Tym razem Tomek nie błądził. Sandra się obudziła, to nie mogło być nic innego. To oczywiste. Innej możliwości nie ma. Tak właśnie należy teraz myśleć. Takie myślenie sobie narzucał, idąc przez korytarz.

W pokoju numer 64 nie zastał jednak Sandry. Siedzieli tam trzej mężczyźni. Trzej faceci w pełnej gotowości. O drugiej albo trzeciej w nocy. Od wejścia dzieliła ich szeroka przestrzeń biurka; duży, dębowy, prawie pusty blat. Po stronie drzwi, czyli po stronie Tomka, stało tylko jedno krzesło. Czekali na niego, to było widać. Miał mocne wejście, zmierzili go wzrokiem od stóp do głów. Tylko jeden z tamtych wstał, żeby się przywitać.

– Monsieur Tomas Dybruk... przepraszam, jeśli źle wymawiam. Nasza rozmowa chwilę potrwa. Mogę panu zaproponować gorącą kawę. Ekspres właśnie się napełnił.

Kawę? Absurd. Jednak Tomek chciał zrozumieć, co jest grane, zanim zaczną. Kupił czas.

– Świetnie, bardzo proszę.

Gospodarz – ten, który teraz napełniał filiżankę – z całą pewnością doktor Gruner, był mężczyzną po pięćdziesiątce, zadbanym, pachnącym, o srebrnych skroniach. Lekko zaokrąglony, jakby miękki, uśmiechnięty, sprawiał wrażenie jowialnego,

przyjaznego i niegroźnego. Miał bardzo bogatą mimikę – kiedy podawał Tomkowi rękę i napotkał temblak, speszył się, ucieszył z pomysłu dotknięcia ramienia, zawstydził znowu. To wszystko było po nim widać. Jean-Paul też bywał czasem jowialny, trzeba pamiętać.

Facet po lewej był od doktora młodszy o jakieś piętnaście lat. Patrzył z dezaprobatą, w milczeniu. Na wszystko, głównie na zabiegi z kawą. Czerwony sweter, zielone spodnie – delikatna demonstracja odrębności. Przystojny, czarnowłosa, poważny. Otwarcie obserwował Tomka.

Ten trzeci – policjant, bez dwóch zdań. Mniejsza z tym, po czym to można poznać. Policjant w cywilu, ale na służbie. Tylko on jeden nie krył zmęczenia.

Zaczął doktor:

– Monsieur Dybuk, jak pan już może wie, udzieliliśmy dziś pierwszej pomocy pewnej pacjentce, pana rodaczce... To znaczy, właściwie nie udzieliliśmy, nie nie, źle powiedziałem, o la la... nie dlatego, żebyśmy zaniechali. Nie wydawała się potrzebna. To znaczy, najpierw się wydawała. Przeprowadziliśmy badania...

– Do rzeczy, Claude – czarnowłosa pozwolił sobie na trzy słowa, potem cierpiał z kamienną twarzą.

– Właśnie. Właśnie. Pacjentka, o której mówię, nazywa się Sandra... Nazywa się tak. – Doktor podsunął Tomkowi wcześniej przygotowaną kartkę. – Podała, że właśnie pan jest osobą, z którą można przedyskutować jej przypadek. Czy pan to potwierdza?

– Jak najbardziej.

– Przypadek pani Sandry jest dość nietypowy, nie mieści się nam w procedurach. Bo, jakby to panu powiedzieć.

– Byłem pod domem, rozmawiałem z ludźmi. Wiem, że był odkręcony gaz.

– Zachodziło podejrzenie próby samobójczej – pierwszy raz odezwał się policjant. Gruner spojrział na czarnowłosego, jakby chciał z kimś podzielić potępienie takiego braku delikatności. Pokręcił lekko głową, nawet dwa razy cmoknął. Czarnowłosy nie reagował.

– Zachodziło, więc już nie zachodzi? – Tomek zapytał policjanta, odpowiedział doktor:

– Madame Sandra przekonała nas, że to był tylko wypadek, przypadek – tak lepiej powiem, bo do urazów na szczęście nie doszło. Efekt jej roztargnienia, nieuwagi i braku staranności. Jej wyjaśnienia były całkiem wiarygodne, bo nie wiedziała wcale, co się stało, bardzo się tym gazem otwartym przejęła. Jej zdenerwowanie było naturalne, w przypadku próby samobójczej taka reakcja nie miałyby miejsca. Dopiero potem zrozumiała, jaki błąd popełniła, ustawiając pokrętła, jak w swojej starej kuchence. Miała inną gdzieś w Polsce, na wsi.

– Mam podpisane zeznanie. – Policjant postukał palcem w plik kartek, które leżały przed nim na biurku. Wyjął jedną na wierzch.

Tomek na wszelki wypadek milczał. Doktor mówił dalej:

– No i nasza pacjentka zażądała natychmiastowego wypisu ze szpitala. Z medycznego punktu widzenia nie widzę przeciwwskazań. Pan major może dokonać stosownej kwalifikacji zdarzenia, zamknąć śledztwo. Natomiast mój kolega – Gruner wskazał milczącego czarnowłosego – doktor Pierre Bidault, psycholog, ma pewne wątpliwości.

– Ja też jestem psychologiem.

Czarnowłosa spojrział na Tomka z obrzydzeniem. Skinął tylko głową.

– Pozwolisz, Pierre, że je streszczę. Te wątpliwości. No więc, że tak powiem, jak by to ująć... Bo skoro madame Sandra przez własną nieuwagę, roztargnienie i brak staranności omal nie doprowadziła do własnej śmierci, nie wiadomo, czy można dopuścić do tego, żeby teraz, kiedy jest niemal w szoku, co najmniej zdenerwowana, tak po prostu stąd wyszła, sama. Potrzebuje opieki. Opieki kogoś odpowiedzialnego.

Psycholog zapatrzył się demonstracyjnie w temblak Tomka. Tak jakby zobaczył na nim jakiś napis, trudny do odczytania.

– Powiedziała nam, że to pan w najbliższych dniach będzie z nią razem. Ale przecież może się mylić. Pan może nie mieć możliwości. Albo nie chceć, z różnych przyczyn. Tak przecież bywa. Musimy znać pańskie zdanie. Czy pan to potwierdza?

Znów patrzyli na niego wszyscy trzej, badawczo, z oczekiwaniem.

– Oczywiście. Po to tu jestem. Mogę się do tego zobowiązać. Podpisać wszystko, co trzeba, jeśli to potrzebne.

– Pierre, czy to cię uspokaja?

– To ja już idę. Do widzenia. Widzę, że sprawa jest zamknięta. – Psycholog wyszedł, przywołując na twarz sarkastyczny uśmiech. Gruner odprowadził go do drzwi, policjant rozłożył laptop, a Tomek się wzruszył. Wzruszył się szczerze, naprawdę.

Piękna, nieskażona prowincja.

Kiedy tu wszedł, kiedy wkroczył w aurę przesłuchania, zmobilizował się jak mógł, nastawił na trudną grę, poważny problem. Spodziewał się, że mogą go oskarżać o próbę zabójstwa, jeżeli nie jego, to Jacques'a, jeżeli nie Jacques'a, to Martę. Albo że

Sandra ma jechać gdzieś dalej – w kaftanie bezpieczeństwa. No, może nie aż tak. W każdym razie poważna sprawa.

Tymczasem ci trzej tak bardzo zaangażowali się emocjonalnie tylko w to, czy dziewczyna ma opiekuna, czy będzie bezpieczna. Psycholog poszedł w bunt, bo czuł do końca – słusznie zresztą – że coś tu nie gra. Nie wiedział co, ale to już nie jego wina. Może teraz, w poczuciu bezradności, chce rzucić tę robotę, wysyła swoją aplikację do Paryża. Doktor Gruner rozumiał, czego chce pacjentka, zawarł z nią jakiś sojusz, nie wiadomo jak. Policjant najwyraźniej męczył się z tym, żeby poradzić sobie z biurokracją, żeby wszystko grało w papierach, a ta, która już swój stres zaliczyła, miała święty spokój. Nie podejrzewał drugiego dna – dzięki Sandrze. To wszystko przed świtem, gwiazdy powoli gasły, niebo już wkrótce zacznie szarzeć. Piękne Provins.

Zatem uśmiechał się do nich, podpisywał policjantowi zeznania – że nie, że Sandra nigdy, na pewno nie teraz – tłumaczył mimochodem temblak, był tak pomocny, zorganizowany, inteligentny, jak było trzeba. Robił dobre wrażenie. Kosztowało go to trochę. To on najchętniej by teraz spał.

W końcu znalazł się z doktorem na korytarzu, w drodze do pokoju Sandry. Doktor pokazał swoją drugą twarz.

– Wie pan, uwielbiam go denerwować. Mojego młodszego kolegę, Pierre’a. Jak go wkurzę, na przykład sposobem mówienia, mogę z nim wszystko. Zgodzi się ze mną wbrew sobie, oby tylko mnie dłużej nie oglądać. Mądry chłopak, ale brak mu doświadczenia.

Sandra siedziała na łóżku, całkiem przytomna. Rozczochrana, jakby opuchnięta, brudna od startego tuszu do rzęs, piękna. Tomek przywitał ją tak, jak chciał, ona tym razem też chyba na to czekała.

Zrozumiała, że ma nie pytać o temblak. Doktor uśmiechał się jak dobry wujek. Mówił jej o decyzjach, jakby oświadczał, że zdała egzamin, ale dalej uczyć się trzeba. Żadnych gazów, żadnego ściągania. Słuchała pokornie, jak grzeczna dziewczynka, która coś przeskrobała. Przytakiwała czasem, choć pewnie nie wszystko rozumiała – mówił szybko, łączył słowa. Kiedy skończył, zadała jedno pytanie:

– Panie doktorze, a co z tym panem, staruszką, letnikiem, który mnie uratował? Mówił pan, że on tu czeka. Chciałabym mu podziękować.

– Tak, tak, właśnie myślałem, że pewnie by pani chciała. Ja też mu chciałem powiedzieć, że się pani obudziła, to by go ucieszyło, tak długo czekał, pewnie się denerwował. Zobaczyłem go wtedy przez okno. Ale kiedy wyszedłem przed szpital, zamachałem, to mnie nie widział ani nie słyszał, za daleko było, słuch pewnie słaby. Próbowałem podbiec, był na parkingu. Ale on wtedy jakby się skurczył, zmałał, przygarbił. Potem zniknął. Zniknął mi z oczu między samochodami.

Sandra zmarszczyła czoło, myśląc o czymś z wysiłkiem. Tak jakby chciała sobie coś przypomnieć i nie mogła.

– Tomek, proszę, czy możesz mi przetłumaczyć to, co pan doktor mówił na samym końcu? Od tego, że chciał podbiec. Nie wiem, co jakby. Nie wiem. Możesz?

– Chciał podbiec, ale uznał, że nie, bo ten pan był już na parkingu, przy samochodzie, a to emeryt, plecy ma źle sklezione, zmęczony pewnie. A doktor miał coraz mniej czasu. To tak mniej więcej, może w innej kolejności.

– Aha. Przepraszam. Jeszcze jestem trochę nieprzytomna.

Tomek był dumny z doboru słów. Jeśli Sandra przetłumaczy w drugą stronę, zabrzmiałoby trochę podobnie.

Gruner zatroszczył się jeszcze o to, czy mają dokąd wracać. Tomek, niby taki zorganizowany, wcale o tym dotąd nie pomyślał.

– Ja nie mam żadnej traumy. Wróćmy tam.

– Drzwi od przybudówki zostały wyłamane.

Sandra znowu zrobiła dziwną minę.

– Madame Devereux wynajmuje jeszcze jeden pokój, od frontu. Będzie szczęśliwa, że z panią wszystko dobrze. Na pewno nie śpi, znam ją. Wrażliwa kobieta. Zadzwoń, spytam, czy jest wolny.

Kiedy Sandra się ubierała, doktor wrócił z wiadomością o pokoju, z plikiem papierów do podpisania i z pożegnaniem. Świtało. Smart czekał na parkingu. Było po wszystkim.

Claudia Devereux nie spała rzeczywiście. Położyła się, żeby mąż mógł zasnąć. Trwała, czekając na świt, zanim zadzwonił doktor. Leżała cicho, w ciemności, z otwartymi oczami. Tonęła w poczuciu winy. W poczuciu winy za wszystko. Za to, że była głupia, może skąpa, skąpa podświadomie, bo wcześniej tak o sobie nie myślała. Były przecież na pewno jakieś takie urządzenia, nowoczesne czujniki albo coś jak do dymu. Alarmy, które się od nich uruchamiają, gdy takie urządzenia wykryją gaz. Mogła wziąć kredyt, zainstalować coś takiego w przybudówce. A ona nawet nie wiedziała, czy coś takiego jest, jak działa, jak się nazywa. Może ze skąpstwa nie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić. I ta dziewczyna, ta biedna dziewczyna. Mogłaby być jej córką, taka młoda. Jak ona mogła nie widzieć jej smutku, depresji, cierpienia, desperacji.

Wtedy, kiedy brała pieniądze, oprowadzała. Tym bardziej że nieprawda, coś zauważyła. Że ona nie jest taka jak te młode, wystrojone, wypięknione, co przyjeżdżają po romans, po zabawę, na coś liczą. Ani jak te, co szukają samotności, bo chcą spokojnie pomyśleć albo pracować, a jak wchodzą, takie poczucie siły je ogarnia, bo właśnie sobie zdobyły tę samotność. Ta była inna. Pokój jej nie interesował. Nie sprawdzała, czy czysto, czy prysznic dobrze działa. Jak ona mogła nic w tym więcej nie zobaczyć, tylko myśleć o swoich sprawach. Tamta dziewczyna pewnie ma rodziców. Boże. Za to, że przestała się modlić, też się obwinięła. Nie wierzyła już chyba, a może powinna. Może jej modły miałyby znaczenie, gdyby wierzyła. Niedługo przyjdzie świt, a z nim najgorsze. Ona sama uszczelniła okno w przybudówce. Myślała, że to dobrze. Czy to chociaż nie boli? Nie wiedziała. Gaz było czuć aż na drodze. Zamiast być w domu, poszła z mężem do znajomych. Gdyby została, pewnie by wyczuła. Była wdzięczna mężowi. Nie powiedział jej wczoraj złego słowa. Widział, że ma za swoje. Przytulał ją, choć na to nie zasługiwała. Mąż jest perfekcjonistą. Dostrzega wszystkie jej wady. Musiał wiedzieć, co źle zrobiła, jeszcze lepiej od niej. Tyle razy już ją przekonał, że gdyby nie jej błąd, byłoby dobrze. Teraz milczał. Przynajmniej śpi spokojnie, to bardzo dobrze.

Kiedy zadzwonił telefon, zerwała się przerażona.

To, co powiedział doktor, było jak przebudzenie ze złego snu. Prosiła, żeby powtórzył. Wyjaśnił od początku do końca. Pomyłka.

I ta dziewczyna zaraz tutaj będzie, z narzeczonym. Za pół godziny, może za godzinę. Nie z koleżanką, żadnej koleżanki nie ma. Jest jej przyjaciel, a ona wcale nie chce się zabijać. Za kłopot przeprasza. Ją, Claudię, przeprasza. Rany, coś trzeba zrobić, coś dla

nich, żeby było im miło, żeby wiedzieli, jak ona się cieszy, bo nie będzie umiała powiedzieć.

Pokój od frontu jest gotowy. Pościel zmieniona. Jedzenie. Na pewno będą głodni. Smaczne, domowe jedzenie każdemu dobrze zrobi. Pora nieważna. Ale co można zrobić gorącego, pożywnego, zdrowego, w pół godziny? Z tego, co ona ma? Tarta. Oczywiście. Ze szparagami, szynką i co tam jeszcze będzie. Jak się bardzo pospieszy, to zdąży.

Claudia mieszała, zagniała, piekła, kroїła, gotowała, podsmażała, cała czerwona i rozgrzana, a w nocnej koszuli. Pobiegła do piwnicy, wzięła wino, ale jak – wino o tej porze? I jak – tarta bez wina? Sami zdecydują, najwyżej nie wypiją. Zaniosiła do ich pokoju zastawę na dwie osoby, nawet kilka kwiatków, które stały wcześniej w salonie, a kiedy usłyszała samochód – gorącą formę z tartą, owiniętą w płócienną ściereczkę.

Przywitała ich miło, chyba nieśmiało, tak, żeby było normalnie, jakby przyjechali na wakacje. Powiedziała tylko, że jedzenie czeka, że świeże, gorące, teraz dla nich zrobiła, wino dobrała specjalnie, z meża kolekcji – i uciekła.

Cieszyła się, że jej nie zatrzymują, nic nie wyjaśniają.

I z tego, że oni może rzeczywiście się kochają, chociaż tego nie okazują, bo jedno na drugie zwraca uwagę, a to widać.

Sprzątnęła kuchnię, żeby jeszcze się nie kłaść. Miała powód, nie mogła się powstrzymać. Gdy w tamtej części domu ucichło, wyszła do ogrodu. Zajrzała przez okno, było już jasno. Spali. Spali oboje, w ubraniach. Nie chciało im się myć, czegoś innego też się nie chciało, padli. On ją przytulał. Głowę sama musiała tak położyć. Tarta była zjedzona. Dziewczyna powiedziała na pewno, że nie chce

nic jeść, ale się skusiła, sam by tyle nie zmieścił. Zaczęli nawet wino. Świetnie, że o korkociągu nie zapomniała. Teraz już można iść spać.

Położyła się cicho i pomyślała o drzwiach. Mąż pewnie będzie chciał od nich pieniędzy za te drzwi, musi mu wszystko wytłumaczyć. Zanim ci młodzi wstaną, wyjaśni, że jest ubezpieczenie, że ona to wszystko załatwi, naprawi bezgotówkowo, jak się da. Że nie będzie musiał się tym martwić.

Bardzo ładnie spali. Tak teraz myśli o tym, jakby to była sielanka. Błąd. Coś się przecież stało. Claudia nie wierzy w roztrzepanie, w złe ustawienie kurków. W coś takiego może uwierzyć tylko mężczyzna. Jednak nie chce nic wiedzieć. Tylko to, co widziała teraz. To jest teraz prawda. Reszta to ich sprawa. Zasnęła, wyobrażając sobie, że właśnie tak się przytula – do kogoś bez twarzy, może do męża, może nie. We śnie można.

Tego dnia postanowili zostać w Provins. Wstali późno, a tyle było do obgadania. Policjant prosił o kontakt, *gdyby jednak przełożeni...* Na szczęście nie zadzwonił. Gospodyni była przemiła. Gościnnie, a nie natrętna, dyskretna do przesady. Sandra rzeczywiście nie miała żadnych traum. Tylko przez chwilę patrzyła dziwnie na wyłamane drzwi.

Do tego obgadania też im się jakoś nie spieszyło. Oboje chcieli odpocząć, uspokoić myśli. Nabrać dystansu przed nową porcją ostrej prawdy. Dać sobie w prezencie kilka prostych, zwykłych godzin, zanim znów się zacznie. Może to było trochę dziwne – taki brak pytań. Ale nie czuli się sztucznie. Po prostu tak wyszło.

Obeszli całe Provins wzdłuż i wszerz, wypili kilka kaw. W końcu znaleźli dziką ścieżkę wzdłuż murów. Spokojne, obrosłe bluszczem miejsce.

– No to dawaj, Tomek. Mów. Co wiesz i skąd.

– Najpierw co.

Wyciągnął z kieszeni dyktafon Jacques'a, który miał przy sobie, odkąd wyszli z domu. Puścił nagranie. Sandra słuchała, leżąc boso w trawie, blisko niego. Dotykał dłonią jej nagiej stopy. Żeby wciąż czuła, że on jest przy niej, ale nie za blisko. Potrzebowała chyba teraz prywatności, poczucia, że jest silna, samowystarczalna. Tak myślał.

Słuchała spokojnie. Przewijała czasem, lecz w innych miejscach niż Tomek u Jacques'a. Ciekawe. Dużo paliła. Gdy nie paliła, męczyła swoją bliznę.

Jacques spreparował wcześniej nagranie, zmazał końcówkę, której Tomek też nie słyszał. Kiedy dyktafon zamilkł, powiedziała tylko:

– No tak.

– Zobacz jeszcze to.

Pokazał jej jedną z kartek z ogłoszeniem.

– To już wiem, od dawna.

– Tak myślałem. Pamiętam, jak wspomniałaś coś o spadku.

– Właśnie. A ty skąd masz to nagranie?

– Przyszła przesyłka przez posłańca, na moje nazwisko, do mieszkania w la Muette. Nie zdziwiłem się wcale, jak odbierałem, pomyślałem, że to jakaś reklama czy promocja.

W Paryżu często przysyłają. Zamawialiśmy kiedyś pizzę, pamiętasz? Właśnie na mnie. Myślałem, że to coś od nich czy od Włocha. Nie popatrzyłem nawet, co to za kurier, nie ma jak

sprawdzić. Gdyby nie kartka z ogłoszeniem, mógłbym nie odsłuchać. Nie było tam nic więcej, w tej kopercie.

Sandra leżała, myślała, nie pytała o nic.

– Słuchaj, Tomek. Myślę, że to tamten człowiek. Pamiętasz? Ten, który tyle razy ingerował w moje życie. Szukałam go wtedy, kiedy szukałam Marty. Moimi metodami, wiesz. Są jakieś mgliste ślady. Teraz niczego już nie jestem pewna. Nawet tego, czy on chciał mi zaszkodzić, czy wręcz przeciwnie. Że wręcz przeciwnie, też nie mogę przyjąć – ot tak, bez zrozumienia, w czym rzecz. Może po prostu zahaczyłam o coś innego, coś, co go dotyczy, nie wiem. Gdyby on zechciał, to by mógł... to by mógł...

– Co?

– Nie, proszę cię, nie teraz. Nie wszystko naraz. Zbadam to. Jak już skończymy z tym wszystkim tutaj, z Martą, z rodzicami Janusza. Ale, Tomek, to ważne, co teraz powiem. Proszę. Nalegam. Trzymaj się od tego z daleka. Nie szukaj go. Nie prowokuj. Nie staraj się niczego dowiedzieć. Jak najdalej od niego. Wysłał list i koniec. Dobrze, że więcej nie wiesz. Zostaw to mnie. To moja sprawa.

Żeby nie odpowiadać, Tomek ją pocałował. Spadł jej na usta kwietny pyłek – świetna okazja. Jeśli ten pocałunek oznaczał dla niej zgodę, to nie jego wina. On zdejmował pyłek. Sandra zmieszała się trochę, zgubiła wątek.

– A ty jak się dowiedziałaś?

– O rany, to długa opowieść. Wszystko było takie dziwne, przypadkowe – jak to określić... niekonieczne. Splot różnych interpretacji, nieporozumień i nagle wszystko jasne. Chcesz słyszeć od początku? Już wiem, jak do tego doszło.

– Tak.

– Ja Marty nigdy o nic nie podejrzewałam. Jak ją wczoraj spotkałam, byłam trochę sztywna. Wiedziałam, że chce pogadać o tamtym, ale się wzbrania. Bo nie wie, że ja wiem, co opowiedział Romek Krantz. No i to było głupie, że jest taka, jakby nic nie było, że tak gra. Na początku chciałam się w tę grę wpasować. Znaleźć neutralny temat. No to zaczęłam o tym spadku. Czy to była bliska osoba, ta zmarła, że współczuję, i że piękny majątek, duża sprawa. Że przeczytałam ogłoszenia, jak jej szukałam. Ciekawe tradycje rodzinne. I tak dalej. Odpowiadała powściągliwie, więc uznałam, że to chyba nietakt mówić o pieniądzach. Wiesz, jak to mogła zrozumieć – dzwonek na alarm. Powstał jej w głowie pewien pomysł. Ale nie była jeszcze pewna. Chyba. Ja o tym wątku potem zapomniałam.

Później, w Provins, już po twoim telefonie, przy kolacji złapała jakby nowy oddech. Zaczęła mnie pytać o Bartka Hubkę. Że przykry ten wypadek, szkoda. W zasadzie, jak to się stało, że ja z nim wtedy byłam. W samochodzie.

Powiedziałam, że jechaliśmy na sylwestra. Tylko tyle. Nie wiem, czemu. Być może potem dodałabym to wszystko, co mówiłam tobie – że chciał coś opowiedzieć, porozmawiać, ale nie zdążył. Wtedy byłoby po sprawie. Ale Marta za bardzo się spieszyła. Nie tak, jak przy niej ta Colette. Nie dała mi czasu. Zaczęła aluzyjnie, w swoim stylu, z uśmieszkami: *O, to może on był bi? Czy coś innego nas łączyło? No powiedz, Sandra, seks, czy tylko przyjaźń? A może całkiem inna sprawa?* Reagowałam chłodno. Nawet wrogo: *Nie, nie seks. Widzieliśmy się wcześniej kilka razy. Inna sprawa. Jego sprawa. Skończmy o tym.*

Rozumiesz, on przy mnie umarł. Teraz, po tym nagraniu wiem, czemu popełniła ten błąd. Kiedyś go kochała. Musiała się opancerzyć, żeby tak o niego pytać. Bo nie wierzę, że jej to kompletnie zwiślało, jak do niej zadzwonił, jak zginął. Gdy już się opancerzyła, to za mocno.

Przez moją odpowiedź dostała swoje drugie potwierdzenie. Że wiem, że chcę to jakoś wykorzystać. A ja nadal nie miałam o niczym pojęcia! Myślałam tylko, że jest strasznie rozchwiana emocjonalnie, że tamto ją zniszczyło. Współczułam. Bez empatii, bo się nie dało, ale tak. Chciałabym zapalić. Przepraszam.

Odsunęła go, bo siedział za blisko. Wstała, zapaliła, przeszła się trochę, obejrzała jakiś kamień. Powąchała lawendę, roztarła w dłoni liść. Jak na osobę, która wczoraj miała zginąć, była dość chłodna, spokojna, zaryzykowałby nawet – wyluzowana. Całkiem niedawno tak się denerwowała jego spotkaniem z Krantzem, wcześniej raną uda. O innych troszczyła się bardziej niż o siebie. Wprawa? Skąd mu to przyszło do głowy. Czy mówiła kiedyś coś takiego, co mógł zrozumieć... Nie miał czasu. Znowu zaczęła opowiadać:

– Marta była solidna. Do trzech razy sztuka. Potrzebowała jeszcze jednego, pewnego potwierdzenia. Chociaż może już wtedy dała mi te tabletki. Nie mam pojęcia kiedy, miała kilka okazji. Dwie maleńkie tabletki. Lekarz w szpitalu powiedział: *Znam je, są niegroźne, ale niech pani bierze jedną. Jedna wystarczy. Po dwóch śpi się jak kamień, zbyt głęboko. Jeszcze panią okradną* – gdy pytał, czy to to, co im wychodzi w objawach, a ja przyznałam, że wzięłam. Później zresztą też to mogła zrobić. Tabletki jeszcze o niczym nie przesądzały.

Rozmowę serio zaczęła po powrocie do pokoju.

– *Wiesz, Sandra, to jeszcze ciągle do mnie wraca. Dobrze, że byłaś wtedy we Francji, że przyjechałaś dopiero na pogrzeb. Nie widziałaś tego, nie wiesz, jak to wyglądało z bliska. Mam nadzieję, że dzięki temu umiałaś zapomnieć.*

– *Marta, ja już wiem. Wiem wszystko. Od niedawna.*

– *To ile za to chcesz?*

Patrzyła na mnie z takim uśmiechem, trochę ironicznym.

Tomek, o mały włos. Mogłam pomyśleć, że ona pyta, ile chcę wina. Stała z otwartą butelką obok kieliszków. Bo przecież wbrew temu, o czym już była przekonana, ja nic nie wiedziałam.

Zrozumiałam.

W jednej chwili wszystko się splotło. To wynikało już nawet z opowieści Krantza. I ten jej uśmiech. *Wzywamy każdego, kto posiadałby wiedzę...* Jej zachowanie. Wszystko.

– *Za to, że nie zeznam pani adwokat, że to ty powiedziałaś o Januszu? O tym, że on chce iść na policję? Tym, którzy go zabili? Ile chcę za to?*

Przez sekundę jeszcze miałam nadzieję, że popatrzy jak na wariatkę.

– *Tak. Sprawdziłaś, ile tego jest, pojęłam aluzję. Dobrze, że możemy się dogadać.*

No, Tomek, wiesz, jak się poczułam. Kurwa. Nie muszę opowiadać. Powiedziałam wtedy coś głupiego, banalnego, w stylu, że to nie jest na sprzedaż.

Zapytała, czy zadzwonię. Chyba powiedziałam *Nie wiem*. Nie pamiętam. Namawiała mnie jeszcze. Na pieniądze. Nie słuchałam. Potem powiedziała, że wyjeżdża. Szybko się spakowała. Ty przyszedłeś. Ja zasnąłam. Wiesz, co było dalej.

– Kiedy się domyślałaś, że Marta odkręciła gaz? Jak to się stało, że nic nikomu nie mówiłaś?

– O gazie powiedzieli mi w szpitalu, a że to Marta, było jasne przecież. Ale wtedy najważniejsze dla mnie było, żeby ich przekonać, że to nie żadne samobójstwo, żeby wyjść stamtąd. Żeby już być z tobą. Tak było łatwiej. Marta na pewno znikła. Co by to dało? Chyba tak myślałam. Nie wiem zresztą.

– Możesz powtórzyć?

– Co?

– To, gdzie chciałaś być.

Sandra zaczerwieniła się lekko. Oczywiście nie powtórzyła.

Potem było już coraz łatwiej. Tomek opowiadał o tym, jak się zorientował, jak wyskoczył, co zastał po powrocie. O tym, co było wcześniej, oczywiście w formie okrojonej. Przywłaszczył sobie pomysł Jacques'a na znalezienie ich adresu. Kiedy powtarzał ankietę, Sandra nawet się roześmiała.

Niebezpieczny wątek wrócił dopiero przy kolacji. W niewielkiej crêperie, nad naleśnikami z serem i szynką.

– Męczą mnie to, że nie ma jak podziękować temu panu. Gdyby nie on, to przecież wiesz. Ty byś nie zdążył. Jak on to wyczuł, niesamowite.

– Ma nadwrażliwe powonienie, to jest objaw wielu chorób. Dość częsta przypadłość w tym wieku. Lekarz mi mówił.

– Ale jak słaby, chory staruszek wyłamał te drzwi?

– Pewnie były przegniłe na zawiasach. Nie przejmuj się, możliwe, że on się zjawi. Ma nasz adres tutaj. A jak nie, to znaczy, że czułby się skrzepowany twoimi podziękowaniami. Wie, że wszystko się

dobrze skończyło. Jak przyjdzie, podziękujemy mu razem. Kupimy kwiaty i szampana.

– Jest jeszcze jedna rzecz.

– Właśnie.

– Spadek. Nie może go dostać.

– Bo to by znaczyło, że była skuteczna. Że to był dobry ruch, ten gaz. Nieważne, wyszedł czy nie. Że cię uciszyła.

Sandra przytaknęła.

– Nie chodzi mi o zemstę. Bo oprócz spadku nic nie chcę robić. Pieprzyć to. Żadne policje.

– Spadek wystarczy. To co, dzwoniemy dzisiaj?

– Nie mamy tego jak udowodnić. Trzeba by jakoś sprawdzić. Nie wiem jak. W Polsce.

– Ale musisz się chociaż umówić, powiedzieć, że coś masz. Bo termin minie. Zadzwoń. Dziś. Żeby jutro już z tym nic nie robić.

– Po kolacji.

Zamilkła, a on zmienił temat. Opowiadał o różnych rodzajach naleśników – o tych cienkich, ciemnych, z żytniej mąki. Jak się je smaży i z czym je. Nie słuchała go chyba zbyt uważnie. Nic nie szkodzi. Chodziło o to, żeby nie roztrząsać problemów winy, kary, zemsty i przebaczenia. Żadne z nich nie miało na to ochoty.

Wanda Starobielska odebrała telefon, gdy miała już wychodzić. Powinna być w domu od godziny. Zasiadła się nad papierami.

– Dobry wieczór. Sandra Arsztrejer. Dzwonię w sprawie ogłoszenia, które znalazłam w prasie i na państwa stronie

internetowej. Dotyczy spadku po zmarłej Anieli Rymanowskiej, który ma odziedziczyć Marta Johnson.

– Ta sprawa jest nieaktualna. Pan... chwileczkę... pan Adam Zalipski wniósł udokumentowane zastrzeżenia. Wstrzymałam postępowanie spadkowe. Ogłoszenia już nie ma na stronie. Od wczoraj. Pan Zalipski podał mi swoje zamiary z prośbą, żeby je przekazać każdemu, kto będzie tym zainteresowany. W razie potrzeby złożę wyjaśnienia. Bo ja, niestety, nie jestem uprawniona do tego, żeby udzielić pani jakichkolwiek informacji ponad to, co powiedziałam. Czy podać pani jego numer telefonu?

– Nie, dziękuję. Znam pana Zalipskiego. Myślę, że dzwonię z tym samym.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Nie. Dziękuję pani. Do widzenia.

A więc jest jeszcze ktoś. Szkoda. Lepiej by było, gdyby tylko pan Zalipski wiedział.

Pomyślała o rodzicach Marty Johnson. O dwojgu starych ludzi, których znała od tak dawna.

Jak to dobrze, że mają jeszcze jedną córkę. Że się nie znają na prawie, internecie, procedurach. I że ona, Wanda, bywa czasem genialna. Przebłąski geniuszu nawiedzają ją na spacerach z psem. Bo już ona przycisnie tę panią Johnson, żeby zrobiła wszystko tak, jak trzeba. Żeby jej podpisała oświadczenie, że dobrowolnie zrzeka się spadku na rzecz siostry. Z przyczyn rodzinnych, bo chce pozostać z mężem, w Stanach. Nastraszy ją jak trzeba, znajdzie argumenty. Rymanowscy nie będą mieli zepsutej starości. Ucieszą się nawet pewnie, że córka się nagle z mężem pogodziła. Dzięki Bogu, że ona na to wpadła.

Szybko zamknęła kancelarię, przejechała dwa metry pod prąd. Spieszyła się do domu. Trzeba wyprowadzić psa.

Dominique dostała esemes:

Pożyczyłaś mi wczoraj szarego smarta, nr rej. 698RBZ75. Potwierdź Sandrze, jak będzie trzeba. Już wie, że to twój, pytała. Za to będziesz wiedzieć wszystko to, co ja, a ja wiem nawet więcej niż ona. Proszę. Wracam pojutrze. Wszystko OK. Ściskam. Tomek.

Ciekawe, nastąpiło przyspieszenie. Ona słyszała tylko, że Sandra gdzieś wyjeżdża z koleżanką. Nie szukała ich wczoraj, miała sesję z Bertrandem. Dziś ciąg dalszy. Tomek ją zaintrygował, ale nie miała nawet czasu myśleć. Jeżeli pisze, że wszystko gra, to poczeka. Odpisała.

OK. Baw się dobrze. Pozdrawiam.

Lepiej się czuła jako jego kumpelka niż jako żona. A to, że ufa jej do tego stopnia, było całkiem miłe. Już nie mówiąc o drobnej satysfakcji, że ich sztama dotyczy czegoś, czego Sandra nie będzie wiedzieć. O ile dobrze znała Tomka, to nic złego.

– Zostańmy tu jeszcze do jutra. Nie jedźmy dzisiaj.

Sandra nie czuła się już tak zagubiona, jak po tej pierwszej nocy, którą z nim spędziła. Może dlatego, że to on ją obudził, gdy powoli rozstawała się ze snem, obudził kawą, która zachlapała pościel madame Devereux. Przyniósł z kuchni śniadanie, opierając tacę o temblak. W ofercie domku nie było chyba domowych śniadań, a może były, skoro madame je przyrządzała. Trzeba to było szybko

zjeść, bo jajka stygły. Nie było czasu na rozważania. Zaskoczył ją tą dziwną propozycją.

– Nie musimy się spieszyć? Wracać? Nic załatwiać?

– No przecież nie musimy.

Fakt. Miała tu być trzy dni. Spadku już nie ma. Pokój jest opłacony. Marta w nią trochę zainwestowała. Gospodarz żądał opłat z góry. Tomek umie świetnie całować.

– No bo ja przecież prawie nic o tobie nie wiem z takich rzeczy, które są zwykłe, codzienne, które trzeba wiedzieć. Jakie książki czytasz. Jakiej muzyki słuchasz. Kim był twój dziadek, jeden i drugi, kim były babcie. Czy miałaś kiedyś jakieś zwierzę. Pięć filmów, które najbardziej lubisz. O tym możemy sobie dzisiaj porozmawiać. Ja też ci powiem, co będziesz chciała. Uwaga – uwielbiam o sobie opowiadać. Będzie tak, jakbyśmy się poderwali na wakacjach. Cały dzień. Jutro możemy wracać.

Brzmiało fajnie. W zasadzie czemu nie. Skoro już tak strasznie namieszała. Po drugim razie nie można udawać, że między nimi nic nie ma.

– A Dominique?

– Dominique miała być teraz zajęta. Nie martwi się, wysłałem jej esemes.

– Nie o to mi chodzi.

Chyba się lekko zaczerwieniła. Jaka dziecinna cecha. Zrozumiał dopiero, kiedy popatrzył na jej twarz.

– Sandra, Dominique jest Francuzką. Pamiętaj o tym. Inaczej widzi takie sprawy niż ty. Sama z nią porozmawiaj. Rozwiodła się ze mną. Dobrze nam życzy. Wie wszystko. Nie trzeba niczego przed nią ukrywać.

Jeśli tak, to rzeczywiście nic nie stoi na przeszkodzie. Można sobie przecież czasem zrobić prezent. Miły prezent, już się z niego zaczynała cieszyć.

– Od której babci mam zacząć?

Lubiła, jak się do niej tak uśmiechał.

Rozdział XXII

Przez tych kilka dni w Paryżu było tak, jak na krótkich, szalonych wakacjach. Tomek narzucił ten styl razem z Dominique, a Sandra dała mu się porwać. Robili to dla niej, jakby chcieli jej wszystko wynagrodzić, czuła to. Głupio byłoby odmawiać. Chwilami miała problem z tym, żeby złapać nastrój. Tylko chwilami, bo się starała. Kawiarnie, kluby, dobre kolacje, pikniki w parkach. Specjalnie wybrane wystawy – takich sama nigdy by nie znalazła. Jazz, wino, nawet Bertrand, który zechciał ją poznać. To wszystko, razem z ich luzem, swobodą, beztroską, która już przestała ją denerwować. Zrozumiała, że to nie całkiem tak. Że to nie znaczy, że wszystko olewają. Chyba. Dominique nie chciała nawet słyszeć, że będą za coś płacić. *Nie stać was. Mnie stać. Nie ma się o co obrażać. Mogę czasem zaszaleć z gośćmi.* Znikała, kiedy przychodził na to czas.

No i seks. Coraz bardziej oczekiwany, coraz mniej deprymujący. Już bez poczucia winy wobec siebie i świata.

Układy z Dominique rzeczywiście były całkiem dobre. Nie takie, żeby się zwierzać, ale swobodne. Pierwszego dnia, po wszystkich opowieściach Tomek wyszedł ją odprowadzić. Dominique. Dał Sandrze do zrozumienia, że powie o ich związku. Bo Dominique nie wiedziała, co było dalej, po tamtej pierwszej nocy. Powinna wiedzieć. To może trochę potrwać. Sandra zgodziła się bez oporów. Francuski model coraz bardziej jej pasował. Szkoda, że między nią

i Oskarem to by nie przeszło. Za dużo trupów w szafie. To, że bez oporów, nie znaczyło jednak, że nie miała różnych dziwnych myśli, zanim Tomek wrócił.

Dziś znów miała okazję się wykazać. Jutro wracali do Polski. Tomek poszedł do Dominique, żeby się pożegnać. Mimo że Dominique ma ich odwieźć na lotnisko. *Przepraszam, Sandra, że idę sam. Muszę z nią porozmawiać o jej prywatnych problemach, też takie ma. Przy tobie by się krępować. Tylko błagam, nie zrozum tego źle. Jeśli trzeba, przepraszam.*

Zapewniła go, że nie ma za co, że dobrze to rozumie. Że chętnie zostanie sama, bo od kilku dni nie widziała komputera. Kiedy wyszedł, rzeczywiście rozłożyła laptop. Już dawno nie była w klubie. Zapomną w końcu jej nicka. Caillou, który wciąż chyba czuł się winny, złożył jej ciekawą propozycję. Zabawa, a nie praca, ale ambitna. Dopiero kiedy się zgodziła, gdy zaczęli, przestała głupio myśleć o tym pożegnaniu.

Tomek był nad Sekwaną. Szedł wolno środkiem bulwaru, czekając, aż coś się zdarzy. Jacques jak zwykle zostawił sobie scenariusz. On był jak nieświadomy aktor, który nie może się zdradzić. Nie szkodzi. Chyba się już przyzwyczył.

Prawie stracił nadzieję, że jeszcze kiedyś go spotka. Smarta oddał w najprostszy sposób, jaki można sobie wyobrazić. Zobaczył za wycieraczką opłacony kwit parkingowy. Zaparkował. Samochód zniknął następnego dnia.

Telefon, którego numer dostał w Provins, milczał. On miał już nowy, ale ze starą kartą sim. Czekał, aż się doczekał.

Dzisiaj, dzień przed odlotem, przyszedł esemes. Oczywiście z zastrzeżonego numeru.

Wydź sam wieczorem, o której będziesz mógł. Jedź nad rzekę, gdzieś dalej od IM. Do zobaczenia. J.

Wariacki, tajemniczy styl. Lecz skoro on tak lubi, niech ma.

Tuż przy moście, pod którym pocałował Sandrę pierwszy raz, Tomek zobaczył pustą, kamienną ławkę. Usiadł na chwilę, żeby popatrzeć na to miejsce. Zanim dopalił papierosa, ktoś się przysiadł. Ktoś, czyli oczywiście Jacques. Tym razem wyglądał inaczej, nie całkiem szaro. Powiedzmy, emerytowany nauczyciel. Profesor z liceum, akuszer młodych talentów. Taki, co to siadał na pulpicie podczas wykładów.

Przywitał się tylko uśmiechem. Gestem dał znak: *cii, poczekaj*. Zapalił swojego gitanes'a. Milczeli razem chwilę. Zaczął bez uprzedzenia. Tomek mu nie przerywał. Różnokolorowe światła turystycznych statków odbijały się w wodzie.

Opowieść Jacques'a:

Okradałem kiedyś skrzynki pocztowe.

Nie, nie dla pieniędzy. Nie dla informacji. Byłbym zabezpieczony. Na zdobywanie danych są lepsze sposoby.

Moja praca sprawiła, że byłem sam. Trochę z konieczności, trochę z wyboru. Żadnej rodziny, tylko przelotne znajomości. Nikogo, kto by mnie naprawdę znał. Nikogo, kogo ja mógłbym do końca poznać. Z wiekiem zaczynało mi to przeszkadzać. Nie jestem czułościowy, umiem być samotny. Wiedziałem, na co się decyduję, nie o to chodzi. Tylko dotarło do mnie, że przez to jestem inny. Pewne sytuacje, pewne sceny –

bo zdarzało mi się przecież czytać, filmy oglądać – są dla mnie dziwne, śmieszne, sztuczne. Nie chciałem, żeby zawsze takie były.

Szukałem w listach ludzkich emocji. Perwersyjna potrzeba, budząca się rzadko, w chwilach przestoju.

Wtedy jeszcze nie każdy miał komputer. Internet służył do pracy. Nie wiem, czy to pamiętasz. Ludzie czasem pisali. Ja czytałem. Czasem.

Wiem, mogłem zamiast tego iść na terapię. Dostałbym psychologa, przeszkolonego w takich sprawach. Ale nie chciałem. Wolałem tak.

Niektóre listy paliłem, bo lepiej, żeby ich nikt nie dostał. Niektóre zaklejałem, wsadzałem do jednej skrzynki. Chyba trochę frustrowałem listonoszy.

Kilka z nich skserowałem. Zostawiłem sobie kopie. Tego jednego nie trzeba było kserować. Był do nieboszczyka.

Ukradłem w ten sposób tylko te, w których było coś naprawdę.

O ludziach, którzy je pisali, myślałem, że mógłbym ich znać. Jak już ukradłem, to wymyśliłem, że nie tak sobie. Że to się może potem na coś przydać.

Bo jak już skończę z pracą, będę, powiedzmy, emerytem – a u nas to się dzieje wcześniej, kiedy, nie wiesz – zamiast mieć jakiś syndrom odstawienia, czy jak on tam się zwie, ja się im przyjrzę. Tym, co te listy pisali. Tak dokładnie, jak umiem. Inwigilacja kilku ciekawych ludzi, których lubię. Czy ingerencja – nie. Nie jestem jakąś Amelią, z całym szacunkiem. Już raczej – to ci rzecz wyjaśni, ty siedzisz w filmach, wiem – jest taki jeden facet w „Trzech kolorach”. Widzę, że skojarzyłeś. Właśnie. Myślałem, że będę jak on.

Może to ci wystarczy, co? Bo robi mi się mdło, jak tak o sobie mówię. Chciałbym bardziej konkretnie.

„Emerytura” przyszła później, niż myślałem. Byłem dobry w swojej robocie. Ci od listów mnie nie zawiedli. Są sensowni. No, jeden może nie. Ale z niego chyba zrezygnuję.

Z tym brakiem ingerencji w ich życie mam czasem problem. Uznałem, że jednak mogę, w skrajnych przypadkach. Sandra Arsztrejer to właśnie taki przypadek.

Popętniłem błąd, duży błąd. Taki sam błąd, jak ty. Wszystko przez Sandry list. Nie wiem, jak on zadziałał, że uwierzyłem. Przyznaję się ze wstydem.

Piętnaście lat temu nie zbadałem okoliczności śmierci Zalipskiego. Wtedy nie był na to czas, zajęty byłem. Sprawdziłem tylko, że polska policja potwierdza samobójstwo. Nie mogłem prześwietlać policyjnych materiałów. Zresztą wcale na to nie wpadłem. To nie ten młody mnie interesował, tylko dziewczyna. Jako sprawa na potem.

A potem zginął nagle Bartosz Hubka. W wypadku, w samochodzie, przy niej. Jeden z trójki, którym groziła w liście. Nie miała z nim żadnych kontaktów, gdy był w Londynie. Jego śmierć o niczym nie świadczyła, ale Sandrą się zająłem. Tak sobie, na wszelki wypadek.

I ona mi tu nagle zamawia pokój w Paryżu, nie chce innego, tylko właśnie ten przez ścianę z tamtym, w którym jest Krantz. Roman Krantz, następny z listy. Z listy tych, których obiecywała „zniszczyć prędzej czy później”. Z nim też dotychczas jakby się nie znała. A ja znałem ją już dość dobrze. Wiedziałem, na co ją stać. Powiem ci tylko: na wiele. To nie jest słaba kobieta. Z niejednym miała do czynienia w życiu. Czasami ludzie, którzy widzieli zbyt wiele, tracą granice.

Postanowiłem działać. Bo może trzeba. A jak nie trzeba, to małe zamieszanie nikomu nie zaszkodzi. Jak wyglądało małe zamieszanie, to już wiesz. Z Krantzem był kłopot. Na szczęście, dzięki mnie znalazł

w życiu swoje miejsce, chociaż wydawało się, że jest dokładnie odwrotnie. Nawiasem mówiąc, świetny facet. Zaimponował mi, naprawdę. Wariat trochę, ale cóż, nie on jeden. Prawdziwy talent. Na początku jego reakcja – hiperreakcja – dała mi do myślenia.

Została jeszcze Marta Rymanowska. Mija kilka miesięcy i Sandra wybiera się właśnie do niej. Choć już myślałem, że ją zastraszyłem. Sandrę. Bo nie kryłem się z tym, że ją śledzę. Pełne ręce roboty. Zablokowałem jej wyjazd do Stanów. Przy tym następnym, paryskim, ty mnie ubiegłeś. Z ogromnym poświęceniem. Wiedziałem, że myślisz tak, jak ja. To samo wyczytałeś w liście.

W Paryżu obserwowałem Sandrę, ciebie, Martę. Tych, z którymi się spotykacie. Teraz już dyskretnie. Odłożyłem na bok inne sprawy. Bo coś mi się nie zgadzało – już podczas tego wypadku, w Polsce. Gdyby nie twoja pewność, być może nie miałbym okazji nabrać wątpliwości. Drążyłem to, badałem przeszłość. Padł schemat z listu. Gdy padł, stało się jasne, że na rzeczy jest coś więcej. Naprawiłem swój błąd w ostatniej chwili. Ty mi pomogłeś.

List obu nas uwiódł i zwiódł – ciebie i mnie. Ale gdyby nie to, młody Zalipski dalej by robił za samobójcę. Bo jego ojciec, którego znasz, zaczął się bić ze światem, w kolejnym ataku niewiary, właśnie po twojej wizycie. Wywalczył sobie prawdę. Tą, którą ty zdobyłeś na swój sposób, ja na swój. Ma już papiery z policji. Wierzy.

Jak jest z Sandrą i z Krantzem, wiesz lepiej ode mnie. Wydaje się, że to wszystko było dla kilku osób ważne.

Dobrze, że nasza dociekliwość nie zabiła Sandry. Gdyby nie my, to śledztwo pani Johnson dałoby pewnie inne rezultaty. Sandra bez nas nadal byłaby nieświadoma, ufna jak dziecko. Marta dostałaby swój spadek. No, chyba że w tamtym hotelu w Passy Krantz i Sandra by się

spotkali, że doszłoby do jakichś wyznań, a potem ona sama, bez naszej ochrony...

O rany, chłopcze, czemu mnie nie zatrzymasz, jak motam się w jakieś rzeczywistości równoległe. Rozumiem szacunek dla starszych, ale bez przesady.

To jest już chyba wszystko, co miałem ci wyjaśnić.

A, nie, została jeszcze ta głupia zamiana walizek. Bo teraz nie rozumiesz pewnie, czemu po prostu tej mojej od ciebie nie zabrałem. Na lotnisku, jak człowiek, bez żadnych hec.

Pamiętasz tego Francuza, któremu rozlał się calvados? Facet stał obok ciebie, przy taśmie. Żartem szukał współczucia, musiałeś go widzieć. On jeden nie mógł mnie zobaczyć. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby mnie rozpoznał, żeby wiedział, że przyleciałem do Warszawy. Czemu – nie powiem, to inna historia. W Paryżu udało mi się przed nim ukryć, a na Okęciu – prawie. Ty, Tomku, bardzo rzuciłeś się w oczy. Gdybym do ciebie podszedł, zobaczyłby mnie na pewno, rozpoznał – na siedemdziesiąt procent. Nie mogłem ryzykować. Już lepiej było stracić walizkę. Nic w niej nie miałem cennego oprócz listu. List – cóż, trudno. Miałem kopię. Siedziałeś cicho przez miesiąc. Gdyby tak było dalej – przysięgam, nie tknąłbym cię. Skradłbym list w wolnej chwili, przy okazji, dyskretnie. Ale kiedy zaczęłeś mieszać, kiedy dotarłeś do mojej Sandry, trzeba cię było odstraszyć.

Czterech na pięciu po mojej akcji na twoim miejscu dałoby spokój, odpuściło. Słowo ci daję, wiem. A ja trafiłem na chojraka, który odtworzył list i postanowił walczyć. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Świetnie się z tobą pracuje. Ty jesteś z takich, co idą na pierwszą linię – z osłabionym instynktem samozachowawczym. Koszty nieważne, liczy się sprawa. Tu wyskoczyć, tam sprowokować – dostać w mordę, stłuczkę

zrobić... Taki partner czasem bardzo się przydaje. Można spokojnie zadbać o logistykę. Ale uważaj, Tomku, choć trochę uważaj na siebie. Cieszę się, że już mogłeś zdjąć temblak.

To co, zawiedziony jesteś trochę?

Myślałeś, że siedzę w tej historii od śmierci Janusza? Że kogoś prowadzę lata całe, rozpracowuję mafię albo że sam miałem z mafią związek? A tu przypadek. Nie ma logicznego spłotu zdarzeń. Dwa czy trzy oderwane wyjaśnienia.

Dobra. Już wiesz o mnie wszystko, co się z tamtą historią wiąże. Zrobiłem, jak obiecałem.

Już niczego więcej się nie dowiesz. Ani o mnie, ani o Sandrze. Koniec.

A ona mnie nie znajdzie. Szukać będzie na pewno, ale spokojnie. Dla niej zniknę na jakiś czas. Zjawię się, jeśli będę potrzebny. Jeśli możesz, pomóż jej zapomnieć.

Posiedzieli w milczeniu przez chwilę – tak trzeba po wysłuchaniu długiej opowieści. Rytuał, który ma zdradzać szacunek dla tego, co się usłyszało.

Tomek miał mnóstwo pytań, ale ich nie zadał. Nie miał szans na odpowiedź, więc po co się wygłupiać. Wpadł za to na inny pomysł.

– Jacques, a może by tak razem zrobić coś zwykłego? Chodź ze mną na kawę, z filiżanki, nie z termosu. Albo na piwo bez środków usypiających. Może na wino. Pogadamy o sporcie i o kobietach. Ze sportem będzie ciężko, ale dam radę.

Jacques uśmiechnął się tak, jak pod szpitalem.

– No, wiesz, nie wpadłem na to, że będziesz chciał. Bardzo, bardzo chętnie bym z tobą poszedł. Już to, że proponujesz, jest miłe.

Tylko, niestety, czas. Umówiłem się dziś, nie mogę tego przełożyć. Sprawa do załatwienia, nie towarzyska. Ale, kto wie, może się jeszcze zobaczymy? Będę twoją propozycję pamiętał. A teraz trudno, idę.

Wyciągnął coś z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– To jest dla ciebie. Zobacz za chwilę.

Uścisnęli sobie dłonie, Jacques poszedł. Oddalał się wolno środkiem bulwaru, dziwnie wysoki, górujący nad ludźmi wokół. Tomek rozdarł kopertę. Było w niej zdjęcie – to właśnie. Zdjęcie zgrabnych, szczupłych ud młodej Sandry, stojącej swobodnie metr od aparatu. To, które skłoniło go do otworenia listu. Sam list Jacques zostawił sobie.

Tomek chciał jeszcze zawołać, pomachać z podziękowaniem. Nie było komu. Jacques zniknął.

¹ Pompiers – strażacy. We Francji straż pożarna pełni też rolę pogotowia ratunkowego.